9355 I

HISTORYCZNA
ŁKI WYDAWNICZEJ

ALEKSANDER BRÜCKNER

# DZIEJE KULTURY POLSKIEJ

TOM PIERWSZY

KRAKÓW 1930
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

poln. do 125472

# DZIEJE KULTURY POLSKIEJ

00492

ALEKSANDER BRÜCKNER

# DZIEJE KULTURY POLSKIEJ

TOM I

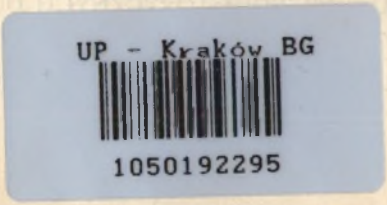
OD CZASÓW PRZEDHISTORYCZNYCH DO R. 1506

KRAKÓW 1930
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ



9355

A. 9355/I




KRAKÓW -- DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1930

## OD AUTORA

Dzieło niniejsze, przeznaczone dla szerszej publiczności, zebrało wyniki dawniejszych studjów własnych, którym, czy z dziedziny języka czy pisemnictwa, stale przyświecało jako cel ostateczny odtworzenie dawnej kultury, dawnego trybu życia w rodzinie i gminie, w kościele i szkole, w sądzie i obozie, w mowie i piśmie. Skupiłem je obecnie w obrazie całkowitym, kreślonym bez jakiegokolwiek uprzedzenia, w jedynym zamiarze wystawienia dawnej rzeczywistości, o ile siły i źródła mi dopisywały.

Skoro to dzieło ma służyć miłośnikom rzeczy ojczystych, usunąłem z niego balast naukowy, cytacje, polemikę, uwzględniając je tylko z konieczności; nie unikałem trwożliwie lekkich tu i ówdzie powtarzań. Oparłem się o prace poprzedników, czerpię z nich pełną ręką i winienbym w porządku alfabetycznym, począwszy od Abrahama Wł. i Balzera O., wymieniać dzieła, jakich używałem; spis objąłby stronic kilkanaście. Niech go ta wzmianka zastąpi: do długu, jaki wobec nich zaciągnąłem, przyznaję się z najżywszą wdzięcznością; zresztą wyliczam z każdego rozdziału ważniejsze prace, nowsze; materjał przez nie zebrany oświetlam nieraz samoistnie.

Dla wieków średnich unikam ile możności metody retrospektywnej, wstecznej, bo łatwo zawodzi, rzeczy nowsze czasom dawnym narzucając. Gdzie każde inne źródło ustaje, zwracam się do ostatniego bezpośredniego, do języka; dalej oddaje walne usługi analogja, wzgląd na to, jak to gdzie indziej bywało, cho-

ciaż i to narzędzie nieraz wcale kruche. Nie podaję za pewne, co tylko możliwe; rozróżniam domysły i fakty; niestety, oba te pola dla dawnych czasów bardzo nierówno rozdzielone. Trzymam na wodzy fantazję, bo ani z *Starą Baśnią*, ani z *Drzewiej* nie zawodniczę. Czy mi się powiodło odmalować tło, na którem rozgrywały się dawne dzieje, inni osądzą.

Opowiadanie zaczynam od r. 500 po Chr., to jest od chwili, kiedy się szczepy polskie ostatecznie ze spólnoty słowiańskiej wyodrębniły; o rozwoju poprzednim wspominam jak najkrócej co najniezbędniejsze. Nie wdaję się przytem w pytania, które nasze dziejopisarstwo z lubością uprawia, pytania o wzajemnym stosunku rodziny, rodu i szczepu, o pochodzeniu władzy książęcej, znaczeniu szlachty, poddaństwie ludu, bo są to wszystko rzeczy ogólno-ludzkie i wyprzedzają ów obowiązujący dla mnie rok pięćsetny. Kto pisze gramatykę historyczną języka polskiego, temu są obojętne pytania o początku i rozwoju mowy artykulacyjnej; podobny przywilej służy i historykowi kultury polskiej. Rażą bowiem anachronizmy, jakich się ci autorowie dopuszczają: na jednej i tej samej stronicy powołują księgę henrychowską z r. 1270 i kazania z XV wieku a początki kultu przodków albo religji, bujają więc swobodnie śród okresu conajmniej lat trzech tysięcy. Chronologji ściślej pilnować należy, a gdzie się przeciw niej wykracza, zawsze o tem czytelnika ostrzegać, choćby się miało na zarzut pedanterji narazić, najcięższy, jaki historyka spotkać może.

Zamierzam więc skreślić przebieg dziejów kultury polskiej, które się pod mniej pomyślną wróżbą zaczęły, bo położona w sercu Słowiańszczyzny była Polska odcięta od zachodu jak od wschodu i ich kultur. Energja obu pierwszych Piastów przezwyciężyła skutki tej niewygody, zdobyła Polsce przynależne jej miejsce na Wschodzie Europy, ale połączyła ją z Zachodem łacińskim, t. j. oszczędziła jej liturgji słowiańskiej, obrządku greckiego i skostnienia kultury. Po przejściach, grożących nieraz zupełnem rozbi-

ciem nietylko państwa, ale i narodu, rzuciła energja obu ostatnich Piastów i polityka możnowładców małopolskich podstawy największego państwa słowiańskiego, nie chwilowego, jak Symeonowe bułgarskie lub Duszanowe serbskie, lecz takiego, co wieki przetrwało. I to, na co się Czechy, jako zbyt szczupła dziedzina, nie zdobyły, miało przypaść Polsce w udziale: organiczne stopienie zdobyczy Zachodu z darami przyrody słowiańskiej, wytworzenie odrębnego typu kultury, «staropolskiego», domowego, na podstawie europejskiej.

Złoty okres dawnych dziejów, wiek szesnasty, zapowiadał ten ideał, lecz oczekiwania, jakie obudził, nie ze wszystkiem się spełniły. Zamiast dalszego rozwoju sił własnych w jedności z coraz jaśniejszą kulturą Zachodu, cofnięto się w ustronne zacisze domowe, zasklepiono w tradycyjnym ustroju politycznym i wyznaniowym, społecznym i literackim; zwichnięto a wkońcu załamano linję rozwojową. Opłacono to utratą dawnego przodownictwa duchowego śród Słowiańszczyzny, utratą potęgi mocarstwowej, a ostatecznie utratą bytu politycznego i zubożeniem bogatej niegdyś kultury. Ale rychło ścieśniono ponownie więzy z Zachodem, rozluźnione lecz nigdy nie porwane, i w nowem napięciu sił dążono do ideału, dawniej nie osiągniętego w całości, sprzęgając z domową tradycją kulturę nowożytną, a rwąc się do czynów ofiarnych w proteście przeciw niebytowi państwowemu. I przetrwał naród zwycięsko próbę wiekową, odzyskał państwowość a z nią rzucił nowe, szersze podstawy dla życia narodowego i kulturalnego.

Tę to przeszłość jego kulturalną, naukę i pobudkę zarazem dla obecności, szczegółowo niżej przedstawiam.

*Berlin w marcu 1930 r.*

*A. Brückner*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

# CZASY PRZEDDZIEJOWE

Położenie i przyroda kraju. — Wyniki badań archeologicznych. — Kultura łużycka. — Arjowie: rasa, ludy, język, kultura, kolebka. — Epoka litwo-słowiańska. — Słowianie: siedziby pierwotne, grupy językowe i szczepowe. — Wpływy obce. — Wędrówki germańskie. — Bibljografja.

## POŁOŻENIE I PRZYRODA KRAJU

Na pasie niżowym środkowej Europy, ciągnącym się od Atlantyku ku Uralowi, rozszerzającym się coraz bardziej ku wschodowi, zajęła rdzenna Polska, lekko falista dziedzina wielkich dolin, wyżłobionych przez wody roztopowe lodowców, osobliwsze miejsce. Na wschód i zachód brakło jej granic przyrodzonych, bo dwie wielkie jej rzeki, Odra i Wisła, łączyły, nie dzieliły, niże; z południa zaś oparła się o łańcuchy Sudetów i Karpat; na północy oddzieliły ją od morza nieprzebyte moczary i puszcze nadnoteckie i pojezierza pruskiego. Przecinały więc niż polski rzeki, których bieg dolny i ujścia zaległy plemiona zupełnie obce (pruskie), lub zawsze wrogie (pomorskie), co odcięły Polskę od morza, a to dotkliwie obniżyło i zubożyło dawną kulturę. Zabrakło jej bowiem wybrzeża, najdogodniejszej wymiany obcych wpływów i zasobów materjalnych; zabrakło morza dla zahartowania i ośmielenia ludu i indywiduów. Dążyła więc pierwotna Polska instynktownie do morza, ale złożyły się okoliczności tak, że celu swego na stałe nie dopięła, a gdy po wiekach wybrzeże prusko-pomorskie zajęła, zastała tam obcych, rozgospodarowanych tak silnie, że z swej nowej pozycji morskiej Polska korzyści już nie odniosła, o potędze morskiej nie myślała, ograniczona do swego niżu wyłącznie, tem bardziej, że nowe warunki dziejowe parły ją w całkiem innym kierunku, ku wschodowi, ku Rusi i Litwie, co również nie opanowały żadnego wybrzeża, tak że jej ściśle lądowego, kontynentalnego charakteru nic nie naruszyło.

Kontynentalnem jest więc wszystko w Polsce: klimat, flora, fauna, ludzie. Szerokie jej doliny dyluwialne posiadają ten sam chłodny i wilgotny klimat; wielkie prądy atmosferyczne od Atlantyku mają wszędzie wolny dostęp. Główny dział wodny europejski okrąża rdzenną Polskę, której wszystkie rzeki należą do zlewiska bałtyckiego; dawny poziom wód nie opadł do dziś znacznie, znaczniej zmniejszyła się w ciągu wieków, mianowicie w czasach najnowszych, ich rozległość i obfitość, bo powysychały same albo osuszane sztucznemi kanałami na wielkich obszarach. Rzeki płyną po dnach szerokich i równych, których ich łożysko wcale nie wypełnia; spadek ich bardzo wolny; brzegi Odry (i Bugu) nader błotniste. Kraj zapełniały niegdyś lasy, z wyjątkiem wydm piaszczystych, błot i moczarów, a szczególnie pasm lessowych, których las nie zarasta; las był mieszany, chyba na piaskach panowała sosna wyłącznie; niektóre pożyteczne drzewa, np. cis, modrzew, wytępił człowiek; dawny las, najlepszą zabierający glebę, był nierównie bujniejszy niż dzisiejszy. Łąk naturalnych nie było, oprócz po nizinach nadbrzeżnych, wystawionych na powodzie. Z fauny wytępił człowiek tura, żubra, bobra, po których liczne nazwy miejscowe do dziś pozostały.

## WYNIKI BADAŃ ARCHEOLOGICZNYCH

A ludy i ludzie? Odmieniali się, jak flora i fauna; jak drzewa jedne wypierały w ciągu tysiącoleci inne, podobnie przypływały i odpływały fale ludności, zawisłej od klimatu, który wcale nie był jednostajny, lecz perjodycznie znacznie się wahał. Mieniały się perjody posuchy i wilgoci, ciepła i chłodu, a z niemi człowiek opuszczał siedziby, nie chcąc albo nie umiejąc się przystosować do zmienionych warunków, więc pustoszała ziemia zupełnie, np. gdy lody z północy napierały; w przerwach «między-

lodowych» znowu ludzi przybywało; brali w posiadanie wydmy, lessy i porzecza; lasu nie karczowali, bo to przechodziło ich siły; korzystali i z licznych oaz-polan międzyleśnych, bo bór często się przerzedzał, a strefy mniejszych opadów atmosferycznych stanowiły o jego granicach, poza któremi człowiek pierwotny, z epoki kamiennej starszej i nowszej, osiadał, kopiąc się i w ziemi lub w jaskiniach nadrzecznych, np. w grotach w Ojcowie nad Prądnikiem; o życiu i bycie tych koczujących łowców zwierza i ryby świadczą resztki narzędzi krzemiennych, później gładzonych. Z wiekami przybywało ludności, osiedlającej się trwalej, ułaskawiającej pierwsze zwierzęta domowe, poznającej wreszcie używanie metali, najpierw obcego, drogiego bronzu, zastąpionego później nierównie tańszem, bo wszędzie dobywanem żelazem. Już w epoce bronzowej, tem bardziej w żelaznej, zaznajomił się człowiek dokładnie z uprawą ogrodowizn, dalej zboża: prosa, jęczmienia, owsa, z lepieniem naczyń glinianych, z budową domowstw drewnianych. Głównie od południa, z nad Dunaju i krajów alpejskich, przez bramę morawską, dalej i z zachodu, przez Odrę, a wkońcu z północy od Bałtyku, docierały na naszą ziemię czy nowe ludy, czy tylko nowe zdobycze materjalne (broń, ozdoby, naczynia). Ziemia je przechowała wiernie; z wykopalisk wyczytał archeolog następstwo kolejne wszelkich epok, lecz nie znalazł ani nie znajdzie chyba klucza do wyrozumienia tych tak wymownych, lecz mimoto zupełnie niemych świadectw, bo nie odpowiadających na najciekawsze pytanie, co za ludy pozostawiły te skarby? Nie będziemy więc wyliczać licznych grup, jakie archeologowie w tym rozwoju rozróżniają, boć nie wiemy, o kim właściwie mowa, co to za ludy?

## KULTURA ŁUŻYCKA

Wspomnimy tylko o najciekawszym okresie, o «kulturze łużyckiej», nazwanej tak, bo ziemia nad Odrą i Wartą była

głównem jej siedliskiem; tu może powstała, stąd szerzyła się na południe do Moraw i Czech, na wschód do Małej Polski, ba i dalej po Wołyń i Podole, ale coraz słabiej. Najdłużej i najpełniej wytrwała na południu od Noteci, której nazwisko nie słowiańskie, w przeciwieństwie do Odry i Warty i ich dopływów.

Nazwisko tej kultury ściśle geograficzne nie przesądza w niczem pytania o przynależności etnicznej; zowiemy ją też kulturą cmentarzysk popielnicowych typu łużyckiego, bo dla archeologa obok ceramiki jest rytuał pogrzebowy najpewniejszym przewodnikiem w rozróżnianiu epok. Ceramika daje najwdzięczniejszy materjał, najłatwiej na niej obserwować czasowe odmiany i wpływy czy wzory obce w zdobnictwie pasmowem, sznurowem i in., z podobieństwem twarzy czy domu; rytuał pogrzebowy, groby pierwotne szkieletowe i późniejsze ciałopalne, skrzynkowe, z obwarowaniem kamiennem czy bez niego, z licznemi przystawkami naczyń, broni, ozdóbek wszelakich, drugie po ceramice zabiera miejsce, a wiążą odmiany jego nawet z rozwojem idei religijnych. Ale wszystkie te grupy coraz nowej kultury, którą nieraz łączą z immigracją nowych ludów, chociaż rozwój i bez tego bywa możliwy, są bezimienne; wystarczają im bowiem nazwiska tylko wedle najobfitszych albo najdawniejszych znalezisk; o jedynej łużyckiej z prastarych kultur panuje u nas szczególnie inne mniemanie. Ta kultura występuje przy końcu «drugiej» epoki bronzu około r. 1500 przed Chr. i sięga niemal aż do czasów przedrzymskich; oznaczają ją groby z popielnicami-żalami (urny, co tak samo od *urere* 'palić' jak nasze żale od żaru nazwane); te popielnice kryły szczątki osobników, nie całych rodzin, a odznaczały się bogactwem przystawek, t. j. naczyń, narzędzi i innych darów dla zmarłego. Przystawki świadczą o wysokiej sztuce ceramicznej, wobec stosunkowego ubóstwa broni i wszelkiej metalurgji. Lud był osiadły, nie koczowniczy, budował chaty, uprawiał rolę.

Z północy, od wybrzeży bałtyckich, wkroczyła z czasem

na ten teren kultury popielnicowej inna, kultura grobów skrzynkowych, bez popielnic, uboga co do przystawek, wcale niekorzystnie świadczących o jej garncarstwie, natomiast nierównie bogatsza w broń. Ona czy wyparła zupełnie, czy tylko pokryła sobą kulturę popielnicową, a podobnych najść od północy bywało i więcej, cechuje je zaś pewien odmienny obrządek pogrzebowy, są groby jamowe albo groby bez palenia zwłok, szkieletowe. W tych przybyszach upatrują chętnie Germanów nordyjskich. Lecz sam lud «łużyckiej» kultury, jakiej był on narodowości? widocznie już aryjskiej? Że nie germańskiej, twierdzą dziś jednozgodnie archeologowie niemieccy, równie przekonani, że nie słowiańskiej, co uchodziło za pewnik u wielu archeologów czeskich i polskich. Wedle nich przetrwała ludność tubylcza nawałę północną, germańską; ceramika popielnicowa niby wskrzesła na nowo, i lud jej w nieprzerwanym odtąd ciągu łączy się z późniejszymi Wielkopolanami. Różnica jednak kultury łużyckiej, a najdawniejszej słowiańskiej, grodziskowej, jest taka zasadnicza, że łączyć ich niepodobna. Ależ dawny ów świat aryjski nie kończył się Germanami ani Słowianami, byli i Celtowie, Ilirzy, Trakowie i inni nam dotąd nieznani; może właśnie kultura łużycka była ilirską, bo zwali Germanie Słowian zawsze «Wendami», t. j. pierwotnie (ze względów językowych) «Wenetami», nazwiskiem u Słowian nigdy niesłychanem, zato dobrze znanem u szczepu ilirskiego (Wenetów). Gdyby przed naporem germańskim, nordyjskim, Ilirowie-Wenetowie cofnęli się na południe, zatrzymaliby ich nazwę Germanie i dla tych, co ich miejsce zajęli, t. j. dla Słowian. Bo z nazwami znacznych ludów bywa jak najrozmaiciej, jak najdziwaczniej. Oznaczają przecież Germanie «Wendów» (Słowian) i Finów nazwami, o których Słowianie i Finowie nigdy nie słyszeli; nazywają Czechów imieniem Bojów *(Boiohaemum)* celtyckich, co niegdyś w Czechach dzisiejszych siedzeli; nazywają wszystkich Romanów Volkami *(Walh, Wälsche;* nasze Włochy stąd),

wedle szczepu celtyckiego, na który się wiekami przed Chr. natknęli, a sama ich nazwa, Germanie, jest im najzupełniej obca, nigdy się tak żaden Niemiec nie nazywał! Jeśli Finowie Ruś Wenejä, t. j. Wendami zowią, toć zachowali pierwotną nomenklaturę niemiecką. Nazwa Wenetów-Wendów ma to osobliwsze, że się po całym świecie aryjskim (zob. niż.) powtarza, od Wandei francuskiej do Henetów w Małej Azji, chociaż z tego jeszcze bynajmniej nie wynika, żeby ci wszyscy Wenetowie niegdyś bliżej byli spokrewnieni, jakąś całość później dopiero przez wędrówki rozerwaną tworzyli; nazwa to obojętna, zdaje się znaczy 'przyjaciół', 'sprzymierzeńców'. A tak samo jak z nazwą *Wenetów* między Arjami, ma się z nazwą *Słowian, Serbów, Charwatów, Dudlebów* (por. *Duleba* i *Dulęba,* nazwy osobowe z ruskiego, od XV wieku), u naszych pobratymców, t. j. wszędzie, od Nowogrodu Wielkiego aż do ujść Dunajowych i gór Alpejskich, powtarzają się te nazwy jako szczepowe, a mimo to nic nie łączy np. Słowian nowogrodzkich z nad Ilmienia z Słowieńcami karpackimi (Słowakami) czy alpejskimi: są oni sobie wszyscy równie obcy, nazwa przypadkiem ich łączy, nazwa zresztą wcale nie osobliwsza, jeśli trafny mój domysł, że *Słowianie* pierwotnie 'powolnych, ociężałych' (por. naszą nazwę lnu powoli dojrzewającego, *słowień)* znaczyło (od pnia *sleu-* 'dusić'; *slu-ga).*

## ARJOWIE: RASA, LUDY, JĘZYKI, KULTURA, KOLEBKA

Obok archeologji i inne źródło posiadamy, wprawdzie młodsze, zato znacznie pewniejsze. Język poucza, że Polacy, o których historyczne wiadomości sięgają tylko IX wieku, to gałąź Słowian, którzy cały wschód Europy zajęli; dalej, że z nimi razem tworzą odłam szczepu Arjów europejskich, jak Germanowie czy Celtowie, Grecy czy Italowie. Było to istotnym tryum-

fem naukowym, gdy się powiodło Boppowi dowieść na podstawie badań nad budową mowy i jej słownikiem, które narody w Azji i Europie jako sobie pokrewne wyszły z jednej kolebki; dalej, jaki stopień kultury osiągnęły w owej pierwotnej spólnocie. Trudności były znaczne, bo niektóre z tych języków, np. ormiański a nawet germański, odchyliły się znaczniej od spólnego podłoża; nowsze odkrycia pomnożyły i w Azji i w Europie ten pierwotnie szczuplejszy krąg, przydzieliły mu różne szczepy wygasłe wedle ocalałych szczątków ich języków.

Ci Arjowie, zwani Indoeuropejczykami lub Indogermanami, przyszli panowie całego świata, nie tworzą bynajmniej rasy jednolitej, bo ulegli od najdawniejszych czasów wszelakiemu mieszaniu i krzyżowaniu z rasami tubylców, których ziemie zawojowali; bają np. o Germanach, że to obcy zupełnie, nie aryjski szczep, co się dopiero później zarjował. Dziś nigdzie w Europie niema mowy o jakiejkolwiek rasie pierwotnej; są tylko wtórne, a wszelkie zawiązki tych ras wtórnych leżą daleko poza obrębem historycznej świadomości. I tak wyróżnia antropologja u samych Słowian, nie mówiąc o dalszych Arjach, cztery rozmaite typy; na tę rozmaitość rozmiary czaszek, głębokość oczodołów, płaskość twarzy, szerokość nosa, uwłosienie i t. d. się składają; mówi się o typie nordyjskim, zanikającym w czasach historycznych; o typie alpejskim czyli środkowo-europejskim; o rasie wschodniej, prasłowiańskiej a zarazem fińskiej, nie bez oddziaływania irańskiego; o typie śródziemnomorskim, głównie stepowym. Te same typy odróżnia się śród Polaków, lecz łączyć z niemi bezpośrednio owe cztery główne skupienia szczepowe, o których niżej mówimy, jakoby te skupienia odpowiadały każde jednemu z owych typów, a choćby tylko przewadze każdego z tych typów, wydaje się nieuzasadnionem, bo te skupienia są nierównie młodsze niż krzyżowanie się owych typów. Zbliżenie to, jeśli rzeczywiste, będzie chyba przypadkowe.

Skąd przyszli Arjowie? gdzie ich kolebka? Odpowiedź

na to pytanie wypada w każdej nauce inaczej. Archeologowie uznają jednozgodnie niemal jako kolebkę aryjską, północną czy środkową Europę, Jutlandję, Szlezwik-Holsztyn, niektórzy Turyngję; tu utrzymała się najczyściej mniemana rasa aryjska, rosła, jasnowłosa, długogłowa, niebieskooka. Inne nauki szukają tej kolebki w Eurazji. W każdy sposób wznieśli się Arjowie już we spólnej kolebce ze stanu dzikiego do barbarzyńskiego, byli pasterzami i myśliwymi; uprawa roli była gałęzią ich gospodarstwa podrzędną; ustrój rodzinny był patrjarchalny, bez śladów jakiegoś matrjarchatu; pokrewieństwo liczyło się wyłącznie od ojca, nigdy od matki; aryjskie terminy pokrewieństwa nie znają wuja, teścia i t. p., zato świekra, dziewierze, zołówki; rody łączyły się już i w większe grupy pod przewództwem naczelnem obranych czy i dziedzicznych wodzów. Ubóstwiano siły przyrody, głównie słońce, ogień; wzniesiono się więc nad wszelkie pierwotne fazy religijne, nad animizm i manizm, nad fetyszyzm, totemizm i terioformizm, chociaż ślady tych wierzeń nieraz występują; żywym był nadzwyczaj kult przodków, manów-penatów, dziadów. Były już pierwsze różnice stanowe, ludzi wolnych i rabów niewolnych; już się wydzielał wódz naczelnik *(rex, radż, Reich* i t. d.) i piastował może władzę dziedziczną (?). Mężczyźni oddawali się łowiectwu, pasterstwu i walkom; kobiety uprawiały ogrodowizny (okres kopania), przędły, melły na żarnach, trąc ziarna zdobyte z pierwszych początków rolnictwa. Domy drewniane, nietylko budy z chróstu uplecione; były wozy dwukołowe i czółna-jednodrewki; do gospodarstwa należało bydło, nierogacizna i inne, a strzegł ich pies świeżo ułaskawiony. Na ubiór nie składały się już same skóry, zdobycz myśliwca i pasterza, lecz tkaniny i przędza kobieca. Kruszce szlachetne, złoto znano a używano miedzi; broń była już bardziej urozmaicona, nie kamienna tylko i z kości. Zdobiono twarz i ramiona wszelakiemi kółkami metalowemi i innemi; może i tatuowano się; solą i miodem zaprawiano potrawy. Język był bardzo ob-

fity, wyrobiony aż do podziwu; już objawiały się na daleko rozrzuconej przestrzeni znaczniejsze różnice narzeczowe (zachowali jedni *k, g, gh* niezmienione, gdy je inni, przodkowie Litwosłowian, Indów i Irańczyków, w *s, z, zh* odmieniali, np. *centum — sto, axis — oś, humus — ziemia, octo — ośm* i t. d. Trafne oznaczenie kolebki aryjskiej objaśniłoby zarazem, skąd Słowianie do Polski przybyli. Inaczej niż archeologowie, skłaniają się antropologowie, historycy i lingwiści ku Eurazji jako ku prarodzinie Arjów, t. j. ku wschodniej, stepowej Europie i przedniej Azji. Język aryjski nie miał żadnych spólnych nazw dla fauny i flory strefy gorącej, ma je dla zwierząt i drzew (brzozy, jasionu) strefy umiarkowanej; ma nazwę dla konia, zwierzęcia stepowego; dla morza (Czarnego?), dla okrętu (czółna) i wiosłowania. Jak tyle innych, szłaby więc i wędrówka aryjska ze wschodu na zachód. Ze wszystkich żyjących języków aryjskich słowiański, a jeszcze bardziej litewski najstarożytniejszy zachowały wygląd; litewszczyzna z r. 1929 nierównie bliższa prajęzykowi aryjskiemu, niż gocki język z r. 300. Wnioskowano stąd nieraz, że starożytności językowej odpowiada i terytorjalna, że więc siedziby litwosłowiańskie najbliższe prarodzinie. Nieznane nam ludy zajmowały w prawiekach ziemie nad Wisłą i Odrą; w czasach nowszych przybyli tam ze wschodu jacyś Arjowie, a za nimi wkońcu i Słowianie.

## EPOKA LITWO-SŁOWIAŃSKA

Wędrówki szczepów aryjskich rozbiegły się w najdalsze strony, oparły się w Azji aż o rzekę Indus i wyżyny Pamiru, zajmując małą Azję i docierając do środkowej; w Europie do Skandynawji, do wysp brytyjskich, Atlantyku i do morza śródziemnego, którego wybrzeża najdonioślejszego w dziejach kultury nabrały znaczenia, gdy się Grecy i Italowie z ich obcą a znacznie wyższą zapoznali kulturą; natomiast w warunkach

mniej korzystnych nie postępowała naprzód kultura pierwotna aryjska. Tak było na dziedzinie, jaką spólnie żyjąc Litwa i Słowianie przez wieki zajmowali. Zbogacili sobie wtedy znakomicie sam język, mianowicie słownik. Teraz miewali spólne już nietylko pierwiastki, lecz liczne całe słowa powtarzały się tu i tam, tak że nieraz trudno orzec, czy słowo litewskie lub pruskie spólnego z słowiańskiem początku, czy tylko później od Rusi lub Polski zapożyczone? Tak ponazywali razem części ciała, np. *rękę, dłoń, garść, palce, łokieć;* tak wciągnęli do nazw pokrewieństwa i kognatów, np. *wuja;* rozglądnęli się w przyrodzie otaczającej nierównie dokładniej, specjalniej, niż Arjowie. Więc ponazywali spólnie drzewa *(lipę, wiąz, wierzbę, iwę, jodłę, trzemchę, jabłoń, gruszę, zioła);* ponazywali: *kunę, wiewiórkę, kreta, krowę? cielę?;* z ptactwa: *wronę, zazulę-kukułkę, cietrzewia, wróbla, drozda, kosa, słąkę;* na polu u nich *rataj radłem orał,* siewał *reż* (żyto), *ber, owies,* sadził *rzepę;* wyrabiał naczynia, *cebry, spądy* i in.; trudnił się pszczelarstwem nierównie usilniej niż Arjowie. Szczegóły topograficzne wyrażał nazwami dla *debry, lasu, góry, sątoku* (ztoku); podobnie różnice temperatury, atmosfery, pór roku *(mgła, piorun, szron, zima, wiosna, wieczór);* nie brakło słów dla afektów *(miłość, druh* i in.); nawet w liczebnikach i zaimkach osobowych zdobywał się na niejedno własne, a obce innym Arjom. Najbardziej o jakim takim postępie kulturalnym świadczyło poznanie najważniejszych metali, żelaza mianowicie: teraz *kowal* i *kuźnia* nabrali znaczenia, stali się ośrodkiem osiedla; *kuźnia* zajęła miejsce późniejszej karczmy. Dotąd wyliczaliśmy same nazwy przedmiotów, których liczbę łatwo pomnożyć *(werw* 'powróz' i. t. p.); brak ich tylko w mitologji, która po obu stronach zawsze nowe, zrozumiałe nazwy przybierała.[1] Nie inaczej ma się i z przymiotni-

[1] Słowianie zapomnieli nawet o aryjskiej nazwie boga, litew. *dievas,* łac. *deus* i t. d.; jedyny ślad spólny utkwił w nazwie słow. *Welesa* (zob. niż.) i lit. *welnias* 'djabeł'; możnaby i *dągę* 'tęczę' z lit. *dangus*

kami, *juny* (młody), *duży* i in.; najwięcej zaś spólnych czasowników, i bez przesady można twierdzić, że rzadki bywa pień słowiański, coby nie miał odpowiednika litewskiego.

Bogatemu rozwojowi słownictwa mniej odpowiadał sam rozwój kultury, chociaż i tu nie obeszło się bez postępu (por. obok nazwy metali takie jak *czyść* 'liczyć' = litewskie *skaityti);* raźniejszemu postępowi nie sprzyjały widocznie warunki zewnętrzne: brak morza, niewdzięczna ziemia, fatalne sąsiedztwo niekulturalnych Finów, klimat surowy. Wkońcu, po r. 1000 przed Chr., rozpadła się i ta jednota; północny jej odłam, Litwa, rozpoczął odrębne życie; nierównie większy, południowy, wycofał się i od Litwy i od Finów i zażył na własną rękę, zbliżył się ku zachodowi, ku Germanom.

## SŁOWIANIE: SIEDZIBY PIERWOTNE, GRUPY JĘZYKOWE I SZCZEPOWE

Jak u Arjów, tak i u Słowian nie było zupełnej jednolitości językowej; rychło zaznaczały się wszelakie różnice, aż wkońcu wyraźniej trzy grupy językowe wystąpiły, jak i u Germanów: zachodnia, wschodnia i południowa (północna u Germanów na jej miejscu). Język polski, a więc i szczep sam, należą do grupy zachodniej, która i Czechów, Łużyczan i Słowian nad Odrą i Łabą (bo później, w VI wieku po Chr., i tam dotarli), objęła, specjalnie zaś do północnego odgałęzienia tej grupy wraz z Pomorzanami i Lucicami, sięgającymi aż po Holsztyn i w Brunświckie za Łabą.

Jakiż był ten język przed r. 500 po Chr., kiedy się jednota słowiańska ostatecznie rozprzęgła? On nie ocalał nigdzie w pierwotnym stanie; najbliższe mu, to narzecza macedońskie

'niebo' łączyć; główny bóg litewski, *Perkunas* 'piorun', nie ma u Słowian odpowiednika żadnego.

(z pod Solunia), w którem obaj Grecy soluńscy około r. 856 zaczęli spisywać przekład lekcji ewangielicznej z św. Jana; było to narzecze najlepiej zakonserwowane. Dzisiejsze narzecza odbiegły w różnej mierze od pierwotnego stanu; do lepiej zakonserwowanych należą czeskie, polskie (jedyne, co pierwotne nosówki *ǫ ę* zachowało), ruskie. Język ten był nierównie bogatszy niż wszystkie dzisiejsze w słowa rodzime; nigdzie one nie ocalały wszystkie; różne zjawiają się to w jednym, to w drugim; u nas ich stosunkowo najmniej, ależ dopiero od XIV wieku zubożał nasz język, zastąpił obcemi wlazami rodzime. Głosownia, formy, składnia były zupełnie ustalone, bardzo bogate; w późniejszym rozwoju okazał się ich nadmiar zbytecznym; my i Ruś poutracaliśmy najwięcej form czasownikowych (np. aorysty i imperfekty dla oznaczenia czasu przeszłego, liczbę podwójną i in.). Słabo rozwinięte były spójniki dla więzi zdań; te toczyły się głównie spółrzędnie, bez zdań pobocznych, oprócz względnych, z których się później poboczne rozwinęły. Szczegóły słownictwa, o ile kultury dotyczą, przedstawimy niżej.

Postęp wobec epoki litwosłowiańskiej był nadzwyczajny. W ciągu co najmniej tysiącolecia ustaliły się wszelkie cechy słowiańskie; Litwin zachował końcowe *s, wilkas,* Słowianie je odrzucili, *wilk;* Litwa zachowała dyftongi, Słowianie je zmonoftongizowali, *kiaune — kuna, snajgis* (pruskie) — *śnieg;* Litwa nie zna naszej palatalizacji *(piekę, pieczesz),* naszego *ch, sausas — suchy* i t. d.; najdalej odbiegła od typu słowiańskiego co do czasowników; wkońcu rozeszły się narzecza litewskie między sobą może bardziej, niż słowiańskie. W składni, słowniku rażących różnic mniej.

Na ziemi słowiańskiej dźwięki *tj, dj* różni różnie przekształcali, na zachodzie w *c, dz,* na wschodzie w *cz, ż* i t. d.[1]

[1] Stąd różnica między zachodnią *świecą, miedzą,* a wschodnią (ruską) *świeczą, mieżą,* między naszem odojcowskiem *-ic (starościc* i t. p.) a zabarwionem z ruska *-icz (panicz, królewicz* i t. p.).

Z czasem dopiero wyrobiły się znaczniejsze odmiany, najmniej w składni, najwięcej w wymowie (utracenie np. wolnego akcentu, różnicy długich i krótkich samogłosek, nosówek); ogólnie zaginęły «półsamogłoski», *wilk* np. było niegdyś dwuzgłoskowe słowo, końcowa półsamogłoska zagłuchła. Bezpośrednie porozumienie między Słowianami dziś jeszcze nie wyłączone, cóż dopiero przed tysiącem lat; w obrębie jednej grupy są różnice jeszcze mniejsze. Trzy grupy narzeczowe, zachodnia i t. d., odcinają się wyraźnie, niema między niemi żadnych przejściowych okazów, nawet mimo bliskości siedzib pierwotnych, np. między zachodnią (polską i czeską) a wschodnią (ruską) grupą, między południem (bałkańskiem i alpejskiem) a zachodem i wschodem. Natomiast są albo były takie przejściowe okazy w obrębie każdej grupy zosobna, tak dalece, że trudno nieraz pociągnąć ścisłą granicę, np. między Słowieńcami a Kroatami, między Serbami a Bułgarami; i polsko-czeska granica bywa miejscami wcale niewyraźna. Zawiodły zupełnie wszelkie próby łączenia Czech z południem, bo ani Słowaczyzna nie dzieli z niem niczego, ani nie sięgnęli pierwotni Czesi kiedykolwiek za Dunaj. Śród północno-zachodniej Słowiańszczyzny, sięgającej od Wisły i Bugu do Holsztynu, nie było nagłych, znacznych różnic, bo same jej siedziby tworzyły ciąg nieprzerwany, co się odbiło i na języku, nazywanym «lechickim», której nazwy jako historycznie niemożliwej unikać należy. Z czasem tworzą się pewne ośrodki narzeczowe, co znowu na okrainy działają i niby je przyciągają, przez co okazy przejściowe giną lub się zacierają.

Gdzież była kolebka Prasłowian? jaka ich spólna kultura własna? które pierwsze wpływy obce wycisnęły na niej ślady niestarte?

Siedziby Prasłowian określimy, potrącając od dzisiejszych wszystkie, które Słowianie później zajęli, po owym piątym wieku. A więc na południu, cały Bałkan wraz z Węgrami i kraje alpejskie, a na zachodzie i sudeckie, gdzie się Słowianie dopiero

po odejściu Germanów usadowili; na wschodzie, cały step czarnomorski i kraje nadwołżańskie, bo stepem władały ludy koczownicze, od irańskich Scytów aż do turskich Tatarów, a dorzecze Wołgi wypełniali Finowie, ginący tam dopiero w czasach historycznych. I na północ nie sięgali Prasłowianie wysoko; zalegali ją Finowie i Litwa, ale średni bieg Dniepru był cały, aż do źródeł Dnieprowych, w ich ręku; do Bałtyku przystępu pierwotnie nie mieli. Na zachodzie, przekraczali Wisłę, sięgając po Odrę i docierając do gór sudeckich.

Przeciw temu twierdzeniu memu oświadczają się niemal jednozgodnie wszyscy inni badacze, wychodząc z mylnego założenia, że prarodzina Słowian nie znała pierwotnie buku, bo niema u Słowian własnej nazwy tego drzewa (mają dla niego tylko pożyczoną niemiecką, *bōka, Buche),* więc musieli siedzieć pierwotnie na wschód od linji zasięgu buku, a ta linja sięga mniej więcej od Królewca do ujścia Dunaju, z środkowem wygięciem na wschód; zasiąg grabu nierównie dalej na wschód się wygina. Z drobnego, może całkiem przypadkowego szczegółu wysnuwać tak daleko sięgające wnioski nie uchodzi, tem bardziej, skoro Słowianie mają własne nazwy dla cisu (i bluszczu), a zasiąg cisu (i bluszczu) równa się mniej więcej zasiągowi buku; dalej mają Słowianie własną nazwę dla grabu, a oto widzimy, że inne ludy, np. sami Niemcy, obu drzew nie rozróżniają wcale! Niemcy nazywają jednem *Buche* i buk i grab. Prusowie siedzieli co najmniej tysiąc lat między samemi bukami, mimoto nazywali je z polska! Twierdzą również, że Słowianie nie mogli pierwotnie siedzieć na zachód od Wisły, dokąd Germanie sięgali, bo starożytni nie podali tam ani jednego nazwiska słowiańskiego. Ależ jest *Kalisz* u Ptolomeusza *(Kalissia,* nazwa prasłowiańska, to samo co *Kałusz* i *skałusz,* 'błoto', od *kału),* a może jest u niego i drugi Kalisz (przecież cała ta ziemia obfituje aż nadto w błota — Napoleon nazwał je dlatego piątym żywiołem w Polsce) w *Askaukalis,* złożonem może z sło-

wiańskiem *Osko* (nazwa osiny, germańskie *aska?*), por. czeską Oskawę a nasz *Oskobok,* dawniej *Oskoblok* i *Woskoblok, Oskę* i *Oszczkę,*[1] co wszystko nie germańskie, jak o czeskiej Oskawie (mylnie) twierdzą. Jeżeli bowiem ograniczymy pierwotne siedziby Słowian samym krajem między Bugiem a Dnieprem (wypełnionym po znacznej części olbrzymiemi błotami Polesia, gdzie ludzi nie było!), to skądżeż wzięły się te tłumy niezliczone, co w ciągu VI wieku zalały cały wschód i środek Europy, od Łaby i Bałtyku aż do Bałkanu? Chyba już Prasłowianie zajmowali całą Polskę, jej imiennictwo topograficzne jest też wyłącznie słowiańskie, bez jakiejkolwiek obcej przymieszki, fińskiej czy innej — żadnej dotąd przynajmniej naukowo nie udowodniono; jeżeli jaka się jeszcze znajdzie, będzie może ilirska od pierwotnych «Wenetów»?

## WPŁYWY OBCE

Siedziby Prasłowian sięgały więc nie od Bugu, ale od Odry do Dniepru, którego bieg średni przekraczały; opierały się o Karpaty i Sudety; nie docierały do Bałtyku, oddzielane od niego przez wąski pas pruski. Na tej prarodzinie ulegli Prasłowianie w pierwszych wiekach po Chr. wpływom i podbojom energicznych Germanów wschodnich: Gotów, co wyszli z Szwecji i Gotlandu na Prusy, a wielkie państwo nad Czarnem morzem w IV wieku założyli; Burgundów i Wandalów, jeśli nasz domysł, że kraj po obu brzegach Wisły był słowiański, trafny, bo Burgundowie z wyspy bałtyckiej Bornholmu, a Wandalowie z Danji (północny Jütland nazywał się Wendila) wyszedłszy, lewe Powiśle zajmowali od Bałtyku aż do Śląska (tu siedzieli Wandalowie - Silingowie). Sąsiedztwo

[1] Kozierowski, *Badania topograficzne* V, 109 i VII, 368 z r. 1426.

i przewaga germańska zaznaczyły się pożyczkami rzeczowemi i słownemi; germanizmy dostały się do języka prasłowiańskiego między II a IV-tym wiekiem po Chr., przez kupców głównie, którzy oba języki znali. Najważniejszy epizod w pierwotnych dziejach Słowiańszczyzny, to wiekowe stykanie się z Germanami wschodnimi, a skutek i ślady jego przetrwały kilkanaście wieków do dziś; pierwsze to owe germanizmy w mowie Słowian, za któremi poszły po wiekach inne, jeszcze liczniejsze. Niewiele tych pierwotnych, około czterdzieści, ale każdy z nich, to niemal napis osobnego rozdziału w dziejach kultury.

I tak dawały się Słowianom we znaki *hansy* 'drużyny' germańskie, które ich nachodziły i grabiły, więc przejęli tę nazwę jako *chąsa* 'rozbój' (ocalało jedynie w dawnej polszczyźnie: *chąsa* 'kradzież', *chąśba* 'rozbój'); ale hansy wysyłał germański *kuning* 'król', więc i tę nazwę przejęli *(kněg*, z czego u nas *książ*, z *książ książę),* jak i nazwy nowej broni, *miecza* długiego i *szłomu* (hełmu) żelaznego. Hansy wymuszały na nich dostatki *(skatt, Schatz* dziś), ale że dostatkami Słowian bywały głównie trzody, więc ci sobie to *skot* na bydło przenieśli; nasłuchali się też dosyć o *pieniądzach (Pfening);* płacili Gotom i *lichwę (leihen),* a własne *wienić, wiano,* wymieniali na gockie *kup, kupić (kaufen).*

Z podobnych pożyczek nie wynika jednak bynajmniej, żeby Słowianie wcale nie znali samych rzeczy; i oni mieli swoje własne nazwy dla rozboju, książąt, bydła, kupna; przejmowali jednak germańskie dla oznaczenia jakichś nowych ich właściwości. Np. wyrabiali od niepamiętnych czasów placki, t. j. kruszyli ziarna zbożowe najpierw kamieniem i młotem, potem w żarnach; zwilżali pokruszone i piekli je w żarzącym popiele (podpłomyki) lub między rozpalonemi kamieniami; nie wiemy, jak placki nazywali, bo *kołacz* i *korowaj,* to są nazwy specjalne obrzędowego pieczywa. Ale od Gotów przejęli ich

nowy *chleb* z jego nazwą (goc. *hlaifs*, niem. *Laib*). Tak samo mieli swoich balijów-znachorów, co zamawiali choroby i rany, szepcąc odwieczne formułki i przykładając zioła, lecz od Gotów przejęli nazwę *leków* i *lekarzy* (*lekeis*, 'lekarz', co Germanie sami od Celtów mają, to jak i inne ważne słowa kulturalne). Stół pierwotny był deską na ziemi; te zwali Goci *disks* (dziś *Tisch*), z łac. *discus*; Słowianie zatrzymali pierwotne znaczenie *deski*, nazywając stół własnem słowem. Obok własnych garnków przejęli nazwy *bluda* i *misy*, z gock. *biuds* 'stół' (nazwy stołu i misy mieszają się coraz) i *mes* (a to z łac. *mensa* 'stół'). Nawet u pojęć oderwanych znajdą się pożyczki, np. *leść* 'chytrość' z goc. *lists*; *duma*, *dumać* (u innych Słowian i 'mówić') z gock. *dōms* 'sąd, mniemanie'; może i *chędogi* (u nas 'czysty', u innych Słowian 'sztuczny, mądry'), z goc. *handugs* 'mądry'. Przeważają jednak nazwy rzeczowe; niema pożyczek śród nazw pokrewieństwa, członków ciała, zwierząt domowych i dzikich, roślin uprawnych i dziko rosnących, części domu, czego wszystkiego nie brak u Litwinów i Finów, pożyczających od Germanów czy od Słowian. Znaczenie jak i rodzaj gramatyczny nieraz odbiega, np. *szkło*, z dawnego *śćkło*, *stekło*, z goc. *stikls* 'puhar szklany' (Słowianie przenieśli nazwę z wyrobu na materjał, nie od szklannych paciorków, co bardzo były w obiegu, lecz od drogich naczyń). Nie zmienione są *mosiądz* (słowiańskie *o* starsze niż *e* w *Messing*); *kocieł* z *katils*, *Kessel* (Słowianie gotowali w garnkach w piecach, Germanowie zawieszali kotły nad wolnem ogniskiem, ależ i oni nazwę z łac. *catillus* wzięli: więc wskazówka, jak należy być ostrożnym w wywodach i wnioskach; Słowianie nie z łac. sami pożyczyli); *ocet* z *akeits*, *Essig*, nie z *acetum*; *osieł* z *asils*, *Esel*, nie z *asellus*. I nazwa kólczyków, dziś u nas zapomniana, ros. *sierga* skrócone z cerkiewnego *useręg*, t. j. gockie *auhsariggs*, *Ohrring*. Goci zapoznali Słowian ze *lwem* (ich domyślne *liws*, *Löwe*); z *wielb(l)ądem*, z *ulbandus*, *Olbente*

(słoń, z odmienionem znaczeniem); z figami (cerk. *smoky* z goc. *smakks)*. Do wyżej wymienionych terminów wojennych należy i *trąba* z germ. *trumba* (pierwotnie 'bęben', nie 'trąba'). O *buku* była już mowa, ô *bukwach* 'literach' zob. niż. Rzecz o *winie* nieco niepewna, czy z gock. *weins* czy z łac. *vinum*, zgadzającego się w rodzaju nijakim (na to mogło *piwo* wpłynąć).

Dwie ważne pożyczki są «geograficzne»; nazwa *Dunaju*, u Słowian i na ludzi przenoszona, stąd *Dunajów*, por. *Dunajec;*[1] *Włochów*, co poszło z *Walh, Wälsche*. Dalej *cesarz* z *Kaiser; cętka*, pierwotnie 'pieniążek' z *kintus* 'pieniążek'; *oł* 'piwo' z *ale* (angielskie); *(Malz) młóto; wertograd* 'ogród' z gock. *aurtigards*, to samo; *winograd* z *veinagards* 'winnica'; nakoniec pożyczka odnosząca się do stroju, *pągwa* (nasza *pągwica* 'guzik') z *pungs*, to samo. Niektóre z tych pożyczek dostały się do Prus i Litwy, wprost od Gotów, t. j. bez pośrednictwa słowiańskiego, na dowód bezpośrednich między nimi stosunków; lecz ich bardzo mało. Słowianie przybrali od Gotów nawet przyrostek łaciński oznaczający zatrudnienie, nasze *-arz (lekarz* i t. p.), z łac. *-arius* przez gockie *-areis*. Rzecz o pożyczkach utrudnia okoliczność, że litwosłowiańskie i germańskie miewają i spólne słowa nie zapożyczone; np. *srebro (Silber*, dotąd niewyśledzonego początku); *tysiąc (Tausend);*

[1] Dunaj, jedna z niewielu rzek o dwu nazwach, Ister w dolnym biegu, u Słowian podwójnie się zowie: *Dunaw* u południowych, *Dunaj* u północnych, różnica dotąd nie wyjaśniona należycie; forma Dunaj w każdy sposób młodsza, bo i nasz Dunajec w XIII wieku jeszcze Dunawcem się pisał; nie wytłumaczy różnicy ani przechód podobny *domoj* z *domow* 'do domu', ani mniemana różnica w odmianie niemieckiej, 1. przypadek *Donawi*, 3. *Donaujai*. Germanie przejęli to swoje *Donawi* około IV wieku przed Chr. od Celtów i nie przesunęli, jako w nazwie obcej, *d* nagłosowego w *t* (ani późniejsi Niemcy go nie przesuwali, *Tounouwa* jest rzadkością wobec formy z *D-*, dziś jedynej). W naszej poezji ludowej, szczególniej zaś w ruskiej i litewskiej, wyolbrzymiającej wszelkie szczegóły, zszedł nieznany ludowi Dunaj na ogólną nazwę ruczaju, strugi.

*drug* (gockie *driugan* 'walczyć'); *bór* (islandzkie *borr* 'las'); *ludzie (Leute); luby (lieb); łgać (Lug).* Czy słowo spólne, czy pożyczone? np. *dług* (rus. *dołg)* a goc. *dulgs,* co pewną pożyczką *lichwy* możnaby uzasadnić; *słup* (rus. *stołp)* a nord. *stolpi; pułk* (rus. *połk)* a *Volk,* pierwotnie 'pułk' (druga więc obok *chąsy* dla napastników germańskich nazwa)? Wszystkie powyższe słowa, od *ludzie* począwszy, uważa się za pożyczki germańskie, szczególnie *pułk,* chociaż się stale pojawia w imionach *Świętopełk, Jaropełk, Przedpełk,* co może samo przeciw pożyczce świadczyć; *chąsy* w imionach niema.

Czy nie znajdą się wobec tylu, tak ważnych pożyczek od Gotów, pożyczki słowiańskie u Gotów samych? Jedna zdaje się pewną: gockie *plinsjan,* 'tańczyć' z naszego *pląsać,* bo Gota, nawykłego do tańca mieczowego męskiego, uderzyły pląsy-koła dziewcząt słowiańskich, klaszczących w dłonie do taktu *(pląsać* znaczy pierwotnie *klaskać).* Dalsze pożyczki mniej pewne, np. gockie *plat* 'łata' z naszego *płatu* 'płatka'.

Inne pytanie, ważne i dla wędrówek słowiańskich: dlaczegóżto opuszczali Gotowie, Burgundowie, Wandalowie swoje północne siedziby? Odgadywamy najróżnorodniejsze przyczyny: to klimat pogorszony wędrówkę wywołał, to lata głodu czy pomoru (na bydło) obrzydziły niechętnym siedziby: głównie może przeludnienie, co rychło nastawało wobec pierwotnej, bardzo ekstensywnej gospodarki, a skąpo odmierzonych miejsc uprawnych; zamiast w pocie czoła karczować lasy, nachodzono obce niwy; popłacała dalej przedsiębiorczość i ruchliwość ludu, który najpierw wysyłał część młodzieży niby *ver sacrum,* a odebrawszy od niej pomyślne wiadomości, wybierał się sam w drogę, nęcony później bogactwami Zachodu i Rzymu.

Czy jednak wszyscy Germanie opuścili kraje, od Wisły i Odry aż do Łaby, dalej Czechy i Morawy z Słowacczyzną? Wiemy przecież, że np. Goci bynajmniej nie wyruszyli wszyscy, że istnieli (nieliczni) Goci na Krymie jeszcze w XVII wieku.

Ale pytaniu temu, wcale uprawnionemu, mylną nadawano doniosłość. Wobec prędkiego zniemczenia zachodnich Słowian wpadli niektórzy niemieccy badacze na myśl, że ten nowy najazd niemiecki za Karolingów, za saskich i frankońskich cesarzy napotkał między tymi Słowianami resztki pierwotnych Niemców i ci to przyczynili się walnie do tego rychłego zniemczenia. Lecz żaden z licznych spółczesnych pisarzy niemieckich o niczem podobnem ani nie wspomniał; drużyny niemieckie IX do XII wieku nie spotykały nigdy i nigdzie ziomków, którzyby im podbój ułatwiali. Natomiast jest niemal pewne, że pozostawały przy wywędrowaniu szczepu drobne odłamy jego, niebawem pochłonięte przez Słowian i zupełnie zasymilowane, których tylko jedna i druga nazwa miejscowa przypomina. Oto na Śląsku gród *Niemcza*, słynny bohaterską przeciw Niemcom obroną w r. 1012; już Thietmar zaznaczył, że go Niemcy założyli, a takich nazw jest więcej, *Niemitz* w Marchji (z *c*, bo tam «mazurzyli» Słowianie, gdy na południowym Śląsku nie «mazurzą», więc *cz*). Wandalowie i Silingowie opuścili Śląsk dopiero około r. 400, chociaż wykopaliska świadczą, że już po r. 300 ludności znacznie ubywało (więc wcześniej wywędrowali?), ale po owych Silingach (nie wchodzę w ciekawe dzieje tej nazwy) pozostały nazwy Ślężej góry i rzeczki (zob. niż.), więc chyba szczątki ich nazwę własną Słowianom przekazały, tak samo jak resztki innych Germanów przekazały nazwę Meklenburg lub Brandenburg (żadnego Braniborzu nigdy na świecie nie było), Hawolę i inne nazwy miejscowe, głównie rzeczne. W Czechach i Morawach stało się to aktualnem pytaniem, od kiedy Bretholz tamtejszych Niemców, bynajmniej nie wszystkich z późniejszej kolonizacji XIII wieku, lecz i z resztek Markomanów i Kwadów wywiódł, co mu nazwy jak *Weltawa* z niem. *Wildaha* (?), *Swratka* z *Schwarzaha* (?) i in. dowodziły. W każdy sposób musieli się Słowianie bezpośrednio z Niemcami stykać, aby mogli te nazwy przejmować, i zgóry upada dawny prze-

sąd, jakoby po wywędrowaniu Germanów z nad Wisły i Odry te kraje pustką wiekową zaległy i dopiero po wiekach Słowianie tam wkroczyli. Ależ Słowianie, widocznie unikając własnego przeludnienia, gdy tylko odpór Germanów osłabł, natychmiast z tego skorzystali i ku Elbie i Sali poparli jak i za Sudety.

Dla wygody i uproszczenia mówiliśmy wyłącznie o pożyczkach «gockich», ponieważ z języka Burgundów i Wandalów nic nie ocalało, ależ niejednego z tych słów wcale niema w zabytkach gockich, jakie posiadamy, np. *kuning* (jest w nordyjskiem, w odmiennej postaci). Dziwnym nieco trafem żadna nazwa potężnych szczepów, Gotów i t. d., nie ocalała w ustach słowiańskich, chociaż nieraz Gdańsk, Gudów litewskich z nimi łączą; myśmy jedyni zdobyli się na Silingów, szczep stosunkowo drobny, a to dla góry Ślężej, dominującej nad całą okolicą. Posiadamy bowiem dla wszystkich Germanów bez wyjątku spólną nazwę, *Niemcy*, od niemego, t. j. tego, z którym niesposób się rozmówić (sam przymiotnik od momotu, niby *Miemiec*, przezwany); nie rozróżniamy ich bliżej.

Zabrnęliśmy do chaosu wędrówek ludów, przypadających głównie na III, IV i V wiek i kończących się zagładą państwa rzymskiego. Do tych wędrówek przyłączyli się w V wieku i Słowianie, nie pod naporem koczujących ludów wschodnich, Hunów np., lecz sami posuwali się za Odrę na zachód, okrążając Karpaty na południe, gdy Niemcy opróżnili te kraje; może przeludnienie pchało i Słowian na te wędrówki; oporu zdaje się nie znaleźli żadnego. Tak zakończyła się idyla prasłowiańska.

Mimowoli pytamy, jakiego rodzaju było to spółżycie Słowian i Germanów w ciągu tej idyli, jak się żywioł obcy śród rodzimego układał? Całkiem inaczej, niż np. między Germanami a Rzymianami (prowincji), gdzie przyszło do przeniknięcia się obu żywiołów i wkońcu do wytworzenia nowych zupełnie zespołów. Ale pewnie też inaczej, niż między Słowianami a Awarami (poprzednio Hunami, później Bułgarami), bo ci

koczownicy byli tylko najeźdźcami i spłynęli bez śladu (z małym u Bułgarów wyjątkiem) z powierzchni słowiańskiej. Rozstrzygała pewna wyższość kultury, bo na Germanów już oddziałał Rzym z swą starą cywilizacją i nową organizacją państwową, które do Słowian jeszcze wcale nie dotarły; przecież cały szereg pożyczek germańskich w językach słowiańskich był rzymskiego początku, a po wiekach okazali się znowu Niemcy państwa frankońskiego i salickiego pośrednikami kultury starożytnej, która nigdy, ani śród wędrówek narodów, doszczętnie nie zanikła. Otóż obfitość i znaczenie owych pożyczek dowodzi, że osiągnięto pewien stopień spółżycia, że przenikano się formalnie nawzajem, że nie dzieliły się przestrzenie, zajęte przez Germanów, jak najszczelniej od słowiańskich; ale Germanów parło niepowstrzymanie dalej na nęcące klimatem i skarbami południe, więc to spółżycie nie nabrało większej ścisłości.

Odsłaniał się w niej dotąd jeden obcy, ale przepotężny czynnik, germański (wschodnio-germański) — czyż nie było i innych obcych? Żaden nie może się z germańskim zrównać, ale są i inne ślady obce. Najmniej pewne są fińskie, już dlatego, że Litwa przedzielała Słowian od Finów, ale *chmiel* (z czego łac. *humulus)* wcale nie jest fińskiego pochodzenia; inne szczegóły: ubiory (czapek), wzory tkackie, sposób plecenia, są zbyt drobne i późne, żeby coś o nie opierać; w języku nie pozostały żadne dalsze ślady. Nieco inaczej ma się rzecz z wpływami irańskiemi, ależ je grubo przesadzano, twierdząc, jakoby szereg wyrazów kulturalnych największej wagi Słowianie od Irańczyków przejęli, a ponieważ o jakiej bezpośredniej łączności wobec olbrzymiego oddalenia przez morza i lądy mowy być nie może, więc pierwotnych stepowców europejskich, ziranizowanych czy irańskich Scytów, Sarmatów, Alanów, udają za pośredników. Od nich mieli Słowianie przejąć nazwę *boga, świętego, słowa* i kilka innych. Wiemy coś niecoś o mitologji scytyjskiej, tylkoż niema tam śladu *boga;* słowo to aryjskie, spólne Słowianom,

Indom i Irańczykom, nie pożyczone. *Święty* zgadza się z irańskiem *spenta-* (ze *sventa-*), ale znaczyło pierwotnie 'jary' i gdyby nie litewskie *sz-* zamiast oczekiwanego *s-* (*szwentas*), zestawilibyśmy je niechybnie z gockiem *svinths* 'jary'. *Słowo* wreszcie znaczy u innych Arjów 'sławę' (greckie *kleos* i t. d.), tylko w irańskiem toż co u nas. Oto i wszystko, ależ to są zgody pierwotne, nie pożyczki. Pewnego wpływu Scytów zaprzeczać nie myślimy; może nasze obfite słownictwo dla namiotów (zob. niż.) stoi z tem w związku; orjentalne są pożyczki *klobuku* 'wysokiego kapelusza, kołpaka' z praturecklego *kalbuk; chorągwi* z mongolskiego *orongo, horongo;* toporu wreszcie z perskiego *tabar,* przeniesionego przez Turków. *Konopie* (znane dobrze i Scytom, przyprawiającym z ziarn kąpiele odurzające) i *reż* 'żyto' przyszły od Traków, którzy może i grecką nazwę *korabia* przeszczepili. Co do mniemanych wpływów «irańskich» warto zaznaczyć, że sama materjalna kultura południowa (scytyjska) niezbyt daleko do północy dotarła.

Gdy tak od wschodu jakie takie światełko się błyszczy, od zachodu, od Celtów, najmniejszego niema. A przecież dziś jeszcze niektórzy antropologowie (szczególniej francuscy), prawią o jakiejś celtosłowiańskiej rasie, krótkogłowych brunetów, energicznych, przeciwstawiając ją rasie nordyjskiej, germańskiej, długogłowych blondynów. Wykopaliska dowiodły, że założenie tej celtosłowiańskiej teorji mylne, bo czem groby słowiańskie starsze, tem większy wykazały procent długo- i średniogłowych, a między językami celtyckiemi a słowiańskiemi niema najmniejszej łączności, chyba że niektóre słowa celtyckie przez Germanów nas i Prusów-Litwinów doszły, np. *lek;* pruskie *rikis* 'pan', stąd litewska, u nas w XVI wieku na Litwie dobrze znana *rykunia* 'włodarka'. Jedyne słowo celtyckie, to *braha* ruska, *braga,* z celt. *brag* 'słód'; pomawiano o to i inne, nawet *sługę,* najmylniej; *jabłko* jest całej północy aryjskiej spólne. Niema więc celu w naszych nazwach miejscowych czy osobo-

wych doszukiwać się celtyckich odpowiedników, np. «*Małgów* — czy to celt. *Malgo* król brytyjski r. 547 *(Mailcum, Maelgun)*, jak mieliśmy Peano: Pyanowice, Tristan i Trestram, Imram, Pątryk, Patrzyków i t. d.?» Ależ *Małgów* połączymy z *małżem* 'mięczakiem'; *Imram* i *Imbram* to znany nam regensburski *Immeram; Tristan* ogólne średniowieczne imię, *Patryk* tosamo i *Pijan* = *Paeanus;* więc i przy *Brzurze* dawnej, nowszej *Bzurze,* nie porównamy gall. rzeki *Lesura,* dziś *Lisère,* z dawnego *Plesura.* Że się niektóre nazwy rzek z celtyckiemi dziwnie schodzą, nie przeczymy, ale jak to tłumaczyć? Schodzą się i z ilirskiemi, np. *Noteć,* dawna *Noteś* z ilirską *Nathisso, Mroga* z *Margus* i in.; czyż to pozostałości po owych Wenetach, jakim kulturę łużycką przypisują? Spodnie (których świat klasyczny i germański nie znał) przyjęli Słowianie nie od Celtów, lecz raczej od Scytów; w obrzędach i wierzeniach np. pogrzebowych daremnie dopatrywano się celtyckich. Germański więc żywioł nieskończenie silniej, niż każdy inny, zaznaczył się u Słowian.

W ciągu V wieku spłynęły nakoniec fale germańskie i w ślad za niemi pojawili się na widowni Słowianie, ale nie wcześniej, a więc nie w IV wieku w Meklenburgu, ani w II w. nad Dunajem, o co ich, na podstawie fałszywych etymologij, nieraz pomawiają. Hunowie nie wyparli Słowian z ich siedzib pierwotnych, ale porwali z sobą południową ich połać i obok Germanów (Gepidów i in.), zajęli i Słowianie między nimi niepoślednie miejsce, 'strawę' naszą (zob. niż.) odprawiano przecież przy stosie Atyli. Rozeszli się więc Słowianie, ale nie pod tem nazwiskiem jako ogólnem; było ono tylko kilku szczepom właściwe, a dopiero później, przez obcych, Greków i in. na wszelkie pokrewne szczepy (poczucia narodowego wcale jeszcze nie było) przeniesione. Z jakimże spólnym zasobem kulturalnym wybierał się każdy szczep na osobliwe drogi rozwojowe? Na to pytanie niema odpowiedzi wprost, dla braku źródeł: jedyna krótka wzmianka u Tacyta o życiu-bycie «Wenedów» luki tej

nie zapełni. Wypada znowu odwoływać się do języka i analogji, ależ w pogańskiej Polsce VI—X wieku kultura chyba niezbyt się oddaliła od prasłowiańskiej, tem bardziej, że się owi Polacy z siedzib pierwotnych nie wychylali ani jakimś obcym wpływom przemożnym nie podlegali, więc kreśląc kulturę pogańskiej Polski powtarzalibyśmy chyba rysy prasłowiańskiej. Zamiast takiego powtarzania przystąpimy niżej do obrazu kultury prapolskiej pogańskiej.

Tak dotarliśmy nakoniec do właściwych dziejów polskich, skreśliwszy tylko w najogólniejszych zarysach to, co je wyprzedziło. Chodziłoby głównie o uzgodnienie badań archeologicznych z wiadomościami historycznemi. Zapatrzeni zbyt wyłącznie w kulturę śródziemnomorską, nie docenialiśmy dla Europy środkowej wpływów kultury nordyjskiej; polegając na wiadomościach historycznych, które tylko o wędrówkach Bastarnów, Celtów, Cymbrów i Teutonów i t. d. prawią, nie przypuszczaliśmy wędrówek nordyjskich, o wiele starszych i liczniejszych, podejmowanych z tych samych przyczyn, co i owe historyczne, późniejsze. Niema jednak zgody na dosyć powszechne twierdzenia archeologów, jakoby Gotowie po rozbiciu ich potęgi przez Hunów rozpierzchli się na wsze strony i odłam ich zawitał i w Beskidy czy Tatry; że od tych to Gotów nasi górale zatrzymali niejeden szczegół życiowy, np. w stroju używanie charakterystycznych dla nich spinek metalowych u koszuli, dziś wychodzących zupełnie z użycia. «Naciskani przez Hunów mogli się chronić Gotowie w łatwiej dostępnych od południa dolinach karpackich. Niewielki pewnie ich zastęp... mógł się przesunąć w Beskidy i na dolinę nowotarską, stanowiąc ważny trzon ludnościowy, który pochłonęli później naciskający od północy i od południa Słowianie». «Nazwy geograficzne potwierdzają stanowczo, że bezpośrednio przed przybyciem Słowian zachodnie Karpaty były zajęte przeważnie przez szczepy germańskie. Do takich starych nazw germańskich, które tu Słowianie zastali,

należą zapewno *Beskid, Wag* i *Dunajec, Orawa;* może jeszcze starsze są nazwy *Tatr* i *Popradu,* a wreszcie i *Karpat.* Germanie sami je tutaj już zastali».

Nazwy te niczego nie dowodzą; nazwa Dunajca np. powtarzała się w gubernji Rjazańskiej, dokąd żaden Germanin nigdy nie dotarł;[1] Beskidy — Bieszczad, formacja zbiorowa, nazwane może od trackich Bessów, których odnogę Ptolomeusz tu właśnie umieścił; nazwa Karpat i Germanom i Słowianom równie obca, nie powtarza się, jak stale bają, w nazwie Chorwatów. Nie zamarzyło się Germanom-Gotom osiedlać się w nieprzystępnych dla nogi ludzkiej borach i skałach; omijali je starannie, okrążając je od bramy morawskiej i od Siedmiogrodu. Archeologowie rosyjscy zaprotestowali też natychmiast przeciw owym wywodom, przypisując pochodzenie typów spinek góralskich «pianoborskiej» kulturze (wschodnio-fińskiej) z nad Wołgi i Kamy, bo fibuły gockie różnią się od góralskich zasadniczo, nie mając ruchomego trzpienia; mogły im dostarczyć chyba luźnych dekoratywnych znamion — naturalnie drogą importu, którym się i wandalskie relikty szerzyły: mylnie rozszerzają archeologowie zasięgi władzy (zamiast kultury) wandalskiej aż po Dniestr.

## BIBLJOGRAFJA

Skoro treść tego rozdziału wstępnego szczegółów nie objęła, więc i co do bibljografji zadowolę się wymienieniem dzieł najważniejszych, ogólniejszych. I tak nie ukończone dotąd wydawnictwo trzytomowe p. t.: *Polska, jej dzieje i kultura od czasów najdawniejszych aż do chwili obecnej,* praca zbiorowa kilkunastu fachowców, której pierwsze rozdziały konfiguracji kraju i czasom przeddziejowym poświęcone. Rozdział o ar-

[1] *Izwiestija petersburskie,* 1929, II, 1, 169.

cheologji pióra prof. Włodzimierza Antoniewicza w pierwotnym, nierównie obszerniejszym zakresie wydano osobno p. t.: *Archeologja Polski. Zarys czasów przedhistorycznych i wczesnodziejowych ziem polskich,* Warszawa (b. r., 1928); czytamy tam o przynależności etnicznej kultury łużyckiej: «Nie czas jeszcze dać stanowczą odpowiedź na pytanie, któremu z znanych w dobie historycznej ludów przypisać utworzenie kultury łużyckiej, wyraźnie złożonej z paru elementów kulturowych... teza o słowiańskości tej grupy kulturowej nie zdobyła, dla braku bezspornych uzasadnień, powszechnego uznania» (str. 87). U nas broni tej tezy szczególnie J. Kostrzewski (*Wielkopolska w czasach przedhistorycznych,* Poznań, wydanie drugie 1924); u Czechów bronili jej wszyscy starsi archeologowie, Picz i inni. Ale już L. Niederle w ciągu wydawania pomnikowego dzieła (zob. niżej) zachwiał się znacznie w tej tezie, a archeolog młodszy, J. Schránil, w dziele przetłumaczonem na niemieckie (*Die Vorgeschichte Böhmens und Mährens,* Berlin 1928, w wydawnictwie zbiorowem p. t.: *Grundriss der slavischen Philologie und Kulturgeschichte)* już ani słówkiem o tej tezie nie wspomniał, jakby jej nigdy nie było!

Tezę o przebywaniu Gotów na ziemi polskiej wyłożył obszerniej prof. Wł. Antoniewicz w studjum p. t.: *Metalowe spinki góralskie,* Kraków 1928, str. 79 i 80; króciej napomykał o niej w *Archeologji* (np. str. 190: «być może, iż część Gotów przedostała się z Dacji przez zachodnie przełęcze karpackie do Polski i pozostawiła tu ślady swego chwilowego pobytu w postaci kilku grobów», tak samo na str. 191 mowa o możliwym «efemerycznym ponownym, ale dokonanym od południa wpadzie Gotów do Małopolski» i in.).

Niema u Słowian pożyczek germańskich, starszych niż wieki III—IV po Chr., pochodzących niby już z czasów, gdy Gotowie jeszcze w Prusach przebywali, zanim nad morzem Czarnem wielkie państwo stworzyli, jak to próbował wykazać na podstawie mylnych kombinacyj Adolf Stender-Petersen, *Slavisch-germanische Lehnwortkunde* i t. d., Göteborg 1927 (dzieło to mimo olbrzymich rozmiarów, 600 stron wielkiej 8°!, nic nowego a trafnego do tej sprawy nie wniosło). Tylko u Finów są istotnie pożyczki germańskie wcześniejsze (z czasów około nar. Chr.). Inni badacze podali w wątpliwość, czy też istotnie wszystkie wymienione w tekście pożyczki już z czasów gockich pochodzą, przesuwając je o kilka wieków niżej, do stosunków staroniemieckich z Słowianami z VI—VIII wieku; możnaby to dopuścić tylko dla kilku wątpliwych pozycyj, co nie naruszałoby zbyt całości powyżej skreślonej, więc to pomi-

nąłem. Jedni kruszą kopje za rodzimością niektórych pożyczek, np. *olu* (litewsk. *alus)* i in., gdy drudzy przeciwnie nierównie więcej pożyczek przyjmują, np. *mleko* z *Milch* i t. d.; między tą Scyllą a ową Charybdą przepłynąłem ostrożnie. Książka Kaz. Moszyńskiego, *Badania nad pochodzeniem i pierwotną kulturą Słowian,* I, Kraków 1925, była chybiona; autor nie dowiódł żadnych «licznych turkotatarskich równań słownych z słowiańskiemi», ani jakiejś rasowej i kulturalnej różnicy między jakimiś aryjskimi Słowianami z r. 500 przed Chr. a europejskimi z r. 500 po Chr.

ROZDZIAŁ DRUGI

# POLSKA POGAŃSKA. SZCZEPY I IMIENNICTWO

Świadectwa o Słowianach VI do X wieku. — Szczepy polskie: nazwy; różnice narzeczowe. — Imiennictwo: nazwy miejscowe; imiona osobowe. — Bibljografja.

## ŚWIADECTWA O SŁOWIANACH VI DO X WIEKU

Dla pierwszego niemal półtysiąca lat, dla lat od r. 500 do 966, brak wszelkich źródeł. Ówczesna Polska, wałem szczepów słowiańskich zewsząd okolona, daleka od morza i dróg handlowych, nie budziła uwagi obcych, a ziemia, tak bogata w wykopaliska przed i po Chr., prawie żadnych, jak dotąd, nie wydała tajemnic. Zwracamy się więc po wiadomości do innych Słowian, posiadamy bowiem greckie o południowych Słowianach z VI i VII wieku, a arabskie i niemieckie o Słowianach wszelakich z IX do XII w., lecz nie zawsze wolno je uogólniać, chociaż wiele z nich korzystać można. Przytoczymy więc w dosłownym przekładzie, aby nie ścierać patyny wiekowej, najpierw oba najdawniejsze opisy słowiańskiego trybu, oba nierównej wartości; pierwszy maluje, jak się w głowie wykształconego Greka (Prokopjusza) przedstawiał nowy świat słowiański, około r. 550; drugi, nieco późniejszy, Maurycjusza, obfituje w szczegóły istotne, nie w same ogólniki i fantazje. Prokopjusz pisze o południowych Słowianach:

«Temi ludami, Słowianami i Antami, nie włada jeden mąż, lecz żyją od wieków we gminowładztwie i dlatego spólnie ich obchodzi, co pomyślne i co przykre, a podobnie jest i godzi się i wszystko inne obu tym barbarzyńcom od dawna. Wierzą, że jest jeden bóg, władca gromu, panem nadewszystkiem i jemu ofiarują wołu i wszelakie bydło poświętne. Losu ani znają ani zresztą dopuszczają, aby miał moc jakąkolwiek nad ludźmi, lecz gdy śmierć im już przed nogami grozi, czy to w chorobie, czy w walce, ślubują w razie wyjścia, że natychmiast za duszę bogu ofiarę uczynią; gdy wyjdą, ofiarują co obiecali i mniemają, że okupili zbawienie tą ofiarą. Czczą zaś rzeki i nimfy i inne bóstwa i ofiarują im

wszystkim, a wróżby czynią przy tych ofiarach. Żyją w nędznych kolibach, nawzajem daleko rozłożeni, każdy zaś często odmienia miejsce siedziby. Wstępując w bój tłumy pieszo nachodzą nieprzyjaciela, dzierżąc w rękach małe tarcze i spisy; pancerza nigdy nie wdziewają, niektórzy ani świty ani płaszcza nie mają, jedynie nogawice po pas wciągają i tak do utarczki z przeciwnikiem stawają. Mają też oba (ludy) jeden język zupełnie barbarzyński, ani też co do wyglądu między sobą się odmieniają. Wszyscy są bowiem odznacznie rośli i dzielni, co do ciała i włosów ani nadto biali albo blondyni, ani też całkiem ku czarności nie są zwróceni, ale wszyscy są rudawi. Tryb życia nędzny i zaniedbany jako Masageci i sami wiodą i jako tamci najciąglej bywają brudu pełni. Żli zaś albo złoczyńcy bynajmniej nie bywają, ale i w swej prostocie zachowują tryb Hunów... zajęli wiele ziemi, bo największą część po tamtej stronie Dunajowej...»

Maurycjusz tak uczy Greków wojować z Słowianami, znowu tylko z południowymi nad dolnym Dunajem:

«Słowianie i Antowie są jednego trybu życia i jednych skłonności, wolni, nie dają się przenigdy nakłonić do ujarzmienia albo panowania a już najmniej na własnej ziemi; są liczni a wytrwali, znoszą łatwo i upał i zimno i słotę i ciała nagość i brak żywności. Ku odwiedzającym ich są łaskawi i życzliwie odwodzą ich z miejsca na miejsce, dokąd dążą, tak że gdyby dla niedbalstwa gospodarza gościa szkoda dotknęła, oddający gościa na gospodarza wojnęby wzniecił, pomszczenie gości za świętość sobie uważając. Tych, co są u nich w jeństwie, nie zatrzymują ich, jak inne narody czynią, na czas nieograniczony, ale naznaczywszy im czas pewny, pozostawiają na ich zdaniu, czy chcą wrócić między swoich za pewnem wynagrodzeniem, czy zostać u nich wolni a przyjaźni. Dostawa im moc bydła rozmaitego i zboża w stogach złożonego, a najwięcej prosa i lnu. Niewiasty ich nad wszelkie przyrodzenie ludzkie bywają cne tak, że wiele z nich śmierć mężową uważa za koniec własny i chętnie same się udawią, wdowieństwa za życie sobie nie licząc. Mieszkają zaś po nieprzystępnych polanach, rzekach, moczarach, jeziorach, a wyjścia z siedzib czynią wszelakie, dla zdarzających się im pospolicie niebezpieczeństw. Rzeczy swe potrzebne w ukryciu chowają, nie posiadając jawnie nic zbytecznego a żyjąc po rozbójniczemu chętnie po gęstych, wąskich i skalistych miejscach napady na wrogów uskuteczniają. Zręcznie używają zasadzek i napadnięć i przebiegów, dniem i nocą rozmaite sposoby wymyślając. Prześcigają wszystkich w doświadczeniu

przebywania rzek a dzielnie trwają w wodach, tak że nieraz niektórzy z nich (doma przebywając a napadnięciem zaskoczeni i niebezpieczeństwu uchylając się pod wodę) w głębi wody trzciny długie do tego przysposobione, całkiem wydrążone, w ustach dzierżą, co sięgają aż powierzchni wód i leżąc na wznak w głębi niemi oddychają i starczy im to na wiele godzin [1], tak że ani podejrzenia o nich nie bywa, ale gdyby nawet te trzciny nazewnątrz widziano, niedoświadczeni uważaliby je za zrosłe z wodą. Dlatego ci co to wypróbowali, poznając trzcinę wedle cienia i położenia, albo niemi usta przebijają, albo odciągając je wywodzą ich z wody, gdyż dłużej nie mogą w wodzie przebywać. Każdy zaś z nich uzbrojony jest w dwie spisy małe a niektórzy z nich i w tęgie, ale ciężkie do przenoszenia tarcze. Używają zaś i drewnianych łuków i strzał małych, namaczanych jadem środków czynnie działających; jeżeli ustrzelony niemi nie ubezpieczy się wypiciem teriaku (dryakwi) albo innemi, lekarzom doświadczonym świadomemi pomocami albo przez to, że się wprost wytnie ranę, tak żeby ciała pozostałego nie przejęło. Będąc zaś bez rządu a nawzajem się nienawidząc, ani szyku nie znają ani usiłują bojować w gęstym boju ani zjawiać się na nagich a równych miejscach. Jeśli się zaś zdarzy, że za dogodnej chwili odważą się na spotkanie, z okrzykiem nieco ku przodu się podają, a jeśli przeciwnik przed ich głosem ustąpi, rychło nacierają, w przeciwnym razie taksamo się odwracają, nie kusząc się ręką siły ich wroga spróbować; uciekają zaś do lasów, tam mając znaczną pomoc jako doświadczeni w walkach po cieśninach. Często bowiem unosząc zdobycz, dla małego popłochu ją zbywając do lasów uciekają i napastników około zdobyczy zajętych napadając, łatwo ich uszkodzą. I nawykli to rozmaicie a umyślnie czynić na szkodę swych przeciwników. Są zaś całkiem wiarołomni i w umowach nietrwali, ustępując raczej strachu niż podarkom. Gdy bowiem między nimi poróżnią się zdania, albo się nie zgodzą albo w razie zgody inni uchwałę wnet przekroczą, bo wszyscy są zdania przeciwnego a żaden drugiemu ustąpić nie chce. Wyprawy przeciw nim należy raczej w porę zimową przedsiębrać, kiedy dla obnażenia drzew niełatwo im się ukrywać a i śnieg ślady uciekających wyjawia a żywot ich jakby całkiem zmarniał; zresztą i dla mrozu łatwo rzeki przebywać. Wystrzegać się należy latem w nieprzystępnych i zalesionych miejscach bez znacznej uwagi następować, jeśli nieprzyjaciel zgromadzony, zanim się go pie-

[1] To bajka, jak eksperymenta dowiodły; na minuty to, nie na godziny i tylko w płytkiej wodzie.

chotą czy konnicą nie wypędzi... Ponieważ u nich wiele książąt i nawzajem się niezgadzających, nie jest od rzeczy, niektórych z nich racją albo darami sobie zyskiwać a najbardziej tych, co pobliżej granic, aby walka przeciw wszystkim połączenia i samowładztwa nie dokonała». (Po przestrodze co do obchodzenia się ze zbiegami i jak należy zasoby nieprzyjacielskie nie marnować, lecz lądem czy rzeką do siebie uwodzić, zaznacza Maurycjusz, jak podejmowane przeciw nim wyprawy mało w istocie im szkodzą). «Gdy bowiem osiedla Słowian i Antów (inna to grupa tych samych południowych Słowian) rzędem nad rzekami leżą i nawzajem się stykają, tak że niema między niemi uwagi godnego przestanku, a lasy, błota lub sitowia im bliskie, więc przy najściu najbliższych dalsi rychło o tem zwiedzą i uprowadzają swoje zasoby, ich młodzież zaś, wyzbywszy się strachu, pokryjomu korzystając z doby napadają naszych żołnierzy; w takich wyprawach należy wszystkich zdolnych do boju zabijać i nie zwlekać z tem».

Korzystając z tego świadectwa, należy pamiętać, że mowa tu o Słowianach, którzy porzucili pierwotne siedliska i w długiej wędrówce raczej zdziczeli; zdawało się, że jak Germanie zachodnie, tak oni wschodnie zniszczą imperium, lecz dopiero ujęci żelazną ręką turkotatarskiej hordy bułgarskiej stali się istotnie postrachem Carogrodu. Nie można więc bez zastrzeżeń stawiać ich na jednej stopie z Polanami, którzy wędrówek wcale nie znali. A to samo powiemy o Słowianach zachodnich, szczególnie w Holsztynie osiadłych, o których dobry ich znawca (Helmold, proboszczując między nimi, lecz ich języka nie znając) około r. 1180 twierdził, że nie mają domów, że klecą lada chyże, aby je w razie niebezpieczeństwa na zawsze porzucać. Jeśli dalej zadziwia nadzwyczajne ubóstwo grobów i grodzisk meklenburskich, toć i te ludy tylko najdalej wysunięte placówki Słowiaństwa, i wedle nich nie należy sądzić wprost o zwartej jego masie. Mimo tego zastrzeżenia godzi się wobec niemoty naszych źródeł kilka szczegółów z obcych kronikarzy wypisać, które i dla nas nie obojętne. I tak opowiada Thietmar o wiecowaniu Luciców:

«Lucicami nie włada żaden panujący. Jednomyślną radą na wiecu o tem, co im potrzeba, rozprawiając w wykonaniu rzeczy wszyscy się zgadzają. Gdy zaś który ze spółplemieńców na wiecu temu przeczy, biją go kijami, a jeśli się i nadal jawnie sprzeciwi, albo traci wszystko przez ogień i grabież zupełną, albo wobec nich wedle godności własnej opłaca sumę należnych pieniędzy. Sami niewierni i zmienni wymagają od innych niezmienności i znacznej wiary. Pokój stwierdzają ustrzygszy włosów na ciemieniu, wraz z trawą i podaniem rąk, ale dla jego rozerwania łatwo ich pieniądzmi przekupić».

U Helmolda zaś po opisie ofiar składanych bożkom (między niemi i z chrześcijan) i jak kapłan ze krwi ofiarnej pije, aby go tem łacniej duch wieszczy porywał,

«udaje się lud do biesiad i oklasków; mają zaś Słowianie dziwny błąd, gdyż w swoich ucztach i pijatykach obnoszą czaszę, nad którą wymawiają słowa, nie powiem zaklęcia, lecz wyklęcia w imię bogów dobra i zła». [1]

R. 1156 na Trzech Króli zaprosił książę Przybysław księży niemieckich do siebie;

«nasz stół dwadzieścia dań zapełniło; tam z doświadczenia poznałem, o czem dawniej słyszałem, że żaden naród Słowian w gościnności nie celuje; tak bowiem na przyjmowanie gości się sadzą, że nawet o gościnę prosić nie trzeba, bo co z pola, połowu ryb i zwierzyny zebrali, wszystko na szczodrość wydają, sławiąc kto marnotrawniejszy, jako dzielniejszego. Ta żądza popisywania się wielu z nich ku kradzieży lub rabunku wiedzie, bo wedle ich praw coś nocą ukradł rano gościom rozdasz; gdyby zaś kogo, co całkiem wyjątkowe, przydybano, że obcego z gościny oddalił, tego dom albo zasoby spalić wolno i wszyscy zgodnie twierdzą, że kto gościowi chleba odmówił na pogardę ogólną zasłużył» [2] (por. cud z Piastem!).

---

[1] Znana to «zdrawica» innych Słowian.

[2] Wedle owej logiki słowiańskiej oczekiwalibyśmy w podaniu o Piaście, że kara spotkała Popiela właśnie za niegościnność jego (słudzy jakby działali w intencji pańskiej). Do iście słowiańskiego podania o nagrodzonej cudownie gościnności a ukaranej niegościnności wszczepiono niemiecką anegdotę o rodzaju tej kary, zob. niż. Owe podanie należy równocześnie do wątków międzynarodowych, powtarzając się w staro-

Wspomniawszy o chyżach Słowian, plecionych z gałęzi, dodaje: Ilekroć wrzawa wojenna zabrzmi, chowają w jamach całe wymłócone zboże, srebro, złoto i kosztowności, a żony i dziatwę chronią w obwarowaniach lub lasach i nic nie pozostawiają dla łupieży, chyba owe chyże, których utratę najlekcej ważą. Podkreśla dalej u Rugjan szanowanie rodziców i brak u nich żebraka czy ubogiego, bo ktokolwiek dla choroby lub wieku omdlał na siłach, oddają go troskliwej opiece dziedzica.

Inne szczegóły, opisy świąt i świątyń, bożków i ich zasobów, publicznej wróżby końskiej i domowej z kresek lub witek i t. d., nieraz bardzo nęcące, szczególniej pomorskie dla bliskiego pokrewieństwa, nie nam należą.

## SZCZEPY POLSKIE. — NAZWY. — RÓŻNICE NARZECZOWE

Państwo Piastowe powstało zupełnie organicznie. Nieraz bowiem wybija się śród szeregu pokrewnych szczepów jeden, którego dzielny książę, hołdując przyrodzonej niemal zaborczości, podbija okolicznych i łączy je w całość. Tak było w Czechach, gdzie książę praski w ciągu X wieku wszystkich innych podbił i wybił; tak było na Rusi, gdzie książę kijowski najpierw najbliższych (Drzewian), wkońcu i najdalszych (Wiaticzów) dynastyj własnych pozbawił. Tak było i u nas. U końca tego procesu około r. 960 widzimy, że państwo Mieszki I objęło Polskę i wschodnie Pomorze, jak to z jego «darowizny» Polski dla papieża wynika; nie on to wszystko zdobył. Nieprzejednaną nienawiścią pałali przeciw Polsce jej sąsiedzi północni, Pomorzanie, zachodni, Lucicy, którzy się nawet z odwiecznym wrogiem, z Niemcami, bratali, byle przeciw Polsce. Tę żywiołową

---

żytności (Philemon i Baucis) i w legendach: św. German niegościnnego króla angielskiego zmusił do opuszczenia tronu, a gościnnego pastucha królem ustanowił.

nienawiść tłumaczą chyba dawniejsze zakusy Piastów, by dobić się morza i całego dorzecza Odry; na przeszkodzie stanęli im Pomorzanie i Lucicy i stąd waśń nieprzejednana. Obaj więc pierwsi Piastowie (poprzedników nie znamy) panowali nad całą etnograficzną Polską między Bugiem a Odrą-Bobrem (i nad Pomorzem, ale nie całem), wychylając się przelotnie i za jej granice ku Łużycy i Morawie: był to więc rozwój najzupełniej organiczny; instynkt zaborczy zadowolił się pierwotnie pochłonięciem szczepów o tym samym języku i zwyczaju, a były to następujące: Polanie, w Wielkopolsce, w dorzeczu Warty; Wiślanie, w Małopolsce, nad górną Wisłą; Ślązacy na Śląsku, nad górną Odrą; Mazowszanie, nad środkową Wisłą; pomniejsze szczepy: na północy Kujawy, między Mazurami a Polanami, pod niemi ziemie łęczycka i sieradzka, od głównych grodów przezwane. Otaczali ich od północy językowo i obyczajowo im najbliżsi Pomorzanie, siedzący między Notecią a morzem; od zachodu niemal równie im bliscy Lucicy i dalsi nieco Łużyczanie; góry przedzielały ich od Czechów i Słowaków, tylko z Morawianami przy «bramie morawskiej», odwiecznym szlaku handlowym, stykali się bezpośrednio; tu zlewały się narzecza, tak że ścisłą granicę trudno pociągnąć. Na wschodzie Ruś, dalej na północnym wschodzie i północy obce zupełnie szczepy Jaćwingów i Prusów.

Od epoki prasłowiańskiej przystępujemy wprost do prapolskiej, t. j. nie uznajemy żadnej przejściowej, t. zw. lechickiej, jaką wymyślili filologowie; dziś już i historyków na ten manowiec sprowadzili. W prasłowiańskich siedzibach wszyscy zachodni Słowianie bez wyjątku tworzyli pewną całość nieco odrębną, złożoną z kilku pomniejszych szczepów; gdy około r. 500 na Zachód ruszali, każdy z tych szczepów, czeski, pomorski, lucicki, serbski zażył swoim własnym bytem i językiem; że się pomorski i lucicki język bardziej do polskiego, a serbski do czeskiego zbliżał, tłumaczy się z bliskości, a raczej bezpośred-

niej łączności ich siedzib. Wszelkie cechy, jakiemi się dziś i niemal od lat tysiąca np. język czeski od polskiego różni, są wtórne; około r. 500 nie było ich ani śladu. Łączyć więc północnozachodnie języki (polski, pomorski i t. d.) w jakąś osobliwszą spólnotę, nazywać ją niemożliwem mianem («lechicka») i przeciwstawiać południowo-zachodniej (czeskiej i serbskiej), niema przyczyny, skoroż niema ani czasu ani miejsca dla podobnej spólnoty.

Zawiązkiem państwa było księstwo Polan, t. j. ziemie poznańska, gnieźnieńska i kaliska. Ci Polanie narzucili całemu państwu późniejszemu swe imię od pól, t. j. bezleśnych szmatów nad Wartą, a powtarza się ich nazwa nad Dnieprem, chociaż między jednymi a drugimi Polanami nigdy żadnego związku nie było; czysty to przypadek i nic więcej. Nazwa Wiślan (zwanych Małopolanami w przeciwieństwie do Wielkopolan, jako późniejsi niby Polanie) ginie już w X wieku, w IX parokrotnie ją wspomniano. Nazwę Śląska znacznie z czasem rozszerzono; pierwotnie obejmowała część jego środkową z Wrocławiem; później rozszerzono nazwę i na «dolny» i «górny» Śląsk. Na dolny Śląsk z Krosnem, Głogowem i Legnicą składały się ziemie Bobrzan (od rzeki Bobru) i Dziaduszów; Trzebowian jednak, wymienionych w falsyfikacie praskim z r. 1086, nie było żadnych. Śląsk górny obejmował ziemię Opolską, Bytomską i Raciborską. Sama nazwa poszła od wandalskich Silingów-Ślęgów; od nich to pod Wrocławiem ową górę i strugę *Ślężą* nazwano; góra niegdyś siedziba osobliwszego kultu, czy jeszcze germańskiego (? bają o kulcie braci Alcis?), w każdy sposób słowiańskiego, bo to Thietmar wyraźnie poświadcza, wynosi się tak stromo z równiny, że kult pogański mógł z nią łatwo pojęcie mieszkania boga łączyć. Dziś nazywa się *Sobotą, Zobten,* od dni targowych, a rzeczka *Lohe;* od góry i rzeczki najpierw Śląsk środkowy, Wrocławski, nazwę przejął, szczep *Ślężanie,*

pole *Śląsko*, u nas dziś *Śląsk*, bo my zawsze dawne miejscowe nazwy nijakie w męskie odmieniamy.[1]

*Mazowsze*, z przymiotnikiem *mazowieski*, dziś mylnie *mazowiecki*, nazwano od grodu *Mazowa;* jest kilka *Mazowów* i *Mazewów* (por. wieś *Maziglowice*, bo tak czytam *Masziglowice* ksiąg sądowych brzesko-kujawskich nr. 3747 z r. 1424, nie *Miąszyglowice).* Że od jednego grodu, co dziś zamilkł lub na wieś podupadł (np. *Meklenburg* albo *Wołyń* albo *Czerwona Ruś*, nazwane od grodów nieistniejących już lub zmarniałych), to rzecz zwykła; mniej zwykłe natomiast urobienie tej nazwy. Są i inne podobne na — *wsze*, np. *Kotowsze, Lubowsze, Miłowsze, Mniewsz, Krotowsze;*[2] urobione one przyrostkiem o elemencie *ch (sz)*, przystępującym do tematu na *-ow* lub *-u*, por. *Lubusz* obok *Lubowsze, Kotusz* obok *Kotowce, Pułtusk* obok *Pułtowsk; Lubowla* takie same, tylko z elementem *l;* podstawą jest więc

[1] W r. 1929 z kilku stron sprzeciwiono się jedynie poprawnemu wywodowi tej nazwy od wandalskich Silingów-Ślęgów. Plemiona słowiańskie przybierają chętnie nazwy od rzek, np. *Wiślanie, Bużanie, Bobrzanie, Wkrzanie* (od *Wkry*), *Czrezpienianie* (*czrez*, t. j. *przez Pianę*), *Sprewianie* (od *Sprowy*) i t. d., więc i *Ślężanie* nazwani od rzeczki *Ślęży* (dopływu Odry), a to nazwa polska, od jej prześląglości, krętości. Zapomniano przy tem, że dawno przed rzeczką, bo już u biskupa Thietmara, wymieniono wyraźnie nie rzeczkę, lecz imponującą górę, *Ślężą*, odbierającą cześć boską u pogan, której stopy ta rzeczka omywa; dopiero w półtora wieku później i rzeczkę nazwano, widocznie więc rzeczka od góry nazwana, nie odwrotnie, i ów wywód upada. Może na owej górze warownej wymordowali Słowianie po rozpaczliwej obronie resztki tych Ślęgów, co nie wywędrowali z innymi Wandalami do Hiszpanji i Afryki, gdy inne takie resztki Ślęgów w niedalekiej Niemczy dobrowolnie się poddały, ofiarując złotą rózgę, i zostawione przy życiu po wiekach zupełnie się zesłowiańszczyły. *Śląsko, Ślązanie* (zamiast *Ślążanie), Ślązanin* i *Ślązak*, dawniej i poprawniej *Ślężak*, nazwani od góry *Ślężej* tak samo, jak *Polska, Polanie, Polanin* i *Polak* od *Pól;* w nazwie samej góry przechowało się imię plemienia wandalskiego: słowo, pusty dźwięk, granity przetrwało i spiże.

[2] Kozierowski VI, 262.

imię własne *Maz* (od mazania). Wielkie Mazowsze złączyło się z czasem z mniejszych ziemic; wszystkie wedle ich grodów czołowych nazywano, np. ziemia *wiska* od *Wizny, czerska* od *Czerska,* t. j. *Czyrńska* i t. d. Nazwę *Mazowsze* skracano w aktach łacińskich, *Mazovia* (stąd niemieckie *Masau);* mieszkańca zwano *Mazowszaninem,* a w skrócie nieco uszczypliwym, *Mazurem* (jak *kocur, wilczura, kostur, piechur* i t. p.; był i *Mazoch* podobny).

*Kujawy* są znowu topograficzną nazwą, znaczą wydmy piasczyste. *Sieradz* od *Sirada,* nie Wszerada, bo *i* jest pierwotne *(Siradia); Sirad* zaś było pierwotnie nazwą zbiorową jak *czeladź* i t. p., od *sir* 'sierota'; *Łęczyca* wreszcie znowu tylko nazwa grodu czołowego, przeniesiona na całą ziemię, urobiona od *łąki.* Obie te ziemie centralne, lecz znaczniejszej nie odegrały roli. O innych, drobniejszych odłamach, przeważnie już bardzo późnego początku, ani wspominamy.

Jeśli liczba i rozkład tych szczepów od dzisiejszego stanu, ile wiemy, nie wiele odbiega, ma się rzecz zupełnie inaczej z liczbą zaludnienia. Nie myślimy tu jednak o naturalnym jego przyroście, który sto tysięcy na miljon i więcej przetwarza; chodzi o obszar ziemi zajętej pod uprawę. Naród był od dawna stale osiadły; ślady po koczowaniu, właściwem czy połowicznem, zatarły się, chociaż ludność jeszcze i po wiekach z byle przyczyny (waśni i t. p.) siedziby opuszczała. Zalegały Mazowsze i Wiślan niezmierzone puszcze; nikt się jeszcze nie wdzierał w Beskidy biegiem prawych dopływów Wisły do góry, ale nawet na równinach, szczególniej po Lublin, nie było zaludnienia i nie dziw, że się Ruś olbrzymim klinem w Małopolskę wcisnęła. Puszcze oddzielały Małopolskę od Mazowsza; w Mazowszu samem zabierały puszcze, po których dziś nieraz nikłe ślady tylko, najszersze przestrzenie. Kujawy chyba i Wielkopolska wraz z średnim i dolnym Śląskiem były wolniejsze, ale górny znowu pokrywał się lasami nieprzebytemi. Wsi bywały bardzo rozrzu-

cone i rozległe; na obszarze jednej starej stawało później ich cztery. Gęstsze zaludnienie należało więc do wyjątków; jemu zawdzięczała ziemia gnieźnieńska i poznańska pierwotną nad innemi przewagę.

Pewnej odrębności szczepowej nie zatarły zupełnie ani liczne wieki dziejów spólnych; język, ubiór, tryb życia (np. u górali całkiem odmienny od życia na równinach) wyrażają ją do dziś. Rozróżniamy np. narzecza wielkopolskie, małopolskie, mazowieckie i śląskie, żeby tylko najważniejsze grupy wymienić; są nawet poddziały, np. w małopolskiej odcina się ostro narzecze podhalskie, tatrzańskie od nizinnych; oddziaływają i wpływy sąsiednie, np. słowackie w górach, w lubelskiem ruskie. Nie pokrywają się też ściśle dzisiejsze granice narzeczowe z dawnemi terytorjalnemi; narzecze mazowieckie sięgało niegdyś dalej niż późniejsza dzielnica, ale w grubszych zarysach zmiany nieznaczne; samych różnic narzeczowych nie rozpatrywamy bliżej, mimoto winniśmy im kilka uwag poświęcić.

Żaden inny lud słowiański nie zna podobnej jednolitości mowy a nienaruszoności siedzib, jaką się polski słusznie szczyci; rok 1929 niewiele tu odbiegł od roku 929. Żadnych walniejszych przesunięć-wędrówek szczepowych, żadnych wybitniejszych różnic językowych u nas nie bywało, a ubytki na Zachodzie, wyrównaliśmy z naddatkiem na Wschodzie. Żadnych więc w Polsce utrat i przesunięć ruskich: gdzież u nas zaguba całych szczepów, jak ruskich Tiwerców, Ugliczów, Chorwatów? gdzież u nas wyludnienie Kijowszczyzny za potopu tatarskiego? gdzież u nas różnice narzeczowe tej miary, jak między wielko- a małoruskiem? Na Bałkanie tak samo; to olbrzymie straty (cała Rumunja wyrosła na słowiańskiem podłożu, które pochłonęła, a Grecja odwojowała na Słowianach dawne utraty), to przesunięcia szczepowe (wędrówki Serbów z południa na północ w starej Serbji, np. w ich Białogrodzie nigdy żadnych Serbów nie było); różnice narzeczowe jeszcze znaczniejsze niż u Rusi.

Jak siedziby nasze odwiecznie te same, tak i język jednolity (oprócz Kaszubów, ależ to nie Polacy, lecz Pomorzanie, więc w grę nie wchodzą). Język pierwotny nigdy nie krzepł, rozwijał się swobodnie pod każdym względem, i gdy luźne szczepy wchodziły w bliższe skupienie, oddzielając się od innych puszczami, wytwarzały się spólne odmiany - rysy, potęgujące tylko, co na spólnej rodzinie już się wykluwało; tak powstawały narzecza. Już w r. 929 były ich wzory-typy gotowe, i z wiekami wzmagała się rozbieżność. Lecz ta rozbieżność nowa (od X w.) nie zawsze przystawała u granic szczepowych, sięgała i poza nie i narzucała nowe, wtórne cechy narzeczom — tylkoż nie naruszyły te wtórne cechy pierwotnej odrębności. Np., najstarszą i najogólniejszą cechą nowszą (od X wieku) jest t. zw. mazurzenie, t. j. rozchwianie granic między *c, s, z* (nawet *rz* jako *z*), a *cz, sz, ż* (nawet *rz*), *cas, zona* i t. d., zamiast *czas, żona*. Ale gruboby się mylił, ktoby tej cesze nadawał jakieś znaczenie: mazurzy Małopolska jak Mazowsze, lecz przez to nie zbliżyło się narzecze małopolskie na włos do mazowieckiego, pozostało odrębnem jak było (łączą je nawet bliżej z wielkopolskiem, chociaż to wcale nie mazurzy!). Śląsk północny mazurzy, południowy nie; cała Słowiańszczyzna pomorska i zaodrzańska mazurzy, ale pomorscy Kaszubi nie mazurzą i tak ciągle: to znaczy, rys wtórny nie stanowi nic o właściwem, dawnem narzeczu. A przecież zmobilizowano u nas jakichś Prafinów, co niby nad Wisłą siedzieli (bo tam ich astronom grecki na swoją odpowiedzialność umieścił), i od nich miały się te *c, s, z*, zamiast nieznanych im *cz, sz, ż*, rozejść, co między bajki włożymy, bo żadnych Finów śród nas nigdy nie było. Jeśli istotnie w Dalmacji pod wpływem włoskim coś podobnego po miasteczkach zaszło, to się na wsi nie powtarzało, i paralela mniemana upada.

Takich wtórnych rysów, które nic dla przeszłości nie ważą, jest w głosowni więcej (pochylone *a* i jego utrata i in.) i na mapach łączą okolice z podobnym spólnym rysem linjami-izo-

fonami, tylko mają te izofony nieraz ten brzydki zwyczaj, że się krzyżują i wnioski wszelakie uchylają. Izofony stwierdzają tylko, że coś jest, mają cel tylko w sobie samych i o przeszłości językowo-szczepowej niczego nie uczą. Jeszcze gorzej ma się rzecz z isoglosami, t. j. linjami, wykreślającemi okolice, gdzie się mówi *kur* lub *piejak,* zamiast *koguta;* albo *wywielga* czy *boguwola* czy *zofja* (to samo), zamiast *wilgi;* albo *kacoperz* czy *latopierz* czy jak tam inaczej, zamiast *nietoperza* i tak w kilkunastu innych terminach, między któremi nie brak i późnych germanizmów *(szwela, szpernal* i in.). Opieranie jakichkolwiek wniosków o te izoglosy jest bezcelowe, bo np. z kurem ma się rzecz tak: w całej Polsce do końca XV wieku *koguta* wszędzie *kurem* nazywano, był to wyraz ogólnopolski i z żadnym zespołem narzeczowym nie był związany; dopiero później, bo ludek lubi odmianę, zaczęto *kurem* poniewierać i sadzić się na *koguty, piejaki* i t. d., ale na Mazowszu miejscami do dziś ocalał *kur.* Lud ma przecież nieraz kilkanaście nazw np. na jedną roślinę i czy się ta nazwa powtarza i w których okolicach, to zapisuje słownik narzeczowy i na tem koniec. Odmawiamy więc wszelkim izofonom czy izoglosom dla dziejów dawniejszych (dziś inaczej) wszelkiego znaczenia; zaznaczymy tylko, że co kiedyś było terminem ogólnym, od XVI wieku między lud pewnych okolic zapadło, o czem jeszcze niżej mowa będzie. Dla dziejów dawnych wystarczą nam owe cztery narzecza; o jakiemś piątem «centralnem» mowy nie było.

Czterem szczepom narodu polskiego naznaczał jeden szczep swoje imię, bo sam państwo stworzył. Pod tem imieniem tylko znaniśmy na Zachodzie, który rychło nazwę Wandalów i Winulów, bo i pod nią mylnie Polan rozumiał, na zawsze zarzucił, *Polán* u Niemców (stąd *Pologne)* i t. d. Na Wschodzie natomiast popłaca o nas inna nazwa, *Lachów,* o której ruski Nestor pisze: (Gdy Rzymianie - Włosi gnębili Słowian naddunajskich — bo nad Dunajem umieścił Nestor Słowian pierwotnych, — ci ustą-

pili przed nimi); «jedni Słowianie przyszedłszy siedli na Wiśle i przezwali się Lachowie a jedni od tych Lachów przezwali się Polanie a drudzy Lachowie Lucicy, inni Mazowszanie, inni Pomorzanie». Pierwsi Lachowie Nestora, to chyba Wiślanie, jak i dziś jeszcze górale nasi i Słowacy lud nizinny Lachami nazywają, a Czesi i Morawianie Lachami ludność opawską i cieszyńską. W ruskim *Lach* (por. *swjatyj* = święty) tkwi dawna nosówka, *Ljach* brzmiał *Lęch* jeszcze w IX wieku i sąsiedzi Rusi zachowali do dziś to pierwotne *ę*, *Łenkas* u Litwinów, *Lengyel* u Węgrów; u Serbów przechodzi *ę* w *e*, więc *Lech* (wedle tego *to tōn Lechōn ethnos*, lud Lechów, u historyka greckiego z XII wieku). Ale imię *Lach-Lech* nie jest pierwotnem, jest skróceniem, jak *Czech*. Z czego *Czech* skrócono, nie odgadniemy na pewne nigdy, bo skrót może polegać na byle nazwie, *Czestmirze*, *Czesławie* albo raczej na zupełnie czem innem. Przy Lęch-Lach mamy jednak taką wskazówkę, bo przymiotnik brzmiał do niego nie **laski*, jak *czeski*, lecz *ljadskij*, wskazał więc jakiś rzeczownik czy imię z *lęd-* w pierwszej, źródłowej głosce. Istnieje do dziś w Rosji rzeczownik *Ljad* (z *lęd-*) 'djabeł', *idi k ljadu*, idź do djabła, nie znamy go z starszego języka. Upatrzono w tem *lęd-ljad* nazwę prasłowiańską *lędo* albo *lęda* 'ugór, karczowisko, nieużytki' (spokrewnione z niem. *Land*, szwedzkiem *linda* 'ugór', pruskiem *lindan* 'dolina'). Wywód ten cieszy się ogólnem uznaniem, ale jest mylny, bo nie daje nic charakterystycznego: na ugorach-lędzinach siedzieli wszyscy 'polanie', rolnicy, i w całej Słowiańszczyźnie niema też ani jednej podobnej nazwy szczepowej. Mnie dowodzi ruski *lad* 'djabeł', że od niego urobiono *Lach*, jak np. *brach* od *brat*, *swach* od *swat* i t. d. Lad nie oznaczał jednak pierwotnie djabła, lecz był uszczypliwą nazwą Polaka, i rozszczepiły się później znaczeniowo obie w gruncie identyczne formy: *Lach* został przy *Polaku*, *lad* zeszedł na *djabła* (w *lackim* ubiorze widziano djabła w XI wieku w ławrze pieczerskiej w Kijowie). To przezwisko *lad (lęd)* stoi w związku

z prasłowiańską nazwą *lędźwi* (jest w rosyjskiem i *ljaszka* 'lędźwie'). A mogę przedstawić i dowód historyczny trafności mego wywodu; bo t. zw. geograf bawarski (zob. niż.) wymienia szczep słowiański *Lendizi* z 98 grodami. Ustęp, w którym Lendizi wymienieni, obfituje wprawdzie w najfantastyczniejsze imiona, ale są między niemi istotne ruskie *(Bużani)* i czeskie *(Stadici, Zittici* dalej na zachodzie), więc i *Lendizi* z niemi ujść mogą; Lendizi zaś jest nazwa patronimiczna, jakiej mój wywód wymaga, nie topograficzna, jakiejby po lędach-lędzinach oczekiwać należało.

Na przełomie XII i XIII wieku nasz kronikarz, mistrz Wincenty, używa stale wyrazu *Poloni, Polonia,* kilka razy jednak na jednej stronicy u początku i na końcu swego dzieła użył jako równoznaczącego wyrazu *Lechitae* dla Polaków, a raz dla Polski *Lechia. Lechitae* wedle jego trybu od nazwy kraju *Lechia* urobieni, przenigdy od jakiegoś *Lecha,* o którym Wincenty nic jeszcze nie wie (sfabrykowali go późniejsi bajarze). Zjawiają się zaś *Lechitae* dla Polaków równie jak niesłychane zresztą nigdy *Carantae* dla Krakowa (!) u Wincentego najpierw tam, gdzie on o wyprawie Macedończyka Aleksandra na Polaków (!!) baje. Skąd wyszły *Lechia* i *Lechitae?* Niewątpliwie z ruskich *Lachów,* jaka nazwa o uszy Sandomierzanina, już przez liczne, dawne ożenki książąt krakowskich z Rusinkami coraz się obijała. Oczekiwalibyśmy w tym razie co prawda *Lachones, Lachia, Lachitae,* nie *Lechia* i t. d., ależ niezbadane bywają drogi rozumowania etymologicznego kronikarzy średniowiecznych; może umyślnie zmienił Wincenty samogłoskę, aby zatrzeć nieco ślady, skąd on do tej nazwy przyszedł. Jego bałamuctwo wywołało dalsze, zmyślono bowiem z czasem i jakiegoś *Lecha* (zob. niż.), a do fatalnych Lechitów dorobiono jeszcze fatalniejszy przymiotnik *lechicki* i wojują nim gramatycy dowoli, chociaż to oczywisty nonsens.

Było jeszcze kilka innych nazw drobnych ziemic-szczepów, np. *Selpuli* (t. j. Żalpole, pole żalów = urn, popielnic, urobione bez samogłoski tematowej wedle modły *Kołdrąb*, prasłow. *połdne* 'południe' i in.), między Bobrem a Łużycami. Nie możemy dokładniej oznaczyć ziemi *Licikavici*, wymienionej jako posiadłość Mieszki I, może na pograniczu Wielkopolski i Pomorza; nawet formy właściwej tej zepsutej widocznie nazwy nie można ustalić, może to już pomorskie. *Golęszice*, szczep czy tylko gród, najdalej się na południe wysunął, sięgał w opawskie, dziś całkiem czeskie. Dziwna to nieco nazwa, od *Golęcha*, powtarza się r. 1013 jako *Golenciza* w Saksonji, *Holeschau* w Czechach, a pruskiego Golęda przypomina, ale skądżeby Prusin aż pod bramę morawską się zapędził, chociaż innego Golęda i w Hiszpanji gockiej znachodzimy. Wymieniliśmy zaś tylko prastare nazwy szczepowe, chociaż dziś każdą niemal okolicę mili sąsiedzi nazwali jakiemś przezwiskiem, nieraz szyderczem, często od odzieży, strawy lub ulubionego słówka jakiegoś wziętem. Np. *Kaszubi*, *Karwatkowie* od stroju, toż *Kabatkowie; Kurpie* od obuwia; *Jacki* od słowa *jacy* 'tylko'; *Kajaki* od *kaj* i t. d.; najczęściej od siedzib nad rzeką, lasem, w górach i t. d. Nic w nich dawnego; jedyna nazwa Kaszubów sięga XIII wieku; niejedna nazwa całkiem niezrozumiała nadaje się do dowolnych kombinacyj, np. Kurpie nazywają między sobą tych, co byli niegdyś pańszczyźniakami, *Gociami* (naturalnie zaraz na Gotów to złożono). *Gochami* nazywają się inni, co niemieckiego 'doch' (!!) używają, co wierutna bajka (*goch* od *gorzałki*?); *Paluki* należą do łąk, por. *pagór(ek)* do gór, *Kociewie* i t. d. Nazw tych jest kilkaset, ale zwykle drobną przestrzeń pokrywają. Piechaczów albo taśtaków nazywają tych, co konie z *piecha* czy *taśta* naganiają; kilka to wsi tylko, więc żadnego większego znaczenia to niema, chociaż owo *pihet* już Rej zapisał.

Wiązankę polskich nazw szczepowych uzupełniam nazwami, czerpanemi z t. zw. geografa bawarskiego. Zapiska ja-

kiegoś mnicha bawarskiego z XI czy X (?) wieku wylicza szczepy słowiańskie; składa się z trzech bardzo nierównych części. Pierwsza wymienia z znanych źródeł niemieckich, z kronik i in., Słowian zachodnich, przytykających bezpośrednio do granic imperium na północ od Dunaju i nie daje nic nowego, a myli się fatalnie, gdy z jednego szczepu (Moraw) na podstawie pisowni rozmaitej ich nazwiska dwa szczepy tworzy (*Marharii* z 11, i *Merehani* z 30 grodami). Druga część zapiski wymienia, kilka nazw istotnych wyjąwszy, niesłychanych nigdy i nigdzie Słowian, których chyba na księżycu szukać wypada, przeważnie niemożliwem *-rozi* się nazywających: cel tej mistyfikacji nie jasny, czy to sobie ów mnich sam zażartował, czy go ktoś inny tak zmylił. Po tej wycieczce astralnej wraca pseudograf na ziemię i wylicza kilkanaście nowych nazw, niejedne zupełnie jasne, np. *Bruzi* (Prusy), *Ruzzi* (Ruś), *Caziri* (Chazarzy), niejedne zupełne ciemne (ale już nie tak fantastyczne jak poprzednie) i kończy następnem wyliczeniem: «*Serauici, Lucolane* (t. j. Sorau i Luckau na Łużycach), dalej *Ungare* (Węgry), *Wislane, Slenzane, Lunsici* (Łużyce), *Dadosesani, Milzane* (Serbowie Budziszyńscy), *Besunzane* (nieznane), *Werizane* (tak samo), *Fraganeo* (równie), *Lupiglaa* (toż; jakieś Łupigłowy? nieco humorystyczne), *Opolini, Golensizi*». Skąd mnich bawarski najdokładniej o Łużycach i o górnym Śląsku poinformowany, trudno odgadnąć, tylkoż nie wynika z tych kilku pewnych nazw, również jak w poprzednim ustępie, żeby i inne nazwy wszystkie były pewne albo odnosiły się do Polski, o której wiadomości jego ziemi Wiślan nie przekroczyły. Niema drugiej, równie króciutkiej zapiski, nad którąby więcej uczonych daremnie głowy łamało; ich wszystkie wysiłki na humorystykę mimowolną wybiegły, bo próżno sens odgadywać, gdzie sensu żadnego niema; dotyczy to głównie owego drugiego, zupełnie fantastycznego ustępu o niesłychanych nigdy ludach i ich roz-

miarach; najdziwniejsza zaś, to wymienianie takich drobnych grodów, jak Sorau i Luckau i in.[1]

## IMIENNICTWO. — NAZWY MIEJSCOWE

Księgi nazw bywają nadzwyczaj ciekawe, tylkoż należy w nich umieć czytać, więc zwróćmy się, po wcale nikłym wyniku z nazw szczepowych, do tysiąckroć liczniejszych miejscowych, czy też one nie dadzą czegoś więcej dla dziejów, szczególniej kultury, bo właśnie wiele wagi na nie kładziono, więcej niż znieść zdołały. Omówimy wszelkie, dawne pogańskie i nowe, bo i nowe urabia się wedle owych dawnych wzorów, i rzeczy nie myślimy rozrywać, więc ten anachronizm niech nam ujdzie.

Nazwy miejscowe, to najstarsza i najobszerniejsza księga naszych dziejów; obejmuje z jakie sto tysięcy nazw miejscowości, a miljony coraz się powtarzających nazw pól, łąk, toni w jeziorach, uroczysk, parceli leśnych; za każdą z tych nazw ukrywa się jakiś fakt, topograficzny czy historyczny. Lecz któż się u nas o nie troszczy? Gdyby nie żmudna i ofiarna, wytrwała i wszechstronna praca ks. St. Kozierowskiego, który w wielotomowej publikacji zebrał dawne i nowe nazwy miejscowe Wielkopolski i wedle sił je objaśnił, porównywając wszelkie inne polskie i słowiańskie nazwy, przyszłoby się nam zawstydzić i chyba tem się tłumaczyć, że u innych Słowian nie zawsze lepiej, ba, że żaden szczep słowiański dziełem równie wyczerpującem dotąd szczycić się nie może.[2] Na Zachodzie ina-

[1] T. zw. Geograf bawarski ma liczną literaturę, począwszy od P. Szafarzyka i K. Zeussa w latach trzydziestych jeszcze; z polskich przytaczam tylko najnowsze, St. Zakrzewskiego we lwowskiem *Archiwum Naukowem* IX, 1, 1917 i Eug. Kucharskiego w *Sprawozdaniach* lwowskiego Towarzystwa Naukowego 1925; obie prace w zasadzie pomylone, dochodzą do wniosków niemożliwych.

[2] *Cwijicia,* olbrzymie wydawnictwo serbskie na całkiem innej podstawie urosło.

czej, a prym wiedzie Norwegja, gdzie Olaf Rygh wydał w 18 tomach (1897—1924) *Norske Gaardnavne;* Sahlgren wydaje od r. 1913 osobne dla nich czasopismo *(Namn och Bygd),* a w osobnem archiwum je zbierają od r. 1921; w Anglji zajmuje się niemi *English Place-name society,* a Dr Józef Schnetz wydaje od r. 1925 *Zeitschrift für Ortsnamenforschung.* U nas przed laty za wezwaniem *Dziennika Poznańskiego* zaczęto w Wielkopolsce zbierać nazwy pól i uroczysk i wydano je w książeczce, ale nie przeprowadzono rzeczy do końca. Bystre oko Tadeusza Wojciechowskiego zwróciło się ku zapoznanej dziedzinie, ku tym nieporuszanym przed nim pokładom, ale zbyt się daleko uniosło; on nie docenił dowolności w ich tworzeniu, włożył w nie ściśle rozgraniczone pojęcia, nie bacząc, że nietylko synonimy są w słowniku (t. zn. jedna i ta sama rzecz może się wcale rozmaicie nazywać), ale że są i w słowotwórstwie: różne sposoby na wyrażenie jednego i tego samego stosunku, że więc nie uchodzi opierać daleko sięgających wniosków o materjał niepewny.

Dziwna jednak rzecz, nasze nazwy miejscowe, acz tradycji od prawieku nie przerwano nigdy, nie zdają się obfitować w osobliwsze szczegóły — może sąd odmienimy, jeżeli materjału więcej uzbieramy. Inaczej na Zachodzie, np. w Skandynawji. U nas z nazw wyraźnie mitologicznych jest *Swarożyno* i *Rgielsko* (?); inne imiona od *Swar-* niekoniecznie bożka wskazały. W Szwecji i Norwegji natomiast nazw mitologicznych, z *Thorem, Azami* (dobrymi bogami), *Frejem* i in., co niemiara (samo *Oslo* jest mitologiczne: «pole Azów», *ass* i *ló), Baldrsberg, Njardar hóll* i t. d.; tam z nazw miejscowych można nawet uzupełnić mitologję nordyjską.[1] I u nas głębsze badania może

[1] por. Magnus Olsen, *Farms and Fanes of ancient Norway,* Oslo 1928, rozbiór gruntowny wszelkich nazw złożonych z *-heim, -stad, -hof* 'świątynia'.

nietylko słownik staropolski wzbogacą — ależ to «muzyka przyszłości». Wprawdzie oddawna pomawiano nazwy miejscowe o «mitologję», lecz mylnie, np. klasztor pomorski *Belbuck* miał być **Białobogiem*, chociaż żadnego białego ani czarnego boga Słowianie nigdy nie znali (*Czarny bóg* Helmolda jest chrześcijańskim djabłem i nic więcej); *Belbuck, Jüterbock* i t. p. są *Białoboki, Częstoboki, Lepiboki, Kłodobok, Wisłoboki, Ołobok. Radgoszcz* meklenburski, z świątynią Swarożyca, jest nazwą miejscowości, nie bożka, jak uparcie twierdzą; *Radgost* albo *Gościrad* jest imieniem karczmarza, nie boga.[1] Nie rzadkie u nas wsi i rzeczki, *Piorunów, Piorunowo, Piorunka* z piorunem, nie z bogiem łączymy, także *Prohn,* dawniej *Perun, Peron* koło Stralsundu, i *Pirna* w Saksonji; natomiast *do Perunowa duba* z r. 1302 w władyctwie przemyskiem i *Perunową górę* w Żółkiewskiem jako ruskie możnaby od bożka wywodzić. *Lelów* i *Leliwa* nie obronią jakiegoś bożka *Lela (Polela);* natomiast *Pogwizdowy* wszelkie, a jest ich po całej Polsce sporo, tu zaliczymy, choćby pośrednio, bo przez imię osobowe *Pogwizda,* co od bożka jako 'theoforon', zob. niż., przejęte, ale *Wygwizdów* i *Zagwizdy* tu już nie należą. Na pewno «mitologiczną» nazwą jest *Wróżna góra* przy Brunowicach (dziś Bronowice, w Krakowskiem) z r. 1274 (Tynieckie akty); u Czechów bardzo częsta nazwa, u nas całkiem wyjątkowa, ale wolno zapytać, czy *wróżnego* nie skracano czasem w *różnego?;* także *rożynek, różopole, różanna* niekoniecznie ani od róży, ani od rożna nazwane. Jest i *Wrogyzeuo* r. 1367, któregobyśmy wcale nie przytaczali, gdyby nie stało obok *Strzyg* (w Rypińskiem); *stryzyga* przecież czarownica, upiór, por. *Strzyżyn,* nie *Strzeżyn,* i *Wieszczyczyn (*od *wieszczycy,* to samo). Porównaj i wieś *Vrosinichi* r. 1268 (?); są też moczary i wsi *Róża (palus Roza*

[1] Są w Styrji góry *Twarog* i *Tbarassitzberg;* upatrzył w nich J. Peisker (zob. niżej) Swaroga i Swarożyca, ależ to Twarog i Twaroże.

r. 1558), rzeczka *Różennica* pod wsią *Różanną* i t. d., ale to wszystko bardzo niepewne. Najbardziej uderza wieś *Strzyboga* (raz przez *e* pisana, *Strzeboga*, zresztą zawsze przez *y*), w Skierniewickiem, bo przypomina bożka ruskiego (Nestorowego) *Stribŭga*, o którym zob. niż.; może tylko przypadkowe podobieństwo?

Najciekawsze są *Wanowe mogiły* w Meklenburgu z roku 1177; nie są to *Iwanowe* (nazwisko *Iwan*, bynajmniej nie słowiańskie, lecz zachodnie, częste u dawnej szlachty meklenburskiej), bo chrześcijan nie po mogiłach grzebano, lecz *Wan* nie nadaje się do imiennictwa słowiańskiego (*Radowan*, *Radwan* mają przyrostek *-an*, nie jakiś nieznany pień *wan*), pozostałyby chyba germańskie *Wany*, bóstwa walczące z Azami? ale te nic nigdy z Słowianami nie miały do czynienia. Nazwa olbrzymów, *wielotow*, tkwi w *Wielatowie* (ale *Wielatkowo* poszło z *Jałatkowa* od *jałata* — biedaka), chociaż oczekiwalibyśmy raczej **Wielotowo*, czeskie *Veletov*; tak się nazywali pierwotnie Lucicy, *Weltai* u Ptolomeusza, *Wel(e)ti* w VIII i IX wieku (z czego w VI wieku, przez drugą «Lautverschiebung» *t* w *z*, powstało niem. *Wilci*, a z tego urobiono najfałszywiej jakichś słowiańskich *Wilków* niesłychanych!). Czytamy: «Jest także miejscowość *Chromiec*, t. j. siedlisko przy świątyni (*chromie*) niedaleko stąd. W tym razie sąsiedni *Książ* jako osada kapłańska sięgałby pogańskich czasów» — ależ w pogańskich czasach *ksiądz* nie był nigdy *kapłanem*, dopiero po r. 900 i to w Czechach najpierw; *Chromiec* pewnie od *chromego*, nie od *chromu* 'domu, świątyni'. Natomiast nie zaprzeczymy, że «liczne nazwy miejscowe *Modła* (kilkanaście w samej Wielkopolsce) oznaczały może pierwotnie przedchrześcijańskie miejsca modlitwy»; przypominamy tylko, że *modlić*, *modlitwa* nie znaczyło to samo, co w chrześcijaństwie, oznaczało nie prośbę, lecz ofiarę, rosyjskie *moliť*, *molenyj* znaczy i 'zarzynać, zarznięte na ofiarę bydło'; u nas jak u Czechów *modła* 'bożek i ofiara całopalna', a to samo

powiemy o częstem imieniu *Modlibóg*, i stąd wynikłych *Modlibożycach* (*Modlibogowo* r. 1396, ale *Modlibogowice* r. 1423, *Modlibóż*, Nicolaus *Modlibog de Modliboszycze* r. 1462, piszą to często przez *rz*, *Modlibórz*, poprawniej r. 1582 *Modliborze*, jest nawet r. 1271 *Modliborius abbas*, ale czy wierzyć pisowni? kobieta *Modliboga*, r. 1299; dalej *Modlisz*, *Modlęta;* jeśli roku 1742 prawią o gruntach i stawku *Modliborskich*, toć od r. 1399 do 1462 piszą to samo poprawnie *Modlibożyczanie);* dalej *Modła*, *Modły*, *Modłowo*, *Modełka*, *Modlica*, *Modlno;* na Ukrainie nawet skowronka *mołybih* nazywają, ale to chyba chrześcijańskie. Są więc i u nas ślady kultu pogańskiego w nazwach miejscowych, należy je tylko śledzić uważnie, a bez myśli przedsięwziętej. Bo oto nazwisko, z którem mimowoli łączymy coś «pogańskiego», *uroczysko*, powtarzające się w każdej dzielnicy, nic z pogaństwem niema spólnego, ani z urokami, ani z uroczystościami; archeolog prawi: «nazwy *uroczysk* czy też *żalników* dość częste u ludu wiejskiego, odnoszą się zazwyczaj do śladów cmentarzy lub osad przedhistorycznych, głównie zaś do zrujnowanych, «łużyckich» pól popielnicowych». W istocie uroczysko, miejsce umówione, t. j. graniczne albo jakąkolwiek cechą (zalesieniem i t. p.) się wyróżniające, w XV wieku jako «przynależność» wymieniane, np. r. 1462 cum omnibus cohaerenciis alias *z uroczyski;* w aktach późniejszych nazywają je i dziedziną lub miejscem; każde ma swoją nazwę, np. Miedzne, Lipka, Uście, Piekło, Brzezin, Czarnogłów, Błonice, Chechło, Biała, Kępiste i t. d.; nic w nich «pogańskiego», ani one żalnikom równe.[1] Jeśli wzgórze r. 1640 Pogańską górą nazywają, nie sposób się domyślać przyczyny, ale i *święte* jako przydomek gór, lasów, strug, raczej kult chrześcijański, niż pogański przypomina.

[1] Uroczyskiem nazywał się każdy znak przyrody (drzewo, rów, potok i t. d.), nadający się do urzeczenia albo narzeczenia miedzy, granicy, posiadłości.

Miejscowości nazywamy częściej od osób, rzadziej od rzeczy, t. j. od miejscowej fauny, flory, ziemi, od byle innej rzeczy i od przypadku, anegdoty. Często bywa taka nazwa rzeczy wprost i miejscową, np. *Góra, Górka, Ostrów* 'wyspa', *Sątoki* 'zlew', *Roztok* 'rozlew', *Doły, Piaski, Lipa, Łekno* 'lilja wodna', *Dąbrowa, Jeziorko, Chełm* 'pagórek', *Okno* 'szyb solny', *Kierz* 'krzak', *Grodzisko* (dziś zwykłym trybem *Grodzisk), Ląd, Łazy, Miejsce* i t. d., albo wedle jakiegoś mniemanego podobieństwa czy innego trafu: *Koło, Kliny, Jasło, Krobia* 'koszyk', *Łodzia* (dziś *Łódź), Krosno* (nad Odrą i podgórskie, między Rusią);[1] od «administracji» i sądów: *Narok* 'czynsz', *Opole, Ujazd* 'objazd', *Rosprza* 'proces', ale *Sandowel* nie od sądu nad Zbygniewem 1110 r. nazwany, jak później zmyślono. Z czasów chrześcijańskich należą tu nazwy miejscowości od targowych dni: *Piątek, Sobota, Środa* śląska i *Śródka* poznańska.

Góra Sobota (Zobten) nazwana nie od targu sobotniego, lecz od soboty czy sobótki, t. j. od miejsca poświęconego surowo zabranianym pląsom letnim; w procesach o czary z XVII wieku stale mówią np. na Łysej Górze ku Kaliszowi *na sobótce* bywały (albo *na sobocie),* w Pyzdrach r. 1699 i częściej, niem. *Hexensabbath.* Skąd doszła sobota do tego osobliwszego znaczenia? czy w przeciwieństwie do niedzieli, którą chrześcijanie obchodzą? Sobotami nazywają i okolne ganki kościoła wiejskiego; czy i to w związku z poprzedniem?

Z zasady jednak tworzy się od nazwy rzeczowej nowa miejscowa osobnemi przyrostkami, co do formy najrozmaitszemi, co do znaczenia mało się różniącemi, np. na *-ka, Górka* (tu zdrobniałe), na *-iec* (tworzy rzeczowniki od przymiotnika, *Piaskowiec),* na *-ik* lub *-ica* lub *-nik* i *-nica, -no, -owo;* one znaczą zawsze to samo: *Gniezno, Mogilno, Chąśno, Chełmno,*

[1] Więc się Paweł z tego Krosna, poeta humanistyczny, nazywał Ruthenus, chociaż był Niemcem i w Gryfji się uczył.

*Trzemeszno, Rogoźno,* odnoszą się do gniazda, mogiły, chąsy, chełmu, trzemchy 'czeremchy', rogozu 'sitowia', tak samo jak *Łęczyca, Kruszwica, Wiślica, Dębica,* do łąki, kruszwy 'gruszy', Wisły, dębu, albo *Głogowy* (nie *Głogów,* wiemy to z Nestora!), *Wilkowo, Tarnów* do głogu, wilka, tarnu 'ciernia'. W nazwie nie może ani winna tkwić zawsze jakaś oznaka czegoś osobliwszego, ani Gniezno nazwano, że było gniazdem państwa czy dynastji; Gniezno nazwano od gniazda (orlego?) dla jakiegoś trafu marnego, chociaż się tem nie zadowalają historycy; im *Gniezno* od księdza-księcia przezwane, niby '*Księżno*', ależ żadna fałszywa pisownia z *Kn-* po dokumentach czy kronikach nic a nic nie znaczy; przymiotnik brzmiał jeszcze w XVI wieku *gnieździeński,* a na monecie Chrobrego *Gnezdun* wyraźnie wybito; od księdza-księcia pochodzi *Książ* i *Książek (Kenese* roku 1193), a od knięgini-księgini *Księginki (Kneginiz* r. 1210); ścieramy więc z tej nazwy wszelkie blichtry dla czystej prawdy. *Kamieniec* i *Kamionka, Jasienica* i *Jasionka, Jagielno* i *Jagielnica, Chełmiec* i *Chełmno* i t. d. znaczą więc tosamo. Pospolite bywają też nazwy zbiorowe na *-ie, Brzezie* (od brzozy), *Brzeście* (od brzostu, dziś *Brześć), Dąbie, Uście* (od ust, nie ujście, chociaż istotnie ujście rzeki znaczy).

Złożenia z przyimkami są bardzo liczne, a czasem zjawiają się w nich przyimki w osobliwszej formie, np. *są-* i *wą-* zamiast zwykłego *z-, w-, Sąpolno* (gdzie się pola łączą); *Sątoki; Sąciaski* ('wąwóz', właściwie 'ścisk'); *Wąbrzeźno* (w brzeziu); *Wąsosze* (w sochach); *Wąwel* (z tego Wawel) 'wąwóz', por. nazwę *Wąwelnica; Wąchock* od wchodu; *Wądół.* Inne przyimki zjawiają się we zwykłej formie: *Międzyrzecze* (dziś *Międzyrzecz).* Częste są zespolenia z przymiotnikami: *Wiela łąka, Wiele pole, Długo siodło* (siodło znaczy wieś), *Biały, Nowy* i *Stary gród; Wyszogród* (złożenie istotne), *Ostroróg;* z rzeczownikami, *Konotop, Konopady* (z «twardem» *n,* jak w *konował, krwotok* i t. p.), *Kołdrąb* (kłodorąb, i u innych Słowian tak

samo), *Dębołęka* lub *Dębogóra, Odrowąż* i *Odrzykoń,* albo odwrócone *Krowodrza* i *Kozodrza.* To wszystko są nazwy niby «pierwotne», ale są liczne wtórne, t. zn. od gotowej nazwy miejscowej, rzeki, lasu, góry, urabia się przyrostkiem przymiotnikowym *-sk* nową nazwę, np. *Gdańsko* (ma się tak do pobliskiej *Gdyni,* jak *Radomsk* do *Radomia, Konojedzko* do *Konojad* i t. p.; te same nazwy powtarzają się bowiem w sąsiedztwie nieraz), ależ znaczenie tego *gd-* (por. pruskie *gude,* las?) z nazwą Gotów, co tu czy w pobliżu niegdyś przesiadywali, niema związku. Szczególniej częste bywają urobienia na *-sk* od nazw rzek, *Płock* od Płoty, *Bielsk* od Białej, *Czersk* od Czarnej, *Pułtusk* od Pełtwi (lwowskiej też), por. *Polska* (ziemia) od pól, *Śląsko* (pole) od Ślęży. Są to więc dawne przymiotniki, z domyślnym rzeczownikiem, bo Słowianie takie rzeczowniki (gród, siodło-wieś i pod.) stale odrzucali, gdy Niemcy swoje *-burg, -dorf* i t. d. stale zachowywali. Liczne nazwy na *-sko* i *-cko,* dziś męskie na *-sk* i *-ck,* wskazują więc zawsze inną, dawniejszą; nieraz niby jako kolonja wywodzi się od macierzy Konecko od Konojad i t. p.

Ciekawsze są nazwy z jakiegoś przypadku czy zdarzenia nadawane, nazwy niby anegdotyczne. Rozumiemy np. *Konotop, Konopad,* ale już u *Konojad* szło może nie o przypadkowe spożycie koniny, może raczej o istotną ofiarę pogańską, bo koń uchodził za najbardziej wyborową, dlatego też zwalczał Kościół usilnie wszelkie pożywanie koniny. Złożenia z *-jady* nierzadkie, obojętne, np. *Rakojady* lub *Rybojady, Wilkojedzko,* ale *Glinojady* ukrywają może jakąś tragedję głodową. Rozumiemy *Kołdrąb,* chociaż *kołd-* zachowało pierwotną kłody formę (co się powtarza w zawołaniu szlacheckiem *Kołdy* i nazwie szczepu nad Łabą serbskiego *Kołdici,* przez Niemców ze zwykłą ich wstawką *Koledici* wypisywanej). Nie wątpimy, że jakaś anegdota łączyła nazwy dwu bliskich osad na Śląsku w XI wieku, *Ciepławoda* i *Niecieplaistba (-izba),* lecz nie myślimy jej odgadywać.

Rozumiemy *Kurozwęki (zwęk* 'dźwięk'), *Wilkowyję, Osoryję, Złotoryję, Kołomyję* i t. p., ale *Czartoryja,* chociaż do niej i *Bogoryję* dorobiono, chyba od kretów, nie od czartów nazwana, a w *Czantoryi* i ten ślad zatarto. Rozumiemy: *Masłomiąca; Pustomyty* (gdzie myt nie pobierają?); *Krowodrza* (i *Kawodrza* z **Karwodrza,* o *krowa* i *karwa* jedno słowo) i inne na *drza; Łysobarg (-barg* toż co *bróg); Tucznababa,* ale *Koziebrody, Samoklęski, Pieścirogi, Śmierdzigrochy, Pasimiechy* i t. d. już od ludzi nazwane, jak poprzednie na *-jady.*

Wymienialiśmy dotąd nazwy, jasne same przez się, ale w innych zachowały się słowa i formy, dziś nie używane; np. w *Koprzywnicy* ocalała pierwotna *pokrzywy* forma; *Skowrodno* zachowało *skowrodę* 'brytwanę'; *Mielno* dawną jemioły formę; o *gwozdzie* 'lesie' zapomnieliśmy, ale w nazwach ocalał: *Gwoździec, Gwozdek, Gwoźnica, Zagost; Sągrodź* jest *zgrodzią (gródź* 'obora' i *są,* zob. wyż.); *Chwarstnica* i *Charsnica* z tego, obok zwykłego *chróstu* daje prapolską odmiankę. *Zdziary,* właściwie *Zdżary,* oznacza (jak *Praga,* por. *prażyć),* las *pożarem* wytrzebiony, jest to *z-żar, d* wsunięto; *Krzynowłoga (włoga* 'wilgoć', *krzyn* 'krzynica'), *Kleczewo, Kleczy dół* i in., od nazwy dla kijka (jakiego na Rusi i do majenia używają) i t. d. Języki słowiańskie, inaczej niż niemiecki lub grecki, nie zbyt skore do złożeń, ale w nazwach miejscowych (i osobowych, zob. niż.) sporo ich wykazują, nieraz w formie niezwykłej, np. złożenia albo raczej zespolenia z *wierzch* dla oznaczania górnego biegu, zawiązku, *Wierzchrzeka* (dziś *Wyrzeka), Wierzchlas* i in.; *Igołomia,* gdzie się *iga* 'jarzma' łamią; *Barućwirdz* 'utwierdzenie baru' (błota)? Zachodzą czasem zupełnie nieznane zresztą słowa, np. wieś *Kłobia,* t. j. kluska, i rzeczka *Kłobica* na Kujawach r. 1492, wedle rus. *kołob* i *kołobok,* tosamo, co nie z greck. *kollabos* pożyczone; *Kryry* od głosu ptactwa; *Dziewoklicz* i *Żaboklicz* zachowały dawne *klik* obok ogólnego *krzyk.* Z kronik ruskich możemy nieraz formy pierwotne odtworzyć, np. *Gło-*

*gowy*, nie *Głogów; Osobłogę* rzekę nazywa kronikarz *Osobołogą* 'rajós'? Szwankuje odmiana, *Kielce* miały niegdyś w drugim przypadku *Klec*, przymiotnik *klecki;* podobnie *Zgierz, Zegrza* i in.

Jako nazwy miejscowe zjawiają się i zwykłe przymiotniki, np. *Wyscke, Równe, Biała, Czarna, Sucha, Jabłonna, Złota, Głębokie,* rzeka *Kamienna, Wilga* 'wilgotna' pod Krakowem, chyba nie od ptaka (ruska Wołga?).

Częstsze są, zato wcale nie ciekawe, nazwy miejscowe od osób, założycieli, posiadaczy, mieszkańców, urabiane jak najrozmaiciej, ale oznaczające mniej więcej tosamo, i próby historyków odbudować na ich podstawie wszelakie różnice czasu osiedlenia i sposobu posiadania czy założenia nie wytrzymują krytyki. Najpospolitsze są zwykłe dzierżawcze niby od posiadacza nazwane, na *-ów, -in, -j; Poznań* od Poznana, *Kraków,* częste na zachodzie słowiańskim, od *kraka* '*kruka*' (imię nadawane osobie dla wróżby pomyślności), *Lublin* od *Lubla; Sącz (niem.* Sandez) od Sądka, t. j. Sędzimira; *Giecz,* właściwie *Gdecz, Giedcza* od *Giedka* i t. d. Takie nazwy zjawiają się po całej Polsce; natomiast nazwy na *-ice* są tylko w Mało- i Wielkopolsce częste, brak ich na Mazowszu, nie było tam na nie mody; nie należą bynajmniej do najstarszych, niema ich np. wcale między nazwami grodów dawnych. Uważają je mylnie za odojcowskie (patronimiczne).[1] Patronimiczną bywa nazwa osobnika, np. Polanin Polaninowic 'Wielkopolak syn Wielkopolaka'; w liczbie mnogiej, jako nazwa szczepowa czy miejscowa, traci *-ice* ten charakter, oznacza poprostu drużynę lub niewolników. Np. były w X wieku na Rusi wsi *Olżyczy,* ależ *Olga* nie miała prócz Świętosława dzieci, to jej niewolnicy-sługi. U nas *Biskupice,* to bynajmniej nie ród czy synowie biskupa, to jego ludzie niewolnicy; *Radzimicze* zaś lub *Wiatycze,* to drużyna Ra-

[1] Serbskie odpowiednie na *-ići,* częste od XV wieku, oznaczają nie rody, lecz posiadłość agi tureckiego!

dzima i Wiatka. Dlatego też wymieniają się często nazwy «dzierżawne» z «odojcowskiemi», nazwa na *-ów* z nazwą na *-ice*. Jest i trzeci rodzaj nazw odosobowych, liczba mnoga nazwy założyciela czy posiadacza osady, np. *Wilki, Baluty* i t. p., najbardziej na Mazowszu rozszerzony. Od człowieka Wilka może się więc osada z równem prawem nazywać albo Wilkowem, albo Wilczycami (Wilkowicami), albo Wilkami, albo Wilkowiętami czy Wilczętami (na Mazowszu częstsze): istotnej różnicy znaczeniowej czy czasowej niema tu wcale, chociaż gramatycznie są zupełnie odmienne; najgłówniejsza różnica ta, że nazwy na *-ice* i *-ięta* wychodzą zupełnie z używania, z mody. Dawny szczep śląski nazywają w X i XI wieku bądź *Dziaduszami*, bądź *Dziaduszycami:* to jedno i tosamo.

## IMIONA OSOBOWE

Ponieważ większa część nazw miejscowych od imion osobowych wyszła, więc i te zbadać należy. Są dwojakie, krótkie i złożone; krótkie, to przydomki, nie imiona właściwe, przymiotniki *(biały, mały)* i rzeczowniki *(lis, baran, rak, bąk, czyż, koziel, tur, chrąst, chebda, bez, jawor),* ale główny zrąb istotnych imion słowiańskich tworzą złożone, a tak było już u pierwotnych Arjów. Nadawano bowiem potomkowi imię, które mu przez życie jako talizman (bo tak ceniono ważkie słowo) towarzyszyć miało; imię było niby częścią ciała czy osoby, niem czarowano na zgubę lub zysk, niem wyprawiano na drogę życiową pod dobrą wróżbą, z życzeniem pomyślności, dla przyszłej chwały czy sławy; czem marniejsze były warunki istotne, tem chętniej łudzono się hasłami szczęścia, bogactwa, dzielności, jakie na osobę samą z imienia spływać miały. I stąd to mnóstwo nazw złożonych z *-sławem* i *-mierem,* co to samo znaczy: *Bolesław* 'większą sławę mający'; *Więcław (Wacław* dziś, z czeska),

to samo; *Włodzisław* (dziś *Władysław* z czeska i łacińska); *Wrocisław* (dawniej i *Warcisław*), a stąd nazwa Wrocławia; *Włodzimierz*, 'od władania słynny', i tyle było tych *-sławów* i *-mierów*, że wkońcu i *Sławomir* i *Mierosław* zjawić się mogli, gdzie obie części złożenia to samo znaczą. Wojowniczość dawnych czasów zwierciedli się w złożeniach z *wojem, borem, bronią: Wojciech, Wojbor* (dziś mylnie *Wolborz*), *Borzywoj, Bronisław;* gościnność sławią w złożeniach z gościem: *Dobrogost, Gościrad* (przeciwnie *Małogost*); zaletom ciała i duszy odpowiadają złożenia z *Dob(ry), Bol-, Unie-: Dobiesław, Bolemir, Unisław.* Nazwy żeńskie urabiano bez większego zachodu, dodawano *a* do męskich, *Ludmiła, Bronisława, Kazimira.* Porządek obu pni można i odwracać bez istotnej zmiany znaczenia, tak się z niemi obyto, np. *Gościrad* i *Radgost.*

Te pierwotne dwupienne, wielozgłoskowe nazwy złożone (najzasobniejszy to dział złożeń w językach słowiańskich) skracano i spieszczano w życiu domowem, i ustalały się wkońcu dla tego pewne wzory. Tak powstał z *Stanisława — Stach* i *Staszek, Stan* i *Stanek, Staniek, Stanko;* z *Włodzimierza — Włodek, Władek* z *Władysława; Dobek* z *Dobiesława; Bolko* z *Bolesława; Mścisz, Mszczuj, Mestwin* z *Mścisława,* nie mówiąc o dalszych spieszczeniach: *Staś, Stasiunio, Władzio* i t. d. Typ tych nazw, t. j. sposób ich tworzenia był odwieczny, aryjski, ale części złożenia odnawiano stale, naginano je do języka potocznego, przecież zalecały się głównie wyraźną zrozumiałością — dopiero później utrwalały się (bo powtarzano je stale, z ojca na syna, z dziadka na wnuka), chociaż już zatracała się zrozumiałość. Tak ocalały w nich słowa nieraz dziś już nieznane, np. *Spyci-*, 'darmo, napróżno'; *Uni-*, 'lepiej'; *Bole-*, 'więcej'; od *ret, rta* (ruskie *rot*, 'usta') pochodzi *Rcisz*, a stąd nazwa miejscowa *Rciszew* i z nadstawionem *a: Arciszew(ski)*, por. *Gębarzew(ski).* Albo od *siemji* 'familji', *Siemirad, Siemowit, Siemomysł*, chociaż Ruś ich przez *Somo-* pisze. Taksamo u nazw ko-

biecych, *Dobrawa* (żona Mieszki), zniekształcona w jakąś niemożliwą *Dąbrówkę*, co dobre dla lasu, nie dla kobiety, i *Dobrochna* (córka *Dobromira), Świętochna* (córka Świętosława); inne wedle męskich, *Modliboga, Stasia, Kazia* i t. d. Nazw tych używali wszyscy bez różnicy, ale czem człek był marniejszy, tem łatwiej zapominano jego właściwe imię, a oznaczano go wyzwiskiem od cechy jakiejś cielesnej czy od przypadku, więc *Łysek, Długosz, Chościsko, Chwościsko* od *chwostu* 'ogona' dla rzadkich włosów; *Piast* 'tłuczek' dla figury; *Rzepica* od *rzepy*-nosa?

Podziwiamy nadzwyczajną podobnych nazw obfitość, wyłaniającą się jeszcze z aktów XV wieku, nie mówiąc o dawniejszych. Popadają w te imiona nawet nazwy rzek i to obcych, *Dunaj, Dniepr* (później *Nepr);* anegdoty je wywołują, np. *Kobyla głowa* (na Śląsku, wiek XIII), *Tłuczymost* (ale *Babimost* nazwa miejscowa), *Kolibaba* i *Kolisiostra, Trzęsitobołka* (tyle co rzezimieszek), *Pędzipiwo* albo *Sieczypiwo, Męcikał, Sieczypawy, Pierdziwilk, Domasiadko, Suchopiątek, Skoczybłoto, Stachna Skubiskurowa* i t. d., niewyczerpane to zasoby humorystyki ludowej; zczasem przedrzeźniania coraz rozwiązlejsze. Wybraliśmy owe przykłady z późnych aktów XV wieku, ale już w XII i XIII było tak samo, jak nas poucza księga henrykowska, powtarzająca anegdoty za Kwiecikiem: był np. Czech Boguchwał, ale nazwano go *Brusalem* (bo raz tak do żony się odezwał, mielącej na żarnach), a siodło jego *Brusalicami,* o Boguchwale zapomniano; podobnie *Kikę* od mańkuctwa przezwano, ale właściwe jego imię, *Kwiecik,* utrzymało się w *Kwiecikowicach. Kotkę* od zbójeckich napadów nocnych, i całą szanowną rodzinę wraz z zięciem tak przezwano, a było to już drugie przezwisko, do pierwszego Kobyla głowa; dwaj bracia nazywali się *Z krzywą żoną* (?); *Łyko, Kula, Poduszka,* wszystko w XIII wieku, nie chłopskie, lecz 'rycerskie' imiona, dowodzą najlepiej, że żadnej pierwotnej różnicy nie było, że chłopów i rycerzy tak samo nazywano. Jak częste są np. nazwy od *siodła*

'sioła', np. *Siedlęta, Siedlewit, Siedl, Siedlik, Siedlim, Siedlis, Siedliszek, Siedloń, Siołek, Dobrosiodł* (stąd wieś *Dobrosiedlice), Niesiodł, Nowosiodł, Wszesiodł* i t. d.

Osobno nadmieniamy nazwy «przemysłowców», t. j. ludzi oddanych pewnemu rzemiosłu czy zajęciu, wedle których ponazywano i ich osiedla, np. *Bartniki, Szczytniki* (od *szczytu* 'tarczy'), *Konary* (od chowu koni), *Winniki, Łagiewniki, Psary, Świnary, Kołodzieje* i t. d.

Skąd się wzięły nazwy jak *Niemój* lub *Wilk*, zob. niż. Jak w nazwach miejscowych tak i w osobowych (i urobionych od nich miejscowych) ocalały nieraz słowa, oddawna już nieznane, np. *Kromolice* nazwane od *kromoły* 'sporu, buntu' (ale *Kromiszewo* i *Kromieszyn* i t. d. tu nie należą). Czasownika *kanić* 'prosić, nękać' nie znamy, ale *Kanimir* częsty; *suli* 'lepszy' zapomniany, zato roi się od niego właśnie w polskich i czeskich nazwach, *Sulejów, Sulisław* i t. d., w kilkunastu odmianach; dla Polski bardzo charakterystyczne *Siecie- (siecić* 'pomnieć', dawno zapomniane), w *Sieciesławie, Sieciejowie* i t. d. znowu w licznych odmianach. Od *raci* 'wojny' *Racibor* (obie części złożenia znaczą to samo, więc się ich nie «tłumaczy»), ale *Raciąż* nazwany od *racięcza* 'wojaka', zresztą nie używanego więcej; por. *Wojbor* i pod. Od *tomić* 'dręczyć' *Tomisław*, chociaż to nazwa nieco niepewna, może chrześcijańska (Tomasz?), zob. niż. W *Sęcygniew ę* zamiast *e* asymilacją do *-gn-* wprowadzono, ale i w *Secyminie* razi twarde *e*, oczekiwalibyśmy *sie-* i t. d.

Jak przy nazwach miejscowych, podobnie przy osobowych powstaje pytanie, czy nie kryją one śladów mitologicznych, bo ludzi, jak to od starożytnych wiemy, chętnie nazywano dla dobrej wróżby, dla opieki imieniem boskiem lub do takowego zbliżonem, pochodnem; bogonośne, *theofora*, je zwano. Rażący u nas przykład *Daćbogi*, których na Mazowszu jeszcze w XV wieku wiele. Uderza nas dalej mnóstwo naszych imion złożonych z *bóg* czy od niego pochodzących; w całej Słowiańszczy-

źnie *bóg* tworzy, obok *mił, rad, dobr* i *drog*, najwięcej imion, ale to nie rzecz chrześcijańska, gdzie nawet nazwy jak *Theodorus, Deodatus, Theofilus* i t. d. nie nadto częste. Oto zbiór nazw z dyplomów polskich XII i XIII wieku: *Bogdan (Bogdanek, Bogdanice), Bogdasz, Bogdał, Bogodar; Boguchwał, Bogufalec; Bogumił, Bogumiła, Bogumilec; Bogusław, Bogusława, Bogusławiec, Bogusz, Boguszna, Bogusza, Boguszka; Boguta; Boguwola; Bogsza; Bogieł; Boż, Bożek; Bożan, Bożana, Bożen, Bożej, Bożuchna, Bożęta; Bożciech; Bożebor; Bożydar; Bożysław; Modlibóg, Falibóg* — nazwy zaś jak *Boguchwał* lub *Bogumił* powtarzają się u kilkadziesiąt osobników, należą do najpospolitszych. Tu należy i nierzadkie *Bodzepor*; jest nawet chłop *Bodzeporek* w XVI wieku, co bynajmniej nie jest «zupełną zagadką», rozwiązanie jej dał Miklosich, bo *Bodzepor* ma się tak do *Bożepora* (poświadczonego u nas i u Czechów), jak *Bodzęta* do *Bożęty*, natomiast druga część *-por*, od spierania się, należy do rzadszych: *Opor, Niepor* (?). Może te nazwy z *Bog-* skrócone z *Dadźbog;* pierwszą część nazwy znachodzę w *Dadźko, Dasz, Daszek.* Swarogu szukałbym w *Swarze, Swarzyszu.* Do najczęstszych imion należą dalej *Świętopełki* i *Świętosławy, Świętek, Świętawa, Świętosz, Święciech, Święca, Świętomir,* ale wolno zapytać, czy *święty* ma tu znaczenie kultowe (bożek Świętowit nie u nas znany), czy tylko tyle co 'jary, krzepki'?

Dla osobliwszych dziejów rodzinnych wspomnę o dziwnych nazwach z *bez: Bezdziad* i *Przezdziad, Bezstryj, Bezwuj;* dalej: *Lelistryj, Miłostryj, Sulistryj, Żelistryj, Małostryj, Dalestryj, Bezstryk, Małostryk* i *Mściwuj, Miłowuj, Nieznawuj, Rałowuj, Suliwuj, Domawuj, Gościwuj, Zdzi(e)wuj, Zdawuj: wuj* jeszcze częstszy niż *stryj; zdzi- zdzie-*, może i *zda-*, znaczy tu w przeciwieństwie do *dale-*, więc *Zdziebąd, Zdzieborzyc, Zdzisław, Zdzigod, Zdzimir, Zdzięta,* w przeciwieństwie do: *Dalebor, Dalemir, Dalisława, Dalemił, Dalesz* — czy i *Daluj*

i *Dałost*? Wedle mylnie pojętej formy urabiano nowe imiona; ponieważ *Mści-sław* łączono ze *mści-ć*, więc na tę samą modłę urabiano i *Przyby-sław* do *przybyć*, a *Chociemir* do pierwotnego *chocieć* (chcieć). Niezwykłe jest *Osiębor*, t. j. tyle co *Sambor* (borzący, t. j. walczący sam, o się), ale ponieważ go stale piszą *Osimborius*, to tkwi może w pierwszym członie złożenia przyimek *osim* ('oprócz, bez', serbskie, cerkiewne *osvěn*)?

Nierównie dawniejsze bywają nazwy rzek (góry znaczniej nie występują śród naszych płaszczyzn; na Podhalu bywają i późne niemieckie, np. Giewont). I tu są liczne nazwy wtórne, np. od miejscowości *Radomka*, od *Radomia* (a ten od *Radomira*); *Pilica* od *Piły*; na *-ka* najczęstsze, rzadsze na *-ica*. Do dawnych należą wszelkie na *-wa*, *-awa*, *-iawa*, *Srzeniawa* (od śrzonu), *Widawa*, *Olawa*, *Kakawa*, *Gąsawa*, *Mozgawa*, *Rudawa*, *Stobrawa* i in.; dalej nazwy na *-ew*, z pierwotnego *-y*, *Pełtew*, *Narew*, *Tanew*. Jasne są *Bóbr* i *Biebrza*, *Wieprz*, *Lipa*, *Brzeźnica* z brzozowego lasu wypływająca, *Jaworzyca* podobnie; *Warta* od szybkości, ależ u innych, np. *Odra*, *Wisła*, nie wiemy nawet, z jakiego one poszły języka. We pniu występują często samogłoski najsłabsze, później głuchnące, więc *Wkra* (lit. *wikras*, 'prędki, wartki'), *Dbra* lub później *Brda* (od *debry* przezwana, jak *Dbrzyca*, później w *Dobrzycę* zniekształcona), *Cna* (na Rusi pełniejsza forma *Desna*), *Strwiąż* lub *Stryj*, od pierwiastka tegoż co ma *strumień* (*sreu* aryjskie, 'płynąć'), przyrostek jak w *pstrąg* i t. p. *Mozgawa* przezwana od *mozg*- 'torfu', por. *mozgrowiska* 'torfowiska' w Tatrach, może i takie jak *Mozyr*; druga nazwa torfowiska *smogor*, u nas tylko w nazwach miejscowych ocalała, licznych w Wielkopolsce, *Smogorzewo* i in. (por. *Smogulec*, wszystko od palenia, 'smogu, smażenia'). Nazwa *Wieprza* bardzo charakterystyczna, może do mitologji należeć, bo wieprz bywał genjuszem-opiekunem i innych wód; Thietmar wspomina o olbrzymim wieprzu, zjawiającym się jako oznaka przyszłej odmiany, w jeziorze pod świą-

tynią Swarożyca w Radgoszczu lucickim. To wszystko nazwy rodzime, ale są i inne, co się dziwnym trafem (?) powtarzają u Celtów, np. *Mień* (nad innym *Mieniem* leży *Mińsk* białoruski, dawniej *Mieńsk),* ten sam co *Men* pod Frankfurtem, albo *Nida; Drwęca* przypomina celtycką *Druentia,* ale to raczej nazwa pruska, razi tylko jej nie pruskie *c.* Są i dziwne, pradawne złożenia, np. śląska *Osobłoga (Osobołoga* w ruskich źródłach XIII wieku); poznańska *Czestnapaza* (dosłownie 'ramię' czy 'odnoga drogi'-cesty); *Istwarta* (dziś *Liswarta),* t. j. istotna Warta i in.; *Mroga, Noteć,* patrz wyż. Nazwy rzek bywają i nazwami osad, np. *Wisła, Odra, Obra* i in., a w dalszem urobieniu *Wiślica, Obrzyca, Odrzyca* i in.

Ograniczyliśmy się rdzenną Polską, ale uwagi nasze dotyczą tak samo Rusi i Litwy. Na Rusi śród nazw rzek są i obce; *Dniepr, Dniestr, Boh* nie są słowiańskie. O dawnej granicy etnograficznej świadczy nieraz forma nazw miejscowych, np. *Bełz,* choć leży na dziś ruskiej ziemi, samem owem *eł* polskiego początku dowodzi (znaczy 'błysk'); *Rawa* ruska i mazowiecka nie przypadkowo jednakie; *Przemysł* (stąd *Przemyśl)* było ulubionem imieniem zachodniem, nie ruskiem. Może więc nie przypadkiem grody Czerwieńskie (nazwa na Mazowszu dobrze znana) z Przemyślem Chrobry Rusi odbierał, może szczepowa granica sięgała niegdyś dalej na wschód? Czeskie imiennictwo jest tak do polskiego zbliżone, że niema żadnej niemal naszej nazwy miejscowej, któraby się w Czechach nie powtarzała, przy badaniu polskich należy więc i czeskie uwzględniać; to samo powtórzymy o lucickich i innych zachodnich; nasza *Kcynia* np. powtarza się w Marchji i Meklenburgu jako *Exin* lub *Kessin* (stąd nazwa całego szczepu lucickiego *Chizzini,* Niemiec wstawił samogłoskę), a *Stepenitz* będzie *Stobnicą.*

Najciekawszych imion dostarczają dawne akty i kroniki, lecz wobec nieustalonej nadzwyczaj ortografji nie zawsze odgadniemy właściwe brzmienie. Należy pamiętać, że wstawiają

dawni, nieraz obcy pisarze samogłoski, których w wymowie nie było, szczególniej przy skupieniach, dla obcego ucha mniej zwykłych, piszą *Gidanisk, Gnezdun*, zamiast *Gdańsk, Gniezdno; vethenici* u Thietmara są *wietnicy; narochenici* z r. 1224 nie są bynajmniej *naroczeńcy* jacyś nieznani, lecz zwykli *naroczńicy;* piszą nawet *Zitarigroda* zamiast *Starogrodu*! Są i inne osobliwości, np. kronika Galla pisze wszystkie nazwy z czeska, *Sudomir* (Sandomierz), *Zutok* (Sątok), *Labe* (Elba), *Swatopolc* (Świętopełk pomorski) i t. d. — czy to właściwość tylko jednego rękopisu? Ale i w śląskich dyplomach XII wieku znajdziemy z czeska wokalizację *grad* zamiast *gród* (por. *Plauci* u Galla zamiast *Płowcy).* Są inne różnice między czeskiemi a polskiemi przezwiskami, my nie znamy w nich częstych u Czechów imiesłowów przeszłych, np. *Nawratil, Doleżal, Wyskoczil* i in. Wspomnę mimochodem, że obok patronimików istniały matronimika: *Magdzic, Wdowic; Anczyc* od *Anki* zachowało nawet pierwotne *-ic?* (por. niem. *Anschütz?).* Nas cechują nazwy na *-ała, Grzymała, Pękała, Pierzchała, Tarchała* 'gaduła', *Cińciała* (por. nazwy jak *Odymalski, Ociosalski* i in.), *Drzymała, Ogorzała, Rękała, Opachalc, Szacała* czy *Szarzała, Mizgolec, Obarała, Grala, Strugała, Niegibała, Chorąbała.*

Do rzadszych należą nazwy miejscowe na *-lin,* polegające pierwotnie na nazwach osobowych na *-ła,* np. *Lublin* od **Lubla* (a to od *Luba,* por. *Lubowla), Chróślin* od *Chros(t)ła, Kietła, Stradła, Dłotła* i wedle nich wsuwano tam *ł,* gdzie właściwie nie miało miejsca, np. *Wierzblin* (słynne w Marchji *Fehrbellin,* Niemcy wsuwają samogłoski), *Dęblin, Kaczlin, Goślina, Barklino, Trzewlin (Krzewlin?), Dymlin, Ważlin.*

Język, tworząc od wtórnych nazw miejscowych przymiotniki, nie postępuje wedle jednej zasady, t. j. od nazw na *-sk, -ów, -in* odrzuca lub zachowuje *-ów, -in,* ale *sk* zawsze odpada, więc przymiotniki do *Gdańsk, Płock,* zawsze *gdański, płocki;* również od *Lublin lubelski,* od *Zbąszyń zbąski,* od *Krotoszyn*

*krotoski*, ale od *Korczyn korczyński*, nie **korecki*, gdy *-ów* zawsze zostaje, *lwowski* i t. d.; *-anie* odpadało, *pomorski* od *Pomorzanie*, *polski* od *Polanie*, ziema *Polan* jest *Polska* ziemia, *Ślężan Śląsko* (domyśl się *pole*, nie *siodło*).

Zagadek tu na każdym kroku co niemiara; np. jest w Wrocławiu część miasta, der *Elbing*, ależ z pruskim Elbing nic niema spólnego; nazywała się w XII i XIII wieku *Olbin*, a to chyba polski *Olpin* od imienia *Olpa* (XIII wiek), są i *Olpice; Olpa*, imię nordyjskiego wikinga-rycerza, Olafa; tak w *Jakonowie Hakona* mamy, a *Haralda* w *Jaraltowie*, może i *Svenna* w kaszubskiem *Sionnowie* (?), a *Jaszczołt* z *Askylda* poszedł, *Ottara* w *Otorowie* (?). Szczególniej obfitują nazwy chłopskie w dziwotwory, *Mikmidej (Firlej* też między chłopskiemi) i liczne na *-j*, *Surschey*, *Czembey* (czy to samo co *Zambay*?); *Gargol*, raczej *Gorgol; Czirzasty*, *Zdbyl*, *Solsza* (nieraz), *Zenik*, *Czikola*, *Lacheta*, *Duleba* (niby z Wołynia!), *Opiołka* (mentula) i t. d., do niewyczerpania. Ciekawszy nierównie taki *Panigródz*, r. 1222 *Pangroz*, r. 1360 *Pangrodz*, pisze się r. 1153 *Poyengroza*, od *Pojęgroda*, 'co *pojął* (zdobył) *gród*', *oję* ściągnięto w *o*, por. ruski jeszcze starszy *Perejasławl* (marchijskie *Prenzlau)* od 'przejęcia sławy'; więc tkwi w nazwie taki sam fakt historyczny, jak np. w *Pobiedziskach*, chociaż nigdy się nie dowiemy, jakie to *zdobycze* i *pobiedy* były. Za to w 'końcówkach' nic osobliwszego niema, np. *-awa*, że częste w nazwach rzek, nic z wodą (niemieckie *-ahva)* nie ma spólnego ani jako *-dawa* w *Kłodawa*, z trakodacką nazwą grodów *-dewa; Kłodawa* jest to samo co *Kłoda*, *Kładzko*, *Kłodziny*, *Kłodzie*, *Kłodzisko*, *Kłodzino* i t. d.; gramatycznie to różne zupełnie nazwy, rzeczowo te same. 'Końcówka' *-awa* więc najzwyklejsza, por. *Bielawy* i t. p., ale w *Warszawie* zwodzi, bo gród nazywał się dawniej *Warszewą*, t. j. *Warszową* od *Warsza*, a *Warsz* jest częstem imieniem słowiańskiem, czeskie *Wrsz* (słynni stąd *Wrszowcy)*, i łączy się z *Wierzchem*, *Wirzchusła-*

*wem* (częste u nas; raz nawet *Uarchozlaus* napisane), nie z *warchem, warcholem,* ani z *Warcisławem,* od którego *warch-* mogłoby być skróceniem, tak że *Warszewa* i *Wrocław* byłyby tego samego początku.

Od dzisiejszego kształtu nazwy winniśmy do dawniejszego się odwoływać, aby ją zrozumieć, np. *Panigrodz,* dziś niezrozumiałe, jasne wedle pisowni z r. 1153; *Ladorudz, Wildno, Kurnatowice* i t. d. tak samo niezrozumiałe, jasne wedle dawnych form: *Kunratowice, Radoludz, Widno. Orpiszewo,* zapytano «czy Orfeusz», ależ bynajmniej, pisano je dawniej (r. 1403) *Rpiszewo,* od imienia *Rpisz* r. 1136, tak samo piszą *Rpiszka* i *Orpiszka, Rpikowo* r. 1418, ale *Orpikowo* r. 1557; r. 1378 *Rchowo,* ale 1427 *Orchowo;* wyżej mieliśmy Arciszewo z podobną przystawką, gdy w starym języku takie «twarde» nagłosy nie rzadkie, oto w Płockiem niedaleko od siebie wsi *Rchów, Rcyeschewo, Rczylyew, Rczelino, Rzgowo, Rznewycze,* a imiona *Rbythek,* Mathias dictus *Rgil* de *Rgilewo* (o *Rgielsku* zob. niż.), *Rchutk* de *Rchutowo.*

Inowrocław nazywa się r. 1193 *Novum Wlodizlaw,* bo *-ino* z *jino* jest *juno* 'młode' (jak *igo jugum),* por. *Inowłodz* (więc różne od *ino-* 'jeden', *inochodnik* i t. p.), a *-wrocław* polega na stałej dysymilacji dwu płynnych (np. *Velnerus* z *Wernerus, Małgorzata* i t. p.). Cum insulis *yspy* (Helcel nr. 3902), nie wiem, czy to nazwisko czy appellativum, *Isep* (nie *Izep!)* oznacza ławę piasku w wodzie, od pierwotnej, u nas już nigdy niemal nie zachowanej formy *iz* 'z' i *sep (sypać, wyspa),* u Czechów *Iesep,* bo oni mają *je-* zamiast naszego *i-* z *ji-,* np. czeskie *jehla,* nasze *igła.*

Tak nazywała pierwotna Polska ludzi i osady, podsuwając badaniu nieskończone pole do uwag i spostrzeżeń. Nowsze czasy, po przyjęciu chrześcijaństwa, dodały mnóstwo nazw chrześcijańskich u osad, owe *Janów, Piotrków, Maciejowice* i t. d., ale imiona chrzestne przybierają nieraz dziwne nieco

kształty, i nie zawsze odróżni się, co chrześcijańskie a co dawniejsze. Np. *Cherubinowicze, Charbinowicze* pewnie od *Cherubina* (biskup poznański tegoż imienia r. 1180 i in.), ale *Charbowe, Charbice, Charbielino* nie koniecznie od zdrobniałego z Cherubina *Charb-* pochodzić winne, może to nazwy «pogańskie» jeszcze. Dzisiejsze *Jankowo* (od XVI wieku tylko tak) nazywało się w XIV wieku stale *Nankowo* (podobnie zwały się czeskie *Jenikowice,* dawniej *Nenkowice),* jak *Janocin* się r. 1557 *Ninoczino* zowie *(Nino-* prastary pień imienny, *Ninogniew* i t. d., nieznanego znaczenia); więc i tu uważać trzeba, czy chrześcijańska forma nie pozorna tylko. W chrześcijańskich samych trudno nieraz pień właściwy wykazać, *Mazia* może być spieszczoną *Marją, Magdą, Małgorzatą; Jaksa* od *Jana* czy *Jakuba* czy *Ajaksa* lub *Jazona* nawet, jest przecież Jaktor z *Hektor* i *Jaracz* z *Horacego,* a *Parys* wcale nie rzadki i t. p.

Dawni ludzie nie ścieśniali się żadnemi względami na «przystojność», używali i najdrastyczniejszych zwrotów - porównań, późniejsi «uzacniali» potem niejedno, tak dostały *Pyzdry y* zamiast innej samogłoski (por. niemiecką ich nazwę *Peisern),* a roi się wręcz od rzeczek jak *Pisia, Pichna, Pisna, Pilsia,* a żeby wszelką wątpliwość znaczenia usunąć, jest ona a raczej była i *Sromotką* (co więc bynajmniej nie «plugawa woda»), może i *Pirsna* nie lepsza, ależ i ludzi zwą w XII wieku *Pisla,* a piszą to z łacińska *Piscla. Nanajko* od *nana* -taty, *Poziemichód, Kosnababka* (Jakusz) ujdą, ale *Pirdziączka, Piździmęka* i t. d. nas gorszą, dawnym bynajmniej nie wadziły.

Od imion i nazw wychodzimy nieraz dla odczytania poprawnego dalekich dziejów; niemi posługiwano się zawsze w tym celu od czasów Janka z Czarnkowa i Dębołęckiego; niemi wojują ci, co Słowian za pierwotnych obywateli Europy środkowej i Bałkanu uznali (wszelacy «autochtoniści»), a historycy i heraldycy tego materjału dla kombinacyj własnych stale używają. Znaleźli np. różnicę między «rycerskiemi» a «chłopskiemi»

nazwami, ależ ta różnica zasadza się tylko na tem, że szlachcic obok swego przydomka, np. *Ssimamek,* zachowywał imię, gdy chłopa tylko przydomkiem wołano, zapomniawszy o imieniu; czem dalej wstecz, tem mniejsza różnica; po nazwie roślinnej, np. *Chebda,* nie poznać, czy o chłopie czy o wielmoży mowa. Dalej śledzono uważnie, jak się imiona i nazwy powtarzają, bo nowo osiedli przynoszą z sobą nazwy dawnych osiadłości (widzieliśmy to i w Stanach Zjednoczonych) i po nazwach można następstwo i kierunek kolonizacji wytykać; Słowianie przenosili z nad Wisły i Warty nazwy nad Odrę i Łabę. Z samych imion odgadują, jakiego to rodu tak nazwani, boć wiara sama wymagała, by dziad lub ojciec w synu czy wnuku się odradzali, ale to narzędzie nieraz zawodzi. Z nazw chłopskich XI wieku wywodzą miejscowości jako osiedla tych chłopów: słusznie do pewnej miary, ależ ją przy tynieckich np. najdowolniej przekroczono i wywody tracą wszelką siłę. Trudności mnożą się i przez to, że nazwy się z czasem odmieniają, np. jedna i ta sama wieś nazywała się r. 1388 *Mandziglouice,* 1424 r. *Maszigloulce,* około r. 1520 i 1578 *Mazydlowicze:* wolno wybierać. Przedewszystkiem należy się wystrzegać zbyt bujnych wymysłów, np. «*Lanchomirus* de *Lanchomiry* może być i *Lęchomir* albo *Lachomir* z *Lachmirowic,* byłby to więc osadca dający *Lęchom* albo *Lachom* mir w przeciwieństwie do *Niedamira,* zapisanego w niedalekim klasztorze mogileńskim. Sąsiad jego *Polanin,* osadca *Polaninowic,* pochodził więc z szczepu polańskiego. Jaki jest stosunek historyczny tych dwu nazw?» Ależ niema żadnego, *Lęchomir* jest zwykłem złożeniem z *-mir,* co do każdego pnia przystępuje, a *Polanin* to samo co Polak. Równie śliskie bywają wywody, pozornie ściśle naukowe, w istocie zupełnie fantastyczne, np. uznające w niezłożonych nazwach *z Go-* jakieś złożenia, np. *Gopło* = *Go* + *pło (pleso* 'jezioro'), *Godzięba* = *Go* + *dzięba* (niby do dębu, ależ *Godzięba* jest prokla-

macją a *trzy sośnie* herbem i nic nie mają spólnego, tak jak *Lis* proklamacja a herb i tyle innych); pewnie, że należy wszelkich dróg próbować, ale manowce to nie drogi. Przyjdzie jednak niestety wyznać, że sporo nazw, i to nieraz najciekawszych, pozostaje zagadkami, np. nazwa herbu i miejscowości *Czawuja* czy *Czewuja, Czewujewo* (pisane i najrozmaiciej), co z pewnością nie złożone z jakiemś *cza* i *wują* równie niemożliwą i tyle, tyle innych. Bywa i tak, że wynik nie odpowie wcale wyłożonemu trudowi.

Jak szukaliśmy wspomnień mitologicznych w nazwach topograficznych i osobowych, podobnie możnaby i o historyczne się dopytywać, czy powtarzają się w nich szczegóły jakiekolwiek? Przecież w różnych *Popowach* i *Cerekwicach* bajano nam o ruskich wpływach od Polan naddnieprzańskich, uchodzących przed Olegiem do Polski! zapomniano tylko, że *pop* i *cerkiew* staropolskie terminy. Nazwy jak *Golędzinowo, Prusinowo* nie dowodzą kolonji np. więźniów, jak *Płowce, Jatwięgi* (koło Rudek), *in-* prawi wyraźnie, że mowa tu o jednym Golędzinie i jednym Prusinie, wedle nich nazwano osiedle. Nazwa plemienna Serbów bałkańskich i łużyckich powtarza się w naszych licznych *Sarbkach, Sarbiewach, Sarbicach, Sarbinowych* i *Sarbinowicach* (co nie od *Serafina* nazwane, ich *in* znowu indywidua wskazuje), a rok 1202 nadmienia nawet kraik Sarbia koło Krosna nadodrzańskiego, ale to nam nazwy dalej nie objaśnia; są przecież i *Kłwaty* z dawnych *Krwatów*, t. j. *Chorwatów. Obra, Obrzyca, Obrowo, Obrzycko* (rzeki i wsi) nie od Awarów-Obrów nazwane, jest i *Nabra; Kunowo* nie koniecznie od imienia *Kuno, Kunami* zwali się Połowcy-Węgrzy (Kumani), a od Węgrów *(Węgrzynowo* już w XII wieku) i Czechów roi się w nazwach; jaką wartość przeróżne *Niemcze* mają, o tem była wyżej mowa. Nazwy z *Rus-* pochodzą i od pnia *rusy*, napewne np. *Rusocin*, nie od Rusi, więc wniosek o kolonji czy pamięci ruskiej byłby arcyniepewny.

Nie należy jednak przy wywodach etymologicznych zapominać o tem, że przy dobrej woli a niejakiej wprawie można etymologicznie wszystkiego dowodzić. Że nazwy starożytne, jak *sinus Codanus* (dla morza Północnego, czy dla Bałtyku właśnie?), lub miasto *Budorgis* są słowiańskie, lechickie, to da się wywieść z łatwością — tylkoż to niczego nie dowodzi; byle zapiska historyczna ma więcej wagi, niż najsubtelniejsze etymologje, np. jeśli na akcie poznańskim sprzedaży dwu łanów na Wirzbicy stara ręka dopisała «Wirzbica, ad praesens *Wilda* a possessore sic dicta», to tego wywodu nie obali żadna etymologja, żaden *Wieldząd* czy inne. Albo jeśli w wyzwisku narzeczowem 'ty *brągwiu*' upatrywać nazwę Franków, a w podobnem 'ty *obrzynie*' Awarów, albo zagadkowe imię Mieszki *Dagome* łączyć z nazwą bogini płońskiej *Podaga* (wypisaną przez Helmolda, co po słowiańsku nie umiał i pewnie coś poplótł), to wolimy z podobnych etymologij rezygnować, bo są one nawiane przypadkowem zbliżeniem dźwiękowem, do którego się potem dorabia pozory naukowe. Granic pewnych między etymologją a pseudologją niema.

Niejedną trudność usuwa czeszczyzna, obfitująca w nierównie starsze i bogatsze źródła słownikowe, niż nasze. My np. nie rozumiemy już nazwy *Szeliga, Szeligi* (szlachecki ród i miejscowość), albo *Cielma* (por. poznańskie *Cielmice, Cielmowo,* i ród szlachecki *Cielma);* objaśni je nam słownik staroczeski (z r. 1360): *sseliha* 'clapo' (ostre narzędzie, cerkiewne *szelyga pertica ferrea)* w rozdziale 'de fabrilibus' (o kuźni); *telma* 'capsa' w rozdziale 'de utensilibus' (o sprzętach domowych), u nas je i *tunkiem* (od *tuny* 'tonne') tłumaczono. Nie wspominam o czeskich nazwach familijnych, co się u nas udomowiły, jak *Matejko, Szajnocha* (ta sama nazwa, co u Kroatów *Szenoa* nosił ją romansista zawołany); jest to czeskie *szejnoha,* chromy; *Szantroch* (poeta z grupy Czartaka), to czeskie

*szantrok* 'lichwa' 1360 r., dziś 'oszustwo' i in. Dalej «filius Bripine» zachował imię Słowaka, Przybiny, ojca Kocela, znanego z legendy Cyrylometodowej. Inne trudności usuwają źródła niemieckie, tak w «wykazie imion nieodczytanych» (u Taszyckiego, zob. niż.) jest nieco niemieckich, np. *Hijc*, najpospolitszy Niemiec *Iko*, *Frowinus* i in., wystarczy popatrzyć do Förstemanna *Namenbuch;* kilka nordyjskich imion przytoczyłem wyżej. Czasem jeden dokument poprawia drugi, np. u Stenzela pod r. 1267 wydrukowany między świadkami Hermannus Nemen i Rule frater suus, zakrawają na jakichś Niemców, ależ to Polak *Rzemień* (pisany *Remen*), bo w innym dokumencie, późniejszym o dwa tygodnie, ten sam Hermannus przezwany *Corrigia*, a *corrigia* to *rzemień* (i pliszkę nazywano *corigia*, ale tej nazwy notarjusz pewnie nie znał). Należy więc używać wszelakich «recept», ale bywają pacjenci (imiona i nazwy) wręcz «nieuleczalni», chyba przypadek je ocali. Najczęściej ocala je starsza (z dokumentów wzięta) forma; nie zrozumiemy przenigdy np. śląskiego dzisiejszego *Jerschnock*, ależ r. 1245 pojawia się on jako *Rinacovici* i zagadka rozwiązana i najskuteczniejszy to środek.

## BIBLJOGRAFJA

Jan Czekanowski: *Wstęp do historji Słowian, perspektywy antropologiczne, etnograficzne, prehistoryczne i językoznawcze*, Lwów 1927; pierwszy opracował izoglosy dla kilkudziesięciu wyrazów; inni wykonywali podobną pracę na skalę znacznie mniejszą, np. Antonina Obrębska: *«Stryj, wuj, swak» w dialektach i historji języka polskiego*, Kraków 1929. Wynik tej bardzo starannej pracy jak najskromniejszy: narzecza północne mają *wuj, stryj*, południowe *ujek, stryk;* dla *swaka* (szwagra) niema izoglos, on po całej Polsce się szerzy, ustępując miej-

scami wujowi lub pociotowi. Wszelkie podobne prace ustalają tylko stosunki dzisiejsze i nie dozwalają wnioskowania wstecz, więc je pomijam.

Co do mazurzenia, wznowił Mieczysław Małecki: *Cakawizm z uwzględnieniem zjawisk podobnych,* Kraków 1929, starą bajkę: wykazał, że w narzeczach chorwackich i słowieńskich w kilkunastu miejscowościach od XVII wieku pod wpływem włoszczyzny i niemczyzny nie rozróżniają tubylcy szeregów *cz, ż, sz* i *c, z, s.* Stąd uroił sobie autor, że i nasze mazurzenie (z dziesiątego wieku i na olbrzymiej przestrzeni) podobnie pod wpływem obcym, tym razem od Finów (co szeregu *cz, ż, sz* nie znają), brzmień *cz, ż, sz* się zrzekło. Gdyby w tym pomyśle był choć cień prawdy, oczekiwalibyśmy słusznie i śladów innej jakiej fińszczyzny, np. w słowniku lub w nazwach topograficznych. Skoro takich śladów zupełny brak, skoro nikt dotąd prócz jawnych myłek lub przypadkowej zbieżności nic fińskiego w naszym języku nie wykazał, upada sam przez się ów niefortunny pomysł.

Dla imiennictwa topograficznego podał niewyczerpane zasoby *Słownik polski geograficzny* Sulimirskiego i Chlebowskiego, tomów szesnaście, Warszawa 1880—1902; dalej siedmiotomowy zbiór ks. St. Kozierowskiego: *Badania nazw topograficznych Wielkopolski* i najcenniejsze przyczynki, wydawane w tomach *Slavia Occidentalis,* wszystko w Poznaniu. Umiejętnemu opracowaniu tego materjału (imion topograficznych i osobowych) rzucił pewne podwaliny na wsze czasy Fr. Miklosich w czterech rozprawach, rozprószonych w wiedeńskich *Denkschriften* Akademji, dziś razem zebranych p. t.: *Die Bildung der slavischen Personen- und Ortsnamen,* Heidelberg 1927; w dziale teoretycznym tam niejedno przestarzałe, ale całość dziś tej samej podstawowej wartości, co przed pół wiekiem zgórą. U nas J. Baudouin de Courtenay opracował ten sam materjał, ograniczając się do źródeł polskich i kończąc rzecz wiekiem XIV, w rozprawie rosyjskiej, Lipsk 1870. Od tego czasu przybyło i aktów sporo i staranniej wszystko powydawano nanowo; materjał ten, ograniczając się imionami osobowemi i kończąc wiekiem trzynastym, zebrał Witold Taszycki w pracy p. t.: *Najdawniejsze polskie imiona osobowe,* Kraków 1925. Materjału, szczególnie śląskiego, nie wyczerpał, brak różnych przydomków, np. z r. 1267 venatoris nostri Sulizlai *Plascote,* albo z r. 1288 Petrus dictus *Golanta* (razi, jak często «golizna», w przydomkach chyba tylko występowała, ile tych Golców i Gołków bywało); opuścił imiona chrześcijańskie, ciekawsze nieraz niż pogańskie (dla formacji), ale zatrzymał takie jak Piotrumiła (a czy w złożeniach z *Bog-* niema i chrześcijańskich?); objaśnienia nieraz mylne.

Tadeusz Wojciechowski w swej *Chrobacji* (I, Kraków 1873, więcej nie wyszło), pierwszy badania historyczno-społeczne o nazwy miejscowe oparł, lecz pomieszał kategorje gramatyczne ze społecznemi i zbyt wiele z językowych wyczytał; ograniczył znacznie jego wnioski Fr. Bujak: *Studja nad osadnictwem Małopolski,* Kraków 1905. *Nazwiska polskie* (osobowe) ze stanowiska etnografa opracował Jan St. Bystroń, Lwów 1927.

ROZDZIAŁ TRZECI

# POLSKA POGAŃSKA. SPOŁECZEŃSTWO

Prasłowiańskie różnice stanowe i ich nazwy. — Ustrój pogańskiej Polski. Władza książęca i jej organy. — Skarbowość. — Sądy. — Wojsko. — Wpływy obce. — Bibljografja.

## PRASŁOWIAŃSKIE RÓŻNICE STANOWE I ICH NAZWY

Już we wstępie zaznaczyliśmy, że prawiąc o społeczeństwie Polski pogańskiej, nie myślimy wcale poruszać jakichś pytań o pierwszych początkach społeczeństwa i jego najpierwotniejszej organizacji, dla tej prostej przyczyny, że one wszędzie podobne. Niema wielkiego narodu, któryby nie przechodził zwykłego rozwoju, któryby nie znał pierwotnej większej swobody, z czasem silniejszej organizacji, przechodzącej w absolutyzm, podminowany następnie przez rosnące wpływy i znaczenie duchowieństwa i szlachty; wszędzie znajdziemy despotę-książęcia, a niewolne ludy; wszędzie domagała się szlachta wraz z księciem nieograniczonej władzy, posiadania wyłącznego całej ziemi, nieraz nawet defloryzacji poddanki-dziewczyny, gdy zamąż wychodziła; gdzie szlachty niema, tam w naszych czasach dopiero zginęła.[1] Twierdzono wprawdzie, jakoby społeczeństwo polskie dzieliło się pierwotnie na ludzi wolnych i niewolnych, ależ już u Prasłowian były conajmniej cztery stany: książę, szlachta, wolni, niewolni, chociaż te stany nazywały się inaczej.

Pomawiano Słowian o zupełną anarchję, że nie znali władzy książąt, skoro nie mieli dla nich własnej nazwy, że więc od Germanów dopiero rzecz i nazwę przejęli. Najmylniej. Jak 'król' pierwotnie tylko Karola W., a później każdego słowiańskiego

[1] Np. u Serbów albo Bułgarów. Książę Lichtenstein w przejeździe w Oldenburgu, zaproszony na raut u W. Księcia, poznał ministrów i dostojników, samych mieszczan, więc zdziwiony zapytał, gdzież wasza szlachta, panowie? A my ją powywieszali, brzmiała naiwna odpowiedź.

władcę oznaczał; jak 'chąsa' była najpierw tylko gocką *hansą*, zanim jej nazwa na słowiańskie zbójnictwo przeszła, tak samo oznaczał i **ksiądz* pierwotnie tylko owego niemieckiego *Kuninga*, co te chąsy nasyłał, zanim na słowiańskiego przeszedł, bo Słowianie mieli zawsze swoich rodzimych książąt, nim ich z niemiecka na nowo przezwali. Słowianie, a więc i Polacy, mieli już w IX wieku nietylko książąt, ale wyrobione dynastyczne uczucia; gdy w r. 870 Morawianom zabrakło książąt, Mojmirzyców, zmusili księdza (!) Sławomira z rodu owych Mojmirzyców, że objął ich dowództwo w walce. Zasługą tych najczęściej nie nazwanych książąt było, że skupili w jaki taki ustrój ludność większego terytorjum. Bardzo nierówne były te terytorja; nad Łabą księstewka-drobnoustroje, tak samo w Czechach, ale Morawy, Mazowsze, (Wielka) Polska, Wiślanie (Małopolska) już wtedy były rozległe, a ich książę szczepowy już myślał o podbojach pobliskich i pokrewnych szczepów, np. wielkopolski o kujawskim i mazowieckim. Jak terytorja, tak różniła się i władza książąt; na Pomorzu grody nadmorskie, Wołyń, Szczecin, liczbą i zasobami mieszkańców przygniatały tę władzę; u Luciców ani znaczenia wiecu, ani odrębności szczepowej nie wygładził książę, i rozpadł się, skoro książąt zabrakło, lucicki naród ponownie na te różne szczepy-odłamy, z których go książęta niegdyś wywiedli. Mimo wszelkich podobnych różnic, kiedykolwiek w dziejach mowa o Słowianach, zawsze stoją na ich czele książęta. Winitar gocki zwyciężył około r. 380 księcia słowiańskiego «Boza»[1] i kazał go wraz z synami i siedmdziesięciu dostojnikami dla postrachu powiesić. Czesi wprawdzie pod jarzmem awarskiem postradali książąt własnych, ale obrali sobie Samona, gdy się w walkach odznaczył, a spół-

[1] Nazwa niewytłumaczona; i najnowszy pomysł, Byzantinoslavica, Praga 1929, I, 240, że to = *wódz*, nietrafna, bo chyba tylko w ustach greckich *w* na *b* przechodzi (nie w gockich), a w IV w. *wódz* jeszcze *wodiem* brzmiało.

cześnie był u ich zachodnich sąsiadów książę *Derwan* (nie *Drzewianin*, jak to mylnie tłumaczą). W Karyntji widzimy książąt od VIII wieku i t. d. Jeżeli Lucicy w X wieku książąt nie mieli, toć mieli ich dawniej, aż ród książęcy przez śmierć i zdradę utracili. Więc nie od Germanów dopiero dowiedzieli się Słowianie o książętach; mieli od wieków swoich własnych.

Skąd się wzięła ich władza i pierwsza organizacja państwowa? Antropologja bowiem, w przeciwieństwie do historji, nie uznaje «państwa powstałego drogą samorzutnego zróżniczkowania się rodów i zdobycia sobie wskutek tego wyższych form organizacji społecznej bez interwencji czynnika najeźdczego». «Organizacja państwowa musi być zawsze wynikiem oddziaływania najeźdczej mniejszości, podbijającej ludy, skazane na bezsilność polityczną wskutek swej organizacji rodowej». «Wysoki stopień organizacji państwa polskiego w X wieku stanowił rezultat oddziałania organizującego obcych najeźdźców w zamierzchłej przeszłości». Nie liczy się więc antropologja z naiwnemi nieco teorjami najazdu Normanów czy jakichś mitycznych Słowian nadłabskich, uchodzących do Polski przed Karolem Wielkim i naporem niemieckim, bo to rzecz niemożliwa, przeczy jej wyraźnie np. język (zob. niż.); zato przypuszcza antropologja z tem większą pewnością najazd obcy w zamierzchłej przeszłości i przychodzi nawet do konkretnych o nim wniosków. Gotowie w I i II wieku po Chr., zanim wyszli na południe, stworzyli państwo; później wyszli, nie wszyscy, a gdyby nawet i wszyscy, to przetrwały raz zorganizowane wyższe formy życia społeczno-państwowego siłą inercji; państwo polskie X w. stanowi dalszy ciąg państwa zorganizowanego przez Gotów.[1]

[1] Pamięć o tem miała przetrwać wieki, przynajmniej do czasów Krzywoustego, urwała się dopiero w anarchji podziałowej; wyraz tej pamięci ocalał w nagrobku poznańskim (zniszczonym w wieku XVIII) Chrobrego, który posiadał wedle wiersza nagrobkowego «regnum Sclavorum, Gothorum sive Polonorum», wiersz zaś ułożył Gall jeszcze za Krzywo-

Takie odsunięcie najazdu ułatwia nadzwyczaj jego uznanie; mimoto powołujemy się na przykład Moraw i Czech, dokąd Gotowie ani zajrzeli, gdzie przecież widocznie samorzutnie organizacja państwowa powstała; co nad Morawą i Wełtawą, to mogło się i nad Wartą pojawić, a świadectwa językowe mimo zapożyczenia terminu 'księdza' temu nie przeczą i nasza terminologja państwowo-organizacyjna nie jest pochodzenia gockiego *(wojewoda* np. nie jest tłumaczeniem niemieckiego *Herzoga).* Jakżeż zwali Słowianie swoich własnych książąt?

Zwali ich *włodykami.*[1] Prasłowiańska ta nazwa, rodzaju żeńskiego, jak słowiańskie nazwy dostojników własne czy obce

---

ustego. Ależ nikt nie dowiódł ani autorstwa Gallowego, ani wieku owego istotnie starego nagrobku, a Sclavi, Gothi i Poloni, to trzy nazwy jednego, nie dwu oddzielnych narodów, bo nazwa Gotów jako Słowian kołace się i gdzie indziej w XI i XII wieku, nietylko u nas. Odnachodzić zaś dziś jeszcze w nazwie Gociów kurpiowskich (zob. wyż.), Kociewia, Gdańska, Gudów litewskich, tradycję Gotów, na to się językoznawca nie zgodzi.

[1] Domysłu powyższego mogę i historycznie dowieść. Wskazał bowiem lingwista fiński Mikkola w *Archiv für slavische Philologie,* 41 t., str. 160, że kronikarz frankoński Fredegar opowiadając, jak resztki Bułgarów, ocalałe zpośród wymordowanych na rozkaz króla Dagoberta (pierwsza to noc bartłomiejowa, zaświadczona w dziejach), znaleźli schronienie u (słowiańskiego) księcia korutańskiego Wallucha — tak czytano zawsze tę nazwę, ależ w rękopisach jest i Walducha a to jest litera w literę = **woldyka* (z czego u nas *włodyka, władyka* na południu i t. d.); nazwę 'włodyka korutański' pojął Fredegar jako osobową, co nieraz bywa. Byłoby to w pierwszej połowie VII wieku; Mikkola nie zaznaczył, że r. 782 pojawia się u tych samych Korutan książę Wallak, pisany również *Walthunk,* co przy znanem dziedziczeniu nazw mogłoby powtarzać *Walduka* z VII wieku, ale *Walthunk* będzie raczej imieniem niemieckiem, jakich śród książąt korutańskich w VIII i IX wieku nie brak, np. *Ingo.* Nie zapominajmy zresztą, że i ruski *Wołodar* (nasz *włodarz,* z obcym przyrostkiem *-arz)* stał się nazwą osobową, i *Włodyka* mógłby nią zostać. Z nazw książąt korutańskich wymienię *Borutę* (dobrze nam znanego, ale u nas od boru, tam od wojny), i *Kakacjusza,* nazwę i nam nie obcą (por. wyżej *Kakawa).*

*(wojewoda, sędzia, starosta, panosza, hrabia),* urobiona, jak *moty-ka,* od rzeczownika **włody* 'władza' (nad ludźmi, przenigdy nad ziemią — rzeczowników w rodzaju *włody* było niegdyś wiele); *gospodź* tylko nad domem rządził *(pater familias),* i dlatego misjonarze Boga Ojca *gospodziem (gospodzinem)* przezwali. Włodyków, później księdzami (książętami) przezwanych, było w Polsce IX wieku co najmniej trzech: krakowski, gnieździeński i mazowieski; władza ich nieograniczona, despotyczna, jak niegdyś naczelników rodowych, z których wyszli. Otaczali ich znaczniejsi w szczepie, potomkowie dawnych starostów rodowych, jako wojewodowie i sędziowie, co rej wiedli na wiecach, zgromadzeniach, gdzie *wiatano* (pruskie *wajtiat* 'mówić'), t. j. gadano jak w *parlamentum*[1]; niżej od nich stali woi, wiciędzami zwani, czy drużynę książęcą stanowiąc, czy poza nią rzemiosłu wojennemu oddani, uzbrojeni lepiej i wyćwiczeni, więc do wypraw wojennych, głównie łupieżczych, do chąs, nałożeni i na nich *wicią* 'zdobyczą' (stąd nazwa *wiciędzów* samych) się obławiający. Pod nimi wszystkimi lud prosty, tylko w obronie własnej ziemi do walki stawał, groźny liczbą, nie uzbrojeniem ani wprawą.

Lud uprawiał już rolę, mimo niekorzystnych nieraz warunków wobec silnego zalesienia ziemi całej; wysiewał na niej proso, owies, pszenicę, rzadziej jęczmień i żyto; głównie hodował bydło i konie, a przeważnie nierogaciznę (wobec obfitości dębiny i buczyny) i owce; wspomagał się łowieniem zwierza i ryb i pielęgnowaniem barci. Gardzili nim woi i wielmoże (czestnicy, dostojnicy), i już w prarodzinie słowiańskiej przezywali *ratajów* 'oraczy' i pasterzy *smardami,* bo ich praca przy sierpie i gnoju śmierdziała im, co sami niegdyś z pasterzy i łowców się wynieśli przez pracę niewolników, zdobytych wojną.

---

[1] nasze *obiecać* z **ob-wiecać, powiat* 'sąd', *zawiat* 'vadium', t. j. umówione, *obiata* 'ofiara', t. j. obiecane.

*Smard,* to termin prawny (powtarza się i poza Słowiańszczyzną podobny, np. w Afryce), u nas już całkiem wyjątkowo (w XII wieku) zachowany (istniejący zato jako wyzwisko w XV, a jako przezwisko byle franta w XVI wieku, od Reja do Stryjkowskiego); zwykły natomiast jako *smurdo* po łacińskich aktach łużyckich, a na Rusi jako *smerd* bez odcienia szyderstwa, np. Włodzimierz Monomach namawia r. 1103 drużynę do pochodu przeciw Połowcom: konia żałujecie, ale będzie smerd orał a Połowczyn nadjedzie i razi go strzałą i t. d.[1]

Pod osobiście wolnymi smardami-ratajami stali osobiście niewolni. Skąd wzięli się w Polsce ci niewolnicy? Odpowiedź niby jasna i łatwa: Słowianie zdobywali kraje nie bezludne, więc ujarzmiona przez nich ludność pierwotna przeszła w niewolną — oto teorja najazdu, odmienna niż u Szajnochy czy Piekosińskiego, bo wedle nas Polanie nie przedmiotem już, ale podmiotem najazdu; ba, za jednym zamachem i krzyżowanie rasowe wytłumaczone: krótkogłowi Słowianie ujarzmili długogłowych tubylców. Ale dzieje uczą czegoś innego. Podbili np. Słowianie tubylców bałkańskich albo Niemcy Słowian nadłabskich, lecz ani tubylcy bałkańscy ani nadłabscy nie zostali niewolnikami, którychby zabijano, sprzedawano, darowywano; tych tubylców zepchnięto na poziom danników, mógł ich książę wysiedlać (np. Bułgarzy turscy cały szczep słowiański przesiedlili), ale niewolnikami się nie stawali, skoro się nie buntowali. Więc hipoteza ta nietylko błędna, ale i zbyteczna. Niewolnictwo powstało najpierw z chąs, z wypraw łupieżczych. Podejmywali je Polanie, jak każdy inny szczep, skoro siły dopisywały. Ileż

---

[1] Dla ludzi osobiście wolnych istniał jako termin pierwotny: *swoboda* (od zbiorowego na *-da,* jak *gromada* i t. p.) do **swob* 'wolny' (dosłownie: co jest «swoim»; imię Suebów germańskich tu należy); u nas w dawnym języku *świeboda* 'szczodrego' oznaczało (obce to innym Słowianom: i *e* i znaczenie), ale obok tego nie zatraciła *swoboda* pierwotnego znaczenia.

tysięcy ludu, szczególniej niewiast i dzieci (mężczyzn często wyrzynano) uprowadzili Chrobry i Mieszko II z Niemiec, z Łużyc i innych stron aż po Łabę, albo z Rusi, a Krzywousty z Pomorza, Czesi z Polski i odwrotnie! Źródła spółczesne (wraz z naszym Gallem) wymownie to poświadczają, a tak było i dawniej i zawsze. [1]

Niewolnikiem był dalej, kto się z niewolnicy urodził, czy od niewolnika-ojca czy od ojca Polanina. Niewolnikiem zostawał, kto winie podlegał, t. j. nie mógł okupu przynależnego za zbrodnię dokonaną czy za dług zaciągniony (w czasy głodu czy pomoru) wypłacić. Nakoniec kupował niewolników, kto się na wyprawie łupieżczej na nich nie zdobył — towaru nie brakło; w czasach głodu rodzice sami sprzedawali własne dzieci. Niewolnicy należeli do *czeladzi* — słowo to prasłowiańskie, zbiorowe, od pnia *czel-* (lit. *keltis*. szczep, pień, por. klany iryjskie), od którego i nazwa *człowiek* (z pierwotnego **kel-wiek)* pochodzi — i stawali w słowiańskiem gospodarstwie - domowstwie na równi z dziećmi, które ani woli własnej ani głosu nie miały; zawsze też nazwy niewolnika i dziecka się zbiegały. Zwano ich *chłopami* (por. *chłopiec* i *pacholek* a *pacholę); otrokami,* dosłownie: 'niemowlę'; *robami (parobek, robieniec* znaczy i dzieci, ruskie *rebionok); sługami* (od ucisku); [2] nazwa robów-rabów najstar-

[1] Gall raz o Krzywoustym donosi, że zabrał z Pomorza 8000 niewiast i dzieci; Helmold opowiada, jak jeszcze r. 1168 połabscy Słowianie 700 Duńczyków naraz na targu na sprzedaż wystawili, a Duńczycy znowu Słowian Polakom i Czechom sprzedawali; Czesi sprzedawali Węgrom ujętych Polaków. Benjamin z Tudeli w XII wieku prawi o Czechach: Żydzi, co tam mieszkają, zowią tę ziemię Kanaanem, bo jej mieszkańcy sprzedają swe syny i córki wszelkim narodom. Na Bałkanie uprowadzali Słowianie przy wpadach tysiące «Rzymian», tak samo Bułgarzy, między którymi jeńcy greccy chrześcijaństwo szerzyli.

[2] Lingwiści (np. Walde-Pokorny w nowym słowniku etymologicznym aryjskim) uważają powszechnie *sługę* za pożyczkę celtycką, z praceltyckiego *slougos* (staroiryjskie *sluag* 'familja, zrzeszenie domowników', *lu* 'woj-

sza, aryjskiego początku. Mniemanie bowiem, jakoby pierwotny język dla jednego pojęcia tylko jedną miewał nazwę, jest całkiem mylne, synonimy to rzecz odwieczna; równie mylna byłaby myśl, że znaczenia pierwotne się nie odmieniały, chwiejność bywała nadzwyczajna[1]; to podnosi się termin do tronu, to spada do rynsztoku.

Pierwotne imiennictwo stanowe brzmiałoby więc: *włodyka* na czele szczepu (por. *bzd-yk); wielmoża* (prasłowiańskie, rodzaju żeńskiego jak wszelkie podobne nazwy), owi primates włodyki Boza; *swoboda,* mąż wolny, ten który jest swoim, sobą (u nas *swoboda* albo *świeboda* oznacza i hojność i hojnego — te wyrazy nowsze chyba); *rob,* niewolnik, zmuszony do roboty, której się wie (może i swobody ile możności wystrzegali).

Naród składał się więc z kilkudziesięciu wielmożów, z kilku tysięcy wojów-wiciędzów i z mnóstwa smardów; niewolnik nie był człowiekiem; każdej chwili mógł go gospodarz zabić lub sprzedać, chyba że niewolnica jego łaski znalazła, ale jej potomstwo dalej do niewolników się liczyło, nad którymi bat świszczący panował — co Grecy o jakiemś nader ludzkiem postępowaniu Słowian z ich jeńcami wojennymi opowiadają, nie do nas się stosuje. Niewolnik różnił się nawet wyglądem od wolnego; ten nosił długie włosy, niewolnika krótko strzyżono i jeszcze w XV wieku strzygł wojewoda woźnego na znak jego byłej służebności. Lecz czy i wolność smardów nie bywała już ograniczona? Jedni używali wolności osobistej przesiedlania się, inni może byli już «przypisani» do gleby; owi uprawiali cu-

---

sko'; byłoby pierwotnie nazwą zbiorową). Obstaję przy wywodzie innym, lit. *slauginti* 'uciskać' (nie od *slu-* 'słuchać'), por. wyżej o nazwie Słowian.

[1] *Włodyka* np. oznaczał pana, *kyrios,* i przeszedł w obrządku wschodnim na biskupa, którego Grecy *kyrem* tytułowali; u nas zszedł na «ubogiego rycerza»; znane pieczywo 'Arme Ritter' tłumaczył Stanko roku 1472 przez *'Ubogie włodyki'*. Taksamo zszedł *kmieć* z barona na chłopa w ciągu dwu wieków!

dze niwy jako «goście» albo «łazęgi», poczem opuszczali pana; ci znów mieli siedziby stałe, w nich dziedziczyli z pokolenia w pokolenie, ale już od gleby odrywać się nie mogli, a książę i ich w razie jakiejś potrzeby wysiedlał i w inną ziemię zaopatrywał. Tak było napewne w XII wieku, już wtedy wieśniacy nie byli nigdy panami swej ziemi, która była wyłącznie książęcą (względnie duchowieństwa i wielmożów-wiciądzów), i gdy smardowie powoli opuszczali się do rzędu niewolników, wzbijali się coraz wyżej wielmoże i wojowie. Ale składały się na to wieki.

## USTRÓJ POLSKI POGAŃSKIEJ. WŁADZA KSIĄŻĘCA I JEJ ORGANY

Pierwotny ustrój rodowy należał w X wieku już do przeszłości; własność kolektywna, rodowa, ustąpiła dawno i zupełnie indywidualnej. U wieśniaków zaginął i słych o jakimś trybie rodowym; każda rodzina gospodarowała na swoim żrebiu (udziale, cząstce), i odpowiedzialność spólną tworzyła nie bliskość krwi, lecz bliskość osiedla (t. zw. *opole*). U wielmożów i wojów było inaczej: i u nich wprawdzie ustrój rodowy indywidualnemu ustąpił, ale sam stan o spólnych interesach i zajęciach wymagał, żeby nie wygasła pamięć o spólnym początku, podtrzymywana umyślnie, bo się już przez to samo odgraniczano od smardów; nawzajem się wspomagano; nie zapominano o towarzystwie w szyku wojennym i czasu pokoju; zdobywano w służbie książęcej ziemię a w wyprawach wojennych niewolnika, by tę ziemię uprawiał. Ale i między wielmożami i wojami zarysowywały się różnice, wywołane głównie nierównością dostatków, wpływów, powagi; jedne rody wymierały, drugie się mnożyły tak, że książę płacił wiano za woja, który się na nie zdobyć nie mógł; większego znaczenia zgóry zażywaliby dawni książęta szczepowi, których Piastowie zwyciężyli, ale nie wy-

tępili (?); innych znowu ciągła bliskość u boku księcia wyróżniała. Coraz ostrzej występowały różnice stanowe.

Mała, a raczej najmniejsza grupa, rodzina, obejmowała najwyżej trzy pokolenia; nieraz nie rzucali jej i bracia nawet żonaci, niedzielni. Większą o wiele grupę stanowił ród-plemię. Łączyła go, nawet gdy się odłamy rodowe dalej wysiedlały, pamięć o spólnym przodku, pamięć tak silna, że cały ród spólnej nazwy, co się *godłem* zwała, używał; czczono tych samych duchów-przodków; majątek ziemski był niegdyś spólny; spólnie stawano do boju, pod tym samym proporcem; znaczono bydło tym samym znakiem własnościowym (klejmem, piętnem, *pieczęcią*, nazwaną od jej wypiekania); poczuwano się do spólnej odpowiedzialności, więc gdy członka rodowego zabito, ród był do pomsty (zwanej *wróżdą* 'mordem') obowiązany; stawano zawsze do wzajemnej obrony, żony pojmowano z pobliskich rodów, wzmacniając przez takie połączenia znaczenie własnego; na czele rodu stawał starosta, nie koniecznie najstarszy, raczej najzdolniejszy i najpoważniejszy; z tego powodu godność jego stawała się i dziedziczną. Pomyślne okoliczności, szczególniej energja osobista, wywyższały jeden ród nad drugie, i dziedzic takiego rodu mógł wkońcu z wojewody-sędziego urość na włodykę-księcia. Samorzutnie bowiem łączyły się rody-plemienia pobliskie w jeszcze większą grupę, w szczep cały, a ten się z czasem silniej organizował, bo bronił się razem przeciw obcym najazdom, a sam do łupieżczych wypraw stawał, na wiecach załatwiał spólne sprawy, wkońcu pod władzą najdzielniejszego rodowca się znalazł, który włodyką-księciem został i synom tę władzę przekazał.

Znamy kilku książąt szczepowych polskich; najwięcej wiemy o ostatnim księciu krakowskim. Miał on znaczną potęgę i dawał się nią silnie w znaki, wpadając żądny łupów-chąsy przez bramę morawską, na Świętopełka morawskiego; przemógł go wkońcu w ciężkim boju Świętopełk, latem 877 lub 878

roku, pojmał samego i na Morawach do przyjęcia chrześcijaństwa zniewolił — tak spełniło się podwójne proroctwo arcybiskupa morawskiego, Metodego, który napróżno wysyłał do Krakowa misjonarzy (książę o chrześcijaństwie nic słyszeć nie chciał) i niesfornemu księciu jego los wywróżył, a Świętopełkowi zwycięstwo obiecał, skoro się na mszę słowiańską w Wyszogrodzie stawi. Nazwiska księcia krakowskiego żywociarz nie wymienił, nie dlatego bynajmniej, żeby ono nie było głośne (przewyższał on sowicie np. takiego Kocela «panońskiego»), ale dlatego, że żywociarz Metodego z zasady imion, najgłośniejszych nawet, np. cesarzy greckich i rzymskich, nie wymieniał. Świętopełk zdobył wtedy ziemię krakowską, a stąd rościł sobie do niej prawo Bolesław II czeski, spadkobierca Świętopełkowego państwa, po wieku jeszcze, i stąd poszła wieść, mylna w istocie, o Krakowie czeskim. Bo skorzystał chyba książę gnieździeński z rozgromu krakowskiego i najpóźniej po śmierci Świętopełkowej zagarnął może całą ziemię Wiślan z jej grodami, znaczniejszemi jak Kraków i Sandomierz, drobnemi jak Wiślica i Lublin.

U innych książąt szczepowych znamy imiona, ale czas ich i miejsce niepewne. Uchodzili widocznie przed zaborczością gnieździeńskiego Piasta. I tak opowiada Porfirogeneta o Wyszu, że z nad Wisły aż pod Czarnągórę się dostał (czyżby to był ów z r. 877/8?) i potomkowie jego, Wyszewice, tam w X w. panowali. Dwaj inni, bracia Radzim i Więtko (oba dobre imiona polskie), z rodem swoim wynieśli się również i przedarli przez Ruś (więc z Mazowsza chyba?), aż nad Soż i Okę i tam zdobyli panowanie nad szczepami, od nich Radzimiczami i Więciczami (Wiaticzami po rusku) przezwanymi. Nestor przyczyny tej ich wędrówki nie podaje, zapewnia tylko gołosłownie o fakcie, skądto te oba szczepy ruskie nazwę otrzymały: «byli bo dwaj bracia u Lachów, jeden Radzim a drugi Wiatko i przyszedłszy osiedli» i t. d., ależ z tego bynajmniej nie wynika, jak

wielu przyjmowało, żeby sami Radzimicze i Wiaticze byli pochodzenia polskiego.

Zapiska cesarska (z połowy X wieku) o Wyszu opowiada najpierw, że ziemia Zachełmia (dzisiejsza Hercegowina), spustoszona przez Awarów, była bezludna; Serbowie Zachełmianie zajęli ją, uprosiwszy ją sobie u cesarza Herakljusza. «Ród prokonsula i patrycjusza (tytuły bizantyńskie), Michała syna Wyszewica (Vousevoutze), książęcia Zachełmian, przyszedł od niechrzczonych (Serbów białych), mieszkających nad rzeką Wisłą *(Visłas)*, zwaną *Ditzike* i osiadł nad rzeką, zwaną Zachełma». Ród Wyszewiców (bo tak owe nazwisko najłatwiej czytać) pochodziłby więc od Wysza i przyszedł z nad Wisły — znakomicie odpowiadałoby to podobnej roli Radzima i Więtka, co tak samo nad Sożem i Oką zapanowali (Radzim od Radomia?). Ów Wysz mógłby zaś być owym ostatnim księciem krakowskim, uprowadzonym r. 877 z nad Wisły, co się wkońcu aż w Hercegowinie oparł i tu czy sam czy przez syna lub wnuka zapanował: w etnografji nie rzadkie takie powołania obcych na władzę (por. choćby historję Samona). Imię Wysz w Polsce dobrze znane, ale i żupan Physso z r. 777 nosi prawdopodobnie to samo imię. Chronologja nie sprzeciwia się naszemu domysłowi. Zagadkowe jest drugie imię Wisły, *Ditzike;* czytano je i *Litzike,* ale i to nie pomaga; najnowszy domysł, że tu mowa o Wieprzu-dziku, pomieszanym z Wisłą, jest prawdziwie dziki; inni nawet o zagadkowych Licikawicach myśleli.

Tak urosło przez podboje państwo, potężne już przed Mieszką. Zaprzeczono temu: «Byłoby rzeczą dziwną, ażeby żadna wiadomość spółczesna o takiem państwie się nie dochowała»; «daleki geograf bawarski ma jakieś wiadomości o Wiślanach, Ślężanach, a milczy jak grób o tem państwie potężnem». Ależ geograf bawarski nieobliczalny, skoro wspomina dziury łużyckie jak Sorau i Luckau (wszelkie próby, aby inaczej te nazwy sąsiednie objaśnić, są niemożliwe!), a milczy np. o Po-

morzu całem; Niemcy zaś nie wspominali o Polsce, bo oddzielał ich wał Słowiańszczyzny, a handlu nie było. Skupienia szczepów polskich w jedno państwo dokonał już poprzednik Mieszki, ale dopiero na początku X wieku; i początki organizacji już jemu przypiszemy.

Do tej organizacji, oprócz sędziów i wojewodów, należał jako trzeci czestnik, czyli «stołecznik» *(dignitarius), żupan.* Słowo to prasłowiańskie, u nas zapomniane, ocalało w skróconem *pan,* niegdyś **żpan,* co Węgrzy, wzorujący się na porządkach słowiańskich, jako *iszpan* przejęli. Żupan, urzędnik książęcy, czuwał z nad grodu nad włością okoliczną, odbierał jej daniny, czasu wojny ją skupiał i prowadził, a skarbu dozorował; Ruś o nim nic już nie wiedziała, znali go na południu całem i na zachodzie wszyscy, co podlegali niegdyś Awarom, ciemięzcom Słowian od drugiej połowy VI wieku, szczepowi turko-tatarskiemu, który Wiślan, Czechów, Słowieńców najeżdżał; od nich poszła u nas i u Czechów nazwa *olbrzyma,* z pierwotnego *obrzyna;* ale niema w językach wschodnich żadnego odpowiednika dla żupana samego, a gdzie jest, np. u Bułgarów pierwotnych, ci go od Słowian przejęli (nie odwrotnie!). Żupan wybierał dań książęcą [1]; w dawnych tekstach cerkiewnych spotykamy żupana karczmarskiego i kupieckiego; *żupa,* słowo pierwotne nieznanego początku, nigdy nie znaczyło ziemi, powiatu, jak dziś jeszcze bają a dawniej ślepo wierzyli, przeciwnie: znaczyło dochód-dań [2]; stąd dalej *żupy* solne, sądowe [3], a *żupa* 'urząd', np. r. 1427, «ego suscepi zuppam cancellarii». U innych Słowian *żupa* i włość oznacza, a *żupan, żupnik,* jej

[1] wołał do sądu książęcego («citabuntur per eorum supanum» r. 1239).

[2] np. w dokumentach XIII wieku: «*zupam,* quae *stan* vulgo dicitur» r. 1238, ale r. 1256: «*proventus,* qui vulgo *stan* vocantur ad mensam nostram pertinentes».

[3] a od nich przezwani później *żupcy, zuparii,* urzędnicy sądowi.

naczelnika; nazwa *żupana* sama urobiona przyrostkiem *-an* (litewskie *-onas* w tem samem znaczeniu). Że *pan, pani,* z *żupana, żupani* (jest u Prusów, u nas zaginęło) skrócone, dowodzą jeszcze terminy w XIII wieku, pan stróży, t. j. żupan stróży. W Czechach XIII wieku *żupa beneficium,* wyposażenie; *żupani,* jak i na Pomorzu, *barones regni;* u Łużyczan zeszli na wójtów, tak i w Alpach, gdzie Bawarzy w r. 777 żupana Wysza *(iopanus Physso)* wymieniają; nie książę to, lecz wójt.

## SKARBOWOŚĆ. SĄDY. WOJSKO

Jeszcze stawali na wiecach przy grodach gospodarze okoliczni i wojowie, ale tylko po to, aby rozkazy książęcia odbierać, który się już z wiecami mało liczył, wszelkie ciężary-dani na smardów wkładał, a od wojów, co ziemię i niewolników mieli, do dani jeszcze stałej służby wojskowej wymagał. On był panem całego kraju, tym samym, co gospodzin w rodzinie, i na nim się wzorował; on z swego wydzielał wojom uczątki; na jego ziemi siedzieli goście i rataje-smardowie; i oni i wojowie wraz z wielmożami byli powinni do dani, z której książę utrzymywał dwór i załogi po grodach i skarb własny tworzył; z niego płacił nieraz wiano za woja, albo żołd hufcom czeskim, a skarb ten pomnażał starannie. Jakiemiż dostatkami szafował Chrobry już w początkach panowania! Dań składano w naturaljach; w wieprzach, tak zwany *narzaz,* t. j. karb, bo dziesiętnicy żupanów i setnicy wedle karbów od przypłodku wybierali świnie, a później i krowę czy owcę. W zbożu zsypywano im *sep, osep* (nazwa na całym zachodzie słowiańskim ogólna); od miodu wybierali dań wedle barci w lesie lub ulów przy domostwie. To były stałe dani, *uroki* albo *naroki* (bo to tosamo: święta *uroczyste* zowią się jeszcze w XVI wieku *naroczystemi).* Rzemieślnicy wyrabiali szczyty, lepili garnki *(zduny),* wypiekali pieczywo

*(piekarze),* obowiązani do dostarczania tego wszystkiego dla grodu i dworu wedle ustalonej miary; *łagiewnicy* dostarczali konwi i in., tak samo tokarze, *spądownicy.* Oprócz dani wymagał książę wszelakich służb, więc przyczyniali się smardzi i woje do stawiania i naprawy grodów, dróg i mostów, do *stróży* (załogi), dawali podwody na przewóz wszelakich zasobów do grodów i dworu, dostarczali koni dla gońców książęcych (oboje od granicy opola do następnego). Szczególnie uciążliwy był t. zw. *stan* 'namiot' [1]; książę, rozjeżdżając z dworem najbliższym po kraju, wymagał od wsi, gdzie właśnie «stan» rozbił, dostarczania napoju i nabiału, mięsiwa i pieczywa, jaj i drobiu; był zaś gorliwym myśliwym, więc jego psiarnia (psiarze i ich sfory) wymagała tego samego i tłuczy do tego. Miał książę monopol na karczmy, więc karczmarze mu się opłacali; tak samo wybierał targowe od wymiany towarów, a myta od przejeżdżających z kupiami.

Do dochodów książęcych przystępowały i opłaty sądowe, winy, które żupcy (część dla siebie) wybierali, bo już czuwał książę nad mirem-pokojem w kraju, szczególniej na rzadkich jeszcze gościńcach, i każde naruszenie tegoż opłacano winami, a niewola groziła temu, co się z win nie okupił. Złodzieja przychwyconego przy licu wieszano, z łaski obcinano mu uszy tylko; rodzina-ród pokrzywdzone mściły zabójstwa *wróżdą,* t. j. nowem zabójstwem. Pojedynek sądowy na kije zastępował dowody i odwody, jeśli świadków nie było. Sądy były niegdyś wiecowe, gdzie starostowie rodów rozstrzygali a sędzia ich wyrok ogłaszał, lecz rychło spadli starostowie do roli doradców, a sędzia stawał się niezawisłym; niegdyś sam książę ten urząd piastował, bo z sędziostwa i województwa wyłoniła się jego władza. Z czasem on sam sędziów i wojewodów naznaczał, gdy obszar

[1] jak o tem dokument z r. 1242 poucza, zwalniający «a ducis tentorio», t. j. od stanu.

państwa kilka szczepów obejmował. Kary były okrutne, krzyżowanie, obcinanie członków, kamieniowanie, palenie żywcem, wygnanie, połączone zawsze z grabieżą majątku i ciążące na całej rodzinie winnego; wygnańca mógł każdy zabić, a nikt go nie śmiał żywić. Prawo zwyczajowe znamy wprawdzie dopiero z XIII wieku, ale odznaczało się ono nadzwyczajną zachowawczością, więc ten anachronizm mniej razi.

Wróżda, spadek po barbarzyństwie, który nawet chrześcijaństwo nie odrazu uprzątnęło, była nietylko najpierwotniejszą samopomocą, ale wymagał jej kult przodków, bo duch zamordowanego (nawet nieumyślnie, z trafu) nie znachodził spokoju, groził żywym rodowcom, póki go nie odemścili. Skutki były okropne, bo rodowiec mordował nieraz kilku innych, nim na właściwego zabójcę trafił, szczególniej jeśli ten był silny i miał się na ostrożności; przy wróżdzie bowiem skrytobójstwo z zasadzki, podstępne, było właśnie najbardziej zaszczytne. Ale każdy mord wywoływał nową odpłatę tą samą wróżdą i rzezi końca nie było (w zeszłym wieku na Bałkanie wyśmianie jednej dziewczyny okupiono kolejnym mordem kilkudziesięciu ludzi!), więc już w czasach pierwotnych (a ludzie na kompromisy: i wilk syty i koza cała, bardzo zmyślni!), szczególniej przy zabójstwie mimowolnem albo dokonanem niezbrojną ręką (np. nasłaniem choroby, w co silnie wierzono), wdawano się przez pośredników w ugodę. Zabójca opłacał się, wynagradzając rodu utratę, a ród dla ubłagania i ducha dokonywał nad zbójcą już tylko symbolicznej zemsty. Obrządek nazywał się *pokorą;* zabójca otoczony własnym rodem i przyjaciółmi, w postawie skruszonej, bosy, ze spuszczoną po pas suknią, z mieczem nagim, na szyi zawieszonym (wywijano mu nim nad karkiem), wypraszał żywot i przebaczenie; chwytano się tego środka gorliwie, bo on jedyny rzeź tamował.

Co znaczy samo słowo *wróżda* czy *wróżba?* U Czechów *wražda* 'mord', *wrah* 'morderca', ale to znaczenie zupełnie

wtórne. *Wróżda* (por. *prawda, krzywda),* nazwana od *wroga,* a *wróg* znaczy tylko nieprzyjaciela; że nieprzyjaźń w czasach pierwotnych mord wywoływała, rozumie się samo przez się, istotnie też tekst mazowiecki z r. 1320 wróżbę przez *inimicitia* tłumaczy. Pierwotne znowu *wroga* znaczenie, jeśli litewszczyznę uwzględnimy, złego, nędznego, niewolnika wskazuje. Zupełnie coś innego *wróża,* słowo od XV wieku u nas zapomniane, obok *żrebia,* druga słowiańska dla losu nazwa, pochodząca od wyrzucania *(wiergę* 'rzucam', u innych Słowian) drewienek (białych i czarnych, t. j. oskrobanych z kory lub nie), gdy *żreb* od liczenia (kresek w popiele) się tłumaczy; miotanie losu było więc nader ważnem; przy działach ziemi los wkońcu rozstrzygał tak dalece, że u nas sam ten udział ziemi *żrebiem* przezwano. Może i w przewodzie sądowym nieraz doń się odwoływano, napewne w wyprawach wojennych, i źródła lucickie i pomorskie (Thietmar i żywociarze św. Otona) obszernie opisują wyrocznie z udziałem wierzchowca bożego. Ta *wróża, wróżba,* z poprzednią nic niema spólnego.

Jak powstały zaś dani i służby? Rozstrzyga sama nazwa: *dań,* pierwotnie *dar* (por. *donum* i *doron),* a więc złożona dobrowolnie, pod przymusem moralnym tylko; ale każdy taki dar ma tendencję przeobrażania się w dań, przymus moralny odmienia się w fizyczny, a rozmiary dobrowolne przechodzą w oznaczone zgóry, urzeczone lub narzeczone (uroki i naroki). Uroków dla świątyń-bogów, jakie na wyższym stopniu pogaństwa pomorskiego i rugijskiego widzimy (było w Rugji coś w rodzaju świętopietrza), w Polsce nie było; ale tu pojawiły się natychmiast państwowe, przy pierwszej ściślejszej organizacji, której bez dani-podatków nie sposób pomyśleć. Miałaż ta organizacja zapewniać pokój przed wrogiem obcym i wewnątrz szczepu, więc wymagała środków, a wybierali je ci, co i sami się z nich utrzymywali; składano je w naturaljach, wobec braku jakiejkolwiek monety obiegowej. Wreszcie, co pierwotnie zdo-

bywca (np. Goci) wymuszał, przechodziło, gdy on ustąpił, na własnych książąt, a gdy przeprowadzano systematyczną obronę krajową, wymagała ona służb owych, które się przy dani ustalały; obeszło się to wszystko nawet bez bezpośrednich wzorów frankońskich czy rzymskich jeszcze.

Obronę krajową, wymagającą nakładu służb i dani (zapasów), stanowiły grody, które tak dalece Słowian cechowały, że Skandynawowie Ruś «państwem grodów» nazywali. Były grody mniejsze, wcale liczne, i większe, rozmiarami nieraz olbrzymie, jak ten opustoszały gród, który kronikarz Thietmar r. 1012 podziwiał, o dwunastu bramach, mogący nad 10.000 ludu pomieścić, albo ten niezdobyty, co Morawy przeciw Niemcom w IX wieku obronił (Dziewin); po większych grodach zasiadał i książę, jeśli, co regułą było, kraju nie objeżdżał. Cała sieć grodów oplatała granice; mniej ich liczyło wnętrze kraju; kształty ich okrągłe lub czworoboczne; rów otaczał gród, a z ziemi tegoż rowu wał, z ostrokołem, silnie ubity; gród bronił brodu-przeprawy przez rzeki a zagrażał tyłom wroga, służąc zarazem jako schronisko dla ludzi i bydła przed nagłym najazdem, utrudnianym przez zasieki po lasach, które kraju strzegły. Załogę grodu opatrywała ludność okoliczna; stałą była stróża chyba tylko po bardzo eksponowanych grodach, jak np. Krosno lub Głogów; mniejsze stały czasu pokoju pustką. Linja ich wałów bywała też podwójna; wznosiły się także baszty narożne albo broniące bramy, jednej lub więcej. Przed znacznemi grodami, w podgrodziach, lud okoliczny i rzadki gość-przychodzień, kupiec obcy, nietylko dla targu się zbierali. Wszystkie owe grody i słupy przed niemi znikły oddawna z powierzchni; pozostały po nich tylko wały, znacznie dziś zniżone.

Gdy książę wyprawę zbrojną gotował, rozsyłał po grodach, a te dalej po wsiach, wici, t. j. związki powrozów, które każdy odbiorca najbliższemu sąsiadowi - wojowi odstawiał; w Polsce rzecz, a później sama jej nazwa zachowała się na-

zawsze niezmieniona; u Czechów użył jej po raz ostatni r. 1037 książę Brzetysław na wyprawę do Polski łupieżczą, ale kronikarz czeski już jej znaczenia nie rozumiał; uważał to za symbol kary dla niestającego do szeregów; ludu prostego wiśmi nie zwoływano, tylko wojów. Warto przypomnieć, że powrozy-sznury rozmaitego splotu, koloru, węzłów, w Peru Inkom jako pismo służyły, a *werw* 'powróz' w starej Rusi 'włość' oznaczał (nie pożyczka to z nordyjskiego), u Serbów 'zadrugę'; u nas tylko w *wirzbcy, obierzwi* 'postronku' ocalał.

Drewniane wieże i inne budynki, co w grodzie i przed grodem stały — jak z wodą było, nie wiemy, śladów studni, zdaje się niema — pożarły czas i pożary; wały rozorał pług i rozwiały wiatry. Nie były one wyłączną właściwością Słowian; takie same miewali Litwini, tylko inaczej je zwali; bo nasza nazwa *grodu* i *żerdzi* (od tego samego pnia) wskazuje ostrokół, gdy litewskie *pilis,* 'nasyp' (od *pil-ti* 'sypać') niegdyś, dziś zamek, gród znaczy: pile zaginęły, jako z drzewa, ale do dziś utrzymały się na Litwie i Żmudzi liczne *piłkalnie* 'grodziska' (właściwie «pagórki pili»), które najsystematyczniej przed wojną jeszcze L. Krzywicki badał. I pile bywają niewielkie; w ich obrębie biegnie wyżłobienie wzdłuż wału; w niem ognisko, jakby załoga głównie w tem wyżłobieniu, w takich «izbicach», przebywała. Zazwyczaj zestawiają *pilis* z greck. *polis* 'miasto', a indyjskiem *pur* 'zamek', ale to niesłuszne, chociaż może już koczowniczy pasterze Arjowie, naśladując tabory wozowe, w których przed napadem się kryli, stawiali takie improwizowane obwarowania; lecz tylko Litwa i Słowianie na największą skalę między VIII a XII wiekiem grody-pile budowali. Miast Polanie, Wiślanie i t. d. nie znali; były zamki-grody, np. w Gnieźnie, a przy nich podgrodzia. Krakowem nazywał się sam zamek-gród nad Wawelem-wąwałem, wąwozem; później dopiero Wawelem wzgórze i zamek nazwano. Poza tem wzgórzem i grodem na niem żadnego Krakowa nie było; wzgórze, jakby

wyspa między Rudawą a Wisłą, otaczały bagna, tylko z północnej strony wynosił się grunt suchszy i na nim luźne osiedla, co na podgrodzie się składały, bo załoga wymagała dostawy z bliska, a w pewne dnie zjawiali się «przemysłowcy», co wymieniali swoje towary, bo już następowała specjalizacja wyrobów; wszyscy orali, ale jedni przytem szyli obuwie, drudzy toczyli kubki i t. d., skoro ich ratajstwo nie pochłaniało. Obok «przemysłowców» stawali rzadcy kupcy (nie obfitują okolice Krakowa w wykopaliska pieniężne); skupiał się ich handel około karczmy, a było tych nawet kilka. Taki zarodek przyszłego miasta istniał już za czasów pogańskich, a Kraków właśnie zasłynął pierwszy, bo podobnych grodów było też więcej, Wrocław, Poznań, Gniezno, nie mówiąc o mniejszych. Wszystkie one podobne, rozsiadłe na wzgórzach lub wyspach i przez to obronne; wymagały też dróg-mostów; po belkach-bierzwnach tylko przechodziło się do grodu Kraka. Podgrodzia były zawsze zupełnie otwarte, bo nader rozrzucone, więc nie do opasania rowem i wałem.

Bronią narodową był łuk i pozostał nią, gdy się Europa dawno z nim pożegnała; łucznicy harcowali na przedzie, albo czyhali w zasadzce; strzały zatruwali «czemierem» (por. nazwę ciemierzycy); zatruta strzała raniła Mieszkę w ramię. I proca była niebezpiecznym pociskiem, lecz łuk brał nad nią górę; niegdyś krzemień i kości bywały ostrzem strzały, zanim żelazo je zastąpiło. Za łucznikami i procnikami następowali woje z szczytami drewnianemi, gładkiemi lub z puklami, okutemi, trójkątnemi, i z oszczepami w prawej; mniejszemi ciskano, większemi nacierano na wroga, przydługie wlókł woj za sobą (stąd nazwa włóczni), szczególniej konny. Hełm i pancerz należały do rzadkości, i konnicy nie było wiele: zdobywali się na to tylko woje-wiciędzy albo raciędzy (*rać* = wojna); oni też łupy zbierali. Chorągwi starożytność rzymska nie znała, nas doszły one ze wschodu, jak imię wskazuje; na chorągwi widniał jakiś znak,

zwierza czy innego symbolu; jedna domowa jej nazwa była *stanica,* bo nad stanem (namiotem) książęcym powiewała, druga, dla mniejszej, potocznej, *proporzec;* dźwigał ją «chorąże». Stawali razem woje, poczuwający się do rodowego pokrewieństwa, może miewali osobne, mniejsze stanice-proporce. Wyborowej «drużyny» nie było wiele, tem więcej ludu spędzano do obrony w otwartem polu i jako załogę po grodach; krzykiem onieśmielano przeciwnika, otwartego boju jednak raczej unikano; zasadzki i podstępy wszelakie zalecały się bardziej. Smardowie uzbrajali się w kije nabijane żelazem lub osmalane, siekiery-bardysze, młoty niegdyś kamienne.[1] Czy i w Polsce dziewięciu gospodarzy dziesiątego na wojnę wyprawiali, jak tego na Pomorzu Krzywousty r. 1125 wymagał, nie wiemy.

Ustrój społeczny, na progu dziejowym, około r. 950, kreśliliśmy wedle analogji u obcych (u Czechów np. było wszystko mniej więcej podobnie) i własnej, z czasów późniejszych, bo odmiany były nieznaczne. Mieszka i Chrobry nie stworzyli tych stosunków, znaleźli gotowe; władza książęca despotyczna spadła na nich już po przodkach; rozwój dawno rozpoczęty oni chyba w szczegółach, czego kontrolować nie możemy, dalej poprowadzili, większe ciężary na ludność nałożyli, organizację państwową sprężystszą uczynili, może podział na dziesiątki i setki (wojskowy?) narzucili, grozę imienia polskiego szerzej roznieśli.

Język nasuwałby wszelakie uwagi, ale nie zawsze da się dawność wyrazu bezspornie ustalić. Np. dziedzina. Własność dziedziczna, ziemska, nie nazywała się w Polsce, jak dziś, ojco-

[1] Osobno zaznaczmy, że czeskie roty już w IX wieku obcym (Serbom nadłabskim) za pieniądze służyły, a w X i Mieszkę wspomagały; zawdzięczały to lepszemu uzbrojeniu i ćwiczeniu. Tak wcześnie zaznaczyła się przewaga czeska i morawska, materjalna i duchowa, bo przez bramę morawską również pierwsze chrześcijaństwo Wiślan dosięgło, chociaż książę krakowski się jemu uparcie opierał.

wizną, dawniej ojczyzną, lecz dziedziną, gdyż tylko taka własność ziemska jest dziedziną, co od dziada, nie dopiero od ojca pochodzi; tylko taką dziedzic dziedziczył, a tylko do takiej nabywał cały ród praw, które później istotnie wykonywał (prawo skupu i pierwokupu), gdy ojciec swoim własnym nabytkiem dowolnie szafował. Ale jakżeż przełożyć te później obowiązujące stosunki do czasów pogańskich?

Albo *puści(z)na,* dziś spuścizna, 'spadek', skąd ta nazwa? Jak *pusty wieczór* (czuwania nad zwłokami) dowodzi, oznaczała puścizna pierwotnie własność nieboszczykową, którą do szczętu strawić należało, aby jego gniewu na żywych nie obruszać, więc spadku-dziedzictwa (ruchomego) po nim nie było żadnego pierwotnie, jak i testamentów żadnych nie znano; dopiero z czasem przestawano tracić, puszczać cały majątek nieboszczykowski i rodzina zatrzymywała go (albo raczej resztki jego) w spadku i sens puścizny odmienił się w przeciwny; tylko wieczór pusty mimo zakazów kościelnych nazwę i funkcję zatrzymał.

## WPŁYWY OBCE

Czy działały w tej epoce znaczniej jakie obce czynniki? Bezpośrednio chyba nie, bo gęsty pierścień słowiański zewsząd opasał Polskę, ale przezeń dochodziły i do Polski nowe wpływy niemieckie, tym razem wyłącznie zachodnie. Szczegółów nie zawsześmy pewni, słowo może to z górnej niemczyzny, to jeszcze z gockiego pochodzić źródła, ale *pług (Pflug)* gockim nie będzie (niema go w gockiem nam znanem); *chyz (chyża* i różnie inaczej), z *hūs, Haus; myto* z *Mauth,* a to z łac. *mūta* (niemieckie słowo ma nawet też znaczenie poboczne przekupstwa, jak i u nas i w cerkiewnem); *panew (pfanna,* bo u Słowian zawsze *p* zamiast niem. *pf* lub *f*); *piła (Feile, fīla); węb or(ek)* z *eimbar, Eimer; bednia* (por. bednarz; z łac. przez niem. *bu-*

*din, putin);* kaszubskie *niebozez (świder,* z niem. *nabager); ług (Lauge); istba* (izba, z *Stube; i-* przysunięte); *gbeł* (kubeł) z *kubił, Kübel; łagiew* z *Lägel* — co za ilość pożyczek dla narzędzi drewnianych! *oksza* (siekiera, z *Axt, ascia); orędzie* z *aranti,* tosamo; *łuk (Lauch)* już prasłowiańskie z gockiego raczej (choć go w języku nam znanym niema); *wyz* z *hūso, Hausen; chwila* z *hwīla, Weile.* Pożyczki te szły do nas na Czechy i Morawy; najlepszy dowód *jedwab* z czesk. *hedvabí* a to z niem. *gotawebbi* 'droga materja', albo *berło* z czesk. *berla,* a to z niem. *ferula (*z łac. *ferula).* Były silne spójnie z północą, z wikingami szwedzkimi, ale w języku śladów nie zostawiły, chyba w nazwie *śledzia,* staroszwedzkie *sild,* bo *bierkowiec* mamy wprost z ruskiego (a to wkońcu od staroszwedzkiego emporium handlowego *Birka),* a nord. *torg* z rusk. *torg,* nie z naszego *targu.* Wszystko słowa pierwszorzędnej wagi dla kultury materjalnej; jest ich więcej, ale my najciekawsze postradali, np. *brnia* 'pancerz', czesk. *brně* z niem. *brunja Brünne,* franc. *broygne* (Karol W. zakazywał wywozu brni-pancerzy do Słowian r. 809). Wpływów wschodnich, turko-tatarskich na razie nie było; Węgrzy dopiero świeżo osiedli; Carogród nie sięgał do Polski tak, jak do Kijowa; o Arabach zob. niż.

W tym samym Kijowie i Nowogrodzie i wikingowie odegrali inną rolę, niż u nas, a świadczy język o tem, bo gdy u nas prócz jedynego śledzia nic niema staroszwedzkiego, jest tego sporo na Rusi, począwszy od *pudu (Pfund,* nord. *pund,* z łac. *pondus), knuta* (z nord. *knutr* 'węzeł', *Knoten); ciwuna (tiwun,* sługa książęcy, z nord. *thjonn 'Diener'); jabedy* (potwarzy, z nord. *aembaette 'Amt'); gridi* (straży książęcej, z nord. *grid* 'spokój'); *wiry* 'główszczyzny' z *Wehr(geld)* od *verr* 'mąż' i in., a od r. 850—1050 roi się poprostu na Rusi od imion staroszwedzkich i w dynastji i między możnowładztwem: Olgowie i Olgi, Rurycy i Rogniedy, Rogwołody i Bjerny (Mieszki, niedźwiedzie), Igory i Asmundy; wobec nich giną nie-

liczne imiona słowiańskie. U nas przeciwnie, w dynastji niema ani jednego, śród możnowładców zato niejedno normańskie imię (Jaskotel z Askatli i in.), w języku jedyny śledź swedzki; wniosek stąd łatwy: Ruś normańskie, Polska słowiańskie państwo. Ruś założyli wikingowie normani, Dnieprem się zapuszczając wgłąb kraju, ale nad Wisłą nie powtórzyło się tosamo. Jeśli więc i dziś jeszcze twierdzą: «Metodycznie konsekwentną i godną uwagi jest też myśl, w najstarszem państwie polskiem upatrująca założenie przez wikingów», otóż sam język tej myśli przeczy stanowczo i ani osiedlenie się (przemijające) wikingów pod Wołyniem pomorskim i związki ich z Mieszką i Chrobrym; ani węzły rodzinne Piastówien z szwedzkimi i duńskimi konungami (takie same były u Obotrytów), nie dowiodą początku wikingowego państwa Piastowego: w podobnym razie Pomorze pierwszym mogłoby być etapem panowania wikingów, a o tem tak samo głucho.

Co do owych pożyczek zachodzi jedna trudność: że gockie (z III do IV wieku) są ogólno-słowiańskie, to rozumie się samo przez się, ale niemieckie z VIII—X wieku? jak mogą się też one po całej Słowiańszczyźnie, oddawna już rozłączonej, powtarzać? np. taka *izba?* Wiele z nich wprawdzie ograniczonych do czesko-polskiego i na Ruś dopiero później z Polski przeszły; co do ogólnych możemy wskazać, że się i niektóre łacińskie, np. *kolęda,* acz późno, również po całej Słowiańszczyźnie rozeszły, albo *bania* (jeśli to z łac. *balneum),* a napewne *topola (populus,* nie z niem. *Pappel),* i *kromoła* 'bunt' (z *carmula).* Zresztą nie twierdzę o każdej z wyżej powołanych, że już za pogańskiej Polski do języka weszła, np. *stodoła* a chyba i *komora* może dopiero w XI wieku do nas dotarły; bardzo stare, już dla samej formy, zdają się *rzodkiew (Rettich* z *radix)* i *marchew (Möhre);* dalej *mał-* w *małżeństwie,* z niem. *Mahl,* zob. niż.; o innych, acz dawnych, wiemy, że dopiero w XI czy XII wieku się zjawiły; pośrednictwo czeskie bywało niemal sta-

łem i te pożyczki niemieckie należałoby raczej na karb czeski odliczać, jak o wszystkich chrześcijańskich na pewne to wiemy.

Te pożyczki z górnej niemczyzny *(Althochdeutsch)* różnią się od owych gockich, że jest ich mniej i nierównie mniejsze ich znaczenie (pomijając chrześcijańskie, co tu jeszcze nie należą); gockie wypłynęły z jakiegoś spółżycia Gotów i Wandalów z Słowianami, gdy u niemieckich o tem i mowy niema; szerzyły się z jakiegoś punktu czy pasma nadgranicznego bez samych Niemców drogą jakiegoś powolnego wsiąkania. Widać to na najciekawszej z tych pożyczek, na imieniu Karola W.; rozszerzyło się jakby prasłowo po całej Słowiańszczyźnie i przyjęło jeszcze w IX wieku znaczenie ogólne króla (aż do Carogrodu dotarł *ho krales ton Frangon, kral, korol* ruski, nasz *król),* a zajął Karol fantazję słowiańską nie dla walk z Połabianami czy Czechami, które Polski i Rusi nic nie obchodziły, lecz dla zniszczenia mocy awarskiej, Słowianom wszystkim groźnej, i pamiętano o tem jeszcze w XI wieku w Kijowie i prawiono: «zginęli jako Obrzy», a imię Karla nadano i jego następcom i wkońcu uogólniono na każdą głowę koronowaną.

Podobnie ma się rzecz z drugim «urzędowym» terminem, z komesami monarchji frankońskiej; Grecy wymawiali ich komisami i stąd staro-bułgarskie *komis,* ale to pożyczka książkowa; u wszystkich Słowian bez wyjątku jest inna; *kmieć, kmet'* od *comites* (tak samo jak *kmotra* od *commater;* spółczesne to niemal), *t* dalszych przypadków a *e* pierwszego złożyły się na tę formę. Na starej Rusi *kmetstwo* 'rycerstwo'; na zachodzie wróciło *kmetho* do łaciny, z której wyszło, i oznacza baronów państwa, ale z czasem zeszło wszędzie z tego zaszczytnego miejsca i przeniosło się do *kmieci* na wieś, zawsze jednak o znaczniejszych, wójtach i sędziach gminnych używane; u nas w *Bogurodzicy* jeszcze *kmieć* 'baron', co zasiada w *colloquium* — wiecu boskim, lecz już w XIV wieku do wsi go ograniczono.

## BIBLJOGRAFJA

*Reallexikon der Vorgeschichte* i t. d., herausgegeben von Max Ebert, od r. 1924—1929, tomów piętnaście, praca zbiorowa kilkunastu uczonych archeo- i antropologów (między nimi i Kostrzewski); korzystałem z kilkunastu haseł, których nie wymieniam, tej encyklopedji wiedzy o ludach dzikich i barbarzyńskich. *Reallexikon* O. Schradera odnosi się wyłącznie do narodów indoeuropejskich, uwzględniając w nowem, drugiem wydaniu staranniej i rzeczy słowiańskie, mianowicie rosyjskie. Jan Czekanowski, *Wstęp do historji Słowian*, cytowany wyżej; do niego odnoszą się cytacje o najeździe, wymaganym przez antropologję.

Kazimierz Tymieniecki, *Społeczeństwo Słowian lechickich (ród i plemię)*, Lwowska Bibljoteka Slawistyczna VI, Lwów 1928, zawiera w samym tytule błąd, bo żadnych Słowian «lechickich» nigdy nie było, chociaż na str. 140 autor twierdzi o północno-zachodnich Słowianach, że «złączeni z sobą pokrewieństwem dialektycznem tworzyć musieli niegdyś jeden lud»; z tego mylnego przypuszczenia wynikło dalsze błędne traktowanie historji polskiej w związku z pomorską, lucicką i t. d., gdy rozwój Polski zasadniczo od nich odmienny, potoczył się wyłącznie tą samą koleją, co i czeski (morawski był epizodem przemijającym — żadnej Wielkiej Morawy nie było!) i tylko w związku z czeskim rozpatrywać go należy; rozdział więc «Rozwój państw u Słowian lechickich» «uderza w zupełną próżnię dziejową». Pomijam wszelkie dzieła o historji Polski Bobrzyńskiego, St. Zakrzewskiego, Grodeckiego (aby tylko najnowsze wymienić), które w pierwszych rozdziałach powstanie i organizację pierwotnego państwa polskiego obszerniej lub krócej przedstawiają; pomijam polemikę Smolki i Bobrzyńskiego z Piekosińskim i jego teorją najazdu; nadmienię tylko, że Bobrzyński i w czwartem wydaniu *Dziejów polskich w zarysie* (1927) pozostał wiernym teorji o byłych «dynastach», naczelnikach szczepowych, wchłoniętych w państwie Piastowem w szeregi możnowładztwa («dynastje książęce» I, 61), ależ nawet o Mojsławie mazowieckim, znanym z walk przeciw Kazimierzowi I, nie sposób udowodnić, jakoby był czy pochodził z «dynastów».

ROZDZIAŁ CZWARTY

# POLSKA POGAŃSKA. RODZINA

**Małżeństwo. — Urodziny i postrzyżyny. — Obrzędy pogrzebowe. — Rodzina. — Zabawy i pląsy. — Ślady barbarzyństwa. — Bibljografja.**

## MAŁŻEŃSTWO

Życie rodzinne, inaczej niż społeczne, przechodziło, jak z natury rzeczy wynika, te same fazy, co i dziś. Z jedną, walną różnicą. Całe dawne to życie otaczała gęsta mgła przesądów i praktyk przesądnych. I dziś jest lud przesądny, ale dziś jego przesądy, to bezmyślne powtarzanie tradycji, z czego się nieraz sam śmieje, gdy przed lat tysiącem przesąd na każdym kroku człowieka istotnie straszył, motał i gnębił; człowiek czuł się wydanym na pastwę wszelkim niedocieczonym wpływom duchowym złym i dobrym, i jedynem jego staraniem było, jak się od złych odczepić, jaką bronią ich zwalczać, a łaskę dobrych zaskarbiać i pomoc ich wywoływać; dziś otrzeźwiał lud z tego czadu czarów i przeciwczarów, ale gdy je odsuniemy, okaże się, że same odmiany w życiu rodzinnem nie zawsze głębokie.

Oto małżeństwo; ono dziś niemal takie jak przed lat tysiącem. Nie śniło się bowiem nikomu w Polsce o zawieraniu małżeństwa ani gwałtem, uprowadzaniem (nie znali tego Słowianie i nie mają na to spólnego wyrazu), ani kupnem: uprowadzanie gwałtem zdarzało się, tak samo jak morderstwo, a raczej znacznie rzadziej; kupno, jeśli się trafiało, było zjawiskiem wtórnem, nie pierwotnem. Małżeństwo było, tak jak dziś, umową przyjacielską, stwierdzaną obopólnemi darami równej wartości i wiązało rodziny przyjaźnią stałą; jak dziś, było monogamiczne, już dla względów ekonomicznych; wielożeństwo popłacało u bogaczy, szczególnie u książąt, gdzie może było obowiązkowe. I tak ów kupiec Samo, chrześcijanin (?), gdy go Sło-

wianie księciem obrali r. 623, z tuzina żon miał dzieci trzy tuziny; Mieszce tylko siedm żon kronikarz naznaczył; Włodzimierz kijowski miał ich kilkanaście i żywił jeszcze olbrzymi harem; książę pomorski miał r. 1126 dwadzieścia cztery «popaśnic» obok kilku żon a był już pokryjomu chrześcijaninem.

Jeśli przypuszczamy, że wielożeństwo było udziałem książęcym, wychodzimy i z uwagi, że zwyczaje, które były niegdyś ogólne, zczasem tylko u sfer najwyższych ocalały. Odwrotnie, co było niegdyś ich przywilejem, spadało między tłumy; przykłady przytoczymy niżej nieraz. Przy wielożeństwie uchodziła pierwsza żona za główną, ona jedyna była «małżoną», t. j. zaślubioną uroczyście; żony dalsze uchodziły raczej za «popaśnice» (konkubiny), a ich potomstwo zbywano byle czem. Więc Mieszka jedyny dziedziczył, bracia jego (wiemy o dwuch) byli może synami popaśnic; Chrobry uważał się starym trybem tak samo, jako jedyny syn Dobrawy, za jedynego dziedzica uprawnionego, a więc napędził macochę z jej synami (dopiero chrześcijaństwo uprawniło i dzieci z drugiego małżeństwa); nie pomogło «nocnej kukułce» osobliwsze wystylizowanie owego aktu darowizny Polski.

O równouprawnieniu płci nie było i słychu; on *żenił* się, *żenimą* zwała się zamężna; on ją wiódł za sobą, ona postępowała za nim, wychodziła za mąż. Żeniono się wcześnie, dziewczyna w lat czternaście; jeszcze w XVII wieku wchodziła dwudziestoletnia już w stare panny; potomstwo bywało nader liczne.

Monogamji dowodzi fakt, że mąż żonę o byle co napędzał; przy wielożeństwie byłby raczej przybierał drugą i trzecią, a nie pozbawiał się siły roboczej i nie tracił wiana-posagu. Napędzanie żon było tak stałe, że Słowianie, jedyny chyba naród na świecie, dla napędzonych osobną utworzyli nazwę, bardzo im ubliżającą, *poćpiega* (termin prasłowiański, u nas jeszcze w XV wieku dobrze jako *poćbiega* znany). Pierwszy

list, który papież do Słowian wystosował (r. 873), o to właśnie Słowian gromił, kazał oddalać drugą a wracać do pierwszej, bo te 'rozwody' djabeł wymyślił, ale jeszcze r. 1145 wydalał legat papieski w Czechach kleryków, co się z poćpiegami pożenili. Chrobry po dwu poćpiegach dopiero trzecią żonę zatrzymał. I tu względy ekonomiczne nie dozwalały szafowania kobietami, chyba gdy mąż dla niepłodności żonę rzucał.

Małżeństwa kojarzono nie umyczką (uprowadzaniem), ani kupnem, lecz swataniem-umową. Umyczka nigdy nie była zwyczajem; przeciwnie, łamało każdy zwyczaj «złodziejskie wesele», jak Ruś słusznie umyczkę ochrzciła. Jeśli szczep napadał na drugi, zabierał mu zawsze bydło, kobiety i dzieci; przy dzieleniu łupów mógł i żonaty dostać kobietę brzemienną; więc to nie było małżeństwem, chociaż z nią później spółkował; ona była jego niewolnicą, którą także odsprzedawał żydom. To była istotna «umyczka», ale na nią czyhał odwet. Wyjątkowo uprowadzał mężczyzna kobietę z sąsiedztwa, i tu groziło mu walne niebezpieczeństwo, bo taką napaść gromiła rodzina uwiedzionej pościgiem i zabójstwem, a prawo późniejsze śmiercią karało. Częstsze bywało uprowadzanie pozorne, komedja umyczki, bo porozumiewali się młodzi, gdy zwykła droga (umowa) dla jakiejkolwiek przyczyny była niedostępna czy żmudna, najczęściej, gdy brakowało środków na urządzanie kosztownego wesela. Ale i ta komedja uprowadzania sprzeciwiała się zwyczajowi i pociągała w czasach prawowości dotkliwe dla obu stron upośledzenia i straty, szczególniej dla kobiety, gdy się nie udało zdobyć następnej zgody jej rodziców. Przy uprowadzeniu obywało się też bez ceremonjału weselnego, chyba że go *post festum* odprawiano w rozmiarach szczuplejszych, bo bez głównej figury weselnej, bez swata.

Nie zawierano więc małżeństw gwałtem, raczej już kupnem, jak o tem sama nazwa *wiana,* t. j. ceny za żonę, ofiarowanej przez młodego świadczy, ale kupno, czy pozorne, symbo-

liczne, czy istotne (np. u nomadów wschodnich do dziś ostałe), jest późniejszem zwyrodnieniem. U Arjów, jak u innych ludów pierwotnych, było małżeństwo pierwotnie tylko dobrowolną umową, zaprzyjaźniającą rodziny, o czem wzajemne podarunki wyraźnie świadczyły; te dary obustronne bywały równej wartości, jeszcze w szlacheckiej Polsce równał się posag panny wianu, wnoszonemu od oblubieńca. Że o kupnie pierwotnie nie było mowy, wynika już z najstarszych terminów aryjskich, np. *snecha* 'synowa' znaczyło pierwotnie związek (od pnia *snea* 'snować') przyjaźni i było rodzaju męskiego, *nurus, nyos.* Najstarsze świadectwo słowiańskie z XI w. (Nestora) zna tylko wyprawę, jaką za młodą wydają, a o kupnie milczy.[1] Córka ubożyła więc dom ojczysty, bo chowano ją i karmiono dla obcych i rodzina patrjarchalna nie miała z córek pociechy; «córki to rozpacz», wołano w starej Indji; nie dziw też, że je zabijano, wysadzano lub sprzedawano w niewolę. Tak było wszędzie, a więc i u nas, a co Arabowie (zob. niż.) w X wieku prawią, jakoby dla bogatego wiana rodzina z córkami bogaciała, polega tylko na ich mylnem rozumowaniu. Córka była więc ciężarem, który chętnie spychano, tem bardziej, że przez to nawiązywano przyjazne stosunki z inną rodziną, z nią się bracono.

Najgłówniejszą figurą w weselnym dramacie był więc tylko ten, co te związki umożliwiał, człowiek bywalec, cieszący się powagą uznaną, *swój* człowiek, więc *swatem* przezwany. Termin to prasłowiański (przyrostkiem *-at* od *swo-* w *swój, swoboda* i t. d., urobiony, jak *skór(l)at* od *skóry,* jak *jałat* 'nędznik' od *jał* 'zły', *bławat* od *bławy, pegat* słowieńskie 'jarząbek' od *piegi;* ten sam przyrostek tworzy nierównie częściej przymiotniki, np. *brodaty* od brody i in.; podobnie *-otas* w litewskiem).

[1] Jeśli swat lub raj(ek) przy zmówinach pyta rodziców, czy nie mają do sprzedania jałówki albo klaczy, toć to nie odgłos pierwotnego kupna, lecz symboliczne zapytanie; inny pyta, czy nie znajdzie tu zagubionej klaczy, kwiatu, liszki, co tu uciekła i t. p.

Młodzi własnej woli nie mieli, nikt ich o zgodę ani pytał; swat był tak dalece główną osobą dramatu, że całe wesele tylko wedle jego czynności nazywano; *swaćba* (od *swacić*, w Polsce XVI wieku dołożone, i *swatać)* jest również terminem prasłowiańskim; swat był «swoim człowiekiem» i w tem znaczeniu, że «przyswajał» rodziny, czynił je zaprzyjaźnionemi, powinowatemi.

Zawierano umowę prywatnie, gdy Niemcy uroczyście na zebraniu wiecowem *(Mahl)* ją ogłaszali i to niemieckie *Mahl* przemieniono na naszą *mał-żonę*, niby «na wiecu» a raczej uroczyście poślubioną.

Synonimem swata jest *dziewosłęb* (z mylnem *ł*, niby od słania, zamiast *n, dziewosnęb); swatać* i *snębić* znaczy to samo; mylnie wyznaczano dziewosnębowi jakąś wybitną rolę a spychano z niej swata. Między *swatać* a *snębić* zachodzi tylko różnica chronologiczna, *snębić* jest słowo aryjskiego, *swatać* słowiańskiego początku. *Snębić* jest łac. *nubere* (greckie *nymphe),* ale to nazwane nie od 'pokrywania' niewiasty *(nubes* 'chmury'), lecz od tegoż pierwiastka co i snecha 'synowa', oznacza snuć, wiązać, przyswajać do nowej rodziny. Jeżeli w późniejszych wiekach ludek swata i starostą i marszałkiem nazywał a nawet swatów w liczbie mnogiej w orszaku weselnym *(swacia)* wyróżniał, co już w aktach XV wieku spotykamy, to są to tylko anachronizmy, bo i lud lubi modę i dla niej terminy dowolnie odmienia — znaczenia to nie ma żadnego. U ludu prostego jeszcze w XIV i XV wieku sam swat zawierał małżeństwa i Kościół karał ekskomuniką laika, któryby bez kapłana ważył się łączyć małżeństwa; ślub cywilny jest więc nierównie starszy niż kościelny, a swat czyli dziewosnęb był niegdyś «urzędnikiem stanu».

Umowa małżeńska stanowiła tak ważny moment w życiu rodzinnem, że otaczano ją licznemi symbolami i obrzędami, które miały jej zapewnić pomyślność, a oddalić wpływy szko-

dliwe. Najważniejszym i rozstrzygającym jej momentem były zaręczyny, zrękowiny czy zmówiny; wszystko dalsze było tylko ich dopełnieniem. Swat *snębił (swatał)* dziewczynę za chłopca i gdy umowy dokonał, łączył ręce młodych, obdzielał ich chlebem i serem, poczem zapijano sprawę i naznaczano dzień wesela, t. j. kiedy młodą miano z domu rodziców przeprowadzać do mężowego; zaręczyn nie zrywano, chyba za obopólną zgodą; może przy nich ogłaszał swat, co za «wiano» młody wniesie, niby kupował młodą, bo wiano, to kupno, i z wiankiem-wieńcem nic niema wspólnego.

Na dzień weselny gotowano obfitą ucztę, przy której obdzielano obecnych pieczywem obrzędowem (u nas i Czechów *kołaczem, korowajem* u Rusi i Bułgarów; oba od kształtu nazwane), przyrządzanem jak najstaranniej przy wszelakich gusłach i śpiewach. Przed samą ucztą odbywał się *posag,* t. j. młoda szła za młodym, sięgając ręką za niego *(posag* tyle co 'pociąg'), i oboje siadali po raz pierwszy razem na skórze zwierzęcej, kosmato obróconej (jak przy wszelkich obchodach bywało); gdy młodzi na posagu siedzieli, objawiali jej rodzice, co za nią dadzą na wyrównanie wiana mężowego, i stąd przybrały same te ich wnioski u nas prastarą nazwę posagu; rodzice wyposażali młodą, a terminu tego nigdy o młodym nie używano. Potem odbywała się uczta, przy niej i później tańce, śpiewy i obrzędy nadzwyczaj sprośne; na Rusi kładziono czosnek i phallus do napojów, wyjmowano go i oblizywano; było to święceniem napojów weselnych; u nas skromniej chyba nie bywało; nie dziw też, że później Kościół zakazywał kapłanom uczestnictwa w weselach; te sprośności przy pokładzinach tylko się potęgowały, co duchowni wspominają ze zgrozą, a etnografowie dyskretnie przemilczają.

Pomijamy rozpleciny włosów młodej i oczepiny, żegnanie domu i ogniska, rodziców i domowych, przyjazd do domu mężowego, gdzie należało przedewszystkiem polecić «niewiastę»

łasce i opiece nowych bogów domowych, ogniska i wody. Wszelakie symboliczne obrzędy (np. obsypywanie ziarnem na wróżbę płodności i t. p.) towarzyszyły scenom dramatu weselnego: wszystkie miały na celu albo ochronę nowożeńców przed urokami i duchami złymi, albo wywołanie łaski boskiej i przychylności duchów domowych na teraz i przyszłość. Więc zasłaniano i otulano młodych nie dla umyczki, lecz dla odwracania uroku albo dla niedopuszczenia czegoś złego; oni nie jadali ani rozmawiali podczas uczty weselnej, aby nie wstąpił w nich jaki zły duch, aby unikli uroku; włosy, jakie ucinano młodej lub nadpalano obojgu, były może ofiarą dla bóstwa; łączono im ręce (wiązanie) i dawano spólnie coś pożywać, dla nierozłączności na całe życie; oczyszczającem było kropienie wodą, przechodzenie przez ogień; młodą wnoszono przez próg, siedzibę duchów domowych - przodków, aby nieznana przestąpieniem progu ich nie uraziła; w domu mężowym obchodziła ognisko, później stół, bywało nawet kupę śmiecia czy gnoju na podwórzu, aby ukorzyć się i polecić łasce nowych bogów; sadzano jej chłopczyka na łono; przebierała się, aby jej duchy nie poznały; pędzono z nią na wozie, trzaskano z batów, uderzano w żelaza, aby odstraszać nie pogoń wrogą, lecz złych duchów. Rytuał był więc bardzo skomplikowany, a swat czuwał nad tem, by nic nie zaniedbano, i wielka na nim ciążyła odpowiedzialność

Osobna wzmianka należy się drużynie weselnej. Słowo *drug* (druh) pierwotnie woja znaczyło, a *drużyna* orszak wojenny, później zeszło na towarzysza - przyjaciela, więc krewni i znajomi (druhowie) młodego towarzyszyli mu w drodze po młodą i napowrót, ale nie dla zabawy: drogi były niepewne, szczególniej na większą odległość i orszak winien być nawet zbrojny, by się uchronić od rzezimieszków, którzy w zasadzce na gości weselnych czyhali; słynny był podobny napad Niemców na drużynę weselną, która młodą z Czech na Morawy (dla Świętopełka?) prowadziła r. 873, Niemcy odbili z sześćset koni;

i u nas czytamy o podobnych zasadzkach; jedna skończyła się na biednym wikarym, którego obrali z weselnego kołacza i ozoru i srogo obili. «Drużono» więc młodemu, aż słowa *drużba, drużko* u wszystkich Słowian z weselem się ściśle złączyły, z którem pierwotnie nic nie miały spólnego. Dalej wywołał męski orszak weselny młodego odpowiedni żeński młodej, *drużki, druchny,* jej towarzyszki; wszystkim zaś należały się obok obfitego poczęstunku dary, owe słynne cienkie płaty, dziś u ludu ręczniki. I rozszerzało się znacznie koło gości weselnych.

Dalej należy uwzględnić moment psychiczny. Małżeństwo było przecież, szczególnie dla młodej, zupełną odmianą życia, porzuceniem dotychczasowego, a przybieraniem innego, więc nie dziw, że się temu opierano, że młoda pierwotnie w istocie, później choćby dla formy-zwyczaju się sromała i uciekała, a drużki jej podsycały jej opór, bo traciły towarzyszkę zabaw i pląsów; odbijano więc napaść młodego i jego drużyny, nie wpuszczano ich do domu, wypytywano, po co dom nachodzą; szydzono z nich, drwiono; młodego wywodzono w pole, podstawiając drużkę lub babę za młodą. To wszystko nie przeżytki-naśladowania symboliczne niebyłego uprowadzania ani mitycznego kupna, lecz wypływ naturalnego uczucia doniosłości takiej chwili w życiu. Podkreślano to przemowami, w czem znowu swat celował, ucząc młodą, radząc młodemu; dziś podobne przemowy, nieraz humorystycznie zabarwione, spadły między lud, niegdyś szlachta się niemi popisywała przy każdym akcie dramatu weselnego. Więc nie z powodu «umyczki» zbroiła się drużyna, broniły młodej drużki i nie dla niej toczył się wóz ślubny z hukiem i trzaskiem.

Przy braku świąt liczniejszych korzystano z swaćby, aby bawić się jak najdłużej i wyłudzać jak najwięcej darów i napitków. Wymyślano więc wszelakie zabawy i żarty, a choćby docinki, wydłużano ceremonjał ile możności, ależ nie o jakieś istotne przeżytki pierwotnej umyczki czy kupna, było to tylko

zabawne naśladowanie podobnych możliwości; utrudniano drużynie weselnej nawet wstęp do domu młodego, byle się dłużej i lepiej bawić. Huczność wesela tłumiła zarazem słuszne obawy młodej przed losem, który ją w domu świekrowym oczekiwał.

Dziewczyną zażywała wszelkiej swobody, zamężna wszelką na zawsze traciła; biada jej, jeśli w czemkolwiek nie wygodziła, a cóż dopiero, gdyby wierność zdradziła; niewierną mąż zabijał na miejscu (mógł i jej spólnika prawnie zabić, gdyby się nie bał krwawej zemsty rodziny), albo kaleczył, szczególniej na twarzy (obcinał nos, uszy, włosy, karał i na innych członkach); więc nie na żart płakała rzewnie młoda, żegnając się z drużkami i z domem; jeśli gwałtu gwałtem nie odbijała (a było to dla niej bardzo trudno), cicho cierpiała, wzdychała za dziewictwem i domem ojcowskim, a gdy ucisku nie zniosła, mściła się i truła męża, od bab-wieszczyc w zioła i grzyby jadowite zaopatrzona.

Póki nie porodziła syna (znak, że duchy przodków w nią wstąpiły), nie była człowiekiem, była tylko *niewiastą*, t. j. nieznaną (niewiadomą, por. *wieść, zwiastować)*, co milczeć winna, której nazwiska nawet nie wymieniano, by duchów domowych obcym człowiekiem nie obrażać. Dopiero od XIV wieku uogólniano tę nazwę z synowej na kobietę ogółem. Była więc niewiastą, «białą głową», «białką», bo mężatka chodziła zawsze w białem zawiciu, gdy dziewczyna pod wiankiem albo chustą włosy rozpuszczała, prostowłosa, lub w kosy splatała. Wierności małżeńskiej strzegła, co wobec takiej grozy nie dziw, i nie darmo słynęły z niej kobiety słowiańskie, a miały jej dochowywać mężowi i po zgonie jego, bo zabita z nim na stosie płonęła. Uogólniają to nasi sprawozdawcy, chyba niesłusznie; w wielożeństwie, szczególnie u książąt, wybierano jednę z żon na ofiarę, żeby i w zaświecie, w «nawi», panu-mężowi służyła, ale w monogamji, gdy mąż w sile wieku przy częstych napadach ginął, wdowa przechodziła na własność i pod opiekę szwagra; nie prawi też żadna tradycja ludowa o zabijaniu żon. Z poćpieg

i branek wojennych wychodziły i nierządnice, a nazwy ich osobnej nie przyjęto bynajmniej od Gotów *(hora)*, jest rodzima. Dzieci ze związków wolnych spłodzone pokrzywnikami zwano, jako w pokrzywach, nie na łożu małżeńskiem spłodzone.

To łoże poświęcał *żerzec*, odpędzając złe duchy, wzywając łaski Dadźboga, polecając młodych opiece *Rodu* (bóstwa) i *Rodzanic* (fej, czuwających nad brzemienną i położnicą), a upraszając od nich dolę dla przyszłego potomstwa. Im obiaty składano: ser obok chleba i miodu był obiat najważniejszą częścią, a już przy zaręczynach serem się dzielono, przynajmniej na Rusi; może już przy nich żerzec rolę odgrywał, bo miano jego łączono później z swatem-staroswatem (tak wyróżniano głównego swata w drużynie weselnej młodego).

O Rodzie i Rodzanicach, co tajemnicy poczęcia i płodu zazdrośnie strzegli, zapomniał lud jak i o wszelkich innych bóstwach; przechowała się ich pamięć u innych Słowian. Ojciec podnosił dziecię z ziemi i przez to je uznawał, ale pozostawał i nadal panem jego życia i śmierci, mógł dzieci sprzedawać do niewoli, a córki wysadzać w lesie, aby nie zachwiewały ciężko utrzymywanej równowagi gospodarczej. Pomorzanie w XII-ym a Prusowie w XIII-tym wieku wyrzekali się uroczyście tego zwyczaju, który więc i Polsce nie był chyba obcy.

## URODZINY I POSTRZYŻYNY

Jeśli wesele było przepełnione gusłami i obrzędami przesądnemi, to połóg i pierwsze po nim dni otaczał jeszcze gęstszy las zabobonów wszelakich. Obawiano się gorączkowo niemal duchów, co czyhały na położnicę i płód; siekiery, noże kładziono na próg, do łoża, pod poduszki, aby ich odstraszyć; położnica nie śmiała całemi dniami, szczególniej pod wieczór, wychodzić; ona i płód były nieczyste, więc odosobniano ją (nieraz w osobnej chacie!), a po połogu oczyszczano ją i dziecko, co się z sutą

libacją i ofiarami dla bóstw, dla Rodu i Rodzanic, łączyło; kasza obrzędowa znaczenie miała wielkie. Gdy dzieci umierały, wilki je pożarły i t. p., nadawano nowonarodzonym mylne lub brzydkie nazwiska *(Niemój,* bardzo częste; *Nielub, Ledarg* 'ledwie miły'; *Kromoła* 'bunt'; *Mrok; Niełaskarz* obok *Łaskarza, Wilk* i t. p.), aby uwagę złych duchów pomylić albo od wilków chronić; niejedno dziwne nazwisko tłumaczy się tem i nie potrzeba go wcale jakąś tragedją rodzinną objaśniać; oszukiwano złych i innemi wybiegami, np. pozorną sprzedażą dziecka, wydalaniem z domu! Jak broń ostra, byle żelazo, tak i zapachy ostre (czosnku, bzu dzikiego), albo i sól, odganiały złe duchy, których i pianie kogucie i wycie psów odstraszało; palono i światło nocą dla pewności, ale mimo wszelką przezorność w chwili niedopatrzenia, brzydki, żarłoczny odmieniec nagle się zjawiał i nowych wymagano guseł, by szkodę naprawić, lecz rzecz o odmieńcach może nie rodzima, słowiańska; może to import późniejszy z Zachodu, gdzie odmieniec był ogólny.

Porodziwszy syna stawała się niewiasta *żoną* (wyraz ten łączył pojęcia płci i stanu, jak i *mąż),* a po kilku latach, u nas może po siedmiu (termin waha się u Słowian), obchodzono z ofiarami i ucztami postrzyżyny chłopca (o dziewczęta nie dbano) i nadawano mu imię, albo nowe albo to, jakiego dotąd w kole rodzinnem używał, bo na ucztę spraszano, jak i na wesele, nietylko krewnych, ale i sąsiadów; włosy palono bogom, przypominając chłopca ich łasce, albo chowano starannie; najpoważniejszy z gości wygłaszał uroczyście imię.

Właściwego celu-znaczenia postrzyżyn słowiańskich, dotąd głównie na Bałkanie przestrzeganych, nie odgadniono. Jest to obrzęd recepcyjny, nie higieniczny tylko, ale do czego? Wadzi przedewszystkiem znaczna chwiejność terminu: od roku do lat siedmiu i więcej. Ponieważ niema postrzyżyn dziewcząt, zostających i nadal pod dozorem matczynym, możnaby przy-

puszczać, że niemi święcono odchowanie chłopczyka, wychodzącego odtąd z pod wyłącznej opieki żeńskiej. W. ks. Wsiewołod np. postrzygł trzyletniego synka i tego samego dnia wsadził go na koń i cieszył się cały gród Suzdal. Postrzyżyny polskie opisał Gall: Popiel miał dwu synów (ależ nie bliźnięta?) i razem obu strzygł; u Piasta goście syna mu postrzygli i imię nadali. Późny nagrobek Chrobrego świadczył, że włosy postrzyżynowe Mieszka do Rzymu odesłał, niby papieżowi syna przypisując? Kościół chrześcijański obrzęd przyjął i uświęcił; o św. Wacławie (około r. 910) opowiada legenda słowiańska: «Urosło pacholę, że można było ująć włosy. I wezwał książę Wrocisław biskupa z klerem i gdy odśpiewali mszę w kościele N. P. Marji, postawił biskup pacholę na stopniu przed ołtarzem i błogosławił je i inni księża je postrzygli». To zdradza charakter sakralny raczej niż rodzinny. I w starej Rusi biskupi dziecko książęce strzygli, więc wobec przykładu praskiego niekoniecznie na greckiej trichokurji się wzorowali. Twierdzono, że postrzyżyny pierwotne uznaniu dojrzałości i zdolności do spólnej pracy służyły; że dopiero stopniowo, jak przy innych podobnych obrzędach, np. przy obrzezaniu, termin ich z lat dojrzałości na coraz młodszy wiek się obniżał. Ależ niewinnemu strzyżeniu włosów daleko do surowych zwyczajów i obrzędów przy osiąganiu dojrzałości, jakoto ostre posty, samotność, nacięcia na plecach i piersiach, obrzezanie i t. d., co stale poświęceniu młodzieńców towarzyszą; trudno też odgadnąć, coby strzyżenie dopiero w tym wieku za cel miało.

U nas śladu postrzyżyn nie zostało; są na Ukrainie i Białorusi, ale tam i dziewczynki jak chłopczyków w pierwszą rocznicę urodzin postrzyga albo babka (akuszerka) albo kmoszka, co połączone ze wszelakiemi życzeniami przesądnemi i podarkami; u Hucułów matka ucina małemu dziecku (w miesiąc po urodzeniu?) włosy i kładzie je w kąt izby, mówiąc: patrz gdzie kładę twoje włosy, abyś wiedziała na tamtym świecie, skąd je

wziąć! Inni Ukraińcy kładą je w płot, aby się ładnie plotły i t. p.; wspominam o tem, aby i na tym przykładzie wykazać, ile więcej pierwotnych zwyczajów-obrzędów Ruś w porównaniu z Polską zachowała (zob. niżej). W Peru obchodzono uroczyście pierwsze postrzyżyny syna Inków, jakich kapłan dokonywał (nożem kamiennym, z obsidianu), nadając mu zarazem imię. Te trzy momenty (uroczystość; postrzyg; nadanie imienia) powtarzają się u Galla przy opisie postrzyżyn Siemowitowych i nic więcej; Kościół polski i ruski w swoim rytuale o nadawaniu imienia już nie wspominają. Wolno przypuszczać, że o lata przytem mniej chodziło: Piast ich nie licząc syna postrzygł, gdy książę z swoimi na to się gotował. Lucicy strzygli włosy przysięgając, ale to było wraz z zielskiem oddaniem się bogom ziemnym i z naszemi postrzyżynami się nie łączy.

## OBRZĘDY POGRZEBOWE

Równą tajemnicą jak urodziny była też śmierć. Obrzędy pogrzebowe miały uwolnić żyjących od obawy, że zmarły wróci i ich niepokoić czy im szkodzić będzie; więc starano się przebłagać go pieczą około zwłok, oddaniem mu wszystkiego, co mu za życia służyło, opłakiwaniem jego straty. To przypadało w udziale głównie kobietom (mężczyźni mścili śmierci), więc wyły, rwały odzienie i włosy, drapały twarz i piersi, czyniły siedzącemu czy leżącemu wyrzuty, dlaczego ich opuścił, rodzinę osierocił, przyjaciół zasmucił? Te skargi nabierały form stereotypowych i wygłaszały je kobiety-płaczki, z urzędu niby do tego nawykłe. Nad zwłokami czuwano w ten sposób w «pusty wieczór», przez całą noc (stąd starosłowiańska tego obrzędu nazwa: *bdyn* 'czuwanie'), ale czem bardziej noc głuchła, tem więcej folgowano reakcji mimowolnej; dla rozweselenia nieboszczyka i obecnych wyprawiano pląsy, śpiewy, maski.

W dzień układano stos, na którym miał spłonąć (sam czy z żoną, chartem, koniem, jeśli znaczny wojownik lub książę) z wszelakiemi przyborami lub z ich bardzo zmniejszonem naśladowaniem; niegdyś niszczono, łamano broń do grobu wkładaną, aby zniszczała jak ciało; wobec stosu obchodzono *tryznę*, t. j. zapasy, wyścigi, z nagrodami dla zwycięzców, na co trawiono (stąd nazwa *tryzny* samej) dostatki zmarłego; popiół zgartywano do popielnicy, przyczem także kości niedopalone łamano; kopano dół, gdzie wstawiano *żal*, t. j. urnę i wszelakie przystawki, naczyńka z jadłem i napitkiem, ozdóbki (perełki, zausznice i t. p.) u kobiet, broń u mężczyzn; nad dołem usypywano mogiłę-*rękawkę*. Huczna biesiada, zwana pierwotnie *strawą* (bo na niej trawiono resztki dostatków nieboszczykowych), dopiero od XV wieku *stypą*,[1] kończyła obrzędy pogrzebowe: tak zabierał zmarły wszystko z sobą do «nawi», zaświatu; pierwotnie ustępowano przed nim nawet z chaty, stawiając dla siebie nową opodal.

Zwłoki palono, aby się zabezpieczyć, aby duch rychlej z ciała uleciał; pierwotnie chowano je skurczone, obwiązane nawet, aby z grobu nie wychodził. Chowanie zwłok było dawniejsze, spalanie późniejsze, ale wkońcu oba sposoby utrzymywały się spółcześnie; spalanie wydaje się nawet, ile z wykopalisk sądzić można, rzadszem; wykopaliska nie uprawniają również wskazówek źródeł historycznych o paleniu żon: nie znaleziono dotąd żadnego niewątpliwego przykładu.

Gęsta mgła przesądów otaczała zwłoki: przy nich i przez nie zamierało życie i wszelka płodność, więc nie dotykała się ich niewiasta, nie wywożono ich krowami czy klaczami. Palono, na czem leżeli, słomę i in.; wylewano wodę, którą ich i siebie

---

[1] W starym cyziojanie (kalendarzu wierszowanym) z r. 1471 czytamy pod październikiem: *stypę stroją kmiecie*. Co znaczy tu stypa? Uczta po żniwach?

umywano; zamykano im starannie drogę powrotną, więc mylono ich, wynosząc ich nogami naprzód, albo wyłamując osobny otwór w ścianie albo przenosząc ich pod progiem; nagła, gwałtowna śmierć (od pioruna np.) przerażała tem bardziej. Obawiano się, że zmarły będzie żądał wszystkiego, co posiadał, albo coby mu się należało, gdyby żył dłużej, więc gdy umierał jeszcze bezżenny, odprawiano nad nim komedję weselną z młodą i orszakiem ślubnym; gdy mu czego nie dodano, upominał się, zjawiając się we śnie. Duch krążył koło ciała, zanim odchodził do *nawi;* droga była daleka, przez wody i góry, więc zaopatrywano go w jadło i napoje, budowano mu mosty (z pieczywa), zawsze wkładano mu w usta lub rękę pieniądz (czy dla przewoźnika? czy to tylko pod wpływem greckiego Charona?); dusze «puste», co nie miały rodu, do nawi wcale się nie dostawały i niepokoiły żyjących, więc i o nich nie zapominano, przechodnie rzucali choćby gałęzie na miejsce ich spoczynku.

Ale nie kończyła się tryzną i strawą (stypą), paleniem czy grzebaniem zwłok troska o umarłych; należało im kilkakrotnie do roku, szczególniej na wiosnę i jesień, albo też i zimą, dostarczać wszelkich wygód życiowych, nakarmić ich, napoić, ogrzać i sprawić im łaźnię. Udawano się na mogiłki-żale z kaszą (potrawą, co chleb wyprzedziła) i z miodem, z czego im odrzucano i odlewano, zresztą raczono siebie i kończono wspominki jak zwykle hałaśliwem weselem po równie hałaśliwych skargach i wyciach; albo zapraszano «dziadów» czy «rodziców» do umiecionego domu, gdzie im zastawiano na noc jadła i napoje, a w łaźni wszystko do umycia przygotowano; sypano i popiół na ziemi i patrzono nazajutrz rano, czy się «duszyce paprały». Ucztowano też z niemi razem, przywoławszy je uroczystą formułą, a żegnano je inną, równie uroczystą, z prośbą, by w drodze powrotnej nie niszczyły zasiewów i płodów.

## RODZINA. ZABAWY I PLĄSY

Tak upływało życie w rodzinie, na wcale niskiej stopie u ludu, na wyższej u wielmożów i książąt, powołanych twórców kultury, co ją strzegli i podnosili, podatni na wzory obce, nie istniejące dla smardów, nęcące wojów i książąt nowością, wygodą, powagą. Gospodarz-ojciec był panem u siebie wszechwładnym i z nikim się nie liczył; każda rodzina żyła odrębnie, «wielkiej» (zadrugi) już nie było, chyba jej pamięć u wielmożów i wojów przetrwała, choćby w «proklamacji», choćby w nazwie znaczącej *rodzice* od *rodu*. Że się czasem ojciec z synami nie dzielili i że później siedzieli «niedzielni» bracia na jednem gospodarstwie, to ustroju rodowego nie dowodzi; ród jako przejście od rodziny do szczepu dawno przestał istnieć; pozostała po nim nazwa starosty, co niegdyś nie w szczupłej rodzinie, lecz w całym rodzie dla wieku czy zasługi na czele stawał; później nazywano starostą każdego, który jakąś godność piastował, np. w orszaku weselnym.

Ród-rodzina polegały pierwotnie jedynie na pokrewieństwie (agnaci, czciciele tych samych przodków-duchów); później rozszerzano koło przyjaciół, domowych i na *powinowatych* (kognatów, bo i ci, dawniej zupełnie obcy, byli teraz *powinni* do pewnej solidarności); wybijał się między nimi wuj, niby jako opiekun siostry i siostrzeńców; już przy weselu znaczącą odgrywał rolę, bronił i oddawał siostrę, «przedawał» ją drogo. Ale to nie starczyło; wobec licznych waśni rodowych — ileż ich nie napłodziła wróżda! — zabezpieczali się obcy tworzeniem sztucznego pokrewieństwa; obcy bratali się nawzajem, ślubni bracia i ślubne siostry, a nawet i brat-siostra ślubni, pierwotnie chyba na zawsze, spijając spólnie krew wytoczoną, aby byli sobie pokrewnymi, ślubując sobie pomoc wierną i święcie jej dotrzymując. Klasyczną ziemią pobratymstwa i «posestrimstwa» jest Bałkan do dziś; u nas jedna wzmianka z końca

XV wieku o ten zwyczaj zahacza: nazywano to *drużbą* 'przyjaźnią' i *drużbowano* się w kościele w niedzielę po Wielkanocy, słowami: bądź mi przyjacielem — bądź mi przyjaciółką, ale to obowiązywało u nas wtedy już tylko do roku i nie mogli drużbowie przez ten czas zawierać małżeństwa (przecież to brat i siostra!); na Bałkanie nawet ich dzieci nie ważyły się tego; w Czechach ocalała tylko nazwa owej «drużebnej niedzieli» dla pikniku młodzieży, wedle wzmianki przy końcu XIV wieku, Sztitnego; nasz Kościół baczył pilniej na to.

O tem sztucznem pokrewieństwie zapomniano u nas doszczętnie; inną, adopcję, konieczną przy braku własnego potomstwa, bo któżby miał pieczę nad zmarłym?, dobroczynną dla sieroty, stosowano zawsze, używając pewnych symbolów, przykładając do piersi nowej matki lub chowając dziecię pod jej płaszcz, niby nowy poród naśladując. Kobiety nie dziedziczyły (zob. niżej).

Stopnie pokrewieństwa liczono i rozróżniano starannie wszelakiemi pierwotnemi nazwami, pozapominanemi od XVI i XVII wieku; ale przeszkody małżeństwa one nie stanowiły, przynajmniej nie w tylu stopniach, jak później za chrześcijaństwa; wszelkie kazirodztwo było wykluczone. Rozwiązłości obyczajowej, mimo wszelkiej rubaszności np. przy obchodach weselnych, również nie znano: dziewczęta używały swej wolności «po przęckę» (w miarę), dochowywały dziewictwa do małżeństwa — biada tej, coby próby nocy ślubnej nie wytrzymała; nic nie uprawnia przypuszczenia jakiegoś bezładu płciowego, dozwolonego niby w pewne uroczystości doroczne. Dziewczęta bawiły się wesoło, tańcząc i śpiewając; chłopcy wrywali się w ich koło, częstowali je, obdarzali: tak zawiązywały się znajomości, które i do zmówin wieść mogły. Tańce były dwojakie, obrzędowe, religijne, magiczne raczej, dla uproszenia płodów, deszczu, słońca, związane z porami roku; i towarzyskie, dla samej zabawy, nie mieszane (bez udziału chłopców); były i inne za-

bawy-gry, szczególniej u dziatwy, ale nie sposób ich wyłowić; naśladowały i zajęcia rodziców, wysiew i in.

U ludów pierwotnych taniec, muzyka, t. j. hałaśliwe wybijanie taktu-rytmu, i śpiew, t. j. powtarzanie samych wykrzykników, potem słów, z czego później refreny powstały, są nierozerwalne; taniec był mimiczny (przedstawiał polowanie, walki i t. p.), więc słów nie potrzebował nawet; przeradzał się w operę-balet, widowisko niemal dramatyczne, ale trudno w naszem weselu upatrywać śladów tego, w dwu chórach przeciwnych niby, dziewcząt-drużek, broniących młodej, i chłopców-swatów, nacierających o nię. Ale już u Arjów wyemancypowało się słowo-pieśń od tańca-muzyki, chociaż zawsze jeszcze uprawiano je i razem. Prasłowiański wyraz na tańce: *pląsy, pląsać,* znaczy to samo co klaskać (w dłonie, po biodrach); to było typowe, raziło i gorszyło później duchownych najbardziej. O specjalnych tańcach religijnych u Słowian już nie słyszymy; niema o nich wzmianki w opisie uroczystości Świętowitowej, ale może (w cześć Jarowita) nietylko chorągwie wytykano na wale, lecz i taniec wojenny czy inny dla niego urządzano; w każdy sposób rozróżniano już stale, co niegdyś razem spływało.

Tańce-zabawy należały do kultu i magji; co pierwotnie było obrzędem religijnym, spadało z czasem (a od chwili przyjęcia chrześcijaństwa, nagle) do rozrywek; co było głęboko uzasadnionem w dawnych pojęciach o skuteczności środków sympatetycznych, powtarzano, zapominając zupełnie o jego znaczeniu pierwotnem. Rozpętywała się może i u nas poniekąd płciowość za przesilenia słonecznego, aby wedle ludzkiego wzoru i przyroda na bujne płody się sadziła; z czasem zeszło to na proste igrzyska, na weselną zabawę, skakanie przez ogień i t. p. Żeby len czy konopie wysoko rosły, skakały dziewczęta jak najwyżej. W posuchy, grożące zasiewom, oprowadzano po polach nagą dziewczynę, w zieleń strojną i zlewano wodą, aby

chmury skupić na niebie. Wyobrażenia (lalki) zimy czy lata obnoszono i topiono, a co wesołą dziatwy zabawą się stało, było niegdyś uroczystym obrzędem. Przy grzmocie pierwszym tarzano się po ziemi, żeby w krzyżach nie łamało, prawi dziś lud; żeby zbudzić i wzmocnić siły ziemi rozrodcze, my się domyślamy; temuż celowi służyły i smagania ludzi, bydła, drzew owocowych, rózgą niby życiową, poświęconą. Majono na wiosnę chaty, żeby i w przyrodzie wszystko równie bujno zakwitło, a różnemi obrzędami, wieńcami, śpiewami raczono żniwa, ciężką pracę zabawą urozmaicając, co niegdyś tylko płodność doroczną zapewniała. Na zbudzenie tej płodności służyło zakopywanie jaj, chleba, mięsa, na miedzach i polach, a co magją najpospolitszą pierwotnie było, uległo zwyrodnieniu i zapomnieniu właściwego celu.

Śpiewom i tańcom towarzyszyła muzyka; przygrywano sobie na piszczałkach, rozmaicie przezywanych, wyrabianych i z kości i z drzewa. Liczba narzędzi muzycznych była jednak ograniczona; za prasłowiańskie uchodzi przedewszystkiem *róg* tura czy wołu, osadzany także kruszcem; do dętych obok piszczeli i rogu należała długa, prosta *trąba*. Bito w *bębny*, pierwotnie z skóry objętej obręczą. Były i narzędzia strunne, *gęśli*, ale nie smyczkowe; kilka strun napiętych na desce poruszano palcami. Zjawiali się i pierwsi muzycy, *igrcy*, co nietylko na gęślach i piszczałkach przygrywali, lecz i wszelakie sztuki pokazywali i tekstów nie skąpili, w prozie i wierszu, i ludek zwabiali. Ich prasłowiańska nazwa, *skomrochy*, najdłużej na Rusi przetrwała, gdzie jeszcze w XVI wieku całe ich watahy ludność nieraz napastowały; u nas nazwy *igrca* albo *wiły* zyskali; po ich rubasznej swywoli ocalał dawny przymiotnik, *skomroszny*, o bezwstydnym używany; nazwa to rodzinna, ale wykład jej niepewny. Bez stałej siedziby po kraju krążyli, datki hojne zbierając; wesela bez nich rzadko się obywały; nie bra-

kowało ich przy uroczystościach wielkich, ani przy «pustych wieczorach».

O nastroju tych zabaw i pląsów nie mamy bezpośredniego świadectwa, więc niech je zastąpi poniekąd obce i późne, staroruskie z XIII wieku, chociaż mnich-asceta jednostronnością grzeszy: wiadomość Nestora, że niektóre szczepy ruskie ślubów nie znały, rozszerza ów czerniec tak:

«Ślubów nie lubili, ale igrzyska między siołami i tu spółkowali, śpiesząc na tańce a z tańca poznawali, która żona czy dziewczyna żywi chuć do młodzieży, z wejrzenia ocznego i z obnażania łokci i od okazywania palców i od wzdawania pierścieni na cudze palce, potem zaś całowania z cmokaniem, a gdy się ciało i serce rozpaliło, spółkowali, biorąc jedne, a z drugich szydząc rzucali niemi na pośmiewisko do śmierci.[1] Miewali zaś żon po dwie i trzy, a że natura kobieca słaba, poczęła jedna przed drugą lice rumienić i bielidłem nacierać, aby się młodzieniec ku chuci rozpalił».

## ŚLADY BARBARZYŃSTWA

Życie rodzinne w Polsce pogańskiej utraciło już wiele cech barbarzyństwa i dzikości. Szczególniej co do położenia kobiety. Zamężna zdana była na łaskę i niełaskę świekrów i jątrewek (sióstr męża), męża i dziewierzy (braci jego), ale przestała być tem bydłem roboczem z czasów pierwotnych, co odetchnąć swobodniej nie mogło: zbierała wtedy korzenie i jagody, okopywała ogrodowiznę, doglądała dzieci, mełła i przędła, gdy pan mąż polował lub bydła wygodnie doglądał; zato była wtedy bardziej samodzielną! Zmieniło się to, gdy przy stałem osiedleniu mąż nakoniec radła i roli się chwycił, bo potrzebował do tego zaprzęgu, a kobiety do bydła nie dopuszczał; ona już chyba tylko z sierpem przy żniwach pomagała; mąż przestał

[1] Podrzucanie człowieka do góry należało później do wszelakich frycówek, znane na zachodzie *Fuchsprellen.*

nakoniec próżnować a kobiecie się ulżyło w ciężkiem harowaniu, chociaż zmalała jej samodzielność. Szczególniej odczuły tę zmianę żony wielmożów, które już tylko pracy niewolnic doglądały, nie pracowały jak żony smardów, strojąc się i muszcząc, nawieszawszy wszelkich ozdób i monet i już tylko dla zabicia czasu przędząc.

I po innych działach ginęło barbarzyństwo pierwotne; aby je odtworzyć, wypadałoby sięgać do źródeł obcych, szczególniej ruskich. I tak np. wedle niegdyś ogólnego u Arjów hasła *(sexagenarios de ponte* — do Tybru z starcami!) nie żywiono starców; zgrzybiałych wywożono do lasu zwierzom na pożarcie lub na skostnienie od mrozu; białoruska tradycja ludowa wie o tej «ustanowie», o tej «podłobatinie»; do dziś pisano na ten temat i wzruszające nowele. Lucicy jeszcze gorzej postępowali, bo sami starców zjadali, zazdroszcząc robactwu, ale nie będzie to rzeczywistością, lecz jakąś głuchą tradycją, chociaż autor Niemiec jako o czemś spółczesnem prawi.

Najwięcej śladów barbarzyństwa oczekiwalibyśmy w rytuale małżeńskim, ale że nasz Gall o sprawy wewnętrzne nie dbał, wypada sięgnąć do kroniki czeskiej i ruskiej i do ludowych stosunków ruskich, choćby spółczesnych, nierównie starożytniejszych, niż polskie czy czeskie. Świadectwo Koźmy niestety zawodzi, bo co on poplótł o zwierzęcym komunizmie płciowym u pogańskich Czechów, że co noc schodziły się nowe pary a z rankiem rozłączały, jest jego szczerym wymysłem, jak o tem sam czytelnika ostrzegał, pozostawiając jego sądowi, czy to prawda czy zmyślenie, co o starożytności opowiadają; widzieć w tem «małżeństwo grupowe, ograniczone do spólnoty rodowej», dowodzi tylko fantazji autorskiej, bo nic nie znaczy, że i w dalszym toku opowiadania ksiądz, zgorszony niekanonicznym trybem czeskim, dwukrotnie powtórzył frazę ulubioną: *quasi bruta animalia connubia habentes communia;* Koźma ma na sumieniu jeszcze całkiem inne, gorsze zmyślenia! I św. Bruno, w żywocie

św. Wojciecha, zaznaczył tylko, że Czesi, niewolnicy chuci, upierali się przy małżeństwach z krewnymi (to znaczy: nie liczyli skrupulatnie po kanonicznemu stopni pokrewieństwa) i przy wielożeństwie: i tu niema mowy o «małżeństwach grupowych».[1]

Gdy więc źródła czeskie tylko potwierdzają, czego się i ze wzmianek polskich domyślać możemy, Nestor wymowniejszy, por. cały odnośny ustęp w dosłownym przekładzie, chociaż tam nietylko o małżeństwie mowa:

«Miały (szczepy ruskie) własne obyczaje i prawo ojców swoich i ich tradycje, każdy swój tryb. Polanie (t. j. Kijowianie) mają swoich ojców zwyczaj łagodny i cichy i wstyd ku synowym swoim i ku siostrom, ku matkom i ku rodzicom swoim, ku świekrom (matkom mężowym) i ku dziewierzom (braci mężowej) wielki wstyd zachowywali; mieli obyczaj weselny (taki): nie chodził zięć po «niewiastę» (młodą), lecz przywodzili (ją) wieczorem a z rania przynosili po niej, dawając cośkolwiek. Drzewianie (północni sąsiedzi Polan) żyli trybem zwierzęcym, żyjąc po bydlęcemu: zabijali się nawzajem i spożywali wszystko nieczyste i nie bywało u nich wesela, ale umykali u wody dziewczęta. I Radzimiczy i Wiaticzy i Siewiery jeden obyczaj chowali: żyli po lasach jak byle zwierz, jedząc wszystko nieczyste, i (było) u nich sromosłowie przed oj-

[1] W oczach duchowieństwa uchodziło już za wielożeństwo (a więc niedopuszczalne!), jeśli mąż po rozwodzie na nowo się żenił a skargi żywociarzy św. Wojciecha na wielożeństwo czeskie i tak można rozumieć. Ale już najmniej nie godzi się ojca Wojciechowego, Sławnika, o poligamję pomawiać, jak to powszechnie czynią. On był wzorowym chrześcijaninem, nadzwyczaj miłosiernym, chorego synka Matce Boskiej w opiekę oddał (co tak samo pomogło, jak Mickiewiczowi małemu), więc się o poligamji pogańskiej jemu ani śniło, chociaż był może nadto kochliwy, czy to z winy zbytniej wstrzemięźliwości Strzeżysławy (jedynej jego żony!), czy dla zbytniej drażliwości takich ascetów, jakimi byli śś. Wojciech i Bruno, co ze zgrozą wszystko cieleśne wspominali. Świadectwo duchownych (Koźmy) i ascetów nie wiele waży; upatrywali oni w najniewinniejszych tańcach i śpiewach sprośne djabelstwo, tem bardziej, że zdrowy zmysł nie dał się ustraszyć mniemanem ukaraniem Herodjady za jej pląsy i duchowieństwo mimo wszelkiego naporu chrześcijan od tańców nie oduczyło.

cami i przed synowemi i nie bywało wesel u nich, tylko igrzyska między wioskami i schadzali się na igrzyska i na pląsy i na wszelakie igrzyska djabelskie i tu umykali sobie żony, z którą kto się umawiał; miewali zaś po dwie i trzy żony. I gdy kto umarł, sprawiali nad nim tryznę, a potem urządzali stos wielki i wkładali na stos trupa i spalali i potem zebrawszy kości, wkładali w małe naczynie i ustawiali na słupie po drogach, co Wiaticzy i dziś czynią».

Wybaczmy patrjotyzmowi mnicha peczerskiego, że swoich ziomków polskich wystrychał kosztem innych, bo i Polanie się wzajemnie mordowali i t. d., chociaż nikt nie zaprzeczy, że Polanie istotnie wyżej w kulturze postąpili, dzięki ściślejszym związkom z greckiem południem, niż brać ich północna. Rażą też widoczne niedomówienia, bo nie uwierzymy mnichowi, jakoby zięć nie chodził po niewiastę, a umyczkę praktykowali Polanie w danym razie tak samo jak Drzewianie i in. Rażą dziwaczne uwagi o wstydliwości i sromosłowiu, ale należy je brać dosłownie, innego wyjścia niema, daremnie go szukać. Włożono jednak w te słowa i to, czego w nich zupełnie niema: jedni twierdzą, że «małżeństwo przez kupno» w nich zawarte (!); drudzy, że wstydliwość Polan przeciwstawiał Nestor niewstydliwości Drzewian i in., ale pod nią rozumiał snochactwo, t. j. zwyczaj, że świekr spółkował z synową (snochą) za nieletniego syna, którego z nią ożenił — domysł jeszcze nierównie fantastyczniejszy niż poprzedni. Snochactwo, świekrowstwo, istniało faktycznie w Rosji (specjalność to niemal rosyjska), a miejscami i na Bałkanie, ale pierwotnie było bardzo ograniczone, bo najdawniejsze obszerne świadectwo (Łasickiego z r. 1585) wyraźnie o wdowcu-ojcu je podaje, który gospodyni-pracownicy koniecznie potrzebował, a nowej rodziny zakładać nie chciał (coby wesele kosztowało!), a więc ze względów ekonomicznych postępował. Te względy wywoływały i inne zdrożności, np. że dwaj bracia spólną żonę miewali, ale prawić przytem o śladach pierwotnego wielomęstwa (poliandrji) albo endogamji

(małżeństwa w obrębie rodziny) jest jawną dowolnością; niema bezpośredniego związku podobnych objawów z stanem pierwotnym i tylko w fantazji «udowodniono z całą ścisłością istnienie małżeństwa grupowego u Rusi w odległej pogańskiej przeszłości»; inni sięgali aż do mniemanych wpływów irańskich czy innych obcych narodów. U Hucułów znaleziono prawo gościnności płciowej, znane na szerokim świecie (gospodarz ustępował gościowi żonę czy córkę), a gdzie indziej i pobratymi miewali spólną żonę.

Ciekawsza niż te kombinacje (i o jakiejś sakralnej prostytucji!) jest wzmianka o umyczce «u wody» — woda miała tu znaczenie czegoś symbolicznego, bo i na innych miejscach wspominają o wodzie, ale nie jako o lustracyjnem omywaniu nowożeńców, co się samo przez się rozumie, lecz w innym, niejasnym nam względzie. Że zmarłych chowano u drogi, na rozdrożach przeważnie, łatwo zrozumieć (mylono ducha, żeby nazad nie trafił), ale wystawianie urny na słupie (!) jest czemś mniej zwykłem i może znowu jakąś niedokładnością (na mogile?).

Dla samej Polski niczego z tych mniemanych czy istotnych resztek barbarzyństwa wnioskować nie można, co nie zadziwia wobec zupełnego u nas zatarcia wszelkiej dawnej tradycji. Wolimy zaznaczyć mimochodem, że obowiązywały już pierwsze zasady ugrzecznienia, poszanowania starszych czy osób poważanych; donosi np. spółczesny kronikarz, że Mieszka nie wchodził w kożuchu do izby, gdzie się margrabia znajdował, i że nie siedział, jeśli margrabia powstał. O szanowaniu starców, rodziców, pokrewnych nie wymaga się żadnych świadectw, podobnie o nietykalności tego, kto ogniska domowego, niby azylu dopadł; o miłosierdziu, o gościnności zob. niżej. Na spólnych łowach zawiązywały się pierwsze stosunki towarzyskie, a dopełniały je kobiety nawiedzinami.

## BIBLJOGRAFJA

Olbrzymiej literatury ludoznawczej nie myślę obszernie wyliczać, odsyłając do podręczników jak Jan St. Bystroń, *Wstęp do ludoznawstwa polskiego* (Lwowska Bibljoteka Slawistyczna II), i Adam Fischer, *Lud polski, podręcznik etnografji Polski,* Ossolineum 1926 (por. tegoż: *Rusini, zarys etnografji Rusi,* Ossolineum 1928, szkic drobny w porównaniu z znakomitem dziełem rosyjskiem, wydanem po niemiecku w *Grundriss* Vasmera i Trautmanna: *Russische (ostslavische) Volkskunde* von Dmitrij Zelenin, Berlin 1927). Wymieniam tylko rzeczy podstawowe i najnowsze. Kaz. Moszyński, *Kultura ludowa Słowian,* I, *Kultura materjalna,* Kraków 1929, 710 stron, bogato ilustrowane; dzieło podobne do Zeleninowego, ale nierównie obszerniejsze, bo ogarnia całą Słowiańszczyznę (głównie wschodnią i południową jako bardziej prymitywne) i wchodzi w drobne nawet szczegóły tej kultury (łowów, uprawy roślin, odzieży i t. d.); nie wyczerpało wskazówek historycznych i etymologicznych; polega na własnych obfitych i starannych studjach i podróżach i wyprzedziło inne dzieła słowiańskie; jest jednak głównie opisowe, nie genetyczne — z braku studjów przedwstępnych.

Dzieło Władysława Abrahama, *Zawarcie małżeństwa w pierwotnem prawie polskiem,* imponuje zarówno wiedzą jak bystrością sądu i przenikliwością prawnika-historyka *(Studja nad historją prawa polskiego* IX, Lwów 1925); część pierwsza (Pierwotne małżeństwo i ustrój rodzinny w Polsce) rozprawia się z mrzonkami etnologicznemi o poliandrji i t. p.; dalsze: o zawarciu małżeństwa w formie świeckiej i kościelnej; wszystko podstawowe. Na bezdroża etnologiczne wkroczył Jan Adamus, *Uwagi o pierwotnem małżeństwie polskiem i słowiańskiem* (Dąbkowskiego Pamiętnik historyczno-prawny IV, Lwów 1927), opierając się na bajdach Koźmy i t. p. Kaz. Zawistowicz-Kintopfowa, *Zawarcie małżeństwa przez kupno w polskich obrzędach weselnych* i t. d., Kraków 1929, streszcza przebieg akcji weselnej; o kupnie niema mowy. Cez. Baudouin de Courtenay Ehrenkreutz, *Ze studjów nad obrzędami weselnemi ludu polskiego. I. Forma dramatyczna obrzędowości weselnej,* Wilno 1929, omawia dzisiejszy dramat weselny. Henryk Biegeleisen w olbrzymiem dziele: *Wesele* (Lwów 1927, str. 511) zebrał najobfitszy materjał (sama bibljografja jego zawarła 17 wielkich stronic ścisłego druku) ze wszystkich części świata, ale z przewagą słowiaństwa, a mianowicie polszczyzny; przedtem wydał: *Matka i dziecko w zwyczajach, obrzędach i praktykach*

*ludu polskiego,* Lwów, Ateneum, str. 414, z bibljografją na 20 stronicach; w obu pracach brak nieco ładu i systemu, ale materjał najobfitszy. Jan St. Bystroń, *Słowiańskie obrządki rodzinne. Obrządki związane z urodzeniem dziecka,* Kraków 1916, stoi nierównie wyżej pod względem metodycznym. Najnowsze dzieła Henryka Biegeleisena, *Lecznictwo ludu polskiego,* Kraków 1929, 406 str. (z tych 28 bibljografji) i *U kolebki — przed ołtarzem — nad mogiłą,* Lwów 1929; i te, jak wyżej wymienione, olbrzymie zbiory materjałów; szczególniej ciekawe *Lecznictwo,* chociaż element polski nie na pierwszym planie (czeski, ruski obfitszy). Dr Adam Fischer, *Zwyczaje pogrzebowe ludu polskiego,* Ossolineum 1921, str. 439, nie wyczerpał przedmiotu, traktowanego na bardzo obszernej stopie porównawczej; dalszym jego ciągiem było: *Święto Umarłych,* Lwów 1923, nie ograniczone do «zaduszek» polskich, lecz zestawiające daty odnośne z całego świata cywilizowanego.

Pomijam czasopisma etnograficzne nasze, dawną *Wisłę* warszawską Karłowicza i dzisiejszy *Lud* lwowski Fischera i in.; nie wymieniam zasług dawnych etnografów, olbrzymiego dzieła O. Kolberga o ludzie polskim (i ukraińskim) wszystkich dzielnic, Z. Glogera, Matusiaka, Żmigrodzkiego i in. Ograniczam się do prac ściśle naukowych, jakie zawdzięczamy wiedzy i wyszkoleniu fachowych etnografów naszych, starszego, wielce zasłużonego St. Ciszewskiego, i młodszego J. St. Bystronia. Nie wyliczam wszelkich dzieł i rozpraw obu autorów; zaznaczę jedynie u Ciszewskiego: *Ognisko, studjum etnologiczne,* Kraków 1903 (o kulcie domowego ogniska wszech ludów); *Prace etnologiczne* I (o daninach średniowiecznych i in.), Warszawa 1925, i II (o płacidłach i t. d.), 1929; *Studja etnologiczne, I, Sól,* Warszawa 1922; *Żeńska twarz (o kobiecie i jej stanowisku, śród ludów słowiańskich),* Kraków 1927; *Die künstliche Verwandtschaft bei den Südslaven* 1894 (o pobratymstwie i posestrimstwie). U Bystronia: oprócz owych obrzędów rodzinnych, wymienionych wyżej: *Zwyczaje żniwiarskie w Polsce,* Kraków 1916 (o dożynkach i t. p.); *Nazwiska polskie* (Lwowska Bibljoteka Slawistyczna nr. 4), jak je lud pierwotnie nadaje, dzieje dalsze tego imiennictwa; szereg przyczynków do pieśni ludowej, ogólna jej charakterystyka w krakowskiej *Bibljotece Narodowej* i studja o luźnych jej motywach.

ROZDZIAŁ PIĄTY

# POLSKA POGAŃSKA. WIARA

Olimp polski. — Podanie o Lechu, Piaście, smoku, Wandzie, Walcerzu Udałym. — Istotna wiara Polski pogańskiej. — Kult bożków przyrody i domowych. — Zabobony i ich resztki dzisiejsze. — Bibljografja.

## OLIMP POLSKI

Las zagadek otaczał pierwotnego człowieka. Nie znając związków przyczynowych w biegu przyrody, czuł się zawisłym od potęg tajemniczych na każdym kroku; niewidome dla niego, władały siłą nadludzką. On wysiewał ziarno, ale ono rosło bez jego udziału; on nie pojmował, jak się ludzie i trzody mnożą (Słowianin prawił, że to bożek Ród dziećmi jak bryłami szafował); przerażały go zjawiska na niebie i ziemi, pożeranie miesiąca i słońca w czasach zaćmienia, gromy i burze, powodzie i posuchy. I tłumaczył sobie te objawy jako wywołane przez takie mocy jak on sam, lecz nierównie silniejsze, nadludzkie (Słowianin nadawał swoim bożkom rozmiary olbrzymie i wielocłonkowość). W każdym szczepie ludzkim po swojemu wiary przybierają kształty najrozmaitsze i wymagają oddzielnego przedstawiania wedle źródeł, które o nich donoszą. Tych źródeł niestety poskąpiły losy Słowianom; z okruchów, co nas doszły, wolno jednak wnioskować, że ich wiara nie odznaczała się takiem pogłębieniem, tak potężnemi kreacjami, jakie u ich sąsiadów, Germanów, szczególnie w fazie nordyjskiej, podziwiamy. Słowiańskie i litewskie mity były nierównie bardziej przyziemne, prymitywne, nie wystawne ani skomplikowane.

Jeśli jednak brak źródeł dla poznania pogańskiego ustroju społecznego i rodzinnego mogliśmy jako tako wetować analogją i rozumowaniem wstecznem, odczuwamy ten sam brak nierównie dotkliwiej dla wiary. Pogaństwo bowiem słowiańskie nie było jedno drugiemu równe; było wyższe i niższe, wojownicze

i rolnicze, zachłanne i pokojowe, heroiczne i potulne: gdzież polskie umieścić? Tam hierarchja niemal bogów, z najwyższym na czele, co jak chrześcijański (może dopiero za jego wzorem?) dziesięciny wybierał, krajem przez kapłana rządził, zbrojny ze zbrojnym, oddanym mu orszakiem, słynny daleko; tu szereg spółrzędnych bóstw, czekających cierpliwie, kiedy o nich wspomną, ich obiatami uraczą, dobrotliwi, łaskawi, każdy z władzą ściślej odgraniczoną, bez jakiejkolwiek dążności ku wszechwładzy, bez związków pokrewieństwa. Jakież były bogi polskie?

Odpowiedzi na to pytanie nie dałby i Długosz, gdyby nawet jego wywody o «mitologji» polskiej przyjąć jako prawdziwe, co zgóry niemożliwe, bo około r. 1460, kiedy je Długosz spisywał, nikt już w Polsce o pogaństwie dawnem nic nie wiedział; nie wiedziano o niem wiele już w XII wieku i tak samo było u Czechów; zobaczymy niżej, dlaczego pamięć o niem doszczętnie wygasła. Ale dobra wola i z piasku bicz ukręci, więc wierny swej metodzie: domyślać się dla dawnych czasów, czego już niema, udawać za prawdziwe, co uważał za możebne, rządzić się analogją pozorną choćby kosztem treści istotnej, utworzył Długosz także ustęp o mitologji polskiej. Żaden szczep słowiański nie posiadałby równie bogatego i szczegółowego świadectwa, a brzmi ono w silnem skróceniu tak:

«Jak wiadomo, czcili Polacy Jowisza, zwąc go Jeszą, Marsa — Ładą, Wenerę — Dzidzilelą (w jego rękopisach pisaną i Dzidzielą), Plutona — Niją, Dianę i Cererę»: nazw polskich dla obu tych bogiń Długosz na tem miejscu nie dał; funkcje tamtych bogów opisał wedle wykładu szkolnego, którego nie powtarzamy. «W Gnieźnie wystawiono im świątynię naczelną». Po wzmiance o Dianie i Cererze, jak je czcili kobiety i oracze, wymienia Długosz jeszcze bogów Pogodę i Żywie (życie) i wraca do Diany i Cerery, podając teraz dopiero ich polskie nazwy Dziewany i Marzany. Drugą połowę jego opisu zajęły uwagi ogólnikowe o obchodach uroczystych, spra-

wianych tym bogom i o tem, że i dziś po pięciuset latach chrześcijaństwa, corocznie w Zielone Świątki «stadem» powtarzają resztki tego pogaństwa w rozkosznej biesiadzie.

Ponieważ śród tych bóstw Długoszowych głównych nie powtarza się ani jedno, znane u innych Słowian, twierdzono, jakoby Słowianie za swojej spólnoty nie wytworzyli jeszcze bóstw indywidualnych, osobistych; że to nastąpiło dopiero później, po ich rozłące, więc u każdego szczepu oddzielnie, więc nazwy bóstw niekoniecznie powtarzać się winny. Długosz jednak dwadzieścia lat temu Ładę boginią, nie Marsem czynił i skąd znowu ta zmiana? W pierwszym rozpędzie dał Długosz tylko czterem bogom rzymskim polskie imiona, dla Diany i Cerery dopiero w dalszym ciągu, bo źródło, z którego korzystał, tylko owe pierwsze cztery imiona jemu dało, a źródłem tem były mu «Statuty prowincjalne» z lat około r. 1420, wymagające od duchownych, aby «zabraniali pląsów i śpiewów, w których wzywają się nazwy bałwanów: *łado, ileli, jasza, tija,* co zwykle czynią w Zielone Świątki». Przez cały wiek powtarzali kaznodzieje te cztery (lub tylko trzy albo dwie nazwy), np. w odpisie częstochowskim kazań z r. 1423 (Jana z Michocina) czytamy:

«Niestety (w Zielone Świątki) schodzą się staruszki, kobiety i dziewczęta do kościoła nie na modlitwy, lecz na tańce, nie dla wzywania boga, lecz djabła *jasza, łado, ileli, ja-ja* (!)... z djabłem przyszły, z nim wracają i jeśli tego nie odpokutują, przejdą z *jasza, łado,* na wieczne potępienie».

Inne powtarzają gołosłownie te same nazwy. Wiemy więc, skąd Długosz zaczerpnął nazwy czterech bóstw: z pieśni wiosennych i ich przyśpiewów. *Łado* u wszystkich Słowian nie bóstwo, lecz 'oblubieniec-oblubienica', w pieśniach weselnych tak stałe, że *ładkować* znaczy na Rusi 'śpiewać pieśni weselne'. *Jesza* jak *ileli* (bo to tkwi w owem popsutem *dzidzilela),* to wykrzykniki, '*oby*'!; *leli* zaś *(i* dodano, jak *ałado, ajesza* i t. p.),

samo lub z *poleli,* to wyskok dobrego humoru, gdy w chmielu się zataczano *(lelejano);* przez całe wieki wyszydzano to *leli-poleli, lelum-polelum, fistum-pofistum.* Czwartą «nazwę» piszą różnie: *yaya, tya,* u Długosza *nya* (tak samo u ortografa Parkosza, *nija* wyraźnie; «bożek» jakiś, ależ nie Pluto). Więc żarliwe a podejrzliwe duchowieństwo we wstrętnych dlań pieśniach ludowych i pląsach świątecznych, djabelskich niechybnie, djabelstwo odkryło w niezrozumiałych przyśpiewach, a Długosz tylko rozdzielił po swojemu te cztery nazwy wedle czterech głównych bóstw rzymskich. Jakimże cudem mogły niewinne okrzykniki przybrać walory djabelskie?

Nie specjalność to polskiego duchowieństwa; to popłacało powszechnie. Była np. kolęda czeska, «Stoi dubec prostrzed dwora» (prastara, znana podobnie u wszystkich Słowian); po każdym wierszu powtarzano w niej okrzyk *weli weli* (znaczy to samo co *jesza);* wedle starego mnicha brzewnowskiego, Alesza, w XIV wieku, Czesi przez to djabła Bela wzywali, *b* w *w* dla niepoznaki odmieniwszy, a Jan Holeszowski powtórzył ten wykład Aleszów w najdawniejszem piśmie folklorystycznem europejskiem, w traktacie o *Largum Sero* («Szczodry wieczór», wigilja Noworoczna), znanym dobrze w Polsce; Bibljoteka Jagiellońska posiada dwa tegoż odpisy z początku XV wieku. Więc jak Czech z refrenu *weli* utworzył djabła *Bela,* tak samo urobili Polacy z *jesza, lado, leli, nya* czterech djabłów-bożków. Jeden z tych przyśpiewów brzmiał wedle innego kaznodziei: *alado gardzina; gardzina* 'bohater', więc ten refren chyba skusił Długosza, że Ładę — boginię swoją, odmienił w Łada-Marsa.

Długosz narabiał stale analogją; ponieważ zaś chrześcijańskie Gniezno było metropolą, więc i pogańskie uraczył główną świątynią tych bóstw, i wszelkie próby dzisiejszych badaczy, by z Gniezna urobić jakiś ośrodek kultu pogańskiego

i snuć różne dalsze o tem domysły, polegają wyłącznie na owem widzimisię Długoszowem.

O Marzanie (t. j. Marji, Maryni) dowiedział się Długosz z pieśni wielkopostnych, gdy dziatwa lalkę-Marzanę, symbol zimy-śmierci, obnosiła i topiła, w XIV i XV wieku; zdradził to sam, opowiadając (*Dzieła* X, 117), jako Mieszka, gdy się z tępieniem bałwanów ociągano,

«na 7 marca wszystkie odrazu potopić czy zniszczyć rozkazał; to poniszczenie i zatopienie bałwanów po dziś dzień przedstawia się i odnawia w niektórych[1] wsiach polskich, gdzie Dziewany i Marzany podobieństwa na długim drągu podnoszą i w moczary wrzucają i zatapiają w niedzielę postną *Laetare*».

Wolno przypuścić, że ową lalkę rozmaicie zwano, Marzanką i Dziewanką; obie identyczne nazwy obdzieliłby dopiero Długosz rozmaitemi funkcjami, a wybrał nato wcale dowcipnie Dianę lasów i Cererę pól, bo z Junoną i Minerwą sprawa byłaby mniej łatwa. Istotne nazwy mitologiczne są tylko dwie, *Pogoda* i *Żywie*, ale te przejął chyba z kroniki holsztyńskiej Helmolda, gdzie je jako *Podaga* i *Siwa* wypisano, a dowiedział się o nich przez Janka z Czarnkowa, który kronikę ową w Schwerinie Meklemburskim, gdzie był kanonikiem, odczytał. Długosz był, jak całe średniowiecze, przekonany, że każde pogaństwo było dziełem jednej i tej samej złej siły; że więc Olimp polski był ten sam, co i rzymski i różnił się tylko językiem. Zresztą t. zw. *interpretatio romana*, t. j. utożsamianie obcych, celtyckich i germańskich, bóstw z rzymskiemi, jest dawniejsza nawet niż chrześcijaństwo i niczego nie dowodzi.[2]

---

[1] Z źródeł XVI wieku wiemy, że obchód podobny znano tylko na zachodniej połaci, w Wielkopolsce i na Śląsku; znają go Czesi wszyscy o tej samej porze, od drugiej połowy XIV wieku, chyba od Niemców; obcy on wtedy i innym Słowianom.

[2] Nieraz już wykładałem fikcje Długoszowe; historycy zgodzili się ze mną, np. Bobrzyński, *Dzieje Polski* I (1927), str. 54, mówi

Od Długosza dowiedział się Kallimach o «bóstwach» i w *Żywocie Oleśnickiego*, wywodząc jego ród Dębno wedle tatarskiej anegdoty Długoszowej o tym herbie od Scyta (!) Deombrota (kpiąc jawnie z dobroduszności i łatwowierności polskiej), z Deombrotem kult bóstw scytyjskich do Polski wprowadził; znał te bóstwa z (łacińskiego) Herodota; «*Labiti* (!) — *Vesta ignis, Apia — Ceres terra* i *Jasde — Jupiter aer*» i odnalazł je w Długoszowych, bo «Polacy z czasem popsuwszy słowa scytyjskie (!) zamiast *Labiti Lada*, zamiast *Apia Miia* (!), zamiast *Jasde Jesse* powiedzieli»; innym bóstwom dał pokój.[1]

Późniejsi powtarzali «kanon» Długoszowy; Miechowita «poprawił» go co do Łado, boć

«czczą Polacy Ledę matkę Kastora i Poluksa.. jak to do dziś słyszymy od śpiewaków pieśni prastarych, Łada Łada Ileli Poleli[2] przy

o zupełnym «braku autentycznych wiadomości» i o «mylnej kombinacji Długosza»; podobnie Grodecki, *Dzieje Polski średniowiecznej* I (1926), 34: «System Długosza okazał się w znacznej części wymysłem... poza tem zaś polega na nieporozumieniach». Filologowie przeciwnie godzą się zawsze jeszcze na te czcze wymysły, np. Mik. Rudnicki, *Slavia Occidentalis* V (1926), str. 375—385, rozprawia o Nyi-Plutonie; G. Iljinskij, tamże str. 525—529, o Dzidzileli, nie zważając, że to tylko jeden z warjantów rękopiśmiennych; K. H. Meyer, *Die slavische Religion* (w dziele zbiorowem, *Die Religionen der Erde* r. 1927), str. 266—272, wierzy w Dziecilelę, Nyję i t. d.; sarka na mój «hiperkrytycyzm i upór», tylko że tem nie usunie moich dowodów.

[1] Ciekawsza nierównie niż te fantastyczne bóstwa jest dalsza jego uwaga: wprowadził (ów Deombrot) sztukę wróżenia przez liście lipowe trzykrotnie w palce wprawiane *(trifariam digitis implicatas?)* i wierzbowe gałązki *(surculos)*, byle jak *(temere)* na ziemię rzucane, który to rodzaj wróżenia potomkowie wkońcu w grę odmienili *(ad ludum transtulere)*: co to za gra? czy nie bierki?

[2] Ks. M. Tworzydło *(Okulary,* r. 1594) wedle tego napisał: «W niedzielę środopostną dzieci, uczyniwszy jakiego bałwana, topiły go w rzekach śpiewając *Łada leli leli* a do domu co wskok uciekały, co jeszcze niekędy zachowują». Ten refren tu wydaje się podejrzanym; autor pomieszał dwie różne wzmianki.

klaskaniu w dłoni, przezywając Ledę, nie Marsa (! przeciw Długoszowi), Ładą, żeby się do swej wymowy stosować, a Kastora Leli, Poluksa Poleli».

Dodał zaś: «czcili powiew powietrza łagodny, szeleszczący przez kłosy i liście, zowiąc bóstwo jego Pogwizdem». Ten Pogwizd niepozorny, czy Pogodą Długoszową wywołany, jest może jedynem istotnem bóstwem polskiem. Bielski w *Kronice* świadczy: «Chwalili niepogodę, którą zwali Pochwistem, a dziś w Mazowszu zowią jeszcze Pochwiściel». Powtarza to Błażowski, tłumacz Kromera, dodając, że «gruba Ruś Ukrainna przed wichrem głowy swe nachylając pokłon mu rozmaicie wyrządza».[1] Pogwizd albo Pochwist *(gwizd* i *chwist* jedno i to samo), ocalał bowiem jako imię osobowe (od którego wsi, Pogwizdowy, poprzezywano), a imiona bożków chętnie na ludzi przenoszono (u Greków takie imiona «theofora» były ulubione); zob. niż. Pogwizd i Stanisław (oba od żony Polki?) zwali się dwaj synowie Włodzimierza Wielkiego na Rusi X wieku.

Historycy i kaznodzieje Długosza powtarzają, i tak Wujek w *Postyli:* «Polacy czcili djabelstwa Jesze, Łady, Zyzyle, Leli poleli» — ani się domyślał, że Zyzyle i Leli poleli, to to samo słowo; a nie lepsze i świadectwa późne (starego Koźmiana), lubelskie, o jakichś «Dziedziłach, nazwie zabaw towarzyskich, zwykle na Wielkanoc grywanych przy stosownych śpiewach; wyszła z użycia».[2]

---

[1] Ruś czciła jakiegoś bożka «Perepłuta; wierząc się piją jemu w rogach» — wedle kilku kazań z trzynastego wieku. Perepłut znaczy Przepłąt i byłby dla bożka wichru-Pogwizda czy Pochwista wcale odpowiednią nazwą *(pereplutaty* ukraińskie używa się do dziś o poplątaniu, powikłaniu). Jeżeli domysł trafny, otrzymalibyśmy postać słowiańskiego bóstwa wiatru, o jakiej dotąd nie wiedziano; w innych mitologjach postać to nie rzadka (Eol, Wodan i in.).

[2] *Prace filologiczne* VI, 226. Dodaję kilka cytatów co do *leli-poleli.* W modlitewniku Konstancji około r. 1520: «któż (łaskę Bożą) daremnie otrzyma, *leli poleli,* nic nie cirpiąc?» W *Postępku prawa czartowskiego* z r. 1570 wypuszcza Lucyper na Polskę czartów: «I *leli* (pi-

Wedle *Powieści świętokrzyskiej,* drukowanej r. 1538 i 1550, tłumaczonej z łacińskiego oryginału r. 1536, był na Łysej Górze «kościół trzech bałwanów, które zwano *Łada, Boda, Leli,* do których prości ludzie schadzali się pierwszego maja modlę im czynić i ofiarować; tedy Dąbrówka pokaziwszy ich bożnicę kazała zbudować kościół ku czci św. Trójcy». *Body* nigdzie więcej nie spotykamy; *Lada, Leli,* znane refreny.[1]

Niepodejrzane świadectwa, odnoszą się niestety nie do Polski. Jedno, z pierwszej połowy IX wieku, podróżnika arabskiego, prawi o Słowianach wschodnich:

«Słowianie hodują świnie, jak inni owce; wszyscy są c z c i c i e l a m i o g n i a; uprawiają najwięcej proso; przy zbiorach (żniwie) wyrzucają z garnka proso na łyżkę, wznoszą ją ku niebu: o panie! tyś jest, coś nam dał chleb powszedni, więc doprowadź to u nas do końca. Wina ich są z miodu. Gdy palą swoich umarłych, weselą się, ponieważ twierdzą, że cieszą się, bo pan jego wykonał przeciw niemu miłosierdzie».

Dwa drugie pochodzą od Czecha spółczesnego «Gallowi»: Córka Kroka Teta wyuczyła Czechów kultu Oread, Dryad i Hamadryad (nimf leśnych), «jak i dotąd wielu sielan czy raczej pogan jeden źródła lub ognie czci, drugi gaje i drzewa lub kamienie, inny górom i pagórkom ofiaruje, inny miecze i głuche bałwany, co je sam urobił, błaga i prosi». Więcej szczegółów daje przy księciu, drugim, Brzetysławie, który (około r. 1090)

«wypędził z kraju wszelkich czarodziejów, wieszczków i wróżbiarzy, tudzież wykorzenił i popalił gaje czy drzewa, czczone na wielu miej-

jaka); czart Kofel upiwszy się woła drugich do siebie, które zowią Hejdaż, Hała, *Ilelu, Polelu»;* codzień *lelum polelum* w kazaniach Gdacjuszowych z r. 1640, tamże i *lelkować* a kufle wytrząsać; codzień *lelum polelum* (puszcza panicz majątek), Kuligowski, *Demokryt* z r. 1699 i in.

[1] Powtarzają się w pieśniach ludowych z Lubelskiego, a więc z połaci do Rusi zbliżonej, *a lado* i *hej lado* na końcu lub na początku zwrotek; rzadziej *lelum ładum* a z tego i *wielom lado* (może i *boda* tylko taki przyśpiew?), w krakowskich *oj lelom lelom!* i *wielom lado!* Do dziś po narzeczach: robi *lelum polelum* (ospale), *stoi jak lelum polelum na górze;* u Knapiusza *lelom polelom.*

scach przez gmin; obchodzili też zwyczaje przesądne włościanie napół poganie we wtorki czy środy Zielonych Świąt, ofiarując biesom («demonom») nad źródłami rzeczy zbożowe i krwawe; grzebali zaś zmarłych po lasach i polach i urządzali przytem igrzyska wedle obrządku pogańskiego po drogach rozstajnych niby dla ukojenia dusz, jak i żarty niezbożne, czem nad umarłymi wywołując duchy marne i odziani w maski na twarzy sami szaleli».

Tak wyglądało pogaństwo czeskie, od którego nasze chyba niezbyt odbiegło.

Z dalszych tradycyj wymieńmyż Lecha, mniemanego założyciela Gniezna. Nic o nim nie słyszeli ani małomówny Gall, ani rozgadany Wincenty; imię osobowe *Lech* i miejscowe Lechów w aktach z końca XIV wieku nie rzadkie. Nie wiem, kto pierwszy «górę Lecha» w Gnieźnie odkrył. Urodził się ów Lech na Śląsku, w Wrocławiu na dworze Henryka IV Probusa, z matki kroniki Wincentego a z ojca literata śląskiego, około r. 1280. Skoro Czesi nazwani od wodza swego *Czecha,* po Czechu zaś *Krak* (sfałszowany przez Koźmę na *Kroka)* panował; skoroż u Polaków był ten sam *Krak,* brakło więc tylko odpowiednika do *Czecha.* Nie sposób było go odtworzyć z nazwy Polan, boć ta od pól, a wedle literatów od polu-bieguna pochodzi; ale że Wincenty nazywał Polaków nieraz Lechitami, a kraj ich Lechią, więc wedle Bohemus-Bohemia, utworzono i Lecha-Lechię, co znakomicie z Czechem rymowało. Tego rymu użył już t. zw. Dalimil (kronika czeska z początku XIV wieku), prawiąc, że w ziemi chorwackiej «był lech, który miał imię Czech», i do dziś łamią sobie Czesi daremnie głowę, co «lech»« znaczy; ich kronikarz Pulkawa (około r. 1370) nazywał Lechem brata lub towarzysza Czechowego; Janko z Czarnkowa dorobił im trzeciego brata, Rusa. Tak odpadają zgóry wszelkie pomysły łączenia późnego, mniemanego Lecha z istotnym księciem czeskim o podobnej nieco nazwie z r. 805, albo z imieniem bajecznego Lestka; do *Lściek-Lestka* (bo tak odmieniało się niegdyś to imię, skrócone z *Lstimir, Lstibor)* należą skrócone *Lech,* jak

*Stach* i t. p.; był w XV wieku i *Lesz;* zdrobniałe zaś *Leszek,* dziś ogólne, wprowadzono dopiero w XVI wieku do literatury.

W przeciwieństwie do późno zmyślonego Lecha uznajemy za narodowe podanie o Piaście, zapisane około r. 1110 w Poznaniu, a przez późniejszych wszelakiemi dodatkami samowolnemi upstrzone, bo każde podanie narasta jak lawina, czem późniejsze, tem obfitsze, niestety nie wedle tradycji, lecz wedle szczerej fantazji. Co kapelani Krzywoustego o początku rodu panującego opowiedzieli, obejmowało cud o Piaście i anegdotę o Popielu i myszach. Podanie o Piaście różni się od czeskiego o Przemyśle: chłop Przemysł zostaje księciem sam, chłop Piast płodzi syna-księcia, Siemowita; oba podania zgadzają się co do chłopskiego pochodzenia książęcego rodu, a dalej i z instalacją księcia korutańskiego, przy której chłop odgrywał ku największemu oburzeniu przytomnych panów austrjackich stanowczą rolę, bo od niego dopiero przejmował nowy książę swą władzę; atrybuty chłopskie (torba, chodaki) obnoszono w Korutanji i w Czechach do XIV wieku przy intronizacji panującego, a i mistrz Wincenty wspomniał o ubraniu chłopskiem księcia Leszka, jak ten je szanował.

Więc o autentyczności podania o chłopskim początku dynastji polskiej, czeskiej, korutańskiej niema co wątpić i marne są wszelkie próby, by usunąć to podanie przez racjonalistyczne jego tłumaczenie, np. że Piast był w istocie piastunem, maior domus, paedagogus, nutritor, «kormilec» młodego księcia, i energiczny taki «piast» Siemowit strącił księcia prawego. «Legenda ludowa o gościnnym oraczu, który miał przezwisko Piast, mogła następnie przylgnąć do tradycji o praojcu dynastji, który był piastem; rzecz jeszcze prawdopodobniejsza, że ją z nią celowo złączono». Podania należy przyjmować albo odrzucać, nie wyrywać z całości jeden szczegół. *Piast* nie znaczył nigdy *piastuna,* zawsze tylko *tłuczek* (piasta); u Czechów ma ów chłop przyzwoitsze imię Przemysła, w Polsce podkreślono «ge-

nealogją chamską», a z obu podaniami, niezawisłemi nawzajem, łączy się znakomicie obchód korutański, gdzie chłop wierutny (dziedziczny), nie podaniowy, przelewał władzę nad krajem na nowego księcia. Czy nie urosły oba podania (polskie i czeskie) z podobnego symbolu? czy przy instalacji pierwotnych książąt polskich i czeskich nie zachowywano podobnego obrzędu arcydemokratycznego, który wpajał księciu, że władza jego od ludu wyszła? Germanowie-monarchiści swoich książąt od półbogów wywodzili, Słowianie-republikanie chłopstwo im wytykali, rys dla psychologji narodowej arcyznamienny.

Bardzo wątpliwy jest dalej ów pomost od podaniowego Piasta do Mieszki I, historycznego. Czech Koźma zmyślił poprostu nazwy książąt od Przemysła do (historycznego) Borzywoja, choć Czesi nie znali nawet imienia ojca Borzywojowego — czy w Polsce nie było tak samo? Bo dziwna rzecz, że żadne z tych imion, Siemowit, Lściek, Siemomysł, nie powtarza się między pierwszymi Piastami; dopiero synowie Krzywoustego, Bolesław i Kazimierz, którym czytano i tłumaczono Galla (o Kazimierzu wiemy to napewne), nazwali swoich synów Lestkami (t. j. przebiegłymi, chytrymi), a w XIII wieku Konrad mazowiecki ponazywał swoich synów Ziemowitami i Ziemomysłami. U Czechów wieszczka (dowolnie przez Koźmę Luboszą wedle grodu Luboszyna nazwana) Przemysła ludowi wskazała; w Polsce cud Piasta objawił (przy postrzyżynach, przeniesionych może od postrzyżyn Mieszkowych, równie cudem sławnych?); podobne cuda znamy i u świętych Pańskich, o czem już Długosz wiedział.

Pierwotne podanie nic nie wiedziało o Gnieźnie, Popielu, Piaście i Siemowicie; imiona później przyplątano. Była to zwykła baśń ajtiologiczna, t. j. uzasadniała i polecała największą cnotę słowiańską, gościnność. Najdawniejsza baśń bułgarska, zapisana z ust ludzi XVIII wieku w r. 1819, opowiada to samo, lecz już z zabarwieniem chrześcijańskiem: sam bóg-

starzec obchodzi wieś, znajduje gościnę w ostatniej chacie, gdzie go gospodyni i jej mąż, gdy z pola wrócił, raczą wszystkiem, czem mogą, i za to spotyka ich później wielki dostatek (i synek wchodzi w grę, ale tu wpleciono biblijny wątek Abrahama-Izaaka). Taką samą była może i baśń polska, bez związku z Popielem i myszami, bo z opowiadania u Galla wynika, że ukaranie Popiela bynajmniej się z cudem o gościnności nie łączyło, nie było ukaraniem za niegościnność. Gall zmyślił, że goście nadali synkowi imię «ex praesagio futurorum», boć «Siemowit», jako imię pospolite, niczego na przyszłość nie wróżyło; odczuli ten brak późniejsi, stąd w napisie dalszego rozdziału: «De duce *Samowitay* (t. j. tu witaj) qui dicitur Semovith», ależ ten nowy wymysł niczego nie zmienia. Gdy ród Piastowy odwiecznie już rządził a tradycji o jego początkach nie było, podsunięto tę baśń, odziano bezimienną w imiona i umiejscowiono pod Gnieznem. Gdyby puścić wodze fantazji, możnaby w Piaście odgadywać godło rodowe (por. Topór i t. p.), tem łatwiej, jeśli *piast* 'tłuczek', jako *concretum*, wychodziło z użycia. Od «chłopskich przezwisk» ojców i dziada oddzielono Siemowita istotnem imieniem. Tak usuwają się wszelkie trudności.

Od podania Piastowego odbija anegdota o Popielu i myszach, krótko u Galla opowiedziana, przez następców, od mistrza Wincentego do Długosza, niemożliwie z szczerej fantazji rozwałkowana. U Galla między podaniem a anegdotą widoczna przerwa: «opowiadają t a k ż e starcy» i t. d. U żadnych Słowian nie powtarza się nigdzie i nigdy anegdota o myszach czy szczurach, pożerających zbrodniarza; najpospolitsza ona u Niemców; już Thietmar na początku XI wieku taką zapisał i krąży ona tam stale jako kara, co okrutników, księży czy rycerzy, za sromotne niemiłosierdzie spotykała, przed którą się i na wieży śród wody obronić nie mogli; Gall nie podaje żadnej przyczyny, dlaczego Popiel po wygnaniu z państwa na tę

karę zasłużył, i o tę rażącą lukę zaczepili następcy jego i popletli nieskończone bzdurstwa o stryjach i struciu i t. d. Kto i kiedy do Polski tę anegdotę, co po Niemczech w XI wieku obiegała, przyniósł, o tem zob. niż.

Wobec ubóstwa dawnych źródeł nie dziwi, że historycy starają się wyzyskać choćby najdrobniejsze wskazówki dla rozświetlenia pomroki dziejowej, więc i podanie o Piaście i Popielu; popełniają jednak przytem dwa zasadnicze błędy. Najpierw «racjonalizują» podanie: nic łatwiej; niżej przytoczę, jak już w XIV wieku zracjonalizowano «myszeidę» — tylkoż niema to najmniejszej wartości. Jak fatalnie potknął się Tołstoj, gdy racjonalizował podania ewangeliczne! Nic łatwiej, niż tłumaczyć, że na podgrodziu gnieźnieńskiem nie mógł chłop Piast, lecz maiordomus (piast) Popiela przesiadywać i tego to Popiel jak zwykle odwiedził — tak można każdy szczegół podania unicestwić bez trudu, ale i bez najmniejszego skutku. Drugi błąd fatalny, że się prostą literaturę traktuje na równi z istotnem podaniem. Istotne podanie zapisał tylko Gall — wszystko inne jest tylko literaturą, t. j. próżnym wymysłem; Długosz opowiada przecież, którego dnia ten cud się stał — byłoby to oburzającem, gdyby nie było tak śmiesznem. Bają np. o Kruszwicy, jakoby się Popiel do niej przed ścigającym go piastem Ziemowitem ukrył, na podstawie kroniki wielkopolskiej XIII wieku, ależ tę Kruszwicę zmyślił bajarz Janko z Czarnkowa równo sto lat później i warta ona równie tyle, co jego rozdział ziem słowiańskich między Popielów. A Popielów i Piastów (jako młodszą gałąź książęcego rodu!) ze zmyślonym Lechem łączyć, to się zbywa milczeniem. Przypisano nawet Benedyktynom gnieźnieńskim, że to oni wedle cudu św. Germana cud Piastowy uformowali; zapomniano tylko, że ten cud nie z dawnym Germanem i daleką Anglją, ale z bliskimi Czechami i Przemysłem nierozerwalnie złączony, i dlatego wszelkie odrywania podania Piastowego od Polski samo się osądza. Stale przekręcają naj-

dowolniej tekst; Gall daje znakomitą trójkę «chamską»: Chwościsko (miotła), Piast (tłuczek), Rzepka; wbrew temu wyraźnemu tekstowi Chwościskę ojcem to Ziemowita, to znów Popiela mianują! Wolno więc całe podanie jako wymysł odrzucić, nie wolno wybierać z niego szczegółów, jak rodzynki z kołacza, i niemi własne wymysły okraszać: piast nie znaczył «nutritora», bo w r. 1110, kiedy już o Piaście pisano, Krzywousty dopiero od kilku lat nutritora się pozbył i cały świat polski o mniemanym piaście-nutritorze byłby wiedział i na ten koncept, na takie przeniesienie nazwy urzędowej na osobową, nigdyby nie wpadł.

Dla «Galla» Kraków jeszcze jakby nie istniał, więc gdy w ośmdziesiąt lat po nim małopolanin, mistrz Wincenty, go przerabiał, wymagał patrjotyzm lokalny, żeby na przekór historji tę lukę co do nowej stolicy polskiej uzupełnić. Nie było najmniejszego podania na podorędziu, ale dla średniowiecza taki szkopuł nigdy nie istniał; od tego było się mistrzem-literatem, aby z niczego wszystko stworzyć. Sumienie literackie teraźniejszością się krępowało, ale w przeszłości, czem dalsza była, tem swobodniej bujało. Wystarczyła mu jedna istotna nazwa Kraka, wydobyta z Krakowa, jedna zmyślona, Wanda, wydobyta z mniemanej dawnej nazwy Wisły-Vandalus, i parę okruszyn z byle klechdy ludowej, o szewcu Skubie albo o pięknej boginee; dodało się do tego owoce lektury klasycznej, głównie z Justyna, i utworzyło całą księgę pierwotnych dziejów polskich! Że był kościółek św. Jerzego, który smoka zabił, na Wawelu, że była tam i «Smocza jama» (czy nie zmyślono jej później wedle Wincentego?), nie wiele znaczy — i bez nich mógłby tu powtórzyć się międzynarodowy wątek o zabiciu smoka przez rycerza, jak sługa rycerza zgładził, aby się jego czynem pochwalić, jak wykryto oszustwo i ukarano zbrodniarza. U Galla znalazł Wincenty nazwę Lestka księcia, wiedział, że Lestek to «lściwy», podaniami starożytnemi (o zagwożdżo-

nej drodze, manewr w starożytności dobrze znany i in.) aż dwóch takich Lestków obdzielił. I takim tanim kosztem pierwotny Kraków, któremu się o Polsce ani śniło, na stolicę Polski wysunął.

Rzecz o Krakach (ojcu i dwu synach) i Lestkach nie warta nawet wspomnienia, ale o Wandzie wypada coś powiedzieć wobec nadzwyczajnej jej popularności, o jakiej nie mniej niż stosześćdziesiątpięć dramatów, ballad, romansów, artykułów wymownie świadczą. Jest w Radomiu r. 1456 *Wanda cmethonissa*, t. j. *węda*, ależ nie o wędce (jak Janko) myślał Wincenty; on się swego Wandala-Wisły trzymał, a zwiedzeni tem folkloryści XIX wieku w Wandzie jego upatrzyli jakiegoś topielca, tem bardziej, że *wanduo* 'woda' po litewsku (!!); że kalendarz słowiański święto Wandy na 24 czerwca, na noc świętojańską kładzie, kiedy dziewczęta i wianki swoje *na wodę* puszczają. Niestety, kalendarz słowiański stworzył dopiero Tadeusz Wojewódzki w r. 1827 (a drukują jego rękopiśmienny spis kalendarze od r. 1829); wszelkich zaś romantycznych dodatków dostarczali późniejsi. Oni utopili Wandę w Wiśle, o czem Wincenty nic nie wie; oni kazali «tyranowi Alemanów» (dowiedzieli się nawet o jego nazwisku!) szaleć za jej pięknością, gdy Wincenty o wiele prozaicznej rzecz wystawił: tyran chciał poprostu ograbić kraj, który bez panującego łatwą się zdawał zdobyczą; oni powiązali lepiej dosyć luźną nowelkę Wincentego. Co ją wywołało? rzecz o smoku zawdzięczał on znanej tradycji o szewcu Skubie i prawdziwie szewski pomysł (czy Danielowy z Biblji?) na książąt przeniósł; co do Wandy rzecz mniej pewna. Przypuszczam, że słyszał jakąś klechdę o boginee-mamunie (wile-rusałce), która pięknością męże zwodziła i pokonywała, że i śmiercią dobrowolną przed nieszczęsną miłością uciekali — o piękności przemilczał duchowny-asceta, gdy bajkę uplatał; że później polskie boginki-mamuny raczej brzydkie, nie dowodzi niczego dla XII wieku. Nie upieram się

przy tym domyśle; upieram się przy jednem: z klechd Wincentowych nie wyciśniesz najbłahszej treści dla dziejów Polski, ani nawet dla dziejów Krakowa. To literatura (zmyślenie), nie podanie.

A tak samo ma się rzecz z następną fabułą, której się jednak, chociaż stokroć ciekawsza niż 'Wanda', w literaturze nie powiodło, ledwie parę wierszów i tragedyj zdobyła (pomijam prozę Żeromskiego), natomiast u historyków, którzy 'Wandę' raczej pomijają, niedawno wielki kredyt zyskała, chociaż pochodzi dopiero z drugiej połowy XIV wieku. Kronika wielkopolska (t. j. Janko z Czarnkowa) opowiada, przy zburzeniu Wiślicy przez Ruś, epizod z jej dziejów: jej książę, piękny Wisław, pobity i uwięziony przez Walcerza Udałego na Tyńcu, uwiódł tegoż żonę Helgundę do Wiślicy, uwięził tamże Walcerza, ale za pomocą brzydkiej siostry Wisława uwolnił się Walcerz i pomścił swej krzywdy. Dwa romanse średniowieczne spleciono tu najdowolniej: romans niemiecki o Waltarze z Akwitanji i Helgundzie jego, i powieść ruską o niewiernej żonie, jej zdradzie i karze, opowiadaną w bylinach (pieśniach epicznych północno-ruskich) o Michale Potyku; szczegóły wszelkie powtarzają się najdokładniej tu i tam; «udały» (przydomek Waltariusza = *manu fortis)* jest przymiotnik ruski, nie polski, znaczy «chrobry». Z Polską łączy obie obce powieści tylko dowolne ich umieszczenie w Wiślicy i Tyńcu, wywołane posągiem kamiennym kobiecym (niby niewiernej Helgundy) w Wiślicy. Wszelkie próby wydobycia z tej pierwszej noweli polskiej jądra historycznego chybiły. Długosz nie raczył, i słusznie, o niej napomknąć (chyba raz ubocznie); imię Wisława dorobiono do Wiślicy. Bo i cóż innego sądzić o podobnych wywodach kronikarskich?

Oto od Lubczów nad Niemnem i Dnieprem do Lubcza (Lübeck) bałtyckiego roi się od nazw podobnych: Lublin, Lubieszów, Luboszyn, Libiąż, Lubusz i t. d.; kronikarze, nasz

Wincenty, jak i żywociarze św. Ottona, jednogłośnie twierdzą, że to Lub- ukrywa Juljusza (Cezara), że więc Lublin od Julji, jego siostry, nazwany; wedle cystersa lubiąskiego z XIV wieku to miejsce Lubiąż nazwano od Juljusza Cezara, bo tłum zesłowiańszczając nazwę zwykł był mówić Lubiens zamiast Juljus; naród czcił jego świątynię, dopiero mnisi posąg Marsa i Juljusza do kloaki rzucili; tak samo był Wołyń pomorski Julinem (tam czczono słup i włócznię Juljuszowe), a Ołogoszcz (Wolgast), toć Iulia Augusta, wiedział każdy «literat»; już Thietmar swoje biskupstwo (Merseburg) od Marsa wywodził, a nasi literaci Polonię od polu-bieguna. Janko w potwornych etymologjach mistrz, ale i bez niego można było od Wiślicy (nazwanej od Wisły, chociaż nad nią nie leży) Wisława urobić.

Paprocki wiedział nawet, jak się brzydka siostra Wisława nazywała, Rynga — tak samo Długosz, jak się napastnik Wandy nazywał, tylkoż pierwsza nowela polska nic przez to na wiarogodności nie zyskała; szczera to literatura i samemi nazwami (Walcerz—Helgunda) swoje źródło odkryła. Twierdzić, że «podanie (sic!) wiślickie odbija rzeczywiste rysy nieznanej dotąd historji Polski w IX wieku, odsłaniając postać księcia polskiego Wisława», albo że «przechowało wspomnienie wojen, jakie się musiały istotnie toczyć nieraz między jakim księciem — pierwotnie dynastą rodowym a pozostałymi dynastami» i że ta wojna «uwieczniona została w podaniu może właśnie na skutek jakich wyjątkowych wypadków» i t. d.; odszukiwać mozolnie jakieś przejścia z źródeł burgundzko-włoskich przez benedyktynów tynieckich i t. d., nie zmieni faktu, że Wincenty nie znał żadnego o Wiślicy-Tyńcu podania, pojawiającego się z obczyzny (bo Walcerza i t. d. żadne rozumowanie nie usunie) dopiero w XIV wieku.

Nikt nigdy nie wątpił, że mniemane podanie o Walcerzu-Wisławie jest zupełnie mechanicznym, dowolnym zlepkiem sagi niemieckiej i stariny (byliny) ruskiej, więc cóż może ono zna-

czyć dla dziejów polskich? Wystawiają przeciw temu faktowi niezaprzeczonemu trzy gołe nazwy: Tyniec, Wisław, Wiślica. Skąd się wzięła Wiślica, wiadomo z mniemanego podania samego; był na grodzie wiślickim posąg baby kamienny i w nim uznano pamiątkę cudzołożczyni; szpilman go zobaczył, czy się o nim dowiedział i wplótł go dla autentyczności swojej noweli; ta Wiślica pociągnęła za sobą imię Wisława, lecz dlaczego on Walcerza w Tyńcu umieścił, próżno zgadywać: musiał gdzieś opodal siedzieć, w Krakowie nie było dlań miejsca, więc bliski Tyniec mu obmyślono; dlaczego nie Sandomierz np.? byłby równie ładny. Przecież i w noweli o Wandzie resztka jakaś niewytłumaczona pozostaje, tylkoż nikt dla niej historyczności Wandy wystawiać nie myśli.

Co najciekawsze i jedynie ważne w tem podaniu, to rola Polski: zachód i wschód podały sobie niby ręce; jakimś cudem dostała się do repertuaru szpilmana saga o Walcerzu Akwitańskim, a w jego repertuarze okazał się i wątek wschodni i on, pierwszy i jedyny, oba wątki połączył. Gdzieś kiedyś Janko to usłyszał, czy ktoś mu o tem prawił, bo niezdolny on do skomponowania noweli i całą wtłoczył w swoje wielkie kompendjum dziejów polskich, w ową *cronica magna*. Oto i wszystko.[1]

## ISTOTNA WIARA POLSKI POGAŃSKIEJ

Wszelkie zmyślenia i nieporozumienia może zastąpić niepodejrzana analogja wierzeń u Luciców i Pomorzan, na Rugji

[1] Z prac poświęconych t. zw. dziejom bajecznym Polski (których w istocie wcale niema) wymieniam, pomijając niemieckie, tylko: Ant. Małecki, *Lechici w świetle historycznej krytyki*, Lwów 1897 (2 wyd., 1906); Tad. Wojciechowski, *O Piaście i piaście*, Kraków 1896 (Rozprawy hist. Akad., XXXII); K. Potkański, *Kraków przed Piastami* (Rozprawy, XXXV); St. Zakrzewski, *Źródła podań tyniecko-wiślickich*, Kwartalnik hist., XXVIII, Lwów 1914.

i Rusi, z XI do XIII wieku przez wiarogodne świadectwa poręczonych, a dotyczących kultu przyrody i duchów-przodków. Kulty ognia i słońca nastręczał sam klimat chłodny i wilgotny, ale te żywioły nabrały w kulcie osobnych imion; ogień Swarożyca, słońce Dadźboga: Swarożyc, zdrobniały (pieszczotliwie) Swaróg (jak księżyc) od *swaru*-trzasku, gdy kłótliwy ogień pożerał materję; Dadźbóg, od życzenia, aby słońce dało *bóg*, 'bogactwo, zboże'; oba imiona przeszły do imiennictwa osobowego, Dadźbogi częste, gdy Swarożyc tylko w odmiankach *(Swar, Swarysz* i t. p.) się objawia.

Trzecie bóstwo znamy tylko z nazw miejsc: *Rgielsko, Rgilewo* i t. p., ale i od Nestora nie dowiemy się więcej niż o samej nazwie bóstwa, czczonego wraz z innemi na wzgórzu książęcem w Kijowie, o nieznanej bliżej funkcji, czy od rży, zboża?; formy najdawniejsze *(Erglzko* z r. 1153, *Ergilzsko* 1222) tłumaczą się ze złożenia *wergielsku,* mylnie rozłączonego (jak *wełku,* dziś *Ełk,* zamiast poprawnego *Łek, Łku).*

Podobnie nazywa się kaszubska wieś między Starogardem a Tczewem r. 1205 *Swarozino,* później *Swaryszewo* (wkońcu zwyciężyło pierwsze), por. więc inny *Swaryszew, Swarzędz, Swarzyków, Swarocin, Swarzeń* (na Rusi pokuckiej *Swarużewo* i *Swaryż).* Ruś zachowała po ustroniach kult Swarożyca-ognia do XIII wieku; wzywano go, susząc snopy u ognia, aby ich nie pożerał; kult zeskromniał tu silnie; u Luciców był około r. 1000 Swarożyc największym bożkiem; św. Bruno strofuje r. 1008 króla Henryka II, że się sprzymierzył z pogańskimi Lucicami przeciw chrześcijańskiej Polsce, i pyta: jak zgadzają się djabeł Swarożyc i nasz i wasz wódz świętych, Maurycy? Kronikarz spółczesny Thietmar opisał obszernie jego świątynię w Radgoszczu (w dzisiejszym Mecklenburg-Strelitz) i wyraźnie najwyższym bogiem go nazwał; to był kult publiczny; o domowym ogniu i ognisku, zob. niż.

Tylko po tych trzech bóstwach (i Pogwiździe?) zostały

ślady w imiennictwie polskiem, bo *trojan* (stąd i nierzadkie osady, *Trojanowy)*, chociaż napewno nie od cesarza Trajana nazwany (historyjka to, jak z Lublinem-Julją), bardzo wątpliwy.

Ale u innych Słowian są liczniejsze ślady; Czech np. jeszcze w XVI wieku prawił o *Welesie:* «ki czart albo *ki weles* albo ki smok?; porzućmyż już *u welesa* — do djabła — te grzechy; r. 1561 życzył mąż, aby jego żona-sekutnica dziką gęsią za morze *ku welesu* uleciała; tego samego Welesa czy Wołosa i na Rusi czczono, przysięgali nań ruscy Słowianie, gdy Normani ruscy Peruna-Thora swego zaklinali. U pomorskich Słowian roi się w XII wieku od Trzygłowów, Jarowitów, Świętowitów, Rujewitów; chyba to nowe nazwy, skuteczniejsze od dawnych Swarożyców i Dadźbogów, które kredyt pierwotny utraciły.

Kult miesiąca (o czem jeszcze niżej), przezywanego u nas księżycem, t. j. pankiem (od *księdza-pana),* ustępował chyba wobec kultu drzew-gajów, źródeł-potoków, skał-kamieni, siedzib bóstw, co i żeńską przybierały postać, niby nimfy, zwane na Bałkanie *wiłami,* na Rusi *Rusałkami* — a te przyplątały się z Ukrainy drogą literacką i do nas; u nas później zwano je *boginkami, mamunami, dziwożonami,* t. j. dzikiemi kobietami, szczególniej na Podhalu; do nich należy chyba *przypołudnica,* po niwach strasząca, i *jędza,* nasyłająca choroby. Niema śladu kultu ziemi jako takiej, co dowodzi, że się mity słowiańskie od podkładu materjalnego znacznie odszczepiły — inaczej niż litewskie.

Jak czczono bogów? czy posiadali świątynie z posągami? obchody w ustalone czasy? kapłanów osobnych? Pomorzanie i Lucicy mieli to wszystko, jak z kronik niemieckich i duńskich dobrze wiemy: świątynie z posągami, zawsze z drzewa a znakomicie rzeźbione; kapłanów osobnych, z znacznym, nieraz rozstrzygającym wpływem. Ale już na Rusi kijowskiej i nowogrodzkiej o świątyniach i o wpływowych kapłanach głucho,

chociaż posągi na wzgórzu bogom stawiano, a u Czechów ani śladu po tem wszystkiem. Pogaństwo pomorskie i lucickie stało więc nierównie wyżej, pod wpływem czy za wzorem obcym, nordyjskim.

W Polsce o świątyniach, choćby drewnianych, i posągach, choćby słupach tylko z wyrzeźbioną zgrubsza twarzą, i o kapłanach nic nie słychać; jeśli Długosz o kościółkach krakowskich śś. Feliksa i Adaukta prawi: *quondam idolis dicata,* to jest to tylko jego wolny wymysł, tak samo jak o kościele św. Michała; nawet język nie zachował żadnej pamiątki. *Cerkiew, bożnica, kościół, posąg, modły, ryciny, bałwany,* to wyrazy późne lub obce; dawny i rodzimy tylko *żrzec, żerca* 'kapłan', od czasownika *żrzeć* 'sławić'; *żertwa,* 'ofiara' innych Słowian. Więc zamieszkiwali bogowie polscy gaje, źródła, skały; tam pod gołem niebem, w pewne pory roku ich wzywano, im obiatowano *trzeby,* regularne w pewne pory roku i *żertwy* w razach nadzwyczajnych; *żerzec* wygłaszał ustalone formuły, niecił ogień, wrzucał tłuszczu i dolewał miodu, poczem zgromadzeni obiatnicy biesiadowali i oddawali się pląsom z klaskaniem w dłoni i śpiewami; nie wiemy nawet, jak zwano te igrzyska, świątki? bo *stado* Długoszowe najmniejszego nie budzi zaufania. Był to więc kult przyrody i w przyrodzie i jako taki postępował ściśle za biegiem przyrody samej.[1]

---

[1] Dla ciekawości wspomnę o fantastycznych pomysłach Jul. Peiskera, który narzucił Słowianom pierwotnym dualizm irański, czarnego (złego, ciemnego) i białego (dobrego, jasnego) boga. Domysły jego sięgają prawieków, kiedy to nomadzi-mięsożercy napadali i gnębili rolników-jaroszów, uprowadzali ich z sobą od Azji centralnej aż do Skandynawji (w ten sposób dostało się do Europy rolnictwo a do Szwecji pług irański) i do Słowian, co od tych uciekających Irańczyków utrzymali boga i pojęcia dualistyczne.

Mrzonki swoje opierał Peisker o mniemane ślady tego dualizmu: Czarnobóg i Białbóg (Swarog-niebiański od *svar-* 'światło', także Dadźbogiem zwany i «Świętowidem») mają zawsze przeciwległe, rzeką czy

Największe święto z odwiecznemi «trzebami» przypadało w jesieni po zbiorze płodów, aby dzięki oddać za zdobyte, a zapewnić sobie jeszcze obfitsze na rok przyszły; słabe resztki najznaczniejszego święta ocalały w obchodach dożynkowych i w obrzędach, przeniesionych za chrześcijaństwa na «gody» (święto Bożego Narodzenia). Równej niemal wagi były żegnania zimy, witania wiosny za dnia, czczenia lata w nocy najkrótsze, chociaż *obiat, trzeb,* jako w czasie przednowku, obfitszych nie było; tem raźniej zapalano stosy; zalewano po ogniskach ogień, skalany całorocznem używaniem, niecono tarciem lub krzesaniem nowy, czysty, święty; symbole zimy czy lata zrzucano do wody. Nie obchodziło się bez masek; przebierali się mężczyźni za kobiety albo za zwierzęta, w skóry konia, capa, tura, wilka (por. przysłowie: chodzić z wilkiem po kolędzie); koza należy do dziś do szopki i jasełek; na «kobylników» wiel-

strumykiem przedzielone miejsca kultu, u Czarnoboga goła skała, dla Swaroga lesista; Czarnobogowa nazywa się i 'dziewczym skokiem', bo *dewa* złego ducha oznacza jak w Aweście; to *dewa* pomieszano później z *dziewą;* wyszukał on takich sceneryj aż 32 w różnych stronach słowiańskich aż do Pfalzu; operuje on też mniemanym bożkiem Radgostem (którego nigdy nie było!) i innemi etymologjami, równie pewnemi jak ów wywód wszelakich Dziewinów. Od skał czartowskich roi się wszędzie, a Białbogi są Białobokami; są u Słowian góry Twarogi, Twarożce, Twarożne, ale one z Swarogiem i Swarożycem w żadnym nie pozostają związku, bo *t-* nie *s-*! Wszelkie inne wywody, np. Swaroga z irańskiego, «Świętowida» i t. d. są równie niemożliwe, jak i wszelkie inne jego kombinacje, np. że bożek ogólny lucicki i pomorski Trzygłów był złym duchem, bo czarny był jego koń, Swarożyc dobrym, bo jego koń wieszczy był biały, ale Trzygłów jako bóg najwyższy zastąpił w Szczecinie i in. Swarożyca. Wszelakie nazwy gór, Kanzel, Himmelreich, Hölle nic z dualizmem nie mają do czynienia jak i Czarne góry czy rzeki. Że Czarnybóg nie jest pierwotnym bożkiem słowiańskim, wynika już z tego, że się dopiero u Helmolda i to jako sobowtór djabła chrześcijańskiego zjawił; nie zna go żadne dawniejsze źródło; kaszubskie o Czarnobogu bajdy, to wymysły nauczycieli ludowych. Rzecz o mniemanym dualizmie słowiańskim stara; Peisker ją 1928 r. najniepotrzebniej wznowił.

kanocnych sarkali kaznodzieje w XV wieku; prasłowiańska masek nazwa ocalała u Czechów i na Bałkanie, *(s)kraboszka.*

Żerzec, powiernik bóstwa, piastował zarazem główny urząd wieszczbiarza i czarownika; oznajmiał przyszłość, wykonywał czary - zaklęcia (miłosne, na życie lub dostatki czyje), a usuwał wrogie, zawsze środkami symbolicznemi na podstawie sympatji, np. chcąc wywołać nieurodzaj na polu, w stajni, w rodzinie, załamywał, zawiązywał kłosy, trawę, strzępki odzienia i tak wiązał płodność wszelaką. (Święcie w to wierzono; jeszcze pierwsza dama świata chrześcijańskiego, hrabina Matylda, powiernica Grzegorza VII, gdy jej oblubieniec w noc ślubną ją czy służbę oskarżał, że oczarowali odzież czy łoże, miała w następną noc dla usunięcia wszelkiego posądzenia naga na gołym stole się położyć). Jeszcze w XIII wieku czarownica z wodą w sicie nie wybiegającą wyprzedzała szeregi polskie, chociaż zwycięstwa im nie wywróżyła. Czarami trudniły się wcześnie i baby; chodząc około położnic bywały też lekarkami, znały się na ziołach a zamawiać uczyły się od żerców; z naszych zamawiań, choćby najdawniejszych, wyrugowało chrześcijaństwo wszelkie ślady pogaństwa; zamawiania dla lepszego skutku mruczano, *boboniono,* stąd nazwa *zabobonów.*

Etycznych związków między bogami a ludźmi jakby nie było; skoro bogom i żercom oddano, co się im należało, czego zwyczaj-obrządek wymagał, oczekiwano z ich strony należytej wdzięczności; zdwajano obiaty-obietnice w razie potrzeby, a sarkano na bogów i żerców, gdy skutku pomyślnego i wtedy nie widziano. Wykroczenia wszelkie przeciw normom społecznym wywoływały zemstę-karę bogów, strzegących te normy; urok bóstwa otaczał wszystko, co siłą było, Lucicy chcieli więc Henryka Lwa czcić jako boga swego. Miejsca, na któremby Polska bogów spólnie czciła, nie było, ani Gniezno do tego praw nie rościło; sama odrębność szczepowa, zazdrośnie mimo jedności państwowej przestrzegana, wymagała odrębności kultu; nawet

nazwy bogów nie koniecznie wszędzie te same były. Wolno jednak przypuszczać, że obchody świąteczne, obiaty i modły uprawiano na stałych miejscach.

Taki był kult bogów wielkich, publicznych — co o nim sądzić? Stał chyba na jednym poziomie z kultem ruskim, to znaczy, brak mu heroicznego rozmachu - napięcia, jaki cechuje pogaństwo lucickie, pomorskie, rugijskie, pruskie, gdzie wszędzie słyszymy o zbroi boskiej, o włóczniach i stanicach (chorągwiach), o wojownikach boskich, o wspaniałem przyjmowaniu poległego bohatera na niebiosach. Tych rysów wojowniczych, zdaje się, brakowało zupełnie ruskim i polskim bogom, którzy chyba gospodarczo i pokojowo byli nastrojeni; prawdziwy to kult przyrody, co się nie ścierał z żadną obcą przemocą, nie nagabywany przez nikogo; poezji, fantazji, t. j. bogatszym koncepcjom mitycznym niewiele pozostawało miejsca. Ale prawimy o tem, jak ślepy o kolorach, wobec braku źródeł dawnych, samą analogją się wspierając.

Czy nie pozostał jednak jakiś ślad dawnej wiary i kultu przy obrzędach żniwiarskich? Wiadomo przecież, jakie znaczenie przypisują dziś jeszcze ostatnim kłosom, zżynanym w osobliwszy sposób, nazywanym jak najrozmaiciej, pozostawianym na polu lub uroczyście odnoszonym, z których splatają wieniec dożynkowy, których ziarno i na siew chowają. Lecz sama rozmaitość nazw (najczęściej: *przepióreczka, koza, broda, pępek)* i samo powtarzanie tych zwyczajów na całym Zachodzie (w Niemczech i Francji szczególniej) dowodzą, że to nie mitologja, nie pierwotna cześć jakiegoś bóstwa zboża, nie inkarnacja tegoż, lecz zabawa raczej, nieodzowna wobec zakończenia tak ważnej i uciążliwej czynności jak żniwa, że mimowoli otaczano te ostatnie kłosy jakąś osobliwszą uwagą, wietrząc w nich ulubione sympatyczne moce. Jedyne świadectwo, coby się z takiem obojętnem tłumaczeniem nie godziło, dotyczy dawnych Pru-

sów, którzy r. 1249 obiecali, że nadal nie będą ofiarowali *idolo quod semel in anno collectis frugibus consueverunt confingere et pro deo colere, cui nomen Curche imposuerunt* — nazwa (niewytłumaczona, obca Litwie i Łotwie, powtarza się w kilku nazwach miejscowych), wskazuje jednak tworzenie jednorazowe bożka po żniwach (czy nie nazwać go kurem, kurkiem, jak gdzieniegdzie istotnie bywa? lecz ta zgodność będzie chyba przypadkowa). Dziwi nas wprost, że legat papieski właśnie takie niepokaźne, bo jednorazowe bóstwo z całej bogatej wiary pruskiej wyróżnił: dlatego chyba, że jako gospodarcze jedyne jeszcze trwało i Krzyżaków raziło? Perkun i in. byli chyba ważniejsi, lecz pozostał tylko ów dla żniw i urodzajów niezbędny Kurk.

Jeszcze jedna pora, dnia tym razem, w wierzeniach głęboko się odbiła: noc, bo w niej rozpętane wszelkie złe siły-duchy, na szkodę człowieka czyhające. Błędne ogniki na manowce go zwodzą i topią; straszą go głosy przeraźliwe i jakieś potworne widziadła; we śnie mu dokuczają, nawet dziatkom nie przepuszczają *nocnice*, i jeszcze w XV wieku gromił kaznodzieja kobiety, że położnicę «pytają dla wróżby, co się urodziło, chłopiec czy dziewczyna, chcąc dzieci uchronić od słabości, zwanej *nocznycze*». Jak same sny tłumaczono, nie wiemy, bo rodzimą zatłumiła praktyka późniejsza, jeszcze starożytna, grecka, we snach «Danielowych» objawiana. Do dziś jeszcze noc pozostała ulubioną porą wszelkiego djabelstwa, które, wyjątkowo raczej, i w południe skwarne na polu się objawia *(południca, przypołudnica* — jeżeli ona nie chrześcijańskiego, *daemon meridianus* początku), albo w wirze wietrznym człowieka napada (Pogwizd).

Kult przyrody był ogólny, łączył wszystkich w pewnych porach i obiatach, natomiast kult zmarłych przodków był całkiem indywidualny, obowiązywał każdą rodzinę zosobna mimo spólnoty czasu i obrządku samego. Życie nie kończyło się zie-

mią, jego dalszy ciąg odbywał się w zaświecie, w «nawi»,[1] ale temu światu duchów i cieni brakło słońca i ciepła, krwi i barwy i zawistnem okiem patrzyły duchy na żyjących, więc należało o nich pamiętać, przebłagać ich gniew, ogrzać je, napoić i nakarmić, aby nie szkodziły żywym, dbały o ich pomyślność. Na wiosnę i w późnej jesieni przywoływano «dziady», niecono im ognie na rozdrożach, przyczem palono i rupieci i stare miotły; chodzono na żale (cmentarzyska) z obiatami albo zapraszano ich na ucztę do chaty, gdzie im najpierw na ziemię odlewano z napojów i odrzucano z pokarmów; ogrzewano im i łaźnię; początek obchodu, jak i «pustego wieczoru», odprawianego nad świeżo zmarłym, bywał posępny, cichy, ale w dalszym ciągu wyradzał się w szumną wesołość, w maski i pląsy. Nawet u Słowian nadłabskich mimo ich wielkich bóstw kwitł ten kult domowy: «domowych czczą bogów i mniemając, że wiele im pożyteczni, ofiarują im», prawi Thietmar, a Helmold w półtora wieku później potwierdza: «od penatów roi się po polach i ogrodach»; ich wizerunki unosili z sobą, «Czech» (praojciec) wędruje z Kroacji do «Bohemji», nosząc swoje *dziadki* (nie *dziatki!)* na plecach; tylko w ostatecznym razie zostawiano ich na pastwę płomieni.

Oprócz kultu przyrody i przodków znali Słowianie i kult Doli (szczęścia) i Niedoli (biedy, licha). Jak Dolę sobie uprzytomniali, nie wiemy (Pogoda? Żywie?), ale dla niedoli istniało, przynajmniej w Polsce i na Rusi, osobne bóstwo, *Uboże* (t. j. *ubóstwo,* od *ubogi,* jak *wesele* od *wesoły* i t. p., w przeciwieństwie do *zboża,* t. j. bogactwa). Każde domostwo miało swoje *uboże,* co je trapiło pomorem, ogniem, chorobami i t. p., które udobruchać należało, pieczą troskliwą, pokarmem, nienaruszaniem jego siedziby za piecem, ale jak sama nazwa dowodzi,

[1] *Naw* nie była *rajem,* raczej piekłem; o jakimś *raju* bajali wprawdzie wszyscy Słowianie, lecz to nie przybytek dusz, to ciepła daleka kraina, do której ptactwo odlatywało *(wyraj).*

było *uboże* nienawistnym żywiołem, chociaż o jakimś dualizmie irańskim i mowy nie było. Widoczne to z świadectw ruskich; np. Koźma Popowicz, przepisując w Pskowie «prolog» (żywoty świętych) w pierwszej połowie XIV wieku, dopisał z przekąsem (tłumaczę dosłownie): «daj Boże zdrowie do takiego bogactwa: co kun (pieniędzy), to wszystko w mieszku; co odzieży, to wszystko na sobie: zaduś się (udawisia) *uboże,* patrząc na mnie»; w t. zw. Słowach Cyryla filozofa z końca XV wieku: «*uboże* u niego (pianicy) w mieszku gniazdo zwiło», a (zamiast *uboża) złe dnie* na niego patrzą *(złydni* na Białej Rusi zastąpiły wkońcu *uboże).*[1] Nie należy więc tego nienawistnego *uboża* wywodzić z kultu przodków i dusz zmarłych; to raczej uosobienie doli każdego gospodarstwa, ale nazwa uboża zanikła zupełnie od szesnastego wieku, ustąpiła innym (na Rusi *domowoj* i *domowik),* a już przedtem łagodniał sam jego obraz; *uboże* stawało się opiekunem domostwa (czeski *hospodarziczek)* i spływało z duchem przodków, *dziadem* (a nawet i *babką),* dbałym o powodzenie w chacie i oborze, chociaż zdrobniałe *didko* na Ukrainie mogło i na djabelstwo znowu zejść; rysy ducha przodków i uboża zlewają się; związą się tak ściśle z domem samym, że na Rusi przesiedla się je do nowego domu z starego; gdzie indziej (np. i na Litwie) ten duch domowy postać węża przybierał. Słownik staroczeski (r. 1360) tłumaczy «mamon *ubozie»,* ale rozdziela całkiem dowolnie nazwy wszelakich demonów, więc to nie rozstrzyga. U nas jeszcze w XV i XVI wieku znano «chowańca» o bardzo niepokaźnej postaci siwego brodacza, albo *skrzatka*-kura, którego i w pudle chowano, a kaznodzieja XV wieku strofował swe owieczki:

«Niektórzy nie umywają półmisków po wieczerzy w wielki piątek, duszom albo temu co zwą *uboże* na pokarm; niektórzy zostawiają ostatki

[1] Czy nie i w Polsce? Przynajmniej Kochanowski w *Fragmentach,* przeklinając zwodniczą kochankę, życzy jej: «Bodaj ci złe dni».

naumyślnie na półmiskach po wieczerzy niby na karmienie dusz czy jakiegoś djabłęcia *(demonium)*, zwanego *uboże*, co śmiechu godne boć mniemają głupcy, że co zostawili, zje pomienione *uboże*».

Stróż to ogniska domowego, którego zasmolony, cichy, potulny nie opuszczał; bano się go obrazić; widziano go nieraz przy ognisku-piecu, chociaż zwykle się ukrywał starannie za dnia, nocą wychodząc i doglądając gospodarstwa.

Świat ten objął świadek późny, ks. Paweł Gilowski w *Wykładzie katechizmu* z r. 1579: «Są różne rodzaje djabelskie, bo widomi są ziemscy skrzatkowie, domowe ubożęta, leśni satyrowie, wodni topcowie, górne jędze, powietrzni duchowie». Otoczony takim światem wystrzegał się każdy wszystkiego, czemby gniew jego budził; nie tykał wody świętej, nie wchodził w gaj święty, ryb i zwierza tam nie łowił ani bydła dopuszczał; opowiada Thietmar o gaju Świętoborze, czczonym jak bóstwo we wszystkiem i od prawieku nigdy nie naruszanym. Wróżono ze spotkania ptaków drapieżnych i kruków, po której stronie się zjawiały, z zajęcy i wilków, z ludzi o sile uroczej, z potknięcia się u progu, z objawów w własnem ciele. I łożyły się ciężko na człeku te obawy i troski i tem bardziej szalał i hulał, gdy przy obrzędach niby osobiście spotykał się z tą mocą nadziemną i jej łaskę okupywał; pożywając obiatę, niby same bóstwo pożywał.

Obok bogów i przodków otaczały człowieka, nie zdającego sobie sprawy z przyczynowego związku zjawisk, na każdym kroku siły i wpływy niepojęte, wstrząsające nim głęboko, szkodliwe nieraz, zawsze niebezpieczne; niepokoiło go wszystko, co ze zwykłą normą życia nie spływało. Wietrzył wszędzie siłę nieczystą, więc żywot płciowy kobiety napawał go obawą; posiadło ją widocznie coś złego; ona kalała, czego się w odmiennym stanie dotknęła; należało ją wtedy «izolować», wykluczać z towarzystwa, a po połogu oczyszczać i znowu przyjmować. Złej siły nie uosabiano w jednej postaci; rozlana ona po całej przy-

rodzie; niedźwiedzie i wilki groźnie ją przedstawiały, więc nie nazywano ich po imieniu (aryjskie zastąpił Słowianin niewinnym «miodojedźcą» - niedźwiedziem, Litwin «kudłatym»), aby ich nie wywoływać. I dzielono wszelkie zjawiska na pomyślne i przeciwne, na czyste i nieczyste, wedle analogji nam nieraz już nieuchwytnej.

Wiara była wyłącznie obrzędowością, zamiast religji bywały praktyki religijne, chociaż zawiązki etyki jakiejś już w myśli o odwecie się objawiały. Miały na celu te praktyki podtrzymywanie normalnego biegu życia u ludzi i w przyrodzie, względnie, wspieranie tego biegu, gdy mu cokolwiek zagrażało; oddalanie wszystkiego szkodliwego; zwabianie pomocy zewsząd. Praktyki ujawniały się głównie w życiu rodzinnem i gospodarczem (zob. wyżej). Łączyły się normalnie z normalnemi przejawami tego życia: te same praktyki obowiązywały przy każdem weselu, narodzinach, śmierci, przy obiatach dziękczynnych za obfitość jesienną, czy pobudzających przyrodę na wiosnę. Obok tych stałych, zwyczajnych, ograniczonych do domu lub siodła (wioski) obiat czy trzeb, bywały nadzwyczajne żertwy, wywoływane pomorem, posuchą, wylewami wód; ruszaniem na wyprawę przeciw wrogom czy zwierzom. W razie pomyślnej wyprawy padał jeden z jeńców na ofiarę dla bogów; niegdyś spożywano jego ciało, aby posiąść jego siłę, a to dało początek kanibalizmowi; wkońcu zastępowano tę obiatę byle inną. Taka redukcja obrzędu nader zwykła.

Obawiano się wszystkiego, co nowe, jak i tego, co niezwykłe, więc zaćmienie księżyca (nie mówiąc o słonecznem) panicznym nabawiało strachem; krzykiem i szczękiem broni wspierano zagrożoną pożarciem przez czarowników planetę (zob. niżej); do nowej chaty gospodarz pierwszy nie wstępował, wysyłał, bo dom bez ducha obyć się nie może, kogoś na zastępcę przed sobą, psa, koguta, obcego, aby na nich obruszył się los, albo może gniew siły nieznanej; samą chatę zakładano z obiatą

np. kury dla tej siły, niegdyś i ludzką. Dni feralnych i szczęśliwych jeszcze nie rozróżniano; powodowano się księżycem, w pełnię z jej wróżbą pomyślną odprawiano wesela i postrzyżyny, rozpoczynano czynności gospodarcze; na nowiu szkodzono wrogom. Znano miejsca szczęśliwe i takie, gdzie się nie wiodło, które opuszczano i wymijano. Zwodzono złe siły, utajając brzemienność, połóg, imię dziecka (które też pozornie odsprzedawano sąsiadowi), i przebierając młodą. Broniono się przeciw nim, nosząc amulety; już Tacyt o nich wspomina u ludu nad Bałtykiem: zęby zwierza, kły dzika, pazury rysia, krążki wszelakie, słoneczne czy księżycowe, t. j. okrągłe czy w kształcie sierpa; broniono się dalej gestem odwracającym, spluciem, okazywaniem tyłu czy phallusa i zakrywano się przed okiem uroczem, albo spędzano urok na psa czy na co innego. Nocą panoszyły się złe siły, więc zamykano dom przed niemi szczelnie, a czczono kura, bo jego pianie wróżyło dzień i rozpędzało te siły, którym i łaj psów przeszkadzał; przerażał tylko każdy niezwykły głos, puszczyka czy sowy (a wróżyła i sroka), albo wycie psa, niepokój konia, co wszystko źle świadczyło. Niektórych ludzi pomawiano zgóry o praktyki wrogie; kowal, bartnik, pasterz, później i młynarz zażywali takiej sławy, chociaż daleko im było do wieszczych i wieszczyc.

Ilość tych zwyczajów, wierzeń, zabobonów (nazwanych od bobonienia, t. j. pomrukiwania wieszczbiarzy przy każdym obrzędzie), niewyczerpana, ale wobec niemoty naszych źródeł zadowalamy się przeżytkami śród ludu i analogjami u innych Słowian, choć nie unikamy przytem wątpliwości, czy nie wnosimy czegoś, co nam samym było może obce?

Obfite były praktyki około bydła, żeby go wilki nie jadły; żeby się nie rozchodziło zbytnio; żeby się pleniło; bydłu oznajmiano śmierć gospodarza, obawiając się, żeby śmierć tegoż nie pociągnęła za sobą pomoru. Podobne praktyki były około barci i ulów: wprawdzie pszczoła nie była jeszcze tym świętym owa-

dem, co wosk dla kościoła wyrabiał, ależ już miód był napojem święconym.

A ileż obiat wymagały święte wody i gaje; wrzucano do nich monety, zawieszano płaty na gałęziach; święte miejsca lub żalniki czcią otaczano. Również zaginęły wszelkie podania, które tłumaczyły i uzasadniały np. palenie zmarłych; zjawiska świata zwierzęcego i roślinnego; gwiazdozbiory i meteory (np. nasze *baby, babki,* 'plejady', na Bałkanie i Rusi nierównie poetyczniej *własożarami* 'z świecącemi włosami' przezwane); światła niebieskie i ogień ziemski; deszcze i gromy; choroby i ułomności — ale te rubryki tylko samym towarem obcym, przywoźnym, zapełniać się dają.

Niejedno z tej obczyzny tak nam bliskie, że trudno oprzeć się pokusie, by go nie przytoczyć. Np. przy święcie jesiennem, po żniwach, wystawiał kapłan Świętowita w Arkonie na Rugji przed sobą olbrzymi placek miodowy i pytał zebranych, czy mnie widzicie? Ci odpowiadali, że tak; prosił więc boga, by go na drugi rok wcale nie widzieli (t. j. żeby dla większego urodzaju i na większy placek się zdobyli); ależ to samo czyni i prawi na wilję Bożego Narodzenia gospodarz u Hucułów, a na Białej Rusi pyta gospodarz za kupą placków gospodyni, czy go widzi; ta przeczy i mówi: obyś ty latem twego polą za snopami i kopami nie widział, więc możnaby i u nas coś podobnego przypuszczać. Właśnie z ruskich obrzędów, niegdyś religijnych, dziś przesądnych, dadzą się nasze coraz uzupełniać, np. co za skomplikowana praktyka przy pierwszym wygonie wynędzniałego przez zimę bydła na paszę (na św. Jerzego), jak bydło przez ogień czy przez rozpostarty kożuch (z odwróconym włosem) kroczy, co wszystko pasterz zabiera; uderzano je, jak i drzewa owocowe, rózgą życia, co się u nas *pomłością* (czeskie *pomlaska)* nazywała.

Nieraz z chyba przypadkowo zachowanej nazwy wolnoby niejedno wnioskować. Np. na Kujawach i w Kaliskiem schodzą

się do położnicy sąsiadki na *popieliny* lub *popielinki*, przynosząc jej w darze wiktuały; że ten obrządek od popiołu nazwany, widoczne, lecz w jakiemże znaczeniu? Otóż popiół z ogniska ma taką samą moc oczyszczającą, jak ognisko i ogień, rzeczy niepokalanej czystości; położnica nieczysta, więc się popiołem oczyszczano, do niej przystępując i stąd ta nazwa (?).

Tu należałoby dalej prawić o roli ognia i ogniska, o czci jego, jak go nie wolno kalać (np. pluć w ogień), nim się bawić, jak go strzec na noc, aby go nie rozgniewać, żeby się nie mścił: wszystko do dziś żywe w wyobraźni ludowej, a sięgające najstarszych czasów; obcy dotykając ogniska stawał pod jego ochroną (azyl); młoda, niewolnik, musieli się go dotykać (obchodzić, całować piec i t. p.), aby się duchowi jego polecić; nawet z zwierzętami (drobiem) tego przestrzegano; ofiary dla zmarłych rzuca się w ognisko, pośrednika między gromadą spółogniskowców a światem duchów, i tak możnaby znowu zabrnąć w świat przedpotopowy; to ogólno-ludzkie, nie specjalnie polskie.

Nie sposób jednak nie wspomnieć o *wilkołakach*, t. j. o wieszczych, co się zapomocą pasa w wilków na czas odmieniają; słowiańska forma brzmi *wilkodłak*, bo *dłaka* sierść znaczy, u nas dawniej *wilkołek* stale. Przesąd to odwieczny, ale Neurowie Herodota, co się corocznie na kilka dni w wilków odmieniali, bynajmniej nie Słowianie; nazwy topograficzne Nura, Nurca i in., które pozornie za słowiaństwem Neurów przemawiają, nie do Dniestru, lecz do Bugu średniego się odnoszą i niczego nie dowodzą; wiara w wilkołactwo w nowszych czasach silniej odżyła, jak i wiara w upiorów-wampirów, która do Polski od XVI wieku z Rusi na nowo przybyła, chociaż o bezkostnych (a wampirzy kości nie mają) u nas i w średnich wiekach prawią. Nie znaczą też, ile z naszych źródeł wypływa, węże tyle co indziej, np. na Litwie i Rusi, nawet u Czechów; wąż uosabia tam ducha domowego i nie godzi się go nie szanować; karmią go nawet mlekiem (od którego węże wręcz stronią!).

Cała demonologja ludu polskiego obce początki zdradza, a jeśli nawet dawna jaka nazwa ocalała, np. *wiła,* to znaczenie zupełnie odmieniła; u nas w wiekach średnich już *wiła* (por. *szaławiła)* na błazna-wesołka zszedł, czasownik *owileć* 'oszaleć', gdy na Bałkanie *wila* dziwożoną, feją pozostała; czasem jednak i w tej późnej a obcej demonologji ocalało coś pradawnego. Tak np. wierzyło średniowiecze, że zaćmienie słońca powstaje «przez czary złych bab albo przez pożeranie» *(vel esu,* Thietmar biskup prawi); u nas lud prawi, że to djabeł ukradł nieco żaru u Pana Boga, albo że ukradł kawał słońca, z którego powstał księżyc. Ogólnie tłumaczyli Słowianie zaćmienie księżyca lub słońca, że to wilkołacy zjedli księżyc czy słońce (tak wedle rękopisu serbskiego z r. 1263; wilkołacy zajęli tu miejsce naszych «płanetników», co chmury zganiają); kronika ruska zapisała pod r. 1115: słońce było jako miesiąc, a głupi (niewiegłasi) wykładają to o zjadaniu słońca. W czeskiej *Aleksandreidzie* z początku XIV wieku czytamy, że «miesiąc zjadły wieszczyce, konopie po ćmie przędąc»; a w innym zabytku, że «baba cały miesiąc spożyła». U nas więc djabeł chrześcijański zajął miejsce wieszczyc.

Osobliwszego kultu księżyca u nas śladów jak najmniej, witanie nowego słowami: 'Witaj miesiączku nowy, Aby nas nie bolały głowy' dodało dla rymu wiersz drugi; o jakimś kulcie w rodzaju słonecznego (Dadźboga) nie słychać ani u innych Słowian («całowanie księżyca» na dawnej Rusi będzie tylko podobnem witaniem); sama nasza nazwa «małego księdza» (t. j. pana) nie-powstała w przeciwieństwie do «wielkiego księdza» (słońca). Śmierć w postaci żeńskiej u ludu wywołało chyba chrześcijaństwo dopiero; wierze pogańskiej była ona obca, chociaż dziewice morowe zjawić się mogły; kult ziemi, chtoniczny, był nierównie słabszy, niż kult słońca i ognia (zob. wyżej).

Osobliwszego kultu astralnego, np. jutrzenki, zorzy (mowa o trzech siostrach-zorzycach w zaklinaniach), gwiazdy wieczor-

nej, kiedy dziki zwierz na żer rusza, brak bliższych dowodów. Na całym Zachodzie zabraniali księża już w VII wieku, żeby nikt «słońca lub księżyca panem nie nazywał ani na nie przysięgał» (o przysiędze na słońce zob. niż.). Słowianie załabscy (w Luneburskiem) miesiąc *księdzem* nazywali, my zdrobniale, pieszczotliwie, *księżycem* (por. nazwę *Swarożyca* podobną), niby «panięciem»; nazwa księżyca nie wyrugowała jednak dawniejszej (miesiąca i łuny), chociaż się na to już zanosiło. I nazwa słońca jest zdrobniałą, ale to już w pierwotnej zaszło Słowiańszczyźnie, *słońce* to samo co *słonko* (brak u nas *selna*, istniejącego na Rusi, *sołnopad* i t. p.); dziwny rodzaj nijaki (na Litwie go żeński zastąpił, niby jak u Germanów); świat klasyczny wyżej słońce ustawiał.

## BIBLJOGRAFJA

Lubor Niederle, *Żywot starych Słowian*, część pierwsza, wiara i nabożeństwo, Praga 1916, str. 299 wielkiego formatu i ścisłego druku, to najzupełniejszy zbiór-opracowanie wszelkich dawnych źródeł i prac nowszych. Drugie wydanie, Praga 1924, powtórzyło pierwsze bez zmian, niestety, a takich należałoby mu się sporo, bo mimo wszelkiej krytyczności i ostrożności zbyt wiele zawierza Niederle dawnym bajdom (np. o jakimś bożku Radgoście albo Pripegale); z kanonu Długoszowego stara się ocalić ile się da i mnie o silny sceptycyzm strofuje. Na tem polu harcują wszelacy dyletanci do woli i nie myślę wspominać o fantazjach mitologicznych Kaz. Szulca, W. Bogusławskiego i tylu innych; jedyną mądrą rzecz wypisał krótko M. K. (?), *O religji pogańskich Słowian*, Lwów 1894. Dzieło slawisty francuskiego, L. Léger, *La mythologie slave*, Paryż 1901, jest równie obszerne jak nieudałe. Moja *Mitologja Słowian*, Kraków 1917, zwrócona przeciw Niederlemu, kreśli wiarę wyższą i dawną, nie uwzględnia czasów nowszych ani ich folkloru; *Mitologja Polska*, Warszawa 1925, uwzględnia oboje; poprzedził je szkic krótki w *Encyklopedji* Akad. Umiej. IV, 2, z r. 1912. Wyżej wspomniałem o fantazjach mitologicznych Rudnickiego i Peiskera; Rudnicki jeszcze w *Slavia Occidentalis* VIII (1929) prawi o jakiemś «bóstwie lechickiem Nyja», chociaż Parkosz wyraźnie *Niją*, nie *Nyją*, tę ułudę wypisał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

# POLSKA POGAŃSKA. KULTURA GRODZISKOWA

Dom pierwotny. — Gospodarstwo. — Przyroda. — Pożywienie. — Odzież. — Handel. — Kultura. — Grody. — Pozostałości z epoki pogańskiej. — Bibljografja.

## DOM PIERWOTNY

Dla kultury materjalnej, t. j. dla ułatwiania pracy i życia ludzkości, płyną źródła dawne raczej jeszcze wiele skąpiej, niż dla kultury umysłowej i społecznej; mimo to nie odczuwamy równie dotkliwie ich braku, bo jeśli pominiemy jej zdobycze dla klas wyższych, to niższe do niedawna, miejscami, zachowały typ, niegdyś ogólny, obowiązujący wszystkich, później opadający już tylko do owych nizin. Żył przecież lud, przynajmniej w zapadłych kątach, do niedawna jeszcze po staroświecku; kurna izba z łuczywem, garnki gliniane, pierwotna uprawa roli, pożywienie (z wyjątkiem ziemniaków i nieodłącznej wódki) skromniejsze niż niegdyś, ubiór mało odmienny, mogłyby widza przenieść w zamierzchłą przeszłość, a ślady najpierwotniejszej budowy domu odnalazłby on, jeśli nie w domie samym, to w jego przybudówkach, w stodołach, szałasach, komórkach. Byłaż ta dawna kultura barbarzyńska, ale od pierwotnej już daleko odbiegła; nie będziemy też pytać, kiedy i gdzie zlazł człowiek najpierw z drzew, albo wylazł z jaskiń i jam? jak zdobył władzę nad najważniejszym czynnikiem kultury, nad ogniem? gdzie i kiedy zaczął zdzierać skóry z zwierzęcia dla okrycia siebie i t. d., bo już Arjowie w spólnej siedzibie, nie mówiąc o Prasłowianach, wznieśli się znacznie wyżej.

Mieszkał więc Polanin w siodłach, wsiach i grodach; w grodach chwilowo, uchodząc przed napadem wrogim. Siodło było jedno- lub kilkodworcze, wieś wielodworcza, rozrzucona wzdłuż drogi, którą goście (stąd gościniec) rzadcy przecho-

dzili. Nazwisko *siodła* (ruskiego *sela)* utraciliśmy wcześnie; ocalało w nazwach miejscowych, np. *Długosiodło,* w urobieniach *Siedlce, Siedliska,* w czasowniku *siedlić* 'budować' (jeszcze w psałterzach XIV wieku wojują te dwa słowa, zanim obce zwyciężyło), w złożeniu: *przysiódłki* (od XVI wieku przysiółki). Słowo niby to samo, co *siodło* (końskie), z tą różnicą, że w drugim przypadku liczby mnogiej to ma *siodeł,* tamto *siódł* wedle odmiennej budowy. *Siodło,* wyraz to prasłowiański, natomiast *wieś* wyszła ze spólnej rodziny aryjskiej.

Domy były drewniane; ziemianki z coraz wyżej wychylającą się strzechą pustoszały; zarzucono już i pierwotne *chałupy,* plecione, jak nazwa dowodzi, z chróstu, obrzucanego gliną. Słownictwo budowlane było wcale bogate, ścisły dowód bogactwa samych budowli: obok prasłowiańskiego *domu, dworu, chałupy,* istniał *trzem* (jest w dawnej polszczyźnie, ruskie *terem); chrom* (u nas tylko *chromina);* jest i kilka innych nazw, które tu pomijamy; dalej *chlew,* dziś dla nierogacizny, niegdyś dla ludzi. Nie były to proste synonimy, kryły widocznie odmiany pospolitego domu, np. *trzem* miał chyba *piętro* nad *stropem,* na które właziło się po wschodach (drabinie). Ogólniejszy był przedział pionowy; ten ścianą (drewnianą, dlatego nic z niem. *Stein* nie mającą spólnego) wydzielał sień w domu, do której później i przedsionek o dwu słupach przystąpił. Komina nie było; dym wychodził drzwiami i strzechą; drzwi i wrota były nabytkiem spólnej aryjskiej ojczyzny. Budowano z bierwion drzew iglastych, szczególnie z modrzewia; szpary zatykano mchem; co z chróstu było, oblepiano gliną i obrzucano wapnem; w jednem bierwionie wyłupywano okno (oko domu). Ale dom z sienią nie starczyły niebawem rosnącym potrzebom; to nowożeńcom należał się osobny przybytek, to wymagały go zapasy i naczynia czy narzędzia wszelakie, co się w domu i sieni już nie mieściły. Więc przybudowano osobną kleć (zapomnieliśmy o niej; jest z niej słowo: klecić, i zdrobniałe: klatka),

znacznie mniejszą, pod osobną strzechą; gdy pola przybywało, zwożono snopy do brogu, a obok i gumno dla młócki się znalazło. Bydło trzymano w oborze, cielęta niegdyś w domu samym, jak i drób; stajnia (stanie) na konie należała do największych rzadkości, miewał ją książę; gołębińce były wczesnym nabytkiem. Dom ogrzewał ogień, niecony na stosie, ułożonym z kamieni, śród domu, jako jego ośrodek; gotowano przystawiając na ognisku garnki do wolnie płonącego ognia, albo pieczono mięso na rożnie; później umieszczano ognisko w piecu lepionym z kamieni i gliny, przysuniętym do jednej z ścian.[1]

Wobec obfitości nazw zastanawia, że pożyczono od Niemców dwa ważne wyrazy, chociaż Niemcy sami pierwotnie pieca wcale nie znali. Germanowie utrzymywali wolno płonący ogień na ognisku, który dom-halę ogrzewał i oświecał; gotowali w kotłach, wiszących nad ogniskiem u haka; pieców nauczyli się dopiero od Rzymian, gdy Prasłowianie, jak nazwa dowodzi, sami (? czy nie od południa?) na ten walny postęp się zdobyli, co zarazem osobnego oświecenia domu łuczywem wymagało. Te dwa obce wyrazy, to *chyża* i *izba*. *Chyża* (z rozmaitemi odmiankami, jako u późniejszej pożyczki: *chycza, chysza, chyż* i t. d.) jakiegoś nowego typu mieszkalnego, ile wiemy, wcale nie wnosiła, chyba że była drobnych rozmiarów; *izba* natomiast, pierwotnie *istba,* była najpierw tylko łazienką z piecem kamiennym, gdzie na tę rozpaloną kamionkę lano wodę dla pary. Wobec

[1] Piec, sądząc z pieców piekarskich w starożytności, był pierwotnie sklepiony; zczasem dopiero ustąpiło sklepienie wypukłe równej, ugładzonej powierzchni. Warto zaznaczyć, że w językach słowiańskich, nie w naszym, piec i jaskinię znaczy, *Peszt* chyba od jaskini, nie od pieca (mimo niemieckiego tłumaczenia *Ofen,* a forma to bułgarska zresztą), a tak samo słynna staroserbska *Peć,* siedziba patrjarchy, nazwane; znaczenie jaskini późniejsze, ona wzorowała się na piecu, nie odwrotnie, skoro *piekę* podstawowe. Pieczary i grzyby-pieczarki sprawiają jednak z swem *cz* miasto oczekiwanego *c* trudność, mają być pożyczką ruską *(pečera),* z czem się ich *-ara* niekoniecznie zgadza.

tego, że «izbę» Słowianie od Germanów przejęli, a niby tylko dla pieca własną nazwę dorobili, pomawiano ich o to, że i sam piec od Niemców dostali, ale rodzimość słowa poręcza i rodzimość rzeczy samej. Z pierwotnej łazienki przeszła *izba* u Słowian wszelakie odmiany, oznacza albo dom cały, albo główną jego część (jak u nas); pierwotna łaźnia słowiańska była, jak nazwa dowodzi, jamą w ziemi, do której się schodziło, łaziło; to, co Abraham Jakubowic (zob. niżej) opisuje r. 973, było już izbą, nie łaźnią, u innych Słowian *banią* zwaną. Jeśli zapytamy, dlaczego Słowianie-Polanie termin *chyży* przejęli, skoro nic nowego nie oznaczał, to możemy się *chatą* zastawić, którą Ruś (a za nią i my) z języków irańskich przez pośrednictwo fińskie *(kota, chot* i in.) równie niepotrzebnie jak *chyżę* nabyła; u Słowian była stała moda na wszelkie pożyczki od niepamiętnych czasów; pierwszy panslawista (Chorwat Križanić) *cudzobiesiem* to słusznie napiętnował.

W izbie-łaźni zachodnio-słowiańskiej (jeśli nie już w prasłowiańskiej) kupa kamieni ogrzewanych dla pary zwała się *kamnami;* nazwa ta przetrwała u Czechów i Załabian *(kamna,* liczba mnoga, 'piec'; u nas *kamionka,* w przysłowiu o pijaku, *leje jak na kamionkę),* ale przeszła z łaźni do mieszkania; wyraz to rodzimy; jak najmylniej wywodzą go z greckiego (!) czy niemieckiego; nowy to dowód, jak należy być ostrożnym przy wywodach, opierających się o wyjątkowe pożyczki, bo język bywa wprost nieobliczalny; niespodzianek nigdy nie brak. Oto dom niemiecki był zupełnie od słowiańskiego niezawisły, przeciwnie, wpływał nań silnie i długo, a mimoto przejęli Niemcy we wczesnem średniowieczu od najniepokaźniejszych, bo nadłabskich Słowian, ich *dwornicę* jako *turnitz, durnitze* i t. d. (dziś tylko narzeczowe). Nie przykładać więc nadzwyczajnej wagi do pożyczki *chyży* i *istby;* one same, zdaje się, nie wniosły nic nowego do domu słowiańskiego; warto zaznaczyć, że jak u Słowian izba z pierwotnej łazienki przeszła wszędzie na przybytek

mieszkalny, ba, nawet na całe domostwo, tak samo u Niemców *Stube* wyawansowało na takiż przybytek. Pożyczek w tej dziedzinie co niemiara, nawet z rumuńskiego, np. *koliba*, dla szałasów pasterskich, albo *burdej, burdel*, dla ziemianek (u Hucułów i dla chaty).

Rozwój domu pierwotny wypadałby tak: już Arjowie stawiali nad ziemią domy z drzwiami i dwór je otaczał, nie same namioty koczownicze, tem mniej jamy-ziemianki. Nie zbogaciła tego nabytku epoka następna, litwo-słowiańska, chyba że w domie dotąd jednolitym, niedzielnym, przeciągnęła ścianę i stworzyła dom dwudzielny, bo sień wyróżniła, co strzegła lepiej domu przed zamiecią; w domie samym płonęło ognisko, niegdyś w jamie, później nad nią ułożone, z kamieni i gliny. W epoce prasłowiańskiej zastąpił piec ognisko, bo trzymał lepiej ciepło, a uchylał niebezpieczeństwo pożaru; stawiany z kamieni, drzewa i gliny, z otworem dla przyrządzania ognia, przetrwał on do dziś u ludu. Gotom Słowianin nic nie zawdzięczał; nabytki od nich należą do innych dziedzin, nie do domowej.[1]

Z nabytkiem pieców, których Litwa jeszcze nie znała, rozeszli się Słowianie; na Bałkanie piec w samym przybytku znowu utracili, zadowalając się, jak starożytność klasyczna i inni tubylcy bałkańscy, samem ogniskiem, stawiając chyba obok domu piekarnię. Takim dwójdzielnym (mieszkanie z piecem i sień chłodna) pozostał dom pogański do X wieku, przybrał jednak od Niemców owe dwie nowe nazwy, chyży i izby. Słownictwo całe można tak podzielić: *chyża i kucza* (serbskie *kuća*,

[1] Niema ani jednej podobnej pożyczki i już dlatego przeczę, jakoby *chlew* był pożyczką z gockiego *hlaiw* 'grób'; znaczenie odpowiadałoby nieźle, bo pierwotne groby, w których zmarły miał nadal spoczywać, naśladowały zupełnie domy mieszkalne (stąd owe «urny w kształcie domów», *Hausurnen*, znane z wykopalisk); *chlewina*, wyraz częsty w dawnych tekstach cerkiewnych, znaczy tylko mieszkanie, przybytek, dom, przenigdy chlew,

cerkiewne *kąšta,* od *kąta* nazwane; nasz wyraz silnie ruszczyzną trąci) służyły domkom małym, bez pieca, pierwotnym; dom większy miewał nietylko piec, ale niebawem i powałę (strop), wzniesioną nad piecem, nie sięgającą pierwotnie przez całą izbę, z *las* niby rosztu drewnianego utworzoną, na której suszono wszelakie rzeczy. Jeszcze później wywiedziono całe *piętro* (i to wyraz prasłowiański) i taki dom piętrowy nazywano *trzemem,* lub *chromem* (?). *Kleć* stawała zawsze osobno, pod własną strzechą. Wykopywano i jamę, piwnicę (wyraz prasłowiański), na przechowywanie miodu, piwa, innych rzeczy. Słownictwo jednak było chwiejne, *chromy z chrominą, chlew z chlewiną,* coby specjalnie znaczyły, trudno odgadnąć *(chlew* pierwotnie nie dla nierogacizny służył); inne przybudowy, dla bydła, dla zboża, nosiły odrębne nazwy. Między nie należy chyba i *gospoda,* t. j. osobny dom dla gości, jaki zamożny gospodzin im stawiał, aby móc ich godnie przyjmować; od gospody urobiono nową jeszcze nazwę, gospodarza; gdzie indziej nazywano gospodę gościńcem. Natomiast *kąciny* pomorskie, specjalnie szczecińskie, niby klubyświątynie, dla celów świeckich (zebrań towarzyskich) i kultowych, wielkie i zdobne, były nam obce.

Zabudowania, dom, kleć, piwnica stały w dworze, otoczonym płotem z kołów czy żerdzi, przeplatanym gałęziami-prętami, nazywanym też grodzią; w domie samym zaopatrywano drzwi (z całym szeregiem odwiecznych terminów) w zamki i klucze, drzewiane czy żelazne (te z Rzymu przybyły); tylko skrzyń nie zamykali Pomorzanie na zamki, nie bojąc się kradzieży, domy jednak i oni zapierali. Próg był obok dawnego ogniska (a później pieca) największą świętością domu; pod nim przesiadywał jego duch opiekuńczy (od przodków); kto go przestąpił a ogniska-pieca się dotknął, bywał życia swego pewien, bo przez ten gest polecał się owym duchom w opiekę; w słynnej gościnności słowiańskiej i ten wzgląd ważył. Gdy piec, przylegający do ściany, zwykle przy drzwiach, aby dym łacniej od-

chodził, zajął miejsce pierwotnego ogniska, nie mogła go już młoda mężatka obchodzić, nie obnoszono około niego nowonarodzonego dziecka, więc albo dotykano się pieca, albo wolny stół zajął jego miejsce; przez to okrążanie albo dotykanie wchodzono w żywą łączność z duchem domu opiekuńczym. Starego piecyska nie rozwalano, taka je cześć otaczała; do nowego siedliska przenoszono coś ze starego; miejsca raz zabudowanego nie należało całkiem pustem zostawiać, aby się samemu dobrze wiodło.

W przybytku mieszkalnym, który wkońcu nazwę izby przyjął, było ciemno i dymno; okna zakrywano płatkiem, skórką cienką, na noc deską; dym wychodził i drzwiami i otworami w stropie i strzesze (zawsze słomianej); w piętrowym domie górna izba stawała się «świetlicą», bywał z niej i występ, oparty o dwa słupy przedsionka. Słupy wznoszono też przed grodem (w celach warownych, strażniczych ?) i stąd częstość nazw miejscowych jak Słupia, Stolpe u Niemców.

W izbie było sprzętów jak najmniej. Około ściany biegła ława, niegdyś, w ziemiance, wykopana z ściany, po wiekach samoistna, drewniana; przed ławą stał stół jak najprostszy, deska (stolnica) niegdyś na ziemi, później na rosochach; w kącie skrzynia na płaty i odziew; bywało i krzesło, t. j. byle pniak ociosany. W izbie i kleci były wszelakie naczynia drewniane: cebry, dzbany (oba terminy prasłowiańskie; dzbany też gliniane), misy i bluda (pożyczki jeszcze gockie), liczniejsze późniejsze niemieckie, wębory, łagwie, bedna i t. d., któreśmy wyżej wyliczyli; własne spądy, dzieże (dla chleba — jeden z najważniejszych sprzętów, z osobliwszem znaczeniem w obrzędach weselnych); przyrządy do tkania i przędzenia; siekiery, młotki, noże; kosze, krobie i t. d.; wreszcie drugi najważniejszy przyrząd: żarna z wyrobionem dalszem słownictwem, które pomijamy; niecki.

Pierwotne koczownictwo zdradza się w bogatem słownictwie dla namiotów, łatwo rozbijanych, składanych ponownie

i uwożonych; miały wygląd stożkowy a płachty i skóry rozwieszano około ich drągów; były co najmniej trzy dla nich nazwy: *wieża* (od wiezienia nazwana; Ruś mówi zawsze o wieżach Połowców i innych koczowników, my dla wyglądu słowo na murowane wieże przenieśli); *jata* (dziś jatki, budki), również od ja-zdy nazwana; *stan* ('namiot', ale *namiot* sam pozornie rodzimy, w istocie obcy, ze wschodu), por. *stanowisko,* więc gdy się przystawa.

## GOSPODARSTWO

Chów bydła łączono z uprawą roli już choćby dla gnoju. Osobnych pasterzy później nie bywało, dzieci w różnym wieku używano do pasienia, doglądania bydła, począwszy od drobiu a skończywszy na koniach, ale to rzecz nowsza, pierwotnie pasterzy chowano osobnych. Stosunkowo najwięcej bywało nierogacizny; bywały liczne stada końskie, na pół dzikie, *świerzepe;* byki kleszczono, konie walono (konował); do orki używano niemal wyłącznie wołów, krów rzadko. Gospodarstwo nabiałowe spoczywało na kobiecie; wyroby jego spożywano wyłącznie w domu. Konie służyły do jazdy, rzadziej do pociągu; wędzidła, siodła, podkowy, ostrogi były nabytkiem wczesnym; do nich przybyły później strzemiona, które Słowianie jak i Germanie przejęli od narodów koczowniczych.

Orano na gruntach piasczystych radłem, najprymitywniejszem narzędziem, na ciężkich pługiem, którego całe bogate słownictwo wyłącznie rodzime, pominąwszy samą pługa nazwę. Siew był podwójny, na oziminę i na jarzynę; wysiewano proso (ber, pszono), pszenicę, żyto, najwięcej owsa a najmniej jęczmienia; hreczki jeszcze nie było. Dojrzewające kłosy zrywano na prażmo; dojrzałe sprzątano sierpem, kosą sieczono trawę; snopy zwożono na gumno i młócono cepami; ziarno chowano w sąsieku w stodole; mełły kobiety na żarnach, mąki używając na

podpłomyki, placki i chleby. Ogrodowizny (groch, bób, rzepy) okopywały kobiety; one utrzymywały i pierwsze ogródki dla ziela leczniczego i dla kwiatów do wianków. Bartnictwo kwitło w najlepsze, szczególnie w olbrzymich puszczach mazowieckich i małopolskich, znano już jednak i ule przy domostwach; gospodarka nie była rabunkowa, dbano o dobre przezimowanie pszczół.

Niepoślednią rolę odgrywało łowiectwo i rybactwo; łowiono psami i sokołami, obfite słownictwo dowodzi wyrobienia wszelakich odmian; wielki zwierz (tur, ząbrz-żubr, jeleń, niedźwiedź) należał już może do księcia, a smardom nakładano obowiązki sokolnicze (czuwania nad gniazdami sokolemi), albo stawania do nagonki (przełaje). Łowienie w najrozmaitszych «paściach» i sieciach było odwiecznem; z łuków ubijano ptactwo; na nie stawiano też najwymyślniejsze sidła-przyrządy; z oszczepem szło się na niedźwiedzie; łowiono je jak i wilki w dołach, pokrytych zlekka ziemią. Dla obfitości wód popłacało rybactwo; najrozmaitsze rodzaje sieci, więcierzy i t. p., rzadziej wędek, zastawiano w wodach, albo łowiono hakiem ryby nocą przy świetle łuczywa, do którego się ryby garnęły; nad rzekami łowiono bobry dla kosztownego futra.

Gospodarka rolna była ekstensywna, nie intensywna, chociaż już nawożono pola; rozszerzano uprawną ziemię przez wypalanie lasów (poprażnicy się tem trudnili), popiół użyźniał ziemię na lat parę, poczem dalsza «trzebież» nowej ziemi ornej dostarczała; gdy wyjałowiała, puszczano ją odłogiem, bo ziemi było poddostatkiem, a wracano po latach. Gospodarstwo było nadzwyczaj złożone, ponieważ każde starało się wystarczyć samem sobą wszelkim potrzebom, od budowy domu do sporządzania pokarmu i odzieży, ale już następowało zróżnicowanie pierwsze. Kuźnia z kowalem dała przykład; kowal był już niemal wyłącznie rzemieślnikiem; za nim poszedł karczmarz, szynkujący miodem i piwem; za nimi wszelacy rękodzielnicy i rze-

mieślnicy, którzy bynajmniej nie porzucali roli; obok smardów-ratajów stawali pierwsi spądownicy (łagiewnicy), zduny, bednarze i in.; z każdym wiekiem przybywało ich coraz więcej; zbytnio się jeszcze nie odosobniali; łączyli się w dziesiątki i setki, na które się wszelakie, «pstre», dziesiątki składały. Był dostatek wielki świni i owiec; rasa bydła nie była osobliwsza, drobna, chuda, i konie nie były szczególne, choć liczne.

## PRZYRODA

W otaczającej przyrodzie rozglądał się Polanin bardzo dokładnie. Już w prabycie słowiańskim można zauważyć znaczny postęp wobec epoki litwo-słowiańskiej; mnożą się spólne, prasłowiańskie nazwy dla fauny i flory; teraz rataj, pasterz, myśliwy, baby-wieszczki nazywały zioła i krzewy, drzewa i grzyby, ptactwo i owady, coraz nowemi nazwami, tworząc liczne synonimy; nieraz każda okolica szczyciła się własnemi. Widnieje to z późnego spisu kilkuset roślin i zwierząt, jaki kanonik krakowski Stanko r. 1472 sporządził, gdzie nieraz dla jednego okazu nazw kilkanaście; wiele między niemi późnych, np. od dni świąt i świętych, kiedyto ptactwo przylatuje (Irzyk i in.), albo zioła kwitną (Mikołajki i in.); wiele czeskich, ale główny zrąb do pogaństwa jeszcze należy, sądząc wedle starożytnych cech językowych.

Nazwy wszelkich drzew są prasłowiańskie, odmienne od litewskich, np. dąb, grab, klon albo jawor, sosna, cis (dawno wyniszczony; drzewo szło na łuki, liście na truciznę), modrzew (również jako budulec wyniszczony), świerk i in., nie brak jednak i dawnych pożyczek, np. topola z łaciny. U owocowych śliwa się wyróżnia. Z roślin wymieniamy dalej bluszcz, ślaz, bez, pokrzywę, głóg, trzemchę, czosnek (ważny środek przeciw sile nieczystej); z ogólnych nazw zbiorowe jagoda, krzak (kierz, zakrzewie) wraz z korzeniem, tak ważnym, że urobione z tego

dawne *korenije* 'czarowanie', a *korenitec* czarodzieja oznacza. Nazw jakich, coby na mitologję wskazywały, niema, i *perunika* bałkańska nią nie jest, bo Peruna na Bałkanie nie czczono. Ciekawsze byłyby nazwy ziół miłośniczych i czarodziejskich; taką zdaje się *odolan* 'valeriana' (chyba nie tłumaczenie z łaciny, wedle *valere?);* ale *ruta, lubczyk, barwinek,* które i w rytuale weselnym wiele znaczą, są późnego, łacińskiego początku; *lubczyk* z *levisticum* u nas jak u Niemców tylko przez mylną etymologję ludową (niby od *luby)* tego zaszczytu dostąpił; *nietota* i *toje* albo *tojeść (jeść* tyle co *jest,* dawna forma), samą nazwą *(nie to ta, to jest)* czarowania dowodzą. Miłosną rośliną jest *nasięźrza(ł), przywrót* (też *dziewięciornik, wyrwitaniec),* co miłość przywraca i in.; ale miano i skuteczniejsze środki, dziewczyna połowę jabłka pod pachą nosiła, a jeśli chłopcu ją podsunęła, pewnie do niej miłością zapłonął, też jeśli wodę wypił, którą się omyła i t. p.

Uderza nadzwyczajne bogactwo nazw ptaszych, jakby w świecie ptaszym rozmiłował się Słowianin: drapieżne, jastrząb, sokół, krzeczot (nie mówiąc o orłach i sępach) aż do krogulca, kani, kobców i pustołki, widocznie kwitło sokolnictwo; kruki z całym swym orszakiem (gawronem, kawką i t. d.), ważnym dla kobi (wróżby ze spotkania); żóraw miał (jak orzeł) nazwę aryjską (podobnie cietrzew), ale czaplę, bociana (ptaka dobrej wróżby), kuliki, czajki, bąki (wodne) Słowianie dopiero nazwali spólnie. Dla kukułki (odgrywającej w przesądach rolę) i jaskółki (również dobrej wróżby) było nawet nazw kilka; chróściel, szpak, żołna, soj(k)a, wilga, słowik, remiz, zięby, sikory, dzięcioły, czyże, szczygły, trznadl, lelek i in., wszystkie już Słowianin ponazywał; gołąb i łabędź chyba nowe dostały nazwy, bo naród lubi odmiany, dawne zapomina (np. u nas dla kaczki — ąty), a nowe tworzy.

Nawet owady i płazy je podostawały; osa zatrzymała pierwotną, p(sz)czoła ma nową; chrząszcz, gąsienica; żaba (ropu-

cha tylko na naszem terytorjum), żmija (ziemna; wąż, wodny), rak. Ryby były za czasów aryjskiej i litwo-słowiańskiej spólnoty bardzo upośledzone, nie było nawet nazwy dla ryb ogólnej, każdy naród je sobie później sam tworzył. Teraz ponazywał Słowianin sam *pstrąga, szczukę* (szczupaka), *lina, lipienia, leszcza, piskorza, kiełbia, płocicę, śliża, ikrę* i *płetwy;* niektóre nazwy powtarzają się i u innych narodów, nie umiemy też dotąd określić ich właściwej kolebki, np. *karpia* i *łososia.* Ślimaka niema na południu słowiańskiem.

Z czworonożnych wytępiono *tura* (praojca naszego bydła; ostatnią turzycę zabił ostatni Piast na Śląsku r. 1627), *ząbrza* (którego dziś zowiemy żubrem) i *bobra* (który najdłużej jeszcze na Polesiu wytrwał; imię jego i tura aryjskie); słowiańskie są nazwy: *lis, zając, jaźwiec, nietoperz, kuna, łasica* (zwierzątko niegdyś domowe, nim je kot zastąpił), — ale *mysz, wydra, jeż, jeleń, sarna,* może i *łoś,* wyprzedziły epokę słowiańską; *wiewiórkę* spólnie z Litwą nazwano. U dzikich zwierząt nie odróżniano płci ani wieku, zato tem ściślej u domowych, co nie dziw przy olbrzymiem niegdyś znaczeniu pasterstwa (jeszcze mnich Cysters, Niemiec, na początku XIV wieku twierdził, że «lud polski tylko bydło pasał»). Oznacza więc już prasłowiańskie słownictwo (a względnie i aryjskie) wszelkie osobniki *(krowa, cielę* i t. d.; *prosię, wieprz; jagnię, owca, baran; skop* nawet do Niemców od nas przeszedł, *Schöps, cap, koźlę).* Najmylniej odsądzano szereg tych nazw *(wół, byk, koza)* Słowianom, którzy mieli je przejąć z turko-tatarskiego wschodu; ciekawe jednak, że istotnie tu dziwnie mało zgody z litewszczyzną *(koń, kobyła* i in.; na Litwie nazwy całkiem odmienne, nieraz starsze, aryjskie); ale nie bywali Polanie jaroszami, jak dziś z musu bywają; o konojadach i glinojadach już wspominaliśmy.

## POŻYWIENIE

Wobec mnóstwa dziczyzny po niezmierzonych lasach a ryb w niezliczonych rzekach-jeziorach i wobec niewybredności dawnego człowieka, który wszelkie mięso (nieczyste w oczach chrześcijańskich) spożywał (lisów i t. d.; ptactwa wszelkiego), nie brakło nigdy mięsa, nie licząc stad bydła i nierogacizny; z ptactwa domowego szczególniej kury spożywano; czarne miały wręcz obrzędowe znaczenie, przy weselach i stypach, przy zakładaniu chaty; raczono się i jajami. Obfity był i pokarm roślinny; uprawiano już wszelkie zboża (dowodzą tego znowu nazwy prasłowiańskie *jęczmienia, żyta-rży, prosa, owsa, pszenicy),* najwięcej stosunkowo prosa *(ber, pszono)* na *jagły* i *kaszę;* kasza była obrzędową potrawą przy narodzinach; ofiarowano ją rodzanicom-fejom. W dorocznych uroczystościach mięso obiat, spożywane przez obiatujących, którzy bożkom wpierw tłuszczu i krwi udzielali, z bydła domowego, rozpoczynało ucztę-*pir* (a od tej uczty nazywano *pirogiem* obrzędowe ciasto — ale czy wedle dzisiejszego kształtu?); oprócz obiat wymagały wesela obfitego stołu.

W codziennem życiu odbywało się wszystko skromniej i mięso ustępowało może chlebom i polewkom ze zboża, z owsa głównie, ale była i polewka mięsna, *jucha* (ze krwi raczej); pieczono i *prażono* — nieźrałe ziarna. Ubijano ziarna w stępie, jeśli ich nie mielono w żarnach; mąka nadawała się prócz chleba do wszelakich ciast, które znowu w obrzędach występowały, np. kołacze-korowaje przy weselach. Od podpłomyków, t. j. placków pieczonych na ognisku w gorącym popiele, przeszło się (czy za wzorem obcym?) do pieczenia chleba: ciasto rozrobione w dzieży, zaczynione kwasem (rodzima nazwa dowodzi chyba rodzimego początku, a tu należą i prasłowiańskie *drożdże),* dla obrzędów w osobliwszych kształtach wypiekane.

Obok zboża (ziarn i mąki) dostarczały jarzyny, warzone

i surowe, odmiany w potrawach; bób, groch, soczewica należą do stołu prasłowiańskiego, toż i rzepa, gdy marchew, rzodkiew, łuk są pożyczkami niemieckiemi; ogórki natomiast przyszły ze wschodu (Grecji) i dopiero od nas Niemców doszły, ale mak pewnie prasłowiański. O dyni i tykwie nie możemy tego z równą pewnością twierdzić; na nich to niegdyś wzorowały się pierwsze naczynia, bo po wysuszeniu za takie uchodziły; żołądź i bukiew tylko w czasach głodowych za pokarm służyły; wtedy i do mąki chlebowej dodawano plew, otrębów, zmielonej kory drzewnej, lebiody; na polewkę siekano barszcz, który po wiekach z rośliny na nazwę polewki samej zszedł. Z grzybów rozróżniano wcześnie jadalne od jadowitych, któremi mężów nienawistnych żony raczyły; bdłami (nazwa miejscowa Bedlno) raczej gardzono.

Przy uczcie napoje więcej niż pokarmy ceniono i nie z przypadku prasłowiańska jej nazwa, *pir,* od picia się wywodzi; do piru należało *pi-wo,* t. j. napój, niegdyś termin ogólny, z czasem do wyrobu z słodu zbożowego ograniczony; wcześnie nauczono się (nie od Finów) chmielenia piwa i miodów. My nie rozróżniamy, jak to w innych językach, litewskim czy niemieckim, bywa, wyrobu pszczelnego od napoju zeń sporządzanego; podbieramy miód pszczołom i pijemy (albo raczej pijaliśmy) miody, główny artykuł pierwotnych karczem (ich nazwę Niemcy przejęli od nas, *Kretscham, Kretschmer);* miodu i do obiat używano. Warzono miód z wodą, co w kilkanaście dni zakisało; miód i wosk były jednym z najważniejszych artykułów wywozowych; zastępowały zaś miody miejsce wina, które, jak i owoce wszelakie, z Bałkanu do Słowian się dostawało, ale z miodami zawodniczyć nie mogło. Uboższy zadowalał się piwem (chmielonem); czy i kwasów używano, jak na Rusi, nie wiemy. Pito z rogów tura czy byka, a niegdyś i z czaszki zabitego wroga, sadzonych drogiemi kamieniami, złotem i srebrem, ale czerń zadowalała się byle glinianem naczyniem, wyjątkowo szklannym

puharem. Pito do upadłego i nieprzyjaciel nieraz z tego korzystał; przy krążeniu puhara przypijano, zdrowia sobie życzono; Germanowie jednak w piciu prym dzierżyli i normańczyk Włodzimierz za Ruś ręczył, że bez picia obstać nie może. Na wiosnę pito i oskołę brzozową. O kumysie (mleku kobylem) u nas głucho; chyba obrzędowy to napój.

Używanie łyżek i nożów było ogólne, każdy je za pasem nosił, ale do juch i polewek używano i skórki chlebowej, gdy się miękisz wyjadło; do mis palcami sięgano. Stoły były pierwotnie tak niskie, że siadano i na ziemi na kożuchach; z czasem się wznosiły i siadano do nich na ławach i krzesłach. Czy mężczyźni jedli osobno, bez kobiet, co gdzie indziej przestrzegano («kobieta nie człowiek» głosiło przysłowie), nie powiemy; że siadano wedle czci i wieku, rozumie się; może książę sam jeden wyżej siadał, ale to dotyczy tylko wielkich uczt publicznych; w domu nie było o tem mowy. Ławy, stoły, łoża zaścielali bogatsi drogiemi kobiercami wschodniemi; łoże zaścielano pierwotnie na ziemi, na słomie; później je i z deszczek zbijano i poduszkami i prześcieradłami opatrywano; duchny — poduszki, były to poszwy, wypychane zielskiem, sianem (sienniki), słomą, później pierzem, gdy gęsi obficiej hodowano; pierwotną pościelą były skóry.

## ODZIEŻ

Wiadomości o odzieży są wcale chwiejne, nie co do materji, ale co do innych szczegółów; dzisiejszej odzieży ludowej, choćby w zapadłych, np. górskich okolicach, nie można wprost utożsamiać z pierwotną, która mianowicie przy końcu całej epoki wcale już jednolitą nie bywała, bo różniła się odzież książęca od chłopskiej znacznie. O książęcej, jako wyjątkowej, doborowej, obcej, tu nie mówimy, zaznaczyć należy tylko, że mody i modnisiostwo nastawały już w IX i X wieku, a ton nadawała,

jak po wiekach Francja, tak wtedy Grecja. U nas utrudnia rzecz słownictwo; może w żadnej innej dziedzinie nie było równego zalewu cudzoziemszczyzny, niemieckiej i łacińskiej, a raczej romańskiej, włoskiej i węgierskiej, i równego zapomnienia nazw pierwotnych już od XV wieku. Przecież nie posiadamy dziś nazwy własnej dla *koszuli (gzło* zapomnieliśmy, *ciasnocha,* tylko dla kobiecej koszuli, nowotwór; *odziemek* i *padoł,* tylko dla części jej), a inne albo tak ogólnikowe, albo późne, że nic z niemi nie poczniesz, np. *rucho, suknia, spodnie, spodnica; szata,* niegdyś *szat,* jak w czeskiem, coś specjalnego znaczyła. Zastąpiliśmy nawet pierwotny wyraz *odzienie, odziew, odziedza, ubiorem,* co właściwie tylko sprzątanie znaczy.

Najpierwszej odzieży dostarczały skóry — *koże* zwierząt dzikich i domowych (baranów); my i nazwę koży utraciliśmy, ocalała jeszcze w *kożuchu;* dostarczały jej nietylko rysie, niedźwiedzie, wilki, ale i lisy, bobry i kuny (nazwa obejmowała łasice, wiewiórki, żbiki i rzadkie gronostaje); ich *łupieży* zszywał *szwiec-krawiec,* a na szczęście dla ptactwa (bo niszczyły one jaja i pisklęta) spotrzebowywano ich masami; skóry zwierząt domowych zużywał szwiec i na trzewiki (płytsze i mniejsze; większe *skórniami* zwano wraz z ich *cholewami).*

Ze lnu i konopi przędzono i tkano płótna i *party,* a z wełny *sukno;* umiano już zbijać je w piłść; rozróżniano już cieńszą i grubszą tkań, ale wschód dostarczał drogich materyj, z któremi krajowe równać się nie mogły; nazwy dla nich u nas wszystkie obce, od Czech (jedwab) i od wschodu; *swiły* wprawdzie nie znamy, ale przynajmniej *pawłoka* dla jedwabiu do końca XV wieku istniała; sama nazwa dowodzi, na co ją zużywano. Na wiosnę darto i łyko z drzew, szczególniej z lipy, na pasy, na łyczaki-kurpie (albo *kierpce)* i inne chodaki, łapcie np.; łykiem obwiązywano i nogi po kolana. Z płótna i sukna szyto *rucha,* t. j. szaty, i ręby, to samo, co tylko w *ruszce,* zasłonie, i w *rąbku,* toż samo, ocalały; inni Słowianie koszulę *rubachą,*

*rubaszem* nazywają. Najważniejszą częścią ubioru męskiego były *gacie*, do bioder sięgające, co kolana i biodra *gacily* (stąd ich nazwa); Słowianin szedł do boju pół nagi, w samych tych spodniach; własny to jego wymysł, obcy światu klasycznemu; nogawice sięgały niżej, do kostek; była to może nieraz tylko plecionka z łyka. Krótsze, zato nadzwyczaj szerokie, bufiaste, były *szarawary*, które przyszły ze wschodu, *sarawara* wymienia u Scytów autor grecki z kilku wieków przed Chr., chociaż może to znacznie późniejsza pożyczka. Oprócz gaci, nogawic, szarawarów (?), wdziewał Polanin *suknię*-tunikę, krótszą lub dłuższą, tak typową dla Słowianina, że i zachód niemiecki i francuski rzecz i nazwę przejął; inna jej nazwa, *świta*. Dostatniejszy narzucał na to płaszcz albo *czechel (czechło* u Mazurów w XV w.), bez rękawów, zapinany nad prawem ramieniem. Nogi do trzewików czy skórzni uwijał Polanin w *onuce* (prasłowiański to termin, od *-uć*, 'obuwać'). Głowę pokrywała *czapa*, w wysokiej, szpiczastej formie, *kłobukiem* (ze wschodu) nazywana; pleciono inne ze słomy. Brodę golił Polanin brzytwą (od *bri-ti*, 'rznąć'); wąsy nosił sumiaste, a włosy spadały na ramiona, przynajmniej u ludzi swobodnych; ale moda nie była pod tym względem jednolita. Suknię-świtę, rękawy i kołnierze, czapki-kłobuki obrębiano, obszywano kunami i bobrem. Pasy z łyka lub materji, ze sprzączkami metalowemi, dopełniały ubioru, do którego należał i *płaszcz* (od płaskości przezwany) i *riza* (czeskie *rziza* o sukni, cassula, kapłańskiej; u nas już zapomniane; wyraz to prasłowiański, od rzezania przezwany, jak inne okazy ubioru). Pierwotny ubiór składał się z jednej sztuki płótna czy sukna, z otworami dla przesuwania głowy i ramion (nie rozcięty jak nasza, bo guzików i t. d. nie znano), ściągano ją pasem, zawiązywanym w węzełek: sprzączki później nastały.

Strój niewieści był nader prosty; *rubaszka* (koszula) na całe ciało, przepasana rzemieniem, wystarczała jej przy pracy, szczególniej latem; na to zarzucała suknię, a w zimie i kożuch,

jednakie dla obu płci; zamężna nosiła zawicie, dziewczyna rozpuszczała włosy albo plotła je w kosy pod czółkiem lub wiankiem, jeśli nie chodziła *prostowłosa,* z gołą głową. Rękawy sukni bywały nierównie szersze niż u męskiej. Kolor całego odzienia był jednostajny, szary, bo płótno i sukno nie długo wystawiano na słońce; wskutek prania (kijankami na rzece lub stawie) i suszenia na słońcu barwa bielała; urozmaicano ją wyszywaniem pstrem wszelkich wzorów, przeważnie geometrycznych, rzadziej roślinnych.

Odzienie, szczególniej niewieście, zdobiono. Noszono na palcach pierścienie, przeważnie srebrne; na ramionach srebrne obręcze, *bugi;* na szyi naszyjniki — *grzywny,* z pereł szklanych, z muszelek, z monet nanizanych, z drogiego kruszcu, dęte lub masywne; wysadzano się na drogie zaponki (spinki) i sprzączki, szczególniej u pasa, u którego zatykano i zawieszano woreczki i schowki dla noża i łyżki, dla krzesiwa, dla grzebienia; pasy, ile z wykopalisk sądzić wolno, nie były pierwotnie tak szerokie jak później. Najbardziej charakterystyczną ozdobą kobiet słowiańskich od VII niemal do XII wieku były kabłączki skroniowe albo zausznice (chociaż się nie za uchem, lecz przed uchem nosiły), wplatane do włosów same lub na jakiejś podkładce kilka razem, z drutu lub masywne, srebrne i bronzowe, u jednego końca rozgięte w rodzaju litery *s,* dlatego *esowemi* nazywane. Niema niemal grobu słowiańskiego bez takiego kabłączka, leżącego u skroni, i po nim właśnie poznać, że to grób słowiański, bo u innych narodów z niemi się nie spotykamy; początku ich szukano mimoto w rzymskich pracowniach prowincjalnych; szerzyły się z południa, przynajmniej owe esowe, których najwięcej u Słowian zachodnich, gdy na wschodzie powoli giną. Obok zausznic występują kólczyki, noszone u ucha albo również wplatane w włosy, albo zwisające u diademu, noszonego na głowie; nakoniec wszelakie inne wisiorki; złoto w nich należy do największych rzadkości — nie było go

widocznie w kraju, bronz i srebro je zastępują, bronz często posrebrzany lub pozłacany. Do przyborów tualetowych należały grzebienie, z kości dla czesania, z bronzu dla wtykania we włosy, pojedyncze lub podwójne, gdzie średnią część rozmaicie zdobiono; dalej nożyce, jakiemi dziś jeszcze owce strzygą, a później i takie, jakich my używamy; o brzytwie była już mowa. Do mycia używano mydła, ale chyba ze skrzypu; zamiast wody używano tłuszczu i masła (od mazania nazwanego). Niewiastom były już znane tajemnice kosmetyki, używały liczydła i bielidła, a dla wzbudzenia albo wznowienia miłości nadawały się im najrozmaitsze środki roślinne (zasięźrały i in.), t. j. wywary z nich; raczyły też owocem czy kołaczykiem, które pod pachą nosiły, albo wodą, którą się obmyły i t. p.

Parzono się w łaźni przez rok cały, szczególniej zimą, bo latem używano kąpieli; Słowianin bywał i amfibją, chociaż sprawozdanie greckie o tem, jakoby godzinami wytrzymywał pod wodą z trzciną w ustach, straszną przesadą trąci; w budowaniu mostów i czółen Słowianin był mistrzem i nim wyręczali się koczownicy nad Dunajem i pod Carogrodem; lecz nasze słownictwo ubogie (mnóstwo pożyczek, od masztu i żagla począwszy; okręt, późne); zdobyliśmy się tylko na łódź, czółno i wiosła; z czasem rozróżniano rozmaite łodzie, ale ich nazwy (z wyjątkiem komiegi) obce; najpierwotniejsze było czółno z jednej kłody dębowej, wyciosane czy wypalone.

Wszelkie powyższe szczegóły dotyczyły wyłącznie smardów; książęta i wielmoże żyli nierównie wystawniej. Mieli domy większe, o oknach znaczniejszych, z osobliwszym dymnikiem dla odciągania dymu; hale szerokie (chromy?), liczne kleci, stajnie, obory; jedli i pili ze srebra, gdy się smard drewnianą misą, glinianym dzbanem zadowalał; ich łoża, ławy, stoły pokrywały wschodnie kobierce, gdy smard na słomie legał, a ława i stół drewniany do zbytków się liczyły. Najbardziej odróżniał się książę kosztownym rynsztunkiem i wspaniałem ubraniem,

czego przemysł domowy nie dostarczał, co zdobywał na wyprawach pomorskich albo kupował od handlarzy. Ale to były wyjątki; o ubóstwie materjalnem najszerszych mas świadczy ubóstwo grobów, gdzie prócz pieniążka i kabłączka skroniowego rzadko co więcej znaleźć, świadczy ubóstwo przemysłu domowego.

## HANDEL

Ubóstwo tłumaczy się brakiem impulsów obcych, odcięciem od głównych arteryj handlowych, które Polskę raczej okrążały niż przecinały; Czechy i Węgry, Pomorze i Ruś były nierównie więcej wciągnięte w wymianę międzynarodową. Gdy Świętosław kijowski zamierzał zamiast w Kijowie w bułgarskim Przesławiu nad Dunajem osiadać, zalecał go drużynie: tu schodzi się wszelki dostatek, z Grecji złoto, pawłoki, wina, owoce wszelakie; z Czech i Węgier srebro i konie, z Rusi skóra (futra) i wosk, miód i czeladź (niewolnicy) — o Polsce głucho. Z wszystkich polskich grodów jedyny Kraków zaważył w stosunkach międzynarodowych, bo tu przecinały się drogi z Węgier nad Bałtyk i z zachodu, mianowicie z Pragi, na Kładzko i Wrocław, do Rusi, czy wprost na Przemyśl, czy drogą okrężną na Mazowsze i Wołyń, bo dawny handel najkrótszej drogi nigdy nie szukał, tak np. nordyjscy kupcy drogi Dnieprowej pierwotnie nie znali, Ruś (późniejszą) nad Wołgę okrążali.

Odznaczały się te drogi nadzwyczajną zachowawczością; rzymską wyprzedziły dawniejsze, a powtórzyły późniejsze. Handel pierwotny i rzymski docierał do Bałtyku, poszukując bursztynu na wagę złota niemal, ale że w tym handlu Słowianie nie brali żywszego udziału, dowodzi sam fakt, że w żadnym języku słowiańskim niema dla bursztynu nazwy rodzimej, są litewskie lub niemieckie. O wydatności tego handlu świadczą wykopaliska monet rzymskich, głównie z I i II wieku po Chr., ciągnące się przeważnie nad Odrą, rzadsze na dalszym wscho-

dzie. Rozruchy wędrówki narodów przerwały ten handel; gdy się po ostatecznem uciszeniu wznowił, stracił bursztyn na cenie, zastąpiły go wschodnie kamienie drogie i perły, a Rzym stracił na znaczeniu; wschód miejsce wolne zajął, najpierw Bizancjum, a później, w IX i X wieku, nierównie wydatniej Arabowie. Gdy im mocarstwa chrześcijańskie na zachodzie targi zamykały, opanowali cały wschód i dirhemy arabskie świadczą po wykopaliskach o znaczeniu tego handlu.

Sami Arabowie nie zapuszczali się jednak w głąb Słowiaństwa, dochodzili raczej tylko do brzegów Kaspijskiego i Czarnego Morza; wyręczali ich dalej kupcy nordyjscy, a zwłaszcza Żydzi, którzy mimo prześladowań muzułmańskich i chrześcijańskich już w południowej i środkowej Europie, jedyni (oprócz Kościoła) kapitaliści, silniej się usadowili; oni przedewszystkiem pośredniczyli w handlu niewolnikami; zaopatrywali w ten towar targi w Wenecji, Hiszpanji, Bagdadzie. Monety i ozdóbki arabskie (srebrnego filigranu przeważnie, całe lub połamane, jak je kupiec odważał) giną za Odrą na Zachodzie, a sięgają Wołgi, mało ich w Czechach, tem więcej w Wielkopolsce (około 90 znalezisk; skarb w Obrzycku, powiat szamotulski, zawarł 12 funtów srebra, a półtrzynasta połamanych monet). Przywozili Arabowie i Żydzi drogie tkani i kamienie, korzenie, perfumy, mydła, owoce (figi i t. p.) i wina; zabierali wzamian niewolników (chłopców kleszczyli dla haremów), skóry (lisy «marmurowe», gronostaje, sobole, bobry) i wosk, który za chrześcijaństwa olbrzymio w cenę urósł.

Handel bywał wymienny, bo żadnej monety krajowej jeszcze nie było; brano obcą, którą siebie a głównie kobiety strojono; handlarz je odważał i łamał, czy dla próby srebra czy dla wyrównania ceny. Od połowy X wieku zjawiają się pierwsze monety srebrne (denary) zachodnie, niemieckie i in. i wypierają niebawem arabskie, gdyż sam handel arabski od XI wieku się znacznie zmniejszał, a w XII zupełnie ustał. Dla większego bez-

pieczeństwa szli handlarze karawanami, a okupywali mytem mir na gościńcu; drogi główne przecinały lasy a przechodziły na jazach, czasem ogromnie długich, moczary, kierując się na brody znane (częste w nazwach miejscowych) albo do promów (Kijów od przewoźnika Kija nazwany), których nazwę Niemcy przejęli *(Prahm);* zima ułatwiała znacznie przeprawy, a odstraszała Araba, który Żydom miejsca ustępował. Mimo ubóstwa tego handlu jako w kraju dalekim od morza i od arteryj międzynarodowych, odbywały się już wszelakie targi na podgrodziach, bo już wydzielały się z przemysłu domowego, niegdyś jedynego, rzemiosła różnorodne i wymiana gotowych produktów okazywała się wygodną.

Monety krajowej nie było, obiegały jej pierwotne surogaty, a więc krusze soli, któremi i winy sądowe opłacano; dalej płaty lniane cienkie, które tylko dla owej wymiany sporządzano (stąd wyraz *płacić*); dalej srebrne *bugi* (na ramiona), a *grzywny* (na szyję); nazwa grzywny przeszła wkońcu na liczalną monetę. Płaty składano w skrzyniach; monety noszono albo zakopywano; najwidoczniejszą oznaką majątku było bydło i to słowo, co u Niemców skarb *(Schatz)* znaczyło, przejęli sobie Słowianie dla bydła: *skot, Skotniki* w nazwach miejscowych; *skotnica,* nawsie, wygon; *skotak,* pastuch. [1]

Z towarów (ta nazwa, co znaczące, jest początku wschodniego, a może i kieszeń z arabskiego *kis,* nie z tureckiej *kiesy,* wyszła) wyróżniały się wszelkie kosztowności, wyroby obcego przemysłu, u nas wkońcu przez domowych «złotników» mniej foremnie naśladowane; dalej ceramika naszych zdunów, która wprawdzie bogactwa kształtów i ornamentyki epoki łużyckiej nie

[1] Tak samo przyjęło *bydlo,* pierwotnie tyle co 'byt, *possessio*', od XVI wieku nowe, dzisiejsze znaczenie; ograniczyliśmy je do obory, jak *zboże,* pierwotnie tyle co *majątek* (w przeciwieństwie do *uboża* = *ubóstwa),* do cerealjów: wszystko równie znamienne dla narodu pasterzy-rolników.

dosięgła, ale zawsze świadectwo pochlebniejsze temu przemysłowi wystawia; wyrabiano ją, nie jak dawniej odręcznie, lecz na kole garncarskiem i wypalano staranniej; zabarwienie jej czerwone lub czarne; ornamentem jej bywa rysunek ryty w glinie zapomocą jakiegoś grzebienia czy radełka, a przedstawiający linje faliste równoległe. Ta ceramika nie powstała samorzutnie u Słowian, miała wyjść z pracowni prowincjalnych rzymskich III i IV wieku; to samo twierdzą o oznace, równie jak ta ceramika charakterystycznej dla tych czasów, mianowicie o owych kabłączkach skroniowych, o czem jednak wątpić wolno; może to wyrób rodzimego początku.

Czy pozostały jakiekolwiek materjalne resztki czy to budowli, czy rzeźbiarstwa pogańskiego? Skoro wszystko było z drzewa, strawiły je czas i ogień; *kamienny* posąg ze Zbrucza tylko wielością twarzy przypominałby polimorficzne posągi trzygłowów i wielogłowów pomorskich. Głowa drewniana, wykopana w Jankowie (koło Mogilna), wtykana na słup, uchodzi za zabytek pogański i kilka innych, drobniejszych i niepewniejszych okazów.[1] Nie są słowiańskiemi t. zw. baby kamienne, t. j. pocągi męskie (z wiszącemi wąsami) i żeńskie (dziewice śmierci?) nad grobami koczowników, Pieczeniegów, Kumanów i in., szerzące się przez całą Syberję aż za Bajkał; ręce skrzyżowane nad brzuchem trzymają czaszę czy róg do picia, symbol już dawnym Scytom święty; liczy się ich setkami, ale przed

[1] Np. znaleziono na torfowiskach, obok grodziska, w Małocinie pod Mławą, na pograniczu Prus wschodnich, stożek granitowy, pomalowany barwikiem białym i czarnym, wysokości około 37 cm., długości (u podstawy) 80 cm., niby biust męski, ale tylko głowa wyraźniej obrobiona, osadzona na nieforemnym tułowie; obecnie zamknięta w kasie miasta Mławy (informacja prywatna, za którą nie odpowiadam). Wykonanie nadzwyczaj prymitywne, bo walczył artysta miejscowy z niewdzięcznym materjałem, którego dłótem żelaznem (nie stalowem!) pokonać nie mógł; uszy i oczy wyraźniej oddane, niż na innych podobnych posągach, jest i broda widoczną; nie posąg to nagrobkowy, więc rzecz kultowa (?).

Dnieprem giną — złota baba na północy, bajeczna raczej, najdalej wysunięta, a są i w Prusiech i znalazły się pod Bambergiem, tylko nieco podobne. Z budowli nic nie pozostało.

## KULTURA

Dzielenia czasu na godziny, tygodnie, miesiące, lata, nie znano; pory dnia i roku narzucały się same uwadze i nazwy dla nich pochodziły już ze spólnej kolebki aryjskiej: dzień i noc, jutro (zastąpione przez *rano*), południe i wieczór; miesiąc obejmował obieg księżyca z pełnią i nowiem, obok wiotchu. Czynności gospodarskie, odmiany w przyrodzie nasuwały osobliwsze nazwy dla skupień paru dni czy tygodni; zasada była u Słowian ogólna, ale co do szczegółów różnią się nazwy znacznie; najbardziej rozpowszechnione są *sierpień, listopad, wrzesień, kwiecień* (i *łżykwiatem* słuszniej nazwany); *czerwiec* nie od czerwiu pszczolego, lecz od owadu; u nas samych niektóre nazwy chwiejne, *luty* np. zowią i *strępaczem* (bo strzępi mrozem drogi), albo ich następstwo (np. października); *styczeń* nie od stykania się roku, lecz od tyczenia (tyk) poszedł. Większe perjody liczono wpierw na zimy, później i na lata; drobne na nocy; noc samą rozróżniano wedle piania kur, pierwsze kuropienie lub kury; śladu pogaństwa niema u nas najmniejszego, gdy u innych Słowian się przecież coś niecoś odnajdzie, np. *trebnik* dla naszego grudnia (od treb, t. j. obiat pogańskich i godów).

Kultury umysłowej wyższej nie było; życie tradycyjne obchodziło się bez pisma, więc z ust do ust krążyło, co w długie wieczory zimowe (przy prządkach), w jasne nocy letnie, w gody weselne śpiewano i prawiono: bajki międzynarodowego początku i wątku, bo na polską ziemię ze Wschodu i Zachodu przybywały; pieśni wiosenne i miłosne; zagadki, zanim między dziatwę spadły. Nie było jednak epiki ludowej, jaką, acz później, Bałkan i Ruś wypiastowały; obywał się bez niej cały zachód sło-

wiański, śladu niema po niej najmniejszego ani u nas ani u Czechów, Luciców, Pomorzan, chociaż luźne wątki baladyjne mogły się pojawiać; nie wzniosły się jednak nigdy ponad krótkie pieśni. Przyczyny tego niedoboru tkwią głęboko: demokratyczny, anarchiczny Słowianin nie cenił tradycji o sławnych wojach i ich czynach, inaczej niż Niemiec albo Celt; bardów u nas nie było; byli u Prusów.

Pisma Słowianie tak samo nie znali jak i Germanie, którzy się dopiero od Rzymian pisać wyuczyli, ale do wróżenia i liczenia służyło Słowianom to samo co i Germanom. To, co Tacyt o tych podał, stosuje się i do Słowian: odcinki bukowe osobno znaczone rzucał wróżbita, potem nie patrząc chwytał ich kilka i z nich przepowiadał, mrucząc przytem niezrozumiale (*runa* 'tajemnica', przeniesiona później na *runy*-pismo, powstałe ze wzoru rzymskiego). Widzieli Słowianie u Gotów te znaczki, zwane u Gotów od buku-materji, *boka* 'litera', *bokos* 'pismo' i przejęli to jako *bukwe* 'pismo', do czego po wiekach dorobiono w Rosji i liczbę pojedynczą *bukwa* 'litera' (a złożone *azbuky* i *azbuka* 'alfabet'). Sami jednak dla tej samej rzeczy mieli już własną nazwę *knigy* albo *knęgy* (tylko w liczbie mnogiej dla książki; pojedyncza, *kniga,* pojawia się dopiero w nowszych czasach), nasze *księgi,* nazwa prasłowiańska, jak odmianka samogłoski przed *g* dowodzi (wyprowadzano to słowo najmylniej ze wszystkich części świata, od Chin, Asyrji, Skandynawji!), a znaczyło pierwotnie 'odcinek' (*kien,* por. *knowie* o słomie odciętej), później 'literę, pismo'. Mamy wyraźne o tem świadectwo z X-go wieku (mnicha Chrabra), że Słowianie-poganie «liczyli i wróżyli rysami i narzazami»; narzazy, to karby, każdy inny dla innej liczby. Pisma runicznego nie posiadali żadnego i mniemane runy słowiańskie na statuetkach bożków słowiańskich z meklenburskiego Prillwitz okazały się tak samo fałszerstwem jak nasze napisy mikorzyńskie i inne podobne odkrycia.

Ale jeszcze za naszego pogaństwa powstało istotnie pismo

słowiańskie, na dalekiem południu bułgarskiem, w greckim Soluniu, gdzie dwaj Grecy, bracia Konstanty (Cyryl) i Metody, je wynaleźli dla łatwiejszego, skuteczniejszego szerzenia ewangelji między Słowianami i na piśmie. Jak runy niegdyś wedle łaciny, tak teraz t. zw. głagolica powstała wedle greckiej kursywy, w bardzo oryginalnym typie; zastąpiła ją, całkiem grecka (prócz kilku znaków) cyrylica w X wieku; do nas ani jedno ani drugie pismo nie dotarło (monety Chrobrego z napisem cyrylickim odnoszą się może raczej do Bolesława czeskiego); pozostały nam obce jak i sam obrządek, któremu niemal wyłącznie służyły; w IX wieku kwitło wprawdzie na Morawach przez lat dwadzieścia, ale r. 886 na zawsze je stamtąd wyświecono i w Polsce ani po obrządku ani po piśmie niema śladu najmniejszego.[1]

## GRODY

Tę to kulturę, grodziskową nazwano. Nazwa nie najstosowniejsza, raczej o grodowej mówićby należało, boć grodziska to tylko ślady dawnych grodów, lecz ponieważ niemal ze wszystkich owych grodów tylko te ślady ostały, więc zachowajmy tę ogólnie przyjętą nazwę.

Grody budowano nie, jak niegdyś przypuszczano, dla obiat bogom i narad wiecowych, lecz dla obrony, dlatego je nad granicami gęsto osadzano. Liczy się ich dziś jeszcze tysiącami, więcej ich na zachodzie (całemi secinami w Meklenburgu i in.), niż na wschodzie; różnic między niemi niema, najbardziej je-

[1] Dla całego tego rozdziału był mi przewodnikiem archeolog czeski Lubor Niederle i monumentalne jego dzieło, *Život starých Slovanů, základy kulturních starožitností slovanských* (trzy działy, w Pradze 1911—1925): dzieło niesłychanego trudu, najmozolniejszych poszukiwań, najrozleglejszych widoków, wytrawnej metody. W szczegółach odstępowałem tu i ówdzie znacznie.

dnolitą przedstawiają kulturę, istotnie ogólnie-słowiańską. Wymieniliśmy jej cechy ogólne: oprócz budowy grodów zdobycz pieca; ceramika o linjach falistych; kabłączki skroniowe; powolne ustępowanie dawnego rytuału pogrzebowego (palenia zwłok) nowemu, chowaniu ich. Trzy ostatnie objawy zaliczają na karb wpływów rzymskich, prowincjalnych, o czem co do rytuału pogrzebowego i wątpić wolno: język przynajmniej podobnych wpływów nie wykazał, ilość pożyczek rzymskich jest minimalna (kolęda; wino? bania? topola); tem mniej skłanialibyśmy się ku wywodowi początków państwowości z naśladowania rzymskich porządków, chyba za pośrednictwem germańskiem.

Wrażenie całości tej kultury nie jest korzystne. Poziom jej niski, szara ona, jednostajna, bez cech wybitnych. Sądy europejskie spółczesne brzmią równie niekorzystnie. Grek Prokopiusz (około r. 550) żywot Słowian lichym i zaniedbanym nazywał, pełnym brudu, a autor łacińskiego traktatu z IX wieku o właściwościach wszelakich narodów prawił tylko «o brudzie słowiańskim»; św. Bonifacy (połowa VIII wieku) nazywał Słowian «najbrzydszym i najgorszym rodem ludzkim»; jego uczeń, opat Sturmi, przejeżdżając Fuldę, gdzie się mnóstwo Słowian kąpało, przeraził się ich cuchnięciem. *Sclavus saltans* też nie osobliwie o nich świadczy, chyba o lekkomyślności, a skargi na tępotę umysłową są ogólne: zjazd biskupów r. 796 oświadcza, że ten naród surowy i bez rozglądu, bez wykształcenia i pisma okaże się zbyt ociężałym i żmudnym do poznania tajemnic wiary.

I nie dziw, skoro się Słowianie jako ostatni z wielkich narodów europejskich na widownię dziejową, t. j. na krzyżowanie się wpływów kulturalnych i politycznych wydostali. A już najpośledniejszym był los Polski, której brzegów ani wpływy zachodnie, które na Czechów działały, ani wschodnie, którym Ruś podlegała, nie dotykały. I nie mógł się drewniany i szczupły Kraków, najcelniejszy gród Polski, bo na rozdrożu wielkich

dróg handlowych położony, mierzyć ani z kamienną Pragą, ani z przestronnym Kijowem, gdzie już na początku XII wieku na pogromy żydowskie się zbierało; tak samo nie równał się przemysł polski czeskiemu ani kijowskiemu. Obok Krakowa były jedynemi grodami znaczniejszemi Poznań i Gniezno, chociaż nie handlem stały, Gniezno jako gniazdo Piastowe, Poznań wysunięta na zachód nowa Piastów stolica, wskazująca niby, dokąd siła państwowa zmierzała.

Wszystkie te grody były drewniane, bo jedyny materjał budowlany u Słowian stanowiło drzewo, a było go aż nadto; nawet pomorskie i rugijskie grody z dwupiątrowemi domami były wyłącznie drewniane, Praga pierwsza kamienia używała, ale lud się burzył, gdy książę (Bolesław I) z obcymi rzemieślnikami obcego jął się trybu, «rzymskiego»; wały grodowe spoczywały nieraz na silnym podkładzie drzewianym. Szczupłe bywały te grody, gdy się ludność przed wrogami w nich skupiała; brak wody zmuszał do poddania; warunki higjeniczne jak najgorsze; nie znano wychodków jeszcze w dworcu książęcym praskim w XI wieku, jak to z opisu zabójstwa ślepego księcia Udalryka wiemy. Bywała też śmiertelność wielka, szczególniej u niemowląt; sędziwej a krzepkiej starości nie zbyt wielu dobiegało.

Kraj był niby rolniczy, ale stał właściwie pasterstwem; jeszcze w dwudziestych latach XII wieku zaznaczył to oczywisty świadek, Niemiec, o Pomorzu, a w Polsce, kraju lesistym, hodowla nierogacizny i owiec była najważniejszą może gałęzią gospodarstwa. Konie hodowano nie dla uprzęgu, lecz dla drużyny książęcej i może jak na Pomorzu ceniono wielmożów i wojów wedle liczby koni, jaką wystawiać mogli, wielmoża pomorski trzydzieści, gdy woj jednym się zadowalał. Inaczej niż dziś, orano i krowami, zresztą zakładano do jarzma woły; kóz, inaczej niż na Bałkanie, nie hodowano wiele albo i wcale nie; niema też o nich wzmianki i w późniejszych dokumentach.

Było więc o Polsce, mimo wielkich rozmiarów państwa,

głucho — nikt jej nazwiska do schyłku epoki pogańskiej ani razu nie wymienił (o Wiślanach tylko coś zasłyszano). Dopiero za przyjęciem chrześcijaństwa objawiła się Europie, ale już jako całość terytorjalna, etnograficzna i państwowa; jeden język, z drobnemi odcieniami narzeczowemi (mazurzeniem głównie) panował powszechnie; o jedności wiary a raczej tylko kultu-obrzędów nic nie wiemy; temperamentem różniono się chyba już wtedy; najdziksze było Mazowsze, nie darmo z Prusami i Jaćwingami graniczyło, górny Śląsk pokryty lasami mało mu ustępował; najbardziej kulturalni byli Wiślanie.

Jeszcze około r. 950 była Polska zasklepiona od świata; zachodnia Słowiańszczyzna nad Łabą i Odrą przedstawiała wskutek napadów niemieckich widok rozrzuconego mrowiska, na wschodzie zbijała żelazna ręka wikingów-warjagów wielkie państwo. Szczęściem dla Polski jak i dla Czech było, że demokrację, niezdolną do widoków szerszych, ani do inicjatywy osobistej, zastąpił despotyzm Piastów i Przemysłów; demokratyczne Polskę i Czechy byliby Niemcy pochłonęli jak demokratycznych Słowian nad Łabą i Odrą, jak Prusów, którzy jednolitej, trwałej akcji, stosowanej przez arystokracje i monarchje, nie znali. Postęp polityczny i materjalny wychodzi tylko od klas wyższych, co się nad deptak dzienny wznieść mogą, co obcym wpływom i wzorom dorównać się starają. Przyszłość Polski zabezpieczał wyłącznie despota Piast.

Na razie były tylko zadatki przyszłego rozwoju. Instynktów etycznych, poza najściślejsze kółka rodzinne, nie kształciła wiara, całkiem materjalistyczna, oparta o zasadę odpłaty *(do ut des)*. Najsilniejszego bodźca moralnego dostarczała Słowianom przysłowiowa gościnność, której chyba pruska dorównywała. U Pomorzan słyszymy o osobnych stołach schludnie opatrzonych, zastawionych na uczczenie gościa, a wszelkie inne relacje jednozgodnie to potwierdzają. I wrodzy sławią ich czystość obyczajów; Sas Widukind w X wieku mieni ich «narodem

twardym, a w pracy cierpliwym, przywykłym do najmarniejszego pokarmu, a co naszym (Sasom) ciężkiem bywa brzemieniem, oni za jakąś przyjemność cenią». Że nie odznaczali się jakąś osobliwszą pokojowością, przyrodą gołębią i podobnemi fantazjami Herderowej niegdyś marki, o tem nikt już nie wątpi, a co Grek Theofylaktos pod r. 593 o trzech ujętych Słowianach prawił, którzy gęśli zamiast mieczów nosili, że idą posłami do Awarów, aby im wyłożyć, dlaczego ich w boju nie wesprą, bo ich naród nie zna ani miecza ani żelaza, jest wierutną bajką; byłoby chyba wymówką szpiegów, którą Grek na sposób Getów, utożsamianych z Słowianami, przykrasił.

Nadzwyczajne przywiązanie do swobody, nieznoszenie cudzego jarzma, wybór raczej śmierci niż niewoli, nieustraszona odwaga, obrona do upadłego, co gród zapali i sama się w nim pogrzebie, o tem donoszą źródła spółczesne: jak dzielnie Niemcza śląska się broniła, nie mógł się Thietmar dosyć nadziwić. Żywiła ich miłość tej swobody i tradycji; ale do stałych poświęceń demokracja nie bardzo skłonna; wymuszał je despota, który karności i posłuszeństwa uczył. Zresztą nie było śród ludu wybitniejszych odmian, wielmoża różnił się od smarda głównie tem, że rąk własnych nie mozolił. Zacofanie kraju było nadzwyczajne; wszędzie budziło się życie nowe, tylko nie u Prusów, Litwy, Łotwy, nie w Polsce; nawet wikingów nie nęcił kraj ubogi, lesisty; nie liczne są wskazówki, że się poza brzegami pomorskiemi w głąb zapuszczali. Ale były to ostatnie chwile wiekowego snu; wola despoty przerwała go na zawsze i despota zbudził naród do pracy, życia, sławy. Niebezpieczeństwa już się bowiem zaznaczały, nie od północy ani od południa, bo Prusowie nie zaczepiali nikogo a od Węgier strzegł wał granitowy, ale od zachodniej i wschodniej strony; jeszcze nie nagabywali Niemcy granic, ale od Pomorza przez Luciców i Czechy szerzyły się nieustanne walki, zdobycze i utraty, chociaż Wrocław nie od czeskiego księcia (Wratisława) nazwany, a niebawem za-

powiedziały się i na wschodzie stałe zderzenia. I zaczęło się życie dziejowe narodu.

U schyłku epoki pogańskiej narodu jeszcze nie było; było już państwo, co go stworzyć miało, zlepek kilku plemion, etnicznie i językowo identycznych, terytorjalnie odrębnych, bo wyosobnili się z czasem Mazowszanie, Polanie (brak «Drzewian», t. j. Lasowiaków, w przeciwieństwie do nich), Wiślanie i inni, których liczby nawet dokładnie określić nie sposób, boć np. Sieradzanie, Łęczycanie i in., mogli tworzyć również osobne plemiona: najwięcej było ich na Śląsku, gdzie powtarzało się takie samo rozdrobnienie, jakie znamy z Czech, albo z nadłabskiej Słowiańszczyzny. Energiczny, szczęśliwy włodyka-ksiądz zcalił te plemiona, co spólnej nazwy jeszcze nie miały; proces podobny odbywał się szybko. U Czechów np. przez cały wiek IX mowa o kilkunastu, później kilku książętach, rządzących spólnie, nie uznających między sobą zwierzchnika, hołdujących Ludwikom czy Świętopełkowi, ale już w X wieku niema po tych książętach plemiennych śladu, książę czeski, t. j. praski ich wytępił przy końcu wieku i ostatnich, Sławnikowiców, chociaż ci już jego zwierzchnictwo uznali.

Ustrój plemion i państwa był monarchiczny, nie republikański,[1] ksiądz «polski», t. j. gniezno-poznański, był jedynym władcą bezpośrednio nad całym ludem wszystkich owych plemion i nie było tu ani federacji-związku tych plemion, ani ich podporządkowania pod jakiegoś zwierzchnika. Jak n i e b y ł o j e s z c z e j e d n o l i t e g o narodu, tak nie było i ojczyzny i jej miłości: *ojczyzna* tylko *ojcowiznę* znaczyła. Ale było już poczucie wzajemności: siedziby spólne i ten sam język, uświęcony wie-

[1] Jak u Luciców, ależ i u nich nastała republika dopiero, gdy pierwotna dynastja z ostatnim zdrajcą do szczętu wygasła; i u nich zresztą popłacała zasada, jaką przysłowie rosyjskie wyraża: «kto pałkę wziął, ten komandir», jak na przykładzie Niemca Kizona widzimy, który w Brandenburgu zapanował przelotnie, niby minjaturowy Samo; czy Wichman raczej.

kami tryb ojczysty, jeden władca, obawa przed najazdem obcym, widoki spólnych łupów, łączyły ściślej odrębne poniekąd plemiona. Porywał je niegdyś szczęśliwy, dzielny wojownik, który się wkońcu stałym wojewodą nazywał (jak ów Samo w VII w.): nazwa to rodzima, nie przetłumaczona z niem. *Her-zog,* jak Meillet uważał.[1] Z wojewody też, nie z sędziego, wyłoniła się z czasem funkcja włodyki-księcia. Czesi w hymnie narodowym zowią św. Wacława «wojewodą ziemi czeskiej», a czynsz książęcy nazywał się u Słowian nad Łabą *wojewodnicą,* chociaż obok wojewody popłacał u nich ogólnie *knez,* bo tak go zawsze niedołężnie wypisywano; nawet Jaksa Kopnicki, zięć Piotra Włosta, na monetach swoich *kne,* t. j. *knez,* się pisał, a *knese Janicke* nazywali jeszcze w XIV wieku Meklenburczycy swego księcia. I u nas wojewoda nietylko wojów wodził, lecz we wszystkiem księcia zastępował, chociaż się nie wspiął do znaczenia księcia samego, jak u Czechów i in.; podobnie było i na Rusi, gdzie wojewoda bywał i urzędnikiem administracyjnym i sądowym, nietylko wodzem siły zbrojnej. Z wojewodów-włodyków, nie z chłopów-smardów, wyszli Piastowie i Przemysłowie.

## POZOSTAŁOŚCI Z EPOKI POGAŃSKIEJ

Co przetrwało do dziś z trybu przeddziejowego? Nieraz bowiem słyszymy o śladach jego. Zgóry trudno temu dać wiarę; lecz nasuwa się mimowoli przypuszczenie, że śród ludu okolic zacofanych, żyjących niemal do niedawna życiem od-

---

[1] Tłumaczeń podobnych dopuszczał się misjonarz, który np. niem. *Un-hold* 'djabeł', na słowiańskie *nie-przyjaźń* ('djabeł', w najstarszych zabytkach cerkiewnych) w VIII w. wyłożył dosłownie, ależ nie od misjonarzy wojewoda wyszedł; *knięd̀za-księdza* pożyczono wprost, tak byłoby i z *herzogiem* i niktby go nie tłumaczył. Sam rodzaj żeński, *wojewoda,* dowodziłby rodzimości wyrazu, por. wyż.

rębnem, np. śród naszych Podhalan, tradycyjnie jeden i drugi szczegół ocalał.

Istotnie odnachodzono niby w fibułach — spinkach góralskich, powtarzających się w Estonji i Łotwie, jakiemi koszule pod szyją lub też na piersiach spinają (dziś noszą je i jako prostą ozdobę, choćby na torbie, a powszechniej zanikają zupełnie), wzory gockich, czarnomorskich fibuł IV wieku po Chr.! Ten przeskok niemal półtora tysiąca lat (bo fibuł góralskich starszych, z dawniejszych wieków, nie znamy) budzi zgóry wątpliwości, a inni etnografowie wspominają dla rysunku antycznego, jak dla mnóstwa łańcuszków u tych spinek, bądź odlewanych z mosiądzu, bądź blaszanych, epokę lateńską czy halsztacką, a więc wieki przed Chr. Nie sięgając tak daleko, zadowalając się wzorem gockim (?), co swoją drogą szedł za sarmackim, a ten za greckim, nie wymagamy dla objaśnienia tego podobieństwa jakichś gockich szczątków na pasie podkarpackim; starczy na to wymiany-handlu. Właśnie na Podhalu znachodzą wiele cech archaicznych, nie tak w ubiorze ani w statku domowym, jak raczej w ozdobach metalowych (u pasa), w ciupagach, krzesiwach, kagankach, w zdobnictwie sprzętów drewnianych (czerpaków, łyżników i t. d.) — byli przecież Słowianie mistrzami snycerstwa, jak to z opisów ich posągów wynika. Nie mniejsza sztuka w wyszywaniach na serdakach, cuchach i spodniach góralskich, na kurtkach i kamizelach krakowskich. Że początki tego wszystkiego sięgają prawieku, nie wątpić, ale i tu czas wiele odmienił. Szukano podobnych przeżytków czy w pieśni ludowej, obrzędowej, weselnej, czy w przesądach i zabobonach, czy w obyczaju, ale przy bliższem badaniu rozwiewają się iluzje, bo i lud nie stoi nieruchomo na miejscu, i on i jego zwyczaje ulegają modzie, odmianie. Bezpośrednio nawiązuje do odległej przeszłości język; utraciliśmy wprawdzie wiele dawnych słów, przybrali mnóstwo obcych, natworzyli nowych znaczeń, pozbyli się form licznych, a nawet

i brzmień, np. pochylone samogłoski, — mimo to pozostał język względnie nienaruszoną puścizną przeszłości, uległ w ostatniem tysiącoleciu najmniej przeobrażeniom, mniej może niż cechy fizyczne nawet.

A dalej pozostał temperament, wybuchowy, porywczy, ale sangwiniczny, nigdy choleryczny, więc skory i do pojednania (w dalszych wiekach jaka skłonność do łagodzenia wszelkich sporów zdawaniem się na «jednaczy» — obermanów). Pozostały przymioty, o których wyżej mówiliśmy, i odpowiednie nałogi: pewna gnuśność, obojętność, brak wytężania energji aż do zupełnego opanowania celu, łatwe składanie rąk przed byle przeszkodą; przy całej ruchliwości zewnętrznej, pozornej, nieruchomość, czepiająca się zwyczaju, tradycji, opieki; indywidualizm, ale nie twórczy, nie łamiący się z otoczeniem, zadowolony byle ustępstwem, jak słuszna na wielkie dzieci. Znacznej wrażliwości odpowiadała mimowolnie zmienność nastrojów i zamiarów i pomawiano Słowian o niestałość, zdradliwość, że łatwo łamią dane słowo, wymagając od innych stałości; i ten rys nieco dzieci przypomina. Łatwo ich udobruchać, porwać, ale nie należy liczyć zbytnio na trwałość usposobienia. Chętnie się też czają; o zasadzkach, chytrościach wspominają źródła, milczące o nas, ale co za charakterystyczna postać, chociaż późniejsza znacznie (wiek XII) owego Piotrka Włosta, co to zdradą i niewiastę pozyskał i księcia ruskiego śród własnych poddanych porwał i uniósł, jakby historję o Zopirusie naśladował. Brakło wybitniejszego uzdolnienia artystycznego. Ani dosyć jednostajna przyroda (wobec braku morza czy gór), ani dosyć surowy klimat mu nie sprzyjały; jednostajny szum odwiecznych lasów nie wykołysał muzyki a w zaspach śniegowych i długich nocach zimowych i plastyczna zamierała wrażliwość i barwna; nic nie rozruszało fantazji; nie brakło zdolności rasie aryjskiej, ale na razie były uśpione. Zbudziła je nowa kul-

tura, chrześcijańska; pogańska nietylko przeczyła wszelkiemu postępowi, ale groziła zaprzepaszczeniem niezawisłości, losem pogańskiej Słowiańszczyzny nad Łabą i Odrą.

## BIBLJOGRAFJA

Najważniejsze, podstawowe dzieło, *Starożytności Słowiańskie* Lubora Niederlego (jest i streszczenie francuskie w jednym tomie, Paryż 1926), wymieniłem z umysłu już osobno; objęło całość i dlatego takiego wyróżnienia wymagało; nasza literatura podobnej syntezy dotąd nie posiada. Kulturę, materjalną wyłącznie, grodziskową, kreślą podręczniki archeologiczne, wymienione przy rozdziale pierwszym; do nich dodaję cenną pracę ks. dr. Władysława Łęgi, *Kultura Pomorza we wczesnem średniowieczu na podstawie wykopalisk,* w 35 Roczniku Towarzystwa Naukowego w Toruniu, Toruń 1929, 294 str., bardzo szczegółową i bogato ilustrowaną; kultura pomorska obfituje w pierwiastki wikingskie (normańskie) nierównie więcej niż nasza, ale Pomorze w tym okresie, jak i inne ziemie polskie, ubogie w wykopaliska, mniej pokaźne do tego. Kilka mieczów i łodzi o wyraźnym typie wikingskim, nikłe resztki chat i mostów, mnóstwo skorup (brak całkowitego naczynia), charakterystyczne niemal kólczyki półkoliste, a prócz nich kilka «bab kamiennych» (ależ to posągi męskie) złożyły, jak dotąd, cały inwentarz. Kaz. Pasykowska-Jeżowa, *Geografja ruin w Polsce,* Poznań 1927, podkreśla słusznie, jak często późniejsze zamki warowne stawały na miejscu dawnych, pogańskich jeszcze grodów, przeważnie, jako w kraju nizinnym, moczarowych albo błotnych, obieranych na punktach najdogodniejszych do strzeżenia szlaków i brodów. Tom drugi *Prac Etnograficznych* St. Ciszewskiego (Warszawa 1929) zawiera rzecz o «płacidłach», t. j. czem wszystkiem zastępowali Słowianie monetę i jak wyraz *płacić* wyszedł od pierwotnego «darzenia płatami materji», ale to nie było tylko owem obowiązkowem «oddarowywaniem», «dar za dar a darmo nic», lecz jak z kilku źródeł wiemy, były te płaty istotną «monetą», za którą wszystkiego nabywano.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

# WCZESNE ŚREDNIOWIECZE (966—1300)
# KOŚCIÓŁ

Źródła dla poznania epoki, obce i własne. — Wprowadzenie chrześcijaństwa. — Rychły zanik pogaństwa. — Mniemane misje: iryjska i słowiańska. — Wpływ Kościoła. — Akt gnieźnieński. — Źródła chrześcijaństwa polskiego. — Ustrój Kościoła. — Ruch religijny i nowe zakony. — Unarodowienie Kościoła; nowe zakony; święci pańscy. — Kult św. Stanisława. — Przewaga Kościoła w życiu indywidualnem. — Chrzest. — Śluby — Pogrzeby. — Szkoła. — Literatura. — Zabytki polskie duchowne. — Zabytki świeckie. — Sztuka kościelna. — Wychowanie domowe. — Bibljografja.

## ŹRÓDŁA DLA POZNANIA EPOKI, OBCE I WŁASNE

U samego wstępu do nowej epoki wita nas zapiska, nie wolna od myłek faktycznych, ani od przesady orjentalnej, mimo to godna wszelkiej uwagi. Arab hiszpański Bekri (zmarły r. 1094) zachował urywki z opowiadania Żyda Abrahama Jakubowica, handlarza niewolnikami, który r. 973 odwiedził cesarza Ottona I w Merseburgu,[1] dokąd z Pragi przybył; może spotkał się u dworu z Arabem Ibrahimem z Tortozy, dyplomatą hiszpańskim, który niejedną rzecz Jakubowicową niemal dosłownie powtórzył; wiadomości Tortozańczyka przekazał z trzeciej ręki Arab Gazwini (w XIII wieku) w swoich *Klimatach.* Z opowiadania Jakubowica przytaczamy tylko szczegóły o Mieszce; o Pradze Bolesława II czeskiego; o Wołyniu pomorskim; opuszczamy rzeczy o Meklenburgu, Bułgarach i in.

Po rozerwaniu jedności słowiańskiej każdy szczep ma swego własnego króla. Jest ich teraz czterech. Bolesław król Pragi, Czech i K r a k o w a; Mescheqqo król północy... Ziemia Bolesława rozpościera się w swej długości od grodu Pragi do grodu Krakowa, podróż trzech tygodni, i graniczy swą długością z ziemią Turków (Węgrów). Gród Praga zbudowany z kamieni i wapna, i jest największem targowiskiem owych

[1] Inni wymieniają r. 965 i Magdeburg, ależ tylko pod r. 973 wspominają źródła niemieckie o arabskiem i bułgarskiem poselstwie u Ottona, bułgarskie zaś widział Jakubowic na własne oczy. Tekst poniższy wyszedł z niemieckiego tłumaczenia arabisty Georga Jacoba, Berlin 1927; G. Jacob korzystał także z trzeciego nowo odnalezionego rękopisu Bekriego. On też wydzielił artykuły Tortozańczyka (Tartuschi) z kompilacji kosmograficznej Gazwiniego.

krajów. Schodzą się do niego z grodu Krakowa Ruś (Normanowie) i Słowianie, i przychodzą do nich z ziemi Turków Mohamedani, Żydzi i Turcy również z towarami i monetą bieżącą, a wywodzą od nich niewolników, cynę i wszelakie futra. Ich ziemia najlepsza z ziemi północnych i najbogatsza w wiktuały. Za szeląg sprzedają im tyle pszenicy, że ma jej człowiek dosyć na miesiąc, a z jęczmienia sprzedają u nich za szeląg obrok na czterdzieści nocy dla wierzchowca i sprzedają u nich dziesięć kur za szeląg. W grodzie Pradze wyrabiają siodła, uzdy i grube szczyty (tarcze), jakich w ich ziemiach używają. Wyrabiają też w ziemi Czechów cienkie lekko tkane chusteczki jak siatki, których się do niczego nie używa. Cena ich u nich stała, dziesięć chusteczek za szeląg; niemi kupczą i obliczają się między sobą. Posiadają ich całe skrzynie. To ich majątek i najdroższych rzeczy można za nie dostać: pszenicy, niewolników, koni, złota, srebra i wszystkich rzeczy. Osobliwsze, że mieszkańcy Czech brunatni i ciemnowłosi, blondynów u nich mało.

Kraj Mescheqqua najrozleglejszy z ich krajów, i jest bogaty w zboże, mięso, miód i ryby. On wybiera podatki w monecie bitej i to stanowi utrzymanie jego wojów; co miesiąc dostaje każdy pewną z tego sumę. On ma 3000 opancerzonych, a to są żołnierze, których secina 10.000 innych zrównoważy. On daje wojom suknie, konie, zbroję i wszystko co potrzebują. Urodzi się któremu z nich dziecię, każe mu wyznaczyć utrzymanie, czy chłopiec czy dziewczyna, a jeśli dojrzeje, stara mu się, jeśli płci męskiej, o żonę i wypłaca za niego wiano ojcu dziewczyny; jeśli dziewczyna, wydaje ją zamąż i płaci wiano jej ojcu. Wiano słowiańskie wielkie. Rodzą się komu 2 albo 3 córki, to one podstawą jego bogactwa; jeśli synowie się rodzą, to ubożeje. Graniczą z Mescheqqo na wschodzie Ruś a na północy Brus.[1] Na północny zachód od ziemi Mescheqqa żyje w błotnistej ziemi lud słowiański (imię pomylone); mają

[1] To samo prawi Tortozańczyk, tylko kraj sam, gród, nazwał wedle króla również Mescheqqo, «a leży ten gród nad brzegiem morskim w moczarach, jakich wojska nie przebrną; wojsko jego piechota, bo konie w ich kraju nie mogą chodzić» (mowa o Wołyniu). Dalej to samo, ale trafniej: «Dla chłopca bierze od ojca wiano i doręcza je ojcu dziewczyny... małżeństwo odbywa się wedle upodobania królewskiego, nie wedle wolnego wyboru i król obejmuje całe ich ugoszczenie, bo koszta wesela na niego spadają. Jest on ku swym poddanym jak kochający ojciec. Zazdrośni oni bardzo o swoje kobiety (wyżej o królach to zapisano), inaczej niż Turcy». Tortozańczyk logiczniejszy, bo skądżeby ubożał ojciec kilku synów, jeśli król sam «wiano» wypłacał?

wielkie miasto nad oceanem (Wołyń), co ma 12 bram i przystań, a dla niej używają rzędów tarcic (do zamykania). Wojują z Meschecqo i siła bojowa ich wielka. Nie mają żadnego króla i nie dają się nikomu jedynemu rządzić, ale władcami między nimi są ich najstarsi.

Dalej opowiada Jakubowic o waleczności Słowian: niktby się im nie oparł, gdyby w zgodzie żyli; uprawiają pilnie rolę; ich klimat zimny i wilgotny; cierpią wszyscy na wysypki i hemoroidy; królowie ich ukrywają swoje żony przed wzrokiem obcym i nadzwyczaj o nie zazdrośni; czasem ma u nich mężczyzna 20 i więcej. Noszą szerokie suknie, rękawy u końca wąskie. Opowiada dalej o szpaku i o cietrzewiu; mają wszelakie instrumenty dęte i strunne; jeden dęty dłuższy niż na dwa łokcie a strunny o ośmiu strunach z wnętrzem płaskiem i nie skrzywionem. Ich napojów i win miód dostarcza.

Nieco starszy (zmarły około r. 955) historyk arabski, Masudi, prawi dalej u tegoż Bekriego o Słowianach, o paleniu zwłok księcia, jego wierzchowców i tej żony, co się z miłością dlań oświadczy; o płciowej wolności dziewcząt a wierności żon; o mrozach silnych; zamiast łaźni mają budki drewniane, szczeliny zatykają mchem, stawiają w nich w kącie piec z kamieni, a naprzeciw u góry otwór, by dym odciągnął; potem zamykają otwór i drzwi i leją przygotowaną wodę na rozpalone kamienie; każdy ma miotełkę z suchych gałęzi a nią się chłodzi; nazywają te budki *itba* (izba).

Dodam jeszcze opis budowy grodu u Jakubowica: Słowianie udają się na wodniste i porosłe łąki, odmierzają okrągłą lub czworokątną przestrzeń wedle zamierzonego kształtu i obszerności grodu; kopią naokoło i nasypują wydobytą ziemię, umacniając ją dylami i kołami jakby na sposób baszt, aż ściana zamierzonej wysokości dojdzie. Odmierzają też dla grodu bramę, po której stronie im się spodoba, i wchodzi i wychodzi się po drewnianym moście.

Arabowie nie znają 'Polski', znają tylko 'kraj Mieszki';

Słowian nazywają Siklab, t. j. wedle greckiego Sklavoi; od Słowian nigdy nie odróżniają Niemców, więc wedle Arabów Soest i Paderborn są grody słowiańskie — myliło to nawet niejednego z naszych uczonych, co w tej Pragermanji istotnych Słowian upatrywał. Tem bardziej razi, że Ruś (t. j. Normanów) zawsze od Słowian rozróżniają, co jest zabójczym ciosem dla antinormanistów wszelkiego kalibru; przyczyna ta, że dobrze znali Ruś, która się i do Bagdadu zapędzała. Wielkie zamieszanie sprawiają w źródłach arabskich nazwy szczepowe, zniekształcone do niepoznaki; np. znakomity ich historyk i geograf Masudi prawi: Słowianie dzielą się na wiele szczepów, jako to: Sraba (Serbowie); Dulaba (wołyńscy Duliby); Namdżin (Niemcy), ten szczep między nimi najdzielniejszy i najbardziej wojowniczy; Mizaza (?); Hairawas (?); Sasin (Sasi) i Hschabin (Jakob widzi w tem Kaszubów, ależ to niemożliwe; to Szwabi). Jakubowic opowiadał o prakrólu Macha z szczepu Welinbaba (mają być Wołynianie, ależ ci sami nazwani u niego nieco niżej Ubaba). Tortozańczyk dał najobszerniejszy opis ordaljów (słowiańskich) na kije, próbę ogniową i wodną: te próby stosuje się tylko do niewolników (mylnie), swobodni używają tylko kija i szczytu; jeśli obwiniony w tym pojedynku ulegnie, krzyżują go i rozgrabiają cały majątek. To są ciekawe szczegóły; są i inne, lecz szczep chrześcijański, u którego te cudackie zwyczaje panują, nazwany Ltrschlija: cóż to? Jakob czyta Ultraschilbana = Siedmiogród, co niemożliwe. W opowiadaniu Jakubowica szczegóły o podatkach płaconych w bitej monecie i o pensji dla drużynników niemożliwe, wobec faktu, że nie było krajowej monety; drużynników wyposażał Mieszka ziemią i naturaljami, nie żołdem; przesadą trącą inne, po części tu pominięte. Nacisk należy położyć na to, że już r. 973 państwo Mieszki jako najrozleglejsze wyraźnie poświadczono, co usuwa wszelkie wyżej wymienione wątpliwości, że się dawniej

o niem nic nie słyszy, że więc dopiero Mieszka je stworzył — nie starczyłoby mu na to chyba czasu.

Opis ten, to wynik całego poprzedniego, pogańskiego jeszcze rozwoju. Dwadzieściasiedm lat później przedstawił rok 1000 zupełnie inny widok: imperator rzymski w świetnym orszaku dostojników duchownych i świeckich, nawiedził grody księcia polskiego; olśniony jego osobą, dostatkami, siłą zbrojną, a hołdując skruszony pamięci przyjaciela-męczennika wprowadził tego księcia i lud jego jako równouprawnionych do grona europejskiego.

Odtąd więc zyskujemy dla Polski świadectwa europejskie, na razie obce, które nam brak własnych zastąpić winny. Kreśliła je ręka wroga, Thietmara, biskupa saskiego, pierwszego historyka średniowiecznego, ciekawego ludzi i czasów; dalej patrjoty czeskiego, Koźmy; ruskiego, Nestora; ich świadectwa, uzupełniają, acz strasznie nieudolnie, niedostateczne, bo króciutkie nasze zapiski rocznikarskie. Aktów publicznych brak zupełny dla X do XII wieku; jeszcze za Henryka Brodacza, a więc w pierwszych trzydziestu latach XIII wieku zadowalano się ustnem załatwianiem spraw majątkowych wobec świadków; tylko duchowni bywali przezorniejsi i domagali się zapisów szczegółowych, na Śląsku np. dla Trzebnicy. Dopiero od połowy tego wieku płyną obficie te źródła, chociaż przeważnie indywidualnej własności poświęcone, więc przepełnione najzbędniejszemi imionami (np. przypisańców), a ubogie w realia, mimo to pozwalające wglądnąć dokładniej w tryb społeczny. Poza temi źródłami brak innych; sięgałyby nieraz w te czasy i prawiły o nich legendy herbowe, gdyby na najmniejszą zasługiwały wiarę, ależ one wszystkie późne zmyślenia, same bańki mydlane. Jeśli np. Niesiecki o Gierałtach (nazwa niemiecka Gerard, jak Giewont, Giebułt i t. p.) prawi, «za Mieszki I niejaki Gierałt wybrał się do Rzymu, tam się przez chrzest odrodził, a powróciwszy potem do Polski prawie wszystką fortunę swoją na

kościoły i inne fundacje w świętym ferworze rozszafował», to coś podobnego możnaby we dwieście lat później o Piotrku Włoście prawić, ale Gierałta położymy tylko obok Habdanka i t. p.; już szewc Skuba nierównie więcej historyczny.

Są wreszcie dla lat 966—1203 nasze własne kroniki, t. j. Gall do r. 1113, Wincenty do 1203; niestety obie, szczególnie Gallowa, dla historyka kultury nadto ubogie, bo ograniczają się do panujących a milczą o społeczeństwie i jego życiu-bycie, ale że śród ślepych i jednooki królem, więc wdzięczniśmy im za wszelakie okruchy. Po r. 1203 znowu się wszystko na lat stopięćdziesiąt urywa; prawda, dokumenty płyną, szczególnie po r. 1250 obficiej i zapiski rocznikowe są liczniejsze i obszerniejsze, ale nie zastąpi mozaika drobnych kamyczków wielkiego obrazu o soczystych barwach i mnóstwie szczegółów, jakie np. ościenna kronika dla dziejów Halicza i Wołynia przedstawia. Najbarwniejsze obrazki polskie daje właśnie ta ruska kronika, prawiąca tyle o Ukrainie, t. j. o nadgranicznym pasie lubelskim, którego mieszkańcy — Polacy nieraz Ruś przestrzegali o grożącym napadzie polskim; tak ściśle związały się te połaci. I nie zawahamy się dla żywszego odmalowania, choćby wojennego życia XIII wieku wpleść z niej kilka ustępów. Kronika wołyńska urywa się z r. 1293 i skazaniśmy choć na kroniki śląskie, które zawsze jeszcze wymowniejsze niż niedobór polski, jaki dopiero Janko z Czarnkowa w małem, a po nim Długosz w olbrzymiem dziele zapełnili.

Równej bowiem wartości, co baśni heraldyczne, są wiadomości późniejszych kronikarzy dla tych wieków; ponieważ oni nic więcej nie wiedzą, niż to co Gall podał, a Wincenty analogjami klasycznemi napuszył i dalej poprowadził, więc zmyślają, co się im podoba. Jedna kronika (śląska), wstydząca się widocznie «myszeidy», twierdziła, że Popiel zwykł mawiać: jeśli tego lub owego nie uczynię, myszy mnie zjedzą — tłumaczenie racjonalistyczne takie dobre jak każde inne. Ale tyleż warta

i wiadomość, że Walcerz i Wisław byli «z rodu króla (!) Popiela», a przecież historycy z tem się liczą! W podobnych zmyśleniach lubował sobie w XIV wieku i Janko z Czarnkowa; on wie, że nazwa Meklenburgu pochodzi od *(Słowianina)* Mykela, co ją zbudował, Słowianie zwali ją Lubowem, Meklenburgiem Niemcy, ale łacinnicy zowią «tych ludzi» *Magnopolenses*, łacińską i słowiańską nazwą (niby *pole*!), a przecież do dziś wierzą temu bajarzowi, np. że Lubekę nazywali Słowianie *Bukowcem*. W istocie nikt w Polsce XIII wieku, a cóż dopiero później, dawnej przeszłości nie znał, tradycji nie było o niej żadnej, a że z Gniezna-Poznania już w XI wieku przesunięto środek państwa do Krakowa, więc zginęło to wszystko, czego Gall nie zapisał; pamięć ludowa bywa strasznie krótka, wystarcza wskazać, co lud o Sobieskim prawi. Np. o istotnych dziejach lat 1025—1040 Gall nie miał ani pojęcia.

Brak nam choćby formularzy (nasze najdawniejsze pochodzą dopiero z XV wieku), jakie kancelarje książęce posiadały, t. j. wzory dla listów wszelakich i dokumentów spisywali sobie dla ułatwienia notarjusze, opuszczając nazwiska i daty oryginalnych listów całkiem lub częściowo, ale przeplatając listy autentyczne własnemi zmyślonemi, niby próbami pióra (słynny list Przemysła Otokara II z r. 1277, wzywający książąt polskich do pomocy w imię solidarności słowiańskiej przeciw Niemcom, jest takiem zmyśleniem). Czesi posiadają formularze już z XIII wieku; w jednym z nich ocalały szczątki formularza śląskiego z kancelarji księcia Henryka IV wrocławskiego.

Śląsk był bowiem pomostem, łączącym Polskę z Czechami, t. j. z Zachodem, a związki polsko-czeskie aż do r. 1340 znaczą nierównie więcej niż polsko-ruskie lub polsko-węgierskie, szczególniej dla dziejów kultury, bo kultura zachodnia szła na Polskę głównie przez Czechy, chociaż stosunki polityczne bywały przeważnie wrogie. Jabłkiem niezgody był właśnie Śląsk; do niego rościli sobie Czesi prawa już w X wieku, chyba w spadku

po Świętopełku morawskim; w XI skorzystał Brzetysław r. 1038 z niemocy Polski, aby ją złupić i Śląsk odebrać, z którego Kazimierz Czechów wprawdzie wyparł, ale go za wyrokiem cesarskim roczną daniną im opłacał. Rywalizacja Przemysłów i Piastów dosięgała szczytu za Krzywoustego i Gall, który ówczesne tendencje polskie wiernie oddawał, nie miał dość słów dla potępienia Czechów, «najzaciętszych wrogów Polski» i «znakomitych łupieżców». Ustała ta rywalizacja za niemocy podziałowej, ale najściślejsze związki czesko-śląskie zagaił Przemysł Otokar II, przybierający czasem pozory dbałego o całość bratniej Polski władcy; co on zaczął, poprowadził dalej syn, Wacław II; on wciągnął Śląsk zupełnie w sferę czeskich wpływów, co Jan Luksemburczyk r. 1327 hołdem lenniczym książątek śląskich utrwalił. Nierównie ważniejsze były wpływy kulturalne, bo nie ograniczyły się Śląskiem, lecz na całą Polskę działały; na Śląsku odbiły się tak silnie, że od XV wieku językiem urzędowym został obcy, czeski i szerzyły się rękopisy czeskie na Śląsku. Najpierw zaś i najsilniej zaznaczył się ten wpływ właśnie przy przyjęciu chrześcijaństwa roku 966.

## WPROWADZENIE CHRZEŚCIJAŃSTWA

Rok 966 usunął na zawsze pogaństwo, którego dalsze trwanie zagrażało niezawisłości; zapewnił więc tę niezawisłość; umożliwił i ułatwił przyjęcie organizacji państwowej na wzór zachodni; nadał całej umysłowości nowe ideały i wskazał nowe do nich drogi; przeszczepił, choćby na razie powierzchownie, kulturę zachodnią i przykuł Polskę do Zachodu. Wolna bowiem granica z Rusią, t. j. ze wschodem i z Bizancjum, wskazywała na nie i kto wie, jakby się ułożyły stosunki, gdyby Ruś 966 r. była już chrześcijańską, ale wobec tej ściany pogańskiej, tylko Zachód — Rzym nadawał się dla głębokiej myśli politycznej Mieszki; chrześcijańska, łacińska Praga dała ów wzór, którego

pogański Kijów nie dostarczał. Rok 966 ustalił również na zawsze rozłam Słowiańszczyzny; obok katolickiej Polski stanęła w dwadzieścia lat później prawosławna Ruś i wyżłobiła się, zrazu nieznaczna, z każdym wiekiem coraz głębsza przepaść między dwoma światami, zbraconemi do niedawna jednym niemal językiem i jedną niemal kulturą.

Sam przewrót pozostawał na razie raczej pozornym; kult pogański zniknął wprawdzie odrazu z powierzchni, ale lud pozostał pogańskim w życiu i duchu. Polsce jeszcze w XI wieku, nie mówiąc o X-tym, obcem pozostawało chrześcijaństwo średniowieczne. Kwitły po dawnemu krwawa zemsta rodowa, targi niewolników, napędzanie żon - poćpieg, małżeństwa w bliskim stopniu pokrewieństwa, kult bożków domowych i przodków, pogańskie wesela i stypy, nawęzy (amulety) i czary. Chrześcijańskiem było duchowieństwo, w znacznej części na wyższych posadach obce, dwór i możnowładztwo, ale poza tę cieniutką warstwę nie sięgała nowa wiara. Jak było istotnie, świadczą bliskie Czechy; ochrzciły się o wiek wcześniej, ale jeszcze przez wiek X były pogańskie; jeszcze w XI-tym nie uporały się z resztkami dawnej wiary i zwyczaju. Św. Wacław na początku a św. Wojciech na końcu wieku stali równie daleko od własnego społeczeństwa. Św. Wacław unikał pod byle pozorem uczt wielmożów, bo mu pogaństwem śmierdziały; wykupywał na wiosnę młodych niewolników i kazał ich chrzcić (było między nimi chyba dosyć polskich); św. Wojciechowi nie starczyło środków dla podobnego wykupna, a gdy mu cudzołożnicę u stóp ołtarza zabito, rzucił asceta ze zgrozą niewdzięczne pole. W następnym wieku jeszcze obaj Brzetysławi pod wysoką karą pieniężną (300 grzywien!) i wygnaniem tępili wielożeństwo, czary, pogrzeby pozakościelne, pogańskie. Jak Ruś w swojem «dwojewieriju», uprawiała i Polska pod pozorem chrześcijańskim dalej swe praktyki pogańskie. Więc pogańskiemu witaniu lata dała skromną sobótek nazwę; w zamawianiach zastąpiła Marja,

Jan, Jezus — Dadźbogów i Swarożyców; do nawęzów dostawały się świętości chrześcijańskie; święta obchodzono, ale nie w kościele, tylko w gajach, śród pląsów i śpiewów «djabelskich», w maskach zwierzęcych (kobylnicy i in.); o ślubie kościelnym nikt nie myślał, a rozwodził się każdy na własną rękę (kościelne obowiązywały tylko wielmożów); umierało się bez chrztu i bez księdza, a chowano na żalach pogańskich; iluż było w całym kraju, coby umieli modlitwę Pańską?

Znienawidzono nową wiarę, bo nakładała ciężkie jarzmo. Nietyle dla dziesięcin, boć te zastąpiły tylko dawne trzeby-obiaty dla bogów i żerców; nierównie bardziej gorszyło, że nowa władza (bo tylko z tego «policyjnego» punktu na nią patrzono) wdzierała się w życie tak, jak tego dawna nie znała. Zakazywała przecież pokarmów, np. koniny i nieczystych zwierząt na zawsze, a na pewne dnie, ba, tygodnie, to mięsa, to nabiału; zakazywała pracy w polu i lesie w pewne dnie, a władza świecka czuwała nad tem, zabierała po prostu bydło czy siekierę temu, co w niedzielę orał czy rąbał; Kościół nakazywał w pewne pory nawet czystość małżeńską. Lud obchodził te zakazy; w niedziele odbywał targi; gdy św. Wojciech po raz wtóry do Czech wracał, dotknął go zaraz u wstępu boleśnie widok targowiska wielkiego w dzień niedzielny; dopiero później przeprowadził Kościół zakaz targów niedzielnych. Cieszył się lud, że duchownych było niewiele a kościołów jeszcze mniej, więc nie było ścisłego nadzoru ani nauki obfitej i długi czas nie wiedział lud, w co też wierzył; jeszcze w XIII wieku po ustroniach nie bywało inaczej.

Nie mógł też lud niejednego w tej nowej, nakazanej wierze pojąć, np. celu umartwienia ciała, jakiego nowy post wymagał. A było ono bardzo dotkliwe, bo poszczono w środy i piątki powszechnie, a u katolików i w soboty, co cerkiew wschodnia jako kacerstwo piętnowała; dalej posty suchedniowe; ale najbardziej wielki post czterdziestodniowy, zaczy-

nający się w Polsce, wedle dawnego zwyczaju, nie w popielec dopiero, lecz już dwie niedziele przedtem (od niedzieli septuagesimy). W Niemczech ustalił się rychło zwyczaj rzymski zaczynania postu od niedzieli pięćdziesiątnej i gdy w pierwszej połowie XIII wieku Niemcy-koloniści na Śląsku zachowywali swój zwyczaj postny, popadli w konflikt z duchowieństwem polskiem, które swoim zwyczajem postu od siedemdziesiątnicy przestrzegało; za łamanie postu podpadali Niemcy cenzurom kościelnym. Sprawę rozstrzygnął r. 1248 na synodzie wrocławskim legat papieski, polecając biskupom polskim, aby każdego przy swoim zachowywali zwyczaju i nikt o wcześniejsze czy późniejsze zaczynanie nikogo nie strofował. Skutek był ten, że i polski Kościół stary zwyczaj zarzucił i post od popielca zaczynał. Nie dziw, że wobec tych wymagań, łagodzonych tylko półpostami (do południa) lub dozwalaniem w pewne dnie postu wielkiego potraw mięsnych, przychodziło do przykrych starć i że raz nawet, co kronikarz w regułę obrócił, komuś tam i zęby wybito, że postu nie szanował. Woźni i komornicy książęcy dopuszczali się dalej licznych nadużyć pod płaszczykiem nowej wiary i jej wymagań.

## RYCHŁY ZANIK POGAŃSTWA

Mimo to wszystko nie stawiło pogaństwo żadnego czynnego oporu, zadowalało się biernym, nie dawało się wykorzenić, ale nie powtórzyło się u nas nic z tego, co nad Łabą i Odrą, na Rugji i Pomorzu brojono: żadnych wstrząśnień religijnych nie było, ani owej zażartej walki pogaństwa, przeciągającej się tam do drugiej połowy XII wieku, gdy Polska od lat dwustu już była chrześcijańska. Czemu to przypisać? U wszystkich Słowian widzimy bowiem to samo; ani na Bałkanie, ani na Rusi, ani na zachodzie alpejskim czy sudeckim nie podniosła się żadna ręka w obronie starej wiary ojczystej, ani jeden mę-

czennik czy ofiara chrześcijańska nie złożyła między Słowianami-poganami głowy za wiarę; popłakali jedni, pośmiali się drudzy, gdy im bogów do wody wrzucano czy palono, nic więcej. I trudno ujść myśli, że ta wiara i obrządek chyba niezbyt głębokie puściły korzenie, że nie było wpływowych kultów i żerców, coby do buntu podżegali. Temu przeczy na pozór, że dopiero trzecie pokolenie (po przyjęciu chrześcijaństwa) bunt przeciw wierze podniosło w całej Polsce, nie mówiąc o dalekiem Mazowszu. Ale o tej reakcji pogaństwa można, mimo spółczesnego świadectwa niemieckiego i późniejszego Gallowego, nieco i wątpić; źródła ruskie i czeskie o «pogaństwie» milczą; Nestor prawi tylko, że «(po śmierci Wielkiego Bolesława) był w Polsce bunt (miateż), powstali ludzie (t. j. czerń) i pozabijali biskupów, popów i bojar i był u nich bunt». Jeśliby to była reakcja pogańska, dlaczegoż ci poganie oszczędzili właśnie skarby i świątynie gnieźnieńskie, które dopiero Czesi doszczętnie złupili? Poganie zwracali się przeciw świątyniom niemniej niż przeciw kapłanom. To był więc bunt raczej socjalny, niż religijny, ależ nic wygodniej, niż zwalać winę na religję. Jeśli obcy poganie, Lucicy, Pomorzanie, Prusowie w buncie uczestniczyli, nie dziw. Są też luki znaczące w katalogach biskupich, ale głównie szło może o ucisk fiskalny, nie o wiarę (zob. niżej).

Jakkolwiek było, pewna obojętność w rzeczach wiary zdaje się cechować Słowian dawnych i dzisiejszych (przykładem wymownym Ruś sowiecka). Z tego jawnego braku żarliwości[1] wynikła owa dwójwiara w Boga i bożków, nietylko ruska, choć o niej najwięcej świadectw pozostało. Żaden jednak naród sło-

[1] Wyjątek stanowili Słowianie nad Łabą i Odrą, bo broniąc pogaństwa, bronili niezależności i bytu samego przeciw nieludzkiemu wojowaniu książąt świeckich i Kościoła; dopiero w tych walkach zahartowało się ich pogaństwo, napastowane od IX wieku, więc podżegane nienawiścią przeciw ciemiężcom; miecz zawinił, że krzyż nie zapanował rychlej. Tak samo było z Prusami.

wiański nie pozbył się tak doszczętnie wszelkich wierzeń i praktyk pogańskich, jak właśnie polski; nawet u Czechów więcej tego pozostało niż u nas, i gdy A. Fischer polskie obrzędy pogrzebowe opisywał, ciekawszych i starożytniejszych szczegółów wyłącznie z Rusi dobierał; wystarczy porównać naszych Podhalan z Huculami, aby ocenić, jak nasze duchowieństwo wygładziło ostatnie ślady pogaństwa, mimo wszelkiej zachowawczości narodowej; łacińskie brało w tem stale górę nad prawosławnem (zob. niżej).

## MNIEMANE MISJE: IRYJSKA I SŁOWIAŃSKA

Warstwy wyższe, jak to zawsze bywa, wyprzedziły znacznie niższe; książę, dwór, możnowładztwo nawet, były chrześcijańskie, lud pozostał pogańskim, a ponieważ nazewnątrz pogaństwo nie istniało, utracił lud ster wszelki i równowagę, co się właśnie w owym buncie z r. 1037 objawiło. Tak było wszędzie; w Brandenburgu książę i żona byli chrześcijanami, lud Trzygłowa czcił i książę, aby zapewnić byt chrześcijaństwu, kraj Niemcowi zapisał. Podobnie było na Pomorzu albo u Obotrytów, a nie inaczej i u nas. Należy kłaść na to nacisk, bo nieraz mylnie pojmowano to pozornie nagłe, łatwe zwycięstwo chrześcijaństwa. «Musiał już Kościół chrześcijański posiadać silną podstawę w narodzie — naród polski musiał już wtedy dobrze być przygotowanym przez poprzednie prace misyjne... na długo przed Mieszką I Polska pozostawała pod wpływem wsiąkających powoli w jej organizm elementów chrześcijańskich». Mnichom iryjskim przypisano walny udział w tej mniemanej misji. Że jeden i drugi mnich iryjski między r. 966 a 1066 i do Polski trafił, nie myślimy przeczyć; są po nekrologach najdawniejszych klasztorów dwa, trzy najwyżej nazwiska iryjskie, ależ nic nas nie upoważnia odnachodzić tych misjonarzy i przed r. 966.

Nie było żadnej misji iryjskiej przed r. 966, ależ nie było i żadnej słowiańskiej, cyrylo-metodowej z pobliskich Moraw mimo ich odwiecznej styczności z Polską. Napastował książę Wiślan chrześcijan morawskich Świętopełkowych, aż go Świętopełk w niewolę wziął i na obcej ziemi ochrzcił — z tego jeszcze bynajmniej nie wynika, że zarazem i Wiślan samych ochrzczono, byłby niechybnie żywociarz cośkolwiek o tem wspomniał.

Pomimo grobowego milczenia źródeł dziejowych twierdzą, że w r. 966 «chrześcijaństwo zostało podniesione do godności religji państwowej», ale «nie za Mieszki dopiero zapoznała się Polska z nauką Chrystusową. Wpływy chrześcijańskie (z Moraw i Panonji) szły na Polskę z pewnością już przed wystąpieniem Cyryla i Metodego (!) i oczywiście także po ich wystąpieniu.. jeszcze inne wskazówki (oprócz chrztu księcia Wiślan) pouczają o wczesnem ugruntowaniu się chrześcijaństwa nad górną Wisłą. I tak architektura świątyni na Wawelu śś. Feliksa i Adaukta wskazuje niewątpliwie na pochodzenie jej z wieku X... powstanie jej w Krakowie każe przypuszczać zakorzenienie się tam chrześcijaństwa dawniejsze może od chrztu Mieszkowego... pośrednikami w tym procesie (chrystjanizacji) były plemiona czeskosłowackie». Nikt nie zaprzeczy, przy żywych stosunkach handlowych między Pragą a Krakowem, że mógł się dostać i chrześcijanizm na Śląsk i do Wiślan, ależ od takich trafów daleko do szerzenia wiary; kościół św. Feliksa po r. 966 wybudowano, on niczego nie dowodzi. Ale już najmniej wolno myśleć (np. z powodu chrztu księcia Wiślan) o śladach czy wpływach chrześcijaństwa cyrylo-metodyjskiego. Bo w X wieku Praga i Czechy były już łacińskie i obrządek słowiański tlił niepokaźnie w jakiemś zapadłem ustroniu, na jaw się nie wychylał i do Polski nie zaglądał; dowody mniemane, które Polsce a choćby tylko Małopolsce narzucały liturgję słowiańską, krytyki nie wytrzymały i nie myślimy ponownie się z niemi roz-

prawiać: ani (późne) umieszczenie służby patronom słowiańskim w naszych mszałach i brewjarzach; ani wezwania kościołów pod imieniem św. Klemensa (którego relikwje Cyryl odnalazł), ani niejasne zwroty w paru dawnych tekstach;[1] ani ślady sztuki bizantyńskiej po najdawniejszych kościołach nie ocaliły domysłu liturgji słowiańskiej. Więc nie uznajemy chrześcijaństwa innego, niż łacińskie i to dopiero od r. 966; był to czas najżywszego szerzenia chrześcijaństwa za brzegi Łaby do Odry, kiedy to organizował Otto I biskupstwa liczne, a niebawem i arcybiskupstwo (magdeburskie) i zwycięstwo chrześcijaństwa aż po Rugję i Pomorze zdawało się na zawsze zapewnionem, i był najwyższy czas, że Mieszka dobrowolnie przyjął nową wiarę; to w pierwszym rzędzie ocaliło Polskę przed zaborem niemieckim.

## WPŁYW KOŚCIOŁA

Najdonioślejsza to rewolucja w dziejach kultury, chociaż nie odrazu skutki jej się objawiły. Ulżyła przedewszystkiem los niewolnikom, dzieciom i kobietom. Zabijać niewolnika, wysadzać lub sprzedawać dziatwę, napędzać żonę zaprzestawało narazie powoli. Z zakorzenionemi nawyczkami walka była trudna, ale Kościół wkońcu zwyciężył, i dokonał, acz to całe wieki trwało, przemian w stosunkach rodzinnych i majątkowych. W pogaństwie nie było dzieci nieślubnych, skoro je ojciec przyznał; Ko-

[1] Do nich należy zwrot, jakiego księżniczka lotaryńska Matylda użyła, przesyłając r. 1027 Mieszce II, z Bożej łaski królowi polskiemu, księgę liturgiczną *(Ordo romanus)* z listem dedykacyjnym, w którym czci go jako krzewiciela wiary, budującego kościoły, sławiącego Boga w słowiańskim i greckim obrządku. Z dalekiej Lotaryngji nie można było ściślej dostrzegać, co się w Polsce działo, a stugębna fama mogła coś i o Grekach (których i Szczepan węgierski miał u siebie), może z powodu zdobyczy ruskich Chrobrego, napomykać.

ściół, wprowadzając śluby, obostrzył pojęcia tak dalece, że wkońcu odmawiano dzieciom nieślubnym praw dziedziczenia i cześć im wszelką ujmowano (nie mogli piastować urzędów duchownych czy świeckich, nie przyjmowano ich do cechów i t. d.). Natomiast wyrobił Kościół prawa kobiecie. Za pogaństwa była zupełnie wykluczona od wszelkich spadków i dziedzictwa; jej własnością były tylko jej szaty, ozdoby, co z domu otrzymała (nazywano to później *szczebrzuchem* domowym); to dziedziczyły po niej jej córki; to zabierała z sobą poćpiega, gdy dom męża opuszczała, może i to, co mąż jej kiedy podarował. Ten zarodek indywidualnej własności wypielęgnował Kościół, dążąc do jakiegoś równouprawnienia płci, nieznanego wcale pogaństwu. Kobieta posiadła teraz ruchomości, ale obok nich już i nieruchomości, jakie jej mąż podarował lub, jeśli je sam nabył, w testamencie zapisał, albo jakie ona za własne pieniądze nabyła; w XIII wieku już można spotykać dopuszczenie kobiet do dziedziczenia dóbr nadanych i powstaje możność dziedziczenia przez kobiety.

Ale zwycięstwo wpływów Kościoła postępowało nader opornie. I nie dziw, do XIII wieku nie miało duchowieństwo ani tradycji, ani nawet ducha korporacyjnego, bo za mało wyodrębniało się od reszty społeczeństwa. Jeszcze przy końcu XI wieku stwierdzał Koźma, że kapituła praska przed reformą nie miała ani ludzi uczonych, ani różniła się ubiorem od świeckich i po świecku w kościele służyła; przez cały XII wiek żenili się księża, jeszcze r. 1200 pozostawiał Henryk Brodaty miłosierdziu księdza, czy nie uczyni czego dla kobiety i dzieci, które z nią spłodził. Cóż mówić o rozluźnieniu organizacji kościelnej po r. 1037! Nie dziwi więc ta powolność w oddziaływaniu na społeczeństwo.

## AKT GNIEŹNIEŃSKI

W pierwszej chwili, około r. 1000, może były, jeśli wobec milczenia źródeł wnioski wysnuwać wolno, jakieś szersze widoki cesarza Ottona co do Kościoła polskiego. Może jego i Wojciecha uderzył nadzwyczajny rozrost cerkwi greckiej. Już pochłonęła cały Bałkan, stare dziedzictwo Rzymu, który ledwie wąski pas nadmorski ocalił; już pochłonęła olbrzymią Ruś a docierała przez Bułgarję i Siedmiogród do Węgier — Szczepan miał u siebie klasztory greckie i wystawiał dyplomy greckie. Szyzmy wprawdzie otwartej nie było, ale przeciwieństwa wyraźne, ostre spółzawodnictwo, co światowładne plany młodego cesarza silnie krzyżowało. Nie będzie więc może zbyt ryzykowną myśl, że Otto z Wojciechem (?) umyślili Europę przed zalewem greckim uchronić, że uplanowali przeciwstawić mu jako tamę Polskę i Węgry, Polskę w imieniu całej zachodniej Słowiańszczyzny; wystawiał więc Otto dokument w Gnieźnie nie *in Polonia,* ale (co prawda i inni tak pisali, np. żywociarze wszelcy) *in Sclavinia,* a na znanej minjaturze hołdują mu Italia, Germania, Gallia i Sclavinia. Chciał on poznać tę Polonię, przyszłą Sclavinię i pod pozorem pielgrzymki do grobu przyjaciela wyruszył do Poznania i Gniezna. W ostatniej chwili odmienił poniekąd zamysł: metropolę, porękę przyszłego królestwa, wraz z włócznią św. Maurycego, oznaką tegoż, oddał Bolesławowi, ale koronę królewską kazał z Rzymu wysłać Szczepanowi, nie dając Węgrom narazie metropoli, chociaż korona za nią ręczyła. Metropolę ustanowił w Gnieźnie, nie w stolicy, w Poznaniu, bo tam rezydował już biskup, którego ani usunąć ani Gnieznu poddać nie mógł; zresztą i na Węgrzech stolica była w Alba Regia, a metropola w Ostrzegomiu.

Górnolotne zamysły Wojciecha (?) i Ottona nie ziściły się; ich miejsce zajęła zacięta walka z nowemi Niemcami. Korzystając z niesnasek Przemysłowiców, zajął Chrobry i lenno

niemieckie, Czechy, ale nie uznał dla nich zwierzchnictwa niemieckiego, więc połączył natychmiast króla Henryka z Przemysłowicami przeciw sobie i Pragę stracił rychlej, niż ją zdobył, a gdy Czechy utracił, i Moraw nie był pewny i może jeszcze za życia odpadły od niego.

Misję św. Wojciecha wyzyskał znakomicie Chrobry, ale nie on ją wywołał ani nawet nią nie pokierował. Nie miał on w sobie nic z Ottonów i Sylwestrów, Wojciechów i Brunonów, może nawet nie dorównał pod tym względem Szczepanowi; misja wyszła wyłącznie z własnej inicjatywy Wojciechowej. Wyboru nie było; zachodnia Słowiańszczyzna zdawała się już ochrzczoną, niby jak Czechy (najgorliwsi Luciców sprzymierzeńcy!), a tego chrześcijaństwa czeskiego miał Wojciech aż nadto, przed niem uciekał. Zgóry więc o Prusach myślał i Chrobry mu tylko początki ułatwił, jak później, o wiele wydatniej co prawda, Krzywousty Ottonowi; wykupił jego zwłoki i przeniósł do Gniezna, nie do stolicy, Poznania, bo już kiełkowała w nim myśl uniezależnienia przyszłego wielkiego Kościoła polskiego od biskupa poznańskiego, który mu chyba nie szedł na rękę. Natomiast powziął on plan organizacji tego Kościoła i gotowy przedstawił Ottonowi, który w szczegóły sam wchodzić nie mógł; złożył przez to Chrobry dowód genjalnej przezorności politycznej; Kościół był mu raczej narzędziem, niż celem. A tak zapatrywali się Piastowie i nadal na Kościół, aż do XIII wieku; społeczeństwo im wtórowało.

Urządził więc i wyposażył Chrobry pięć biskupstw polskich, wyłącznie na zachodnim skrawku państwa, od Kołobrzegu do Krakowa i Wrocławia — jakby o wiele większej, wschodniej Polski nie było, jakby osobne ziemie mazowiecka, łęczycka, sieradzka, sandomierska nie istniały. Granice diecezjalne zgadzały się z szczepowemi, jak później jeszcze granice dziekanatów, w Polsce dopiero od XIII wieku ustalone, odpowiadały granicom grodowym, tak że te dawniejsze wedle owych

nowszych określać możemy, choćby w przybliżeniu. Rozumiemy biskupstwo pomorskie, śląskie, małopolskie, ale dlaczego wielkopolskich aż dwa? Wszak nie było żadnej różnicy szczepowej między Polanami gnieźnieńskimi a poznańskimi; oba dzieliła tylko «administracja», że tak powiemy, bo i Gniezno i Poznań były «czołami» ziemi jednej, jak Kołobrzeg i Gdańsk, Kraków i Sandomierz, Krosno i Wrocław. Roku 966 ustanowiono biskupstwo w Poznaniu nie dlatego, aby nie prowokować mniemanego arcypogaństwa gnieźnieńskiego (ono było w Poznaniu takie samo), ale ponieważ Poznań był stolicą państwa Mieszki i Chrobrego; Gniezno zaś zostało metropolą, bo posiadało zwłoki św. Wojciecha, a ta świętość rozstrzygnęła — inna rzecz, że już przeniesienie tych zwłok do Gniezna właśnie było chyba planowe. Dwa biskupstwa wielkopolskie nie dowodzą więc jakichś różnic szczepowych.

Nowa wiara znachodziła jednak i śród ludu gorących, nietylko obojętnych wyznawców; jakich, opowiada św. Bruno w żywocie «pięciu braci» z r. 1003. Bo oto wysłał cesarz Otto znowu do Sclavonii, nie do Polonii, dwu Włochów-benedyktynów; ci uczyli się w pustelni po polsku, gotując się do misji śród pogan; przystali do nich dwaj Polacy, bracia rodzeni, Izak i Mateusz, których siostry były zakonnicami; mieli uczniów i świątników (przydanych do ich służby), Krystyna (kucharza) i in.; lud okoliczny już się cisnął około żywopłotu, dziwiąc się, że pustelników długo nie widać; po pogrzebie zabitych bawił ksiądz z chłopcami (do mszy) w pustelni; niebawem zebrał się tu cały konwent (z nowicjuszem Mojżeszem, stareńkim księdzem i z innymi); obcy przychodzili słuchać mszy św.; bratu Jędrzejowi oznajmili we śnie święci, aby (a już rok cały minął) uprosił u Bolesława życie zbójów uwięzionych; Bolesław przeznaczył ich na świątników, a rodziny i majątku grabić nie kazał. Inny Polak, św. Wszerad (albo z ludową polską przestawką: Świerad), zjawił się eremitem i zakonnikiem w kraju

rodzinnym małopolskim i na Śląsku, a na Węgrzech w klasztorze św. Hipolita i w pustelni żywota świątobliwego dokonał, czczony pod wszelakiemi imionami;[1] dziwy opowiadano o jego ascezie; Polak na Słowaczyźnie osiadł wkońcu, ziomków bliższych rzucił.

## ŹRÓDŁA CHRZEŚCIJAŃSTWA POLSKIEGO

Skąd przyszło chrześcijaństwo? Kronikarze, obcy i nasi, wywodzą je od czeskiej Dobrawy, a całe słownictwo kościelne z tem się najzupełniej zgadza. Trzy czwarte jego pochodzą z czeszczyzny: *pop* (zastąpiony przez *księdza,* ale i to zastępstwo jest czeskie, nie polskie, od XV wieku); *cerkiew* (zastąpiona mniej więcej spółcześnie przez *kościół,* co również czeskie); *papież* i *biskup; chrzest* i *post* z urobieniami; nazwa *niedzieli* i reszty dni tygodniowych; *krzyż* i *msza; komża* i *ołtarz; żak* i *klasztor; mnich* i *błogosławić* (z *a,* nie *błogosłowić,* jak w cerkiewnem); nazwy świętych Pańskich w czeskiem brzmieniu, np. *Jerzy; jałmużna* i *gromnica; (kaplica)* i *kapłan; kmotr* i *kierlesz* (Kyrie eleison); *żegnać* i *Bogurodzica; proboszcz* i *opat; kazanie* i *suchedni; arcybiskup* i *dziekan; kruchta* i *ofiara; ka-*

[1] Nie znaleźć łatwo innego świętego o tak odmiennych nazwach i genealogji; zjawia się najczęściej jako Zoerardus, Zuirardus, Seohardus, Sucradus i t. d. Kult jego główny na Węgrzech, w Nitrze, gdzie czczono jego i ucznia jego Benedykta, również Polaka, co go o trzy lata przeżył; zginął zrzucony przez zbójów z Skałki do Wagu, gdzie orzeł nad nim czuwał. Świrad zwał się w klasztorze Andrzejem; u nas żył w pustelni w Tropiu nad Dunajcem, urodzony pod Opatowcem (Zakliczyn). Na Śląsku żył pod Olawą, gdzie mu poświęcono kaplicę; po jej spaleniu przez Husytów przeniesiono ołtarz do fary olawskiej r. 1468. Na Śląsku uchodził chłopek (tak go węgierskie źródła, np. Maur, biskup pięciokościelski, co go na własne oczy widział, a od Benedykta wiele o nim słyszał, określają) za syna królewskiego rodu, ależ to wierutna bajka. Węgry Stefanowe miały dziwną siłę przyciągającą.

*cerz* i *nieszpor; prałat* i *przeor; kielich* i *opłatek; małżonek* i *djabeł; pielgrzym* i *bierzmowanie* i t. d.

Sami Czesi jednak nie wytworzyli tego słownictwa; wyszło ono od misjonarzy niemieckich, którzy z Salcburga, Passau i Regensburga między Słowianami alpejskimi i na Morawach w VIII i IX wieku pracowali; nawet grecy soluńscy, Cyryl i Metody, w misji morawskiej, przejęli to gotowe słownictwo do swej liturgji; wkońcu przez Czechów i nas doszło. Temu niezbitemu faktowi językowemu przeciwstawiają wszyscy i zawsze, że Czechów w X wieku samych nie stać było na księży dla Polski przy ich własnem kruchem chrześcijaństwie, ależ znaleźli się w orszaku Dobrawy jeden i drugi w Poznaniu, a niebawem i pierwsi Polacy i tak szerzyły się te czeskie zasoby; stosowali się do nich i księża niemieccy, bo średniowiecze nie kusiło się nigdy o podejmowanie nowej roboty, na miejsce dawnej. Niemcy bowiem, szczególnie w wyższych dostojeństwach, przeważali w pierwszych dziesięcioleciach; nazwiska biskupie, oprócz Radzima gnieźnieńskiego, wszystkie niemieckie; znani z nazwiska opaci Chrobrego, Tuni i Astryk, to Niemcy. Księgi liturgiczne i tablice paschalne szły z Fuldy, Regensburga, Kolonji; z niemieckich kościołów biskupich i klasztornych szerzyły się wezwania i imiona, np. *Imbram* (Imbramowice) z Regensburga (Ratyzbony) się wywodzi, gdzie tego świętego szczególnie czczono (klasztor św. Emmerama tamże). Arcybiskup magdeburski, niby metropolita Sklawinji, rościł jeszcze w XII wieku pretensje do Kościoła polskiego jako podległego Magdeburgowi, ale cios zabójczy tej supremacji niemieckiej położył już ów bunt r. 1037, bo na rozerwaniu więzi państwowej najwięcej ucierpiał młody jeszcze Kościół; jego byt zdawał się zagrożonym i na razie nic nie nęciło Niemców do Polski.

Odnowiciel państwa i Kościoła przybywał jednak z Kolonji, z pod opieki wuja-arcybiskupa, którego prowincja i Flandrję obejmowała. Kościół wracał w swe prawa powoli, państwo

go wyprzedzało. Restauracja szła od Krakowa i Gniezno na czas długi jakby utraciło metropolę (przeniesioną nawet *de facto* do Krakowa?); o biskupstwie pomorskiem, które Chrobry w Kołobrzegu założył, dawno (jeszcze przed r. 1037) nawet słych zaginął; krakowskie i wrocławskie najmniej chyba ucierpiały; poznańskie po śmierci dwu pierwszych biskupów, co uchodzili jakiś czas nawet za sufraganów magdeburskich, wcielono do prowincji polskiej. Mimo rozchwianej zupełnie organizacji (biskupi wahali się co do konsekracji, szukali jej w kraju i poza krajem), której i Kazimierz nie odnowił zupełnie, zajęty walkami na wsze strony, nawiązał Śmiały bezpośrednie stosunki z Rzymem, z Grzegorzem VII, który w nim witał niby sprzymierzeńca w walce z Henrykiem IV, i Kościół polski uniezależniał się od Niemców.

Nie obojętne są wezwania naszych najdawniejszych kościołów. Na Wawelu św. Gerona, śś. Feliksa i Adaukta, sprowadził Kazimierz I wprost z Kolonji, od wuja arcybiskupa; św. Wojciech dla Gniezna był zgóry upatrzony, a od kościołów Wojciechowych roiło się w Polsce (por. kościółek jego na rynku krakowskim i in.). O małopolskich kościołach pod wezwaniem św. Klemensa mniemano niegdyś, że dowodzą obrządku słowiańskiego w Polsce pierwotnej, bo apostołowie słowiańscy szerzyli cześć św. Klemensa, którego zwłoki z morza wydobył Konstanty-Cyryl, i istotnie od Moraw na południe możnaby kościoły Klemensowe uważać za drogowskazy misji morawskiej obu braci, ale małopolskie kościółki Klemensowe pochodzą z czasów późniejszych, zawdzięczając istnienie Klemensom Gryfitom, nie apostołom słowiańskim. Ciekawe, jak się mnożą w XII wieku kościoły pod imieniem św. Godeharda (Gotarta); niemiecki to święty, biskup saskiego Hildesheim, chociaż Bawarczyk rodem, niemal w sto lat po śmierci kanonizowany przez papieża (roku 1131), zażywał właśnie we wschodnich Niemczech, na ziemi słowiańskiej, czci nadzwyczajnej, pielgrzymował do niego sam

Krzywousty; przeniesienie tej czci spółcześnie niemal do Polski (kościoły w Poznaniu, Kaliszu, Włocławku) dowodzi siły wpływów niemieckich. Liczne są kościoły św. Michała (dwa w Krakowie naprzeciw siebie, na Wawelu i Skałce) i św. Jerzego, jako pogromców djabelstwa-pogaństwa i smoka-pogaństwa; rycerscy to święci; starożytne jest wezwanie św. Wita. Częste imię Lambert i u Piastów (drugie to imię Mieszki II), i między biskupami polskimi, poszło od św. Lamberta, patrona katedry leodyjskiej (Liège); klasztor benedyktynów Lubiński (założony przez Habdanka Michała około r. 1070) zasiedlili mnisi z klasztoru św. Jakóba w Leodjum; nekrolog lubiński wspomina nieraz imiona leodyjskie (opatów i biskupów, np. biskupa Balderika, por. i wieś *Bałdrzychów).*

Klasztorów było za Chrobrego niewiele, w Trzemesznie (za św. Wojciecha), w Międzyrzeczu, w Kazimierzu pod Poznaniem, a były już przy klasztorach męskich i żeńskie; w ciągu XI w. przybyło ich więcej: Tyniec, który nad innemi benedyktyńskiemi, najsuciej zaopatrzony, objął zwierzchnictwo; dalej Mogilno, Lubiń. Tak wkraczał Kościół na tory jakiegoś rozwoju.

Dowodzi tego między innemi i samo słowo *ksiądz.* Opowiada Gall, że Chrobry tak czcił biskupów i swoich kapelanów, że nie ważył się siedzieć, gdy oni stali i inaczej ich nie nazywał, tylko panami *(dominus).* Mowa tu o honorowej tytulaturze średniowiecznej przez *dominus,* co Czesi i Polacy nie mogli inaczej wyrazić niż przez *ksiądz,* skoro *pana* w X i XI wieku jeszcze nie znano, a *gospodin* 'pater familias' do tytulatury podobnej nie bardzo się nadawał. Ale ta rzecz jest starsza niż Chrobry, bo już w słowiańskiej legendzie o św. Wacławie z X wieku popi otaczający biskupa nazwani «kniazi». Z tej czeskopolskiej tytulatury średniowiecznej urojono sobie świeżo, że *ksiądz* 'dominus' i 'sacerdos', to połączenie władzy cywilnej i sakralnej, zawdzięczają Słowianie (ależ na wschodzie i południu u nich tego wcale niema i nie było!) Germanom, ich

łączeniu obu władz, co jest oczywiście wierutną bajką; rzecz to X wieku, nie wcześniejsza. U nas *ksiądz* zawsze jeszcze w XV wieku *pana* oznaczał albo *księcia;*[1] duchowieństwo czeskie w XIV wieku nie zadowalało się już tym tytułem i domagało się jeszcze *pana,* z czego się Tomasz z Szczytnego śmiał. Dopiero w XIV wieku utraciło *ksiądz* zupełnie znaczenie *książęcia* i *pana* i utrzymało się tylko w urzędowej tytulaturze, Wielki ksiądz litewski. Szczegóły dalsze językowe pomijamy, np. skąd obok *cerkwi* i *cyrkiew,* a nazwa miejscowa *Cerekwica?* jakim sposobem *kmotr* i *kmoszka* nie z łac. *compater,* ale z *commater* powstały?; jak *Bogurodzica* miejsce *Bogorodzicy* zajęła, a od XVI wieku i przed *Bogarodzicą* ustąpiła?[2]

## USTRÓJ KOŚCIOŁA

Chrześcijaństwo i autonomja kościelna zabezpieczyły mocarstwo nazewnątrz, ale oddziałały jeszcze nierównie silniej nawewnątrz. Kościół zespolił się z władzą świecką i przyłożył się niebawem najskuteczniej do ocalenia narodu z grożącego mu rozbicia; nic już nie rozerwało duchownej jedności kraju, a zarazem mógł się książę opierać na duchowieństwie; monarchizm z bożej łaski miał w niem wiernego sprzymierzeńca. Cóż dopiero kultura! Dzieło to Kościoła; on stworzył szkołę, naukę i księgi; on postawił zadania sztukom pięknym, od architektury do rzeźby i śpiewu, a niwę duchową przeorał jak nikt i nic przed nim ani

---

[1] *Ziemia księża* znaczy tylko ducatus Masoviae, ziemia księstwa mazowieckiego; albo *pan:* przed Wami... oćcem i księdzem księdzem (domino domino!) Jakubem i t. d.; ksiądz proboszcz z księdzem jarcybiskupem dał, r. 1402; ksiądz opat nie chciał, 1398 i tak zawsze.

[2] Takież to złożenie jak i *Bogumił, Boguchwał, Bogudarka;* raz zapisano *Bogomil* r. 1146, zawsze *Bogusław, Boguchwał* i t. d.; raz *Bogodan* obok *Bogdan* i takie skrócenie częstsze, jest i *Bogmił* i *Bogfał,* por. nawet *Busław* obok *Bogusława* i *Budka.*

po nim. Historja wczesnej kultury średniowiecznej u nas jest historją Kościoła.

Jakiż był ten Kościół w chwili chrztu Mieszkowego i najbliższych pokoleń? Były to czasy jego najgłębszego poniżenia, moralnego i politycznego; zaczęło się to w IX wieku (po Janie VIII), a przeciągnęło do połowy XI-go. Kościół zeświecczał zupełnie, a z nim i jedyny benedyktynów zakon (czarnych mnichów); biskupi walczyli (r. 907 padli w walce pod Presburgiem arcybiskup i dwaj biskupi!), co im prawosławni ostro wytykali, a byli zresztą politykami u dworu, wyjątkowo chyba pasterzami trzody im powierzonej; zakon pływał w dostatkach i latyfundjach, zaniedbywał naukę, zapominał o karności i ślubach. Byli jednak gorętsi po kapitułach i klasztorach, co się wyrywali do pustelni albo na misje śród pogan, aby uchodzić zgorszeniu; a ich przykład działał i wiek XI wyzwał nakoniec do walki: Klunjak przeciw zakonnemu upadkowi, Grzegorza VII przeciw władzy świeckiej; oboje zwyciężyli.

Odgłosu tych walk nie zaznała na razie neofitka Polska. Przez dwa pierwsze wieki (966—1170), mimo kilku świetnych manifestacyj, cerkiew polska (bo tak się jeszcze nazywała), nie puściwszy głębokich korzeni w ludzie, nie złączona silnie z Rzymem (nie chciała nic słyszeć o obedjencji rzymskiej i opierała się Rzymowi), zawisła zupełnie od księcia; książę mianował biskupów i sądził ich jak swoich urzędników; stąd ów konflikt Śmiałego z biskupem krakowskim, oskarżonym o zdradę i ukaranym, jak sąd świecki wymagał.[1] Popów i cerkwi było mało;[2]

---

[1] Zdradą były może jakieś konszachty czeskie, bo zwrócił się odrazu front polityki polskiej od Grzegorza VII ku Henrykowi IV i Czechom (por. oba ożenki Władysławowe); grobowe milczenie praskiego Koźmy o tem, co znać musiał, daje zbyt do myślenia. Bunt szlachty w wyprawie kijowskiej r. 1078/9 jest późną bajką, zob. niżej.

[2] Nie brakło relikwij; śród bogatych darów, jakie Krzywousty i żona Salomea, a nawet jej służąca, Bilhild, klasztorowi niemieckiemu

byli po grodach i u możnowładców, ale kapły (kaplice) z kapłanami nie miały mocy udzielania sakramentów ani kazania, zawarowanego dla biskupa i dla tego, któremu on zdał czy polecił ten obowiązek. Cerkwie znachodziły się po grodach i po kastelach możnowładców, nieraz obwarowywano je same dla większej pewności, «inkastelowano» je, i stąd poszła nowa ich nazwa, *kościół* z łac. *castellum*, z zachodu, z Łużyc i Czech. Księża nawet ubraniem (oprócz tonsury i w czasie służby kościelnej) nie różnili się od świeckich, nosili broń jak ci, pojmowali żony taksamo i w wyższych święceniach — tylko w klasztorze obowiązywał bezwzględnie ślub czystości, nawet t. zw. konwierszów (*fratres conversi*, na poły laicy, co mieli zakonnikom ulżyć pracy ręcznej); synowie księży obierali zawód ojcowski. Obcy przybysze bywali bezżenni, a za ich wzorem szło powoli i duchowieństwo krajowe; już w ciągu XII wieku panował, a w XIII stał się celibat obowiązującym, chociaż zachodziły i teraz jeszcze wyjątki, jak ów sędziwy kanonik krakowski, ojciec licznej rodziny, ceniony bardzo dla wszelakich przymiotów. I zasklepiał się powoli stan duchowny, odcinał od świeckich i już przez to wyjątkowe położenie nabierał znaczenia, jakie świeckiemu klerowi wschodniemu, nie znającemu celibatu, nigdy nie przypadło; tem skuteczniej mógł później Kościół tępić wszelkie nadużycia, np. resztki pogaństwa, wobec których pop ruski, żyjący z ludem jak jemu równy, nie mógł radzić, chyba kompromisem, nadając obrzędowi pogańskiemu święcenia chrześcijańskie.

Na katedrach biskupich zasiadali obcy, i zaznaczał po wiekach Długosz wyraźnie, kiedy je pierwszy Polak obejmował, chociaż jego wiadomości bynajmniej nie prawdziwe. Walter,

---

przysłali, były i zęby Jana Chrzciciela, Pankracego, Cecylji; ogniwa z łańcucha św. Piotra; cząstki mleka Marji, krwi Chrystusowej i większy ułamek drzewa krzyżowego.

biskup wrocławski, i jego brat Aleksander, biskup płocki (1129—1156), byli Flandrami, z Malonne w diecezji leodyjskiej; wprowadził Walter do Wrocławia służbę kościelną, *officium laudunense*, t. j. wedle trybu kościoła w Laon. Liczba biskupstw się pomnożyła, o Płock dla Mazowsza i o Włocławek, gdzie rezydował biskup kujawski, dokąd przeniesiono z podupadłej Kruszwicy jego siedzibę; jego diecezja sięgała i na Pomorze, przynajmniej wschodnie, które dla Polski zabezpieczyły wyprawy Krzywoustego; założył to biskupstwo może Śmiały; dalej lubuskie, niby dla Luciców, założył Krzywousty nad Odrą.

W pełnieniu rozległych obowiązków pomagali biskupom księża, całe ich kolegjum, z którego wyłoniła się zczasem kapituła, złożona z kanoników, t. j. księży żyjących wedle kanonu (reguły), niegdyś może i zakonników (benedyktynów), później księży świeckich, o spólnem pierwotnie pożyciu, a różnych urzędach duchownych i wedle nich nazywanych: dziekan, archidiakon, prepozyt, scholastyk (uczący, później dozorujący nauki w szkole katedralnej), kantor (nad śpiewem), kustosz. Tych urzędów bywało w Niemczech sześć, siedm w Polsce (tu przybył kanclerz); wyróżniały się dostojeństwem (prałaci) od reszty kanoników, których liczba wzrastała, skoro ofiarodawca, biskup, książę czy in., wyposażył nową «prebendę»; tak liczyła kapituła wrocławska w XII wieku czternaście prebend-kanonikatów, r. 1212 już dwadzieścia pięć, później jeszcze więcej. Kapituła żyła pierwotnie z dochodów i stołu biskupiego, ale już w ciągu XI w. wyodrębniła się w swojej organizacji i dochodach, które jej z wyposażenia biskupa wydzielano, nabrała więc zupełnej autonomji; bez jej zgody nie mógł biskup niczego z swych praw i majątku uronić; zbierała się na posiedzeniach, w których wszyscy winni byli brać udział; w XIII w. uzyskała prawo obioru biskupa; i dla niej było pierwotnym celem polepszenie karności i życia.

Obszerne diecezje biskupie dzielono z czasem na okręgi

o różnych rozmiarach, archidiakonaty; największy był krakowski; najosobliwszy czersko-warszawski, bo należał do biskupstwa poznańskiego, jako ostatni znak tego, że niegdyś biskupstwo poznańskie całą miało obejmować Polskę. Archidiakon, pierwotnie, jak z nazwy wynika, przełożony nad niższym klerem, został wkońcu pomocnikiem biskupa, niby jego delegatem, sprawował w swoim okręgu sądy, wizytując, a był poniekąd i urzędnikiem skarbowym; urząd jego w Polsce (inaczej niż w Niemczech, a tak jak na dalszym zachodzie) był stałą prałaturą. Pierwszego archidiakona wymienia Gall przy arcybiskupie, z którym objeżdżał diecezje r. 1108; do końca XIII w. były te okręgi, nie pokrywające się z żadnym innym podziałem, już ustalone; oznaczył je biskup.

Późniejszy był podział na dziekanaty (ich kilka obejmował archidiakonat, przywiązany do czołowego grodu), obejmowały kilka lub kilkanaście parafij. Tych było pierwotnie mało; każdy gród kasztelański był i parafją; dopiero w ciągu XII w. rozrosły się liczebnie, wyłaniając się z kapeł-kaplic rycerskich; były niegdyś bardzo obszerne, ogarniając do kilkudziesięciu wsi; jeszcze na początku XIV wieku do parafji odmachowskiej (na Śląsku) należało dwanaście wsi dziesięcinnych, cała zaś ziemia nisko-odmachowska liczyła 61 kościołów parafjalnych. Plebanów-kapłanów wyposażał biskup z dziesięcin, które stanowiły pierwotnie jego największy dochód *(ius episcopale; ius parochiale* zwało się *mesznem);* składane pierwotnie dobrowolnie, odmieniły się już za czasów karolingskich w dań obowiązkową za wzorem starozakonnym; pojmowano je jako symbol władzy boskiej nad światem, albo też jako pożywienie sług bożych w domie bożym. Dziesięciny biskupie pobierano pierwotnie ze wszystkich dochodów książęcych (z jego monopolów, z targów, myt, kopalni i t. d.), ale dziesięciny z tych «regaljów» giną w XIV wieku. Do dziesięcin przybywało wyposażenie w ziemi; biskup otrzymywał rzadziej całe kasztelanje, częściej wsi luźne, które

zaokrąglał, kupnem czy darem, w całkowite «klucze»; i pleban otrzymywał oprócz dziesięciny kilka łanów.[1] Kilka parafij tworzyło dziekanat; dziekan z swojej parafji nadzorował inne, objeżdżał je, czuwał nad moralnością księży, zwoływał ich dla omawiania spraw spólnych. Kościoły polskie, biskupie czy inne, były jakby własnością książąt czy rycerzy; po śmierci biskupa książę grabił pozostałe ruchomości, narazie więc nie przychodziło w Polsce do sporów o inwestyturę; dopiero w XIII wieku, w r. 1210 i 1211, uwolnił się Kościół z tych więzów; świeckie prawo własności stopniało do prawa patronatu prostego.

Mnożyły się nadzwyczaj klasztory, bogato i przez wielmożów wyposażane, co o wzmożeniu się uczuć chrześcijańskich świadczyło, ale żaden już nie dorównał Tyńcowi i jego opatowi o stu wsiach. Najwięcej było benedyktyńskich; oprócz wymienionych wyżej, jeszcze na Łyścu (Łysogórze) świętokrzyski (od relikwji tak nazwany), Sieciechów, Jeżów, w Gnieźnie, Krakowie, Wrocławiu (u św. Wincentego). Obok nich kanonicy reguły św. Augustyna, w Trzemesznie (gdzie zastąpili benedyktynów, wprowadzeni przez Krzywoustego), Czerwińsku, na Sobocie

[1] Całe słownictwo kościelne jest obce, składa się z nazw łacińskich (przejętych wprost, jak *pleban, dziekan* i t. p. lub za pośrednictwem niemieckoczeskiem), albo tłumaczonych, jak *dziesięcina* z *decima, klucz* z *clavis* używanego obok 'curia' w tem samem znaczeniu) i t. p. Są jednak czasem dla tych obcych instytucyj nazwy oryginalne, domowe, np. dla parafji. Parafja (z ludowem *f* zamiast *ch, parochja,* a obok niej później z niemieckiego *fara* i *fararz,* z *Pfarre),* diecezja, dystrykt, zwały się *gonitwą* i *okłocią. Honitva* 'dioecesis' dają czeskie słowniki (r. 1365) i psałterze; u nas *in commune,* w gonitwę, składano dziesięcinę (zob. niżej); *okłoć,* rosyjskie *okołotok* (część miasta, kwartał), znany z Mazowsza z r. 1428. Trudno nam dociec przyczyn przenośni; *okłoć* wiąże się z kłóceniem, mieszaniem; *gonitwa* może z terminami sądowemi (czeski *pohon* i t. p.), ale jak? Mają i inni Słowianie podobnie dziwne nazwy, np. staroruskie *verv* 'dystrykt', dalmatyńskie *verv* 'zadruga', chociaż to słowo tylko 'powróz, więzy' znaczy. Kluczem nazywano dobra, bo dochody ich pod kluczem *(clavis)* klucznik *(claviger)* chował.

Śląskiej (przeprowadzeni stąd do Wrocławia na Piasek). Nowy zakon premonstratensów, niby obostrzeni benedyktyni (ale i ostrze ich reguły stępiało rychło w praktyce życiowej), byli u św. Wawrzyńca pod Kaliszem, w Brzesku, Strzelnie, Płocku (?). Nawet joanitów, bożogrobców, templarjuszów osadzano w Zagościu, Miechowie, Opatowie. Klasztory dla zakonnic były w Busku obok męskiego, później osobne w Strzelnie i Płocku (norbertanki). Wszystkie stały pod nadzorem biskupim; dopiero w XII wieku dostały się niektóre, np. Trzemeszno, pod bezpośrednią zwierzchność papieską.

Ale już w XII wieku przestali benedyktyni (czarni mnisi) wywierać szczególniejszy urok; najznaczniejsze ich fundacje należą wszystkie do XI-go, a w XII nierzadkie przykłady, że ich zakon zastępowano innym, a książęta i wielmoże nowe wyszukują zakony. Ulegli widocznie zupełnemu zeświecczeniu; w XI wieku stanowili jakiś czas prawą rękę biskupa, ale po urządzeniu kapituł z księży świeckich utracili i tę rolę, a do nowej się nie wznieśli. Byli gospodarzami, szczególniej w swoich ogródkach, wyręczali się na polu i w lesie robotnikami (przypisańcami), ale brak jakiejkolwiek ruchliwości duchownej (o żadnej misji ani pomyśleli i duchowej; lenili się chyba nawet do odpisywania przywożonych czy zakupywanych rękopisów, zadowalając się niezbędnemi obrządkowemi (brewjarzami i t. d.). Prawda, napady (np. czeskie!) i pożary wiele, a raczej najwięcej poniszczyły, mimo to odczuwamy jakiś brak gorliwości w tych zamożnych klasztorach, równających się bogactwem materjalnem obcym, ale jakżeż od nich dalekich co do zasobów umysłowych. Dzieje ich ciekawe ekonomicznie, mniej kulturalnie. Panowali oni z swych wyniosłych siedzib nad całą okolicą, ale nie nad umysłami.

Oprócz kościołów biskupich, klasztornych, kaplic-kościołów książąt i wielmożów, były i kościoły kolegjackie. Kolegjaty naśladowały kapituły biskupie; księża świeccy zrzeszali się tu,

mając pierwotnie spólny majątek (dopiero później rozdzielony na prebendy poszczególne), prowadząc życie spólne, obowiązani do spólnych modlitw i obrzędów, zbierając się w stałych posiedzeniach i wydając dla siebie statuty, wszystko jak po kapitułach, a i tu był ten sam cel, podniesienie karności, już przez wzajemną kontrolę. Wobec licznych kolegjat czeskich było ich w Polsce pierwotnie niewiele (temu samemu celowi służyli zresztą owi «kanonicy regularni» św. Augustyna); stosunkowo najwięcej powstało w drugiej połowie XII wieku w Małopolsce. Biskup krakowski Gedko, «pasterz świątobliwy», ufundował kolegjatę w Kielcach r. 1170; 1185 na Kleparzu pod wezwaniem św. Florjana (zob. niżej), przy spółudziale księcia Kazimierza, który ją bogato wyposażył (ród książęcy posiadał prawo patronatu; tę to kolegjatę oddano r. 1400 na wyposażenie nowego uniwersytetu); potem przystąpiły jeszcze sandomierska (roku 1191), a wreszcie opatowska około r. 1200.

Tak wzmagały się w drugiej połowie wieku, niby wróżby rychłej, stanowczej odmiany, znakomite fundacje klasztorne i kolegjackie, a zarazem powstawały liczne kościoły parafjalne z kaplic dawnych, więc ci, co je obsługiwali, zatrzymali dawną kapłanów nazwę; odgraniczano je i ustanawiano dziekanów dla nadzoru nad niemi przez wizytacje i zebrania; dopiero wtedy zaczęło się poważnie uchrześcijanienie ludu.

## RUCH RELIGIJNY I NOWE ZAKONY

Ruchu religijnego nie było dawniej żadnego; romańskie wyprawy krzyżowe, które z początku nawet Niemców nie porywały, obiły się o granice polskie bez śladu; że jeden lub drugi wielmoża na «pąć» do Jerozolimy się wybrał, a nawet w krucjatach uczestniczył (Włodzisław II, a inny z Andrzejem węgierskim r. 1217), rzeczy nie zmienia. Wymawiano się, co i Niemcy czynili, że ma się pogan, z którymi walczyć należy,

pod bokiem; ależ Lucicy już dogorywali, Pomorze było nawrócone, więc zostali tylko Prusowie i Jaćwież, a do nich przyłączyła się po r. 1056 i Ruś szyzmatycka, którąby «nawracać» należało. Z Prusami walczono ze zmiennem szczęściem; wkońcu ich tylko rozdrażniono, tak że korzystając z słabości dzielnic przeszli z roli odpornej do zaczepnej i tak dokuczyli Mazowszu i Kujawom, że Konrad Mazowiecki po nieudałych innych próbach zawołał na ich zwalczanie zakon N. P. Marji niemiecki, w ziemi chełmińskiej go usadził i wyposażył i największego wroga Polsce przysporzył.

Już w XII wieku nie brak luźnych pątników do miejsc świętych. Do słynnego dla swej kultury klasztoru prowansalskiego św. Idziego [1] wysłał Włodzisław dla uproszenia potomka za poradą Francuza, biskupa poznańskiego, figurkę dziecięcą złotą i niemały kielich złoty, srebro i ornaty, a syna zato uzyskał. Otóż podczaszy Krzywoustego, Sieciech, w oblężeniu Szczecina ślubował przed bitwą się spowiadać, ale zawsze o tem zapominał i cieszył się, że mu się i tak dobrze wiodło; zasłabłszy, towarzyszył księciu na łowach, napadł go żubr i miotał nim w powietrze; bliski śmierci ślubował pąć do św. Idziego i tym razem, zdrowie odzyskawszy, słowa dotrzymał i nie dawszy się poznać, klasztor nawiedził, bo, dodaje spółczesne źródło, jest zwyczajem znacznych osób na obczyźnie ostrożność wielką zachowywać, ale księża i świeccy, co z tego kraju (z Polski) do nas dla modłów przybywają (!), to nam opowiedzieli (mnichom francuskim).

Owe przykłady świadczą, że osoby luźne, pod wpływem grozy czy przypadku, pąci odbywały. Brato- czy ojcobójca np., w łańcuchu odwiedzał miejsca święte, i Rzym wkońcu, aż w gorącej jego modlitwie łańcuch zeń spadał. Krzywousty i bez łań-

---

[1] Polacy zatrzymali łacińską formę poprawną, Aegidius, co Francuzi i Czesi z Aegilius pomieszali: Saint Gilles, Ilji.

cucha do grobów św. Szczepana i św. Wojciecha za zabójstwo Zbygniewa pątnikował. Na ogół ludzi takich wzruszeń religijnych rozciągać jeszcze nie uchodzi, boć i samo duchowieństwo nie odznaczało się jeszcze zbytnią gorliwością; nawet o bratniem Pomorzu swego czasu, cóż dopiero o obcych Prusach i Jaćwieży, ani pomyślało, zostawiając tę pieczę cudzoziemcom. Cudze ręce gładkie, lecz niekorzystne, bo za bardzo wydatną pomocą polską niemiec Otto Pomorze dla wiary i dla Niemców pozyskał. Jak misję, tak zaniedbywało duchowieństwo i naukę, sprowadzało z zagranicy wszelkie księgi liturgiczne i niektóre inne, ale nawet po klasztorach nie spieszyło z ich odpisywaniem; posiadamy spis ich nie nadto bogaty z katedry krakowskiej z roku 1110; było tam i nieco klasyków i prawa lombardzkie, z których widocznie korzystano. Nie zaradził też nowy zakon cystersów (szarych mnichów), którzy z zasady pracy własnoręcznej, gospodarskiej się oddawał, i dopiero w XIII wieku uzyskali cystersi zwolnienie reguły, mogli pracę dzielić z konwierszami; zakon to wybitnie zasłużony trzebieniem lasów, uprawą pustoszy, wzorową kulturą ogrodową i rolną, folwarczną głównie.

I powiało w klasztorach polskich od pól i lasów, bo osadzali się cystersi nie na wyżynach, jak benedyktyni, lecz w puszczy leśnej, nad wodami, budując młyny, kopiąc sadzawki, rzucając podstawę pod późniejsze słynne gospodarstwo stawowe śląskie, którem w XVI wieku cały ten kraj prześmiardł. Już oni zapowiadali tego nowego ducha religijnego, który ascezą, obawą śmierci, gorącem pełnieniem dobrych uczynków, aby tę obawę zamodlić, narzucił się całemu zachodowi trzynastowiecznemu. Już oni wypowiedzieli wojnę przepychowi i świetności benedyktyńskiego kultu, szybom kolorowym i obrazom barwnym, wieżom i kryptom, a za nimi kroczyła literatura, która w XII-tym, a szczególniej XIII-tym wieku coraz strach śmierci świadomie wywoływała. Słynny wiersz Helinanda (*Vado mori,* stały refren

przeciw pompie świeckiej), to jedyny, który pierwszy znany kaznodzieja polski w kazaniach świętokrzyskich zacytował. Z Burgundji (swej ojczyzny) i z Niemiec przybywali cystersi do Polski, z Citeaux, z Clara Vallis (wedle niej nazwana ich Clara Tumba — Mogiła), z Morimundu (Nowym Morimundem nazwano Jędrzejów), z Altenpforte pod Cellą. Wielmoże zawodniczyli z księciami w sprowadzaniu osad cysterskich. Gryfowie (Janik, biskup wrocławski, później arcybiskup, i Klemens) wyposażyli Jędrzejów (gdzie mistrz Wincenty, złożywszy biskupstwo krakowskie życia dokonał); Pałukowie Łekno, skąd wyszła jedyna skuteczna misja polska, gdy cystersi (zawodnicząc z Oliwą pomorską) wybrali się do Prus, między nimi Chrystjan, przyszły pierwszy biskup pruski, i pierwszych zyskali stałych wyznawców chrześcijaństwa. Jędrzejów nad Nidą (i Brzeźnicą) założono wręcz na puszczy *(in eremo et saltu secreto ab hominibus)*, nie inaczej było z innemi. Mieszka Stary wyposażył Ląd (mnisi przybyli z Altenbergu pod Kolonją). Na Śląsku powstały klasztory w Lubiążu, z filją późniejszą w Henrykowie, oba najzasłużeńsze dla osadnictwa niemieckiego na Śląsku, z Schulpforta; Trzebnica. Dalej w Małej i Wielkiej Polsce: Mogiła, Koprzywnica, Sulejów, Wąchock, wszystkie z Morimundu się wywodząc, wszystkie słynne w XIII wieku swojemi budowami jak swojem gospodarstwem, bo wiek XII rzucił tylko podstawy świetnego ich rozwoju.

Chociaż cystersi, w przeciwieństwie do benedyktynów, z zasady literatury i nauki nie uprawiali, łączą się właśnie z nimi ciekawsze zabytki. Do cystersa, św. Bernarda z Clairvaux, którego płomienna wymowa a życie święte i najchłodniejszych porywały, zwracał się biskup krakowski Mateusz w imieniu swojem i Piotrka Własta z wezwaniem, aby zamiast dalekich pogan wschodu ku bliskim, europejskim (szyzmatykom i poganom) się zwrócił — pierwszy to występ dostojnika kościelnego publiczny; zdaje się jednak, że myśl o podobnej misji za-

kiełkowała najpierw w głowie św. Bernarda, który przez osobnego wysłańca sondował niby biskupa krakowskiego.[1]

Cystersom henrykowskim zawdzięczamy najciekawszy pomnik literatury zakonnej, nietylko w Polsce, ale i w Czechach i Niemczech, «księgi zakładowe» ich klasztoru. Posiadał wprawdzie każdy klasztor swoją kronikę, każdy zbierał starannie i chował w skarbcu dyplomy swych nadań, prawdziwe a często i pofałszowane (w całości lub w dodatkach, dla uprawnienia wszelakich roszczeń), odpisywał je nawet później, nieraz wcale niedbale, w osobnych kopjarjuszach, które nam niedochowane niestety oryginały nieraz kiepsko zastępują, ale żaden z tysięcy klasztorów średniowiecznych nie może się szczycić równie ciekawym i pouczającym zabytkiem jak henrykowski. Około roku 1270 opat, Niemiec, jak cały konwent, czując się odosobnionym poniekąd w otoczeniu obcem, bo polskiem, spisał braciom dla nauki dzieje powstania klasztoru, nazwanego wedle woli panującego Henrykowskim, chociaż go Małopolanin ufundował z swych posiadłości śląskich, jakich się w służbie u Henryka Brodacza dorobił. Lecz nie zadowolił się opat, jak to stale bywało, wyliczaniem nabytków i odpisywaniem nadań, lecz wszedł w drobiazgowy opis ustronia samego i jego okolicy i opowiedział jak najdokładniej dzieje każdej wioski czy lasu, co się zczasem klasztorowi dostały, w znacznej części wedle opowiadań chłopa polskiego, Kwiecika Kiki (bo był kikutem na prawej ręce, a lewej nie miał), który nietylko w kuchni klasztornej, ale nawet u dworu Brodacza słuchaczy anegdotami z życia zabawiał. Ten *liber fundacionis* jest dla wiejskiej kultury śląsko-polskiej trzynastowiecznej nieocenionym zabytkiem i żadne nie mogą go zastąpić wyciągi: życie w głuszy leśnej, dzikość «oby-

[1] Biskup donosił, że Ruś, liczna jak gwiazdy na niebie, chroma nietylko co do ofiary mszy św. (pod obiema postaciami), ale i co do rozwiązywania ślubów małżeńskich i we chrzcie powtórnym (katolików); od obu Kościołów odstrychnięta z żadnym nie trzyma.

wateli», rozpierzchanie się ludności, napady rozbójnicze, liczne egzekucje i wywołania z kraju splatają się w obraz posępny.

Z Cystersami, przynajmniej z św. Bernardem i jego planem krucjaty drugiej (którą doprowadził do skutku), łączy się jedyna krucjata, w której i polskie siły wzięły udział, bo żadnym innym wyprawom polskim na Prusy czy Jaćwież nie przysługiwało to imię, a w właściwych krucjatach na wschód nie wzięli Polacy nawet takiego udziału jak Węgrzy, boć stawiał się na nie tylko jeden i drugi książę. Połączono bowiem z drugą krucjatą jerozolimską, miejscową niemiecką, przeważnie saską, przeciw Lucicom pogańskim, ale skierowano ją głównie przeciw — chrześcijańskiemu Szczecinowi, i ku największemu zgorszeniu zawiedzionych «krzyżowców» biskup pomorski Wojciech wystąpił jako pośrednik; pod Szczecinem przyłączył się Mieszka z znacznemi hufami do krzyżowców, gdy spółcześnie brat, Bolesław Kędzierzawy na Prusy uderzył; byli i książęta morawscy z biskupem ołomunieckim Henrykiem Zdzikiem, który niedawno (r. 1142), zawstydzając biskupów polskich, podjął się misji pruskiej, zupełnie zresztą chybionej. O zbudzeniu żaru religijnego nie było tu jeszcze mowy, w r. 1147 widoki polityczne główną odgrywały rolę.

Klasztory polskie nie były, jak niegdyś zachodnie, ani siedzibami nauk, ani troszczyły się o szkolnictwo, ani o szerzenie wiary czy nabożeństwa poza swemi murami, oddani wyłącznie ascezie i gospodarstwu najbardziej cystersi. Liczba klasztorów wzrastała znaczniej w wieku XIII; o zakonach kaznodziejskich, które jedyne zerwały zupełnie z dotychczasową rutyną, zob. niżej; w nich też zespolił się głównie nowy entuzjazm religijny. Przybywały jednak i inne, które mimo nowych nazwisk i reguł od typu dawnego, benedyktyńskiego mało się różniły: karmelici, w Krakowie, Poznaniu, Bydgoszczy, a później i indziej, należący pierwotnie do prowincji niemieckiej, nim w XV wieku czeską, a później i polską osobną utworzono. Kanonicy regu-

larni (o których zob. wyżej) oddawali się i szpitalom i szkołom, mianowicie szpitalnicy Ducha św. de Saxia, dlatego u nas duchakami zwani; Iwo Odrowąż sprowadził ich z Francji do Prądnika pod Krakowem, skąd się niebawem do Krakowa przenieśli; dwa dalsze szpitale, klasztory i szkoła były w Sandomierzu i Kaliszu. Bożogrobcy Miechowici (ich opat, Marcin Gallus, miał dać początek nabożeństwom wielkopiątkowym na wzór jerozolimskiego, z ubieraniem grobu Chrystusa) pozakładali właśnie w XIII wieku szpitale i szkoły w Skaryszewie w sandomierskiem, w Gnieźnie u św. Jana, w Bytomiu i in. I wzrastała liczba duchowieństwa i ich majątków, a wpływami sięgali coraz głębiej, doradcy książąt świeckich, ich kanclerze, spowiednicy i kierownicy.

Jeżeli pominąć niewyjaśnioną w szczegółach i pobudkach (dla braku wszelkich źródeł) sprawę św. Stanisława, to rozstrzygnęła po raz pierwszy stanowczo władza duchowna zawikłanie polityczne, gdy r. 1145 sędziwy arcybiskup Jakób przed obleganym przez Włodzisława Poznaniem w namiocie księcia rzucił nań z swego wózka klątwę; zgodne wystąpienie całego duchowieństwa przeważyło może szalę na stronę książąt młodszych. Ale i tu nie szło o wiarę: że Włodzisław używał przeciw braci obcej, «pogańskiej» pomocy Rusi, Prusów, Połowców (?), było tylko pretekstem, boć i młodzi najchętniej z podobnej pomocy korzystali; rokosz przeciw Włodzisławowi podnieśli wielmoże, broniąc własnych interesów, licząc na większą podatliwość kilku książąt przeciw despotycznym zakusom Włodzisława, i te same widoki były u duchowieństwa, które przy «junjorach» nawet przeciw Rzymowi statecznie wytrwało. Sprawa skończyła się jak z Śmiałym: pobity pod Poznaniem Włodzisław uszedł z kraju i na wygnaniu umarł.

Specjalne dla siebie powodzenie uzyskało duchowieństwo dopiero na wiecu w Łęczycy r. 1180, gdy się Kazimierz Sprawiedliwy zrzekł t. zw. *ius spolii*, grabienia majątku ruchomego

po śmierci biskupów; ograniczono równocześnie i nadmierne wymagania uciążliwych podwód i stanu (zob. niżej), od całej ludności wieśniaczej; pomijamy zniesienie senjoratu, przyznanie Krakowa jako dziedzictwa dla Kazimierza i jego rodu.

W kościołach polskich nie spoczywały dotąd żadne zwłoki świętych; miało je Gniezno i zawdzięczało temu swe wyniesienie na metropolę, ale Czesi uprowadzili r. 1038 zwłoki św. Wojciecha, pięciu męczenników i arcybiskupa Radzima (brata św. Wojciecha); nie miał więc odtąd w Polsce o co zahaczyć kult świętych, chociaż w r. 1127 odnaleziono w Gnieźnie głowę świętego; kult cudotwórczy wymagał zaś widomej obecności świętego, roztaczającego osobliwszą opiekę nad czcicielami jego. I ubiegł Kościół krakowski gnieźnieński, bo biskup Gedko wyprosił u papieża, może za bogatemi darami, relikwje św. Florjana, Włocha, dla Polski r. 1184; przybyły one tegoż roku do Krakowa, witane procesjonalnie przez duchowieństwo, księcia Kazimierza (czciciela świętego) i lud; założono równocześnie pod jego wezwaniem kościół na Kleparzu, a klasztor cysterski w Koprzywnicy przyjął, obok imienia N. P. Marji, i jego wezwanie; odtąd rozpowszechniło się po raz pierwszy jego imię po rodach polskich, ale poza Krakowem i Małopolską kult się nie zakorzenił mimo trudów oficjalnych, bo pochłonął go niebawem pierwszy istotny kult narodowy, św. Stanisława. Patronem od ognia został św. Florjan dopiero w XVI wieku za wzorem niemieckim. To było, oprócz owych fundacyj klasztornych, ostatnie, nie świetne zresztą, powodzenie pierwotnego Kościoła polskiego, co stał obok narodu, nie tkwił w nim samym.

## UNARODOWIENIE KOŚCIOŁA, NOWE ZAKONY, ŚWIĘCI PAŃSCY

W XIII wieku dopiero stał się Kościół narodowym, a duch religijny powszechnym, przynajmniej u szlachty. Napływ cudzoziemców po kapitułach i klasztorach zmniejszył się znacznie; re-

forma gregorjańska przekształcała życie duchowne; celibat stawał się obowiązkowym, a kapituły rościły sobie prawo wyboru biskupów; Kościół zdobywał bogate przywileje, uwalniające jego posiadłości od wszystkich albo od wielu ciężarów fiskalnych «prawa polskiego» (książęcego) i od sądów niższych świeckich; nowe zakony kaznodziejskie nie sadowiły się po ustroniach, lecz po grodach i nie zamykały się po celach dla modłów i ascezy, lecz wychodziły na targi, jarmarki, odpusty, do wsi, na gościńce, przepowiadając żywe słowo w narodowym języku.

Był to zupełny przewrót w życiu religijnem, nowość nadzwyczajna; dawne zakony wszystkie, bez różnicy reguły (tak samo bazyljańskie na wschodzie) służyły jednostce, co zaniepokojona o zbawienie duszne, trwożliwie świat rzucała i w celi albo dla pracy ręcznej się zakopywała. Dominikanów wywołała walka z Albigensami, ale po wytępieniu ich mieczem, należało słowem lud ratować, i zamiast celi na górach benedyktyńskich czy w puszczach cysterskich, osiadał konwent dominikański w samem śródmieściu i nie od XV wieku, jak Długosz prawi, lecz już od XIII, od kiedy się dominikanie (w r. 1223, a za nimi niebawem franciszkanie) w Krakowie zjawili, rozlegało się słowo polskie w kościele. Najznaczniej wystąpili zrazu dominikanie; obaj pierwsi polscy, Jacko (Hiacint) i Czesław, weszli w szeregi świętych narodowych, a zapał ich za Kraków w najdalsze misje, do Kijowa, na Litwę wyprawiał. Jedna z najstarszych a zarazem największa ich prowincja była właśnie polska: już w kilka lat po założeniu zakonu Iwo Odrowąż sprowadził ich do Krakowa, i mnożyły się ich kościoły, słynny św. Jakuba w Sandomierzu, w Krakowie św. Krzyża, gdy farę Iwo przeniósł do św. Marji; prowincja objęła Polskę, Śląsk, Pomorze, Prusy, Ruś i Litwę. Ale to był zakon miejski, więc niebawem zasilał się wyłącznie mieszczanami, a że ci byli w Polsce przeważnie Niemcami, więc już przy końcu wieku zacierał się wyłączny niegdyś polski charakter zakonu i żywioł niemiecki zaczynał w nim brać

górę. Jak wszędzie, tak i w Polsce zlecono później dominikanom inkwizycję *hereticae pravitatis.*

Pierwsi dominikanie i franciszkanie byli wyłącznie Polacy; gdy w r. 1270 przyszła Niemka do krakowskich franciszkanów, nie było między nimi ani jednego, coby po niemiecku umiał, i ona na migi dała im poznać, że cudem wzrok się jej poprawił, i przyniosła jako votum oczy z wosku. Jeden z tych franciszkanów krakowskich, braciszek Krzyżan, prawił kazanie r. 1271 na dzień św. Urbana (25 maja) w Kamieńcu śląskim (w opolskiem), a drugi, Marcin, w Strzelcu na św. Wawrzyńca (10-go sierpnia): może przypadkowo ocalały notatki, a takich jest więcej, np. żywociarz św. Stanisława (z połowy XIII wieku), dominikan, opowiada, że prawił kazanie w drewnianym kościółku w Szczepanowie, co runął niebawem od starości, albo kazanie św. Jacka. Dawniej bywało, że np. biskup pewien tylko trzy razy w życiu kazanie prawił, a prócz niego kaznodziei nie było. Z kazań obu zakonów nic wprost nie ocalało, oprócz owych dat, przypadkowych raczej; t. zw. kazania świętokrzyskie (zob. niżej), w zaciszu klasztornem (benedyktyńskiem ??) powstałe, nie dla Kamieńca czy Strzelca były przeznaczone, ale mogą podobne przypominać.

Żar religijny, co się jeszcze w XII wieku słabo tlił, teraz buchnął żywym płomieniem, i wiek trzynasty został wiekiem świętych Pańskich. Zapomniana niegdyś postać szereg ich rozpoczyna, św. Stanisław; po wielu zabiegach przeprowadzili biskupi krakowscy uroczystą jego kanonizację r. 1253; katedra na Wawelu z grobem cudotwórcy stała się niemal natychmiast celem pątników, nadciągających zewsząd z Polski, a nawet z Pomorza i Łużyc; cudowne uzdrowienia spisywały protokóły kapitulne, na ich podstawie ogłosił Rzym bulę o czci świętego, drugiego (obok św. Wojciecha), a istotnie pierwszego patrona całego narodu. Spisy cudów urywają się w XIII wieku, wznawiają dopiero w XV-tym, w drugiej jego połowie, i są wzorem dla

wszelkich innych. W istocie nader jednostajne: kto ślepnie, głuchnie, traci władzę w nogach czy rękach; dziecko, co wypadnie z okna, topi się w Wiśle: śpieszą z niem na Wawel, w kornych modłach dotykają trumny i wiara ich uzdrawia; ze świadkami (krewnymi lub znajomymi) zeznają przed ks. oficjałem cud i ofiarują albo jałmużny, albo zawieszają wota (ramię, nogę i t. d.) z wosku, bogacze ze srebra u grobu świętego, innym dla wzoru. Rzadko przerywają tę jednostajność zjawiska świetlane, głosy z nieba, we śnie wskazujące choremu, czyjej pomocy ma wzywać.

Co o cudach św. Stanisława, to samo dotyczy cudów wszelkich naszych innych świętych. Są one wręcz szablonowe, jak i żywoty ich same, spisywane przez kornego czciciela-zakonnika, zawierające bardzo mało dat specjalnych, rozpływające się zato w ogólnikach. Zamiast szczegółów życiowych, otrzymujemy głównie spisy cudów, wzorowane na innych, np. cuda św. Jacka przypominają poniekąd cuda, opowiadane o założycielu jego zakonu, o św. Dominiku. Do wyjątków należą jakieś cuda oryginalne, np. podniesienie zboża stłoczonego przez grad (przez św. Jacka); nieraz pomoc skuteczna, jakiej święty później udziela, nie wiąże się wcale z epizodami własnego jego życia (np. brzemiennym niewiastom pomoc św. Jacka). Wzory tych cudów sięgają nieraz starożytności, np. inkubacje, nocowanie u grobu albo na grobie świętego leczy ciężkie choroby, jak u pogan; ich przypominają i dary wotywne, zawieszane u ich grobów za łaskę doznaną, ale żeby ofiary wiktuałów, u nas praktykowane, miały początkiem sięgać obiat pogańskich, z tem się trudniej zgodzić: usprawiedliwia je nasze ubóstwo. Nas razi naiwność opowiadaczy; wierzymy, że sugestja cuda tworzy istotne, ale nigdy nie strawimy cudów, dokonywanych i na zwierzętach; oto np. jedzie ubogi Ślązak jednokonnym wózkiem do grobu świętego, koń pada, sam z żoną ciągną wózek, aż się zjawia w uprzęgu ten sam koń, poznają go po skórze; łatwowierność średniowieczna granic żadnych nie

znała. Jak się kult św. Stanisława społeczeństwu narzucił, zob. niżej.

Obok osoby biskupa-cudotwórcy był cały tuzin ludzi, otoczonych nimbem świątobliwości, albo przynajmniej umierających *in odore sanctitatis*, beatyfikowanych po latach, dominikanie jak Jacek i Czesław, klaryski jak Salomea, Jolanta, Kinga, a wyprzedziła wszystkie św. Jadwiga śląska (trzebnicka) z domu, co i inne święte panie wydawał. I spieszyły tłumy pątników do ich grobów i bogaciły hojnemi darami klasztory. I sypały się fundacje laików, książąt przedewszystkiem i stan posiadania «martwej ręki» rósł nieustannie.

Sama myśl religijna, asceza, umartwienie ciała przez posty, włosienice, modły na klęczkach, przenikały szerokie warstwy, a zaczęło się to od góry, z dworców książęcych i noszą sami książęta charakterystyczne przydomki pobożnego lub wstydliwego, chociaż czasem kryje się pod niemi i defekt fizyczny, bo dziwnie degenerował ród piastowy, schodził w sile wieku do grobu (Mieszka Stary, to fenomen wyjątkowy) albo bez potomków (Leszek Czarny i tylu innych). Wprawdzie i teraz nie doszło do udziału w wyprawach krzyżowych ani do podjęcia własnych na pogańskich Prusów, Jaćwież, Litwę, niepokojących coraz bardziej Mazowsze i Lubelskie — samo rozbicie dzielnicowe nie sprzyjało jakiejkolwiek akcji zbiorowej, ale już myślano o misjach śród nich, a dominikanie zyskiwali przywileje papieskie, czyniące ich niezawisłymi od biskupów krajowych, w celu misji na Rusi (w Kijowie) i Mołdawji; już zaczynano się w Rzymie łudzić nadzieją nawrócenia czy pogańskiego Mindowga czy szyzmatyckiego Daniły i szafowano w tych widokach koronami królewskiemi i nadzieją krucjat przeciw Tatarom — bez skutku.

Katastrofy zewnętrzne podniecały ogólną religijność. Straszny ucisk głodujących rzemieślników włoskich; nawała mongolska, co po zniszczeniu Kijowa i Rusi południowej, aż w Śląsku i na Węgrzech się oparła; zaraza morowa pustosząca

Europę, były to dotkliwe znaki gniewu Bożego i wymuszały skruchę, jawne grzechów wyznawanie, doraźne ich karanie własnoręczne, i przewalały się rzesze biczowników z osobliwszemi ceremonjami przez miasta włoskie, przedostawały się przez Alpy do środkowej Europy, zajęły nawet części Śląska i Małopolski; po raz pierwszy usłyszano w Krakowie i Wrocławiu oprócz stałego Kirjeeleison wiersz polski: «Już nam czas godzina, Grzechów się kajaci, Boga miłowaci!» Nawała tatarska spłókała tylko Małopolskę, ale mór nie oszczędził żadnej krainy.

I dorósł Kościół do swego zadania, a wzór i przykład szły od góry. Nie brakło wprawdzie między biskupami niejednego, co wcale na pasterza nie patrzył (np. Giedko płocki, oskarżony w Rzymie o wszelkie występki, łatwość rozwodów, życie niekanoniczne i in., albo krakowski Paweł z Przemankowa), ale przez cały wiek XIII, począwszy od Henryka Kietlica aż do Jakóba Świnki, a krakowskich Pełki, Wincentego, Odrowąża i Prędoty, przeważali znacznie ludzie reformy, spóźnieni niby Gregorjanie, którzy karności w własnym obozie przestrzegali, a świeckich do wszelakich ustępstw przynaglali. Szły im na rękę oba nowe zakony.

Gorliwość dawnych zakonów stępiała zupełnie; byli znakomitymi gospodarzami, kultura krajowa wiele im zawdzięczała; szczególniej wyszła z ogródków klasztornych uprawa wszelkich kwiatów (róż i in.), drzew owocowych szlachetniejszych i warzywa, ale ani nauka ani wiara wiele z nich nie korzystały, nawet obcy przybysze (z Flandrji i in.) nie zdołali ich rozruszać. Cystersi z niemieckich klasztorów cały zakon rychło tak zniemczyli, że wkońcu wzbraniali się przyjmowania krajowców-Polaków, na co arcybiskup Jakób w Rzymie słusznie się użalał.

Wyższe duchowieństwo dzierżyło świadomie sztandar narodowy i wobec rozbicia dzielnicowego nie zaprzepaszczało myśli jedności narodowej. Wyrażała ją najpierw autonomja i nierozerwalność prowincji gnieźnieńskiej, z pod której ani wrocławski

ani lubuski biskup się nie wyłamywali; drugim zewnętrznym jej znakiem była opłata pogłównego dla Rzymu, t. zw. świętopietrza (na światło i budowę rzymskiego kościoła). Świadczyli stolicy apostolskiej już Chrobry i Śmiały bogate dary, szczególniej Śmiały za koronę, i może już on ustalił ów pobór, zmieniony w XIV wieku (r. 1318) na pobór od głowy po denarze, gdy dawniej od rodziny po trzy denary płacono, dowodzący bezpośredniego oddania Polski pod opiekę stolicy rzymskiej, t. j. jak w Anglji i in., jej zupełnej niezawisłości; w późniejszych procesach z Krzyżakami bywał to argument dobitny.[1]

Tak stał się Kościół rządcą dusz i sumień. Gdy przed XIII wiekiem tylko jednostki, czy to śród wyjątkowych okoliczności (np. Krzywousty za uśmiercenie brata), czy to z przyrody pobożnej (np. Kazimierz Sprawiedliwy; Piotrek Włost, nadawca kościołów i klasztorów i in.), uczuciom chrześcijańskim hołdowały, teraz całe społeczeństwo, szczególniej w warstwach wyższych, niemi się przejęło; wskutek tego wzbiło się duchowieństwo na czoło i przodownictwo narodowe; piastowało ideę jedności, której wyrazicielem stał się i kult patrona narodowego i rys legendy jego o zrośnieniu się jego pociętych członków, symbol przyszłej Polski zcalonej; broniło interesów zagrożonej przez obcych w szkole i klasztorze narodowości; nie puszczało płazem żadnego wybryku władzy świeckiej (np. zabójstwa kleryka przez Konrada mazowieckiego).

Do najwybitniejszych osobistości ówczesnego kleru należał

---

[1] Niemcy nie znali świętopietrza, więc i koloniści niemieccy w Polsce nie chcieli go płacić; Czechy, jako lenno niemieckie, również świętopietrza nie znały, ale Śląsk, chociaż pod zwierzchnictwo czeskie przeszedł, dalej je opłacał. Pierwotnie zamiast denarów płacono i korcami owsa. Pleban zbierał świętopietrze i odstawiał je biskupowi czy kolektorowi papieskiemu przez archidiakona lub dziekana. Świętopietrze od r. 1510 na budowę zamku kamienieckiego przeznaczane, zanikło w drugiej połowie XVI wieku.

Henryk Kietlic, arcybiskup, który z czterema biskupami (krakowskim, wrocławskim, kujawskim i lubuskim) brał udział, pierwszy w Polsce, w soborze Laterańskim 1215 roku i w myśl jego postanowień karności duchowieństwa tak samo gorliwie przestrzegał, jak energicznie z książętami o wolność dóbr duchownych walczył. Dalej biskup krakowski Iwo Odrowąż, który w Paryżu z przyszłym papieżem Grzegorzem IX studjował, a niezadowolony z Paryża do Bononji ruszył, na uniwersytet chwilowo do Vicenzy się przeniósł i tam wymieniają go r. 1209 między syndykami uniwersyteckimi (wraz z proboszczem Mikołajem, również Polakiem); gdy biskup wrocławski r. 1226 przed nim zajął miejsce, zaprotestował u papieża (Grzegorza IX), bo już Urban III 1186 r. naznaczył biskupowi krakowskiemu pierwsze między biskupami polskimi miejsce (po arcybiskupie), a żądał on też od papieża wznowienia arcybiskupstwa krakowskiego. Był to następca mistrza Wincentego, pierwszego z wyboru kapituły biskupa, znanego tak z nauki jak z życia świątobliwego, którego jako mnich cysterski w Jędrzejowie po złożeniu biskupstwa dokończył. Nie znał Kościół polski przedtem równie żarliwych pasterzy; nie znał i teraz Wojciechów ani Brunonów, ich mistycznej ascezy i stronienia od świata, ale nowi pasterze wytknęli nowe drogi życiu duchownemu i umysłowemu, a sposób, jak stworzyli kult św. Stanisława i narzucili go nawet zagranicy, najlepiej o tem świadczył.

## KULT ŚW. STANISŁAWA

W XI i XII wieku Kościół polski zadowalał się z musu świętymi czeskimi; katedra na Wawelu otrzymała nowe wezwanie św. Wacława, a Otton bamberski zakładał kościoły pomorskie pod wezwaniem św. Wacława i Wojciecha, bo ci zażywali najwyższego szacunku między poganami, co do nich tylko z Polski dojść mogło, ale niekoniecznie przez osobne misje, o których

nic nie wiemy, lecz drogą prostej infiltracji sąsiedzkiej: co chrześcijanom pomaga, i poganom pomóc może, przecież i żydzi doznawali później cudów od św. Stanisława. Świętego rodaka nie było i gdy biskup krakowski starał się o rozszerzenie swych prerogatyw, nie mógł się powołać na żadnego świętego wawelskiego, uprosił więc u papieża relikwje obce, bolońskie, św. Florjana, o którym nikt nic nie wiedział, aż go utożsamiono z żołnierzem św. noryckim, czczonym głównie w Niemczech, nad Anizą, w słynnem opactwie św. Florjana; legendę norycką odpisywano i u nas i dorobiono do niej później drugą legendę o translacji, o przewiezieniu zwłok świętych do Polski.

O Stanisławie, od kiedy zwłoki jego z miejsca stracenia (r. 1079) przeniesiono do nowo wzniesionej katedry (r. 1089), było zupełnie głucho. Pamięć o nim ożywiły czy zbudziły dwa spółczesne wypadki. R. 1172 zamordował Bolesta (Jastrzębiec, bo Boleścice od Jastrzębców idą), wojewoda mazowiecki, z powodu procesu o nieprawnie zagrabioną wieś, biskupa płockiego Wernera; wojewoda proces przegrał i namówił brata, Benedykta (Benesza), do zabójstwa, co ten przez Prusów dokonał, obu ukarano śmiercią; lecz za świeża nikt nie pomyślał o kanonizacji biskupa, myśl tę podjął dopiero po 70 latach dziekan płocki Jan, ale dzieła nie przeprowadził, chociaż powoływał się na to, że biskup zginął w obronie praw Kościoła. Większe wrażenie wywołało spółczesne zabójstwo Tomasza Becketa, arcybiskupa kanterburskiego, i rychła tegoż kanonizacja; to męczeństwo zapisały roczniki polskie. I przypomniano sobie w Krakowie identyczną pozornie sprawę Stanisława: pamięć o jego winie zatarła się zupełnie, sąd Boży nad królem-mordercą jawnie niewinność biskupa okazał. Pierwszy mistrz Wincenty w swej kronice przeciw Gallowi, oskarżającemu Stanisława o zdradę, szeroko się rozwiódł nad zmyśleniami, jakiemi uwłaczano czci biskupiej; opowiedział jego śmierć męczeńską i cuda nad jego zwłokami; on może jako biskup wzniósł

pomnik kamienny nad grobem Stanisława w katedrze i polecił spisywanie cudów. Odtąd nie spuszczało już duchowieństwo tej sprawy z oka; już krążyły wieści o cudach, stary świątnik opowiadał żakom krakowskim, że się niebawem objawi nowy wielki święty, aż nakoniec biskup Prędota wystosował do Rzymu suplikę kanonizacyjną wraz z materjałem dowodowym (życiorysem i t. d.) r. 1247. Ale w Rzymie wyłoniły się znaczne trudności z powodu półtorawiekowej przerwy i dopiero 1250 r. naznaczył papież komisję polską (arcybiskup, biskup wrocławski, opat lubuski), aby rzecz sprawdziła; mimo jej sądu korzystnego wysłał papież r. 1252 franciszkana Jakóba z Velletri, aby na miejscu zbadał kronikę (Wincentego), roczniki (krakowskie), nagrobek i przesłuchiwał świadków. Lecz i teraz jeszcze nie zamilkła w Rzymie opozycja, głównie Rainalda, biskupa Ostji (następnie papieża, Aleksandra IV), i dopiero zjawienie senne Stanisława usunęło sprzeciw Rainalda; 1253 r. wydał Inocenty IV bullę kanonizacyjną, opierającą się głównie na tekście mistrza Wincentego, t. j. opowiadającą o konflikcie z królem, o męczeństwie i o cudach nad zwłokami (światła, orły, jak w legendzie o św. Świradzie), lecz przemilczającą najważniejsze, wskrzeszenie Piotra z grobu w trzy lata po śmierci, aby przyświadczył kupnu Piotrawina. Cudu tego nie znał ani Wincenty ani bulla, dały go oba żywoty św. Stanisława; przypuszczono, że cud ów dopiero w czasie procesu kanonizacyjnego, może około r. 1252 się wyłonił; rzecz w każdy sposób dziwna, bo właśnie ten cud odpowiadał najlepiej spółczesnej tendencji Kościoła co do nienaruszalności dóbr jego, chociaż nie wpłynął odrazu na księcia krakowskiego, bo dopiero Łokietek zwrócił Piotrawin katedrze. Legenda sama w cudzie o zwłokach i orłach jest treści zwykłej; dla wskrzeszenia Piotra powołał już żywot mniejszy przykłady podobne z legendy o św. Maternie i o św. Spirydjonie; bardziej odpowiadałaby legenda o św. Aji, poświadczającej z grobu swą darowiznę.

Uroczystości krakowskie r. 1254 zwróciły powszechną uwagę na nowy kult; napływ pątników był olbrzymi i nie zawarł się granicami Polski; król Stefan węgierski odbył r. 1270 pielgrzymkę do Krakowa; w szwedzkiej Skanji, w kościółku wiejskim w Tryde, wyryto na chrzcielnicy obrazy z legendy Stanisławowej, głównie z legendy o Piotrze, może właśnie w czasie gorących walk między arcybiskupem lundzkim a królem duńskim. W samym Asyżu, gdzie Innocenty IV bullę kanonizacyjną ogłosił, wznieśli biskup krakowski i kapituła ołtarz, kosztowny jako dzieło sztuki, w osobnej kaplicy, przysłali dlań ramię świętego, a papież Aleksander IV nadał r. 1256 studniowy odpust nawiedzającym kaplicę w dzień i oktawę świętego. Spodziewano się w Krakowie i Rzymie doniosłych skutków tej kanonizacji nawet u okolicznych «pogan» (szyzmatycy głównie), ale najdonioślejsze były moralne dla Kościoła polskiego, który teraz dopiero, obok kultu św. Wojciecha, drugi większy narodowy kult pozyskał. Kwitł on i w opactwie św. Florjana pod Linzem, a powoływali się nań w sporach religijnych i obcy jeszcze w XV wieku; tem bardziej wpłynął na umysły w ojczyźnie i pod hasłem św. Stanisława umacniano się w walce z władzą świecką o dobra i prerogatywy kościelne.

Tego kultu, tak charakterystycznego dla Kościoła i literatury, nie stworzył Wincenty; on rzucił tylko hasło w świat polski, wyraził niby niepokój, dręczący sumienie narodu, który tylko obcych patronów posiadał, Wacława i Wojciecha, obu Czechów, chociaż nienawiść przeciw Czechom, której najjaskrawszy wyraz dał r. 1113 Gall, po śmierci Krzywoustego, gdy polityka dzielnicowa ku wschodowi się skierowała, znacznie ucichła. Nie zaradził temu brakowi arcybiskup Bogumił, słynący lokalnie w Dobrowie, zaradził dopiero biskup krakowski, którego akty urzędowe nazywały świętym (r. 1251 i in.), już przed kanonizacją. Prawda, nie brakło też pewnego oporu; biskup Wisław (drugi po Wincentym) nietylko sprawy nie popchnął, ale wy-

stawił świetny kościół pod wezwaniem św. Wojciecha i za tę obojętność ukarała go legenda, bo wedle niej zjawił się dwukrotnie we śnie rycerzowi, oskarżając siebie o niegodne to postępowanie i napominając następcę (Prędotę), aby jego ciężki błąd, który go niegodnym szat biskupich czynił, bezzwłocznie naprawił. I ujęli się sprawy dominikanie, pisząc żywoty (krótszy i czerpiący zeń obszerniejszy), a umieszczając (w obszerniejszym) objawienie przy grobie św. Jacka, że «są jeszcze w Polsce sześć święci i wybrani boscy, których śmierć kosztowna przed obliczem Pańskim»; brali udział w sprawie kanonizacji i w spisywaniu cudów. Franciszkanie nie pozostali za nimi w tyle; i oni świadczyli przy cudach i szerzyli kult świętego. Niejasnym pozostaje tylko czas powstania legendy o Piotrawinie; podaje ją już żywot krótszy, napisany przed kanonizacją, bo o niej ani słówkiem nie wspomina, może nawet około r. 1230, po śmierci biskupa Odrowąża (1229), gdy rola Wisława jeszcze nie była zdecydowana; Wincenty chyba o Piotrawinie nie wiedział, a prokurator papieski, Jakób z Velletri, może i nie dowierzał legendzie, zadowalając się Wincentym i cudami spisanemi spółcześnie, potwierdzanemi urzędowo, wymieniającemi osoby i okoliczności.

## PRZEWAGA KOŚCIOŁA W ŻYCIU INDYWIDUALNEM. CHRZEST.

Takim to przemianom ulegało znaczenie Kościoła, obce niemal jedenastemu wiekowi, silniejsze w dwunastym, a wszechmożne w trzynastym, bo teraz zawładło na długo umysłami, a narzuciło społeczeństwu, opornemu wpierw a obojętnemu później, swoje ideały, kłócące się z życiem.

Do moralnej potęgi Kościoła przybyła olbrzymia materjalna. Jakie było pierwotne uposażenie biskupstw i klasztorów, za Chrobrego, nie wiemy; ale z źródeł XII wieku widoczne nadzwyczajne dostatki, mnożące się w XIII-tym. Biskupstwa otrzy-

mywały całe kasztelanje: gnieźnieńskie źnińską (a później i łowicką), kujawskie wolborską i łagowską (dalej gdańską), krakowskie Sławków, Tarczek i Chropy, wrocławskie Milicz i Odmachów, wkońcu został biskup wrocławski księciem. Podobnie było z klasztorami, które wprawdzie (z wyjątkiem Tyńca?) nie kasztelanje, ale liczne wsi otrzymywały. Jakie bogate bywały te gospodarstwa, widać z przypadkowych dat, np. z ugody polubownej, jaką zawarł r. 1238 Świętopełk pomorski z biskupem włocławskim o szkody, jakie jego dobrom, zdaje się tylko w ziemi inowrocławskiej, swoim najazdem wyrządził: uprowadził z 23 wsi 6662 sztuk bydła, koni, nierogacizny (tylko liczba cieląt nie podana, więc o nie powiększyć jeszcze ową sumę należy). Podobny rejestr wrocławski szkód, jakie Bolesław Wstydliwy r. 1271 poczynił, uprowadzając z ośm wsi 1549 sztuk, a przecież w obu razach te wsi stanowiły tylko cząstkę gospodarstwa biskupiego. Było ono jeszcze przeważnie niemal pasterskie; uprawa roli na drugim stała planie.

Życie rodzinne uległo teraz wpływom kościelnym; od chrztu do grobu nie opuszczał Kościół swoich owieczek. Walną w tem przeszkodą był pierwotny brak kościołów i księży, w XIII wieku powoli usuwany; teraz już wyjątkowe były okolice, np. w łukowskiem, gdzieby ludzie poganami umierali. Kościelną instytucją był chrzest, któremu nic w pogaństwie nie odpowiadało; wobec śmiertelności dzieci nalegał Kościół na rychłość obrzędu; matka-położnica nie brała w nim udziału, ale przynoszono jej dziecię z kościoła ze słowami (kmoszki): wzięłam pogana, a przynoszę chrześcijana. Przy chrzcie nadawano imię. Jeszcze do XVI wieku nie zastrzegał się Kościół przed nadawaniem imion narodowych, chociaż wcale nie rzadkie, szczególnie u książąt, były imiona podwójne, chrześcijańskie i narodowe (np. u Piastów: Mieszków, Bolesławów, Kazimierzów, Włodzisławów), ale już w XII wieku zjawiają się imiona chrześcijańskie, brane najpierw, gdyż patronów narodowych jeszcze nie było, od

apostołów (szczególniej częste: Piotr, Jakób, Jan); od świętych (Mikołaj, Michał, Wawrzyniec); czy to wedle kalendarza (dzień urodzin czy chrztu), czy wedle osobliwszego kultu jakiegoś świętego w okolicy, czy wedle ojca, dziada, kmotrów.

Imiona chrześcijańskie zjawiały się pierwotnie kilka na kilkaset narodowych, ale już w wieku XIII zaczynał się stosunek odwracać, szczególniej gdy św. Stanisława wyniesiono na ołtarze; nierównie rzadziej występują Wojciech i Florjan. Rychło zżył się lud z imionami chrześcijańskiemi, t. j. obchodził się z niemi, jak z narodowemi, skracał je i spieszczał wedle normy własnej, a więc z Piotra (Pietra) robił *Piecha, Piechna, Piotrka, Pietrzyka, Piotrumiłę* i t. d.; z Pawła szedł *Paś, Pasek;* z Jakóba *Kuba* albo *Jakusz;* z Nikołaja albo Mikołaja zrobił *Nikorę, Mikorę,* na przełomie XII i XIII wieku; z Michała *Michnika;* Rudgerus przeszedł w *Lodgerza,* Eufemja w *Ofemję, Femkę* i *Chemkę* (*f* i *ch* mieniają się); Pielgrzym będzie *Grzymkiem; Machna* może być Marją i Magdaleną.

Z obcych nazwisk nie należy tylko sądzić o obcem pochodzeniu; tak z obcej nazwy burgrabiego Piotrka Włosta, Rogera, zmyślono jego cudzoziemskość, chociaż to krewny Mikory, rodowity szlachcic polski. Dziwnem jakiemś nabożeństwem wyszukiwano najniepospolitsze nazwy, np. dla kobiet *Fenenna* z biblji, *Abistula, Itamila, Elmanisa, Osanna* (częstsze) i in., których gdzieindziej nie znaleźć.

Tłumaczono nazwy, np. *Ignatius* na *Żegotę, Silvester* na *Lasotę, Metodius* na *Strachotę* (niby od *metuo);* zczasem ustanawiano odpowiedniki, np. do Hieronima (Jeronima) wzięto *Jarosława (Jerosława)* i stąd zawsze w Polsce *Jarosz* Hieronimem bywa; tak samo *Dziwisza* z Dionizego sformowano; Florjanowi *Tworzjana* od *Tworzymira* narzucono (brama Florjańska w Krakowie zawsze się Tworkową nazywała). Ulubiono Hektorów, Parysów, Jazonów, Horacych, *Jaktor, Parys, Jaksa,*

*Jaracz* o tem świadczą; i tu wpływ czeski się odzywał, jeśli z Tobjasza *Dobiesza,* albo z Dietricha *Wietrzycha* urobiono. *Jaksa* zazwyczaj jest Janem, urobiony wedle *Bogsa* i t. p., mógłby być i Jakóbem albo Jazonem. Przenoszono imiona i na zwierzęta; za Czechami nazwaliśmy pierwotną *ątę kaczką* (Katarzyną); sami zająca *Filipem* przezywamy, a *Maciusiem* kocura.

Odrzucano stale pierwsze zgłoski: *Larysz* z Hilarego, *Madej* z Amadeja, *Kusz* z Jakusza (Jakóba), *Grzymek* z Pielgrzyma; czasem zmieniano imię do niepoznaki, np. *Abstacy, Abszac* wkońcu z Eustachjusza, *Gaweł* z Galla; Christjan, Teodoryk i in. najdziwniejszych doznali przeróbek, *Krzczon, Cader* czy *Szczedrzyk:* dowiadujemy się o tem z zapisek sądowych XIV i XV wieku, kładących nieraz polskie imię obok łacińskiego, przezywające tę samą osobę raz jednem, to drugiem. Nieraz trudno i rozstrzygnąć, jak się właściwie osoba nazywała, *Bień* np. może być Benedyktem (*Beneda, Benesz* i t. d. są nim napewne), albo Benjaminem; *Mojko* niekoniecznie narodowe, lecz może i Mojżesz; *Bończa* Bonifacy, nie Bonawentura i t. d. Gorzej, iż trudno nieraz rozstrzygnąć, czy nazwa pochodna, np. miejscowa, rodzimego czy obcego początku, np. o Charbinach i Sarbinach twierdzono, że im Cherubin i Serafin podkładem. Imiona się dziwnie nieraz rozbiegają, Kunegunda będzie i *Kingą* i *Kunhutą,* Natalję spolszczono na *Nawojkę* (dowolnie, jak Florjana na *Tworzjana),* a Zofję (na Rusi *Sońka,* bo oni greckie *s* zatrzymali, my łacińskie *s* w nagłosie i między samogłoskami jak *z* wymawiamy, *Józef — Osip* i t. d.) *Boguwołą* tłumaczą, co i na nazwę wilgi po narzeczach zeszła.

Aby nie wracać do przedmiotu, zaznaczamy zgóry, że od XVI wieku dawne narodowe imiona z drobnemi wyjątkami, szczególnie gdy o świętych Pańskich chodzi (Stanisław, Wojciech, Kazimierz, Wacław) zupełnie niemal na korzyść obcych,

chrześcijańskich zanikły; jedyny Stanisław najczęstszym się stał («Stanisław z izby, Stanisław do izby», mawiał Zygmunt Stary); imiennictwo polskie bardzo zubożało, dziś je sztucznie odnawiają, szczególnie *Wandę* polubili, a są i mylne formy, np. *Przemysław* zamiast Przemysł.

Przy chrzcie miał Kościół zupełną swobodę, mimo to i on zniżył się do pogańskiego w gruncie «wywodu», obracając w błogosławieństwo, co istotnie oczyszczeniem było. Ani terminu ani obrządku ścisłego nie naznaczył, ale szczegóły, towarzyszące wywodowi (kobieta klęczała z świecą w ręku przed drzwiami kościelnemi!), zdradzają lustrację, oczyszczenie «nieczystej», któraby wszystko swą obecnością kalała, gdyby nie «wywód». Pogaństwem trąciły dalej same chrzciny, t. j. raczenie gości, kumów i innych nieraz z całej wsi sproszonych, potrawami, niegdyś obrzędowemi, śród których kasza najwięcej znaczyła — u nas już zapomniana, ale na Rusi i śród Czechów do dziś zachowana; połączone wszystko z obrzędami, mającemi szczęście noworodkowi zapewnić. Nie znamy i wzajemnego umywania rąk położnicy i babki (akuszerki), dla oczyszczenia obu, z osobliwszemi zwyczajami, na Rusi ogólnemi.

## ŚLUBY. — POGRZEBY

Skoro i małżeństwu nadał Kościół cechę sakramentu, winien był niem zupełnie zawładnąć, co mu się też wkońcu powiodło, gdy złamał opór społeczeństwa. Więc przeprowadził skrupulatne liczenie stopni pokrewieństwa (a nawet kumostwa!) i rozwiązywał śluby, które się z tem nie zgadzały; rozwiązywał śluby kumów i śluby gwałtem wymuszone; przeprowadził nierozerwalność związku małżeńskiego; uniemożliwił rozwody, t. j. nowe śluby, za życia obu małżonków; zabronił małżeństw tajnych, nie przed księdzem, przed kościołem, zawieranych. Szło to wszystko z nadzwyczajnym oporem, np. przywiózł Kietlic

z soboru 1215 r. ustanowienie zapowiedzi (ostatecznie trzech w trzy tygodnie przed ślubem), ale zdaje się, że to wcale w życie nie weszło; przynajmniej oparła się temu szlachta w XV wieku zwycięsko. Nie było i mszy uroczystej: para stawała przed kościelnemi drzwiami, ksiądz wymawiał formułki po polsku, nakładał pierścionki, wiązał ręce stułą, całował młodego, a ten młodą, pobłogosławił ich, ale mszy osobnej nie odprawiał.

Jak powoli społeczeństwo do tej formy kościelnej nawykało, dowodzą zapiski rocznikarskie, np. pod r. 1197 (!): «Kardynał Piotr (z Kapui) przybył do Polski, legat Stolicy Apostolskiej, który wprowadził w życie zawieranie małżeństwa w obliczu kościoła i księżom żon zabronił». Późniejsi legaci uwzględniali stale sprawy małżeńskie, wymagali zapowiedzi, wymagali nawet obecności księdza przy zaręczynach, narzucając i im formę kościelną, lecz czy co z tego istotnie w życie wchodziło, inne pytanie. I tak postęp był znaczny, wobec obu poprzednich wieków, kiedy to Mieszka I przeciw wszelkim kanonom z zakonnicą się żenił, Chrobry dwie żony rzucał, Włodzisław Herman podwójny związek uprawiał, ale już Krzywousty udawał się do Rzymu o usunięcie przeszkody kanonicznej, żeniąc się z ruską księżniczką pokrewną. Lud pospolity ociągał się z przyjęciem formy kościelnej, która wkońcu nad ludową zupełnie zapanowała; do tej dostały się z tamtej formułki ustne, wiązanie rąk, zakładanie pierścionka, nieznanego obrzędom słowiańskim, gdzie chyba wianki z głowy mieniano.

Tem uroczyściej obchodzili panowie swe śluby; jeszcze na początku XII wieku, przeciw czemu Gall sarkał, łączyli razem poświęcenie nowo-zbudowanego kościoła z zawieraniem ślubu i jedynie z tego tytułu odchylił Gall rąbek z tragedyj rodzinnych, boć zresztą nigdy o stosunkach wewnętrznych nie prawił, zajęty wyłącznie dziejami książąt. Opowiada mianowicie, że gdy poświęcano kościół w Rudzie (pod Sieradzem), a zarazem ślub dawano, widomym znakiem niełaski Bożej (wedle zasady: *ne*

*misceas sacra profanis)* zaszło tam i morderstwo i jeden z przysługujących wpadł w pomieszanie zmysłów i związek sam był nieszczęśliwy, bo ani do roku w nim nie wytrwali. I przywodzi Gall drugi podobny przykład poświęcenia kościoła wraz ze ślubami małżeńskiemi, jak obecność przy tym akcie Krzywousty ciężko odpłacił, i dodaje wyraźnie, że nieraz niesnaski i morderstwa tej sprawie towarzyszyły, co o ówczesnych stosunkach towarzyskich nie najkorzystniej świadczy.

Już w tej epoce zaczynały wpływy obce, poza kościelnemi, wsiąkać w nasze obchody weselne i dlatego o niektórych obrzędach-zwyczajach dopiero tutaj wspominamy, chociaż rozgraniczenie rodzimego pogańskiego, a obcego chrześcijańskiego żywiołu, nie zawsze się da przeprowadzić. Napewne rodzimemi są postrzyżyny młodej, osłabione może w same rozpleciny, przed oczepinami. O postrzyżynach zob. wyżej, ależ sam obrzęd w różnych okolicznościach stosowany może mieć najrozmaitsze, najodmienniejsze znaczenia. Postrzyżyn chłopczyków, które się w Polsce długo kołatały (jeszcze *rituale* biskupa wrocławskiego Henryka z Wierzbna z początku XIV wieku zawiera ceremonjał *ad tondendum parvulum* z odpowiedniemi modlitwami), nie należy mieszać, jak to mistrz Wincenty czynił, z postrzyżynami przy adopcji, które rodzaj sztucznego pokrewieństwa tworzyły, o czem przy postrzyżynach chłopczyków, dokonywanych przez ojca lub przez gościa, nawet mowy nie było. Postrzyżyn wtórnych przy dojściu do dojrzałości u chłopców słowiańskich nie znamy wcale; przypisano je zato dziewczętom (!) i odsunięto do zdawin-ślubów, nadając tym postrzyżynom znowu inne znaczenie: miały być oznaką porzucania jednego rodu, a wstępowania do nowego, więc niby coś w rodzaju adopcji, a raczej, wedle innych, poddania się pod władzę mężową. Postrzyżyny, to niby ofiara złożona bóstwom domowym, surogat ofiary osobistej osoby, iż przestawała istnieć dla dawnego ołtarza domo-

wego; puszczano obcięte włosy z wodą[1] albo palono na ognisku domowem. Ależ te «postrzyżyny» (w Polsce tylko ich ślady ocalały) wraz z 'rozplecinami' może ani ofiarą nie były, ani czemś innem równie mi(s)tycznem, lecz stoją poprostu w związku z odmianą stroju głowy, którą odtąd czepić będą, są więc konieczną fazą poprzednią oczepin, a że i czapkę mężową młodej przy tem tu i owdzie narzucają, zakrawa na żarty raczej niż na socjologję.

I napitek, obowiązkowy dla samej młodej, jako jej zgoda milcząca przy zmówinach, że wszystkiemu przyzwala, większego znaczenia nie miał. Przedewszystkiem nie był litkupem, bo o żadnem kupnie mowy nie było, i wolno nawet wątpić, czy litkup Słowianom był znany. Przynajmniej nie mieli Słowianie dla litkupu własnej nazwy technicznej; jest owa niemiecka albo wschodnia (mohorycz, barysz). I nie dziw, że tej formy (niby libacji na cześć bogów) przy umowie kupna i sprzedaży wcale nie znali, bo przy handlu wymiennym, z rączki do rączki, gdy kupiec-cudzoziemiec może się w życiu po raz drugi na miejscu targowem nie zjawiał więcej, byłby litkup dosyć zbędnym. Żeby dziewczyna piła kubek wody «zrzeczenia się» *(aqua abrenuntiationis)*, co u nas praktykowano wtedy przy sprzedaży nieruchomości, na znak zrzeczenia się nad nią władzy ze strony sprzedającego, że niby dziewczyna tym napitkiem zrzekała się swego dotychczasowego prawnego stanowiska, a oddawała w władzę

---

[1] Puszczanie z wodą najpewniej wszystko oddala. Prusowie i Łotysze poganie zmywali starannie miejsca, których się ksiądz przy chrzcie dotykał; wodę wylewali, choćby do Dźwiny, aby ślady znienawidzonego chrześcijaństwa uniosła. To samo czynią i dziś jeszcze Słowianie, np. w mińskiem na trzeci dzień t. zw. *zmurawinki;* babka zmywa dziecku miejsca, które namaścił duchowny olejami (u Czechów dziś jeszcze uroczystą kąpiel dziecka nazywają *smejvánky* — baczcie na przyimek!); nie myślę jednak murawinkom ani smejwankom podsuwać łotewskiego znaczenia, bo *si duo faciunt idem, non est idem.*

męża, jest również wykluczone, bo źródła nasze nic nie wiedzą o piciu wody przy umowie małżeńskiej.[1] Na zachodzie obowiązywał taki napitek spólny młodej pary na znak małżeństwa; nawet liczono zawarcie małżeństwa dopiero od niego, ale ten zwyczaj stoi raczej w związku z potwierdzaniem wszelkiej umowy przez spólne picie i nic specjalnie 'weselnego' nie ma; bywał jednak taki napitek i zupełnie jednostronny, przynajmniej u nas, gdy wedle «zwyczaju ziemskiego» sprzedający nieruchomość na znak zrzeczenia się jej wypijał haust wody, miodem kazał ją książę Brodacz raz zastąpić, szanując osobę, «na świadectwo przeciw sobie». Ależ u nas słyszymy o obrzędowym napitku tylko przed zaręczynami, nie po nich, a jeżeli i po nich pili (nietylko dziewczyna sama!) i szkło tłukli, to będzie to tak samo przywoźne, jak i inne szczegóły, np. pierścionków wymiana, gdy u nas tylko wymianę wieńców znano, albo ruta.

Oprócz wydzielania wpływów czy wzorów obcych należy głównie też baczyć na to, by nie przydawać osobliwszego znaczenia (religijnego czy prawnego) szczegółom w istocie obojętnym, np. tak zwanej rózdze (różdżce) weselnej. Jest to gałąź (czasem laska), strojna w świeczki, jabłka, wstążki; oddają ją sobie wzajemnie, kłaniają się jej, kupują ją, swat ją dzierży, wtykają np. u Greków i na Rusi w kołacz czy korowaj, a po weselu łamią i wyrzucają. Nie wspominamy o mistycznych i sa-

[1] Przytoczono wprawdzie tekst z r. 1455: ipsis crinalia et arras dederunt et *per spacium lacum simul* in nomine matrimonii biberunt, co tłumaczono: «dali sobie wianki i datki i (wodę z) stawu czy jeziora razem wypili» — a gdzie zostało *per spacium?* Pić z jeziora (lacum) jest niemożliwe, więc tekst pomylony; ma być może *latum,* bo *c* i *t* nie rozróżnić, ale i *przez szeroką przestrzeń* dobrego sensu nie daje. Czy tu nie mowa o jakiemś piciu przez skrzyżowane ręce, jak się i dziś nieraz bruderszaft pije, co pisarz fatalnie wyraził, bo *simul* biberunt. W każdy sposób nie odnosi się powyższy tekst do naszego napitku samej dziewczyny, przyjmującej swatanie lub odrzucającej je, boć pili *oboje* już po zaręczynach (po wiankach!); tu może naśladowano zwyczaj zachodni.

kralnych objaśnieniach tej różdżki jako drzewa życia, drzewa z raju, symbolu płodności, ani o podobnych innych wymysłach. Uznano w niej i symbol prawny «zakładu, utwierdzającego umowę ślubną, czy symbol przy przenoszeniu władzy czy własności; narzeczony wykupuje różdżkę narzeczonej jako zakład, że jej rodzina dochowa umowy; jego różdżka jest symbolem jego zakładu, że i on dochowa, do czego się zobowiązał; ale mogą w tym obyczaju tkwić także pewne momenty sakralne, o czem mogłyby świadczyć śpiewki (w lubelskiem) przy oddawaniu różdżki starościnie:

Oj bóg prawdziwy, sędzia sprawiedliwy, Wielom łado i t. d.;
Oj idzie do nas Bóg prawdziwy, Wielom łado,

w tej śpiewce tkwią może elementy bardzo dawne... chodzi tu o jakiś fetysz, może o gałąź z świętego gaju lub drzewa, albo raczej ma gałąź przypominać sankcję sakralną, związaną z klątwą na łamiącego złożone przyrzeczenie». Ależ jak sakralny, tak i ten wykład prawny nie ma racji, już dlatego, że różdżki weselnej jak i korowaju nie znano na weselu wdowy, chociaż mąż taką samą władzę obejmuje nad wdową jak nad dziewczyną i takie same są przyrzeczenia obustronne. Różdżka weselna (w każdej okolicy inaczej nazywana) jest tylko szczegółem zabawy i to późnym, chociaż u nas i na Ukrainie bardzo rozszerzonym (niema go w Rosji, jest u innych Słowian), co jeszcze niczego nie dowodzi — wystarczy przypomnieć losy choinki (jołki i t. d.), co dziś cały świat słowiański zdobyła, chociaż wyszła z Strassburga na początku XVII wieku. Należał się weselu symbol zabawy, laska jakaś czy gałąź suto przystrojona, ale, gdy zabawa mija, porzucona (chowanoby «różdżkę» i to starannie, gdyby cośkolwiek więcej znaczyła); wtykanie jej w kołacz-korowaj dowodzi jej «dekoratywnego» wyłącznie znaczenia. Owa pieśń lubelska ruskie wzory wskazała, i refrenem ruskim *łado (wielom* nic nie znaczy, zamiast *lelom* chyba, por. wyżej) i Bogiem, stałym gościem na weselu ruskiem. Że zaś

lud korowaja i różdżki wdowom odmawia (u nas jednak i u Czechów kołacz przygotowują tak samo wdowie jak dziewczynie), to znowu nie symbol, lecz dowód formalistyki ludowej, co chciała zewnętrznie wyróżnić śluby dziewczęce i wdowine. Jaki lud formalista, wykaże przykład ukraiński (i dla nas bardzo pouczający). Na Ukrainie póki para, «wieńczana» już (zaślubiona) w cerkwi, nie wyprawiła, np. z powodu ubóstwa, tradycyjnego wesela (wcale kosztownego), to mimo dopełnionego ślubu cerkiewnego wcale nie uchodziła w niczyich oczach przez całe lata za małżeństwo; jeśli mąż taki wpierw umarł, pozostała była dziewczyną, nie wdową (a on kawalerem, jeśli ona umarła). I zwyczaj był tak ogólny i zakorzeniony, że przenajświętszy synod petersburski wydał r. 1774 ostry nakaz przeciw tym, co po dokonaniu sakramentu rozłączają się nieraz na całe życie.[1] Tak ceniła Ukraina do niedawna sakrament kościelny; możemy stąd wnioskować, jak nasz lud w XIII wieku na ten sakrament się zapatrywał: *copula carnalis* starczyła mu zupełnie za legitymację kościelną i przeciw temu walczył Kościół, który anatematem obkładał tego laika (jeszcze w XV wieku), coby ważył się bez księdza pary łączyć.

Tak zawładnął Kościół obrzędem, który niegdyś wcale do jego kompetencji nie należał; ceremonja kościelna rozrywa też widocznie następstwo scen dramatu weselnego, więc i z kościoła jadąc wstępują koniecznie do karczmy (i w tem odnaleziono coś symbolicznego): tak przedłużył się rytuał i zawikłał, ale w XIII wieku było to wszystko dopiero w zawiązku, więc anachronizmu się dopuściłem, aby rzeczy nie powtarzać.

W pogrzeby wmieszał się Kościół równie stanowczo. Palenia zwłok już nie zabraniał, bo zwyczaj ten jeszcze w pogaństwie stale zanikał; rozchodziło się teraz o miejsce spoczynku;

---

[1] Nr. 9052 Pełnego Zbioru Praw; wedle F. Wowka, *Studia z Ukraińskoj Etnografii*, Praga 1928, str. 225.

nie znosił Kościół dawnego chowania na polach i rozdrożach, lecz wymagał ziemi poświęconej, więc albo w samym kościele (dla patronów i ich rodu), albo dla ludu pospolitego na cmentarzu około kościoła. Eksportacja zwłok, modlitwy i t. p. należały do formy kościelnej; nie zdołał tylko Kościół usunąć na razie pustego wieczoru (czuwania nad zmarłym) i strawy-stypy z jej przesądami. Osobliwiej walczył ze spominkami po zmarłych; narzucił im formę kościelną w «dniu zadusznym», ograniczając je do dorocznego jednego święta i zabraniając uczt i libacji nad grobami samemi, zastąpił je ofiarami dla ubogich, gdy w cerkwi owe dawne libacje zachowały się niezmienione, a odprawiano je i na wiosnę.

O bierzmowaniu, jako całkiem kościelnej nowości, nie wspominamy, podobnie jak o ostatniem namaszczeniu i sakramencie pokuty, ani o wprowadzeniu cenzur kościelnych, które się okazały już bardzo dotkliwym środkiem politycznym nawet, np. klątwa rzucona na Włodzisława II, gdy wiek XIII w sporach Kietlica z Laskonogim, w konfliktach biskupich wrocławskich z Henrykami mniej już te klątwy ważył, od których i do Rzymu się odwoływano.

Wnikał więc, powoli ale skutecznie, wpływ Kościoła, dobroczynny i uszlachetniający, w stosunki życia rodzinnego i publicznego, nieraz w najdrobniejsze szczegóły, nietylko w konsumpcję wosku, ale i ryb, którą liczne posty (tygodniowe, suchednie i in.) wzmogły; popyt na świeże i przywożne (śledzie) wzrósł niepomiernie, ożywił handel na podgrodziach, nadał cenę rybołowstwu znaczniejszą. Nieskończenie głębszym był wpływ moralny i estetyczny, nie mówiąc o naukowym. Grubo materjalistycznemu pogaństwu były to dziedziny niedostępne; Kościół pierwszy oderwał wzrok od ziemi i myśli o wyłączności potrzeb codziennych, o jedynem prawidle zysku osobistego. Wskazał cele wyższe, uczył miłości bliźniego, wymagał rachunku z każdego czynu, prawił o cnotach pokory, wstrzemięźliwości, czy-

stości, potępiał wszelkie wybryki. Stworzył życie szkolne i naukowe, którego przedtem wcale nie było; dokonał zupełnego przeobrażenia uczuć estetycznych! Nie cenił ich świat pogański, wegetujący w bardzo nieosobliwych warunkach, o jakich wyżej wspominaliśmy, wobec braku wszelkich podniet czy wzorów; ich Kościół pierwszy dostarczył. Imponował wystawnością budynków, strojów, śpiewów; porządek liturgiczny wprawiał w podziw barbarzyńskie tłumy, których zmysły raziło wszystko: woń kadzidła, blask świec gorejących, złotolite ornaty, rzeźby dziwne, przemawiające silniej niż niezrozumiała łacina, powaga celebrantów, tajemniczość obrzędu. Wszystko było obce, łacińskie, ale na wzór obcy układano najpierw po łacinie historje liturgiczne, dla służby Bożej przeznaczone w dnie świętych narodowych, Wojciecha, Wacława, Stanisława, a stąd była droga niedaleka i do polskich pieśni; na wzór kazań łacińskich obcych prawiono najpierw kazania łacińskie własne w ścisłem kółku, a stąd trafiono i do kazań polskich dla tłumów. Tak stworzył Kościół architekturę i muzykę (śpiew), poezję i prozę; z chrześcijaństwem zawitała i szkoła i sztuka do Polski.

## SZKOŁA

Obok kościoła była szkoła równie nowem zjawiskiem, nieznanem pogaństwu; język kościelny wymagał przecież osobliwszej, trudnej nauki, pielęgnowanej przy kościele biskupim lub kolegjackim, a nawet w klasztorze męskim. Szkoła miała cel jedyny, dostarczać Kościołowi sił potrzebnych; drogę jedyną, znajomość łaciny; tę osiągano pamięcią i rózgą, jedynemi środkami, na jakie się pedagogja średniowieczna zdobyła. Szkoła była katownią młodzieży; bito niemiłosiernie, tylko okaleczenie było zabronione. Chłopcy uciekali z tej mordowni; św. Wojciecha rózgami ojciec zmuszał do szkoły, a w Magdeburgu, bo w Czechach lepszej szkoły jeszcze nie było, pod plagami mistrza

błagał smagany napróżno litości w trzech językach (po łacinie, niemiecku i czesku), chociaż ród jego książęcy łaskę mistrza bogatemi darami (sama nauka była bezpłatna) okupywał. Czytania i pisania uczono na łacinie; o tem, czy nie byłaby ta nauka w języku narodowym łatwiejsza, nikt przez liczne wieki ani pomyślał; na najświętszej księdze, psałterzu, uczono tego sylabizowania i czytania; zarazem uczono najniezbędniejszych słówek, z konieczności przytem sięgając do języka narodowego, ale to tylko przy samych początkach; w dalszym toku objaśniano niezrozumiałą łacinę już tylko po łacinie; odezwanie się w języku narodowym, np. w rozmowie uczniów, srogo karano, a na donosicielach nie zbywało; do posług w kościele, do śpiewu na chórze naganiano chłopców jak najrychlej. Chodził do szkoły tylko, kogo na duchownego przeznaczano, czy syn rodu panującego, aby bratu nie przeszkadzał, czy syn księży (tych było najwięcej), wyjątkowo ktoś ze stanu rycerskiego. Biskup urządzał szkołę przy kapitule, której scholastyk dozorował, albo sam ucząc albo nad mistrzem-magistrem czuwając. W klasztorze uczono nowicjuszów, ale i świeccy, którzy się na księży sposobili, brali udział. Obok szkół biskupich (katedralnych) i klasztornych stawały szkoły przy kolegjatach i tu bywał scholastykiem jeden z kanoników tych kolegjat. A bywały już i pierwsze szkółki po świeżo zakładanych parafjach.

Szkoła słynęła magistrem-scholastykiem (np. magdeburska Otrykiem, nauczycielem św. Wojciecha); z naszych scholastyków, wymienianych nieraz w XII i XIII wieku, żaden osobliwiej nie zasłynął; szukano też u nas większej nauki stale zagranicą; ale całkiem dowolnie odsyłały późniejsze źródła XIII wieku i św. Stanisława do Paryża (bo w XIII wieku marka «Parisius» była najcelniejsza); poprzednik jego, biskup Suła-Lambert, istotnie się uczył w Gembloux, diecezji leodyjskiej (należącej do prowincji kościelnej kolońskiej), gdzie się i czeski annalista, Koźma, douczał. Wielką swoją naukę zdobył mistrz Win-

centy w szkole włoskiej, świeckiej (typu u nas zupełnie nieznanego), bonońskiej, ale to wyjątek świetny; o studjach zagranicznych Odrowąża wyżej wspominaliśmy.

Była więc nauka łaciny uciążliwa, wymagała czasu i trudu, zato otwierała scholarzowi świat nieznany, wprowadzała go w spólnotę duchową z Zachodem, bo służyła nietylko Kościołowi uniwersalnemu, lecz prawu, dyplomacji, literaturze i nauce każdej. Cały świat zachodni z wszelkiemi jego potrzebami umysłowemi ogarniała łacina: notarjusz, wystawiający dokumenty; dyplomata, wysyłany w misjach zagranicznych; teolog; lekarz; poeta, tylko po łacinie mówili, myśleli, pisali, więc i największe trudy sowicie się opłacały.

Jednolitości językowej odpowiadała też jednolitość nauczania: zaczynało się wyuczaniem t. zw. siedmiu sztuk *(artes liberales)* wyzwolonych, gramatyki, dialektyki (rozumowanie logiczne) i retoryki, uczącej układania mów i listów; tę trójcę — *trivium* (trywialny, pospolity), uzupełniała czwórka — *quadrivium,* na którą składały się nauka śpiewu (muzyka), rachunków (arytmetyka), geometrja (obejmująca i geografję) i astronomja (ważna dla komputu, dla obliczania dni świąt ruchomych), lecz te nauki rzadko zgłębiano. Przeciętny scholar, przyszły duchowny, uczył się psałterza, mszału, formuł (agendy), modlitw i symbolów wiary, lekcji (perykop) z ewangelji i listów apostolskich, początków prawa kanonicznego; czytał homilje (kazania) Ojców Kościoła, legendy, jakiekolwiek pisma ascetyczne. Zaczynał również w poezji od dwuwierszy (dystychów), t. zw. Katona, najpopularniejszego podręcznika moralności i znajomości życia; przechodził do bajek zwierzęcych (wszelakich *Ezopów)* i ich wykładu moralizującego; ulubionej alegorji uczył się i na najniemoralniejszych powiastkach wierszem i prozą; klasycy rzymscy (Lukan, Statius, nie mówiąc o Owidjuszu i Wergilim), ustępowali z biegiem wieków coraz więcej w cień, przed nowszymi poetami chrześcijańskimi, Seduljuszem i in.

Do szkół uczęszczali chłopcy (dziewcząt nie uczono, bo cóż im po łacinie?) z rodzin księżych lub wielmożów, których rodzice utrzymywali; jeżeli przyplątał się biedak, to żebrząc, odśpiewując psalmy, żywił się, jeśli nie znalazł przytułku u księdza, któremu służył. Więc o szkole i jej potrzebie świeccy ani myśleli i w rodzinie panujących nawet czytać i pisać nikt nie umiał i w XIII jeszcze wieku o to mało dbano, chociaż już Bolesław Chrobry i Mieszka II własnych synów, np. Kazimierza, do klasztoru dla nauki wysyłali. Dorosłego Zbygniewa w Krakowie uczono, ale macocha wysłała go do Saksonji (Magdeburga?), do zakonniczek, a więc dla nauki początkowej chyba, którą celował nad nieuczonym Krzywoustym. Spółcześnie bawił w Polsce młody kleryk, Niemiec z Würzburga, Otto, i kierował jakąś szkołą, zażywając wielkiej wziętości; sam wyuczył się po polsku (co mu się potem dla misji pomorskiej przydało), chyba i dla szkoły.[1] Inni Niemcy, którzy w XII, a szczególniej w XIII wieku do Polski w podobnym celu się wybierali, już się po pol-

[1] Wiadomość źródłowa tak cenna dla ówczesnych stosunków, np. czego to od nauczyciela u nas wymagano, że przytoczę ją w przekładzie: «Gdy Otto kilku poetów i filozofów (pewnie Boecjusza) przebiegł a reguły gramatyczne i metryczne trwałej pamięci polecił, ale dla wyższych nauk środków nie posiadał, nie chciał się bratu czy krewnym innym naprzykrzać... wyruszył zagranicę do Polski, bo wiedział, że tam brak literatów, przyjął szkołę chłopców... i wkrótce miał dostatki i cześć».

Niemal we sto lat później wybiera się belgijczyk, scholastyk Arnulf, wcale wykształcony, do Polski, jeśli mu rodzice nie lepiej niż dotąd środków na utrzymanie dostarczać nie będą. Tu o szkole nie było na razie mowy, ale około tych lat (1160—1170) ciągnęli z Brabantu i Flandrji Walonowie do Polski, do Śląska, w Wrocławiu była osobna ich ulica i do tych to kolonistów zamierzał się Arnulf przyłączyć; starszy jego znajomy i przyjaciel, Gwibert, później opat w owem Gembloux, z którem Polskę łączyły wszelakie stosunki, odradził mu stanowczo dalekiej i trudnej przeprawy: «Nie chciej się nieopatrznie w obcym i barbarzyńskim ludzie zanurzać». Arnulf słyszał widocznie, jak się w Polsce obu braciom-biskupom z tej samej diecezji powiodło.

sku nie uczyli; było między nimi sporo «wagantów», wędrownych żaków i kleryków, którzy dla swawoli z Niemiec uchodząc w Polsce do szkół (szczególnie parafjalnych) i do kościołów jako pomocnicy plebana się dostawali, aż czasem i plebanją zawładnęli. Spostrzegło niebawem duchowieństwo szkody z tego i dla młodzieży szkolnej i dla gminy i od r. 1257 poczynały się, coraz powtarzane, np. r. 1285 i 1326, zakazy przyjmowania do szkół nauczycieli, nie umiejących po polsku, nie mogących więc początków łaciny i najprostszego wykładu autorów (Katona głównie) dawać po polsku; równocześnie zakazywano przyjmowania księży, nie umiejących po polsku.

Zresztą bywały wymagania co do uczoności mistrzów najskromniejsze; i znacznie później wystarczało, jeśli jako tako władał łaciną; więc ksiądz w kościele prywatnym wojewodów Sieciecha czy Skarbimira mógł uczyć i ich synów, jeśliby ojcowie tego sobie życzyli, a tak samo każdy notarjusz, skoro się jaki uczeń nawinął. Nie udało się jeszcze wszczepić szkoły w organizm narodowy; jedyny Kościół nie mógł się bez niej obchodzić. Ale w XIII wieku już coraz liczniejsze wzmianki o nauce Piastów: św. Salomea uczyła się z przyszłym mężem Kolomanem wprawdzie na dworze węgierskim, ale Kinga z Bolesławem w Krakowie; Przemysł I czytywał psalmy i modlitwy, a odmawiał godzinki do N. P. Marji, więc po łacinie umiał (polskich nie było); szczególniej śląscy Piastowie, którzy i do stanu duchownego wstępowali, bywali łacinnikami.

U naszych głucho o uczniach i uczeniu się; sławi wprawdzie mistrz Wincenty Kazimierza Sprawiedliwego, ale z jego ogólnikowych pochwał wynika na pewne tylko, że książę chętnie z «uczonymi» o rzeczach uczonych rozprawiał i śpiew i muzykę lubił. Zczasem jednak mnożą się uczniowie i wieści o nich. Za Mieszka Starego pobili scholarze krakowscy żyda, co na nich srodze pomszczono. W XIII wieku liczba scholarzy, szczególniej w Krakowie, znacznie wzrosła; brali oni udział w widowiskach

jasełkowych i pasyjnych, z maskami na twarzy, na co się papież Inocenty III wedle relacji arcybiskupa Kietlica uskarżał, a r. 1230 wzywał papież Grzegorz IX kilku opatów i przeorów z okolic krakowskich, aby nadal zapobiegali wybrykom żaków, jakich się dopuszczali krakowscy w Tyńcu w święta Bożego Narodzenia do dnia św. Młodzianków, biesiadując w klasztorze, śpiewając sprośne pieśni goliardzkie (wagantów), wyzywając zakonników i napastując ich gwałtownie: zwyczaj, przeniesiony do Polski z zagranicy, gdzie według nieposkromionej chęci średniowiecznej parodjowania wszystkiego co święte i uroczyste, w te same dnie opat albo biskup szkolny, dorwawszy się władzy, urządzali obchody huczne i pijatyki; skarżyli się więc benedyktyni tynieccy na podobne wybryki scholarzów krakowskich, którzy im dobytek nawet wyganiali — ale to rzecz międzynarodowa, jak i owe pieśni same.

Nie wysoki był więc poziom naukowy nielicznych szkół naszych ówczesnych i żadna z nich nie mogła udzielać jakichkolwiek stopni naukowych; gdy się spotykamy np. po dyplomach z tytułami doktora czy magistra dekretów, to są to wyniki studjów zagranicznych; sam tytuł *magister* na to nie zawsze wskazuje, bo dopiero później ograniczono go do istotnych studjów uniwersyteckich. Nie wiemy, gdzie Radosław, kapelan i lekarz Kingi, zdobył tytuł *magister physicus* czy *medicus*, w Montpellier czy Salerno? podobnie *magister medicus* czy *physicus* Gozwin (nazwisko niemieckie) u Henryka Probusa. Z ogólnikowemi pochwałami kronikarzy niewiele poczniemy, np. *Kronika książąt polskich* twierdzi o wrocławskim biskupie Tomaszu (1232—1268), że potomek zacnego rodu polskiego tak słynął mądrością książkową i obyczajami cnotliwemi, że sława jego i w kurji rzymskiej i między panami wszelkimi się szerzyła. Napewne studjował w Paryżu Iwo Odrowąż, biskup krakowski (1218—1229), bo generał zakonu premonstrantów pisał do niego, ciesząc się, «że po powrocie ze szkół paryskich wezwanyś został

do rządów krakowskiego Kościoła»; do Paryża wysłał może właśnie Iwo jako opiekun i św. Jacka, który tu z św. Czesławem studjował. W r. 1284 bawił tu «Franko de Polonia» i napisał traktat astronomiczny (opis przyrządu, zw. *turketus*), zażywający pewnej sławy, a Franciszek z Krakowa (późniejszy kanonik i kanclerz krakowski Łokietka) uzyskał magisterjat. W Bolonji uczył się przez lat cztery i został doktorem dekretów (prawa kanonicznego) Jakób z Skaryszowa, kapelan papieski i króla czeskiego, zmarły r. 1267. W Padwie miał być (r. 1271) rektorem (t. j. wybranym z scholarzów cudzoziemskich, transalpinów) archidiakon krakowski Mikołaj Polak, a po nim Fryderyk Polak — gdy żądano od księży wyższego uzupełnienia studjów kanonicznych, udzielano im dlatego urlopów. R. 1244 potwierdzał kanonik krakowski Sulisław, że jego ojciec i stryj sprzedali wieś Szczyrzyce za sto grzywien srebra, łożone na jego studja padewskie. W XIII wieku Bolonja pociągała może więcej (dla studjów kanonicznych) niż Padwa; wymagano przecież od archidiakona, żeby najmniej trzy lata studjom kanonicznym poświęcał. W r. 1265 stała nacja polska śród trzynastu razem z Węgrami, a od samego początku XIV wieku wiemy o sprzeczkach z Niemcami (zob. niżej). W r. 1284 wymieniają Krakowianina Franciszka jako paryskiego *magister artium.*

## LITERATURA

O ubóstwie ruchu umysłowego świadczył i stan ówczesnej literatury. Z wieku X i XI nie ocalało nic, oprócz kilku króciutkich dokumentów; dopiero w XII w., obok coraz liczniejszych dokumentów (nadań, fundacyj i t. p.) zjawiały się pierwsze roczniki: sięgały początkiem swym dawniejszych tablic paschalnych, t. j. spisów dat świąt ruchomych na cykl lat 19, rozsyłanych po kościołach i klasztorach, gdzie po brzegach karty notowano wszelakie zdarzenia; z kilku takich tablic paschalnych i z zapisek niemieckiego pochodzenia z IX wieku powstawały roczniki,

annały, które posiadamy zazwyczaj w późniejszych odpisach, albo przeróbkach. Najstarszy między niemi «dawny rocznik świętokrzyski» z XII wieku, wpisany do wykładu listów apostolskich Anzelma Scholastyka z Laon, zmarłego r. 1117; może przywiózł ten kodeks z Laon Jakób ze Żnina, późniejszy arcybiskup. Z XIII wieku posiadamy roczniki kapituły krakowskiej, powstałe po r. 1267; urywki kilku innych (lubiński, kamieniecki-śląski); roczniki kapituły poznańskiej, prowadzone w drugiej połowie XIII wieku przez jej kustosza, Gocława-Baszka. Wyprzedziła roczniki kronika nieznanego z imienia Prowensala («Galla»), napisana w latach 1110—1113 w Poznaniu; autor, kapelan książęcy, wydał ją na zlecenie i za pomocą dostojników kościelnych, mianowicie kanclerza książęcego Michała; kronika zawierała we dwu trzecich tylko dzieje-chwalbę Krzywoustego. Gdy spółcześnie w Kijowie i Pradze rodacy spisywali dzieje ojczyste, w Polsce własnym nie dowierzano siłom i włożono na obcego naglący obowiązek; obce ręce gładkie, ale nie pożyteczne, «Gall» ani troszczył się o szczegóły życiowe, dla dziejów kultury tak znamienne, jakiemi Nestor i Koźma dzieje ojczyste urozmaicili.

Jeżeli pominiemy jaką krótką legendę o św. Wojciechu, co w Polsce (czy przez Polaka czy Radzima napisana?) obiegała, był to pierwszy utwór literacki na naszej ziemi; świadczył jednak tylko o wykształceniu obcego i o smaku ówczesnym francuskim. Forma odznaczała się prozą rymowaną (rymy były wyłącznie gramatyczne), spadkiem rytmicznym zdań, ozdobami stylowemi; sadził się autor i na wiersze, dłuższe leoniny, i na krótsze, przerywając niemi tok prozy. Od przedmiotu nie odskakiwał, opowiadał dosyć rzeczowo, tylko w listach, jakiemi każdą księgę poprzedzał, hołdował panegiryzmowi i stylowi bujnemu. Bohaterem jego był Krzywousty, którego szczerze podziwiał; starał się jednak wszędzie, jako przybysz, zachować pozory sądu objektywnego, co mu mianowicie w sprawie ze Zbygniewem

wielką trudność sprawiało; w zbyt czarnych wystawił go też kolorach, obielając Krzywoustego; rzeczy drażliwe (np. ukaranie Stanisława, wojny z Sieciechem i Judytą) najchętniej omijał, albo półgębkiem o nich rozprawiał. Nie dla historji i prawdy, pisał dla szkoły i sławy, rzecz popularną więc i zasłużył na uznanie i wdzięczność, bo jedyny w jakim takim ciągu dawne dzieje wystawił; bo przejął się szczerym hołdem dla genjuszu Chrobrego, a przewag Krzywoustego; bo budził pierwszy w Polsce uczucia patrjotyczne; bo wskazywał ideały nowe w formie przystępnej i poprawnej.

Dzieło Galla, mnicha obcego pochodzeniem i wykształceniem, nie wyraża kultury polskiej, tem bardziej, że zatłoczyła je wcześnie a zupełnie kronika Wincentego, która wyłącznie z niego wszystko czerpie; zapomniano o niem doszczętnie, z wieków XII do XIV zachował się dotąd jeden jedyny odpis. Długosz je znał, ale szedł za Wincentym, którego powagę dopiero humaniści podkopali. Gdy «Galla» ze spółczesną ruską i czeską kroniką porównamy, winien on obum całkiem ustąpić; Francuz lepszy nierównie, niż oni, stylista, w opowiadaniu jak w refleksjach, gdy Koźma tylko wiersze klasyczne cytuje, a Nestor żadnych nie zna; jawna u Francuza lepsza szkoła, smak Koźmy bardziej barbarzyński i przed obscenami się nie żacha, a Nestor naiwny asceta. Brak Gallowi zato gorącego patrjotyzmu Rusina i Czecha; jemu nic nie zależy na obcej ziemi; jej książę a pan jego miłościwy mu imponuje, ale nie oślepił go panegiryzm zupełnie, więc i na swoim bohaterze odkrywał plamki. Pogląd na świat katolicki, ale nie mniszy ani ascetyczny; nie rażą go rzeczy świeckie, owszem cieszą go i blask dworu i zgiełk bitwy; nie stroni od uwag ogólnych, od moralizacji. Ależ jaka nikła jego treść wobec obfitości tamtych obu!

Dzieło Gallowe, podstawowe, bo jedyne dla dziejów spółczesnych, nie budzi równej wiary co do dawnych, szczególniej Chrobrego, i umyślnie usuwałem jego świadectwa, bo co o Chro-

brym opowiada, spowitę mgłą tradycji dowodzi tylko nadzwyczajnego uroku, bijącego od owego wieku złotego na całe pokolenia. Podanie o ułaskawianiu skazanych na śmierć, jak ich królowa ukrywała w ciemnicy, aby w danej chwili dla nich przebaczenie uprosić, jest tematem międzynarodowym, nieco wykoszlawionym, bo wedle tematu rzeczywista potrzeba ich osoby, nie przypadkowa wzmianka ich imienia, rozstrzygała; to wykoszlawienie sprawiło i dalszy dodatek o łaźni dla młodych; w bylinach ruskich (zob. niżej) ten sam temat trafniej wyłożony. O czterdziestu stołach wielkich, nie licząc mniejszych, jakie codzień Chrobry urządzał; o dwunastu panach radnych, którzy go stale otaczali; o ścisłej sprawiedliwości i t. d., to są wszystko rysy dla kreślenia ideału miłościwego ojca poddanych, ale z rzeczywistością liczą się tak mało jak wbijanie żelaznej mety w Salę saską lub przepych bajeczny, jakim gościa swego w Gnieźnie otoczył, a szczególniej jaki śród jego dworzan panował. Podobne co do stołów szczegóły i o Włodzimierzu kijowskim opowiadano; wszystko to raczej *pia vota* Galla, niż szczegóły dla dziejów kultury polskiej, tak samo jak i obliczania siły zbrojnej; tylko szczegół o przywabianiu obcych zasłużył na wiarę (zob. niżej).

Zupełnie odmiennem jest dzieło Wincentego. Gall opowiadał bez błyskotek, trzymał się ściśle wątku, nigdy nie odskakiwał od zadania nań włożonego, ale wątpię, czy jego stronnicze wysunięcie samego Krzywoustego odpowiadało zupełnie zamiarom jego chlebodawców, którzy się kroniki, nie biografji-panegiryka spodziewali. Przedmowa do trzech ksiąg świadczy też o jakichś kwasach; chyba nie przyjęto dwu pierwszych ksiąg tak, jak autor sobie tuszył; wysuwano nawet może wobec niego nie tak owe zarzuty właściwe, jak raczej pozorne, bo on bronił się, że pisał przecież nie dla zbudowania czytelnika, nie ewangelję, lecz wojny i chwały świeckie, jakie się wojownikom należą; obawiał się nawet, czy go nie skrzywdzą wkońcu, nie opłacą trudu jego, jakby się godziło.

Dla szkoły, dla podniety chęci sławy i miłości ojczyzny podjął się mistrz Wincenty dzieła, do którego dał podnietę Kazimierz Sprawiedliwy; forma jego kroniki osobliwszą podyktowana treścią. Bo trzy pierwsze jej księgi omawiają tylko Galla, objaśniają jego tekst przykładami z dziejów starożytnych, przeważnie z Justyna i to tak, że opowiadał biskup krakowski Mateusz a objaśniał arcybiskup Jan (sam wybór rozmówców cechował czasy i ludzi); natomiast gdzie Gall kończy, tam, przy końcu trzeciej i w czwartej księdze, opowiada Wincenty jednym ciągiem od siebie, aż nagle urywa r. 1202, jakby pozostawił dzieło niedokończonem. Jeżeli już Gall w porównaniu z dawniejszemi kronikami szkołą zatrącał, przybrała ta cecha u Wincentego rozmiary gwałtowne; czcza to gadanina zamiast treści; cała pierwsza księga z mniemanemi podaniami krakowskiemi jest tylko nadużyciem naszej cierpliwości; o tych pustych wymysłach, czepiających się kilku mylnie pojętych nazw, zob. wyżej. Sumienie literata średniowiecznego bywało bardzo przestronne, podawał on za prawdę sny własne; fatalne to, że napuszoność Wincentego zatłoczyła względną prostotę Gallową; tylko Wincentego coraz przepisywano i ślepo mu wierzono. Okaz to ciekawy średniowiecznej uczoności, obeznany z pismem św., z prawem kanonicznem i cesarskiem, oparty o szerokie oczytanie w autorach rzymskich i historji, sadził się na efektowny wykład, chociaż do Galla nic nie umiał istotnego dodać (prócz kruszenia kopji za św. Stanisławem). Szlachetna prostota dawniejszych ulotniła się; należało się popisywać wiedzą i stylem; przesada nie opuszczała go, gdy go nakoniec Gall opuścił, owszem nagradzał teraz brak dialogu ustawianiem alegorji, począwszy od bajki zwierzęcej i od komedji teatralnej dla ułagodzenia despoty Mieszki aż do najsztuczniejszego wyrażania żalu ogólnego przy nagłym zgonie Kazimierzowym, który radość w smutek gwałtem odmienił; rozprawy to figur-symbolów na temat abstrakcyjny, a co gorsza, źle zrozumiałe, ale ugodził w smak

wieku, co w podobnych debatach-sporach lubował. Ocalała go miłość ojczyzny, duma patrjotyczna, moralność nienaganna, co się krzywdzonych i przeciwko księciu ujęła. Trudno wydzielić, co on w kraju zdobył a co z zagranicy przywiózł; w każdy sposób dowiódł, że początki same już nie wystarczały, że umiano cenić wymowę i oczytanie a pisarze starożytni, choć poganie, największej powagi zażywali. Najsztuczniejszy to okaz naszego średniowiecza, nie świadczy korzystnie o smaku, ale stawia się na równi ze spółczesną literaturą scholastyczną, sadzącą się na styl ciemny, napuszony, górny, na alegorje i symbole; należy go więc sądzić wedle wymagań wieku, a tym zadość uczynił swoim barokiem. Szkoły jednak nie stworzył; żaden z następców nie pokusił się o przedłużenie jego dzieła, albo o nowe tegoż opracowanie; i Ślązacy przyjmowali go bez zastrzeżeń. Pompatyczny Wincenty zapanował nad całą historjografją późniejszą, nie na jej korzyść, nauczył patrzeć na dzieje ze zbyt wysokiego a obcego stanowiska, ale schlebiał dumie narodowej inaczej niż Gall, a nikłość treści zakrywał splotem fantazji, retoryki i swojej niezwykłej wówczas uczoności. Gdzie ją nabył, kto go na magistra gradował, nie wiemy napewne; lubował się w wyszukiwaniu niezwykłych nazw *(Caranthae* dla Krakowa; *Lechitae)* i tworzeniu nowych słów, szczególnie greckich, któremi się popisywał zwyczajem spółczesnym, choć jak spółcześni greki wcale nie umiał; dla samych studjów prawniczych wysyłano go do Włoch, por. wyżej.

Innych dzieł oryginalnych, inaczej niż w Czechach, u nas wcale nie było, nie posiadaliśmy nawet, zdaje się, żadnej własnej legendy ani o pięciu męczennikach (jest Brunona Niemca i u Czecha Koźmy), ani o św. Wojciechu (?), patronie polskim; dopiero w XIII wieku powstały legendy o św. Stanisławie (zob. wyżej).

Dawne znaczenie Gniezna i Poznania upadło; życie umysłowe ciążyło widoczniej ku Krakowowi i Śląsku. W drugiej

połowie XIII wieku wyprzedzał Śląsk, który się wtedy całkiem do Polski zaliczał, inne dzielnice; Wrocław, Legnica tworzyły ośrodki znaczniejszego ruchu umysłowego; na jego tle urósł i pleban śląski Witelo, «syn Turyngji i Polski» (z matki Polki zrodzony), co się uczył «Parisius», był potem sam nauczycielem na Śląsku, a około r. 1262 wyruszył do Padwy dla studjów kanonicznych; stąd wysyłał do przyjaciela Ślązaka, Ludwika z Loewembergu, traktaty (o naturze demonów — spadłych aniołów; o pierwszej przyczynie skruchy ludzkiej); we Włoszech napisał około r. 1270 słynną *Perspektywę*, wykład systematyczny ówczesnej wiedzy optycznej, opartej na starożytnych i na Arabie Alhazenie; dzieło częste po rękopisach, trzykrotnie w XVI wieku drukowane.

Równie skromne były początki poezji łacińskiej. Znano ją powszechnie (oprócz autorów szkolnych, *Katona, Ezopów* i t. d.) z śpiewów liturgicznych, z dawniejszych hymnów kościelnych i późniejszych sekwencyj albo proz, płodzonych w niezmiernej ilości od IV i X wieku. Wymagała ich służba kościelna; u nas zatrzymywano wszelkie obce, jak je *ordo romanus* przepisywał, a mszały i graduały podawały, ale gdy nastały święta narodowe, gdy miano obchodzić św. Wojciecha i Wacława, św. Florjana i Stanisława, należało się samym wystarać o hymny i sekwencje. To są pierwsze oryginalne płody naszej poezji łacińskiej; posiadamy je, bez nazw autorskich, w późnych brewjarzach (z XIV i XV wieku). Na synodzie nakazał Jakób Swinka r. 1285: «aby we wszystkich katedralnych i konwentualnych kościołach naszej prowincji miano na piśmie historję św. Wojciecha i wszyscy ją wygłaszali i ś p i e w a l i». Czy jednak autor tej historji liturgicznej nie był jaki obcy benedyktyn jeszcze z początku XI wieku? służba św. Wojciecha obowiązywała nietylko Polskę i Czechy, a zaczyna się nieszpór jego wierszem: *Benedic regem cunctorum conversa gens Vandalorum* — to *Vandalorum* zamiast Słowian odpowiadałoby raczej Niemcowi czy komu innemu,

niż Czechowi czy Polakowi. Zato historję św. Stanisława niewątpliwie Polak napisał, oto początek pierwszej antyfony:

Dies adest celebris!
Ad lucem de tenebris
Consurge P o l o n i a!
Glebam ferens corporis
Letare C r a c o v i a!
Stanislai presulis
Preclara miraculis
Age natalicia etc.

Jest i druga *historia gloriosissimi Stanislai cantu permixta* z XIII w. Nieco późniejsza jest historja o św. Jadwidze trzebnickiej, a jeszcze późniejsza o naszej Kindze, z XIV już wieku; autor pierwszej, Niemiec śląski, zaczął strofą: *Laetare G e r m a n i a* etc.; późniejszy polski kopista opuścił tę strofę całkiem, a w następnych kładł zamiast Silesia, P o l o n i a.

Liczniejsze są sekwencje dla śś. Wojciecha i Stanisława, znamy dwie dawne o św. Wojciechu (czy autora Polaka? prawdopodobnie), a pięć o św. Stanisławie, napewno autora polskiego; niektóre o wcale sztucznym wierszu i sztuczniejszej jeszcze melodji (w jednej czytamy: *o m n i l a u d e d i g n a p l a u d e Civitas C r a c o v i a).* O wartości tych poezyj nie myślimy się rozwodzić, powstały przecież na spólnym co do formy i języka gruncie sekwencji; zasługa ich autorów, że wzory obce samodzielnie przekształcali i Polsce miejsce, na razie skromniutkie, śród tej produkcji warowali.

O świeckiej poezji łacińskiej i tego spółcześnie nie zaświadczymy; są wiersze u Galla, którego dzieło nie kronika, lecz raczej świetne *dictamen,* dowodzące wykształcenia autorskiego na polu prozy i wiersza; w nagrobnej jego pieśni dla Chrobrego wywołał jeden wiersz znaczny spór; każe zgon królewski wszystkim opłakiwać: *Latinorum et Sclavorum quotquot estis incolae* (ilu was jest mieszkańców, Łacinników i Słowian), — cóż to znaczy? Powiedziano, że tu Gall przeciwstawiał Słowian, t. j.

obrządku słowiańskiego wyznawców, łacinnikom rzymskiego obrządku i upatrzono w tem dowód istnienia cyrylometodowego chrześcijaństwa w Polsce! Ależ *Sclavi* to Polacy, *Latini* to obcy, Włosi, Francuzi i in., których było w Polsce i na Węgrzech (gdzie klasztor św. Idziego tylko Francuzi obsiadali, między nimi może i nasz Gall) niemało — o dwoistym obrządku w Polsce Gallowi się ani nie śniło. Wiersz alegoryczny mistrza Wincentego strasznie napuszony, Gallowe naturalniejsze, prawdziwsze. Tragedję Piotrka Włosta opisał wierszem jakiś Ślązak, Maur; dziełko zaginęło, więc czasu, miejsca (Wrocław?) nie odgadniemy.

## ZABYTKI POLSKIE DUCHOWNE

Od łacińskich wierszy religijnych wiodła droga do polskich. Nie znał dawny Kościół wcale śpiewu gminy, śpiewał chór kościelny, ćwiczeni duchowni kantorowie, z nimi żacy, ich uczniowie; gmina powtarzała tylko odgłosy *Kirie eleison* (co Czesi a my za nimi w *Krlesz* spopularyzowali), *Hosanna* (nie rzadkie jako imię kobiece), *Alleluja.* Ale już w XI wieku śpiewają Niemcy po niemiecku krótkie pieśni-hymny, Czesi w XII, a my w XIII, nie w kościele, na cmentarzu i przy procesjach (o śpiewach narodowych w procesjach biczowników wspomnieliśmy wyżej i przytoczyli, co za taki uchodzićby mogło). Najdawniejszy nasz wiersz religijny, to zwrotka przetłumaczona (jak i u Czechów i Niemców) z trzeciej zwrotki hymnu *Deus omnipotens: Christe surrexisti, Exemplum dedisti, Ut nos resurgamus Et tecum vivamus* — po polsku wedle odpisu z r. 1365 (?): «Chrystus z martwych wstał je(st), L u d u przykład dał je(st), Eż n a m z martwych wstaci, Z bogiem królowaci Kirie eleison!» Trudno o prostszą formę i treść, ale znaczenie Wielkanocy wymagało niemal podobnego odruchu ludowego; nie mogła jednak ta piosnka, jako związana z samem świętem nierodziel-

nie, stać się ogólną, którąby lud przy każdej sposobności mógł śpiewać, w pokoju i boju, w dniach radości i smutku. Czesi mieli taki hymn w swoim *Hospodine pomiluj ny*, Polacy otrzymali go w *Bogurodzicy*.

Dzieje tej pieśni, t. j. jaki ona wkońcu przybrała tekst i melodje (bo jest ich kilka, sztuczniejszych i prostszych), bardzo zawikłane; w XIII wieku istniały tylko jej dwie pierwsze zwrotki. Owa wielkanocna o Chryście mówiła, o zmartychwstaniu; ta, może najpierw przy Narodzeniu śpiewana, dla tego dnia przeznaczona pierwotnie (?), również Chrysta wzywa, ale za pomocą orędowników, Matki i Chrzciciela, bo przystęp do Pana oni ułatwią. Jak Niemiec w XII i XIII wieku zaczynał: *Sant Marei m u t t e r unde m a i t*, tak i Polak: «Bogu *rodzica dziewica*», ale dalej całkiem inaczej; prosił, by nam Matka Syna zyskała i spuściła; w drugiej zwrotce prosił syna Boga, Bożyca, w imię jego Chrzciciela, aby wysłuchać raczył nasze prośby. Te dwie zwrotki podał wraz z melodją najstarszy odpis *Bogurodzicy*, naklejony na okładce rękopisu z r. 1407, najpoprawniejszy zarazem, ale może o najmniej półtora wieku młodszy od oryginału, więc nic nam nie ręczy, czy w tym długim przeciągu czasu nie zaszły jakie odmiany, czy np. nie narosła druga zwrotka, dłuższa znacznie od pierwszej, przecież już w następnym odpisie, późniejszym najwyżej o lat dwadzieścia, liczy *Bogurodzica* zamiast dwóch zwrotek trzynaście! Że ów pierwszy tekst jest starożytny, dowodzą słowa i zwroty, nigdy więcej nie używane, np. *Bożyc* zamiast syn Boga, *Bogiem sławiena* (archaizm) zamiast *błogosławiona, dziela (unicum* w polszczyźnie) zamiast *dla;* to ocalało; czy w oryginale nie były i inne archaizmy, nie osądzimy. Tekst brzmiał może:

Bogu rodzica, dziewica, Bogiem sławiena Maryja!
Twego syna, gospodzina, maci zwolena Maryja!
Zyszczy nam, spuści nam!

Twego dziela chrześciciela, Bożyce!
Słyszy głosy, pełni myśli człowiecze,
Daci raczy, jegoż prosimy!

*Kirie eleison* kończy obie zwrotki, nierówne w budowie, co ówcześnie nie stanowiło wyjątku. W odpisie najdawniejszym wiersz ostatni rozszerzony znacznie («słysz modlitwę, jąż nosimy... a na świecie zbożny pobyt, po żywocie rajski przebyt»). Otóż ta pieśń stała się hymnem narodowym, poświadczonym jako taki najpierw pod Grunwaldem, gdzie rycerstwo polskie z płaczem zaintonowało to *patrium carmen*. Od prostoty owej piosnki wielkanocnej odbija sztuczność melodji, osobliwość wyrażenia *Bogurodzicy*, niepospolity to był znawca muzyki kościelnej, kto się na melodję i treść złożył; można napotkać tu i owdzie reminiscencje, podobieństwa, ale nigdzie nie znaleziono pierwowzoru łacińskiego (o czeskim niema co i mówić; własny repertuar pieśni czeskich był arcyubogi); odśpiewanie tej *Bogurodzicy* było nierównie trudniejsze, niż owej piosnki wielkanocnej; ponieważ kult Marji w wiekach następnych stale wzrastał, ułatwiało i to rozpowszechnienie pieśni, która pozornie, dla pierwszej zwrotki, Maryjną się zdawała. Tak rzucono w wieku XIII podkłady polskiej pieśni religijnej, która w umysłowości ludowej miała później silnie zaważyć.

Spółcześnie stworzono i kaznodziejstwo narodowe. Głucho o niem w czasach dawniejszych i gdzie indziej nie było wiele lepiej. Czeska np. literatura nie ma ani jednego zabytku kaznodziejskiego z XIII wieku. Nie zdobyły się na nie dawne zakony, benedyktyńskie i wszelkie odmiany ich reguły aż po cysterskie i in.; to rzecz zakonów żebrzących i kaznodziejskich św. Dominika i św. Franciszka. Wyżej o tem wspominaliśmy; jeśli Długosz już przed nimi kaznodziei wymownych wspomina, np. Iwona Odrowąża, wolno nam o tem wątpić. Z kaznodziejstwa trzynastowiecznego ocalał cudem znaczny urywek, t. zw. *kazania świętokrzyskie*, bo użyto ich przy oprawie rękopisu święto-

krzyskiego XV wieku. Nie oryginał to, lecz odpis z pierwszej zdaje się połowy XIV wieku; zachował jednak starożytne formy oryginału, żaden znany dotąd tekst polski nie może się z nim zrównać. Ocalały resztki sześciu kazań, od św. Michała do Gromnicznej; tekst jest mieszany, łacińskopolski, dla większej wygody piszącego (i w francuskich kazaniach XIII wieku tak postępowano). Autor cytuje głównie pismo św. obu Testamentów, legendę o św. Katarzynie, Augustyna i jeden wiersz «magistra» (Francuza Helinanda) *Vado mori* z XIII wieku o potędze śmierci, która wszystkich zmiata. Wykład alegoryczny stale; układ staranny wedle rubryk, jakie autor sobie naznaczył i jednę po drugiej wypełnia, np. «trojaka rzecz króla mocniejszego pokazuje: ustawiczne wicięstwo, mocne i cne *włodyctwo* (otóż i tu mamy dowód, że jeszcze na polskim gruncie *włodyka* panującego oznaczał), wielikie bogactwo» — potem każdą rubrykę świadectwami z pisma potwierdzał i objaśniał. W kazaniu na św. Michał prawił o aniołach i wyliczał aż dziewięć rubryk, na co oni nam dani i t. d. Mowa prosta, stosuje się do pojęcia ubożuchnych, bez jakiegokolwiek polotu, nieco sucha, ale wdraża nauki zbawienne i nie najgorzej świadczy o sercu i myśli kaznodziei. Szukałbym go między franciszkanami; całkowity zbiorek tych kazań mieścił się w jednym seksternie i śmiało mógł się z nim w drogę puszczać mnich, którego i proboszcz zapraszał, by kazaniem lud uraczył, boć nie każdego proboszcza stać na to było. Język starożytny, ale dobrze zrozumiały, gładki, a co najważniejsze, żadnej właściwości gwarowej, miejscowej, nie zdradzał; pojął go każdy Polak bez trudu.

Ale XIII wiek podjął także tłumaczenie Pisma św.; zaczął od tego, czem każda literatura narodowa się szczyci, od psałterza, a miał na oku kobiety, nie mężczyzn, mniszki, nie mnichów; ci modlili się z brewjarza łacińskiego, a psalmy weń wchodziły głównie, i mniszki musiały go odprawiać, ale gdzież je na łacinę stawało (Kinga, Salomea były wyjątkami). Więc potrzebo-

wały go klaryski sądeckie, norbertanki strzeleńskie i t. d. i nieskończenie zasłużyła się Kinga, gdy nie dla siebie, lecz dla sióstr o przekład psałterza się wystarała; nie mamy najmniejszej przyczyny powątpiewać o słowach jej żywociarza, że przed każdem wyjściem z kościoła co dziesięć psalmów po polsku Bogu oddawała. Psałterz Kingi ocalał tylko w odpisach niemal o lat 130 młodszych, odpisach, które się nigdy tekstu pierwotnego mechanicznie nie trzymały, więc zachodzą między niemi wszelakie różnice, ale przebija wszędzie pierwowzór pierwotny. Oto zabytki literatury, pracy kulturalnej pisemnej; nie liczne, ale i czeskie pisemnictwo nie było wiele liczniejsze, więc różnica niezbyt wielka, dopiero w wieku XIV mieli nas Czesi na tem polu strasznie wyprzedzić.

Pomimo ubóstwa pomników można już dla XIII wieku liczyć się z wyrobieniem języka towarzyskiego, a na jego tle i literackiego. Powstał on głównie w Krakowie, który już od Odnowiciela stawał się stolicą: każda dzielnica (a było ich coraz więcej) miała wprawdzie swoją własną, ale Kraków opanowywali i Ślązacy i Mazowszanie pokolei i tu gdzie się ścierali przybysze zewsząd, ścierały się też osobliwości gwarowe i wyrabiał się język ogólny. A tworzył go w wielkiej mierze właśnie Kościół, szczególniej w wieku XIII, gdy fala obczyzny ostatecznie spłynęła; Kościół znał tylko jeden język, ściślej z czeskim się wiążący. Tak doszło do tego, że język towarzyski wyzbył się albo raczej wcale nie przybrał miejscowego mazurzenia krakowskiego; brakiem tegoż odcina się korzystnie, szczególniej w kościele, od mowy gminnej i tak to język literacki, który w krakowskiej jako najbardziej ogólnej dzielnicy powstał, nie dzielił jej gminnej właściwości. Teksty głównych modlitw Kościół wcześnie ustalił i w nich nie mazurzył nigdy, podobnie w formułach ślubnych i in. (uniemożliwiał to już wzór czeski), a za tym śladem poszły i *Bogurodzica*, rozwinięta na tle krlesza i owe kazania franciszkańskie i pierwszy przekład najważniej-

szej księgi świętej, stanowiącej główny zrąb wszelkich brewjarzy zakonnych, a później modlitewników prywatnych. Wielką trudność sprawiało ubóstwo alfabetu łacińskiego, który z swojemi znakami nie nadążył za 36 brzmieniami polskiemi, więc obcy notarjusze wypisywali w łacińskich zawsze aktach imiona i nazwy polskie tylko w przybliżeniu, naginając niesforne polskie syczące do normy łacińskiej, lecz bez systemu; tej tradycji kancelaryjnej trzymali się i notarjusze rodacy: najpierw oddawano brzmienia polskie jednym znakiem, osobny tylko dla wszystkich nosówek tworząc; potem kombinowano dwa i więcej znaków łacińskich dla jednego polskiego brzmienia; nie zdobywano się na dalsze modyfikowanie znaków łacińskich (przez kreski lub punkty) dla oddawania brzmień polskich. To utrudniało bardziej jeszcze niż w Czechach piśmienność, bo nasz język ma więcej brzmień sobie właściwych niż czeski. Nie zapominajmy jednak, że brak zabytków piśmiennych nie rozstrzyga o niczem; wiemy na pewne (p. wyżej), że zakony żebrzące pielęgnowały kazania po polsku; te się nie zachowały, bo wiek XV nie smakował więcej w dawnych, skromnych tekstach i o nie nie dbał; pergamin kazań świętokrzyskich mnich-introligator pociął na paski dla oprawy nowego rękopisu około r. 1420.

## ZABYTKI ŚWIECKIE

Nie brakowało jednak i świeckiej poezji, a piastunami jej byli igrcy-szpilmani, którzy krążąc po grodach przed panami, a na podgrodziach przed karczmą słuchaczów zwabiali. Repertuar bywał wcale różnorodny; znalazł się między nimi i linoskok i produkujący się z zwierzętami tresowanemi (np. z małpą!) i sam sztuki wyprawiał, ale nęcił może najwięcej pieśnią-baladą o jakimś nadzwyczajnym wypadku, o potworze co się gdzie okazał, o zbrodni strasznej, o zwycięstwie. Tułał się po całej Polsce; gdy mu szczęście sprzyjało, i wioski się dochrapał (zapi-

sał ją klasztorowi igrzec Jurek r. 1243); żak niedouczony czy kleryk wykolejony chwytał się tego chleba niepewnego. Wiemy coś niecoś o ich repertuarze w XIII wieku od Długosza, który jeszcze w XV wieku słyszał o jednej i drugiej baladzie, zastępowałaby ona nadzwyczajny dodatek naszych dzienników. I tak twierdzi, że jeszcze za jego czasów śpiewano o bitwie pod Zawichostem z r. 1205, gdzie hardy i krwiożerczy Roman halicki padł, a związki jego z Polską były silne i dawne, więc tem większe wrażenie wywołał jego napad i katastrofa; chował się przecież u Kazimierza Sprawiedliwego i polskiemi posiłkami zdobył i Brześć i Halicz. A druga balada opowiadała o śmierci-straceniu pierwszej żony wielkopolskiego Przemysła II, Ludgardy, którą książę dla niepłodności porzucił, a jak powszechnie wierzono, przez poufne sługi r. 1283 udusić kazał; w pieśni wypraszała się biedna, niech ją i w jednej koszulinie tylko do ojca odpuści. Wolno jednak przypuścić, że repertuar igrców był bogatszy, taki upadek Sandomierza albo bitwa pod Legnicą same się napraszały do pieśni; wyżej przypuszczałem, że za sprawką jakiegoś igrca połączyła się historja o Walcerzu Udałym z historją o niewiernej żonie i jej ukaraniu. Zdawało mi się nawet, że niemiecką baśń o zjedzeniu przez myszy jakiś szpilman do Polski przyniósł, bo Słowianie nigdy o niczem podobnem nie słyszeli, a u Niemców to wątek pospolity; że to samo o Mieszku Konradowicu w XIII wieku opowiadano (tylko tu z trafnem uzasadnieniem kary za ucisk niemiłosierny ludzi i wdów, co u Popiela Gall opuścił), polega może też na jakiejś szpilmanowskiej kombinacji, która z przydomka owego Mieszki Chościsko (dla włosów) los mu Popiela wywróżyła. Jeżeli igrzec był autorem myszeidy popielowej, to winnaby się ona pojawić już w XI w., przy końcu tegoż co najmniej, aby ją można w Poznaniu już około r. 1110 przyczepić do podania o Piaście gnieźnieńskiego, data nieco wczesna. Rzecz o Mieszku jest może tylko wymysłem rocznikarzy. Z szpilmanami-igrcami opuściliśmy już pisem-

nictwo i zahaczyli o literaturę tradycyjną, ustną, która i wieki przetrwać mogła, jeśli Długoszowi uwierzyć.

Istniała dalej, od czasów pogańskich jeszcze, literatura ustna, ale l u d o w a, tradycyjna — czyż nic z niej nie ostało? Nie myślimy o «baladach» igrcowych, które moment tworzył, a czas zapominał, lecz o pieśniach, które towarzyszyły obrzędom weselnym, najbardziej konserwatywnym, bo o jakichkolwiek kultowych nie może być mowy, znikłyż one wraz z pogaństwem. Uchodzą właśnie weselne za najdawniejsze, np. ta przy oczepinach po całym kraju (acz z licznemi odmiankami) śpiewana pieśń o chmielu:

Oj chmielu! chmielu! ty bujne ziele,
Nie będzie bez cię żadne wesele...
Żebyś ty chmielu! na tyczki nie lazł,
Nie robiłbyś ty z panienek niewiast...
Oj chmielu! chmielu! szerokie liście —
Już (Marysienkę) oczepiliście...

Ależ rzut oka wskaże późny początek tekstu, przecież to wyrazy, od XVI wieku dopiero używane *(wesele*, nie *swaćba, panienki!)*.

Nierównie starszą zdaje się już dla starożytnych form czasownikowych pieśń, śpiewana przez orszak weselny w drodze do kościoła:

*Pośrataj* Boże te goście nasze, Ładо! Ładо!
*Pośratała* ich matuleńka ich, Ładо! Ładо,

z odmiankami: *pośratajże (śratać* — potykać) ich Panie Jezusie!, albo:

Oj *śratajże* nas moja matula Lelum! Ładо!
Niech cię Bóg *śratuje,* co *dolę rozdaje* Lelum! Ładо!

Te pieśni śpiewają w lubelskiem, więc jak przyśpiew dowodzi, ruskie to; jeszcze dobitniej występuje rusyzm w pieśni z jej przeczącem porównaniem, co tak charakterystyczne dla słowiańskiej pieśni ludowej:

Czy mgła, czy woda,
Pod wici podbiegła! O Ładо (czterykrotne)
Nie mgła ni woda,
Pod wici podbiegła i t. d.
Jasiowe b o j a r y
Pod wieś podjechali! O Ładо i t. d.

Obok Ładо! występuje Lelom i Lelu, i Polelu w ruskiej pieśni, lecz i to z mitologją nic niema spólnego (Ej rozlejsia Polelu Po boru po korenju! O rozpłacz sia Hanulu Pred rodnym bateńkiem); całkiem chrześcijańskie:

Hej Ładо, Ładо! hej Ładо! hej Ładо!
Do ślubu jedziemy.
Wieć to Pan Jezus, Matka Najświętsza,
Czy my go weźmiemy.

Stare nieraz słowa, podkładane pod nową melodję, ale bywa i odwrotnie i żadnych wniosków na tem nie oprzemy.

Podobnie ma się rzecz z zamawianiami-zaklęciami, wszystkie bez wyjątku noszą już cechę chrześcijańską, najdawniejsze znamy z rękopisów z kazaniami łacińskiemi z XV wieku. «Przeszła Matka Boska po złotym moście», ciąg dalszy dopowie filozof czeski z XIV wieku, Tomasz ze Szczytnego, sarkający na starą babę (wieszczycę), że mruczy i chucha prawiąc, jakoby Bóg chodził po złotym moście a spotkał się z św. Piotrem albo z św. Marją, albo z jakąś dobrą bracią. Istotnie, w rękopisie czeskim z XV wieku czytamy:

«Szli trzej szczęśni bracia jedną szczęsną drogą i spotkał ich Pan Bóg i rzekł im, dokąd to idziecie, trzej szczęśni bracia? Panie, idziemy kopać rozmaitego korzenia na rany na rozmaite, na sieczone i na bodzione».

W późniejszym rękopisie polskim czytamy:

«Zarze (t. j. zorze) zarzyce, trzy siostrzyce (i w ruskich pieśniach mowa o tych trzech zarzycach, co krasę sprowadzają dziewczynie). Item. Poszła Matka Boża po morzu zbierając złote pianki. Potkał ją święty Jan. A gdzie idziesz matuchno? Idę synaczka swego leczyć».

Dopełnić może to zamawianie białoruski «zagowor», zaczynający od opisu mąk Zbawicielowych w Jerozolimie, a kończący:

«Przychodziła Matka Przeczysta, gorzkie łezki przelewała, jego rany leczyła, kosteczki zraszczała, członki zmacniała. Zrość się ty, kość, u sługi (N.), zmocnijcie się jego członki, zakryjcie jego rany».

Po całej Europie powtarzają się, nieraz dosłownie, podobne zamawiania; spólne jest im również wysyłanie choroby czy bolu «na pustynię, gdzie dzwony nie dzwonią, gdzie kur nie pieje, gdzie wół nie ryczy, gdzie owca nie beczy (albo podobnie) i tam zniknij, jak obłok na niebie, jak wiatr na górze, jak piana na morzu» i t. p.; stale też życzą, «niech będzie skóreczka ze skóreczką, kosteczka z kosteczką, krewka z krewką, żyła z żyłą, siła z siłą, nie moją mocą, ino Boską pomocą» i t. d. Z pogaństwa pozostała więc tylko myśl przewodnia.

Chrześcijaństwo zatarło ślady pogaństwa; utrzymywał się tylko drobiazg, dziwi (dzicy) mężowie, dziwożony (na Podhalu śpiewają o nich: czapeczka czerwona, kosa rozpuszczona, ukradnie dziecko, pochwyci piękną dziewczynę w lesie, pod ziemię zaniesie, do swego przybytku... słodyczkę jeść dadzą), mniej poetyczne one na równinie, boginkami zwane: «Za stodołą za nasą Boginki się kramasą» (kłócą), albo: «Tu górecka, tu krzacek, tańcował tu stralacek (latawiec, zły duch), Z tą boginką z tą ładną, Co se stała nad ławą». W pieśniach świętojańskich, przy puszczaniu wianków na wodę, przy obnoszeniu Gaiku, nawet i takich wspomnień już niema, a w pieśniach dożynkowych chyba tylko przyśpiew 'Plon niesiemy, plon' starożytny.

Nie dziw, że tak wątpliwe i ubogie są wyniki literatury ludowej, skoro w wieku XIII, dzięki zakonom kaznodziejskim, rozlegało się słowo Boże i po wioskach; ulatniało się nakoniec stare pogaństwo, które się dotąd wsi trzymało; przecież legat papieski polecał r. 1248, aby kapłan po ewangelji wykładał 'Wierzę w Bóg' po polsku, gdyż lud mu nie umiał odpowiadać na

pytanie, w co wierzy? Jeszcze arcybiskup Świnka r. 1285 polecał wykładać wiernym modlitwy główne, a kto zdolny, niech kazanie wygłasza. Nauki katechizmowej średniowiecze nie znało, więc zadowalano się takiem objaśnianiem dla ludu prostego. I tu już zaznaczył się pierwszy rys przyszłego rozłamu między warstwami społecznemi; nie znało go pogaństwo, jednolite od stóp do głowy, z jednym poglądem na świat, z jednem «wykształceniem» umysłowem. Teraz zaczynają się powoli warstwy rozdzielać; widoczne to jawnie przy końcu tej epoki; po jednej stronie tłumy o bardzo niskim poziomie kulturalnym, po drugiej jeszcze nieliczni przedstawiciele kultury, przeważnie duchowni, ale już i pierwsi świeccy i liczba ich coraz rośnie; do dawnych różnic stanowych przybywa nierówność umysłowa, naród rozszczepia się powoli, a odtąd z każdym nowym wiekiem pogłębi się ten rozłam, co wkońcu oddzieli «chama» od «człowieka».

## SZTUKA KOŚCIELNA

Kościół stworzył dla swoich wyłącznie celów szkołę — literatura już mu się poniekąd wymykała, piastując własne zadania; dla siebie wyłącznie stworzył znowu i pierwsze budowle kamienne z rzeźbą i malowidłami, muzykę wokalną; pogaństwo ich mało albo wcale nie znało, nigdy sztuki dla sztuki nie piastując, nie wynosząc się ponad byle jakie maski, ponad śpiew prymitywny, ponad przyziemne warownie i domostwa. Prawda, i w Kościele samym początki tych sztuk były skromne, drewniane, okrągłe kościółki w obrębie grodu, obok mieszkania książęcego czy wielmoży, ciasne i ciemne, ze śpiewem łacińskim, z pokazywaniem Chrystusa na krzyżu w tęczy kościelnej. Nie zastępowały te kościółki i ich obrazy czy rzeźby ani świątyń ani rzeźb pogańskich, bo tych wcale nie było; posągi kamienne, które Miechowita w przedsionku dominikanów krakowskich

oglądał, to resztki chrześcijańskie, jak owe z Opatowca posągi templarjuszów, którym proboszcz głowy poodbijał. Nie ocalało nic z najdawniejszej architektury, bo drewnianą czas i pożary zniszczyły; katedra gnieźnieńska np., niedawno zbudowana, r. 1018 uległa pożarowi; podobnie były z drzewa najdawniejsze zabudowania klasztorne jako w kraju, gdzie sztuki kamieniarskiej nie znano. Ale przykład Zachodu działał; stąd przybywali duchowni, książęta odwiedzali miasta niemieckie, Kazimierz wracał z Kolonji, a w orszaku jego znalazł się i ksiądz czy mnich budowniczy; obcy zaczęli budować z ciosu, mimo znacznych trudności, dla braku materjału i kamieniarzy. I z tych pierwszych budowli ciosowych nic nie ocalało, bo późniejsze przebudowy albo je całkiem usuwały, albo przeobrażały tak, że ledwie jaki drobny szczegół o pierwotnym wyglądzie świadczy. Szczególnie odnosi się to do Krakowa i Wawelu. Tu stawały, obok Gniezna i Poznania, obok Trzemeszna i Międzyrzecza, obok Łęczycy i Wrocławia, pierwsze kościoły; stąd odbudowywał Kazimierz państwo i chrześcijaństwo, a syn Włodzisław stawiał nową katedrę. Wyprzedzała ją rotunda N. P. Marji, później śś. Feliksa i Adaukta (czczonych w diecezji kolońskiej), już na początku XVI wieku na kuchnie królewskie przeinaczona, w czterysta lat później odkryta na nowo, najstarszy nasz zabytek, ale najdowolniej przesuwany w jakiś wiek IX, w jakieś wspomnienia wielkomorawskich czasów i wpływów, nibyto kościółki okrągłe pochodzą ze wschodu, z Bizancjum.[1] Okrągłym

[1] Resztki tej rotundy odkryto r. 1917 pod fundamentem skrzydła zamkowego. Odniesiono ją do czasów przedromańskich, ale historyk sztuki, Józef Strzygowski, zaprzeczył, żeby sztuka przedromańska szła od Bizancjum, albo była tylko odroślą rzymskiej sztuki prowincjalnej; on upatrzył w niej rodzimą sztukę północną, germańską i słowiańską, która od budowy kwadratowej drewnianej przeszła do okrągłej kamiennej (z kamieni polnych i znaleźnych, przenigdy z ciosowych *more Romano);* ależ o budowach kamiennych u Słowian (oprócz południowych naturalnie) zupełnie

kościołem miał być św. Michał na Skałce (zburzony całkiem po czasach Długoszowych), jest w Grzegorzewicach u gór Świętokrzyskich; był na Ostrowie jeziora Lednicy w Poznańskiem, kaplica zamku książęcego, ocalała w szczupłych ruinach, z końca panowania Kazimierza (ufundowana przez żonę Marję)?

Te dośrodkowe, bizantyńskie (?) budowy, nierównie liczniej w Czechach zachowane, nie mówiąc o Bawarji i Austrji, ustąpiły miejsca rzymskim podłużnym bazylikom. Najdawniejsze z nich, to pierwsza katedra na Wawelu (fundacji Włodzisława?), znana jako kościół św. Gereona (patrona kolońskiego); druga katedra, budowana za Krzywoustego, z której ocalała krypta św. Leonarda (również kolońskiego patrona), i kościółek św. Wojciecha na rynku krakowskim (z XI wieku); ową drugą katedrę (bazylikę romańską), poświęconą r. 1142, rozebrano w połowie XIV wieku dla trzeciej, dzisiejszej katedry; najznakomitszy wreszcie, bo najlepiej zachowany kościół krakowski św. Andrzeja z obu ośmiobocznemi wieżami. Romańskie bazyliki rozsiadły się teraz po całym kraju, w Płocku (katedra

---

głucho, nawet na bogatem Pomorzu i Rugji w XII w.; budowle kamienne służyłyby celom obronnym (?), Kościół przeniósłby je na swoje pierwotne kościółki. Nie przeczymy, że jak i w prehistorji, tak samo i w historji sztuki byliśmy zbyt jednostronnie zapatrzeni w wyłączne znaczenie kręgu śródziemnomorskiego (Rzym-Bizancjum), ale przyplątanie mazdaistycznej (irańskiej) świątyni ognia z kopułą na czterech podporach wydaje się zbyt ryzykowne. Nasze kościółki wiejskie drewniane, szczególniej liczne na Śląsku, miałyby być dziedzictwem owej rodzimej sztuki północnej. Por. artykuł Strzygowskiego w *Pamiętniku Warszawskim* 1929, zeszyt III; tegoż *Die Altslavische Kunst, ein Versuch ihres Nachweises,* Augsburg 1929, nam nowego materjału nie przysporzyło (najwięcej tam o chorwackich zabytkach i o staroczeskich, nieraz z mylną chronologją). Krytyka fachowa (Birnbaum, Grabar i in.) oświadcza się przeciw wywodom Strzygowskiego; twierdzi np., że najdawniejsze kościółki drewniane, to nie rodzima sztuka północna, wzorująca się na irańskich, mazdańskich świątyniach ognia, lecz przeciwnie, że naśladuje pierwotne kamienne kościoły i kościółki, bizantyńskie i rzymskie.

poświęcona r. 1144), Wrocławiu, Poznaniu, Gnieźnie (trzecia z rzędu katedra, poświęcona r. 1097), po klasztorach w Mogilnie i in.; ocalały z nich przeważnie nieznaczne resztki. Cechą tych kościołów bywają empory, galerje czy balkony, jakby kościół przylegał do pałacu, a z piętra tegoż był przechód bezpośredni przez galerję drewnianą na emporę, przeznaczoną dla księcia czy wielmoży; i te empory przypisują wpływom bizantyńskim (?), a przeznaczają je inni dla kobiet (?). Kościoły bywały obronne, szczególniej silną była wieża.

Te nowe romańskie kościoły były stosunkowo wysokie, ale sklepienia jeszcze nie miały, zastąpił je pułap; wiejskie nie miały zakrystji, kaplic bocznych ani krypt podziemnych. Ozdobienie ich było nader skromne, rzeźb mało i to wyłącznie płaskorzeźby, na fryzach, obiegających mury; po malowidłach niema śladu; słyną zato ich drzwi, między niemi dwoje najznaczniejszych, katedry gnieźnieńskiej i płockiej, wykonane w bronzie. Płaskorzeźby gnieźnieńskie, nadniszczone odczyszczaniem siarczanem w r. 1843, objęły ośmnaście scen z życia-legendy o św. Wojciechu, patronie katedry, w ramkach o ornamentacji roślinnej, z wplecionemi w nie motywami figuralnemi; sceny przedstawiają żywot od kolebki do męczeństwa i sprowadzania zwłok (Chrobry kupuje na wagę złota głowę, a nie ciało!), są dobrze skomponowane; ubiór i inne przybory (u Prusów np.) świadczą o jakiejś znajomości samego kraju; cechy artystyczne delikatnej roboty złotniczej (w draperjach i fałdach) stawiają te drzwi ponad spółczesne niemieckie i włoskie. Kto je modelował? Kapelan Krzywoustego Leopardus, *egregius artifex, statuariae artis peritus,* jak go spółcześni nazywają? rodem Francuz, wykonawca innych rzeźb znakomitych dla klasztoru w Zwiefalten, hojnie przez Salomeę (drugą żonę Krzywoustego) obdarzonego? Przeciw temu łączeniu drzwi gnieźnieńskich z Francją oświadczają się inni znawcy za pochodzeniem ich czeskiem, t. j. z źródeł bawarskich i salcburskich; styl ich ma ku augsburskiemu

się zbliżać, nie ku saskiemu, magdeburskiemu, z jakim je niemieccy uczeni dawniej stale łączyli, zwiedzeni drzwiami płockiemi; mówią nawet o dwu, nie jednym modelatorze tych drzwi, które napewne z pierwszej połowy XII wieku pochodzą (dar Krzywoustego wedle tradycji); odlewano je chyba na miejscu, nie bez błędów; czas niejedno strawił.

Drugie drzwi, płockie (od XIV wieku na portalu katedry sofijskiej, soboru, w Nowogrodzie Wielkim), były nieco późniejsze; dar to Bolesława Kędzierzawego i żony, który na nich przedstawieni, wraz z biskupami płockim Aleksandrem i magdeburskim Wichmannem; zawierają sceny Starego i Nowego Testamentu, alegorje i symbole; brak im jasności i wyrazistości gnieźnieńskiej, w ciasnych polach zbyt liczne figury o niespokojnych ruchach; drzwi te odlali sascy, magdeburscy majstrowie, którzy się nazwiskami i podobizną uwiecznili; dlatego umieścili na nich i swego arcybiskupa magdeburskiego, słynnego Wichmanna.[1]

---

[1] Z powodu drzwi płockich, «wrotami» zwanych w Nowogrodzie «korsuńskiemi», warto zaznaczyć, że to może o nich mówił pod r. 1336 latopis: «władyka (biskup) Wasyl u ś. Sofji drzwi miedziane złocone urządził» (Tatiszczew dodał z nieznanego, może i zmyślonego źródła słowa: «przywiózłszy z Niemiec, kupił za wielką cenę»). Do Nowogrodu przywieziono nie całe drzwi, lecz tabliczki ich luźne; w Nowogrodzie dopiero zebrano je, ułożono i skomponowano całość, a zrobił to «mistrz Awram», który uwiecznił się między oboma niemieckimi rzeźbiarzami-odlewaczami, Rikwinem i Waismuthem, naśladując najdokładniej portret starszego Rikwina. Tabliczki z portretami Rikwina i Waismutha mają bowiem napisy łacińskie (i przepisy cyrylickie); tabliczka zaś z portretem Awrama ma tylko napis cyrylicki; on sam ma krzyż z ruskim napisem na szyi i styl tego portretu jego, mimo wszelkiego naśladownictwa, odmienny od stylu romańskiego Rikwina. Styl romański bowiem, to naturalizm naiwny; oddaje wiernie przyrodę, ale jej uduchowić nie umie; jego postaci bez wyrazu, obojętne, lekko uśmiechnięte co najwyżej istnieją, nie żyją, całkiem jak w archaicznej sztuce greckiej; obie sztuki zupełnie prymitywne. Tabliczka z portretem Awrama inna, nie powtarza tylko Rikwina, ani nie

Z kronik wiemy o innych rzeźbach XI wieku, lecz nic więcej prócz zapisu suchego, np. że Włodzisław i Judyta ofiarowali św. Idziemu do Prowancji dzieciątko ze złota, albo czytamy u Koźmy praskiego o ciężkim krzyżu złotym, uwiezionym z Gniezna przez Czechów 1038 r., a ileż oni przytem zabrali dzwonów i innych dzieł sztuki pierwotnej, chyba wyłącznie obcego początku.

Na osobną wzmiankę zasłużyły kościoły duninowskie, t. j. fundacje Piotrka Włosta, żony-wdowy, syna Świętosława, zięcia Jaksy; tradycja prawi o 77 kościołach jego fundacji, faktycznie niewiele z nich da się odnaleźć; słynne one i tem, że ocalały po nich resztki rzeźb, przedstawiających fundatora, kornie swój dar N. P. Marji albo św. Annie podnoszącego, przy nim (syn i) żona. Piotrek założył na rodzinnej Sobocie klasztor

---

oddaje niewolniczo rysów, lecz je stylizuje; mówi z niej rutyna bizantyńska. Tabliczki Rikwina i Wajsmutha grube na trzy milimetry, tabliczka Awrama, jeden milimetr grubości, robota jej nierównie staranniejsza. I kilku innym tabliczkom tych drzwi odmawia autor rosyjski (A. I. Anisimow, *Izwiestja* petersburskiej Akademji Nauk 1928, nr. 3 wydziału humanistycznego, str. 173—184) początku «niemieckiego», uważa jedne za nieudolne naśladowanie obok stojącego wzoru romańskiego (kobieta w stroju kobiecym — mężczyzna w tym samym stroju! na trzecim od dołu szeregu prawego skrzydła); drugą zaś, centaura strzelającego z łuku, za robotę nowogrodzką, bo i materjał nieco odmienny i technika inna, malarska raczej niż rzeźbiarska, ale ani jednej ani drugiej tabliczki nie łączy z owym ruskim mistrzem Awramem; uważa je za późniejsze dodatki, gdy Awram już dawno dokonał swej pracy i zostawił na niej swój autoportret: autor czas jego naznacza jeszcze na koniec przedmongolskiej epoki, która jednak w sferze sztuki przedłużała się aż do XIV wieku. Same sceny na tabliczkach nieco luźne, figury stłoczone, bez wyrazu, wykonanie wcale prymitywne, zginęły z Płocka może r. 1263, zob. niżej. O tych drzwiach pisał u nas ostatnio M. Gębarowicz w *Sprawozdaniach* lwowskich 1920, str. 65—68, ale z jego wywodami o wpływach lombardzkich i francuskich w tem dziele sztuki saskiej nie zgadza się historyk sztuki A. Goldschmidt, gotujący obszerną pracę o dawnych drzwiach kościelnych, śród których gnieźnieńskie i płockie celne zajmą miejsce.

kanoników regularnych, zburzony może przez napady czeskie 1138—1139; kamienie i rzeźby rozwłóczono po górze i okolicy; około dwadzieścia kawałków jest dziś w muzeum wrocławskiem; gruba to robota z miejscowego granitu; Piotrek przeniósł Augustjanów wkońcu do Wrocławia na Piasek i wybudował im kościół N. P. Marji, dalej kościół św. Wincentego na «Elblągu» wrocławskim; kościół zburzono r. 1529, ale zachowano rzeźby, mianowicie portal i tympanon (nadczółek) nad nim, bardzo bogato ornamentowany, z scenami Starego i Nowego Testamentu; takich tympanonów z kościołów duninowskich jest więcej, w Strzelnie (u norbertanek) i in.

Nierównie okazalsze były budowy klasztorne, przedewszystkiem cysterskie (mniej dominikańskie i franciszkańskie) XIII wieku; jeżeli nawet plany wychodziły od zagranicznej braci zakonnej, to w wykonaniu brały udział chyba też siły miejscowe. Pierwsza połowa wieku odznaczała się jeszcze większym ruchem budowlanym, niż druga; w niej powstały kościoły cysterskie w Jędrzejowie i Koprzywnicy, Wąchocku i Sulejowie. W porównaniu z zagranicznemi w Burgundji i Niemczech są skromne, budowane wedle jednego planu, bez wież, bez ornamentacji, bez rzeźb i polichromji, bo takiej skromności wymagała reguła zakonna; ale są wielkie, po raz pierwszy sklepione; jeszcze zupełnie romańskie, gdy we Francji gotyk już w całym rozkwicie. Zamiast wyłącznego dotąd ciosu zaczęła się pojawiać tańsza cegła, obok ciosu najpierw, nim go całkiem zastąpiła; ona ułatwiła budowę i mnożyły się odtąd kościoły murowane, a niebawem budynki świeckie, dla których dawali poniekąd wzór znowu cystersi, którzy obok kościołów stawiali swe budynki klasztorne i mieszkalne, z pysznemi salami kapitularnemi. Już przy budowie kościoła sulejowskiego użyto i cegły za wzorem pomorskim i śląskim, gdy dominikanie z cegłą za wzorem włoskim, lombardzkim, poszli; najstarsza cała ceglana budowa, ich kościół św. Jakóba w Sandomierzu, dobrze zachowany, gdy inne ce-

glane kościoły uległy przebudowie; także kościoły norbertańskie bywały ceglane, jak i franciszkańskie, najskromniejsze. Ostatni kościół cysterski, mogilski, był już również ceglany, pochodził z połowy wieku, przewyższał wszystkie inne rozmiarami, wysokością sklepienia i wykazał pierwszy pewne cechy nadchodzącego gotyku, a był w przeciwieństwie do poprzednich burgundzkich typem niemieckim, jak i kościół w Lądzie. Kościoły wiejskie szły ze spóźnieniem za klasztornemi, ceglane zjawiły się dopiero w drugiej połowie wieku; całkiem one jeszcze romańskie, gdy franciszkańskie z drugiej połowy wieku już jawny gotyk, tak w Nowym Korczynie; najstarszy to zabytek gotyku, wyprzedzał franciszkańskie w Nowym i Starym Sączu. Wszystko świadczyło o znacznem spóźnieniu wobec Zachodu.

Malarstwo kościelne, polichromja, ścienne, nie pozostawiło żadnych śladów, jedyne tkwią w minjaturach ksiąg liturgicznych, ale i tych mało pozostało. Wyróżniają się: tynieckie *sacramentarium* z XI wieku; ewangeljarz kruszwicki (dziś w Gnieźnie); ewangeljarz «emeramski» kapituły krakowskiej, cenny okaz szkoły ratysbońskiej (gdy tamte raczej z nad Renu pochodziły); gnieźnieński «mszał św. Wojciecha» i kodeks pułtuski, z drugiej połowy XI wieku wyszły z szkoły minjaturzystów czeskich; inne, z XII wieku, psałterz trzebnicki, graduał pp. klarysek krakowskich, z szkoły niemieckiej (od cystersów z Pforta i in.). Prądy ruskie zaznaczyły się w jedynym dochowanym z XIII wieku obrazie mozaikowym N. P. Marji u franciszkanek w Krakowie, wedle tradycji jeszcze z czasów bł. Salomei.

Rzeźby były jak obrazy dodatkiem do architektury; pozostało ich, pominąwszy owe płaskorzeźby gnieźnieńskie i płockie, nadzwyczaj mało i z małemi wyjątkami (duninowskiemi, przytoczonemi wyżej) należą wszystkie do XIII w., kiedy się i w Polsce na zupełny zmierzch romanizmu zanosiło. Są chrzcielnice, nie, jak niegdyś w kościele, całe *baptisteria* do zanurzania dorosłych, lecz dla chrztu dzieci przez polewanie; od kiedy biskupi

ustąpili udzielania chrztu byle kościołowi, każdy je posiadał, ale czy chrzcielnice z Chełmna i Grudziądza należą jeszcze do XII wieku, wolno o tem i wątpić; nic też nie znaczy, że «kształtem i ornamentacją spokrewnione są z chrzcielnicami skandynawskiemi», boć wyszły wszystkie ze spólnego francuskiego źródła; z warsztatów belgijskich w Namur i Tournai szły przecież masowo chrzcielnice aż na Wschód, do Niemiec, ale niewiele przed XIII wiekiem, do nas więc chyba dopiero w XIII dotarły. Więc dopiero w tym wieku może być mowa o jakiejś bujniejszej rzeźbie; znachodzimy jej resztki po kościołach i kapitularzach cysterskich (szczególniej bogate w Wąchocku) i kościołach dominikańskich (terrakotowa dekoracja kościoła św. Jakóba w Sandomierzu i in.). Wobec nieliczności zabytków trudno i wpływy właściwe rozróżniać, krzyżują się wszelakie, idą i z Czech i z Francji; nieznaczne bizantyńskie były w duninowskich jeszcze rzeźbach.

Obok architektury kościelnej była i świecka; pałace książęce miały wielkie hale; budowano coraz obszerniejsze i wyższe domostwa, a mnożyły się znacznie wszelakie przybudówki; wznosiły się dwory pańskie piętrowe, kwitło snycerstwo u drzwi i okien dla ich ozdoby, ale wszystko z drzewa, więc nic nie ocalało. Wpływ obcy, wzór domu mieszkalnego niemieckiego, znacznie się objawiał (zob. niżej). Znikały już, przynajmniej z dworów książęcych, strzechy słomiane, zastępowały je drewniane gonty; znikały błony pęcherzowe z okien, zastępowane szybkami szklanemi, okutemi w ołów. Mnożyły się statki po komorach, do dawnych cebrów i dzbanów przybywały nowe (wyżej wymieniane). Celom świeckim służyły słupy-wieże przed grodami (dla straży), bywały nawet drogowskazy, z których jeden ocalał w Koninie z r. 1151, z napisem; inny, na połowie drogi kruszwicko-kaliskiej, z napisem, wskazującym Piotra wojewodę (Dunina), który drogę odmierzyć dał, widział jeszcze Długosz.

W muzyce był stosunek niby odwrotny; była świecka, ta-

neczna, wojenna, łowiecka; nie było kościelnej, bo w kościele na Zachodzie niegdyś, a na Wschodzie zawsze, do dziś nawet, odzywał się tylko śpiew, późno bardzo zawtórowały mu u nas i instrumenty, najpóźniej między niemi organy, których u nas przed XIV wiekiem nie znano. Przez śpiew kościelny weszła Polska w stosunek do muzyki i jej teorji zachodniej, jak ją szczególnie wypiastował po Grzegorzu W. klasztor benedyktyński w Sankt Gallen i jego mistrz sekwencji (por. wyżej), Notker Balbulus, zmarły na początku X wieku. Nasze najdawniejsze rękopisy liturgiczne, np. mszał gnieźnieński z początków (?) XI wieku, pochodzą (pośrednio) z S. Gallen albo raczej z jakiej filji tego klasztoru; w owym mszale mają się mieścić sposoby oznaczania nut świętogawelskie i z szkoły muzycznej w Metz. Śpiew liturgiczny był nadzwyczaj kunsztowny, nie znosił z nim porównania prosty świecki (trubadurów i minnesaengerów); jak w budownictwie kościelnem, tak i w tym śpiewie zawiśliśmy zupełnie od wzorów zachodnich; właśnie «muzyka» łączyła nas najściślej z Zachodem; innej prócz liturgicznej, wyszkolonej, teoretycznej, nie znano. Warto zaznaczyć, że wkońcu i do ludowej pieśni religijnej (ale należy ona do wieków późniejszych) dostawały się motywy, fragmenty ich melodyj, zarodek ludowych. Same zaś formy liturgiczne odznaczały się wielką rozmaitością: inna była melodja hymnów ambrozjańskich, inna recytatywa psalmodyj, inna antyfon poważnych albo jubilacyj wielkanocnych. Śpiew był chóralny, gregorjański, jednogłosowy. Znacznie później, niż u Czechów, pojawiła się u nas pieśń polska w drugiej połowie XIII wieku, *Bogurodzica* (zob. wyżej). Rozbiór jej melodji najdawniejszej (zapisanej około r. 1410) okazał, że pierwszą króciutką strofę, napisaną wedle spółczesnych sekwencyj ku czci Matki Boskiej (szczególnie przypomina się sekwencja *Ave virgo regia*), utworzył wyszkolony «muzyk» kościelny melodją sylabiczną; druga strofa,

późniejsza i słabsza, ma powtarzać motywy pierwszej i dodawać nowe; dłuższa ona o jeden wiersz.

Z muzyki świeckiej nic nie ocalało, oprócz świadectw spółczesnych, niestety zbyt ogólnikowych. Najciekawsze zapisał Gall. Zbygniew, wracając ułaskawiony z wygnania niemieckiego, wszedł do Krzywoustego «jak pan, miecz przed nim niesiono, a zespół muzyków, na bębnach i gęślach przygrywających, mu towarzyszył», ale jakie te *tympana et citharae* były, czy istotnie bębny czy talerze metalowe, zawieszone u szyi, uderzane pałką, szczególnie zaś co pod *citharae* rozumieć należy, zostaje niewyjaśnione. Mistrz Wincenty nie pomnożył tych napomknień. W r. 1293 książę mazowiecki Bolesław nadał kasztelanowi Wawrzyńcowi między innemi przywilejami i ten «używania trąby na łowach i w wojsku i wszędzie, gdzieby mu z tego cześć urosła», t. j. kasztelan mógł, co dotąd tylko księciu przysługiwało, utrzymywać kapelę wojskową. Nazwy narzędzi muzycznych później przekazane, jak *lutnia* i in., chyba już z tych czasów pochodzą.

## WYCHOWANIE DOMOWE

Do końca XIII wieku Kościół wypiastował szkołę, literaturę i sztukę; spływały się one zupełnie z jego własnemi zadaniami. Niezawisłem od niego pozostało przeważnie życie rodzinne i całe wychowanie potomstwa, co z szkołą i trybem szkolnym nic nie miało spólnego, bo kto szedł do szkoły, wyłączał się przez to samo od rodziny, przeznaczony do stanu duchownego i dlatego chętnie opuszczał dom rodzicielski, choćby do Magdeburga się z kraju wydalał (jak św. Wojciech). Jakież było wychowanie rodzinne? O chłopskiem, t. j. najliczniejszem, nie ma co mówić; chłopiec i dziewczyna wdrażali się powoli w tryb niezłożony rataja, rzemieślnika (stale dziedzicznego), bartnika, rybitwy. Lecz jakież było wychowanie stanowe, t. j. stanu rycerskiego? (miejski dopiero świeżo narastał). Czy mo-

żna jednak o stanie rycerskim całkiem w zachodniem znaczeniu słowa mówić? Brak mu w pierwotnej Polsce, t. j. do XIV wieku, tego, co go zagranicą już dawno odznaczało; kult kobiety i poezji był mu zupełnie obcy; nie uprawiał szachów; nie wyjeżdżał na walki z półksiężycem do Ziemi świętej, ani na poszukiwanie sławy czy przygód. Był jednak rycerzem, t. j. wyćwiczonym w władaniu bronią i koniem, strzelał znakomicie z łuku i kuszy, gonił (z) kopją (chociaż turnieje się dopiero po r. 1250 do Polski dostały), polował i tańczył. Ależ na Zachodzie, gdzie tego samego od niego wymagano — prócz wielu innych rzeczy, nie odrazu stawał się rycerzem; przechodził długą szkołę przygotowawczą jako paź i giermek, nim go, po 20 roku życia, na rycerza pasowano; paź i giermek chował się zaś na znaczniejszym dworze obcym, po za rodziną własną. Czy znano w pierwotnej Polsce takie stopnie? W języku niema po nich śladu, nazwy wyżej przytoczone są późne i obce, domowe *robieniec* (niby dla «terminatora») i *chlebojedźca* (niby dla «klienta») nie wskazują niczego.

Ależ i u nas pasowano na rycerzy, którzy noszeniem kosztownego łańcucha na szyi od każdego woja czy włodyki się wyróżniali. Włodzisław, opowiada Gall, widząc że (Krzywousty) wiekiem i czynami wojennemi się wielce odznaczał (przedtem bezpośrednio zjawienie się jego zwycięskie pod Sątokiem opisano), rozporządził przypasać go mieczem w Niebowzięcie N. P. M. i przygotował w grodzie płockim przepyszny obchód; wtem, gdy się wszyscy na uroczystość spieszyli, oblegli nagle Pomorzanie Sątok, Krzywousty ich odbił i wracający zwycięzca «od ojca mieczem przypasany w nadzwyczajnym blasku uroczystość święcił. I nie onego samego w ten dzień pasem rycerskim przypasano, ale dla miłości i czci synowskiej ojciec wielu rówieśnikom rycerstwo nadał». Niżej dodał Gall jeszcze proroctwo czyjeś o przyszłej sławie Krzywoustego «wobec rady rycerskiego przypasania». Ależ nie dobiegł wtedy Krzywousty lat

dwudziestu (urodził się r. 1086, ojciec zmarł r. 1102), chyba lat czternaście przekroczył! Więc norm zachodnich rycerstwu polskiemu nie narzucamy, może ono nie znało tych stopni, może i mniej uroczyście pasowanie obchodziło, ale sama forma obrzędu obcego, nie odchylała się od zachodniej.

Wychowanie rycerskie odbywało się u nas w domie rodzinnym; ograniczało się wkładaniem do szermierki, łowów, jazdy, a kapelan dworski dbał o jakieś początki wiary i pobożności; córki rycerskie nie chowały się inaczej, t. j. nie poza domem, ćwiczone w robocie żeńskiej, u kołowrotka, uczone śpiewu i tańca; wyjątkowo chyba na jakiś czas do pobliskiego klasztoru panieńskiego je oddawano; o naukę czytania i pisania łacińską, bo innej nie było, nikt nie dbał; był kapelan od listów i zapisów. Na Śląsku w wieku XIII było już inaczej; nie bez skutków pozostawało, że Włodzisław II i jego synowie całemi dziesiątkami lat śród Niemców bawili; z wygnania przenieśli do Polski nawyczki niemieckie, a napływ rycerzy niemieckich (czy zniemczonych słowiańskich) był tu już w XIII wieku znaczny. Podsycały wpływy niemieckie żony Niemki i ich fraucymer; taka Jadwiga z hrabiów merańskich, mimo swej ascezy nadzwyczajnej mężem Brodaczem i dworem kierowała; same zapasy Piastów śląskich z Kościołem (z biskupami wrocławskimi) świadczyć mogły o wpływie pojęć niemieckich. Nie darmo też Henryka wrocławskiego śród minnesaengerów wymieniano. Wpływ zaś świetnego dworu praskiego Przemysłów i Wacławów, gdzie szlachta czeska z niemiecką zawodniczyła i np. swoje zamki rodowe Rosenbergami, Waldsteinami, Hasenburgami i t. d. chrzciła i całkiem niemiecką dworszczyzną się przejęła, oddziaływał na Śląsk coraz potężniej. Wrocław kopjował Pragę, a wychowanie szlachty czeskiej było już zupełnie średniowieczne, stało na poziomie zachodniego rycerstwa, nierównie wyżej niż polskie; już puszczał się szlachcic czeski na wyprawy awanturnicze i zyskiwał obce poklaski — o polskich było jeszcze głucho na Zachodzie.

## BIBLJOGRAFJA

Dziełem podstawowem pozostaje i nadal *Organizacja Kościoła w Polsce do połowy XII wieku* Władysława Abrahama (Lwów 1893, wydanie drugie); dopełnia je poniekąd i prowadzi dalej Joseph Pfitzner, *Besiedelung-, Verfassungs- und Verwaltungsgeschichte des Breslauer Bistumslandes. I. Teil. Bis zum Beginn der böhmischen Herrschaft,* Reichenberg 1926 *(Prager Studien* nr. 18); autor korzystał sumiennie z prac polskich i czeskich. Pomijam szereg rozpraw, dotyczących luźnych pytań (np. o misji irlandzkiej czy morawskiej i t. p.). Praca Edw. Klicha, zakrojona na szersze rozmiary (dotąd tylko część pierwsza), *Polska terminologja chrześcijańska,* Poznań 1927, nie wnosi nic nowego. Do dziejów kultów świętych dali przyczynki znakomite, co do kultu św. Florjana, K. Dobrowolski (Warszawa 1925), a co do początków kultu św. Stanisława, Wł. Semkowicz *(Sprawa św. Stanisława w świetle nowego źródła ikonograficznego* w *Księdze Pamiątkowej* Balzera II, Lwów 1925) i Mieczysław Gębarowicz, *Początki kultu św. Stanisława i jego średniowieczny zabytek w Szwecji,* Rocznik Ossolineum I i II, Lwów 1928. Pomijam wszelakie przyczynki w *Rocznikach* krakowskich (np. o kulcie św. Jacka, o budowlach krakowskich), jak i dzieje same św. Stanisława, o które zagaił polemikę Tad. Wojciechowski (świetne jego *Szkice XI wieku,* wydanie drugie, Warszawa 1925), toczoną głównie w *Przeglądzie Powszechnym krakowskim* 1909 r. i *Kwartalniku historycznym* 1910.

W badaniach zajmuje miejsce centralne Wawel i jego katedra; jej dzieje bardzo zawikłane wyłożył Tadeusz Wojciechowski, *Kościół katedralny,* Kraków 1900. Przybyły nowe odkrycia i «problemy wawelskie» tylko się pomnożyły. Zdaje o nich sprawę świetna monografja Tadeusza Szydłowskiego, *Pomniki architektury epoki Piastowskiej w województwach krakowskiem i kieleckiem,* Kraków 1928; autor zapatruje się sceptycznie na wywody Strzygowskiego, pyta «czy prastare kościółki drewniane z rodzimego słowiańskiego budownictwa czerpały jakieś motywy, czy nie naśladowały raczej budowli kamiennych, których były prowizorycznem zastępstwem»; o rotundzie «dosyć skomplikowanej» prawi, że to «budowli centralnych wschodniego Kościoła i pierwszego tysiąclecia po Chr. echo dalekie, przez obcego przybysza jako wspomnienie innych wzorów wzniesione ku zdumieniu nawpół jeszcze dzikich mieszkańców wzgórza». Dalsze dzieje katedry romańskiej pomijam, kto i kiedy ją stawiał, jakie jej losy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

# WCZESNE ŚREDNIOWIECZE (966—1300)
# PAŃSTWO

Władza książęca. — Szlachta rodzima i jej zawołania. — Przybysze obcy. — Chłopi. — Kolonizacja niemiecka. — Administracja krajowa. — Sądownictwo. — Wojskowość. — Bitwy i oblężenia. — Przemysł. — Moneta. — Podniesienie się poziomu życia codziennego. — Obcy. — Żydzi. — Kultura. — Bibljografja.

## WŁADZA KSIĄŻĘCA

Waśni rodzinne synów Chrobrego rozbiły państwo; spoił je nanowo Kazimierz Odnowiciel, ale nie wrócił już dawny urok władzy absolutnej, jak świadczył o tem niespodziany rokosz małopolskich panów, niezadowolonych z rządów Śmiałego, intrygujących przeciw niemu z biskupem krakowskim na czele, co zniewoliło króla do ucieczki. Słabe rządy Włodzisława, zawisłego od wojewody Sieciecha, walczącego z własnymi synami, nie wzmocniły tej władzy, którą dopiero energiczny Krzywousty, mimo początkowej zawisłości od wielmożów, w walkach z starszym bratem, silnie napowrót osadził, aby przez podział kraju, jako majątku rodowego, między zbyt licznych synów-dziedziców, ostatecznie ją osłabić. Każdy wprawdzie z tych książąt dzielnicowych był u siebie panem, ale środki miewał ograniczone; w ciągłych walkach rodowych zdawał się na pomoc wielmożów, co z każdym dziesiątkiem lat wzrastali w tę powagę i siłę, której książętom ubywało. Szczególniej rychło wznieśli się znowu małopolscy, dzięki znaczeniu, jakiego ich dzielnica dla Krakowa dostąpiła. Pierwotna państwowa stolica, Poznań, utraciła przez zamieszki w r. 1037 tę powagę, która przez Odnowiciela i Śmiałego przeszła na Kraków; skoro wyrzeczono się polityki-celów zachodnio-słowiańskich, wymagała ściana czesko-węgierska i ruska tem pilniejszego dozoru; że się Włodzisław do Płocka uchylał, nie zmieniło już faktu, a testament Krzywoustego uświęcił gród krakowski jako naczelny polski; przez podziały urosło jednak znowu tyle stolic, ile było dzielnic.

Testament Krzywoustego nie stworzył, ale wskrzesił autonomję prowincyj. Dawne różnice i skupienia szczepowe, zdawało się, zacierały się pod silną, jednolitą władzą Mieszki czy Chrobrego, Śmiałego czy Krzywoustego, którzy byli władcami całego kraju; podział wydobył je na nowo i ukrzepił na zawsze. Przez dwa niemal wieki przetrwało w Polsce to ogólne dążenie średniowieczne do skupień ściślejszych, niezgodne z wielkiemi państwami, rozdrabniające je powszechnie. Nie ustawało jednak poczucie przynależności spólnej, narodowości jako takiej; podtrzymywała je jedność rodu panującego, niezachwiana przez cały wiek XIII niczem; od śląskich Piastów (Henryka IV wrocławskiego) wychodziły plany ponownego zjednoczenia Polski; podtrzymywała je jedność kościelna prowincji «gnieźnieńskiej» i jednolitość postępowania władz kościelnych, począwszy od legatów papieskich, zjeżdżających dla prowincji polskiej, nie dla jakiejś diecezji.

Nie pozostało jednak przy czterech głównych działach Krzywoustego; w imię tej samej zasady majątku rodowego, z liczbą Piastów rosła i liczba udziałów a malało znaczenie książąt i kraju. Jeśli Henryk Brodaty mógł jeszcze dla swego Śląska proklamować despotyzm (rozstrzygało wedle niego «co ja chcę czy nie chcę»), nie mógłby tego książę krakowski powtarzać; przez cały XIII wiek zaznaczali książęta coraz bardziej udział w rządach swej rady, wydawali rozporządzenia czy nadania coraz wyłączniej za radą swych «kmieci», baronów, t. j. urzędników wysokich, świeckich i duchownych.

Tak zdrobniał siłą faktów, bynajmniej nie jakim aktem państwowym, despotyzm niczem i nikim nieograniczony pierwszych Piastów; tak wybiło się możnowładztwo z duchowieństwem z dotychczasowej zupełnie podrzędnej roli niemal już na spółudział w rządach; spiski, udałe czy nie, ba, już pierwsze wybory na książąt krakowskich dowodziły samopoczucia tych klas, a w walkach z Kościołem ulegali stale książęta. Zasoby

ich finansowe były zrazu zawsze jeszcze niewyczerpane; wystarczy przytoczyć, co Gall o szczodrobliwości Krzywoustego przy weselu jego ze Zbysławą (krewną) opowiadał:

«Ośm dni przed i po weselu nie przestawał Bolesław rozdawać darów, jednym futra powleczone suknem i obrębione złotogłowem, wielmożom płaszcze, złote i srebrne naczynia, innym grody i zamki, innym wsi i folwarki».

Podobnie, jeśli nie z jeszcze większą wystawnością Chrobry przed stu laty wystąpił; jak on, i Szczodry na Rusi się bogacił. Spis darów, jakie Krzywousty i druga jego żona do klasztoru niemieckiego w Zwiefalten przesłali, dowodził również tego bogactwa, a jeszcze więcej to, co Gall o jego nadzwyczajnej szczodrobliwości na post i wielkanoc r. 1111, na zamodlenie bratobójstwa, opowiedział. Na pąci węgierskiej ofiarowywał cośkolwiek w każdym kościółku przy drodze, w znaczniejszych tylko złoto i ornaty; na polskiej w Gnieźnie

«ileż jałmużny nadał ubogim, ile ozdób po kościele i ołtarzach! Skrzynkę z złota dla relikwji męczennika uczynić kazał, w której mieściło się 80 grzywien czystego złota (niby 40 funtów), nie mówiąc o perłach i drogich kamieniach, nie mniejszej niż złoto ceny. Z biskupów, wielmożów, kapelanów, niezliczonych rycerzów, każdego z znaczniejszych, a nawet mniejszych kosztownemi ozdobił szatami. Z kanoników św. męczennika, z kustoszów i służby kościelnej, ba z mieszczan samego grodu wszystkich, nikogo nie wyłączając, szatami lub końmi lub innemi darami uczcił, każdego wedle czci i urzędu».

Niewyczerpane te skarby, to po części łupy pomorskie, po części zbiory krajowe, np. liczne stadniny książęce dostarczały na dary i na byle zawołanie wierzchowców. Każdy z dawnych książąt zostawiał bogate skarby; wiemy, jak się np. dzielili Krzywousty i Zbygniew dostatkami ojcowskiemi.

Zmalały te skarby znaczniej przez podziały rodzinne, ale zawsze jeszcze i książę dzielnicowy górował olbrzymim majątkiem ziemskim, nie mówiąc o daninach, nad każdym wielmożą, choćby i Piotrkiem Włostem, o którego bogactwie (dowiódł go

w magdeburskiem poselstwie 1144 r., gdy się o relikwje św. Wincentego dla swego kościoła wrocławskiego starał) i wylanej dla Kościoła szczodrobliwości dziwy opowiadano. Hojne rozdawnictwa, szczególniej dla Kościoła, nadwątliły silnie te zasoby, już dawniej dla rycerstwa znacznie nadszarpane.

## SZLACHTA RODZIMA I JEJ ZAWOŁANIA

Władzę książęcą uszczuplał więc rosnący wpływ biskupów, wojewodów, kasztelanów. Po każdej dzielnicy nastawali teraz, niegdyś dla całego kraju przeznaczeni, jacyś *comites palatini,* dla Krakowa, Poznania i t. d.; wysuwały się rody, piastujące niby dziedzicznie wysokie urzędy nadworne i prowincjalne i już za Włodzisława sarkano, że wszechmocny Sieciech w widokach własnych «nieszlachtę, zawisłą od niego, nad szlachtę przedkładał». Szeregi możnowładców uzupełniali liczni przybysze z Niemiec i Łużyc, rzadziej z Pomorza (Nordyjcy) i Rusi. Zaczął się ten przypływ jeszcze za Chrobrego, który obcych, potrzebując żołnierzy, hojnemi darami, w ziemi przedewszystkiem, przynęcał. Katastrofa r. 1037 zdziesiątkowała miejscami tę szlachtę rodzimą i obcą, bo wyraźnie Nestor zaznaczył, że i «bojarów» mordowano; jeden z takich «bojarów», podczaszy Mieszki II, Mojsław na Mazowszu, skąd był może rodem, o autonomji pomyślał, lecz w walce z Kazimierzem wkońcu uległ.

Nie ustawał napływ obcych i w XIII wieku; teraz zaczęto naśladować ich zwyczaje. Przejęto obcą terminologję, szerzącą się przez Czechy; zwano się z niemiecka *szlachtą* 'rodem', a dziedziczne znaki zwano *herbem* 'dziedzictwem'; naśladowano zagraniczne pasowanie młodzieńców na *rycerzy,* bo i tę nazwę niemiecką przyjęto; natomiast nie przeszczepiły się ostatecznie dalsze różnice stanowe: komesem, baronem bywał dostojnik, ale syn jego nie dziedziczył godności ojcowskiej i równał się innej

szlachcie; demokratyzm słowiański nie godził się z feudalizmem i jego drabiną stopni i władzy.

Już nabierała szlachta, pierwotnie stan tylko socjalnie, szczególnie majątkiem uprzywilejowany, praw politycznych. Szlachtą, komesami (hrabiami) obsadzał książę grody-*castella*, stąd nazwa kasztelanów, którym tytuł *dominus*-pan przysługiwał, chociaż pierwotnie książę kogo chciał swoim kasztelanem, grododzierżcą (*vicedominus* czy *villicus* monarchji frankońskiej) mianował. Ogólnym tytułem szlachty, niegdyś *primores, proceres, nobiles*, zwanej, stał się teraz *comes-hrabia*, u nas jak w Czechach, chociaż ani Czesi ani my hrabstw żadnych nie znali (i w Niemczech urząd znikał zupełnie, a w XIII wieku przybierały tytuł rody, które żadnych hrabstw nigdy nie dzierżyły). Obok komesa (stąd nasz kmieć, niegdyś 'dostojnik') stawał *baro*, u Czechów i u nas (arcyrzadki w Niemczech); r. 1260 nazywa dokument tych samych świadków-kasztelanów bądź *comites*, bądź *barones*, albo r. 1267 «nasi baronowie» (palatyn, sędzia i in.) we dwa tygodnie później nazywani *domini*, która to nazwa i na kanoników przechodzi (w XII wieku po dokumentach świeckich, w XIII i po duchownych); *dominus* należy się rycerzowi-*miles* i ten tytuł wszelkie inne w XIV wieku pochłonął, tak dalece, że *ius feudale* było to samo co *ius militare*. Do szlachty należało się albo z rodu, albo z nadania książęcego,[1] albo dosługiwał się jej *serviens*, obracając się po latach w milesa. Wkońcu każdy kasztelan był komesem, ale nie każdy komes kasztelanem. W XIII wieku przybierają już najmożniejsze rody niby wasalów-*servientes*, którzy się klamki pańskiej trzymają.

Tem ściślejsze pozostawało poczucie spólnoty rodowej i zwarły się rody silniej i wysuwały nazewnątrz swą jedność

[1] W bitwie z Mojsławem Kazimierza, który się zapędził w szyki nieprzyjacielskie, «ocalił szlachetnie jeden nie z szlachty, lecz z prostych wojów, co mu Kazimierz dobrze odwdzięczył, bo i gród jemu przydzielił i godnością między szlachetniejszych wywyższył» (Gall).

pochodzenia, w godłach najpierw odwiecznym zwyczajem, a później już za wzorem zachodnim, i w znakach i pieczęciach, które z pierwotnej własności indywidualnej na dziedziczną przeszły i nazwy obce, *herbu, klejnotu,* zatrzymały. *Godła* były nierównie starsze, rodzime, sięgały nieraz czasów pogańskich jeszcze, a składały się na te «krzyki» imiona osobowe, nazwy miejscowe, rzeczowe, dewizy wkońcu.

Zwano bowiem cały ród od niepamiętnych nieraz czasów wedle znakomitszego przodka, który w dziejach rodowych zaważył, np. *Jastrzębiec, Lis, Ślepowron, Łabędź, Ogończyk, Rogala, Pierzchała, Grzymała, Taczała, Poraj (ledum palustre,* z czego później *Różę* zrobiono, zapomniawszy pierwsze znaczenie); są imiona chrześcijańskie, *Larysz* z Hilary, *Bończa* z Bonifacy, *Amadej, Awdaniec* i *Abdaniec* (z *Audentius;* por. *Wawrzyniec* z *Laurentius,* jak u Czechów); zapomniawszy o owem w średniowieczu istotnie rzadkiem imieniu (patrz wyżej o wyszukanych imionach), zniekształcono je w (H)*abdanka* już w XV wieku i dorobiono, jak przy godłach i herbach zawsze bywa, bajkę-anegdotę. Przybysze widoczni w *Sasach* i *Prusach,* ale *Dunina* niema w godłach. Zamiast przodka wybierał ród za godło nazwę gniazda, z którego się rozrósł: np. nazwy na *-awa,* jak *Pilawa* (na Śląsku), *Wieniawa, Śrzeniawa* (rzeka w krakowskiem), *Nałęcz* (jezioro), *Gozdawa* (las). Albo nazwę rzeczy, co się jakimś przypadkiem z rodem splotła, np. *Dęboróg* (kieł wieprza w dębie); *Syrokomla* 'wilgotna kłoda', przeciwnie *Suchekomnaty; Kołda* (kłoda, forma pierwotna); *Łodzia, Korab, Topór, Oksza, Bróg, Grabie* i t. d. Albo okrzyk, dewiza wojenna: *Zerwikaptur, Podbipięta, Tumigrała, Do Łęga* albo *Do Liwa* (później jedno słowo); *Orzy! orzy!* (niszcz! tęp!) okrzyk aż nadto częsty przy «chąsach» na Pomorze; *Po bodze* (z czego *Poboga* później utworzono).

Nazwy te znamy przeważnie dopiero z XIV i XV wieku, z zapisek sądowych, gdy naganiony o szlachectwo, ród swój wy-

wodził, tudzież z pierwszych prac heraldycznych, Długosza i innych (np. mały herbarz polski z XV wieku w bibljotece paryskiej arsenalskiej), ależ to nieraz nazwy stare, niezrozumiałe, np. *Godzięba,* co nie było przenigdy nazwą «botaniczną» (pni sosny), lecz (por. *Goniębice)* imieniem osobowem. Wobec mylącej ortografji dawnych źródeł nie odgadywamy właściwej postaci godeł jak *Cielepały* (?, druga część słowa, to pałki, *trunci,* lecz pierwsza?), lub *Czewoja* czy *Czewuja, Zachorz, Skowina, Swanczyn, Zarazim, Czwalina;* nazwy się mieniają: *Osoryję* nazywają na Mazowszu *Poświstem,* a *Szarzą* u Długosza; *Bujny* alias *Cieciórki* i t. d.

Temi godłami-okrzykami zwoływano się na wojnie, aby stanąć pod jedną chorągwią rodową, jeśli ród był tak znaczny, że go na całą rotę stawało, albo łączono razem kilka drobniejszych rodów; temi godłami zwoływano ludność wiejską na gwałt — jeszcze w XVI wieku szlachcic Wilski, spytany o herb, odpowiedział: niewiemci, jak go malują, ale gdy na wsi na gwałt wołają, tedy go pomieniają Półkoza! Półkoza! (był więc *Półkozicem;* to jest patronimik, podobnie jak *Prawdzic,* a *Rawicz,* czy nie *Rawic* od ojca Rawy?); po wsiach dawnych Starzów ich zawołaniem *Starza!* 'stróża' ludność zwoływano.

Same nazwy nie zawsze stare, widocznie się odmieniały, np. *Gryfy,* nie mówiąc o imionach chrześcijańskich; z reguły jednak tkwiły w pamięci nierównie silniej, niż nazwy rodzinne, o których zob. niżej. Wyrażały bowiem spólne pokrewieństwo (agnacyjne; mówi się zawsze o «stryjcach» herbowych, nigdy inaczej), czy faktyczne, czy fikcyjne, i nie rzucały tej spólnej nazwy nawet gałęzie, które się od gniazda jak najdalej odstrychnęły; szczególniej czem ród był bogatszy i możniejszy, tem ściślej się go trzymano.

A objawiała się ta więź rodowa bardzo dosadnie w prawie karnem i majątkowem, ród bowiem mścił wróżdę, zabójstwo dokonane nad członkiem, i odbierał pokorę za to; członkowie

rodu nie dopuszczali bez swej zgody wyzbywania się majątku rodowego, a gdy je sprzedawano, mieli prawo pierwokupu przed każdym nabywcą obcym. Zawołań-godeł nie znała wcale heraldyka zachodnia; może to rzecz prasłowiańska, istniała przynajmniej i u Czechów, ale tam, czy za wzorem obcym, tak silnym między nimi, wcześnie zaginęła, gdy mniej na obce wpływy narażona Polska do dziś je zachowała (prawda, w całkiem innem znaczeniu: dziś «zawołanie» uchodzi za nazwę herbu, chociaż herb-klejnot rzecz nierównie późniejsza, niż zawołanie-godło). Że w Czechach rody szlacheckie miały swe zawołania, widzimy z sceny, opowiedzianej przez Kośmę pod r. 1037: oślepiony Jaromir, zdając władzę na bratanka Brzetysława, podczas obrzędu intronizacyjnego wywoływał naczelników rodów *Mutina, Tepka* i in. do złożenia hołdu.

Obok godeł-zawołań używała szlachta znaków własnościowych, któremi piętnowała konie lub bydło, drzewa lub kamienie graniczne, które to znaki szlachcic i na pieczęć własną przenosił. Wzory obce zniewoliły szlachtę w ciągu XIII wieku, a jeszcze bardziej w następnym, do przybierania herbów, oznak szlachectwa, na zbroi (tarczy i hełmie), na pieczęci. Poszła szlachta za tym obcym wzorem, ale nie całkiem, bo zachowała w znacznej części swoje dawne znaki własnościowe, wszelakie kreski, kółka, półkółka, a wystylizowała je później na krzyże, księżyce, podkowy, strzały, strzemiona, krokwi, ucha od kotła, żeby z swych martwych znaków udziałać «mówiące» (t. j. któreby można czemś znanem określić, nazwać, objaśnić); z byle *łąkotki*, t. j. 'krzywizny' udziałano np. rzekę; po części przyjęła wszelakie figury, np. głowę ząbrzą (żubrową), topory i siekiery (oksze), pannę na niedźwiedziu, lwa, gryfa i t. p. Obrazek ten, herb, nie zgadzał się wcale z zawołaniem; Jastrzębiec, Lis i t. d. nie miały w herbie-obrazku żadnego odpowiednika i dopiero później dla pozornego ich uzgodnienia wstawiano nieraz na

«klejnocie» nad hełmem odnośne akcesorja: trzecia to, najpóźniejsza warstwa znaków herbowych.[1]

Od rodów heraldycznych, jak je u Paprockiego czy Niesieckiego widzimy, różniły się dawne dwojako. Owe późniejsze liczą setki rodzin rozmaitych o jednym herbie, np. herbem Jastrzębiec pieczętowało się około 360 rodzin — fakt niemożliwy na Zachodzie, gdzie każda rodzina szlachecka swój własny herb posiada; u nas, szczególnie na Mazowszu (skąd Jastrzębce rodem) tak bywa, gdzie Lubów 189 rodzin, Ślepowronów 108, Pobogów 93, Dołęgów 75 i t. d.; także wielkopolskim Nałęczem około 170 rodzin się pieczętuje. Otóż to jest zjawisko wtórne, bo niema mowy o tem, żeby te wszystkie rodziny istotnie jednej krwi były, od jednego przodka pochodziły.[2] Była więc liczba rodzin pieczętujących się tym samym herbem w XIII wieku je-

[1] Ten brak zgody między godłem-zawołaniem a herbem, np. godło Lis — herb strzała, godło Jastrzębiec — herb podkowa z krzyżem i t. d., raził heraldyków i Paprocki zmyślał bajki, aby go usunąć; bajał np., że Jastrzębcy pierwotnie jastrzębia w herbie mieli, ale jeden z nich wynalazł podkowę, pobił tem nieprzyjaciela i zato dostał w herbie podkowę i krzyż! Szlachta radziła sobie tak, że jastrzębia, lisa i t. d. na hełmie (i nad tarczę) wsadzała; czasem dostał się, np. Ślepowron, i na tarczę samą. Dla ciekawości wspomnę, że w godłach zwierzęcych (Lis, Jastrzębiec i t. d.) upatrzono świeżo pierwotne totemy, t. j. jakoby ród czcił niegdyś to zwierzę jako swe bóstwo opiekuńcze, totem, a dla Kobylej Głowy, Koźlerogów, Koziegłowów i t. d. upatrywano «podtotemy» jakieś; wkońcu łączono nawet np. gniewliwość Jastrzębców (bo Długosz powydobywał podobne cechy moralne spółrodowców) jako dalekie echo pokrewieństwa duchowego z zwierzęciem odnośnem: obalać te przeraźliwe anachronizmy byłoby stratą czasu i miejsca.

Do nazw rzeczowych dodaj takie jak: Wagi, Ocele 'stal podkowy', Ćwieki, Czasza, Korczak 'naczynie', Prawda 'pierścień pod misy na stole', Kuszaba w kamieniu żarnowym, Trąby i in.; do miejscowych: Przeginia, Opole, Ołobok, Osina, Brzezina, Bylina i in.

[2] Trafnie sądził o tem jakiś heraldyk szesnastowieczny (?): «mało który, prawy Jastrzębiec, ale do klejnotu wzięty z prawa wojskowego, jako pod chorągwią taką stojący».

szcze ograniczona; przeciwnie zaś liczył XIII, ale szczególniej XIV i XV wiek co najmniej półtora setki zawołań, nieznanych zupełnie późniejszym heraldykom; z zapisek sądowych, np. mazowieckich, można je wszystkie wyłowić. Była to prawie zawsze drobna szlachta, ród nieliczny, o jednej wiosce nieraz, z której się i pisał (wieś *Sokola* i zawołanie *Sokola*); nie wyginęli oni, ale się zczasem «przyszczepili» do innych znaczniejszych rodów; niektórzy spadli przez włodyków do mieszczan i chłopów.

Bo oto śród szlachty wyodrębnił się osobny, niższy stan, zwykli żołnierze, co się niczego większego nie dosłużyli, właściciele jednego dworku, zmuszeni nawet do własnoręcznej pracy na roli, albo rodowici niegdyś, co potracili dostatki i krewnych, a na własne zawołanie już nie liczyli więcej. Nazywano ich różnie, *panoszami* u Czechów, u nas szyderczo *scircialkami* i *włodykami*, bo od kiedy obcy *ksiądz (książę)* wyrugował rodzimego *włodykę*, nazwa ta bezpańska bujała, nim ją przyczepiono chyba ironicznie do ludzi, co właśnie niczem nie «władali», nieraz nawet wcale nie byli «osiedli». Włodycy nie przeżyli średniowiecza; jak byli upośledzeni wobec szlachty, dowodził ich stosunek prawny; nawiązka ich (odszkodowanie za rany) wynosiła tylko połowę szlacheckiej, a pozywano ich do sądu nie listem, jak szlachcica, lecz ustnie i sądowe opłaty należały się im mniejsze; wsiąknęli oni zczasem w lud, inni, w służbie u «panów chorągiewnych», w szlachtę, ale w XIV i XV wieku często im tę niższość wypominano; nie wiem, czy ciebie listem pozywają, mawiał szlachcic.

### PRZYBYSZE OBCY

Szeregi szlacheckie mnożyły się zawsze (por. wyżej) obcymi przybyszami, najmniej Czechami. Wprawdzie wywiedziono z Czech, od brata św. Wojciecha, Sobiebora, co uszedł tragedji Sławnikowiców, wymordowanych podstępnie, ród *Pałuków*, z Łeknem, jako głównym grodem ziemi Pałuckiej; podobna tra-

gedja polityczna wyrzuciła i Wrszowców do Polski; po za nimi tylko wyjątkowo jakiś ród czeski do Polski zabłądził, np. ród *Wczelów* (pisano ich później i *Wsczelami)*, który nazwę czeską zatrzymał *(wczela* 'pszczoła'; na herbie wymalowany też plastr miodowy; późniejsi to szachami obezwali, od których istotnie Rocha wzięto); twierdzą dalej o czeskim początku Okszyców (herb *oksza* 'siekiera', wcale nie czeskie słowo, oni mają *bradaticę* zato; z herbem porównaj Topór nasz), Dryjów (od *dryi* 'trójki' w kostkach), Rawiczów i in., o czem nieraz i wątpić wolno, bo dawni Czesi ani Węgrzy nie mieli swej szlachty na eksport; więcej zaważyli może Prusy (zob. niżej). Istotnych dowodów wcale niema, nieraz i tradycja domowa nic o tem nie wie, a to wiele znaczy, np. Pałuki o pokrewieństwie z św. Wojciechem nic nie wiedzieli, a że było u nich imię *Sławnik* (ojciec Wojciechów) częste, niewiele dowodzi; również wolno o wszystkich innych (pominąwszy Wczelów) bardzo wątpić; ani *Wieniawy* (wbrew Długoszowi), ani *Pomnianów,* ani *Dryów,* ani *Roliców,* ani nawet *Różyców-Porajów* (znowu od Sławnikowiców niby wyszłych), za przybyszów z Czech nie uznamy.

Bez porównania liczniejsi są Niemcy śród szlachty, ale o wiele rzadziej rodowici z Turyngji czy Hesji, najczęściej ze zgermanizowanych już Łużyc, Pomorza, Śląska. Np. Wezenborgi,[1] a obok nich drudzy Borki (słynny Maciej Borkowic, djabeł wenecki na przełomie XIV i XV wieku w Wielkopolsce), których w XII wieku na Pomorzu spotykamy, oba rody o różnych herbach (Borki herbu Gryżyna, ich posiadłość, i Napiwo), a i trzeci, Borkowice. Dalej Ketlice,[2] Boninowie z Pomorza, nie-

[1] słynny Bartosz z Odolanowa, wojewoda poznański, z ich rodu; de genere *Czurbonorum* (co to? nie 'Sorb' chyba) de Theutonia, może z Weissenbergu pod Budziszynem.

[2] Słynny arcybiskup Henryk Ketlic 1199—1219, około r. 1174 quidam de Kettelicz, cuius praedium est adhuc prope Budissin (od przodka Chiloto r. 1071?).

gdyś ród słowiański, jak nazwy rodowców słowiańskie (Teslaw, Swantus i in.) dowodzą. Mnóstwo rodzin wywodzi się od Kotwiczów (między innymi i Krzycki, arcybiskup gnieźnieński, zmarły r. 1537) «niewiadomo, czy to turyngski ród czy śląski, bo jest kilka miejscowości tego nazwiska, Cotewiz i in., w Turyngji, Saksonji i na Śląsku»; tak samo Wadowicze; Unrugi (Unruh niemieccy), ale ci się nieco później, w XIV wieku przesiedlili, jak i Pretwice, Kołomazy, Kopaszyny, Koroboki i in., wszyscy ze Śląska. Ród Herburtów, słynny później na Rusi Czerwonej, takiegoż początku: biskup ołomuniecki Bruno nadał swemu trukczaszemu Herbordowi wieś Gleżyn i gród Füllstein (Fulsztyn z tego), a przybył on z Frankonji czy z Hassji — może i Larysze stamtąd przyszli?

Z Węgier przybyli *Amadeje* i *Korczaki;* o tych prawiono: Nie mogli się Węgrzy zgodzić na wybór króla; znużeni powiedzieli sobie, kto pierwszy do namiotu wstąpi, niech królem będzie; wstąpił pies i królem został, ale nie zniósł tej hańby rycerz, zabił psa i królobójca musiał uchodzić przez tyle rzek, ile pasm na tarczy herbowej, do Polski. W całej tej bajce jedynie «historyczna» rola psa, u pogańskich Węgrów nie najgorsza, bo wiemy od Niemców, że na psów przysięgali (to znaczy: zabijali psa; niech ten sam los czeka tego, co przysięgę złamie); ale motyw psa-króla jest też międzynarodowy, powtarza się w sagach islandzkich i in.

Wobec znaczenia Nordyjców w Polsce Piastowej (wystarczy wskazać związki familijne Piastów z konungami szwedzkimi i duńskimi, albo wikingów jomskich z pod Wołynia nad Odrą w walkach i przymierzach z Mieszką i Chrobrym), niektórzy z nich dostali się pewnie do Polski, osiedli tu i założyli rody. Pomawiają dwa rody o taki początek nordyjski. Ród Łabędzi wzniósł się wyżej niż kiedykolwiek indziej (wszystkie wielkie rody miały takie wieki czy chwile powodzenia) za

*Piotrka Włosta,*[1] najbogatszego w Polsce pana, głęboko religijnego, co jego fundacje kościołów i klasztorów poświadczają, przezwanego *Duninem,* bo z Danji miał skarby wywieźć, ale osiadłego odwiecznie na Śląsku, pod górą Ślężą. Nic nordyjskiego pochodzenia nie dowodzi, ani «Łabędź» (inne rody też się od ptactwa przezywają, Ślepowron, Jastrzębiec), ani imiona w genealogji rodzinnej; skarby wywożono od Pomorzan i ich wypraw korsarskich i to może objaśnia ów przydomek «Dunin», któryby dowodził stanowczo nordyjskiego początku, gdyby Piotrek był protoplastą Łabędzi, ależ już jego dziad siedział pod Ślężą bez 'Dunina'.

Widoczniejsze poszlaki przemawiałyby za nordyjskim początkiem (H)abdanków-Awdańców. Wielki ten ród, rozgałęziony po całej Polsce, od Śląska do Mazowsza i Rusi, wywodził Długosz od szewca Skuby, uszlachconego za pokonanie Niemca. Ale szewc Skubek nie pobił Niemca, nauczył tylko, jak zgładzić smoka wawelskiego i Długosz dobrze to wiedział, lecz nie śmiejąc ewangelji Wincentowej odstępować, Skubkowi zamiast smoka Niemca podsunął; dopiero Bielski, który podobnych skrupułów już nie miał, prawdę napisał o Skubku i smoku. Wincenty korzystał tylko z tej samej wersji, lecz samowolnie, jak wszystko inne, tak i z Skubka Kraka urobił, rzecz szewską w rycerską ustroił; nazwisko Skubka skrócone z Skubiskóra (Skubiskórową żonę znamy z zapisek sądowych XV wieku). Dla osłodzenia pigułki o szewcu-antenacie dodał Długosz bajkę o Skarbimirzu-Habdanku przed cesarzem Henrykiem; sama

[1] Poprawna nazwa; dwa imiona, jedno chrześcijańskie, drugie pogańskie rodzinne (wnuk nazywał się *Włodzimierzem,* to samo co *Włost),* jak często bywało; *Włast* jest forma czeska, nie polska; *Vlostides* jest wymysł mistrza Wincentego; żonę nazywano *Włostonissa,* nigdy *Piotrkowa.* Por. w r. 1185: *Ioannes* de Rudawa qui alio nomine comes *Gnevomirus* vocabatur.

mylnie pojęta nazwa *Skarbi*mir, a jeszcze fałszywiej zrozumiany *Abdank* tłumaczą bajkę dostatecznie.

U tych Abdanków a raczej Awdańców powtarza się stale imię *Skarbimir, Skarbek* (inne rody go nie znają wcale), a nordyjskie *audr* znaczy *skarb*, więc ma być *Skarbimir* tłumaczeniem *Audy* czy *Audona*, nordyjca; gniazdo ich w Polsce pod Lubiniem wielkopolskim, gdzie około r. 1070 wyposażyli klasztor benedyktynów, sprowadziwszy ich od św. Jakóba w Leodjum flandryjskiem; ale drugi Lubiń leży pod Wołyniem nadodrzańskim i z tegoto Lubinia przeniósł pierwszy Awdaniec siedzibę i nazwę na wielkopolskie i śląskie Lubinie, Lubiatowy i t. d.; imię *Auda* przetrwałoby przez wieki w rodzie Awdańców, jak dowodzi kanonik lwowski *Jan Auda* r. 1463, prawdopodobnie Awdaniec; na Mazowszu jest *Awdan* (początek XV wieku), zapewne także z tym rodem związany; ślad innego Awdańca na Pomorzu samem zachowała *Skarbowa mogiła* dokumentu z r. 1281, *tumulus cuiusdam pagani*. Ależ nazwy *Skarbimira* i *Audy* (Ottona) są powszechne, t. j. nie ograniczone ani do Awdańców ani do wikingów; *Skrbimir, Skrben* powtarza się u Czechów, którzy polskiego znaczenia skarbu wcale nie znają (ich *skrbiti* o sknerze się mówi; w innych językach słowiańskich *skorb* o 'żalu' się używa); jest w Meklenburgu w XII wieku rycerz *Skarbimir*, pewnie nie tłumaczony z Audona; gdyby można wiedzieć, że na Pomorzu *skarb* miał to samo znaczenie, co polski, to *mogiła skarbowa* mogłaby uchodzić za sprzeciw do meklenburskiej *dupnej*, t. j. próżnej, mogiły. Lubinie, Lubienie, Lubiatowy są rozsypane po całej zachodniej Słowiańszczyźnie, która temat *lub-*, począwszy od Lublina i Lubowli aż do Lubcza (Lubeki), sobie ulubiła. W spisie najstarszych dobrodziejów wymienia księga bracka lubińska rycerzy, których imiona powtarzają się istotnie między Habdankami, np. Pakosław, Przedwoj, jak i kilka imion niemieckich albo chrześcijańskich, ogólnie wtedy używanych; jest i imię *Aska*, ale nie wiemy, komu na-

leży; jest i *Iascotel,* niby nordyjski, powtarza się na Śląsku raz jako imię osobowe a dwukrotnie jako miejscowe *Jäschkittel* (nordyjskie *Asketil, Askatli, Askotala);* jak wikingi *Aska* i *Askatli* tu się dostali, kogo znaczą, nie wiemy, jednakże nie wystarcza, by Awdańców, między którymi żadnego Aski, Jaskotela więcej niema, z wikingów wywodzić. Dla tłumaczenia Skarbimira faktycznego z fikcyjnego *Auda-Audona* nie znamy przykładu, bo *Żegoty* i t. p. tu nie należą jako łacińskie, co więc, jak wszystko łacińskie, tłumaczono dla zabawki, bo po łacinie każdy umiał, nikt po nordyjsku. I nazwa sama, *Awdaniec,* niepojęta; co innego *Jastrzębiec,* rzeczownik do przymiotnika *Jastrzębi;* czemby zaś był przymiotnik *awdani? Awdaniec* nie jest również odojcowskiem; tłumaczy się zaś znakomicie wedle analogji Wawrzyńca. Jeśliby *Skarbimir* był tłumaczeniem *Awdańca,* byłby go może i zastąpił i ród nazywałby się *Skarbiszami* (jest to imię), albo podobnie, nie Awdańcami. Nie każdy zresztą *Skarbimir, Pakosław* (imię znaczy to samo co *Bolesław* lub *Więcław),* Awdańca a Lubiń czy Lubiatowa ich posiadłość oznaczał; imiona te i nazwiska są powszechne; są dobre czeskie, pomorskie i t. d. Żeby śląskie *Jaschkittel* i *Askotel* od Awdańców pochodziły, i na to niema dowodu, a już wcale mazowieccy *Jaszczołty* z XIII wieku (była niegdyś po nich wieś drobnoszlachecka *Jaszczułty* a druga *Jaszczułtowice)* nic z Awdańcem nie mają spólnego. Podobnie nie myślimy czegośkolwiek budować na powtarzających się imionach *Przedwoja* (dla jego pospolitości), czy *Szczedrzyka* (co ma *Teodora* zastępować), a jeśli śród zupełnie zgermanizowanej familji śląskiej, piszącej się *de Lubin,* znajdzie się nagle i jeden *Pakusch* (Pakosław), to pomimo tego, że składał Lubin dziesięcinę klasztorowi trzebnickiemu, a Trzebnicę łączyło niejedno z Awdańcami, niepewny to Awdaniec. Połączono śląski młyn, *Habedanksmühle* z r. 1371 Jana Habedanka i syna Mikołaja, z Awdańcami, ale co mieli ci Niemcy spólnego z szlachtą polską? szlachcicem polskim był

*Janusz Habdanek,* którego kanclerz poznański r. 1409 o zabójstwo chłopa pozwał (Piekosiński VI, nr. 1308) — tylkoż czy to Awdaniec? Zapiski sądowe nie nazywają szlachcica po proklamacji, nie znają Michała Leliwy czy Marcina Syrokomli. Obie nazwy tłumaczą jednak dostatecznie, jak szalone etymologizowanie średniowieczne mogło z Audańca, Awdańca, Abdańca, skoczyć do (H)abdanka. Imię *Aska* ('jasion', nie 'popiół') piszą w księdze brackiej poprawnie bez przydechowej joty, natomiast *Jaskotel* «z przydechem niby, jak *Jadam* i t. p.», co budzi lekką wątpliwość — a nuż *Jaskotel* czysto polskie nazwisko? bo nazwy na «twarde» *-el* były niegdyś częste, por. z XII i XIII w.: *Bogiel, Drogiel, Godel, Domachel, Kochel, Pągiel, Dziewiętlice, Dotla, Stradla* i in., więc i od *Jaskot* mógłby się *Jaskotel* wywodzić; tej pewności, co przy Aska, niema więc przy *Jaskotel.* Uznając nadzwyczajną bystrość odnośnych wywodów a zarazem zasadniczą ich możliwość, o fakcie samym wątpić można. Pewniejszy jest wywód Jaszczołtów z Askoldów, ależ to nie Askotele ani Awdańce.

Nie przeczymy więc bynajmniej może nawet silnej domieszce obcej krwi w żyłach szlachty, uważamy jednak za wygórowane podania naszych heraldyków, szczególnie Długoszowe, o tych mniemanych przybyszach i niżej o tej słabostce, wynikłej z próżności, a w XVII wieku szczególnie grasującej (gdy np. biskup poznański swoich Wyskotów z Wisigotów hiszpańskich wywodził) jeszcze pomówimy. Jedno pewne, że ta krew obca niezwłocznie się do polskiej asymilowała i nic jej od autochtonicznej nie wyróżniało, głównie może ich herby, zawsze «mówiące», trzy miecze w jabłku Herburtów, karp Glaubiczów (z Miśnji), do którego się przypisali dla podobieństwa herbu (karp z porożem jeleniem; z trzema piórami na głowie mówią inni), ziemianie rodu Czasza w XVI wieku i t. d. Ważniejsze były różnice innego rodzaju; o odszczepieniu włodyków właśnie mówiliśmy; stosunki majątkowe układały się po dzielnicach roz-

maicie. Szlachta wyżynnej Małopolski przybierała cechy obce lesistemu Śląskowi, nizinnej Wielkopolsce i piaszczystemu Mazowszu; w Małopolsce tworzyły się pierwsze latyfundja i wybijały się na czoło dzielnicy Gryfy, Lisy, Odrowąże, Habdanki; w Wielkopolsce, lepiej zaludnionej, nawet Nałęcze ani Zaręby latyfundjów nie skupili; tu przeważały liczne, drobniejsze majątki, przynajmniej od XIII wieku; mówili nawet r. 1406 o dziesięciu szlachcicach na jednej wiosce. Mazowsze przedstawiało się najubożej, posiadłości ziemskie tu najdrobniejsze, a szlachta na najniższym stopniu ogłady i prawa; wymagali od niej książęta świadczeń, niesłychanych w Polsce, posług, do jakich gdzie indziej komornicy i chłopi się nadawali, rozwożenia listów książęcych, budowy grodów, śladu (zob. niżej).

Nierównie ważniejszy inny czynnik stanowi rozmieszczenie szlachty. Wykazały bowiem ściślejsze badania, na podstawie nazw miejscowych i imion osobowych, że rodowita szlachta, np. kujawska i in., wcale nie z Kujaw rodem, że dopiero nadania książęce usadowiły tę szlachtę na ziemi, im pierwotnie zupełnie obcej. Odrowąże wyszli z nad granicy czeskiej, ale rozsiedli się z łaski książęcej w całej Małopolsce, a bardziej rozprószeni i po innych dzielnicach. Szczególnie małopolskie rody Nowinów, Śrzeniawitów, Lisów i t. d. ponabywały poza Małopolską z łaski książąt po innych dzielnicach liczne włości. Olbrzymie posiadłości książęce wyczerpały się (oprócz na nadania kościelne) na sute wyposażanie tych Powałów (ich przydomek *Sasin* przemawia za wywodem od Sasi, t. j. Saksonji), Zarębów, Pomianów i t. d.; nieraz cały łańcuch ich posiadłości ciągnie się wzdłuż rzeki, Wisły czy Warty, lub wzdłuż granicy dzielnicowej, jakby jej strzec mieli; odnosi się wrażenie jakiejś celowej organizacji obronnej, nietylko przeciw obcym, ale i dla pewniejszych rządów w dzielnicy samej. Wymagałoby się map, aby to rozsiedlenie, te wędrówki niby rodów szlacheckich, uwidocznić.

W prawieku odróżniali się wielmoże i woi od smardów oprócz stroju, znaczenia, trybu życia, wolnem posiadaniem ziemi; mogli nią swobodnie rozporządzać za potwierdzeniem książęcem, sprzedawać, wymieniać, później przekazywać i córkom; dalej związaną z ziemią obowiązkową służbą wojskową; zresztą pełnili z dóbr swoich książęciu te same daniny i czynsze, co i chłopi; stawali wprawdzie nie przed sądem wojewody i kasztelana, ale płacili dziesięcinę w ten sam nader uciążliwy sposób. Odmiany zupełnej dokonał wiek XIII, chociaż zaczęło się to już w XII-tym, a polegało to na imunitetach, t. j. na zwolnieniach od danin wszelakich, na uwalnianiu ich ludzi z pod sądu urzędniczego, na płatnej osobno służbie wojskowej poza granicami krajowemi; już dawniej ulżono szlachcie co do przewodu i co do dziesięcin (zob. niżej). Odtąd pobierał szlachcic daniny i czynsze chłopskie sam dla siebie; jego chłop sądził się przed nim, chyba w większych winach stawał przed sądem książęcym; dobra, które mu książęta za służbę przeznaczali na czas lub dożywotnio, przechodziły na własność dziedziczną, spadającą nawet na córki. Cenne te przywileje obejmowano nazwą prawa rycerskiego *(ius militare)*, związanego nierozłącznie z posiadłością ziemską.

Przywileje te wywalczyła jednak nie szlachta sama; poszła ona za duchowieństwem, które dla swoich nadań i posiadłości dobijało się od czasów energicznego arcybiskupa Henryka Ketlica zupełnego uwolnienia ekonomicznego (od wszelkich prestacyj) i sądowego i celu swego w ciągu wieku dopięło; niemoc i walki rodowe książęce ułatwiły zwycięstwo. Gdy dawniej tylko nieliczni wielmoże dzięki zbiegowi okoliczności zdobywali się na olbrzymie majątki, podniósł się teraz poziom ekonomiczny całej szlachty; daniny i winy sądowe przechodziły na jej własność, rozszerzało się gospodarstwo folwarczne, a niebawem stworzyła kolonizacja i prawo niemieckie jeszcze korzystniejsze warunki

ekonomiczne. Ucierpiała tylko ludność wieśniacza, bo traciła dostęp do sądów książęcych, podpadając pod patrymonialne sądownictwo szlachty.

## CHŁOPI

Śród ludności wieśniaczej zaczynał się proces ujednostajnienia wszelakich dawnych różnic między niewolnikami a niegdyś osobiście wolnymi; pełnej władzy nad ziemią, którą uprawiał, chłop już nie miał, to była prerogatywa szlachty, ale siedział dziedzicznie na swojem żrebiu-ucząstku, nie mogąc się zeń ruszyć, przypisaniec, którym książę rozporządzał swobodnie; jeszcze gorszy był los zakupa, *empticius*, niewolnika w całem znaczeniu tego słowa. Przypisańców organizowano w dziesiątki *(decimi)* i setki; «pstre sto» nazywała się secina o różnych kategorjach przypisańców, bo jedni wyłącznie rolę uprawiali, drudzy obok roli rzemiosła; rzemiosło spadało dziedzicznie z ojca na syna. Osobną rubrykę stanowili *narocznicy, censiti*, nazwani od *naroka* (czynszu, jaki zamiast innych danin lub służb płacili?), których pamięć w XIV wieku zginęła.[1] Wyżej stali *hospites*, nie przywiązani na wieki do ziemi, lecz osobiście wolni, co obrabiali obcą rolę choćby własnym sprzężajem i mogli opuszczać ziemię, którą nieraz sami wykarczowali *(łazy*, stąd *ła-*

[1] W literaturze określają inaczej naroczników. Wedle jednych był *narok* instytucją prawa karnego, niby konfiskatą na mocy wyroku sądowego; powołują się na stosunki czeskie, gdzie *narok* 'oskarżenie o złodziejstwo czy rozbój', ale z tego nie wynika nic dla polszczyzny, która zna wprawdzie *narzec* 'obmówić', ale nie zna *naroku* 'accusatio'. Wedle innych narokiem zwała się «terminowa służba wartownicza w grodach pogranicznych», ale i to niemożliwe. Narocznicy nie posiadali r. 1204 Węgrzynowa; słowa dyplomu: «quorum illa villa quondam fuit» należy rozumieć jak zwykle «cum villa eorum»; oni należeli do naroku lubuskiego, ale ksiądz Leonard rościł sobie prawo do wsi niesłusznie — o konfiskacie jakiejś niema i śladu.

*zęki?* czy od *łażenia, łazęgi?);* niewolni wyrywali się chętnie do nich, ale przeświadczeni o niewolnictwo wracali w dybach okuci do pana.

Sprzedaż do niewoli, która za sobą mogła pociągać i wywóz do obczyzny, praktykowano stale jeszcze w XII w., szczególniej za długi; nietylko *hospes* stawał się zakupem, ale i włodyka tracił ziemię, którą nabywał wierzyciel-żyd. Takim sposobem stawali się żydzi-mińcarze właścicielami Sokolnik pod Wrocławiem, Józef i Chaskel, co oni naturalnie odsprzedawali jak najrychlej; tak kupił Piotrek Włost Tyniec (śląski) od żydów, a książę wykupił Sokolniki. Dłużnik uchodził niebezpieczeństwu, jeśli ktoś za jego dług ręczył.[1]

Wieśniak podlegał mnóstwu danin i służebności, uciążliwych, choćby drobnych, obzywanych wszelakiemi nazwami, różniącemi się nieraz wedle dzielnic, nieraz synonimami (parę nazw dla tej samej służby czy dani); sięgały niejedne czasów pogańskich jeszcze i nie dziwimy się buntowi chłopskiemu r. 1037, korzystającemu z chwilowej niemocy władzy państwowej. Wymienialiśmy już wyżej, jako prastare, pogańskie chyba, ogólną daninę z nierogacizny, *narzaz,* i zboża, *osep, sep;* dalej powinności służebne, liczniejsze i różnorodniejsze: *stróżę* (obowiązek załogi grodowej) i *przewód, przewóz* i *powóz,* t. j. konie, wozy i stróże dla dostaw książęcych, jego służby i posłańców; wreszcie *stan* przygodny, t. j. dostarczanie pokarmów i napojów w razie bytności książęcej i jego służby łowczej.

Z czasem wybierano coraz nowe *pobory,* i tak stał się narzaz częścią *podworowego, poradlnego, powołowego, podymnego,* wybieranych pod różnemi temi nazwami, wedle dworów, radł, wołów, dymów; do nich byli obowiązani właściciele dworu, radła i t. d.; całe sąsiedztwo kilkunastu wsi, t. zw. *opole* (t. j.

[1] Np. czytamy o jakimś Kadonie, co był winien mincarzowi grzywnę i pół wiardunka, że Wlodimirus (wnuk Piotrka) solum pro eo debitum tenet.

których pola stykały się), poddział grodu, co nad kilku opolami władnął, składało razem sztukę bydła, głównie «krowę opolną»; bartnicy z miodów wydawali *nastawę;* rzemieślnicy byli obowiązani do dostarczania pewnej liczby wyrobów. Niektóre opłaty wybierał urzędnik książęcy wyłącznie dla siebie, np. łowczy (lub podłowcze), «owies gajowy», zwany poprostu *gajowem* albo miód gajowy, a osobni gajownicy czuwali nad wybieraniem tego poboru. Jak liczne, choć w istocie nieraz i wcale drobne były te pobory, widać z przywileju z r. 1289 Przemysła wielkopolskiego dla klasztoru byszewskiego, którym uwalnia jego poddanych w Trzęsaczu od «przewodu, powozu, wywozu, podwody, wymiotu, nastawy, wieśnicy, narzazu, mostnego, poradlnego, powołowego, podworowego, stróży, sokolników, psiarzy, bobrowników, od krowy, wołu i stanu» (sokolnicy, psiarze, bobrownicy byli słudzy książęcy, którym chłopi dostarczali prowiantu). *Powóz* odbywano wozem albo pieszo;[1] w r. 1258 uwolnił książę od powozu, ale «stróże bez wozów *(custodes sine curribus)* na dworze naszym mają stawać zwykłym trybem i służby powinne odbywać».

Wymagano dalej od chłopa *pokłonu* albo *poczty,* t. j. barana, drobiu, jaj i t. p., gdy się przed panem zjawiał, osobliwie w wielkie święta, Gody i Wielkanoc; nazywano to i *godne;* dla służby pańskiej dawali wtedy *kolędę.* Nie zawsze wymagano całej sztuki bydła, np. od świń zadowalano się i samą szynką lub *giżą* (nogą).[2]

*Obraz* był daniną pieniężną od monety-obrazu (t. j. obrzezanej sztuczki); mincarze książęcy objeżdżali targi i wywoływali

---

[1] sive cum plaustro sive cum pedite r. 1247.

[2] R. 1246 uwolnił książę wieś klasztorną, darował jej vaccam, porcum, pernam (szynkę), *kyzam* (giżę) et arietem, por. dokument z r. 1298, uwalniający a bove, vacca, a perna, a *latere. Kyza* nie jest ani *kozą,* ani *ki(ś)cią* (dań miodowa); *gi-* musiał pisarz oddać przez *ki,* bo pisownia *gi-* nie znaczyła nigdy nic innego, niż *ji-.*

z obiegu starą monetę, mieniając na gorszą nową z zyskiem dla skarbu a stratą dla ludu, a czynili to dwa i trzy razy do roku; zabraniano użytku samego srebra, łupanego i rąbanego (stąd nazwa ruska rubla), aby nie obywano się bez nowych denarów, coraz gorszych.

Niejednę całkiem niesłuszną opłatę znoszono, np. r. 1232 «rączkę» miodu, jakiej wymagano od wdów, idących powtórnie zamąż, ale dziewczętom nie odpuszczano kunnego, szczególniej gdy do obcej wsi zamąż wychodziły. Coby znaczyła *oprawa (oprawne), przewary, chłodnice, wieśnica,* nie wiemy; *przystaw* była opłatą, którą przystaw, t. j. urzędnik książęcy pobierał. Do tych opłat, składanych w naturaljach, przybywały i prastare opłaty w łupieżach (skórkach) kunich, w kruchach solnych (szczególnie w opłatach win sądowych). Już wprowadzano reluicje niektórych służb w daniny, i tak twierdzi kronika wielkopolska, że Chrobry polecił zamiast odbywania stróży dostarczanie od pługa czy radła co roku miary żyta i drugiej owsa do śpichrza królewskiego, ale czy to za Chrobrego się stało?

Szlachta miała już wcześnie pewne ułatwienia, mianowicie dostarczała przewodu tylko przy dowozie świeżej zwierzyny i ryb, kłodnika (t. j. więźnia, zakutego w kłodę), pieczywa lepszego (żemły, bułki), złota i wina (r. 1261: prewod *militale seu nobilium);* też w podejmowaniu łowczych książęcych popłacał osobliwszy *mos militalis.*

Był więc system ciężarów (prawdziwych udręczeń, angarij) publicznych nadzwyczaj subtelny, wyciskał każdą kroplę z ludności, którą jeszcze dziesięcinami, odbieranemi na polu, trapiono, bo ksiądz nie dozwalał sprzątnięcia zboża, póki swej dziesiątej kopy nie powytykał. Działy się później wielkie z tego powodu nadużycia, bo ksiądz nie odbierając swojej dziesięciny, żądając, aby mu ją jeszcze do jego stodoły dostawiono, mógł i zgnoić całe zboże na polu, gdy była słota. Szlachta miała tę ulgę, że nie czekała wytykania kop na polu, ale zwoziła plon

odrazu do gumna i ksiądz dopiero potem odbierał i sam odwoził swoją część; wybierała też szlachta sama kościół, do którego dziesięcinę płaciła. Dziesięcina szlachecka była więc «swobodna», chłopska przymuszona, bo składał ją chłop «in commune aliás in *gonitwam*», t. j. spólnie, pospolicie do swej parafji (o samem słowie patrz wyżej).

Wyniki tej gospodarki «naturalnej» nie były świetne; samo wybieranie danin przez sług (żu)pańskich, przez komorników, przystawów, gajowników, pochłaniało znaczną ich część; inna ginęła przy powolnej dostawie po złych drogach lub psuła się w składach.

Pierwotne słownictwo dla opłat «skarbowych» i sądowych, jak i dla służebności, wcale obfite, lecz w szczegółach, mimo przeźroczystości językowej, bynajmniej nie jasne. Nie wiemy np., co znaczyła *chłodnica*, albo co *wieśnica:* tłumaczono ją trojako, wwięźnicą *(intromissio,* wwiązanie w posiadanie); wieźnicą (należytość wieźnemu za odsiadywanie wieży-więzienia, ale to nazywało się wieźnem); wreszcie germanizmem *isnetz* (rybia sieć lodowa), co wszystko równie niemożliwe (nazwa pochodzi od wsi, jeśli nie od wiosny?). Czasem pomagają tłumaczenia, np. *pomiot,* wybierany przez mincarzy, będzie niemieckie *Abgang, defectus (monetae);* mincarz wyzyskiwał rzemieśnika, wmawiając weń jakąś wadę jego srebra przy wymienianiu; *pomocne* jest niem. *Beede, peticio* (niezręcznie na Mazowszu przez pytanie tłumaczone): książę przy nadzwyczajnych wydatkach, np. przy ożenku, wymagał takiej «pomocy», którą i Niemcy, uwolnieni zresztą z pod fiskalności książęcej, płacić się obowiązali. Opłaty sądowe były *niestane, poteczne, prawidlne, tresne* i inne.[1]

[1] Do zagadkowych danin należy danina owsa quod *porzeschne* dicitur r. 1295, *porsiczne* 1298, *porsochne* 1334, *porzeczne* później, wyłącznie na Mazowszu wybierana; że to nie **prosięcne* jakieś, dowodzi pisownia; wytłumaczono je jako 'porzeczne', ale gdy owies 'gajowy' rozu-

## KOLONIZACJA NIEMIECKA

Przewrotu w tym systemie, korzystnego dla obu stron, dokonała kolonizacja niemiecka. Powtórzyła się niby wędrówka ludów germańskich z przed ośmiuset lat; rozmiary jej były co prawda znacznie mniejsze, a zarówno i wyniki, ale miejscami

---

miem, trudniej mi 'porzeczny' pojąć, tem bardziej, że niema żadnej pisowni *porechne*, jakiej w wieku XIII a nawet XIV oczekiwaćby należało. Może to coś w rodzaju *posrzeżnego* (z przestawką *r*, co po narzeczach bywa, *rsioda* z *środa* i t. p.), t. j. opłaty, zwanej na Mazowszu *śrzonem*, w Małopolsce *śrzeżną* (*sreżna* r. 1256, *sressna* 1270, ius *szronowe* ad dignitatem venatoriam pertinens r. 1373 — dla łowczego, jak gajowe), może to samo w Wielkopolsce *chłodnicą* nazywano, od pory roku, kiedy daninę wybierano? Co znaczy *wymiot?* W dokumentach śląskich zabraniają mińcarzowi, żeby rzemieślnikom, sprzedającym na targu swe towary, nie czynił szkody 'dans *pomiot*' albo 'inferens damnum'), czy to to samo lub coś podobnego? *Niwne* będzie chyba inną nazwą poradlnego; a *leszne?* czy *leśne* (gajowe?) czy *leżne* (niby *stan*?), wymieniają na Śląsku wraz z powozem i narzazem. Rozróżniano *gród*, budowę jego i utrzymanie (servitium *grod* i. e. castrum sive construendum de novo ubicumque seu etiam renovandum), a *stróżę*, t. j. odbywanie straży, przez miesiąc o własnem strawnem; na Mazowszu i Pomorzu *posadą* to nazywano (książę uwalnia r. 1346 Jana a communi possessione castrorum nostrorum omnium, quod vulgariter possada dicitur ita quod in ipsa sedere ipsamque pecuniam solvere non tenebitur), ale dokumenty pomorskie wymieniają i stróżę i posadę obok siebie (a custodibus castrorum quod possada nuncupatur — a stroza); w Małopolsce była osobno i *brona* (ad custodiam brone de Myśliniec około r. 1255), chociaż przez bronę w innych aktach wartę rozumieją nad granicą, gdzie cło opłacano. Gdy książę polował na grubego zwierza, chłopi musieli leż jego pilnować, tak samo jak gniazd sokolich; custodia cervorum nazywała się *przełaja*, uwalniał od niej książę r. 1262 z tym jednak wyjątkiem: cum nos vel nostros posteros in districtu ville Orle personaliter venari cervos contigerit, ipsius ville (Orle) incolae exire inexcusabiliter tenebuntur. Do tych ogólnie obowiązujących opłat przybywały specjalne, np. *targowe* od kupczących na targu, *mostne* od przejazdu, liczne sądowe, np. *treschne* (zamiast *trekstne*, od *tre(k)stać* 'karcić'), quod iudici spectat i in.

przekształciła doszczętnie skład etniczny i poziom kulturalny nawiedzonego przez nią kraju. Kierunek był inny, parł na wschód, nie na południe; przyczyny były podobne a skutki również, widne po dziś dzień. Niemcy w Siedmiogrodzie, w Czechach i na Morawach, gdzie tylko mała luka przerwała jednolite opasanie kraju słowiańskiego, Niemcy od Łaby aż daleko poza Odrę, w Prusiech, i znowu na południu w Styrji, Karyntji, Krainie, bądź w zwartem skupieniu, bądź rozprószeni, w Węgrzech północnych, gdzie przemysł górniczy i bogate stąd miasta dzięki nim powstały, oto najważniejsze placówki ruchu, który rozniósł daleko po środkowej i wschodniej Europie niemiecką ludność, zwyczaj, język, kulturę. Zasilany coraz nowym przypływem dosiągł szczytów w XII i XIV wieku; masowość jego później znacznie zmalała; już tylko chwilowo, na drobną skalę, tu i owdzie, objawiał się podobny.

Wywołały go osobliwe stosunki. W latach 1140—1170 ujarzmili Niemcy (nie bez pomocy duńskiej) ostatecznie Słowiańszczyznę nadłabską i nadodrzańską, i rozwarły się naoścież wrota do kraju, w znacznej części, w Holsztynie, Meklenburgu, Marchjach, słabo zaludnionego, wyniszczonego w ciągłych walkach granicznych, a obfitującego w ziemię czekającą uprawy. Otworzyło się więc pole dla przybyszów, najpierw dla duchowieństwa i szlachty u boku nowych władców ziemi, książąt i hrabiów, dalej dla chłopów i mieszczan. Szlachcie niemieckiej było już ciasno na rozdrobnionych udziałach; wzrosła niepomiernie i liczba duchownych; pogorszył się znacznie stan ekonomiczny chłopa, wyzyskiwanego coraz bardziej przez właścicieli ziemi, a trapionego przez klęski fizyczne. Nowi władcy liczyli na napływ ziomków, coby odłogiem leżące pola uprawiali; tych nęciły widoki na polepszenie losu a przedsiębiorcza, niesłowiańska ruchliwość wskazywała drogę. Już z końcem XII wieku stanęły forpoczty niemieckie u wrót Czech i Polski, niebawem je przekroczyły. Mnich i mieszczanin zjawili się najpierw na Śląs-

sku, Niemcy cystersi w Lubiążu, Niemcy mieszczanie w Środzie, zwanej od targowych dni a przezwanej przez Brodacza na Nowy Targ (Novum forum, Neumarkt), Lõwenberg i in.; mnich nie był w Polsce nowością; był nią mieszczanin.

Czyż nie było w dawnej Polsce mieszczan i miast? Już sama nazwa to stwierdza, bo *miasto* nie znaczyło nic więcej niż *miejsce,* ale ponieważ niemieckie *Ort* jedno i drugie znaczy, miejsce *(locus)* i miasto *(civitas),* więc i w czeskiem i w polskiem *miasto* nowe przybrało znaczenie; *mieścicem* zwano w XIV wieku mieszczanina. Ależ już przed r. 1250 (na lata po nim przypada «lokacja», założenie Poznania, Krakowa i t. d.) okazał się znaczny postęp Polski chrześcijańskiej wobec pogańskiej; co niegdyś było tylko grodem obwarowanym, przemieniało się w ciągu lat, 966—1250, w środowiska przemysłu i handlu; nie było ich wiele, ale były. Nie możemy ich wprawdzie równać z pomorskiemi, bo nie było, co najważniejsze, morza, ale Poznań, Wrocław, Kraków, choć nie dorównały ludnością ani zasobami Szczecinowi, czy Pradze, wyprzedziły daleko wszelkie inne grody polskie. Rozłożone w widłach rzek, Warty, Odry, Wisły, pierwotnie na wzgórzach, obronne nieraz nietylko wodą, ale i bagnami, skupiły jako czoła całych ziemic, choć na wielkim promieniu, cały szereg osad służebnych, dostarczających wszelkich potrzeb załodze i dworu książęcemu. Najwidoczniejsze to w Poznaniu, gdzie w mniejszem lub większem oddaleniu znachodzimy Sokolniki, Kobylniki, Łagiewniki (gdzie indziej Spądownikami zwane), Złotniki, Szczytniki, Rataje, Gądki (śpiewacy), a może i w nazwach ulic ocalały ślady dawnych osad Rybaków, Winiarów, Piekarów. Takie skupienie osad przemysłowych wywoływało samo jakiś ruch ożywiony, nęciło więc obcych kupców, tem bardziej że te grody były zarazem węzłami dróg handlowych (Kraków już w X wieku, Poznań później) i pod samym wałem, a później i murem, osiadali już od XII wieku i obcy, o «ulicy walońskiej» słyszymy w Wrocławiu już

około r. 1180, podobnie były i w Poznaniu już przed r. 1252 *vicus* (osada) *institorum* (kramarzy), Wir *(theutonicum,* dziś Wiry); były karczmy; były przedewszystkiem kościoły, w Poznaniu tum, zbudowany przez Mieszkę, niedaleko kościół N. P. Marji (zbudowany wedle tradycji przez Dobrawkę) i kościół św. Mikołaja (z jego wieży dano r. 1145 znak wycieczki czerwonym szczytem), a więc i liczniejsze duchowieństwo. Tak samo było w Krakowie, gdzie na wzgórzu nad «Wawelem» (wąwałem, wąwozem) stało kilka kościołów (prócz katedry, św. Michał, śś. Feliks i Audakt, obok dworu książęcego) i we Wrocławiu; podobnie i w Gnieźnie, rozłożonem na siedmiu pagórkach a otoczonem jeziorami (na Ostrowie jeziora Lednicy wzniesiono jeden z najdawniejszych kościołów, którego ruiny do dziś istnieją).

Te to grody i podgrodzia, z folwarkami książęcemi, dworkami możnowładców, domami biskupiemi, przynęciły najpierw Niemców. Nie były to miasta-municipia zachodnio-europejskie, bo nie znały żadnej organizacji ani autonomji; zaludnienie było po części i ruchome, skupiało się w czasy kilkudniowych targów, malało poza niemi; była to ludność niewolna, służebna, rzemieślnicza, szeroko rozmieszczona na znacznej przestrzeni. Tem bujniejsze życie wrzało na grodzie samym, mimo względnej szczupłości omurowanej przestrzeni. Bo już ustąpił dawny tryb grodziskowy nowemu; przykład grodów i miast zachodnich, jakie książęta tylokrotnie odwiedzali, uczył wznosić mury i z ciosu; budynki grodowe wraz z kościółkami mogły być pierwotnie drewniane, ale rozmiarami przewyższały dawne. Dwór nigdy nie pustoszał, choć książę ziemię objeżdżał; życie się tu nie przerywało i działało na podgrodzia, gdzie się i mimo targi zjawiali i obcy kupcy, mińcarze i rzemieślnicy; karczmy (większe podgrodzia miały ich kilka), rzeźnie, łaźnie, nigdy nie stały pustką.

Do tych dawnych grodów-podgrodzi zdążali ci przybysze, co całkiem nowe miasta wyjątkowo zakładali; trzy czwarte miast

były dawne. Zakładania miasta podejmował się wobec księcia przedsiębiorca-lokator, który w Niemczech zaciągał ochotników. Poręczano im autonomję sądową i ekonomiczną, t. zn. mieli się sądzić własnem prawem niemieckiem pod wójtem i ławnikami, których z pomiędzy siebie wybierali; rządzili zaś radą z burmistrzem na czele; uwalniano ich od danin i służebności polskich, wydzielano place pod budowle i łany za grodem, a wymagano za to wszystko, po kilku latach wolnych od opłat, czynszu rocznego, płatnego na św. Marcin, a w razie nadzwyczajnej potrzeby (na wesele książęce, dla obrony i t. p.) sumy, które między sobą rozkładali. Lokator stawał się wójtem dziedzicznym, z opłat sądowych przypadała nań część trzecia (dwie trzecie księciu); otrzymywał wolne łany i place dla budowli, jatkę i in.; był zato obowiązany i do służby wojskowej. Zamiast rozrzuconego podgrodzia skupiało się miasto w swoich murach; zakładane nieraz na ustroniu osobnem wedle stałego planu: szeroki plac środkowy obejmował «rynek» z ratuszem i farą (z niemieckiem nabożeństwem); od niego rozchodziły się prostokątnie ulice; mur a conajmniej rów z palisadą okalał miasto.

Wzmagała się odrazu obronność kraju przez ilość punktów warownych, które już nie ulegały byle napadom Tatarów czy Litwy; napływał pieniądz do kraju, dotąd w gotówkę ubogiego; powoli odmieniało się gospodarstwo wymienne na pieniężne; tworzyły się ośrodki kulturalne, zakwitły z zadziwiającą szybkością handel i przemysł, chociaż, szczególnie po małych miastach, «mieścic» pracy na roli się nie wyrzekał; podniósł się poziom rękodzieł, istniejących od wieków, lecz teraz za obcemi wzorami udoskonalanych; podgrodzia słowiańskie przeistoczyły się w miasta-miasteczka europejskie. I rosły bogactwa miejskie i mógł się o nie książę opierać i wytworzył się nowy stan, którego interesy się ściśle z książęcemi łączyły.

W nierównie mniejszych rozmiarach powtórzyło się to samo na wsi. Kraj był mało zaludniony, chociaż rany od napa-

dów tatarskich a gorsze od czarnej śmierci rychło się zabliźniły; te same względy ekonomiczne wywołały i niemiecką kolonizację wiejską. Kolonista przybywał z ciężkim pługiem, lepszym sprzężajem, racjonalniejszą uprawą roli; lokator-sołtys sprowadzał kolonów, ci otrzymywali po łanie, on sam dwa lub trzy i inne wygody (winy z niższego sądownictwa, młyn i t. p.); rządzili się swojem prawem i sądem (wobec przedstawiciela księcia czy pana) i płacili po kilku lub kilkunastu latach «lgoty», «woli», gdy się zagospodarowali, czynsz roczny, wolni od wszelkich innych danin i służb, albo do minimalnych obowiązani; siedzieli osobiście wolni na tych gruntach czynszowych i mogli za wypowiedzią, postawiwszy na swoje miejsce innego kolona na tych samych zobowiązaniach, pana opuścić. Dodatnie skutki ekonomiczne były tak widoczne, że niebawem upraszali panowie księcia, aby im dozwalał ich wieś polską na prawo niemieckie przesadzać, na co książę dla podniesienia kultury krajowej rad zezwalał. Najsilniej rozlała się ta fala niemczyzny na Śląsku, szczególniej na dolnym i średnim, nie na górnym lesistym; na razie (w wieku XIII) docierała słabiej do Kujaw i Mazowsza. Gubiło się niewolnictwo dawne, bo przeważał typ gospodarstwa czynszowego i chłop polski wznosił się na wyżynę osobiście wolnego.

Ten silny napływ Niemców u dworu i w duchowieństwie, szczególniej po klasztorach, w dawnej wsi i nowem mieście, wywoływał pierwsze tarcia narodowościowe w najbardziej eksponowanych krajach, w Śląsku i Czechach. We Wrocławiu, gdzie książęta najpierw niemieckie przybierali imiona, rozeszli się synowie Henryka Brodatego; młodszy Henryk sprzyjał Niemcom, starszy Konrad Polakom i przyszło do jawnej między braćmi walki, rychła śmierć Konrada na polowaniu uchyliła dalszą. Fatalnie oddziałało, że właśnie kresy najdalej na zachód posunięte, np. ziemia lubuska, były i mało zaludnione i jeszcze mniej strzeżone; tu kolonizacja niemiecka wtargnęła masowo i Śląsk

dolny zalała. Rosły antagonizmy i z innych przyczyn, wciągnęły nawet duchowieństwo; książęta śląscy zwalczali przemoc biskupa wrocławskiego za przykładem niemieckim, zabierali dochody jego i dziesięciny nawet i przyszło do długoletniej walki, nie pierwszej zresztą, między biskupem Tomaszem a Henrykiem IV; po stronie biskupiej stanęli biskupi polscy, a na Śląsku duchowieństwo polskie, gdy niemieckie przy księciu się opowiadało, szczególniej franciszkanie śląscy, którzy właśnie w ośmiu klasztorach od prowincji polskiej się oderwali, a do saskiej przyłączyli. Ale nikt jeszcze nie uważał Śląska za niepolską ziemię; kronika śląska, przy końcu wieku rozpoczęta, tylko polską się nazywała, Henryk IV zdobywał później Kraków (mieszczanie krakowscy otworzyli mu bramy) i zabiegał w Rzymie o koronę polską, a nim przedwczesna śmierć wszelkie zabiegi udaremniła, zapisał Kraków Przemysłowi wielkopolskiemu.

Mimo tych uczuć polskich niemczyli się silnie książęta, a z nimi ich dwór. Synowie Włodzisława II, wygnańca, wyrośli w Niemczech; oni i ich synowie żenili się z Niemkami i sprowadzali z niemi Niemców; wprawdzie jeszcze najstarszy syn Henryka II, Bolesław Rogatka, śmieszył otoczenie dziwaczną niemczyzną, ale niebawem zjawił się Piast śląski między minnesingerami niemieckimi. Szedł za wzorem czeskich Przemysłów i Wacławów, którzy się przeciw niesfornym wielmożom czeskim na Niemcach opierali; Przemysł Otokar II prawił swoim Niemcom, że zaczerwienią się góry od krwi szlachty czeskiej (o to go pomawiano), a Niemcy prascy już wyczekiwali chwili, kiedy na moście praskim nie będzie widać Czecha. W Polsce Małej i Wielkiej jeszcze nie przychodziło do takich konfliktów, ale już budziła się czujność duchowieństwa i wielmożów. Duchowieństwo miało wszelakie przyczyny do niechęci: post niemiecki wobec polskiego był błazeństwem (weszło to później w przysłowie); kolonista Niemiec nie płacił dziesięciny snopowej, lecz w ziarnie albo w groszach; obsadzał szkółki i fary niemieckim

nauczycielem i duchownym; nie chciał płacić świętopiętrza z Polakami. Książę (Leszek Czarny) opierał się na mieszczanach krakowskich przeciw wielmożom i coraz jawniej sprzyjały miasta Piastom śląskim a najazdowi czeskiemu Wacława bynajmniej się nie oparły. Drobna szlachta zazdrościła mieszczuchom, wolnym od służby wojskowej, bronili tylko w razie potrzeby własnego miasta — wygód i dostatków. Tak rósł powoli antagonizm narodowy.

Żywioł niemiecki wkraczał od dwu stron; głównie od Łużyc i Niemiec (Turyngji, Saksonji) przez Śląsk, którego prawo średzkie *(ius novoforense)*, później *majdburgją* przezwane, stanowiło wzór nietylko dla Śląska; i od północy, od Prus krzyżackich, skąd prawo chełmińskie *(ius culmense)* na Pomorze i Wielkopolskę się szerzyło. Osobno działali górnicy Niemcy; z Czech i Węgier północnych, gdzie górnictwo wcześniej zakwitło, dostawali się do nas. W Wieliczce (Grossensalze) i w Bochni dobrali się do pokładów mineralnych, urządzili kopalnie i całe słownictwo górnicze, począwszy od *bergmistrza* (później *bachmistrza)*, *sztygarów*, *sztolni* i t. d. jawnie o tem świadczy; w Olkuszu kopalnie ołowiu i cyny oni eksploatowali dla księcia, jak terminy *olbora* olkuska *(Urbaere,* podatek), *firacyntle* (Vierachzentel) i t. d. dowodzą.

## ADMINISTRACJA KRAJOWA

Wedle pierwotnych urządzeń podlegał cały kraj, a później każda dzielnica, podziałom terytorjalnym, które umożliwiały kontrolę spełniania prawidłowego funkcyj państwowych (wojskowych, skarbowych, sądowniczych). Jednostką podziałową był gród i jego okręg, później kasztelanją przezwany. Gród i kasztelanja były własnością książęcia, który chyba biskupstwom jedno i drugie ustępował, na stałe, prywatnym osobom do czasu, wyjątkowo; terytorja kasztelanji były nierównej objętości, same

grody nierównego znaczenia, tak że z czasem niektóre ginęły; rzadziej powstawały nowe. Urządzenie grodów i władnących niemi żupanów-panów było odwieczne, nie od Chrobrego dopiero wyszło; funkcje ich z czasem się wahały. Najwcześniej może utracił kasztelan, zwany pierwotnie comesem, funkcje gospodarcze, zbierania opłat i danin, zarządzania majątkiem książęcym, w czem go włodarz-prokurator i przystaw zastąpił; dłużej utrzymał się jako naczelnik siły zbrojnej kasztelanji (on ją przed wojewodę prowadził) i sędzia karny w jej obrębie. Kasztelana mianował książę, wybierając go z zacnego rodu ziemskiego. Ustrój ten grodowy nie zależał od rodowego; grody stawiano wedle potrzeby, więc gęściej nad granicą, rzadziej we wnętrzu kraju; liczba i stałość załogi (posady) grodowej również od tego zależała; grody wyszły z prawieku, ale za przykładem i wzorem frankońskich komesów ustaliły się i rozszerzyły funkcje polskich «grododzirzców», chociaż do ścisłego ich rozgraniczenia (np. w sprawach sądownictwa) nie doszło.

Mniejszą jednostką terytorjalną było opole, obejmujące kilka do kilkadziesiąt wsi, nieraz spadające się nawet z okręgiem grodowym, który zazwyczaj kilka opoli obejmował; najwięcej widzimy ich w Wielkopolsce, gdzie się też najdłużej utrzymały; giną już z XIII wiekiem. Opola nie miały nic spólnego z rodem, nie wyszły bynajmniej z rozrośnięcia się jednego rodu, zostały narzucone przez państwo w celach administracyjnych. Najważniejszą ich funkcją, która wszelkie inne długo przetrwała, było rozstrzyganie sporów granicznych; jako osiedli znali, mianowicie starsi, te granice i ich świadczenie nabywało znaczenia prawnego; z urzędnikiem sądowym, dawniej z samym księciem obchodzili i znaczyli granice nasypami, w które kamienie z monogramem książęcym ustawiano, piętnowaniem drzew; w tej funkcji występowało opole stale i w wieku XV-tym. Opole było wyłącznie związkiem terytorjalnym, nazywało się po łacinie *vicinia, convicinitas* i t. p. Ustalanie granic nazywało

się ujazdem albo zajazdem, czasem nazwano je i wprost opolem: limitatio alias *opole;* odwrotnie i amicabilis vicinitas vulgariter *zajazd;* nazywano je też (głównie na Mazowszu) *osadą, parafją, starcami;* na Śląsku ocalało w nazwie miejscowej, Opole (ale tych było i w Małej Polsce i in. więcej), podobnie i Ujazd (por. Ujazdów pod Warszawą).

Jak opole-vicinia zabezpieczało granice, tak służyła druga jego funkcja bezpieczeństwu publicznemu i tem samem wykazała późniejszy, państwowy początek całej instytucji. Śmiertelny cios zadało jej prawo niemieckie, które nie znało solidarnej odpowiedzialności opolnej ani kar pieniężnych za przestępstwa wielkie. Już r. 1221 zastrzegał Henryk Brodaty wsiom klasztoru N. P. Marji we Wrocławiu: nie będą płacili głowy jak Polacy zwykli i nie ulegną sądowi za głowę zabitego, co się znajdzie w ich obrębie, chyba żeby to popełnił któryś z nich, który przed naszym sądem albo winy ujdzie albo jej podpadnie, gdy dalsi od winy pozostaną wolni. Opole bowiem odpowiadało solidarnie za zbrodnie, popełniane w jego obrębie; obowiązane było do «śladu», t. j. do pościgu za zbrodniarzem, złodziejem czy mordercą, od wsi do wsi, od rodu do rodu aż do jednostki, winnej zbrodni; gdy tej nie wykryło, samo płaciło winę czy główszczyznę. Było to bardzo prymitywnie urządzone, dowodzące słabości państwowej organizacji; powtarzało się u innych Słowian pod innemi nazwami, gdy nie umiano w inny sposób *miru* (spokoju publicznego) warować. Dla tego samego niedomagania państwowej organizacji narzucono wkońcu i daninę opolu, roczną, głównie sztukę bydła (krowy lub wołu), rzadziej inną (w miodzie i zbożu), którą opole na swych członków rozkładało. Opola nie można równać w żadnem przybliżeniu z grodem, i dlatego wysunęliśmy na czoło tę, dla państwa stosunkowo obojętną funkcję graniczną, która jedyna aż do XVI wieku przetrwała.

Najdawniejszą funkcją była owa druga, solidarności wobec

przestępstw, a z niej dopiero wyłoniła się i trzecia, solidarność wobec daniny. Nie uchodzi więc bynajmniej przedstawiać rzecz tak, jakoby daniny narzucano najpierw na cały szczep, później na opola, wkońcu na jednostki; takiej fazy przejściowej opole nigdy nie stanowiło; gdy raz opole dla zapewnienia miru wprowadzono, pomyślano w zapędzie fiskalności, czyby i z niego nie dało się co dla księcia wycisnąć, i tak dopiero, po wszystkich indywidualnych narzazach, niwnych i t. d., powstała kolektywna opłata. Gród miał kasztelana, opole nikogo nad sobą; laską opolną zwoływano w razie potrzeby opolników (przy ograniczeniu nieraz do dwunastu); z opola wyjmowano i zwalniano wsi i napróżno sarkało opole, że przez to większy na nie spada ciężar.

Mimo tych zastrzeżeń przesuwamy samo powstanie opola do bardzo dawnych czasów, choćby przedmieszkowych; ale późniejsze ono od organizacji grodowej, która je wywołała, aby sama lepiej mogła funkcjonować; one też najwcześniej zniknęły, gdy bezpieczeństwo wzrosło i nic nie zajęło ich miejsca, ani powiat sądowy, ani parafja kościelna (też *okłocią* zwana, por. rosyjski *okołotok)*; okazało się więc zupełnie zbytecznem, nigdy też nie wciągano do niego wsi niemieckiej. Było więc opole wcale nie organicznem kółkiem w administracji państwowej i stosunkowo rychło je też wyjęto.

## SĄDOWNICTWO

Sądownictwo krajowe, uszczuplone już w XIII wieku przez wyłamanie się kolonistów, rządzących się prawem niemieckiem (municypalnem, saskiem), jak i przez roszczenia duchowieństwa, które przed swoje forum sprawy małżeńskie i in. wywołało, a osoby duchowne z pod sądów świeckich do własnych pociągało, nie opuszczało na razie torów odwiecznych. Nie było spisane, więc pozostawiało wiele miejsca widzimisiu księcia, woje-

wody, kasztelana, sędziego nadwornego, który za księcia sądy sprawował. Ale mimo braku pisma formalizm był znaczny i już bywało nawet księciu trudno, słuszne żądania swoje czy Kościoła przepierać.

Jeszcze kwitły w całej pełni sądy boże, t. j. próby żelaza: oskarżony czynił bosą nogą trzy kroki po trzech lemieszach rozpalonych albo nosił w gołej ręce przez trzy kroki takie żelazo; potem zawijano stopy czy rękę i patrzono po dwu dniach, czy jest oparzelisko; dawniej dwaj księża towarzyszyli kroczącemu, później ich nie bywało więcej przy tem. Przy próbie wody wrzucano do wody związanego w nogach, czy wypłynie, czy pójdzie na dno; ale tę próbę rzadziej stosowano; z czasów pogańskich pozostał pojedynek sądowy na kije i miecze. Oskarżony oczyszczał się od zarzutu przysięgą swoich świadków; on ich wymieniał, powód przyjmował ich przez tak lub nie, lecz mógł ich jako najętych odrzucić, poczem przychodziło do pojedynku. Przysięgający kładł dwa palce prawej ręki na stopy krzyża.

Opłaty sądowe były ściśle unormowane; za pozew płacono komornikowi dwa feniki, jeśli w tej samej wsi pozwany mieszkał; jeśli dalej, to dostawał komornik strawne i obuwie, albo dwadzieścia feników; sześć feników pisarz, który świadków zapisywał; dwa, kto krzyża doglądał; winy sądowe mógł sędzia obniżać albo całkiem odpuszczać; przed sędzią winien pozwany odłożyć okrycie głowy i szyi i kij, w przeciwnym razie płacił winę zwaną trzysta, t. j. dawnych okruchów soli, płatną jak każda wina w ciągu dwu tygodni; starosta i włodarz zatrzymywali przed panem kij.

Główszczyzna była wedle stanu różna; zabójstwo cześnika (szlachty-urzędnika) płacono pięćdziesięcią grzywien, zwykłego rycerza trzydzieścią, chłopa sześcią; szlachty nie wolno było zakuwać w kłodę, chyba w łańcuch żelazny. Zabójstwo szlachcica na drodze wiejskiej opłacano pięćdziesięcią grzywien

«przyjaciołom» (rodowi), drugie pięćdziesiąt miru (księciu); trzydzieści za chłopa; winę trzysta płacił rycerz za uderzenie chłopa. Niewiasta zgwałcona w lesie lub na polu zyskała sześć grzywien, córka tylko winę trzysta, bo poco tam chodziła. Te i inne szczegóły zawdzięczamy spisowi niemieckiemu, ułożonemu przy końcu wieku dla sądów krzyżackich jako zwyczajowe prawo polskie.[1]

## WOJSKOWOŚĆ

O wojsku Mieszki i Chrobrego pouczają źródła obce; co Gall o niem prawi, nie zasługuje na uwzględnienie, a wiadomości arabskie z r. 971 to przesadne anegdoty komiwojażerskie. Przed Mieszką i Chrobrym nie odróżniała się wojskowość polska od lucickiej, obotryckiej, pomorskiej, to znaczy, nie liczyła obfitszej konnicy wcale, imponowała liczbą pieszych, wprawnością łuczników, męstwem osobistem, co zastępowało lichotę uzbrojenia pierwotnego i brak ćwiczenia, obrotów i szykowania. Tę siłę podnieśli Mieszka i Chrobry w ciągłych wyprawach i śród tych wypraw wyszkolili za wzorem obcym, czeskim i niemieckim, hufy celniejsze, lepiej uzbrojone i ćwiczone, właściwych wojów, górujących nad tłumem pospolitego rusze-

[1] Dawni i nowsi badacze, Hube, Kutrzeba, Rafacz i in. uznawali, że proces polski «rozwijał się swoiście, prawie bez oddziaływania wpływów obcych». Przeciw temu mniemaniu wystąpił Rafał Taubenschlag, *Proces polski XIII i XIV wieku,* Lwów 1927 *(Studja* itd. X, 3), z twierdzeniem, że wobec formalizmu procesu rodzimego przyjęto w Polsce postępowszy proces lombardzki (którego księgi kapituła krakowska r. 1110 istotnie posiadała). Autor porównywa wszelkie stadja procesowe tu i tam i stwierdza wielką ich zgodność, cytowanie przed sąd pisemne i ustne, rolę adwokata (rzecznika) i prokuratora (zastępcy) i in.; szczególnie polski proces o nieruchomości (w porównaniu z francuskim i czeskim), mniej formalistyczny, zdaje się, zgadza się z lombardzkim, na nim się opiera.

nia. Ale mówić o jakiejś podwójnej organizacji wojskowej, o jakiejś «drużynie», którą Mieszka własnym kosztem żywił i opatrywał, o trzech tysiącach, których jedna setka dziesięć setkom innego wojska wyrówna, niema najmniejszej przyczyny. Widzimy przecie, że do marnego boju z Wichmanem i Pomorzanami zaciągał Mieszka dwa hufy czeskie r. 967, którychby pewnie nie potrzebował, posiadając ową wyborową «drużynę»; że Nestor tego wyrazu używa, prawiąc o Chrobrym, nie dziw, bo Rusin ruskiego terminu użył.

Nie wiemy więc nic o żadnej osobliwszej drużynie Mieszki czy Chrobrego; wiemy, że zaciągali obcych, Czechów, Niemców, Węgrów, Pieczeniegów (z tymi się Chrobry nie ceremonjował, raz wszystkich wyrznąć kazał, r. 1013); że rozporządzali znacznemi siłami; że Chrobry, jak później Krzywousty, szybko przerzucał swe hufy; w r. 1017 walczył z Henrykiem II na Śląsku, ale spółcześnie na Morawach jego wojsko (morawskie) biło Bawarczyków, syn wtargnął z dziesięciu hufami do Czech i obłowił się znacznie a inne hufy oblęgały Białogórę na Łużycach i odprawiły krwawo Luciców, sprzymierzeńców Henrykowych. W lipcu następnego roku (1018) zwyciężył Jarosława nad Bugiem, mając w swojem wojsku 300 Niemców, 500 Węgrów, 1000 Pieczeniegów, a w połowie sierpnia wkroczył do Kijowa. Żelazna wola i ręka, osobista waleczność (jakiej nad Bugiem dokazał, porywając nią swoje hufy), wyniosły wojenną siłę na poziom, na którym jej syn i następca, mimo osobistych przymiotów, zdradzony w kraju przez braci, utrzymać nie zdołał.

Coraz widoczniej przesuwała się ta siła z pospolitego ruszenia, z tłumów chłopstwa, przedzierzgniętego w wojów, na nierównie mniej liczne, ale dobrane szyki rycerzy i ich pachołków; ich uzbrojenie było zachodnie; żelazo otaczało już doborowego rycerza Chrobrego; za Śmiałego mieli Polacy odrzucić niemal zupełnie pancerze; na drzwiach gnieźnieńskich widzimy żołnierzy bez pancerzy, tylko z szczytem (tarczą), mieczem

i włócznią, a nieco wcześniej miał się cesarz Henryk pod Głogową r. 1109 dziwić, jak Polacy na poły nadzy rzucali się z gołemi mieczami na szczytników, a ich szczytnicy na pancernych.

W XIII wieku zbliżało się uzbrojenie znowu zupełnie do zachodniego: szyszak zasłaniający twarz, tak że Mieszko Stary nad Mozgawą 1196 r. musiał go podnieść, aby nacierającemu nań dać się poznać jako książę; szyszak czy hełm bywał o różnych kształtach; pancerz bywał siatką drucianą albo grubym skórzanym kaftanem, albo łuską z drobnych blach, nabitych na skórze; okrywano go później lekką suknią; miecze, dawniej krótsze, były w XIII wieku dłuższe i grubsze; tarcze, niegdyś okrągłe, teraz trójkątne, były większe i mniejsze; dzidy, oszczepy, włócznie, sudlice, to nazwa jednej broni, krótszej i dłuższej; łucznicy stanowili zawsze szereg przedni, oni zaczynali walkę; obok lekkich łuków popłacały ciężkie kusze. Używano chorągwi, przy jednolitości uzbrojenia znak chorągiewny rozróżniał swoich od wrogów; rozlegały się okrzyki bojowe przy odgłosie bębnów i trąb.

Dla zbyt ogólnikowych zwrotów kronikarskich nie sposób podziałów (na pułki i niższe jednostki) przeprowadzić, ani ich liczb oznaczyć; co Gall o liczbie pancernych i szczytników za Chrobrego tylko z Poznania, Gniezna, Giecza i Włocławka podaje, jest jego wymysłem, aby dać pojęcie o sile zbrojnej młodego państwa, a kończy godną przesadą, że miał Chrobry niemal tyle wojów, ile teraźniejsza Polska wszego rodzaju ludzi!

Dzielność i siła Chrobrego objawiła się nierównie dokładniej w zeznaniach jego wroga Thietmara, który z niekłamanym żalem przewagi wojska polskiego, trapiącego uchodzącego nieprzyjaciela, trafność dyspozycyj Chrobrego, sprawność ich wykonywania przedstawił; lecz Thietmar boje na zachodzie nam skreślił, a przemilczał te, jakie Chrobry na północy i wschodzie wiódł — tylko ostatni kijowski pochód znowu opisał i nowy tryumf Chrobrego dołączył; widoczne też, że z Rusią nie unikał

Chrobry wstępnego boju, od którego się przeciw Niemcom uchylał. Najbardziej imponowała Thietmarowi bohaterska obrona Niemczy 1017 r., co wytrzymała trzytygodniowe oblężenie wielkiego wojska, wszelkim machinom oblężniczym przeciwstawiała własne, a cierpliwością i ofiarnością zwyciężyła; umiał widocznie Chrobry ducha swego wlewać i w poddanych.

Dopiero w czwartem pokoleniu znalazł się godny następca; Krzywousty szybkością ruchów, przytomnością umysłu, męstwem osobistem przypominał wielkiego pradziada, ale brak mu było przezorności Chrobrego, sam się nadto narażał, a rozporządzał już widocznie mniejszemi siłami; przy końcu panowania szczęście wojenne mu już wcale nie dopisywało.

Wojowniczości swej książęta podziałowi dokazywali przeważnie na własnych ziemiach, nie żachając się przed sprowadzaniem Prusów, Litwy, Rusi dla zemsty osobistej. Że się Tatarom nie obronili, toż i innych spotkało, ale że pozwalali bezkarnie Litwie plądrować aż do Sieradza i Łęczycy; że odbiegli ziemi lubuskiej w rękach niemieckich a lubelskiej w ruskich (pół wieku miał być Lublin ruskim, przechwalał się kronikarz); że dla obrony od Prusów gorszych jeszcze wrogów na Polskę sprowadzili, dowodziło ich krótkowidztwa i niemocy i nie powetowało tego jedno i drugie zwycięstwo nad Rusią czy Jaćwieżą; to ostatnie zresztą jedyne trwałe wydało wyniki, bo ziemię jaćwieską dla Mazurów i Polski (Podlasie) zdobyło. Sztuka wojenna postąpiła już znacznie, mianowicie przy oblężeniach posługiwano się taranami i wieżami, zob. niżej.

Masy, jakie Chrobry przeciw Niemcom mobilizował, dowodzą, że było to pospolite ruszenie, ale nie z pospolitem ruszeniem szedł Chrobry na Kijów. Brakło widocznie konnicy; jaką jej wagę przypisywano, dowodzi, że w XII wieku na Pomorzu o znaczeniu wielmoży liczba koni, z jaką do boju wyruszał, stanowiła. Ogółem przeważała w ruchawkach słowiańskich olbrzymio piechota; tylko dowódca oddziału bywał konny i poję-

cie rycerza zlewało się niemal z jeźdźcą; kto się nie mógł koniem popisać, odpadał od 'milites' w szeregi 'gregariów', prostych. Za dzielnic coraz mniej o pospolitem ruszeniu słychać; pod Zawichostem mieli Leszek Biały i Konrad r. 1205 ściągnąć i chłopstwo zbrojne; w bratobójczych walkach starczyło przyboczne, niby stałe wojsko książęce; ale już były osobne roty, pałacowe, książęca; rota wojewody, Skarbimira; arcybiskupia; roty, stawiane własnym kosztem z dóbr własnych.

## BITWY I OBLĘŻENIA

Z wydania sowieckiego «kroniki wołyńskiej» (w rękopisie hipackim) warto przytoczyć jeden i drugi obrazek z walk i oblężeń ówczesnych polskich, skoro własne źródła nie dopisały. Oto obraz oblężenia Sandomierza r. 1259 przez Tatarów:

«Obstąpili Tatarzy Sędomierz ze wszech stron i ogrodzili go naokół swoim grodem i postawili działa (maszyny oblężnicze, proki), a gdy działa biły bez ustanku dzień i noc i strzały nie dawały wyjść z palisad, bili się dni cztery. Na czwarty dzień zbili palisady z grodu i zaczęli Tatarzy przystawiać drabiny do grodu i tak poleźli na gród; najpierw wleźli dwaj Tatarzy do grodu z chorągwią i poszli po grodzie siekąc i bodąc, jeden po jednej, drugi po drugiej stronie. Jeden zaś z Lachów, nie bojarzyn ani z dobrego rodu, ale prosty sobie człowiek, ani w rynsztunku, za jednym płaszczem z sudlicą (dzidą), zasłoniwszy się rozpaczą jakby twardą tarczą, uczynił rzecz godną pamięci. Wybiegł przeciw Tatarowi, a gdy się z nim zbiegł, zabił Tatara, aż drugi Tatarzyn z tyłu nabiegł i tu ściął Lacha i ubity był Lach. Ludzie zaś, widząc Tatarów w grodzie, śpieszyli pobiec do dziecińca (właściwego zamku) i nie mogli się zmieścić w wrotach, bo most wrotny był wąski i dusili się sami a drudzy wpadali z mostka w rów jak snopie; rowy zaś były na widok bardzo głębokie i napełniły się trupami i można było chodzić po trupach jak po moście. Były zaś namioty (stany) w grodzie słomiane i same zajęły się od ognia, a potem i gród zaczął gorzeć. Był zaś w tym grodzie wielki kościół kamienny i bardzo dziwny, jaśniejący pięknością, bo był z białego kamienia wyciosany i był pełen ludzi. Ale wierzch jego był kryty drzewem, zajął się więc i zgorzał, a w nim niezliczone mnóstwo ludzi. Ledwie wybiegli żoł-

nierze z grodu. Nazajutrz opaci z księżmi i diakonami urządziwszy nabożeństwo (kliros) odśpiewali mszę i zaczęli się komunikować, najpierw sami, a potem szlachtę z żonami i dziećmi, wszyscy od małego do wielkiego i zaczęli się spowiadać, jedni przed opatami, drudzy przed księżmi i diakonami, bo było mnóstwo ludzi w grodzie. Potem wyszli z grodu z krzyżami, świecami, kadzielnicami i poszli szlachta i szlachcianki, ubrawszy się w szaty i odzież weselną, ale sługi szlacheccy niosły przed nimi ich dzieci i był wielki płacz i szlochanie; mężowie opłakiwali swe towarzyszki, matki swe dzieci, brat brata i nikt się nad nimi nie zżalił, bo się na nich skonał gniew Boży. I gdy z grodu wygnano, posadzili ich Tatarzy na błoniu wedle Wisły i siedzieli dwa dni na błoniu i poczęli ich wszystkich zabijać, płeć męską i żeńską i nie został nikt przy życiu».

A oto pogodniejszy obrazek. Latem r. 1228 pomogli ruscy książęta, Daniło i Wasilko Romanowice, Konradowi Mazowieckiemu przeciw Laskonogiemu:

«Szli (Daniło i Wasilko) ku Kaliszowi i przeszli ku Wieprzu wieczorem; nazajutrz przy świtaniu przeszli — inne oddziały — Prosnę i przyszli ku grodu i tej nocy był wielki deszcz i widząc, że niema przeciwników, puścili się wojować i łupić, dognała Ruś Milicza i Starogrodu i zajęła kilka wsi wrocławskich i zabrała wielkie łupy i wróciła i przyszła do obozu, dumając, jakby podejść ku grodu (Kaliszu) na bój, bo Lachy nie chcieli się bić. Rano zaś wzięli Daniło i Wasilko swoich wojów i poszli ku grodu. Konradowi podobał się bój ruski, i pobudzał swoich Lachów, oni jednak nie chcieli. Ci obaj przystąpili do bram kaliskich, a Mirosława i inne pułki posłali ztyłu grodu. Bo woda a gęste łozy i wierzbina obeszły gród. I sami nie wiedzieli, gdzie się kto bił, bo jak jedni od boju odstępowali, to drudzy nań nalegali i odwrotnie; dla tego niewidzenia nie dobyto grodu w ten dzień. Gdy zaś szły z palisad kamienie jak silny deszcz, stali oni w wodzie, aż stanęli na suszy na narzucanem kamieniu i zapalili most wzwodzony i żóraw (studnię); Lachy zaś ledwie ugasili wrota grodzkie. Gdy zaś Daniło i Wasilko obchodzili gród, strzelcy (ich) strzelali na gród i zraniono stoseśćdziesięciu ludzi stojących na palisadach. Gdy nastał wieczór, wrócili się do swego obozu. Stanisław Mikulicz rzekł: gdzie my stali, tu nie było ani wody ani wysokiej grobli. Daniło zaś siadł na koń i pojechał sam na oglądanie grodu i widział, że tak i jest. Przyjechał zaś Daniel do Konrada i rzekł mu: gdybyśmy zpoczątku wiedzieli o tem miejscu, byłby gród wzięty. Na prośby Konradowe, aby jutro znowu pod gród przystąpili, uczynili to obaj nazajutrz, posłali ludzi swoich. Gdy oni stali

i trzebili lasy około grodu, grodzianie ani kamieniem na nich rzucić nie śmieli i prosili, żeby Konrad ku nim posłał Pakosława i Mściwoja. Rzekł Pakosław do Daniły: odmień odzież i pojedź z nami. Daniło nie chciał, ale brat (Konrad?) mu rzekł: idź i słysz ich wiece, bo Konrad nie dowierzał Mściwojowi. Włożył Daniło helm Pakosława na siebie i stał za nimi. Stali zaś ludzie na palisadach i mówili im: powiedźcie tak wielkiemu księciu Konradowi, czyż ten gród nie twój? My zaś w tym grodzie osłabli. Czyśmy w władzy innego? aleśmy twoi ludzie i waszą bracią jesteśmy. Czemu się nad nami nie zżalicie? Jeśli nas Ruś złupi, to jakąż sławę zdobędzie Konrad? Jeśli ruska chorągiew stanie na palisadach, to komuż cześć uczynisz? czy nie obu Romanowicom a własną cześć uniżysz. Dziś służymy twemu bratu (Laskonogiemu) a jutro będziemy twoi. Nie użycz Rusi sławy i nie zniszcz grodu tego. I inne słowa mówili wiele. Rzekł zaś Pakosław: Konrad radby wam miłość okazał, ale Daniło bardzo się zaciął i nie chce od nas odejść, nie wziąwszy grodu. I rozśmiał się i rzekł: oto i sam tu stoi i mówcie z nim. Książę zaś tknął go oszczepem i zdjął helm z siebie. Oni zaś zawołali z grodu: weźmij służbę naszą, prosimy. On zaś śmiał się wiele i wiele z nimi rokował i wziął od nich dwu mężów i przyjechał do Konrada i uczynił pokój z nimi Konrad i wziął zakładników, bo Ruś pojmała wiele czeladzi i pań i uczynili klątwę między sobą Ruś i Lachy, jeśli na potem będą jakie niesnaski między nimi, nie wojować Lachom ruskiej czeladzi ani Rusi ladzkiej. Potem wrócili (Romanowice) od Konrada z wielką czcią do domu... bo nie wchodził inny książę tak głęboko do ladzkiej ziemi oprócz Włodzimierza Wielkiego, co Ruś ochrzcił».

W bojach śląskich pomagali Daniło i Polacy Węgrom przeciw Czechom r. 1254:

Daniło z synem Lwem i posiłkami od brata Wasilka, z Jurjem tysiackim, zszedł się z Bolesławem (żona jego «Kińka» jako córka króla węgierskiego pomagała Daniłowi, bo Bolesław nie chciał brać udziału) i wyruszył z Krakowa. «Przyszli na Odrę ku Koźlemu i przyjechał do nich Włodzisław. I zebrawszy jazdę i piechotę przyszli do rzeki Psiny i radzili Daniło z Lwem i Włodzisławem, kędyby wojować, ale Włodzisław nie rzekł prawdy i dał im przewodników chytrze. I posłał Daniło Lwa, Tewciwiła, Jedywiła i dworskiego i wszystkich wojów, a sam został w małej liczbie z starszymi bojarami i tysiackim Jurym. Lew zaś poszedł i wojował i widział, że przewodnicy łżą, i nie słuchał ich i poszedł w góry i lasy i wziął wielką zdobycz. Daniło zaś szedł z Bolesławem ku Opawie i wysłał jako straż (przednią) swoich Polaków, ale Andrzej z Czechami wyjechał z Opawy i gdy bój zwarli, zwyciężył Andrzej, bo Polaków było

mało, jednych pobił a drugich pojmał. I opadł wielki strach Polaków. Nadjechał Daniło i rzekł im: Czego się strachacie? Nie wiecież, że niema wojny bez upadłych i martwych? Trafiliście przecież na wojowników, nie na baby; jeśli mężczyzna w walce padnie, cóż za dziw? inni i w domu umierają bez sławy... i temi słowy pokrzepił ich i poszedł ku Opawie i widział, że wsi okoliczne wielkiem mnóstwem uciekają do grodu i nie mógł nikogo wysłać i rzekł Włodzisławowi: mnieś uczynił krzywdę a siebieś zgubił; bo gdyby Lew i wszyscy moi ludzie tu byli, to wzięlibyśmy chyba gród. I popędzał Polaków ku grodowi, ale ci nie chcieli; widząc to ubolewał, nie wiedząc, gdzie syn i ludzie, a Polacy stali daleko od grodu. Daniło zaś rzekł: jeśli wy chcecie iść precz, ja chcę tu zostać sam z małą moją drużyną i oczekiwać moich ludzi. I posłuchali Bolesław i Polacy i stanęli poniżej grodu na rzece Opawie, nie śmiejąc się oddalić od Daniła. Tego wieczoru przyszedł Lew z ludem swoim i znaczną zdobyczą i uradzili, że nazajutrz przejdą rzekę i obejdą gród i popalą całą okolicę; tak też nazajutrz zdziałali. Ale Bolesław nie wyszedł za rzekę, lecz stał na górach w szyku bojowym; Włodzisław zaś poszedł (na gród) i przyszedł ku pierwszym wrotom i spalił je i przyszedł na drugie i wyjechali Czesi i kilku z nich zabili a innych spędzili; Benesz zaś stał przed wrotami z chorągwią. I około drugich wrót popalili okolicę, a gdy ku trzecim przyszli, kazał Daniło zsiąść z koni i palić okolicę. Gdy się zaś puścili ku grodu, uciekli Niemcy, widząc silny napór ruski i kilku z nich zabito w wrotach i nie zamknęli wrot, ale Daniło chory na oczy nie widział co było u wrot i dlatego nie wziął grodu i strudzony rzekł synowi: popal całą okolicę, a ja wrócę do obozu, bo słabował przez cały pochód na oczy i wielu namawiało go do odwrotu, ale on tego nie uczynił. Nazajutrz poszedł w górę Opawy, plądrując i paląc i stanął przy Nasilu, gdzie byli jeńcy, Polacy i Ruś. Nazajutrz wyruszył przeciw niemu w szyku bojowym, a oni widząc silny napór pułków nie wytrzymali, poddali się; on wziął gród, jeńców wypuścił a chorągiew swoją zatknął na grodzie, ujawnił zwycięstwo a ich pomiłował. Odszedłszy stanął obozem we wsi niemieckiej, a gdy usłyszał, że Benesz pojechał ku Głupczycom, poszedł nazajutrz w szyku wojennym z Bolesławem, plądrując i paląc ku Głupczycom; Włodzisław zaś wysłał ludzi i popalił całą okolicę i źle uczynił, bo dlatego nie mogli wziąć grodu: gdy bowiem Daniło z Bolesławem przyszli ku grodu, chcieli woi wszyscy wziąć gród przymiotem, bo wiatr wiał silnie na gród a gród był z jedliny. Małą groblę widząc szukali woi tam i sam drzewa i słomy, aby je grodu przyrzucić, i nie znaleźli niczego, bo Włodzisław wszystkie wsi okoliczne popalił, i dlatego grodu nie wzięto.

Wieczorem radzili, dokąd pójdziemy, na Osobłogę, albo na Herburta, albo wrócimy do domu? Herburt zaś przysłał Daniłowi miecz i ukorzenie swoje; Daniło zaś z Bolesławem widząc, że całą ziemię splądrowali, wrócili do siebie».

Cóż za dziw, że dla takich walk ziemie niszczały i drogi do kolonizacji obcymi się podawały.

Ruskie obrazki możnaby Gallowemi uzupełniać, ale Gallowie odnoszą się przeważnie do zagranicznych, czeskich i pomorskich wypraw, a co wiele gorzej, są literackiemi kompozycjami, *dictamina* i w powodzi słów giną szczegóły realne. Przytoczymy jednak opowiadanie o zdobyciu grodu pomorskiego, jakiem Gall kronikę zakończył:

«Gdy Polacy przygotowali narzędzia i machiny oblężnicze, Pomorzanie urządzili również narzędzia wszelakiej obrony. Polacy równają doły, gromadzą ziemię i drwa, aby łatwiej i gładziej pod gród z drewnianemi wieżami podstąpili; przeciwnie przygotowują Pomorzanie tłuszcz i drwa smolne, aby niemi zczasem owę gromadę spalili. Trzykrotnie bowiem grodzianie schodząc tajnie z murów, wszelkie przyrządy spalili, a trzykrotnie je znowu Polacy zbudowali. Tak blisko bowiem grodu stały wieże drewniane Bolesławowe, że grodzianie z swoich blanków bronią i ogniem z nimi walczyli. Kiedykolwiek Polacy na gród bronią, ogniem, kamieniami dostatecznie nacierali, grodzianie również na wszelki sposób przeciwnie walczyli. Wielu Polaków grodzianie strzałami i kamieniami ranili, grodzian znowu Polacy codzień kilku zabijali».

Dalej już tylko zwykłe ogólniki, o tem że pogani śmierć nad hańbę wybierali, aż się przekonali, że w braku Świętopełkowej odsieczy losowi swemu nie ujdą, i gród zdawszy swobodnie wyszli (na tem urywa się nagle dziełko Gallowe, niedokończone tak samo, jak kronika Wincentego).

Cały wiek trzynasty, to nieprzerwany łańcuch walk i najazdów, bratobójczych i obcych, więc nie nadużyję cierpliwości czytelnika, jeśli i ze wschodniego teatru wojen przytoczę z tego samego źródła parę obrazków; Kujawy, Mazowsze, Małopolska cierpiały od nieustannych najazdów Prusów, Jaćwieży, Litwy i chętnie im odpłacały; tak było i r. 1254:

(Namówili Daniło i Wasylko Ziemowita mazowieckiego do najścia Jaćwieży; otrzymali posiłki od Bolesława małopolskiego, wojewodę Sąda i Signiewa; zeszli się w Drohiczynie i przeszli błota i napadli ziemię jaćwieską). «Polacy nie wytrzymali, zapalili wieś pierwszą, ale zdziałali źle, bo dali przez to znamię Jaćwieży i gniewali się o to na nich Daniło i Wasylko. I do wieczora wojowali z Jaćwieżą i wielką zdobycz wzięli. Wieczorem przyjechali Złyńcy i skupiła się cała Jaćwież i przysłali do Daniła Nebiasta: zostaw nam Polaków a sam wyjdź spokojnie z ziemi naszej. Ale woli swojej nie uzyskali. Polacy ostrożyli (obwarowali) się i napadła na nich Jaćwież nocą, ale Ruś nie ostrożyła się. Polacy bili się dzielnie i ciskali sudlicami (spisami), a głownie jak błyskawice leciały a kamienie jak deszcze z nieba i ciężko Polacy cierpieli, więc posłał Ziemowit: przyszlijcie nam strzelców (łuczników), ale obaj bracia gniewali się za poprzednie podpalenie i ledwie posłali, bo już miała Jaćwież ostróg (polski) przełamać, wręcz się bodąc. Gdy strzelcy nadeszli, poranili i umorzyli wielu strzałami i odbili ich od ostrogu, ale tej nocy nie było spokoju od Jaćwieży. Nazajutrz skupiła się cała Jaćwież, piechota i jazda, bardzo liczni, że się ich lasy nimi napełniły, a powstawszy zapalili swoje namioty. W niedzielę ruszył Daniło naprzód z Polakami Bolesławowymi a Wasylko został z Ziemowitem, Łazarz zaś pozostał w rezerwie z Połowcami. Napadła nań silnie Jaćwież i wzięła chorągiew jego. I przybiegł on do Wasylka i Ziemowita i była silna walka i wielu z obu stron padało. Posłał zaś Wasylko do brata: walka silna, pośpiesz do nas! I wrócił Daniło i pognali Jaćwież do lasu, ale ci przecież na nich nacierali nad Narwią. I rzekł Jaszczołt (Jaćwież): dobrze nam siedzieć; jeśli zaś nas żałujecie, to wpierw żżalcie się nad sobą i nad waszą bezcześcią, bo naszemi głowami wam cześć swoją odzierżeć. Tak się też stało. I rozkazał Daniło wojom swoim zsiąść z koni i zmiękło serce Jaćwieży, gdy ujrzała dzielność ruską i polską. Ci zaś szli, plądrując i paląc jej ziemię, i przeszli rzekę Łek i chcieli postać w cieśninie, ale ujrzawszy to zawołał Daniło: o mężowie wojenni, nie wiecież, że dla chrześcijan twierdzą jest równina, dla pogan zaś ciasnota i chaszcze są ich obyczajem wojennym. I przeszedł rzekę i stanął na równinie obozem. Gdy Jaćwież ich napastowała, popędzili ją Ruś i Polacy i ubito wielu książąt jaćwieskich i spędzili ich do rzeki Łka i walka ustała. Nazajutrz, gdy przewodnicy nie wiedzieli (drogi) i błądzili, zabito dwu Warmów (Prusów), a trzeciego żywego jęto rękami i przywiedziono do księcia Daniła, który rzekł: wyprowadź mnie na dobrą drogę i życie otrzymasz i dał mu rękę; wywiódł go i przeszli rzekę Łek. Gdy nazajutrz przygnali

(do Jaćwieży) Prusowie i Borty, zsiedli (naszy) woi wszyscy i pieszy z obozu uzbroili się; tarcze ich jak zorza były, hełmy jako słońce wschodzące, włócznie zaś dzierżyli w rękach jako gęste sitowie; strzelcy szli po obu stronach i trzymali w rękach swoje rogi (rożance) i nałożyli na nie strzały przeciw wojsku, Daniło zaś z konia szykował wojów. I rzekli Prusowie Jaćwieży: czy możecie włóczniami drzewo podtrzymać i kusić się o takie wojsko? Oni to widzieli i wrócili do ojczyzny. Stąd przyszedł Daniło ku Wiznie i przeszedł Narew i uwolnił wielu chrześcijan z jęctwa i pieśń sławną śpiewano im obum».

(R. 1258 poszedł Daniło z bratem w wielkiej liczbie przeciw Wozniaglu, wysłał naprzód syna swego Szwarna, aby gród objechał, aby nikt z grodu nie uszedł a miał on 500 wojów). «Mieszczanie widząc mało ludzi z księciem śmiali się, stojąc na grodzie. Nazajutrz zaś przyszedł Daniło z mnóstwem pułków, z bratem i synem Lwem. Gdy to mieszczanie ujrzeli, napadł ich strach i nie wytrzymali i poddali się, a on zapalił gród a ludzi wywiódł i dał ich na podział, to bratu, to Lwowi, to Szwarnowi i wrócił do siebie, wziąwszy gród. Gdy zaś Roman i (sprzymierzona z nimi) Litwa ku grodu przyszli, pobiegła Litwa na gród, ale nic nie ujrzała, oprócz głowni i psów, po grodzisku się uwijających. Smucili się i plwali, wołając po swojemu *janda* (t. j. *ganda* 'bieda, nieszczęście'), wzywając bogów swoich, Jandaja i Diwiriksa... i namyśliwszy się wojowali gniewni około Łucka, a słudzy książąt (ruskich), bez ich wiedzy, Ołeksa dworski i in. napadli na nich i gdy jeźdźcy natarli, nie wytrzymała Litwa i uciekła; oni zaś siekąc i bodąc wegnali ich w jezioro i dziesięć mężów trzymało się jednego konia, niby on ich wyniesie i tak topili się, gdy anioł boży ich zatapiał, i nagrzęzło jezioro od trupów i szczytów i hełmów a tuziemcy odnieśli wielką zdobycz, ich wywlekając i odniosła Litwa wielką porażkę, a oni posłali sajgat (łupy) Daniłowi i Wasylkowi, a ci cieszyli się; byli to ludzie Mindowga; wojewoda Szyrwid uciekł; drugi wojewoda, Chwał, co silnie ziemię czernigowską trapił, i wielu innych poległo».

Oto znów obrazek z oblężenia Krakowa, r. 1289 i 1290; Henryk wrocławski opuścił Kraków, zostawiwszy na zamku załogę, bogato ją opatrzywszy, przywiódł był swoich Niemców ku przysiędze, że zamku nie wydadzą, na co oni: możemy i głowy nasze za ciebie złożyć a zamku nie wydamy. Darmo oblegali książęta mazowieccy zamek a miejscowi nie ujęli się za nimi, bo «kto siędzie panować w Krakowie, to nasz książę». I przyjechał

im na pomoc Lew włodzimierski i uradowali się książęta bardzo z jego przybycia:

«I zaczął Lew jeździć około grodu, czyby go nie mógł gdzie siłą wziąć, grożąc grodzianom. I nigdzie nie było można, bo cały był zbudowany z kamienia i wielkie jego ubezpieczenie przez maszyny (proki) i samostrzały kołowrotne małe i wielkie. Zjechał potem w swój obóz, a nazajutrz wstawszy przy wschodzie słońca poszedł na Tyniec i bili się pod nim silnie, mało grodu nie wzięli, wielu grodzian było zabitych a inni poranieni, swoi zaś wszyscy zdrowi. I przyszedł Lew znowu pod Kraków i kazał wojsku swemu gotować się, chcąc pójść bić się ku grodu, i Lachom to samo rozkazał. I poszli wszyscy i poleźli ku palisadom i bili się silnie z obu stron. I wtedy przyszła wieść księciu Lwowi, że idzie nań wielkie wojsko. I kazał przestać boju i począł ustrajać swoje pułki, a Bolesław i Kondrat swoje. I posłał stróże na oglądanie wojska i nie było niczego, tylko ladzcy wojewodowie sami straszyli, aby nie wziąć grodu. I dojrzał Lew ich zdrady (i splądrował ziemię wrocławską i ugodził się z Wacławem czeskim a u Krakowa nic nie zdziałał)».

R. 1287 rzekli Lublinianie nie wpuszczając Konrada do siebie: «Głowa nasza Kraków, tam i wojewodowie nasi i bojarze wielcy. Zaczniesz w Krakowie panować, wtedy my twoi gotowi».

## PRZEMYSŁ

Wzrostu przemysłu i rękodzieł dowodziły coraz liczniejsze targi (monopol, żupa książęca), i już baczono, żeby założeniem zbyt bliskiego nowego, np. w Trzebnicy, nie uszczuplano dochodów dawniejszego. Wyróżniały się z przemysłów wyrób miodu (i wosku) i soli. Pszczelarstwo nie kwitło nigdzie tak jak u nas; olbrzymie bory, i lipą gęsto podszyte i wonnemi ziołami, sprzyjały mu niepomiernie i niebawem wydzielały się całe osady bartników po puszczach książęcych, mazowieckich i innych. Bartnicy-drzewołazy tworzyli osobne gminy z osobną organizacją i zwyczajami, prawnemi i sądowemi, o których wiemy dokładnie dopiero z źródeł XVI i XVII wieku, ale przy nadzwyczajnym konserwatyźmie właśnie tego przemysłu możemy ich zaczątki śmiało do tego perjodu odnosić, tem bardziej, że na

dochody bartnie książęce, na owe *urna mellis* (rączkę miodu), co krok po dokumentach trafiamy; nawet wyraz *dań*, niegdyś całkiem ogólnikowy, wkońcu do dani miodowej ograniczano.

Barć, słowo prasłowiańskie, t. j. 'wydłubanie' (nie mające żadnego związku z *bartą*-toporem niemieckiego początku), była wydziałaną *(dzianą* w dawnym języku) dziuplą w drzewie, zazwyczaj w wysokiej, starszej nad sto lat sośnie (rzadziej nierównie w dębie) dla pszczół, które w dzikim stanie w naturalnych dziuplach, wypróchniałościach starych drzew się gnieździły; potem nazywano barcią drzewo samo; wydrążał barci *pieśnią* niby dłótem i wygładzał *bartą*-toporem bartnik w borach, na które rozdzielano puszcze, i z tych borów i barci opłacał czynsz roczny w miodzie lub groszami; przy domie *mellificia-ule* zakładano, ścinając i piłując stare drzewa i wyrabiając w kłodzie gniazdo dla roju. W drzewie żłobiono barć na kilka sążni nad ziemią, długą na kilka stóp, wąską w otworze, szeroką wewnątrz; każdy bartnik miał swoje *ciosno,* znamię, niby herb, bardzo nieraz podobny, identyczny, z strzałami, kółkami, gwiazdkami herbów szlacheckich.

Nad bartnikami bywał starosta bartniczy, wolny od daniny, biorący udział w opłatach i winach sądu bartnego, a wybierający przy «nastawie» (dani miodowej) albo «kiści» z każdej «rączki» (obejmującej nad dziesięć garnców) garści miodu. W borze gospodarował bartnik, więc wdowy i córki spłacano, jak i braci młodszych, więcej nad dwuch. Zczasem wyrobiło się osobne prawo bartne, z bardzo surowemi przepisami; złodzieja, wydzierającego pszczoły z barci, schwyconego na gorącym uczynku, wieszano; pruto brzuch i wnętrznościami opasywano drzewo.

Czynsz wynosił dwadzieścia «urna mellis»; miodem i woskiem opłacano nieraz winy sądowe, a w sądzie duchownym skazywano winnego coraz na plastry albo świece woskowe dla potrzeb kościelnych. Olbrzymie ilości miodu, ulubionego napoju,

starczącego wybornie za domowe kwaśne i przywoźne obce wino, spotrzebowano rocznie; miodem słodzono też potrawy, bo cukru nie używano.

Główną pracę odbywał bartnik dwukrotnie, na wiosnę, oczyszczając («podmiatając») barci, wybierając susę (puste plastry), osadzając nowe roje; i na jesień, na miodobranie i łaźbienie, t. j. sporządzanie barci na zimę; *leziwem* (powrozami z wąską ławeczką) dostawał się na drzewo po strzemionach i wybierał plastry, ugniatane drewnianą maczugą w beczce. Należało zabezpieczać barci przed dzięciołem i żołną, wybierającemi pszczoły, a przed niedźwiedziem, dobierającym się do miodu, zawieszając samobitnię nad barcią, co niedźwiedziowi dostępu broniła. Ule stawiano i na *odrach* lub staniach, pomostach, które je od myszy i wilgoci chroniły.

Najdawniejsze zbiory ustaw krajowych uwzględniały stale i drzewa dziane, *dzienie,* gdy prawodawstwo rusko-litewskie osobnych praw bartnych nie znało; zczasem wyrobiła się ścisła organizacja, szczególniej w puszczach mazowieckich, np. *contubernium* bartników w Broku mazowieckim; «bór» obejmował wtedy sześćdziesiąt barci, a były i pół- i ćwierćbory. Popyt na wosk dla kościołów i dla świec po dworach pańskich był olbrzymi; Niemcom nie starczyło własnego i dowozili go z Polski. W borach istniały i dzikie pszczoły i zwano ich ule *świepiotem.* Pszczołom samym wszelką cześć wyrządzano; boża to trzódka.

Już Prasłowianie dobywali soli przez odparowywanie z solanek: wodę słoną lali w płaskie naczynia, pierwotnie z gliny ulepione, później żelazne, zwane *trzanami,* pod któremi rozpalano ogień; sól osiadłą po odparowaniu zmiatano w okruchach, *kruszach* i rozwożono na sprzedaż; służyły one i za drobną monetę; najpospolitszą winę sądową w Polsce liczono na trzysta kruszów i ta nazwa *trzysta* jej pozostała, nawet gdy już nie używano samych kruszów. Do połowy XIII wieku nie znano

w Polsce soli kamiennej; dobywano soli tylko warzonej w mniejszych trzanach i większych panwiach, już żelaznych; gdzie okno-studnia solanki było głębsze, wydobywano z niej solankę w *bułgach,* worach zszytych ze dwu skór wołowych (jeszcze w psałterzu używają tego wyrazu), wyciąganych później kieratem przez konie czy ludzi. Sól jako produkt ziemny była monopolem książęcym, więc książę pozwalał na korzystanie z solanek i nadawał niemi w XII wieku kościoły i klasztory.[1]

Póki tylko z solanek sól warzono, nie starczyło jej nieraz i sól z warzelni ruskich pod Przemyślem i Drohobyczem rozwożono na Sandomierz po Polsce, więc około r. 1176 nadał Kazimierz cystersom sulejowskim rocznie «całych trzynaście wozów soli, jak je z Rusi prowadzą, na cle sandomierskiem»; to znowu

[1] W bulli gnieźnieńskiej z r. 1136 (o uposażeniu arcybiskupiem) czytamy o «soli arcybiskupiej pod Krakowem, zwanej Babicą», trzemeszeńscy augustyni otrzymali r. 1145 «capam» (ilość pewna soli) w Krakowie *ad Magnum Salem,* t. j. u Wieliczki (najdawniejsza jej wzmianka; Wieliczka, to rzeczownik urobiony od *wielika sól,* jak ją w przeciwieństwie do *Parvum Sal,* t. j. Bochni nazywano); Mieszka Stary darował cystersom w Lądzie wieś Wrąbczyn *cum sale* (z oknem słonem) około r. 1173. Mikora r. 1198 bożogrobcom miechowskim trzy solanki: *sal de Bochegna* (Bochnia) i in. Książę obdarzał urzędników swoich solankami; ludzi, którzy surowicę do «wieży», w której trzany i panwie stały, dostawiali i tam ją warzyli, zwano *solnikami;* r. 1244 darował cystersom mogilskim scholastyk krakowski solankę «Moristras» pod Wieliczką koło Marcinowa; Odonic, potwierdzając cystersom lądzkim Wrąbczyn r. 1236, dodał im «rzekę, las i łąki, co należały kasztelanowi, łowczemu i solnikom»; akty wspominają gleby (grudy) soli, należące koniuszemu książęcemu 1243; benedyktynkom ze Staniątek dał Bolesław r. 1254 «jeden trzan z pecyną (grudkami osiadłej soli) w Bochni tak, że codziennie z naszej solanki siedm ton do tego trzanu dowozić im mają». R. 1278 nadał Bolesław kościołowi w Bochni trzan z wieżą i przynależnościami w dziedziczne posiadanie na wieki, tak że proboszczowi i jego ludziom wolno będzie z byle jakiej szachty bocheńskiej surowicę *(Forzalach,* termin niemiecki, jak szachta) dostateczną dla swej panwi wybierać i sól tamże wywarzoną swobodnie bez sprzeciwiania się żupników sprzedawać».

«z każdego wozu soli 50 'głów soli' księciu (Kazimierzowi), a 12 bożogrobcom miechowskim należeć będą». Sól mierzono zwykle na korce lub niecki, zwane *korytami;* używanie soli ruskiej wyraziło się w kilku terminach, zapożyczonych z ruszczyzny, np. *topka* soli (główka) albo *prasoł* dla handlującego solą. Mińcarze książęcy na targu mogli przez ten czas i sami sól sprzedawać, »nie dając pomiotu», t. j. szkody (zobacz wyżej) rzemieślnikom, sprzedającym swoje towary (wedle dokumentu dla Trzebnicy 1203 r.).

Pierwszą wzmiankę o soli kamiennej uczynił Bolesław Wstydliwy, nadając kościołowi bocheńskiemu w razie niedostarczenia surowicy od żupników za to tygodniowo grzywnę srebra i «dobry bałwan soli»; na r. 1251 kładzie Długosz legendę o księżniczce Kindze i wynalezieniu soli kamiennej w Bochni; nie darmoż o węgierskiej księżniczce wspomniano. Mimo kamiennej soli utrzymywano dawne warzelnie i nadal, ale one traciły coraz na znaczeniu (wobec kosztów produkcji, szczególniej drożyzny opału) i wysychały, np. w Sidziniu już w XIV wieku, a miały tam trzy klasztory swoje solanki; z początkiem XVIII wieku warzelnie upadły. Warzelnie soli, to chyba najdawniejszy przemysł słowiański, a raczej polski, rozmiary domowego rękodzieła dawno wyminął, jak samo słownictwo, wskazujące osobliwsze naczynia (trzany, koryta) i domostwa (wieże), dowodzi.

Nazwa żup solnych nic niema spólnego z pojęciem dołu i t. p., o czem nieraz bajano. Żupą nazywa się tylko dochód z monopolu książęcego, jakiego on tam rodzaju; niema żadnych żup rolnych, pasterskich i t. p., boć na to monopolów nie było, zato są sądowe tak jak solne, karczemne tak jak targowe, bo stanowiły monopol książęcy; dla niego wybierano winy sądowe (których on mógł innym udzielać) tak jak dochód z soli czy z karczmy; żupiec w sądzie albo żupnik w kopalni od tego nazwani, gdy pierwotna żupana nazwa na kasztelanie zawisła; że zczasem znaczenie żupy na kopalnie zeszło, toć podobne ogra-

niczenia nic rzadkiego; tylkoż nigdy nie było podziału kraju na jakieś żupy-powiaty, w co dziś u Czechów i u nas jeszcze wierzą.

I rękodzieła wszelakie przekraczały dawne wąskie szranki domowe; najstarszem było kowalskie, ale już i szwiec i krawiec swoje wykonywali, bo w domu tkano i przędzono, ale chyba do krawca i szewca oddawano materję i skórę, aby z nich wykrawali suknie, futra, obuwie; o roli szewca Skuby wspominaliśmy wyżej. Kowal był i ślusarzem i dentystą; szewc i krawcem, aż cechy miejskie przeprowadziły ścisłe rozgraniczenie rzemiosł; balwierz był i łaziebnikiem i lekarzem-chirurgiem; lekarzem bywał i «pastucha», znający się na ziołach, wałaszący bydło (woły, skopy, konie) wyrzezaniem czy otłukiwaniem, chociaż to rzemiosło, jak z nazwy wynika, później na Wałachów, wołoskich pastuchów, spadło; termin pierwotny był *kleszczenie* (kleszczeniec, eunuch).

Kwitło w tym czasie już i młynarstwo. Nie znali Słowianie, jak Niemcy, młynów ani wodnych ani wietrznych (wiatraków); mełły ziarna kobiety w żarnach; dwa kamienie pierwotnie, jeden mniejszy, którym rozcierano ziarna na większym, miskowym, ręką; później mielakiem, drążkiem wprawionym w górny kamień go obracano, jak do dziś u ludu widzimy. Ale mąka była gruba; nierównie cieńszej dostarczały młyny wodne, poświadczone u nas już od XII wieku: nadają je klasztorom, pozwalają wójtom i sołtysom je stawiać; nazwa dowodzi pożyczki czy z łac. *molinum (o* ginie jak w *kmieć, kmotra),* czy z włoskiego *mulino;* przypisują wręcz benedyktynom, że z Włoch do nas młynarstwo przenieśli. Na żarnach mełło się bardzo powoli i grubo; młynarza nie opłacano groszem, lecz odbierał miarkę zboża (później trzecinę). I to rzemiosło bywało dziedziczne, a młynarz sam, czy dzierżawca czy właściciel, zażywał znacznej powagi, bo zachodziła do niego cała okolica. Obok żaren i młynów istniały dalej stępy, w których otłukiwano jęcz-

mień na pęcak, t. j. na kaszę jęczmienną, a przerabiano proso na jagły, ręczna (pałką) i późniejsza, nożna (stęporem); w żadnej chałupie nie brakowało żarn ani stępy, ale to tylko domowy przemysł.

Najbardziej upośledzony był przemysł winny, obcy i późny; wymagał go Kościół, chociaż winnic, jak nazwy miejscowe świadczą (jest u nas razem kilkanaście Winiar, Winników i Winniczek), nie brakowało. Jedną z najdawniejszych wzmianek zawiera dokument Kazimierza Sprawiedliwego z r. 1173, potwierdzający dawniejsze nadanie księcia Henryka dla Joannitów w Zagościu 1166 r., gdzie mowa o «unus vinearius *romanus* nomine Barbec», i w dokumencie trzebnickim z r. 1204 o synie Ludwika «ex hospita ducis» urodzonym, co wino hodować będzie i nadal; winiarzy wyjmowano wyraźnie z pośród innych, zmuszano ich do uprawy wina ciągłej, nie zmieniano tego na inne roboty. Niewybredne usta średniowieczne mogły w winie polskiem smakować; po dokumentach XIII i XIV wieku są wiadomości o winnicach, chociaż Długosz twierdził, że uprawa winnic nam nieznana. Jeszcze w XVI w. ksiądz włoski wino polskie słabem i kwaśnem znachodził.

Ogólnym napojem, jak sama nazwa dowodzi, było piwo, które każdy, kto tylko mógł, dla własnego użytku sam warzył, na miałko zmieloną lub stłuczoną pszenicę, rzadziej jęczmień lub owies, nalawszy wodę i to ochmieliwszy; takim cieńkuszem umartwiano ciało podczas postu. Tęższe piwo wyrabiał piwowar dla karczmy, a tych bywało wiele, po kilka w każdem większem podgrodziu, np. w Wrocławiu w XII wieku, i już może wtedy używano też środków-czarów dla zwiększenia odbytu; karczmarz płacił czynsz księciu, który miał monopol w kraju i w drodze łaski obdarzał kościół czy klasztor dochodem (dziesięciną albo dziewięciną) z karczmy; już pito i na kredę i biada temu, kto się nie mógł z długu wypłacić. Leszek Biały wymówił się przed papieżem, że nie może włożonego obowiązku wyprawy krzyżowej

dopełnić, bo w krajach południowych zabrakłoby mu piwa, do którego nawykł. Podobnie miał Konrad ścieniawski, mianowany arcybiskupem salcburskim, złożyć godność i wrócić do Wrocławia, gdy usłyszał, że w Salcburgu piwa pszenicznego nie znają i wino spijają. Piwo polskie zażywało zasłużonej sławy, lecz na wywóz, jak miód i sól, jeszcze się nie godziło, przemysłu nie stanowiło osobnego; browary, melcuchy (słodownie) i t. d. z miastami dopiero przybyły.

Rękodzieła uprawiano jak dawniej po domowemu głównie, ale już skupiano niby osady rękodzielnicze pod większemi grodami, które dla dworu i załogi dostarczały naczyń, pieczywa; z pośród nich wybierano i skotników (dla chowu bydła), koniarzy (dla stadnin książęcych), psiarzy, sokolników, bobrowników dla uprawy łowów; nazwiska wszelakich wsi do dziś pamięć tego przechowały. Dokumenty śląskie, dla Trzebnicy mianowicie, wyliczają szczegółowo, ile kubków, misek, łagwi drewnianych winien dostarczać tokarz, łagiewnik i t. d.; gdyby rzemiosła nie chciał wykonywać, obowiązany był do świadczeń «gościa» *(hospes)*.

### MONETA

Ważną nowością dla handlu i targu było wprowadzenie monety krajowej wzamian za dawniej obiegającą obcą, wywoływaną teraz z kraju, za metal surowy i za wszelakie surogaty (płaty lniane, łupieże zwierzęce, sól i wosk). Bili monetę już Mieszka i Chrobry, denary z napisami księcia, nieraz mincarza, grodu (Gnezdun np.), z napisem a nawet wizerunkiem panującego po jednej stronie, z krzyżem po drugiej. Pierwotne cięższe denary srebrne, innej monety nie było, ulegały jednak rychłemu pogorszeniu wagi, stawały się coraz lekszemi, aż wkońcu, od drugiej połowy XII wieku zastąpiły je, za wzorem niemieckim, brakteaty, t. j. blaszki tak cienkie, że można je było tylko po jednej stronie stemplować. Książę miał monopol bicia monety,

użyczał go w XIII wieku arcybiskupom i biskupom (poznańskim), pod warunkiem, że ich moneta będzie tej samej próby; zysk jego polegał na tem, że rocznie albo i parę razy do roku wywoływał z obiegu stare denary-brakteaty i kazał je wymieniać na nowe, leksze. Żydzi bywali mincarzami księcia, jego bankierami zarazem i dzierżawcami monopolów, i stąd pojawiały się na brakteatach za Mieszki Starego i braci, przeważnie w Wielkopolsce, brakteaty z napisami hebrajskiemi mincarzy (Abraham, Józef, Menahe, Jakub), czego gdzie indziej nigdzie niema śladu; raz nawet «Mszka *król* polski» (!) hebrajskiemi literami wypisano. Zresztą bywają napisy stale łacińskie, t. j. nie uwzględniały brzmienia polskiego, np. Mieszkę I pisały stale *Miseco* (i stąd uważają Niemcy tę trzygłoskową formę za jedynie poprawną!), ależ ani *Gnezdun* ani *Bolizlaus* polskiego brzmienia nie znały. Raz tylko znachodzimy polski napis na brakteacie i to śląskim: Mieszka opolski, pogodziwszy się r. 1190 z bratem Bolesławem Wysokim, kazał wybić denarki z napisem *Milost* (Bolesław z napisami Caritas lub Iustitia), wedle pierwotnej pisowni; *Indrih* na denarkach Brodacza forma nie polska, raczej czeska.[1] Mincarz książęcy zjawiał się na targach z nową monetą i tam ją wymieniał, wybierał czynsz z karczmy i jatki rzeźniczej. Wedle dokumentów trzebnickich (r. 1203) z grzywny dochodów od karczmy i jatek wypadał na jego korzyść jeden skojec (4½ procentu), a wolno mu było podczas wywoływania

[1] Ponieważ jest denar z napisem cyrylicą *Bolesław* po obu stronach, upatrzono w nim Chrobrego i pamiątkę zdobycia Kijowa; inni twierdzą, że to nie moneta kijowska, lecz krakowska i ślad ostatni panowania cyrylicy i obrządku słowiańskiego w Polsce, skoro biskupi przed żydami czuwali nad mennicą; więc taki «prawosławny» biskup krakowski (Prochora i Prokulfa jakichś wymieniają spisy krakowskie przed Popponem r. 1000, mają być «Słowianie», chociaż imiona ich nie słowiańskie) dałby wybić taką monetę, ale to szczera fantazja; inni upatrują Bolesława czeskiego, co wobec istnienia słowiańskiego obrządku w Czechach możeby mniej raziło (lecz nie głagolica to!).

monety sól sprzedawać. To wywoływanie monety było istnym rozbojem; mistrz Wincenty dosadnie opisał w scenie bardzo dramatycznej, alegorycznej, nadużycia mincarzy, ale trwało to jeszcze przez cały wiek XIII.

Nazwy monet wszystkie obce, z wyjątkiem jednej, liczalnej, *grzywny*, t. j. marki obcej; grzywną-marką nazywano pół funta srebra (innego kruszcu nie używano); dzielono ją dalej na (ośm) uncji i szesnaście łutów. Jak przyszła grzywna do tego znaczenia? Grzywna, od *grzywy*, znaczyła pierwotnie naszyjnik; naszyjników u Słowian były dwa rodzaje; jedne, nanizane perły szklanne, zwane *bisiorem* (z arabskiego *busza* 'perła szklanna'; u nas słowo to mylnie na równie obce, drogie płótna przeniesiono), i wszelakie inne wisiorki (z drogich kruszców, kłów i zębów zwierzęcych, muszelek), i te zwały się *monistem* (u nas słowo zapomniane; por. niem. *Mähne* 'grzywa'). Drugie naszyjniki były z kruszcu kowane masywnie lub dęte i druciane obręcze, jakie i na ramionach *(bugi)* noszono; nazwane od grzywy, co niegdyś i szyję znaczyła (jak z pokrewnych języków wiemy); twierdzą, że Słowianie raczej monista niż grzywny nosili, przypisują grzywny masywne, metalowe, wpływom fińskim i orjentalnym. Jak u Skandynawów *baugr (bug,* naramiennik) przeszedł i na oznaczenie pieniędzy, tak samo grzywną płacono towary i wkońcu straciła grzywna zupełnie znaczenie naszyjnika, ozdoby, została wyłącznie nazwą płatniczą, jak i u wszystkich innych Słowian oddawna, i utożsamiano ją z marką. Inne nazwy obce, *minca* z niem. *Münze* przez czeskie *mince;* grzywnę dzielono w Prusiech i w całej Polsce na cztery *wiardunki (fertones,* z niem.) po sześć *skojców (skociec, skońca;* z tego *skojca* a do tego nowe *skojec;* z łac. *scotus),* a te po cztery kwartniki (grzywna liczyła więc 24 skojce albo 96 kwartników), albo dzielono ją na dwadzieścia *szelągów (solidus* po łac.) po dwanaście *denarów (nummus* łac.) po dwa *obole.* Do r. 1300 była

w obiegu tylko moneta denarowa, którą po r. 1300 zastąpiła czeska groszowa. Sum większych nie liczono, lecz odważano.

Pierwotnie jednak, w braku kruszcu, płacono i skórkami, łupieżami kun, soboli i t. d.; pewną ich ilość (czterdzieści?) liczono również na grzywnę srebra, niby odpowiedniej wartości, później jednak opłacano grzywnę srebra kilkoma grzywnami «futrzanemi», kuniemi, wiewiórczemi, trzema w XIII wieku, pięcioma w XIV i XV, i ten stosunek ustalił się tak dalece, że wina sądowa (niegdyś kunami płacona), zwana siedmnadziestą (nazwa mylna, zamiast siedmdziesiątej) albo *niemiłościwa*, liczyła pięć grzywien kunich albo jednę denarową (srebrną); dopiero w wieku XV wyszły grzywny kunie zupełnie z obiegu, a z czasem powstała tradycja o jakichś «skórzanych pieniądzach». Właśnie w sądownictwie utrzymały się długo prastare albo tylko nazwy (trzysta!) albo zwyczaje, np. płacenie *koca*, futra za niesłuszną apelację (jeszcze w XVI wieku: «kto nagani skazanie kasztelana, dać mu ma kożuch gronostajowy», «kocz albo torłop barańczy» w XV wieku).

Przed kolonizacją handel był mało ożywiony, niepewność dróg, rozboje i łupiestwa rycerzy, brak gotówki znacznie go utrudniały, nie tracił też dawniej cechy wymiennej; z kolonizacją zmieniało się to na lepsze; napływała gotówka, miasta warowne dawały więcej bezpieczeństwa, gościńce koło miast naprawiano i koniec wieku zaznał już ustalone stosunki handlowe, Kraków, Sącz i inne miasta wielce już z nich korzystały (zob. niżej).

## PODNIESIENIE SIĘ POZIOMU ŻYCIA CODZIENNEGO

Wznosił się poziom życia codziennego. I tak ustępował typ dwójdzielnego domu mieszkalnego (izba i sień o jednym piecu-ognisku) nowemu trójdzielnemu, z Frankonji po zachodniej Słowiańszczyźnie się szerzącemu. Teraz sień dzieliła dom;

po jednej stronie izba, z własnym piecem, rzadziej od sieni opalana, i *kuchnia* z piecem osobnym i z *komorą:* same nazwy obce wskazują ów obcy początek; do nich dołączył się *komin,* co izbę kurną w świetlicę odmieniał; a izba z kominem *komnatą* się zwała (albo *kownatą);* nastąpił i rozdział między czarną a białą izbą; przybywało i innych zabudowań, z ich obcemi nazwami *(stodoła, spichrz,* później *spichlerz),* chociaż się pod niemi i dawne rodzime kryć mogą. Teraz rozszczepiły się domy książęce i wielmożów, zamki istotne, budowane na wzór obcy, a domki po podgrodziach i wioskach; do owych zamków używano chyba i ciosu, nietylko dla podmurowania; przy zamku-kastelu stawała i cerkiew i nazwę odmieniła, sama kastelem-kościołem się nazwała. Ale świecka budowa kamienna należała do rzadkości; z niej nic nie ocalało.

Ubiór pozostał dawny; minjatury po rękopisach słabo go oddają, bo dla nich obowiązywały wzory, sięgające jeszcze antyku. Długie suknie okrywały ciało, krótsze u mężczyzn niż u kobiet, którym do kostek sięgały; wymyślne stroje średniowieczne, co tak obrażały Wschód, oburzający się na zachodnie okazywanie «międzynoża», jeszcze się nie rozpowszechniały; przy pracy na polu, u pasterzy i myśliwych, zrzucano owe sukmany, bo ruchy tamowały. Ubiór niewieści był równie skromny, wysadzano się tylko na kosztowne «noszenia», łańcuchy (u mężczyzn nosili je rycerze jako oznakę stanu, choćby złote), pierścienie, wszelakie naczółka i kólczyki, rękawice drogo wyszywane. Oprócz tych przywoźnych kosztowności wszystko inne domowej bywało roboty; kobiety, i żony wielmożów, przędły, tkały i szyły w zawody z wieśniaczkami; zdarzało się, że już i na targ wychodzono z wyrobem własnoręcznym, szukając wymiany. Strój książąt i wielmożów był kroju obcego i z obcych drogich materyj zakupnych.

W pożywieniu mięsne przeważało; stąd ta mnogość jatek na każdem podgrodziu, a cóż dopiero w mieście niemieckiem;

obok mięsa a ryb w posty, nabiał (ser głównie) i chleb na stole panował (o chlebowym stole mówiono też stale), a chlebojedźcą nazywał się, kogo pan za służbę stołował. Jarzyn było jeszcze niewiele, szerzyły się z czasem z obczyzny (jak wszelkie ich nazwy dowodzą, *marchew, rzodkiew, brukiew, kiel, brzoskiew* i t. d.), do czego klasztorne ogrody walnie się przyczyniły. Kobiety zarządzały nabiałem i zyski z niego im należały.

## OBCY. — ŻYDZI

Obok rodzimych działały, co przy zaczynającej się kulturze chrześcijańskiej było nieodzowne, wpływy obce. Niewiele o nich, wobec ubóstwa źródeł, wiemy; trudno nam ocenić wszystko, co młoda organizacja państwowa wzorom frankońskim bezpośrednio zawdzięczała, ale na pewne wiemy, że nietylko obce duchowieństwo, lecz i obce rycerstwo do Chrobrego jak do Szczepana się garnęło. Nie przypisywalibyśmy tradycji Gallowej wielkiego znaczenia, ale to, co on o obcych mówi, nie jego wymysłem trąci; wedle niego uskarżał się Chrobry,

«że brak mu rycerzy tylko. I którykolwiek prawy gość u niego w rycerskiej służbie się odznaczał, nie rycerzem, lecz królewicem się zwał (drużyna królewska?) i jeśli o którym z nich usłyszał, że w koniach, jak to bywa, czy w czem innem szwankuje, obsypywał go darami i mówił: gdybym mógł tego prawego rycerza tak od śmierci bogactwami uwolnić, jak mogę jego niefortunę i ubóstwo moim dostatkiem przeprzeć, samą zachłanną śmierć bogactwami bym obciążył, abym tak dzielnego w rycerstwie zachował».

Gdyby Chrobry pisał był «pouczenie» synowi, jak Szczepan Emerykowi albo Włodzimierz Monomach synom, czytalibyśmy może i u niego te same słowa:

«Goście i przybysze tyle przynoszą pożytku, że można ich godnie na szóstem miejscu dostojeństwa królewskiego zaliczyć. (Rzym wyrósł), bo wiele szlachty i mędrców z stron różnych tam spływało, Rzym byłby do dziś niewolnikiem, gdyby go Eneadzi nie byli zwolnili. Bo jak goście z różnych stron i prowincji przychodzą, tak samo wiodą z sobą rozmaite

języki i zwyczaje, rozmaite świadectwa *(documenta)* i broń, co wszystko zdobi i wielbi pałac królewski, a przeraża zuchwałość obcych. Bo państwo o jednym języku i zwyczaju niedołężne i kruche bywa. Dlatego, synu, każę tobie, abyś ich z dobrą wolą żywił i miał we czci, aby chętniej u ciebie, niż gdzie indziej mieszkali».

Wiemy też istotnie, od spółczesnego świadka (Thietmara), że Chrobry do swego wojska Niemców i Węgrów ściągał, i możemy na pewne przypuścić, że niejeden obcy u niego pozostał i ród szlachecki założył. Jeżeli nikogo niemal (prócz Czechów) wskazać nie możemy, czy temu nie zawinił i rozruch r. 1037? Na Węgrzech przynajmniej tradycja trzynastowieczna twierdziła, że taki sam rozruch węgierski zwrócił się przeciw obcym, że wymordowano Niemców i Romanów *(Latinos)*, nie oszczędzając ani kobiet, dzieci i księży, których Piotr Wenecjanin plebanami i opatami ustanowił. Nawet parę lat później w Czechach, tu zupełnie bez podkładu religijnego, tylko w celach politycznych książę Spycigniew r. 1055 wszystkich Niemców, bogatych czy ubogich czy obcych, w ciągu trzech dni z Czech wyświecił.

Ale bez tych obcych nie obeszło się ani w Czechach, ani na Węgrzech, ani w Polsce, tak jak drzewo młode, by dobrze rosło, obcą podporą się ubezpiecza, choćby i podpory zczasem odmieniać wypadało. I u nas w ciągu wieków luzowały się poniekąd wpływy obce. Za Mieszki i Chrobrego, za drugiego Mieszki i za Kazimierza górowały widocznie niemieckie; ci Piastowie żenili się z Niemkami, brali udział w spiskach niemieckich, uciekali do Niemiec i wołali duchownych i rycerzy z za Odry. Inaczej w ciągu lat 1070—1170; co już sam Chrobry rozpoczął, bezpośrednie związki z Zachodem, ponad głowy Niemców, teraz się objawiało wyraźniej; Polska łączyła się po raz pierwszy z Francją. Była to pora najbujniejszego tejże rozkwitu; z Francji wychodziło wszystko, co Europą wstrząsało, idee i prądy, wiara i sztuka, rycerstwo i literatura. Wyprawy krzyżowe i reforma klasztorna, gotyk w budowie a epopeja i liryka

narodowa, życie dworskie i rycerskie szły wprost z Francji lub wzorowały się na niej; ten prąd ożywczy tknął i Polskę. W Kościele i sztuce łączyły nici Polskę głównie z północną Francją i Flandrją (południowa mniej wchodziła w rachubę, oprócz słynnego klasztoru St. Gilles); Flandrowie i Francuzi (Franko poznański?) zasiadali na katedrach biskupich, osadzali klasztory cysterskie,[1] za nimi przybywali na Śląsk i osadnicy, szczególniej tkacze przesiedlali się do Wrocławia; tu była w drugiej połowie XII wieku ulica «włoska», bo Włochami nazywał lud wszystkich Romanów, *platea gallica* albo *gallicana*, a jeszcze w XIII wieku bywał nierzadki *miles gallicus* po dworach śląskich. Ale poza

[1] Dla bezpośrednich związków Polski z Flandrją XII wieku przybyła nowa wskazówka. O wspomnianych już kilkakrotnie wyżej kanonikach regularnych (niby na modłę św. Augustyna żyjących) z ich najdawniejszemi klasztorami (na górze Sobocie, stąd przeniesiony do Wrocławia; w Trzemesznie; w Czerwińsku — wszystkie z lat 1128—1138) przypuszczano, że wyszli z kongregacji lateraneńskiej, do której od wieku XV należeli. W istocie wyszli z kongregacji w Arrouaise w Flandrji; opat tejże kongregacji Galterus *(Fundatio monasterii s. Nicolai de Arroasia* w r. 1194) pisze o jednym z poprzedników, opacie Gerwazym (od r. 1121): «Per diversa loca cenobia construebat et religiosos quosque de suis fratribus ad plantandam ibi religionem nostram transmittebat... itaque infra breve tempus, excepta vicina Flandria, ipsa quoque Anglia, Scotia, Burgundia et apud externas gentes *Polonia* de fratribus suis novellas plantationes sponte suscipiunt et prelati earum ob unitatem servandam et corrigendum, si quid in ordine excesserint, ad generale capitulum semel in anno apud Arroasianam ecclesiam matrem suam venire consentiunt» *(Monumenta German. histor.* XV, 1017). Wskazał to ks. H. Likowski w rozprawie *Początki regularnych kanoników w Polsce,* streszczonej w Sprawozdaniu Poznańskiego Tow. Przyj. Nauk 1929, II, str. 30. Kapituły generalne odprawiano w połowie września; opat N. P. M. (wrocławski) był stale jednym z czterech ich definitorów. Nie odstraszała kanoników daleka podróż, aż r. 1440 opactwo wrocławskie zerwało związek z Arrouaise, które w XV wieku samo podupadło; opactwo wrocławskie a za niem i tamte najdawniejsze klasztory przyłączyły się do kongregacji lateraneńskiej w Rzymie.

Śląskiem niewiele posunęli się ci Flandrowie i w XIII w. ustał ich napływ zupełnie; teraz przeważyli stanowczo znowu Niemcy.

Wszystko złożyło się na to, aby najpierw Śląsk podpadł zupełnie ich wpływom, o czem już wyżej wspominaliśmy. Cystersi niemieccy zastępowali flandryjskich i oni wraz z książętami otworzyli na oścież wrota śląskie masowej kolonizacji niemieckiej. Bolesław Wysoki (syn Włodzisława II) i jego syn, Henryk Brodaty sprzyjali im widocznie, choćby dla podniesienia kraju a wzmożenia własnych środków pieniężnych, i zalew nie ograniczał się Śląskiem, zdobywał w rychłym pochodzie coraz nowe placówki. Związki romańskie przerwały się; jedyne włoskie, z Rzymem przetrwały inwazję niemiecką, bo Włochy (całkiem wyjątkowo Paryż) ściągały młodzież na naukę prawniczą i przez legatów papieskich wpływały bezpośrednio na duchowieństwo. I zmienił się wygląd Polski; już z końcem XIII wieku przedstawiały miasta Kraków, Sącz, Poznań, na Śląsku Wrocław, Śrzoda, Legnica, Löwenberg, Goldberg i t. d. typ miast niemieckich, bogatych mieniem a niebawem i wiedzą, silnych ekonomicznie i politycznie nawet. Ten wpływ niemiecki, bezpośredni, zasuwał zupełnie w cień inny nierównie dawniejszy i silniejszy, który przerwy żadnej właściwie nie zaznał, czeski.

W pogoni za francuskim i niemieckim zapominamy zbyt łatwo o czeskim. Pozory przemawiają przeciw niemu; sprzeczność interesów, walki stuletnie, wrogie usposobienie, zdawałoby się, nie sprzyjały temu. Czechom były wszelkie widoki i drogi zakryte, prócz jedynych wschodnich, na Śląsk do Polski samej i jęły się ich one właśnie w drugiej połowie wieku XIII ponownie z największą konsekwencją i wytrwałością. Już Przemysł Otokar II, którego nikt o sympatje słowiańskie posądzać nie będzie, otaczał osobliwszą opieką książąt śląskich, wyrabiał im wysokie godności kościelne, ale wojny o spadek babenberski krępowały go jeszcze, gdy syn, Wacław II, wolny od tych więzów, wysilał się na zdobycie całej Polski. Tymczasem szedł niepo-

wstrzymany wpływ wyższej kultury czeskiej, która przy końcu XIII wieku już obcym imponowała; Praga i dwór Wacławów były ogniskiem nauki, sztuki, życia towarzyskiego. Złożył dowody tego język, opływający w pożyczki czeskie. Nie są to słowa czeskie, są łacińskie albo niemieckie, ale przyszły do nas przez Czechy. Napróżno przeciwstawiają temu wnioskowi szczupłość samych Czech i milczenie źródeł. Widzieliśmy wyżej, jak całe kościelne słownictwo polskie przesiąkło czeskiem i to samo powtarza się na każdem innem polu. *Szlachta, herby, łany* i t. d. są słowa niemieckie, ale jak ich znaczenie albo głosownia dowodzi, przyszły do nas na Czechy. Nawet budowle naszych najstarszych kościołów, minjatury naszych rękopisów, rzeźby naszych drzwi kościelnych[1] wykazały wpływy czeskie, chociaż np. rycerskie rody czeskie same rzadko, całkiem wyjątkowo się do Polski przenosiły; do wyżej wymienionych przybyli w Wielkopolsce Morawiccy, Stemborki albo Stamberki (Sternberg), Strusy (z Moraw) i Strzałowie, dalej niemieccy z pochodzenia Herburty (zob. wyżej) i Limpachowie (z Luksemburga). Należałoby teraz zestawiać spisy słów ze wszystkich dziedzin kultury, aby głębię tego wpływu wykazać, lecz brak nam tekstów polskich, coby temu świadczyły wyraźnie, bo najczęściej nie możemy rozstrzygnąć, co w XII i XIII wieku, a co dopiero w XIV-tym przyszło; dalej, co czeskie a co wprost niemieckie.

Natomiast od strony wschodniej brakło zupełnie wpływów, czemu język znowu świadczy; do najdawniejszych pożyczek należał *bojarzyn* (w znaczeniu rycerza, bo z bojem słowo łączono), chociaż go dopiero z XIV wieku przytoczyć możemy.

Oto wyniki czterowiekowego (zgórą) rozwoju. Zapowiadał się świetnie; skrzętność Mieszki a genjusz Chrobrego, którego

[1] O czeskim początku drzwi gnieźnieńskich przygotował dzieło A. Goldschmidt; pierwszy tom jego publikacji omawiał drzwi kościelne w Hildesheim i Augsburg, drugi omówi nasze; wyniki badań streścił w *Sprawozdaniach Akademji* berlińskiej 1928, październik.

wróg Rusin Wielkim przezwał, utrwaliły mocarstwo. Lecz nigdy dotąd nie zjawiło się w jednej rodzinie dwu genjuszów, a to się i na Piastach sprawdziło; Chrobry drugi śród nich już się nie pojawił, bo mu ani Krzywousty ani Kazimierz Drugi (ostatni Piast, gdyż nie liczono Sprawiedliwego, który nie był panem całej Polski), mimo wszelkich zalet i zasług, nie dorównywali. Młode państwo wystawiono rychło na najcięższą próbę, a niebawem nowym podległo. Rozbicie dzielnicowe paraliżowało jego siły, a druga połowa XIII wieku przedstawiała niemal rozpaczliwy widok; cierpiało nadzwyczaj Mazowsze i Kujawy; Małopolskę nawiedzali po kolei Tatarzy, Litwa, Jaćwież i Ruś (Lubelskie szczególniej cierpiało), a rozproszkowanie dzielnic (całkiem fantastycznych rozmiarów na Śląsku właśnie, wystawionym na największe niebezpieczeństwo od Czech i Marchji) i nieustanne niemal walki wszystkich książąt między sobą zapowiadały chyba ostateczny upadek; z obcemi zawodniczyły rozboje rozpasanego rycerstwa.

Żywotność narodowa wytrzymała i tę próbę — dzięki także duchowieństwu, dzierżącemu niezłomnie ideę jedności. Czem opłakańsze stawały się dzieje, tem silniej odczuwano jako jedyne ocalenie ponowne skupienie, i właśnie u samego końca wieku rozlegały się niby zewsząd jego hasła, od Henryka śląskiego, od Przemysła wielkopolskiego, od Wacława czeskiego. Ale jakkolwiek opłakane bywały stosunki polityczne, kulturalne, acz powoli — wobec najniekorzystniejszych warunków, — poprawiały się stale. Chodziło o wyrównanie strasznego spóźnienia, młodości naszej kultury. O stulecia w porównaniu z Zachodem, o wiek cały w porównaniu z Czechami weszliśmy później w spółżycie, a odległość kraju, odciętego od morza, tamowała wszelką żywszą wymianę. Nie zatrzymało jednak nic tryumfalnego pochodu kultury zachodniej, zwycięstwo jej zupełne odwlekło się tylko; przyśpieszyła je kolonizacja niemiecka.

Kraj był dotąd etnograficznie zupełnie jednolity, teraz

wdarł się po raz pierwszy obcy żywioł i stworzył nowy typ kultury, miejski. Nie do uwierzenia, jak rychło wyrosły te miasta, niby za skinieniem różdżki czarodziejskiej: objawiły się dopiero w drugiej połowie wieku, a przy końcu tegoż stanowią już potęgę, o którą mogli się opierać Leszek Czarny, książęta śląscy, rządy czeskie; były więc zasoby krajowe, nie było przed kolonizacją tego, coby z nich umiał korzystać. Mieszczanie rośli w dostatki a skarb książęcy w dochody; na szarym obrazie ogólnego ubóstwa, jaki mnich lubiąski w XIV wieku wystawił, biło od nich jasne światło. Niemiec w mieście, w klasztorze, a — jak na Śląsku — także śród duchowieństwa świeckiego stał się odtąd i przez dwa następne wieki typową figurą.

Po raz pierwszy zaznaczał się, acz na razie bardzo skromnie, inny, również obcy żywioł, Żydzi. Spotykaliśmy się z nimi jako z handlarzami niewolników i z mincarzami książęcymi, dozorującymi karczem i jatek, zagarniającymi nawet tytułem długów majątki ziemskie, które od nich książę czy Piotrek wykupywali: wszystko luźne osobniki. Zmieniło się to z drugą połową XIII wieku: prześladowani dla wiary na Zachodzie, we Francji i Niemczech, uchodząc może i ze Wschodu przed nawałą tatarską, która na razie handel czarnomorski ubiła, garnęli się do Polski, najpierw do Wielkopolski i tu uzyskali r. 1264 od Bolesława Pobożnego przywilej, wzorowany na wiedeńskim i praskim, a regulujący ich stosunki. Uważał ich książę za swoich jakby służebników, opłacających się jego kamerze, ale dlatego brał ich też w opiekę a zapewniał im w obrębie własnej ich gminy pewną autonomję. Trudnili się tą lichwą, której Kościół surowo wiernym zabraniał, a bez której nie można się było obchodzić; byli lekarzami, poszukiwanymi wobec braku innych, prócz szarlatanów, jak ów niemiecki dominikan Mikołaj, leczący na dworze Leszka Czarnego wszelkie choroby amuletami i paskudztwami z żab i węży, a podszywany pod fakultet medyczny w Montpellier, którego na oczy nie widział, chociaż później

sławy jego ucznia zażywał. Handlem żydzi się nie trudnili, chyba przygodnie. Było ich na razie mało i lud ich znosił, do pogromów jeszcze nie przychodziło. Jeszcze Gall świadczy, że Judyta, pierwsza żona (ślubna) Włodzisława, «szczególniej przed śmiercią ubogim i więźniom dobrodziejstwa wyświadczała i wielu chrześcijan z niewoli żydowskiej swemi środkami wykupywała». Siadywali już może na cłach, ale we młynie, karczmie, po wsiach ich jeszcze nigdzie nie było; kultura ich stała na razie bardzo nisko, nauki hiszpańskiej między nimi nie było; szwargotali już po niemiecku, bo szli stamtąd.

Świadectwa z XIV wieku cystersa-Niemca z klasztoru lubiąskiego (Leubus), który dzieje wierszowane swego klasztoru rozpoczął skreśleniem obrazka, jak to dawniej, przed przybyciem Niemców, na Śląsku wyglądało, acz stronniczego na pewno, nie wadzi wysłuchać:

«Ubogi lud polski był niepracowity, bróżdżąc w piasku radłami drewnianemi bez żelaza i nie umiał orać chyba dwoma wołami albo krowami. W ziemi nie było żadnego miasta ni miasteczek *(civitas aut oppidum)*, ale koło grodu *(castra,* więc całkiem o charakterze wojskowym) bywały wiejskie targi *(fora campestria)*, *broca,*[1] kaplica. Nie miało owe pospólstwo *(plebs)* ani soli ani żelaza ani monet *(numismata)* ani kruszcu (szlachetnego? *metallum)*, ani dobrej odzieży, ależ nawet ani obuwia, pasło same kobyły *(sola iumenta)*».

O przesadzie przekona nas, że nawet na Zachodzie znano obuwie *à la Poulaigne,* na modę polską (jaką?), a wyrazy *suknia* i *krzno (crusina,* futro, nieznanego zresztą początku, tkwi do dziś w niem. *Kürschner,* naszym *kuśnierzu)*, pierwszy na pewno, choć może nie właśnie z Polski wzięty, o czemś innem świadczą.

Przeciwstawmy mu inne świadectwo, jakiegoś dominikana Francuza z r. 1308, który opisując Europę wschodnią (głównie Serbję i Węgry) o Czechach i Polsce wspomniał, chociaż obu krajów sam nie widział, a powtarzał co słyszał. Zaznaczył nad-

[1] Du Cange nie zna tego wyrazu.

zwyczajne rozszerzenie języka słowiańskiego; nadzwyczajne bogactwo Czech w kruszce szlachetne; wedle niego «wszyscy Czesi wielcy i subtelni złodzieje, nie wojownicy, ale ich król może znaczne zaciągi najmować; mają chleba w obfitości, ale brak im wina, mają dobre piwo». O Polakach opuszczam zbędne wiadomości o podziale kraju, rzekach i t. d.; notuję tylko uwagę, że Niemcy (Albrecht) chcieliby zagarnąć Polskę (tytułem czeskim), ale książęta polscy im się opierają, bo «jest przyrodzona nienawiść między nimi a Niemcami». Kończy:

«Kraj obfituje w pastwiska i lasy i bardzo szerokie; obfituje w chleb, brak mu wina zupełnie, obfituje w ryby i mięsa; są tam kopalnie srebra i góry solne. Jest tam wiele żubrów, turów *(tigrides* i *unicornia* tłumaczę za wzorem innych źródeł średniowiecznych), bobry i dzikie (t. j. półdzikie, świerzepe) konie. Wszyscy są katolikami i dla dewocji wobec Kościoła rzymskiego każdy dom winien płacić jeden denar Kościołowi rzymskiemu i nazywa się to denarem św. Piotra. Niegdyś wszyscy Polacy chodzili ostrzyżeni jak cysterscy konwiersze (laicy), ale teraz poczynają niektórzy zapuszczać włosy. Są dosyć wojowniczy i pięknego wzrostu».

## KULTURA

Kultura polska wczesnego średniowiecza niepozorna; nie przedstawiała nic nadzwyczajnego, żadnych znacznych dzieł sztuki ani literatury; z szarzyzny tłumu wydobywały się rzadko wybitniejsze osobistości, a w braku źródeł nie udaje się nam rozplątać węzłów ciekawszych intryg, których i na tej cichej ziemi nie brakło, a zaplątani w nie byli biskupi i wojewodowie, od Sieciecha przez Skarbimira i Piotrka aż do Krystyna mazowieckiego (z r. 1217); nie brak i zbrodni, jak w Gąsawie i Rogoźnie, i spisków zdradzieckich. Mimo wszelkiej niepozorności postęp kultury przecież widoczny, a zawdzięczał go kraj Kościołowi; wystarczy porównać koniec XIII-go z końcem XII wieku. Kościół wychował pokolenia, które nie ugrzęzły jak poprzednie w bezmyślnym i beztroskim materjalizmie, lecz uznały jakieś cele

wyższe, choćby pozaświatowe; spotęgowały się różnice między złem a dobrem, przedtem w braku silnej wiary mimowolnie zacierane; po raz pierwszy oderwał Kościół skutecznie wzrok tłumów od ziemi, twardą glebę przeorał on pierwszy. Po raz pierwszy rozniosła się wymowa polska, na razie tylko kościelna, po grodach i wsiach, budząc duchy uśpione, przygotowując je dla przyszłych, głębszych wpływów.

Kościół jednoczył te tłumy luźne; wyrabiało się w nich poczucie narodowe, obostrzało się przeciwieństwem niemieckiem, czemu dał wyraz arcybiskup Świnka, gdy raził go wymowny kaznodzieja, bo go w nim «psiogłowcem i Niemcem» uznał (wedle średniowiecznego pojęcia o czemś dzikiem). Wszystko, co jakimkolwiek postępem tchnęło, skupiało się w działalności Kościoła; on uczył, oświecał głowy, a rozkruszał serca. Jednolita niegdyś masa słowiańska zróżnicowała się ostatecznie; wydzielił się stan duchowny od świeckiego; w duchownym zakonnik od księdza; w świeckim szlachcic od mieszczanina i chłopa, Polak od Niemca (i Żyda), kupiec od rzemieślnika; tylko literat utożsamiał się jeszcze z duchownym.

Energja była żywiołowa. Jak szybko zacierały się np. skutki napadów tatarskich! Ledwie wróg, Litwin czy Rusin, wyszedł z kraju (nieraz z olbrzymim obłowem), ledwie spalił Płock czy inny gród, już się krzątano około wzniesienia nowego, lepiej obwarowanego (np. Sandomierza Tatarzy za trzecim razem już nie zdobyli, tak samo Krakowa). Zarazem wyszła Polska z swego odosobnienia; nie spuszczał jej Rzym z oka, Czechy na całą godziły, Ruś na Lubelskie, marchjonowie brandenburscy na Pomorze — tak było w polityce zewnętrznej, a w kraju samym rosły potrzeby umysłowe, wyjeżdżano zagranicę dla studjów, a studja urządzano i w kraju, najpierw na Śląsku, a potem i dalej. Mimo klęsk politycznych, niemocy nazewnątrz a nieładu nawewnątrz, zaznaczał się niepowstrzymany już postęp, który

w dwa następne wieki z rozbitego, zdawało się, doszczętnie organizmu nowe potężne a narodowe miał utworzyć państwo.

Już wytykały się jednak dla przyszłego rozwoju pewne tory. Despotyczna Polska pierwszych Piastów ubiła dawne wiece zupełnie, ale od czasu podziałów ponownie w życie wchodziły. Bo najpierw sami książęta odczuwali potrzebę zjazdów dla spólnych narad i celów; nierównie częściej jednak odbywały się zjazdy-wieca każdej dzielnicy, pierwotnie całkiem urzędnicze i dworskie, zczasem skupiające i ziemian tem częściej, czem słabszy był książę; wieca urzędnicze przekształcały się w prawdziwe *colloquia*-parlamenty; już przychodziło do formalnego wyboru księcia, do osadzania go w Krakowie. Rosło poczucie znaczenia szlachty, na razie głównie tylko wielmożów samych i zależało od przyszłości, czy uda się monarsze energicznemu (a takim zapowiadał się Wacław czeski) przytłumić to znaczenie, albo czy nie wzmoże się ono i ogarnie szersze nawet warstwy szlacheckie; Kościół przyłączyłby się zawsze do strony zwycięskiej; interes miast wymagał pierwszego, ale zbyt były one świeże i obce, żeby rozstrzygać miały, czy nowa kultura miejska czy rodzima szlachecka przeważy. Odpowiedź dały dwa następne wieki.

Zaznaczyła się już bowiem wyraźnie, mimo milczenia źródeł, które spraw domowych nie tykały, kultura szlachecka, rycerska, na razie mniej umysłowa, niż obyczajowa. Już w XII i XIII wieku tworzyła szlachta stan odrębny, o wyższym poziomie życia materjalnego i moralnego; czyniła przynależność do siebie zawisłą od nienagannego życia, począwszy od rodowitego i prawowitego urodzenia, od nieparania się żadnem czarnem rzemiosłem, od ćwiczenia w broni a pożycia śród rycerstwa. Na razie było nierówności wiele; imunitety nadawał książę osobnikom, nie całemu stanowi, więc nie każdy z nich korzystał; wielmoże przeważali nadmiernie, ale już w XIII wieku, właśnie wobec immigracji, obcej stanem i pochodzeniem, zwierał się stan

szlachecki, poczuwał do spólnych dróg i celów, zaczął się zajmować polityką wewnętrzną, odczuwać swoją siłę. Była, jak w Niemczech i Francji, i odwrotna strona medalu: obok rycerstwa broiło Raubritterstwo, napastowało drogi i handle i panoszyło się tem więcej, im słabszy był książę; takich jednak rozmiarów, jak w owych krajach, u nas nie osiągło; *treuga Dei* — zawieszenie mordów na pewne dnie, nie okazała się nieodzowną potrzebą, ale «chąsy», rozboje na «dobrowolnej» drodze i napady domostwa były dosyć ogólnem zjawiskiem; całe rodziny im się oddawały, nieraz długi czas bezkarnie, i oprócz napadów tatarskich i litewskich te domowe kładły się ponurem piętnem na ostatnie dziesięciolecia wieku.

## BIBLJOGRAFJA

Stanisław Smolka, *Mieszko Stary i jego wiek,* Warszawa 1881, dał barwny obraz ogólny czasów na przełomie XII i XIII wieku. Niektóremi szczegółami wkraczała już w te czasy Zygmunta Glogera *Encyklopedja Staropolska Ilustrowana,* cztery tomy, Warszawa 1900—1903, dzieło popularne, oparte na bogatej wiedzy, z którego wiele korzystałem. We wszystkich dziełach czy podręcznikach treści ogólnej pierwsze rozdziały poświęcano tym czasom, a więc Stanisława Kutrzeby, *Historja ustroju Polski w zarysie,* wydanie 6, Lwów 1925; J. Rutkowskiego, *Zarys gospodarczych dziejów Polski w czasach przedrozbiorowych,* Poznań 1923; inne wymienię później, bo wiek XIII, nie mówiąc o wcześniejszych, jeszcze za mało zabiera w nich miejsca. Pomijam dalej wszelkie dzieła z historji politycznej; z prawniczych wymieniam Romualda Hubego, *Prawo polskie w wieku trzynastym,* Warszawa 1875; M. Winawera, *Najdawniejsze prawo zwyczajowe polskie,* Warszawa 1900. Pomijam całą powódź monografij i przyczynków do dziejów ustrojowych i gospodarczych, jakie pomieszczali w *Bibljotece Warszawskiej,* w *Kwartalniku* i *Przeglądzie Historycznym,* w *Slavia Occidentalis,* w Księgach Pamiątkowych Orzechowicza, Krzywickiego, Balzera, Brücknera, Handelsmana i in., w serjach *Studja nad historją prawa polskiego* i in., Wł. Abraham, St. Arnold, Kaz. Dobrowolski,

K. Inglot, Stosław Łaguna, Karol Maleczyński, Kaz. Tymieniecki, Józ. Widajewicz, Zygmunt Wojciechowski i in. Osobna wzmianka należy się Przemysławowi Dąbkowskiemu za jego podręcznik, *Prawo prywatne polskie*, dwa spore tomy, i za liczne studja z historji prawa, o załodze, rękojemstwie, litkupie, wiernej ręce, grozie łajania i t. d. Z licznych prac Oswalda Balzera, olbrzymie dzieło o 661 stronach, *Narzaz w systemie danin książęcych pierwotnej Polski*, Lwów 1928 (XI tom owych *Studjów*), gdzie w mistrzowski sposób na szerokiem tle gospodarczem omówiono daniny, a szczególnie narzaz, ich początek i rozwój z stałem uwzględnieniem podobnych stosunków u szczepów pokrewnych. Sama bulla gnieźnieńska (potwierdzenie papieskie majątku arcybiskupiego, zachowane w kopji, nie w oryginale) z r. 1136 wywołała szereg prac historycznych i filologicznych, Wład. Abrahama, Ant. Małeckiego, Jana Rozwadowskiego, St. Zakrzewskiego.

Bogato rozwinięty dział historji szlachty, stanu i rodów. Pomijam fantastyczne wywody Fr. Piekosińskiego o dynastycznem szlachty polskiej pochodzeniu (w związku z jego teorją najazdu) i *Studja Heraldyczne* Ant. Małeckiego (2 tomy, Lwów 1891); prace Wł. Semkowicza, mianowicie o rodzie Pałuków, a najobszerniejsza o rodzie Awdańców (Poznań 1918), obok licznych przyczynków w Sprawozdaniach Akademji od r. 1910, wyświetliły znakomicie początek i rozgałęzienie wielu rodów i objaśniły wiele zagadnień (np. o proklamacjach wbrew jednostronnym zapatrywaniom Piekosińskiego i Małeckiego); posiadamy osobny «Rocznik» dla badań heraldycznych, liczne przyczynki pióra ks. St. Kozierowskiego o szlachcie obcej w Wielkopolsce, p. Heleny Polaczkówny i in. Dla kolonizacji niemieckiej por. R. T. Kaindl, *Geschichte der Deutschen in den Karpathenländern*, I, Gotha 1907.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

# RUŚ. — PRUSY. — LITWA

I. Ruś, kraj, lud, wiara. Najazd normański. Przyjęcie chrześcijaństwa wschodniego; rola Bułgarji; wpływy greckie. Szkoła, literatura, epika narodowa. Podziały. Pogrom tatarski. Tragedja ruska.

II. Prusy, kraj, lud, wiara, kultura. Wpływy polskie; ich zmarnowanie.

III. Litwa, kraj, lud, wiara, państwo.

## RUŚ

Do Polski zachodniej przylgnęła o miedzę Ruś wschodnia; rozstrzygały o tym ich charakterze główne arterje wodne, komunikacyjne zarazem: dnieprowa wiodła ku morzu Czarnemu i Bizancjum, wiślana ku Pomorzu i Bałtykowi. Wyraźnych granic przyrodzonych wcale nie było, chyba puszcze bezludne albo błota; brakło mimo to zetknięcia, oprócz na peryferjach; żywioł ruski szerzył się od Kijowa i Wołynia, polski od Krakowa i Sandomierza, i nic nie zapowiadało przyszłego stanowczego starcia dwu przeciwnych ludów i kultur. Na razie była kultura jednolita niemal, prasłowiańska, grodziskowa; Polanie, Drzewianie i t. d. od Wiślan, Polan i t. d. nie różnili się, zgadzali się już w tem, że w przeciwieństwie do innych Słowian siedzib pierwotnych wcale nie opuścili, nie napastowani przez nikogo żywot tradycyjny dalej spokojnie wiedli, więc cech jego lepiej strzegli niż inni. Ale już przyroda sama wywoływała pewne odmiany, nawet w obrębie tegoż samego plemienia.

W dziejach kultury polskiej ruska nie miałaby miejsca, jako stanowiąca typ zupełnie odrębny, gdyby nie splotły się losy obu plemion i gdyby wpływy obopólne nie zaważyły silnie na nich. Polska zdobywała ziemie ruskie, najpierw przejściowo, walcząc o jabłka niezgody, najpierw o ziemie przemyską i czerwieńską, w wieku XIII o lubelską; od r. 1340 jednak zdobyła je na stałe, mniej orężem, niż kolonizacją i kulturą; opanowała wkońcu całe wyższe społeczeństwo ruskie i wycisnęła swe piętno na literaturze ruskiej siedmnastowiecznej. Ruś wydała

swą szlachtę Polsce, powiększyła szeregi piszących po polsku, a jeszcze w XIX wieku, w szkole ukraińskiej i «litewskiej» zaznaczyła swe cechy. Chcąc więc przedstawić dzieje kultury polskiej zupełnie, niepodobna pominąć jej zasięgu wschodniego, a to zniewala do zapoznania się z tegoż warunkami bytu. Nie myślimy jednak z równą drobiazgowością przedstawiać tych dziejów; wystarczy nakreślenie głównej linji rozwojowej tej kultury, która się z polską nigdy nie zlała. Ruś północna, biała i czarna, nad Niemnem i Dźwiną, to dalsze rozgałęzienie owej niziny europejskiej, przypierającej już swemi kończynami do wyżyny azjatyckiej; natomiast cała Ruś południowa, Czerwona i Ukraina, należy do innego systemu, do wysokiej płyty czarnomorskiej, spadającej aż na Wołyniu ku owej nizinie, z odmienną poniekąd fauną i florą, o coraz wyraźniejszych cechach stepowych, z rzekami, wrzynającemi się głęboko w opokę, dopiero nad morzem szeroko się rozlewającemi, z owym czarnoziemem, którego tylko nieznaczne pasy w Sandomierskie i Krakowskie sięgają. Ważniejsze niż topograficzne były różnice etniczne.

Pierwotna przedchrześcijańska Słowiańszczyzna wschodnia mało się od spółczesnej zachodniej, od Polski różniła; ciążyła ku Dnieprowi, jak ta ku Wiśle; dzieliła się jak ta na niezawisłe od siebie plemiona, połączone jednością języka, bytu, a prawdopodobnie i wiary. Sięgała aż do morza nad ujściem Dniestru i Dniepru, ale rychło odparły ją od niego na zawsze szczepy turskotatarskie, luzujące się w ciągu wieków, począwszy od Awarów-Obrów i Bułgarów, aż do Pieczeniegów i Połowców, którzy się w Dzikich Polach usadowili, coraz nachodząc jej południe. To stanowili Polanie naddnieprzańscy z czołowym grodem Kijowem; obok nich Siewierz nad Desną i dopływami dnieprowemi lewobocznemi, z Perejasławiem, Czernigowem, Nowogrodem siewierskim, Putywlem. Ponad Siewierzą siedzieli Wiatycze, w odwiecznych swych lasach sąsiadujący z fińskimi

łowcami, dzicy jak oni, bez grodów czołowych. Ponad Polanami siedzieli Drzewianie, sięgając aż do Wołynia, chociaż Wołyń sam (od grodu czołowego nazwany) zamieszkali Dulebi, później Bużanami przezwani, aż i ta nazwa Wołyniowi ustąpiła; Dulebi sięgali głęboko w Ruś, Czerwoną zwaną (od grodu czołowego, Czerwieńska), stykając się tu z «Lachami»; nad samym Dniestrem siedzieli Chorwaci (?), łącząc się z bardziej południowymi aż do morza Czarnego sięgającymi Ugliczami i Tiwercami: wszystkie trzy nazwy zaginęły zupełnie, nic po nich na Podolu nie zostało. To były (z wyjątkiem Wiatyczów) plemiona południowo ruskie, zwane później Małorusią, dziś Ukrainą. Na grupę białoruską składali się Dregowicze z nad Prypeci; Krywicze z czołowemi grodami Połockiem, Smoleńskiem, Witebskiem; Radzimicze za Dnieprem nad Sożą. Dalszą północną Ruś zajmowali «Słowienie» z nad Pskowa i Nowogrodu (oba grody czołowe) i łączyli się na wschodzie z Wiatyczami, tworząc później tak nazwaną wielkoruską grupę o dwu odmiennych typach, północnym i południowym.

Na tej ziemi archeologja jeszcze bardziej bezradna, niż na polskiej; wyróżnia wszelakie kultury, bezimienne w istocie, oznaczając je wyłącznie nazwami miejsc najbogatszych znalezisk, prawi więc o kulturze ananińskiej, trypolskiej i in., lecz nie wie, jakim je ludom przypisywać. I tu zasięgała i kultura łużycka (popielnicowa) i kultura grobów skrzynkowych, ale te kultury odróżniała od polskich wydatna domieszka południowa, od kolonij greckich czarnomorskich poprzez Scytów-Sarmatów aż do Wołynia sięgająca, w licznych mogiłach i ich skarbach uwierzytelniona. Od północy i wschodu sięgają też groby fińskie, a od północy i zachodu germańskie (nordyjskie). I tu jak w Polsce przedziela znaczna luka czasowa, od wieku V do IX, niczem niemal nie zapełniana jak dotąd, dawną i nową, słowiańską już napewno kulturę, którą typ gniezdowski (wiek X) naj-

lepiej przedstawia. Kultura była w tym okresie taka sama jak polska, grodziskowa.

Mamy jednak o niej poniekąd bogatsze świadectwa niż o polskiej, bo i kronikarz rodzimy chętniej sięgał w dawną przeszłość i życie samo bardziej konserwatywne nie ulegało tak łatwo przekształceniom, jakie mianowicie chrześcijaństwo wnosiło. Wiemy więc więcej o wierze pogańskiej, choćby tylko nazwiska boskie, które tu nierównie dłużej przetrwały, bo nowonawróconych stać było, jak owego Litwina, na to, aby i nowemu i dawnym bogom ofiarować; skarżyło się też duchowieństwo przez całe wieki aż do XV na ową «dwójwiarę», szczególniej po zapadłych kątach wyznawaną, gdzie chrześcijańskie obrzędy z pogańskiemi mieszano. Więc jeszcze w XIII wieku modlił się wieśniak u stodoły do Swarożyca-ognia, aby mu plonów nie niszczył; kobieta do Mokoszy, aby przędzy i pracy domowej błogosławiła; przy biesiadzie obracał się wkoło i wychylał czaszę na cześć Perepłuta (władnącego losem?), lub modlił się do Dadźboga-słońca; u innych imion, Chorsa, Rgła, Sima nie wiemy, komu czy czemu właściwie służyły. Weles-Wołos był może bóstwem «nawi», zmarłych, bo na niego się klęli. Gdy u nas kilka tych nazw tylko po nazwach ludzi i miejscowości się powtarza, mają one tu jeszcze pierwotną funkcję mityczną, a co najważniejsze, powtarza się śród nadłabskiej Słowiańszczyzny, u Redarów w Radgoszczu, kult tego samego Swarożyca jako bóstwa głównego; najlepszy dowód, że już Słowianie pierwotni do indywidualnych, antropomorficznych bóstw się wznieśli, nie utkwili na niższym szczeblu wyłącznego kultu przyrody i przodków. Bożków wzywano i składano im «żertwy», najgęściej i najdłużej Rodu i Rodzanicom, które nad nowonarodzonym czuwały, szczęście i powodzenie mu zapewniały — jeszcze do szesnastego wieku nie dał się ten kult, przeważnie domowy, kobiecy, wykorzenić; ofiarowano im obrzędową kaszę i sery; ser także przy zaręczynach obrzędowi służył.

Obok tych bóstw «publicznych» czcił lud głównie przodków. Kilka razy do roku zapraszał ich «dusze» do domów, albo wychodził do nich na groby, ugaszczał je i napajał, łaźnię im gotował i uraczywszy do nawi odpuszczał; zwał ich rodzicielami, albo dziadami; echo tych białoruskich (nie litewskich!) dziadów odbiło się u Mickiewicza. «Dziady» czuwali nad powodzeniem w oborze i domie; zczasem wyłonił się z nich kult «domowego», niby gospodarza całego obejścia. Bujali oni i w lesie i w wodzie, w kształtach kobiecych, co przybrały od świąt wiosennych bałkańskich nazwę rusałek, która za chrześcijaństwa dawną wił lub brzeginek nazwę zastąpiła.

Wiara, jak i nasza, była wybitnym politeizmem, gdy się u nadłabskich i pomorskich Słowian ku henoteizmowi, jako wyższemu stopniu rozwojowemu skłaniała: u nich Swarożyc, Świętowit, Trzygłów (jakby nad ziemią, wodą i wiatrem władał) zasłaniali sobą wszystkie inne bóstwa, wydobywali się na czoło niby w ustroju monarchicznym. Co się nazw dotyczy, to Swarożyc (ten sam co i w Radgoszczu lucickim) nie znaczy syna Swaroga (takiego nigdy nie było); jest to spieszczony Swaróg (patrz wyżej; tamże i inne nazwy). Przepłuta (ten co pląta) zestawialiśmy z mazowieckim Pochwistem; Chors ocalał u Serbów w imieniu osobowem Chrs (nasze *chars*-?); Sim, Regł, Mokosz nie znane nam bliżej z swoich funkcyj, więc i analiza językowa nie może się o nic pewniejszego oprzeć.

Świątyń tu tak samo jak w Polsce bogom nie stawiano; czczono ich w gaju, nad ruczajem czy źródłem, na górze i skale; ofiarą i połączonem z nią wróżeniem kierowali żercy-wołchwy, kapłani-guślarze, którzy się miejscami widocznie ku szamanom fińskim zbliżali. Trupy palili, odprawiwszy wprzód bdyn (czuwanie, «pusty wieczór» nasz, od skarg i płaczu do pląsów i śpiewów przechodząc), a po spaleniu tryznę (igrzyska, wyścigi, wkońcu stypa uroczysta); nad popielnicą usypywali mogiłę; zmarłego odwożono na żale na saniach, wołami; nie wynoszono

go przez drzwi, lecz wyłamywano osobny otwór, aby dusza nie wracała.

Śluby-wesela odprawiano po dawnemu, przez swatanie niewiasty u rodziców lub, gdy kosztów unikano, przez umyczkę (porwanie) wedle poprzedniej umowy; rodzice wyposażali córkę. Młodą, przenoszącą się od swoich «dziadów» do obcych, nad wodą i ogniem czarowano; prowadzono ją do wody i wrzucano pierścionki i pasy, więc nie dla oczyszczenia, jeszcze w Nowogrodzie w XII wieku i nie wiemy, co to znaczyło; dola dziewczyny była bardzo swobodna, młodzież obu płci schodziła się na pląsy, igrzyska, śpiewy między siołami; zamężną czekała twarda dola robotnicy.

Z zabytków cerkiewnych, gromiących wszelakie grzechy świeckie, z przeróżnych «słów» (kazań-traktatów), rzadko oryginalnych, częściej tłumaczonych, ale opatrywanych wstawkami miejscowemi, uczymy się nierównie więcej o dawnej wierze pogańskiej, niż z polskich kazań średniowiecznych, i dlatego przytoczymy jedno i drugie ciekawsze świadectwo w dosłownym przekładzie. Najciekawsze o *rodzie:* «bóg tchnął duszę w twarz człowiekowi, otóż to nie *Rod,* co siedząc na powietrzu grudami ciska na ziemię, w tem się dzieci rodzą». Widocznie wierzył Słowianin, że kobiety poczynają, połykając, co Rod rozrzuca; myśl nie obca i innym dzikim. O ofiarach dla zmarłych — *nawi,* czytamy:

«W święty wielki czwartek zapowiadają umarłym mięsa i mleko i jaja i łaźnie ogrzewają i na (ich) piec leją (wodę) i popiół sypią pośrodku dla słodu (śladu?) i mówią: myjcie się, i wieszają prześcieradła i ręczniki i każą się trzeć (niemi). Ale biesy śmieją się z ich nierozumu i wlazłszy myją się i babrzą się w tym popiele jak kury... i przechodzą ci, co łaźnię ogrzali, i patrzą na ślady w popiele i mówią: przychodzili do nas *nawje* myć się i cieszą się biesy: tu nam dobrze... bo tu nam zapowiadają i mięsa i sery i masło i jaja i dobre obarzanki *(plutki)* i korowaje i wielkie *mosty* i wielkie *proswiety* (oba, rodzaje ciast obrzędowych) i czasze z miodem i piwem... te mięsa zapowiadają zmarłym we czwartek

a znowu to obrzydłe zapowiadanie w niedzielę wielkanocną sami jedzą, coby jeść i psom się nie godziło».

Z innego tekstu:

«Wierzą w upiory (i martwe dzieci znaczą) i w *brzeginie* (rusałki), których liczą siedm sióstr (a inni wierzą w *Swarożyca),* ku którym ludzie głupi się modlą, i kury im rzną i to *blutiwszy* sami jedzą... o biedne kury, które rzeżą na ofiarę, a inne w wodzie topią a inne do źródeł przynosząc modlą się i w wodę rzucają... a drudzy pod gumnem i w oborach bydląt modlą się jak poganie... *mosty* czynią dla umarłych i *proswiety* i pusty wieczór i grają w *bierki* i *szachy* i przez ogień skaczą, gdy grzmi i wodę do kucji za zmarłych i stawiają na stołku i śmiecie u wrót palą w wielki czwartek, tak mówiąc: u tego ognia dusze przychodząc grzeją się... Inni wierzą w Stryboga i Dażboga i Perepluta, co obracając się piją ku niemu w rogu; inni wierzą we sny, w *kosz* (rzucanie losów?), w spotkanie, w uroki, w wróżenie, w *kobienie* (to samo, od lotu ptactwa) i amulety noszą i dzieciom zawiązują i paznogcie obciąwszy kładą i w zanadrze rzucają, a nożne na głowę i piwo warząc sól sypią do kadzi i węgiel rzucają»;

«i co żyją w dwojakiej wierze, wierząc w Pioruna i Chorsa i w Mokosz i w Sima i w Rgła i w *wiły* (rusałki), ich że liczbą trzydzieście sióstr, je wszystkie za boginie uważając i tak kładą im ofiary i kury im rzeżą; ogniowi modlą się zowiąc go *Swarożycem* i czosnek bogiem czynią; jeśli będzie u kogo uczta, to kładą go w wiadra i czasze i tak piją, ciesząc się o swych bożkach... bóg ogień, gdy żyto schnie, wtedy czyni *sporysz* (dojrzałość), dlatego czczą przeklęci południe i kłaniają się obróciwszy się na południe».

Nie było więc może co do wiary zasadniczych różnic między ich a naszą; tem znaczniejsze wnosiło położenie geograficzne. Ich siedziby przecinała bowiem wielka arterja handlowa, od ujść Wołgi i Dniepru na północ bieżąca, a to odbijało się silnie między wszelakiemi plemionami wschodniemi. Polanin nad Dnieprem był nierównie kulturalniejszy niż Wiatycz w swoich ostępach leśnych; różnica była znaczniejsza niż między Mazurem a Polaninem nad Wartą. Handel rozwinął się nierównie rychlej i obficiej niż w Polsce; on spowodował i katastrofę polityczną, bo kusił Normanów szwedzkich, kupców i zbójów, do zdobywania pewnych, stałych placówek nad tą arterją handlową,

począwszy od Nowogrodu aż do Kijowa, a z tych placówek urosło wkońcu państwo normańskie między Słowianami, którzy od nowych swych panów, zwanych z fińska Rusią, wkońcu sami tę nazwę przejęli; służyła zaś ta obca nazwa pierwotnie głównie Polanom i Kijowowi, jako podstawie normańskiego państwa, które więc, jak bułgarskie, z obcego najazdu urosło.

Najazd ten, nie podjęty jak pierwotne germańskie przez całą ludność, lecz jej elitę niby, nie zgermanizował też Słowiańszczyzny wschodniej, przyspieszył jej rozwój i wpłynął w niejednem znaczniej na jej kulturę. Bo jak i kiedy bez Normanów z luźnych szczepów Polan, Drzewian i t. d. byłoby państwo urosło, nie wiadomo; Normanowie sprzęgli odrazu i gwałtem te szczepy, narzucili im państwowość, a sami, dla zbyt małej liczby, w żywiole słowiańskim się rychło rozpłynęli, odrębności etnicznej nie dochowali, jak inni Germanie śród Romanów. I dziwnie odbijały od cichych, sennych, pokornych Słowian harde i twarde typy nordyjskie, Oleg, Igor, Olga, Światosław, Włodzimierz, którzy zysku czy zemsty chciwi, zbóje na lądzie i morzu, żadnym gwałtem czy podstępem się nie hydząc, po trupach niezliczonych, gardząc własnem życiem, z wojowniczą drużyną nordyjską łupów i sławy dobywali. Oni wprowadzili do Kijowa i Nowogrodu kult swego bożka gromu, którego Słowiańszczyzna wcale nie znała, Thora-Pioruna, nim klęli się, wystawiali jemu (i innym bogom?) posągi, składali z ludzi własnych ofiary dziękczynne, wprowadzali swoje porządki, skupiali, ugaszczali i opłacali bogatą drużynę, biesiadując z nią w wielkich halach; oni zorganizowali stały handel z Carogrodem i gdy Polska jeszcze snem odwiecznym spała, zdobywali na cesarzach romejskich przywileje handlowe, już w pierwszej połowie dziesiątego wieku. A te ścisłe związki handlowe, wojskowe i polityczne przygotowały grunt dla przyjęcia chrześcijaństwa od Wschodu i odszczepienia z tem na zawsze Rusi od Polski i Zachodu.

Na Ruś wkroczyło chrześcijaństwo inną drogą niż do Polski; to Mieszka wprowadził, tamto było o pół wieku starsze niż chrzest Włodzimierza, była już w połowie wieku gmina chrześcijańska w Kijowie, a babka, Mądra Olga, chrześcijanka, miała swego kapelana. Żywe styki z Carogrodem i z chrześcijańską oddawna Bułgarją utorowały do Kijowa drogę chrześcijaństwu, do którego i niejeden «Warjag» się garnął (Nestor opowiada o dwu Warjagach, pierwszych ruskich męczennikach za wiarę). Rozumiało się samo przez się, że nowa wiara w drodze na Bułgarję przyniesie z sobą do Kijowa język liturgiczny bułgarski, i gdy w pół wieku później i sam wielki kniaź się ochrzcił, przyszli Grecy do gotowego i nie wnieśli już własnego języka cerkiewnego, gdy u nas dla duchowieństwa łacińskiego język krajowy wcale nie istniał; liturgji słowiańskiej w Kijowie, która przed nimi już istniała, Grecy nie odmieniali.

Już w XI wieku zatarł się zupełnie wpływ normański; w drugiej tegoż połowie niema po nim ani śladu oprócz kilku imion (Oleg, Igor i in.), i kilku słów potocznych (dla *ciwuna*, sługi-urzędnika książęcego; dla *grydni*, izby służebnej; dla *jabedy*, służby państwowej; dla *knuta* i *wiry*-główszczyzny, dla *puda* i *jakora*-kotwicy). Natomiast rósł z każdym lat dziesiątkiem wpływ chrześcijaństwa wschodniego. Pomijamy powolne etyczne odrodzenie, porzucanie materjalizmu pogańskiego dla dóbr i ideałów nieziemskich, z każdem chrześcijaństwem nierozłączne; chodzi o kulturę umysłową i materjalną. Podobnie poniekąd jak w Polsce Czesi, tak na Rusi Bułgarzy, którzy od stukilkunastu lat wcześniej nawróceni dzięki Cyrylowi i Metodemu, literaturę cerkiewną w własnym utworzyli języku, służyli za pośredników między cerkwią grecką a ludem słowiańskim i Ruś przyjęła z greckiem chrześcijaństwem bułgarski język pisemny i literaturę, zdobywając bez najmniejszego własnego wysiłku bogate jej zasoby. Wprawdzie odchylał się język ruski znaczniej od bułgarskiego, ale to nie wykluczało doraźnego zrozumienia,

tem bardziej, że język nabożeństwa wszędzie chętnie od pospolitego wyróżniano. Z księgami bułgarskiemi wkroczyło więc duchowieństwo greckie do Kijowa i Nowogrodu, popierane najgoręcej przez panujących: jak u nas obcymi, tak i na Rusi obsadzano przez parę wieków biskupstwa Grekami. Ci wzniecali i rozdmuchiwali waśni wyznaniowe, Rusi pierwotnej najzupełniej obce, szczególniej od kiedy oba Kościoły ostatecznie się rozdwoiły.

I na Rusi jak w Polsce ulżyło chrześcijaństwo doli kobiety i niewolnika; trwało długo, nim się zupełnie przyjęło, śluby np. cerkiewne uchodziły długo za zbędne dla czerni, stosowne dla bojarów i książąt; praktyki pogańskie, między innemi i postrzyżyny chłopiąt, utrzymywały się mimo oporu duchowieństwa; ono zwalczało dla ascetycznego ideału bizantyńskiego najniewinniejsze nawet przyjemności życiowe, mianowicie «biesowskie» śpiewy, tańce, zabawy, widowiska szpilmanów-skomorochów, piastujących epikę narodową, którą sami wytworzyli, może nie bez przykładu normańskich skaldów, sławiących książąt i drużynę w grydni.

Z każdym wiekiem nabierało chrześcijaństwo ruskie coraz donioślejszego znaczenia, bo jeżeli mogło Rusi zagrażać niebezpieczeństwo stepowego otoczenia, mniej od Pieczeniegów-Połowców, niż od Tatarów, chrześcijaństwo je na zawsze uchyliło. Mogła krew wschodnia wsączać się w żyły narodu (jak często żenili się książęta z Połowczankami!), ale od XIII wieku odgraniczył się naród szczelnie swą wiarą od wszelkiego pogaństwa. Mogli Tatarzy zawładnąć Rusią, mogły ich porządki państwowe, wojskowe, skarbowe narzucać się jako wzory, mógł ich despotyzm i moralność orjentalna szczególniej książętom się udzielać, którzy poddawali się konieczności i rychło mistrzom się upodobnili — wiara odcięła lud od «pogaństwa» i nie zachwiała się ani na chwilę sama, a jak przeciw wschodowi, tak i przeciw zachodowi «prawowierje», później mylnie «prawosławiem»

ochrzczone, nieprzekraczalne wysunęło granice. Przyroda granic nie znała; na całej długiej linji, gdzie się polski i ruski żywioł stykały, nie było, prócz jakich nieznacznych wododziałów, żadnej wyraźnej granicy, szczególniej Małopolska i Ruś czerwona czy chełmska były terenem jednolitym, na którym jedyne wyznanie ludzi różniło. Prawosławiu swemu zawdzięczała Ruś samoistność narodową, niezachwianą ani przez Tatarów, ani przez Polskę.

Mniej korzystnie odbiło się prawosławie na kulturze umysłowej. Wprawdzie ujrzała się Ruś już w XI wieku w posiadaniu literatury, jaką się żaden naród na Zachodzie wtedy jeszcze poszczycić nie mógł, ale świetny początek nie znalazł ciągu dalszego. Bułgarja a za nią i Ruś odziedziczyły z kulturą bizantyńską jej ascetyzm, nieruchliwość, skostnienie. Olbrzymia kulturalna przeszłość Grecji chroniła ją od zupełnego upadku, i nigdy nie zrzekli się Grecy swej wysokiej kultury, ale Bułgarja-Ruś takiej przeszłości nie znały, ograniczone do jednostronnej ascezy, niedowierzające swobodzie umysłowej, badawczemu rozumowi, ponętom piękności i życia, zastąpionym przez wąski ideał mniszy, tradycję niewzruszoną, ciasny dogmat, podejrzliwość czujną, wietrzącą grzech-odstępstwo w każdej nowiznie. A do nieruchomości i płytkości przystąpił brak szkoły, któraby ćwiczyła zdolności umysłowe.

Na Zachodzie wymagał Kościół, wyłącznie łaciński, dobrej szkoły; ksiądz niemiecki czy słowiański winien był każdy początkowe szkoły przechodzić, a z biegiem czasu wyłaniały się z nich coraz wyższe, z coraz większym zakresem wiedzy. Cerkiew ruska za Włodzimierza wymagała szkoły, wysyłał do niej Włodzimierz dziatwę znakomitych ludzi, opłakiwaną przez matki jakby umarłą, ale ta wyborowa młodzież, ucząca się z ksiąg, nie przetrwała zbyt długo. Żądania się zmniejszyły rychło; jeśli syn popa czy djaka wyuczył się u ojca czytania psałterza, to już mógł się wyświęcać; o język grecki nikt nigdy nie

dbał, a w cerkiewnym (bułgarskoruskim) istniała tylko literatura duchem i treścią cerkiewna, odgradzająca się trwożliwie od znienawidzonego świata i pokus jego. Mnożyła się więc literatura poniekąd na liczbę; rzadcy mnisi ruscy, którzy się w Carogrodzie i na świętej górze, na Atosie, greki douczyli, przełożyli nieco więcej z greckich Ojców Kościoła, niż Bułgarzy, ależ tem i zakończyli. Tylko w jednej gałęzi okazali większą ruchliwość: Bałkan słowiański tak był zahypnotyzowany przez Carogród, że o jakichś własnych dziejach zupełnie zapomniał; tłumaczył mnisze kompilacje dziejów świata (przeważnie starotestamentowych dawnych i nowszych wyznaniowych), lecz ani nie pomyślał o ich uzupełnianiu dziejami własnemi, ani Bułgarzy ani Serbowie nie zdobyli się na kronikę narodową. Inaczej Ruś: żyjąc własnem życiem politycznem od najścia Normanów, daleka od Carogrodu i jego paraliżującego wpływu bezpośredniego, bogata w tradycję domową, wypiastowaną przez nagłe zetknięcie się dwu odrębnych światów, normańskiego i słowiańskiego, silna poczuciem narodowem olbrzymich swych zasobów, oparta wkońcu o wzory greckie, wydała o kilka lat wcześniej niż Polska i Czechy dzieło o początkach swych kniaziów, przyplatając je do annałów wielkiego świata chrześcijańskiego.

Tu zeszła się więc Ruś z Zachodem, ale od Polski i Czech wyróżniła się zupełnie wypielęgnowaniem osobliwszej epiki. Nie myślimy o znanej Pieśni Igorowej, sławiącej katastrofę i ocalenie siewierskiego księcia z r. 1186, bo to zupełnie odosobniony okaz, nie wolny od silnego książkowego wpływu; lecz o tej epice narodowej, która powstała w XII i XIII w., na południu, w Kijowszczyźnie, a ocalała na północy, gdzie w osobliwych warunkach do naszych dni przetrwała. Wypiastowali ją ci przez cerkiew ostro lecz daremnie prześladowani igrcy-skomorochy, co i «mietelnikami» (akrobatami, kuglarzami, niedźwiednikami) i pieśniarzami bywali. W wolnym wierszu, przy monotonnej przygrywce na gęśli, opowiadali anegdoty, nowele,

bajki, jak świat stare, a zawsze nowe, które łączyli, acz zupełnie zewnętrznie, przypadkowo, z stolnym grodem Kijowem i z najsławniejszym jego księciem, wielkim Włodzimierzem, krasnem Rusi słońcem. Czem niżej upadała Ruś pod jarzmem tatarskiem, tem wyżej wznosiła się pieśń, prawiąca stale o niesłychanych, niewidanych pogromach pogaństwa-idołów przez bohaterów prawosławnych, poświęcających się dla cerkwi, wdów i sierot, nie dla księcia i jego powagi. Czem więcej Ruś się rozdrabniała, czem liczniejsze od niej odpadały dzielnice, tem bardziej skupiała się w pieśni, która z Rjazani, z Rostowa i Muroma, z Wołynia i Halicza, z Nowogrodu ściągała bohaterów do Kijowa jedynego i zczasem nałożyła wszelkim wątkom jednolitą kijowską okrasę. Ponieważ okres kijowski był stałym okresem walk z stepowcami, więc i pieśń dawna przejęła się tą cechą i byle motyw erotyczny czy awanturniczy przebierała w jednę i tę samą szatę epiczną, wojowniczą, z dworem wielkoksiążęcym i jego biesiadami-ucztami. Ależ sam wielki książę nie był nigdy jej bohaterem ani też jakakolwiek inna postać historyczna; nieznani żadnym dziejom «anonimowi» Dobrynia, Alosza, Ilja, Dunaj, Michajło, Czuryło, Sołowiej, Waśka, Sadko, wszelakie Iwany czy Romany stawali się wodzirejami jednego lub kilku wątków, powtarzających się tradycyjnie. W tych śpiewach, nazwanych w XIX wieku bylinami, niema nic historycznego i daremne są poszukiwania, coraz z celem odnalezienia wątków czy osób historycznych podejmowane; towar to przywoźny, ale oryginalnie, po narodowemu przystrojony. Nikt nie dbał o te chłopskie pienia, chociaż ich chętnie słuchał nawet Iwan Groźny; późne kompilacje kronikarskie zaczerpywały z nich w XV i XVI wieku jednę i drugą nazwę; z końcem XVI-go i w XVIII-tym wieku zaczęto je już spisywać, w prozie i wierszu, np. dla słynnych Demidowów, a w XIX i XX wieku ocalili wszelacy zbieracze, co jeszcze w ustach ludowych «skazicieli» z dawnego, bogatszego, wdzięczniejszego

repertuaru przetrwało. Ale tylko w najniedostępniejszych kątach Rusi, na północy, od Oniegi do Archangielska i Sybiru; w środkowej i południowej Rusi nic z nich nie ocalało, nowe pieśni (kozackie dumy na Ukrainie) wyrugowały z pamięci owe dawniejsze. Mimo to powstały one na południu; dowodzi tego, prócz treści (opartej o walki z stepowcami), ich tło, wzmianki o faunie i florze, niezrozumiałe na północy. Między płodami poezji ludowej zajmują «byliny», dziś i już od wieków północnoruskie, niegdyś ogólnoruskie południowego początku, wcale zaszczytne stanowisko; można je równać z bałkańskiemi junackiemi śpiewami. Epiczna szczegółowość i plastyczność opisów, epiczne powtarzanie całych zwrotów i luźnych epitetów, barwność przemów, zajmująca treść złożyły się na bardzo wartościowy okaz epiki ludowej, zalatującej wonią stepową; nie złożyła jednak żadnej całości; brak jej umiaru artystycznego, straszna przesada razi smak nieraz. Ponieważ jednak ostateczną, dzisiejszą formę te pieśni na północy w XVI i XVII wieku otrzymały, a na południu od XVI wieku zupełnie o nich zapomniano, więc uchylamy się od szczegółowszego ich rozpatrzenia.

Tak zarysowały się wybitnie odmienne cechy w rozwoju Polski a Rusi mimo pierwotnego spólnego podłoża słowiańskiego, mimo i dalszej równości losów, np. rozbicia jedności państwowej na dzielnice, zwalczające się nawzajem. Różnica wyznaniowa z każdym wiekiem więcej ważyła; ale gdy w Polsce od XI do XIV wieku stan kultury stale się wznosił, opadał on na Rusi. Staroruska kultura stanęła w XII wieku najwyżej; najznakomitsze jej objawy, od «Nestora», od żywotów świętych pieczerskich, od kazań Cyryla Turowskiego aż do *Słowa Igorowego,* wtedy się zjawiły, a ławra (samoistny klasztor) pieczerska w Kijowie stała się rozsadnikiem kultury duchownej; z niej wychodzili władycy (biskupi) i igumeni (opaci) monasterów; ona nadawała kierunek myślom a wzory słowom; gdy

najdzielniejszy i najsympatyczniejszy z książąt dzielnicowych, Włodzimierz Monomach, spisywał «pouczenie» dla własnych synów, czy wysyłał list do wrogiego księcia, zabójcy syna jego, duch i styl ławry pieczerskiej piórem jego wodził.

Pouczenie Monomacha jest pod względem obyczajowym bardzo ciekawe; nic podobnego u nas niema, u Węgrów pod imieniem Szczepana św. coś podobnego kołuje. Wystawia najpiękniejsze świadectwo humanitarnemu sposobowi myślenia wielkiego księcia, skromnego, czynnego, pobożnego; wylicza wszelkie jego pochody: widzimy jego ciągle w drodze a łowy zabierają, jak u nas, najwięcej czasu wolnego. Tryb życia mimo wielkiej godności nadzwyczaj prosty, nic zbytkownego; zmysł rodzinny silnie się uwydatnia, ale pojęcie rodziny rozciąga książę na kraj cały. Stoi on mocno na ziemi, ascetyczne ideały późniejsze jemu jeszcze obce; chociaż wiara jego rzewna i głęboka, nie opanował go mnich i jego zaprzeczenie życia. Słowa proste a wzruszające w swej prostocie. Lecz Monomach naśladowców nie znalazł, chociaż dalej w XII wieku nie ustawał jeszcze ruch literacki; ciekawe tegoż ślady doszły nas w liście Klima Smolatycza, rozprawiającego się z przeciwnikiem, który mu zarzucał niepotrzebne mędrkowanie. O *Słowie Igorowem* zob. niżej. Kołują szeroko t. zw. Pszczoły, systematyczne zbiory aforyzmów starych i nowych, pogańskich i chrześcijańskich, przez które się i nazwy, ale tylko gołe nazwy *Omirów* (Homerów) do wiadomości staroruskiej przedostawały.

Ale ten ruch zamierał; w XIII wieku prócz legend np. o Aleksandrze newskim i *Słowa Daniłowego* (zbioru aforyzmów życiowych), co może już jak owa legenda na północy powstała, brak innych pomników.

Złożyły się na ten niedobór rozmaite przyczyny. Jedne tkwiły w samej kulturze bizantyńskiej, ulegającej w przeszczepieniu na ziemię słowiańską zupełnemu skostnieniu; nie wzniesiono się ponad raz osiągnięty poziom, powtarzano się stale,

obawiając się wszelkiej nowości, gubiąc się w marnych drobiazgach. Inne wywołały dzieje: w ciągłej walce o wielki tron książęcy kijowski tracił Kijów, jak Kraków, przechodząc z rąk do rąk własne znaczenie, ulegał plądrowaniu zwycięzców, zasuwał się powoli w cień przed nowo powstającemi grodami wielkoksiążęcemi. Jeszcze był, do końca XIV wieku, metropolita kijowski głową cerkwi ; on, nie władza wielkoksiążęca, przedstawiał jedność Rusi, ale i on opuścił Kijów i przeniósł się do Włodzimierza nad Klaźmą, a wkońcu do nowej Moskwy.

Kijów opustoszał już w XIII wieku; najazd tatarski, stokroć gorszy niż połowiecki, który się nad Małopolską tylko trzy razy przemknął, zniszczył całą Ruś południową doszczętnie; bogaty gród nie wzniósł się więcej po pogromie z r. 1241 i w późniejszych wiekach przypominał ruinami swemi już tylko bajeczną Troję. Przed bliskością najeźdźców wynosiło się co żywo na bezpieczniejszą północ; wychodźcy zabrali jednak z sobą dorobek umysłowy kijowski (posiadamy go wyłącznie w odpisach północnych; po południowych oryginałach pozostały nieliczne szczątki); z niego też wyłącznie żyła północ. Kosztem Kijowa i Siewierszczyzny urosły północne i zachodnie dzielnice; mijając północne (Suzdal, Twier, Moskwę), zaznaczamy wzrost Halicza-Włodzimierza (wołyńskiego) i Smoleńska. Ruś się ostatecznie rozpadła: wschód i północ, od Riazani do Twieri prowadził odtąd pod egidą chanów tatarskich własny, nowy żywot w odmiennych od dawniejszych warunkach na ziemi, świeżo skolonizowanej, bez tradycji, bez dawnych wieców, grodów i bojarów, pod despotycznymi coraz bardziej książętami. Zachodnie księstwa rozbite, bez więzi kijowskiej, ulegną zewnętrznej przemocy obcej, litewskiej i polskiej.

Tej tragedji ruskiej nic nie przepowiadało; przeciwnie, dzieje jej pierwotne przeznaczały jej, zdawało się, powodzenie wyjątkowe. Jeszcze w XI wieku stawała ruska flota przed Carogrodem; wychodziły księżniczki ruskie za królów Francji i ce-

sarzy Niemiec;[1] nawiedzali konungi i jarlowie nordyjscy Kijów i Nowogród; śpiewał konung swą miłość ku córce Jarosława Mądrego; wielki książę, siedząc w domu, pięć języków umiał (ojciec Monomacha); Kijów słynął z bogactw i rozmiarów na bajeczną stopę np. u Thietmara; książęta kijowscy uchodzili do Europy; zawiązywał z nimi Rzym stosunki; z Kijowem i Nowogrodem nie mógł żaden gród słowiański się równać; z Jarosławem Mądrym żaden książę słowiański w zrozumieniu i pielęgnowaniu kultury umysłowej; z cerkwiami dziesięcinną i sofijską, acz je Grecy wznieśli i zdobili, żadna budowla słowiańska.

---

[1] Wielki książę Wsewołod Jarosławicz był żonaty z córką cesarza Konstantyna Monomacha (stąd przydomek Monomacha u jego syna Włodzimierza); jedna siostra jego, Anna, była królową francuską (podpisała się własnoręcznie po rusku na łacińskim akcie z r. 1063, *Ana Ruina*, t. j. Ane Reine — o ten podpis toczyła się niedawno żywa dyskusja, którą pomijam); druga siostra była za królem węgierskim; szwagrową była Oda Stadeńska; syn, Włodzimierz Monomach, był żonaty z angielską księżniczką; córka, Eupraksja, wyszła zamąż najpierw za grafa Nordmarki Henryka z Staden, a po tegoż rychłej śmierci za cesarza Henryka IV.

Cesarz był potwornym sadystą; nieszczęsna Eupraksja (przezwana w źródłach niemieckich i Adelheidą, wedle imienia siostry Henryka), oskarżyła go publicznie przed soborem w Piacency r. 1095 o znęcanie się nad nią, opuściła go i wróciła na Ruś, gdzie po jego śmierci wstąpiła do monasteru przy Ławrze Peczerskiej i umarła r. 1109; koligacje Wsewołoda z królami Szwecji i Norwegji pomijam. Żona w. ks. Włodzimierza w bylinach (zob. niżej) nazywa się stale Eupraksją (Opraksją i t. p.),, i uchodzi zawsze za niewierną («suka wołoczajka»); historyczną Eupraksję oskarżał Henryk sam o niewierność, więc domyślano się świeżo, że bylinna Apraksja otrzymała nazwę i rolę wedle tej historycznej Eupraksji, (por. rozprawkę Rozanowa w *Izwiestijach* Akadem. Petersburskiej 1929, nr. 8, str. 607—646). Wyprawiono ją niegdyś z Kijowa z wielkim posagiem, wielbłądy w jej orszaku były objuczone wszelakiemi cennościami; metropolita kijowski, Grek, nie pochwalił jednak wydawania córek do kraju, gdzie służą przy mszy opłatkami i nie unikają jedzenia nieczystości (t. j. do kraju łacińskiego).

Ale już w XII wieku zarysował się fatalnie gmach wielkości ruskiej. Kniaziowie żenią się z Połowczankami; siły uchodzą na walkę z pasorzytem stepowym, stokroć groźniejszym niż pruski dla Polski; Kijów zdobywa się na pogromy żydowskie, ale niszczeje widocznie, traci znaczenie handlowe, bo Połowcy, inaczej niż Pieczeniegi, zatarasowali wyjście na morze; co miało być gwarancją jedności, «stół wielkoksiążęcy», stało się przyczyną jej rozbicia. Kultura umysłowa przetrwała poniekąd upadek polityczny; znalazła wyraz najwyższy w łabędziej swej pieśni, w *Słowie Igorowem,* perle literatury staroruskiej, ba, całej starosłowiańskiej. Jego autor nawoływał do jedności, zgody, patrjotyzmu; sławił świetną przeszłość a biadał nad waśnią książąt, biedą narodu, upokorzeniem Rusi; w silnych lirycznych zwrotach sprzęgał przyrodę z losami ludzkiemi; w dziwnych przenośniach stare, odwieczne tradycje z teraźniejszością kojarzył. Ale ta pieśń, to już podzwonne Kijowowi.

Kultura, którą tu wtedy osiągnięto, a która się już wyżej nie wzniosła, nosiła typ odmienny od zachodniej. Była mniej skomplikowana, bardziej demokratyczna, nie sprzyjała rozwojowi indywidualnemu, równała bardziej stany i wieki; nie odcinał się duchowny od świata świeckiego, który do głosu własnego wcale nie przychodził; literatura czem dalej tem bardziej stawała się monopolem mniszym, ascetycznym, a choć kłóciło się życie z narzuconym mu kierunkiem w praktyce, w teorji nie uznawało żadnego innego; ideałom jego było obce, nawet nienawistne zabarwienie świeckie; najwyższem pozostało marzenie, przyjąć schimę na łożu śmierci, w odzieży mniszej zjawić się przed sądem Bożym. Narzuciło to życiu ruskiemu dziwną jednostronność, cerkiew zawładła mirem-światem i gdy Europa wydobywała się z pod jarzma teokracji, Ruś w niem coraz głębiej grzęzła, a prawosławie strzegło jej granic nierównie skuteczniej niż wszelkie «zastawy»; różnorodność życiowa powoli zasychała; pieczęć błahoczynja piętnowała coraz

wyłączniej tryb życia i myśli. Jeden język i pismo, jeden pogląd na świat, niebawem jedna i tasama niewiedza zapanowały na całej Rusi; więź polityczna się rozluźniła, wzmogła duchowa. Wielki tron książęcy w Kijowie stał się mitem; wysunięte najdalej na zachód Halicz i Wołyń odbiły się od niego zupełnie, weszły w nowe, ścisłe stosunki z Węgrami i Polską, osiągnęły pod Danilą i Wasilkiem w XIII wieku mimo grozy tatarskiej, której się nie uchylały, której służyły wiernie, znaczny stopień ogłady, której wyrazem świetna kronika halicko-wołyńska, nierównie barwniejsza niż dawna kijowska (Nestorowa) i nie wyłącznie ideałami mniszemi zaprzątnięta; powstawały grody, Lwów między innemi, kniaziowie ściągali do nich obcych, pierwszych Niemców, pozornie z Zachodem się zmawiali, otrzymywali koronę z Rzymu, lecz nieufności wobec Zachodu nie porzucali. W wieku XIII stał Halicz-Wołyń na czele Rusi, bo świat zachodni ani przeczuwał, że na dalekim Wschodzie formowały się nowe ośrodki, co zczasem całą Ruś ku sobie przeciągną. Ale w Haliczu szczególniej, przechodzącym z rąk do rąk węgierskich, polskich, ruskich, wybiło się bojarstwo domowe, szafujące dzielnicą, do osobliwszego znaczenia, którego słabi następcy Daniły i Wasilka poderwać nie zdołali. Gdy na wschodzie książę-despota na ziemi dziewiczej po swojemu stosunki urządzał, nie pytając nikogo o radę i wielkie państwo przygotował, na Rusi halickiej drugi ekstrem, despotyzm bojarski, nie pytający o kniaziów, kraj osłabił i wydał wkońcu Polsce na zabór.

Sam lud żył wedle tradycji, zabudowywał się, żywił, nosił po dawnemu, staroświeckiemu (długie szaty-kaftany; broda, co go od Połowca różniła); sycił miody i warzył piwa, hulał na weselach-swaćbach i w pewne pory roku, szczególniej około godów (Bożego Narodzenia) i na Wielkanoc; młodzież zielone świątki-rusalje pieśniami i chorowodami sławiła, witając wiosnę i lato, a późną jesienią i zimą schadzając się na wieczorni-

cach; karczma na razie nie była ośrodkiem wiejskim; większa zamożność umożliwiała większą samodzielność; popa szanowano tylko w cerkwi, czerniec (mnich) nierównie rzadszy niż na Zachodzie, nierównie większej zażywał powagi; ziemia była urodzajna, posługi i daniny nie wygórowane; lud na wiecach domagał się nieraz udziału w rządach, zsadzał książąt, a bojarzy-starszyzna majątkiem swoim i rodem przygniatali księcia; urzędnicy książęcy, od ciwunów do tysiackich i wojewodów (nierównie mniej znaczących niż polscy), nie zawsze, szczególniej wobec bojarów-szlachty rodowitej, powagę utrzymywali. Despota Roman halicki porównywał bojarów do pszczół, które wydusić winien, kto chce miód podbierać, i zasłynął też swemi okrucieństwami. Najście Tatarów wstrząsnęło narazie silnie tą budową, ale Halicz nie Kijów, nie był bezpośrednio wystawiony na ucisk stepowców i ostrożna polityka kniaziów, wszelki konflikt łagodząca ustępstwami, zapewniła Haliczowi i Wołyniowi stosunkową swobodę u baskaków (wybierających dań chańską); cerkwi Tatar i tak z zasady nie ruszał, sam bezwyznaniowiec niemal, chętnie ją popierał, uznając jej wpływy i otaczając ją opieką, aby tem spokojniej i pewniej Rusią władał. W cerkwiach i ikonach (obrazach) panowała wyłącznie sztuka bizantyńska i kronikom ruskim zawdzięczamy niejeden opis ich wystawności.

Wiek XIII kończył się na Rusi inaczej niż w Polsce; tu dzięki Zachodowi zapowiadał się postęp i kultura; tam zabagnienie, w najlepszym razie niewychylenie się poza raz osiągnięty poziom, a każdy taki zastój mści się cofnięciem. Nie przyświecał temu życiu ruskiemu już żaden nowy ideał; ucisk tatarski powoli się zmniejszał, skoro hordy same między sobą walki nieustanne toczyły, ale władza książęca słabła, życie umysłowe nie zaznało najmniejszego nowego impulsu; tradycje dawnej wielkości ginęły; Halicz i Wołyń wyodrębniły się tak jak zachodnio-ruskie (białoruskiemi później, litewskiemi wkońcu prze-

zwane) dzielnice, aby ulec tem pewniej obcemu naporowi. Ale zespolił się lud z swoją cerkwią i od niej, a właściwie od Greków, przejął się wstrętem przeciw łacińskiwu. Już kronikarz jego streścił we mniemanej przemowie do Włodzimierza W. te greckie oskarżenia herezyj łacińskich, ale jakież one naiwne i dziecinne: że Łacinnicy ziemię macierzą (materją!) wprawdzie zwą (chyba niebo ich ojcem), przecież na nią plują; krzyż na posadzce kreślą i po nim depcą; księża to jednę to siedm żon mają (konkubinat), grzechy za wziątki odpuszczają i t. d. W jakie czterdzieści lat później wzywał biskup krakowski, Mateusz, św. Bernarda, by misji wschodniej się podjął, bo myślał, czy nie dałoby się wykorzenić «impios Ruthenorum ritus atque observantias» (t. j. nie sam obrządek, ale obrzędy i zwyczaje); ale biskup nie wdaje się w szczegóły, wedle niego

«lud ruski reguł prawej wiary i ustaw prawdziwej religji nie chowa, nie bacząc, że poza Kościołem katolickim niema miejsca prawdziwej ofiary św., i nietylko w ofiarze Ciała Pańskiego (chodzi widocznie o przyjmowanie pod obiema postaciami), ale w odrzucaniu małżeństw (lekkość rozwodów) i we chrzcie powtórnym (łacinników) i w innych a innych sakramentach kościelnych brzydko błądzi; nie chce się zgadzać ani z łacińskim ani z greckim (?) Kościołem, ale oddzielnie od obu w szafowaniu sakramentami udziału nie bierze».

Tak zapowiadają się przyszłe walki wyznaniowe i oba przeciwne stanowiska; już w XIII wieku ustalał się u ruskich «książników» dla «Lachów» ten sam, co dla Tatarów, przydomek «bezbożni» — kniaziowie sami inaczej się na to zapatrywali i przez cały wiek XIII kumali się, np. Romanowicze z Konradem Mazowieckim i synami; zatargi graniczne zgodnie załatwiano. Bardziej odgraniczali się ludzie, różniła ich już odzież i noszenie włosów: r. 1249 wołają Polacy na siebie: uderzmy na brodaczów Wasilkowych, a Wasilko im odrzuca: kłamiecie; w tej to bitwie szli do boju Polacy «krlesz pojuszcze» (śpiewając kirieeleison? czy może już *Bogurodzicę?* arcywątpliwe) i był wielki ryk w ich szeregach. Rzadko odzywa się w kronikach

ruskich jakiś głos uznania, zawsze jeszcze w XIII wieku możliwy, np. sympatyczne wspomnienie o Bolesławie Wstydliwym; ale oślepienie i wygnanie Piotrka Włosta na Ruś zapisał kronikarz jako słuszną karę za zdradę i wykradzenie Wołodara przez Piotrka.[1] Antagonizm widocznie rośnie, lecz postępuje od dołu; mniejszy przeciw Mazowszu, silniejszy przeciw Małopolsce (o ziemię lubelską); mnich peczerski widzi djabła w stroju lackim; legenda peczerska o mnichu Mojseju «Węgrzynie» (nie koniecznie «z Rusi węgierskiej») opowiada, jak Chrobry uwiódł go z sobą do Polski z monasteru; ujrzała niewolnika piękna, młoda, bogata Polka, wdowa, w łaskach u Chrobrego, zapłonęła szaloną miłością do pięknego niewolnika, kupiła go i kusiła na wsze sposoby, miał zostać jej mężem, a gdy go po dobremu zniewolić nie mogła, dręczyła go, morzyła i skatowała; dopiero bunt czerni 1037 r. uwolnił go z jej rąk i wrócił do monasteru. Legenda fantastyczna tchnie niedwuznaczną niechęcią przeciw Polsce samej. Nie było jej na razie na wyżynach społeczeństwa; świadkiem tego liczne ożenki książąt polskich (i Piotrka Własta), nawet śląskich z Rurykównami; o wiele mniej liczne ze strony Rurykowiczów samych, którzy jednak z pomocy lackiej chętnie korzystali (Roman i jego synowie, nie mówiąc o dawniejszych, począwszy od zięcia Chrobrego, Świętopełka); przysłużył się jednak i Jarosław Mądry znacznie swemu zięciowi (nie szwagrowi! jak kronika mylnie twierdzi), Kazimierzowi.

---

[1] W późnych źródłach polskich zapisano bajkę o rozruchu niewolników, korzystających z wyprawy ruskiej Szczodrego z r. 1078/9 i z nieobecności «panów», przeciw panom, którzy na wieść o tem Szczodrego do powrotu zmusili i bunt poskromili — jest to motyw ogólno-europejski; w Nowogrodzie Wielkim bojarzy batami takichże chłopów zwalczyli. Z dziejów polskich należy tę bajkę zupełnie skreślić i nie wciągać jej do konfliktu z biskupem krakowskim.

## PRUSOWIE

Całą północ Polski zaległy szczepy barbarzyńskie, Prusowie i Jaćwingowie (z ruska, zbiorowe, Jaćwież), za nimi równie dzika Litwa, a za nią równa jej Łotwa, lecz tę poznała Polska dopiero w drugiej połowie XVI wieku. Jeden to wielki pień aryjski, rozszczepiony na czworo; Jaćwingowie pierwsi, już w końcu XIII wieku, wytępieni mieczem polskim i ruskim, znikli; za nimi Prusowie w marnych ostatkach dożyli XVI i XVII wieku, gdy Litwa (w znacznie uszczuplonych miedzach) i Łotwa, acz zmniejszona, do dziś przetrwały. U Prusów (nazwa pojawia się od końca X wieku jako ogólna) były liczne mniejsze szczepy (dwa z nich, Golędź i Sudawów, wymienił już Ptolomeusz w II wieku po Chr.), każdy pod wielu królikami, dowodzącymi śród walki i przewodniczącymi na wiecach; do organizacji wszystkich spółplemieńców nie doszło; tak samo było u Jaćwingów i Łotwy. Na Litwie nie znamy więcej szczepów, dzielił się tylko kraj za górną, Aukstote *(auksztas* 'wysoki'), i dolną, Żemaite, Żmojdź = Żmudź (od *żemas* 'niski'); poddziały łotewskie pomijamy. Prusowie siedzieli nad Bałtykiem już od Nar. Chr., więc chyba i Litwa za nimi nadciągnęła: niegdyś siedzieli widocznie dalej na wschodzie i tam się z Finami stykali, z jedyną ich zdobyczą kulturalną, bo języki fińskie wszystkie wykazują znaczny poczet słów kulturalnych, jakie od Arjów-Litwinów poprzejmowały; wzamian udzielili Finowie Litwie nadzwyczaj mało, chyba u Łotwy nieco więcej pożyczek fińskich; o stosunku z Prasłowianami patrz wyżej. Kraj sam jest ciągiem dalszym owej nizinnej równiny średnioeuropejskiej i pojezierza bałtyckiego, kraj przelicznych jezior i pagórków leśnych z nad dolnego Niemna, z klimatem u Litwy bardziej surowym, niż u Prusów (dla ich siedzib nadmorskich); ziemi uprawnej było niewiele, Prusowie pomagali sobie morzem, ich wyprawy sięgały aż Birki szwedzkiej; Litwa i Łotwa stroniły od

morza troskliwie, tylko Żmudź dla swego położenia wystawiona była na odwiedziny kupców-wikingów nordyjskich, sama ich nie odwzajemniała; groby żmudzkie wykazują też nierównie większe bogactwo niż litewskie (z Auksztoty, od Trok i Wilna), rażące swem ubóstwem; to samo dotyczy grodzisk-piłkalń żmudzkich i auksztoskich, o czem patrz wyżej.

Prusowie, Jaćwingowie, Litwa zachowali najdłużej swoje pogaństwo; ich uporczywość prześcignęła pomorską i lucicką nawet; mamy też o niem bezpośrednie świadectwa, skąpe z dawnych czasów, coraz wymowniejsze, gdy z XVI wieku pochodzą, jedne autentyczne, drugie aż nadto wątpliwe. I tak np. autorowie agendy pruskiej z r. 1530 wyliczyli główne bóstwa pruskie, ale popletli przytem niestworzone rzeczy, wwiedzeni w błąd przez głupiego *tołka* (tłumacza), który pytających nie rozumiał dobrze; jest to niby odpowiednik do Długoszowej relacji o bóstwach polskich — najnowsza próba ocalenia najgłówniejszej tego «katalogu» pozycji dowodzi tylko zupełnej nieznajomości rzeczy. Kult przyrody, może jeszcze nie zbyt antropomorficzny, kult ognia występował najbardziej, kult ognia ziemskiego i niebieskiego (gromu, Perkuna-pioruna); posiadamy też kilka mitów, dosyć prymitywnych, gdy u Słowian żadnych niemal nie znamy. Obok bożka głównego była moc mniejszych, rządzących każdy swoim wydziałem, co w XVI wieku na Żmudzi aż śmiesznej drobiazgowości nabrało; ale rzecz o mitologji litewskiej i żmudzkiej odkładamy do następnych rozdziałów, tu tylko o pruskiej mowa.

Jedno bóstwo, owego Kurke po żniwach raz w rok tworzonego i czczonego, wyżej z powodu naszych obrzędów żniwiarskich wymieniliśmy; kilka innych przytaczają źródła późniejsze, o nazwach nam niezrozumiałych, może i nieco przekręconych. Kult był głównie kultem przyrody, obchodzony w gajach, pod drzewami, u źródeł, rzek i jezior; osobliwszy wygląd drzewa (rozszczepienie i t. p.) wskazywał siedzibę bóstwa.

Stronili od obcych, przekonani, że dla takich przybyszów innej wiary «ziemia im wyjałowieje, drzewa się owocem nie pokryją, nowego przypłodku nie będzie, przestarzały dobytek nie wymrze»; dlatego kazali św. Wojciechowi kraj natychmiast opuścić. R. 1249 główny upór pogaństwa był już złamany, wielkie bóstwa porzucone i tylko owego żniwowego się jeszcze trzymano ze względów gospodarczych, ale ten sam dokument legata papieskiego Jakuba wymienia rzecz nierównie ciekawszą. Nawróceni Pomezani, Warmi (stąd nazwa Warmji), Natangowie (szczepy pruskie) obiecali, że nadal nie będą zmarłych palić ani grzebać w bogatym rynsztunku z ludźmi lub końmi, że *tulisze* albo *ligasze* (niby śpiewacy) nie będą wychwalali (u stosu? przy stypie-*sermenie?)* czynów nieludzkich zmarłego (ilu chrześcijan zabił czy pojmał) i stateczności jego pogaństwa, aż wkońcu zachwyceni niby, patrząc w niebo, głosili, jak go widzą konno, w świecącej zbroi, z sokołem na ręku, na czele orszaku, pędzącego w świat daleki przodków. Tak podtrzymywali ci pieśniarze fanatyzm religijny: nie było między Litwinami Wallenroda Mickiewiczowego, był zato między Prusami, np. taki Henryk Monte, chrześcijanin za młodu w Magdeburgu, zbieg i najsroższy tępiciel chrześcijaństwa. Nie inaczej było u Jaćwingów, z szalonem ich męstwem, gdy dziesięciu rzucało się na stu, gdy poświęcali życie swych zakładników, wierząc, że się odrodzą dzielniejsi. Prusowie i Jaćwingowie, wywabieni napadami polskiemi z niedostępnych (prócz twardej zimy) puszcz, mścili się strasznemi najadami, o których nawet papież światu głosił. Ale rychło stępiał ich miecz, tem bardziej, że i między sobą walczyli; sama krwawa zemsta rodowa, święty ich obowiązek, przerzedzała ich szeregi i jeszcze wiele rychlej niż Prusowie, którzy do XVII wieku w nielicznych szczątkach dotrwali, zniknęła cała Jaćwież z swego niegdyś «Podlasza». Kapłani pruscy zażywali większego wpływu u nich, niż kapłani u Rusi i Polski, bo strasznie przesądni, wszystko od wróżb i wieszczeń z ofiar czy-

nili zawisłem; przynosili bogom i żywe ofiary z jeńców wojennych. Czcili dusze przodków; może i one ucieleśniały się im w wężu domowym, stróżu ogniska i dobrobytu. Było u nich coś w rodzaju powrotu na ziemi w kształcie szlachetniejszym czy podlejszym wedle zasługi. Odznaczali się fanatycznem przywiązaniem, nie tak do ziemi, jak do tradycji, do trybu ojców; w jego obronie nie przywiązywali wagi do życia, chociaż przesadą tchnie, co Arabowie o zawziętej waleczności Prusów prawią, że się w pojedynkę na wroga rzucają i giną.

Żyli bez «królów», bez grodów; Truzo (Solanka?) nad jeziorem tej nazwy było głównem, może jedynem miejscem handlowem, dokąd i z Danji i Szwecji handlarze zjeżdżali; swe córki im sprzedawali albo zabijali; wielożeństwo znali, syn dziedziczył po ojcu jego żony. Los kobiet był nadto upośledzony, nie zasiadały nawet razem do stołu. Żyli nadzwyczaj skromnie, tylko dla gościa wysadzali się na zbytek, szczególniej w napojach, gdzie wszelkie miary wszyscy, i kobiety, przekraczali; upijali się obok miodu i piwa kumysem. Uchodzili za nader ludzkich, oni jedyni w całej Europie nie znęcali się nad rozbitkami morskimi, owszem ratowali ich i gościli; dopiero napady chrześcijan wywabiły ich z lasów i błot i rzuciły na Polskę, ale i te wyprawy coraz ponawiane nie doprowadziły u nich do jakiejś organizacji i Zakon miał nader ułatwione zadanie, sprzątając jeden szczep po drugim, przyczem nędzne uzbrojenie, brak sztuki wojennej (nie zdołali zdobyć najmniejszej twierdzy krzyżackiej, chyba że ją ogłodzili), wobec zakutego w żelazo krzyżaka strasznie ich upośledzały.

Mimo odcięcia od świata oddziałały na Prusów wyższa kultura Polski i Pomorza; dowody przedstawia język, znany nam z słownika czternastowiecznego i z przekładów luterskiego katechizmu. Obfitował w polonizmy; prawda, wobec bliskości polszczyzny i pomorszczyzny, trudno rozstrzygnąć, co się do Prusów dostało z poza Wisły, od Pomorza, z którem były

związki, a co od Kujaw i Mazowsza. Słownictwo kościelne jest zupełnie polskie, *madlit, grikis, dusi, nadele* i *ponadele* (niedziela, poniedziałek), *salubs* (ślub) i t. d.; ależ i każdy inny dział przesiany polskiemi czy pomorskiemi wyrazami, którym nadawano specjalnie pruskie brzmienia, tak że łudzą na pierwszy rzut oka, wydają się rodzimemi, np. *gena* (żona, gdy jeszcze żeną była, a więc przed XII wiekiem pożyczone), *kekulis* 'czechel', *peisat* 'pisać' (Prusin nie mógł pojąć, jak można się z nieobecnym komunikować, sam karbami lub węzłami uprawiał niezbędne liczenie np. terminu), *zomukis* 'zamek', *karkis* 'korzkiew' (łyżka), *wumbaris* 'węborek'), *kurtis* 'chart', *kurwis* karw (wół), *sweriapis* 'świerzep' (stadnik), *kukore* 'kucharz', *rukai* 'rucho' (szata) i t. d. Największe zaciekawienie budzą pożyczki nazw stanu, *walduiko* 'włodyka' (rycerz), *witing* 'wiciądz' (woj, rycerz), *zuponi* 'żupani' (pani; my sami zapomnieli tę prastarą nazwę, dowód, do jak wczesnych stosunkowo czasów te pożyczki pruskie sięgają), *talokininkas* 'chłop, co w tłoce bierze udział' i t. d. Prusowie, to pierwsza placówka kulturalna, którą Polska bez oręża zdobyła; że nazwy bydła, narzędzi, kruszców, roślinne, gospodarskie od polonizmów z za Drwęcy i Ossy się roją, wystarczy podkreślić. To samo powtórzyło się na Litwie od strony Rusi, *karalius* 'korol', *bajoras* 'bojar' (do dziś jedyna u nich dla szlachty nazwa), *tiwunas* 'ciwun' (urzędnik), całe słownictwo kościelne, od *bażniczia*, bożnicy 'kościoła' począwszy aż do świąt (*Błowiuseszi* = błahowiestije 'Nawiedzenie N. P. M.'; *wełykos* 'wełykdeń' (wielkanoc) i dni tygodniowych i nieskończony szereg wszelakich rzeczowników głównie, wpływ ten jeszcze dosadniej malują, bośmy co do pruskiego tylko do paru ubogich źródeł ograniczeni, gdy litewszczyznę całą ogarniamy.

Nie dziw więc, że w r. 1249 w umowie między Zakonem a Prusami wobec legata papieskiego Prusowie, gdy im zostawiono wolność wyboru, oświadczyli się za przyjęciem prawa pol-

skiego. Miała więc Polska wszelakie widoki zdobycia tego kraju dla swojej kultury, zdobycia pokojowego, powolnego; wezwanie Zakonu to uniemożliwiło, tylko część Prusów nieznaczna uległa spolonizowaniu; część kraju znaczniejsza przez kolonizację późniejszą «mazurom» przypadła. Nawrócenie Prusów do chrześcijaństwa, rozpoczęte przez mnichów łekneńskich, Chrystjana, pierwszego biskupa pruskiego, i Filipa, z którymi Pomorze z klasztoru oliwskiego zawodniczyło, byłoby również dziełem polskiem i rozszerzeniem Kościoła polskiego, ale i ten rozwój przeciął Zakon, który odtąd pilnie zabiegał, żeby się nie powodziło i innym planom kościelnym polskim, misjom i biskupstwom między Jaćwingami i Litwinami, urządzanym przez dominikanów polskich, wspieranym przez papieży: bo warowali sobie te ziemie dla swego miecza.

Nim posiew kultury polskiej przez Krzyżaków zmarniał, nastąpiło w drugiej połowie XIII wieku (po części i nieco wcześniej) dobrowolne przesiedlanie wszelakich Prusów do Wielkopolski, na Kujawy i Mazowsze. Wprawdzie nazwy miejscowe jak Prusy, Prusiec, Prusce wskazują jeńców, ale już Prusinowo nie jeńca, lecz właściciela oznacza; jeńcami mogli być i *Pruteni nostri*, jak ich biskup poznański r. 1288 (we dwu wsiach pod Biechowem) nazywał. Co innego szlachta herbu Prus (i jego odmian, Waga, Wilczekosy, Napora, Turzyna, Słubica). Jeżelibyśmy nie wierzyli wcale Długoszowi, że to niegdyś trzej książęta pruscy schronili się przed zemstą do Polski, to nierównie wymowniej świadczą o pruskiem pochodzeniu przydomki wszelakich h. Prusów, co się nieraz do końca XVI wieku utrzymały; zbiór tych przydomków u ks. Kozierowskiego[1] przedstawia niby słownik staropruski, nie brak nawet owych śpiewaków obrzędowych, których wyżej wymieniliśmy, *Ligaszów* (z czego w XV i XVI wieku *Ligaszcze)* i *Tuliszów* (ci tylko

[1] *Slavia Occidentalis* III—IV, 1925, str. 98—105.

w nazwach miejscowych ocaleli, *Tuliszów, Tuliszki),* a zresztą *Narwoty, Nartułty* (z owem mylnem *ł* jak w nazwie *Witołda), Majnoty, Łabuna, Gedeity* z Kobylina (dziś jeszcze *Kobylino Jedyty* w Ciechanowskiem), *Rukała* Prutenus, *Ramota* i t. d. To rzuca nieco inne światło na polskopruskie stosunki, których niemoc dzielnicowa nie wykorzystała. O pożyczce polskiej z pruskiego zob. niżej.

## LITWA

Czego się Prusowie nie dobili, organizacji państwowej, dokonała Litwa za Mindowga; natomiast kultura pierwotnej Litwy była niemniej uboga niż pruska. Prawda, doniesienia o niej takiego Stryjkowskiego przesadne bardzo; niby to Litwa tylko miotełkami brzozowemi i dębiną (korą i 'wienikami', miotełkami do łaźni) dań książętom ruskim opłacała i w takiej niewoli u nich jęczała, że nimi Roman jak wołami orał. Byłyż w tej kulturze różnice nawet; Żmudź stała wyżej, była, jak wykopaliska świadczą, bogatsza; w kraju pełnym jezior urządzali Litwini nawet brody tajemne, kamieniami wykładane (t. zw. kolgrindy), któremi napaściom krzyżackim niby cudem uchodzili. Ale jak pruska, tak i litewska kultura pogańska ani na chwilę wobec chrześcijańskiej, ruskiej, utrzymać się nie mogła i już do pogańskiej Litwy wdzierały się niepowstrzymanie ruski obyczaj, pismo, urzędy — zupełnie nią jednak dopiero w następnym okresie zawładły (zob. niżej).

Jakaś władza jakiegoś starszego księcia litewskiego nad innymi wyłoniła się chyba, inaczej niż u Prusów i Jaćwingów, ani wspominając o Łotwie, w ciągu walk z Rusią, napadającą Litwę i Łotwę, nawet Estonję (założenie Jurjewa-Dorpatu przez Jarosława Mądrego-Jurja). Już bowiem w drugiej połowie XII wieku zaciężył jakiś wpływ litewski nad okalającą Rusią Białą i Czarną, nad Połockiem i Mińskiem, nad Nowogródkiem i Grodnem. Gdy Jaćwingowie na swych wyprawach zbójeckich

tylko łupy uprowadzali, szerzyła Litwa wpływy i panowanie śród owych najbliższych, rozróżnionych, bezsilnych więc księstw, same łupy tylko z bogatych ziem pskowskich i nowogrodzkich wybierając; takie same czysto łupieskie wyprawy urządzała Litwa w XIII wieku na Mazowsze i Małopolskę, spaliła r. 1262 Płock (czy nie przy tej sposobności uwiozła Litwa drzwi płockie, owe wrota korsuńskie, które odsprzedałaby Nowogrodowi?), a powtarzała je od r. 1266 do 1278, docierając aż pod Łęczycę! Jeszcze gorzej Inflanty napastowała, że ludzie, opuściwszy domy, nie wychylali się z pod kryjówek leśnych. Przeprawiając się przez Dźwinę u Grodziska, Carogradu, rzucała się Litwa na Ruś, Łotwę i Liwów, «i uciekała Ruś przez lasy i wsi przed obliczem choć nielicznej Litwy, jak uciekają zające przed obliczem strzelców, a Liwowie i Łotwa byli pokarmem i pożywieniem Litwy i jako owce w paszczy wilków, gdy są bez pasterza» (słowa świadka spółczesnego).

Kronika ruska wymieniała pod r. 1219 jakiegoś starszego księcia między kilkunastu innymi, ale nie on (Żywinbut), lecz Mindowg dokonał podstępami, zdradą, siłą, przekupstwem zjednoczenia Litwy; r. 1219 jest siedmiu książąt Rjuszkowiców, niebawem wszyscy służą Mindowgowi; on wymordował ród Bułów «i począł panować jeden w całej ziemi litewskiej i począł bardzo hardzieć i uniósł się sławą i wobec siebie nie cenił nikogo». Ten energiczny władca, poświęcający dla swoich celów Żmudź, łudzący papieża obietnicą chrześcijaństwa dla uzyskania korony, a Krzyżaków zapisami wszelakiemi, padł wprawdzie pod mieczami zemsty rodzinnej, i silne burze wstrząsały nowem państwem do głębi, ale ocaliła je nieudolność książąt ruskich i niemoc polskich i po najrozmaitszych przejściach ustalił je Gedymin na nowo, ale ten wzrost materjalny i kulturalny Litwy należy już do następnego wieku; przy nim omówimy też pogaństwo litewskie, opierając się o źródła piętnasto-

wieczne; tu wspomnimy tylko, co kronikarz ruski spółczesny o Mindowgu zapisał:

«Rzymski chrzest Mindowga był obłudny; składał on ofiary dalej bogom swoim pokryjomu, pierwszemu Nonadiejowi i Telaweli i Diwerikzu, zajęczemu bogu Medejnu. Jeśli wyjeżdżał na pole i wybiegał zając na pole, nie wchodził w las gęstwy wewnątrz i nie śmiał ani prętu ułomić i bogom swoim ofiarował i ciała zmarłych palił i swe pogaństwo jawnie czynił».

Drugie spółczesne źródło ruskie, opowiedziawszy mit litewski o niejakim Sowiju (niewyjaśnione nazwisko), mit uzasadniający palenie zmarłych, dodaje, że ten Sowij wwiódł w Litwę zwyczaj «przynosić ofiarę obrzydłym bogom Andajewi i Perkunowi, t. j. gromowi i Żworunie, t. j. suce i Telaweli z jego kuźnią, gdy skował słońce, żeby świeciło po ziemi, i wrzucił słońce na niebo». *Nonadieja* czyli *Andaja* nie sposób odgadnąć, ani jak imię brzmiało, ani co znaczyło, lecz por. str. 354; *Teliawel* jest zepsute z *Kalwel* 'kowal'; Żworuna jest *Żwerine* 'bogini zwierzyny', niby Diana jakaś, tu pogardliwie 'suką' wyłożona; *Diweriks* najprawdopodobniej *'Diewo rykszte'* (rózga Boga, t. j. tęcza, Litwin ją do dziś *ora rykszte,* 'rózgą powietrza' zowie), a *Medejn* jest Silvanus *(medis* 'las'). Tak wyglądała istotna mitologja litewska, bez Mild i Anafielasów; por. niżej. O Litwie samej, o władzy książąt, o ludzie i jego cechach zob. niżej.

## BIBLJOGRAFJA

Dzieła rosyjskie, których liczba nieskończona, pomijam zupełnie. Z ukraińskich wystarczy wymienić olbrzymie dzieło Michała Hruszewskiego, *Istorija Ukrainy-Rusy,* dotąd ośm sporych tomów (pierwszy wyszedł i w przekładzie niemieckim, Lipsk 1905), dokonane z olbrzymim nakładem pracy i wiedzy, w duchu nacjonalistycznym; to samo powiem o jego *Istoriji ukrainskoj literatury,* dotąd pięć tomów, Kijów 1925

i nn. Krótsze znaczniej: M. Woznjak, *Istorija ukrainskoji literatury*, Lwów 1920 i nn.

Z dzieł polskich: Fel. Koneczny, *Dzieje Rosji*, tom I (do roku 1449), Kraków 1917. A. Brückner, *Historja literatury rosyjskiej*, dwa tomy, Lwów 1921. A. Fischer, *Rusini. Zarys etnografji Rusi*, Lwów 1928; por. wyżej str. 131. A. Wanczura, *Szkolnictwo dawnej Rusi*, Lwów 1921.

Z dzieł niemieckich wystarczy wymienić Th. Schiemann, *Geschichte von Russland, Polen und Livland*, Lipsk 1887 i K. Stählin, *Geschichte Russlands von den Anfängen bis zur Gegenwart*. Erster Band (do Piotra W.), Stuttgart 1923.

Dla Prusów i Litwy: Lohmeyer, *Geschichte von Ost- und Westpreussen*, Gotha 1908. A. Brückner, *Starożytna Litwa. Ludy i Bogi, szkice historyczne i mitologiczne*, Warszawa 1909. Ant. Mierzyński, *Źródła do mitologji litewskiej. Od Tacyta do końca XIII wieku*. Warszawa 1892; *Część druga, wiek XIV i XV*, 1896 (niedokończone, brak Długosza i in.). L. Kolankowski, *Dzieje Litwy za Jagiellonów*, Lwów 1930.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

# WIEKI CZTERNASTY I PIĘTNASTY. — PAŃSTWO I KOŚCIÓŁ

Źródła. — Tło dziejowe. — Kazimierz Wielki. — Szlachta. — Przywileje. — Cechy stanowe. — Duchowieństwo. — Husytyzm. — Udział w soborach. — Typy duchowne. — Kościół polski. — Życie kleru. — Kaznodziejstwo. — Bibljografja.

## ŹRÓDŁA

Dla XIV i XV wieku płyną źródła domowe obficie, ale nie w równej mierze. Dla czasów Łokietkowych i Kazimierzowych brak kronik i listów; dokumentów coraz więcej. Od Janka z Czarnkowa a dalej od Długosza idzie ciągły, pragmatyczny opis wypadków, a zarazem od końca wieku XIV, od jego lat ośmdziesiątych, zaczynają się zapiski sądów ziemskich, od początku XV wieku zapiski sądów konsystorskich. Te dwa rodzaje zapisek różniły się znacznie; w sądach ziemskich i grodzkich zapisywano wszelkie sprawy króciutko: nazwiska powoda i oskarżonego, rota przysięgi składanej przez stronę, bardzo często tylko zapiska o niestawieniu się stron. Sądy duchowne natomiast protokołowały najstaranniej wszelkie zeznania i liczą w druku nieraz dla jednej sprawy, którąby sądy świeckie w kilku wierszach odprawiły, kilka stronic wielkiego formatu; one też pozwalają nierównie głębiej wglądnąć w życie towarzyskie, chociaż nigdy nie należy zapominać, że zapiski sądowe zbyt jednostronnie to życie oświetlają.

Wypada wymienić wydawnictwa tych, co poświęcali czas i trud niewdzięcznemu przeglądaniu tomów tych zapisek, aby z nich wydobyć, co ciekawsze. Bo przedrukowywać je w całości, jak to np. dla sądów mazowieckich zrobiono, mija się z celem; te ich trzy tomy wielkiego formatu można na kilkadziesiąt co najwyżej stronicach streścić, nawet rot polskich nie warto wszystkich drukować; wobec mnóstwa tego, co z owego wieku pozostało, należy się zadowalać samemi wyciągami.

Z. A. Helcel wydał w sporym tomie zapiski krakowskie; wybór ich dokonany umiejętną ręką; Fr. Piekosiński ogłosił podobny wybór zapisek poznańskich i sandomierskich; najstarsze księgi grodzkie wielkopolskie wydał w całości Lekszycki, brzeskokujawskie Kochanowski, łęczyckie Pawiński, czerwonoruskie (sanockie i t. d.) K. Liske, zastąpiony przez innych po przedwczesnym zgonie. Bolesław Ulanowski wydał najciekawsze akta konsystorskie i kapitulne, z olbrzymim nakładem pracy, ale i te akta grzeszą jednostronnością, bo przeważają w nich spory dziesięcinne, jak w aktach sądów świeckich sprawy majątkowe (sprzedaż, zastaw, zeznanie długów).

Do zapisek przybywają rachunki miejskie i dworskie, listy, pisma polityczne, mowy, traktaty, biografje, wiersze satyryczne; kazania wreszcie, jeśli, nie zadowalając się alegorją i etyką, wplatają wycieczki niemal osobiste, oskarżające spółczesnych o wszelakie nadużycia czy grzechy; niestety, wobec ich liczby i objętości plon bywa nie obfity. Gdy dawne źródła prawiły wyłącznie o walkach albo o nadaniach, nadpływa teraz tyle najrozmaitszego materjału, że możemy nieraz najdrobniejsze szczegóły życia kulturalnego rozpoznawać; teraz dopiero nabiera jego obraz pełni i barwy.

## TŁO DZIEJOWE

Wiek X i XI zorganizowały państwo i chrześcijaństwo; wieki XII i XIII były jakby przejściowe tylko; dopiero XIV i XV zapisały się czynami niezgasłej sławy, stworzyły dawną Polskę, jaka wieki przetrwać miała. Najpierw ją zjednoczyły, chociaż i w zjednoczonej dawna autonomja dzielnic, ich dygnitarstwa i sądy nienaruszone pozostały; wznowioną jedność utrwaliła korona. Cały wiek XIV znamionowała przewaga Zakonu; Krzyżacy wraz z Czechami Jana Luksemburczyka zmusili króla kraju, ciągłemi walkami wysilonego, do znacznych

ustępstw; napady krzyżackie niszczyły kraj niezgorzej niż dawne pruskie; nie pozostało nic innego, jak okupienie pokoju od Zachodu dotkliwemi stratami, Pomorza i Śląska; polityka Kazimierzowa nie liczyła się narazie z możliwością odzyskania tych strat. Jej otworzyły się inne widoki; Rurykowice wymarli w Haliczu i Wołyniu; zawładnął niemi tytułem pokrewieństwa Mazowszanin, a jego znowu zastąpił powinowaty, król Polski. Czego dalsi Rurykowice nie podejmowali, tego podjęli się Gedyminowice, spółzawodnictwa z Kazimierzem i sprzymierzonym królem węgierskim, i Kazimierz nie mógł utrzymać pierwotnego zaboru, ale Halicza już z rąk nie wypuścił. I ten pochód polski na Wschód powetował wielokrotnie straty na Zachodzie. Równie wielkiego czynu dokonał Kazimierz w kraju samym, wyprowadził go ostatecznie na drogę stałego rozwoju, zbogacił niezmiernie, zagospodarował wzorowo, dbał o ład i oświatę. Wobec przewagi krzyżackiej zbiegły się interesy polskie i litewskie; śluby Jadwigi i Jagiełły, a za niemi unja Polski i Litwy zapewniły obu krajom niechybne wkońcu zwycięstwo. Dokonał go wiek XV-ty, najpierw pod Grunwaldem, potem w dobrowolnem łączeniu się ziem pruskich z Polską, czego przeciw zakonowi długo jeszcze bronić należało; zresztą stał wiek XV pod znakiem unji polskolitewskiej i jej losów zmiennych, a dynastyczna polityka Kazimierza Jagiellończyka (innej średniowiecze nie znało) miała mimo wszelakich rozczarowań walne powodzenie. Wiek XV-ty kończył aureolą białego orła, któremu wieszczono, że wypłoszy wilka tureckiego z Europy.

W takich to brzegach przewalały się fale życia polskiego, ale ich siła i kierunek odmieniały się stale. Najwolniej u początku XIV wieku. Całe panowanie Łokietka, do roku śmierci 1333, przedstawiało nieprzerwany ciąg dalszy wieku XIII; wypełniały je same walki, to o tron, to z Krzyżakami i Czechami; do wewnętrznych przeobrażeń nie stawało ni czasu ni środków. Przeciwnie, następne trzydziestolecie, pod znakiem drogo oku-

pionego pokoju zbierające siły do przyszłej, nieuniknionej rozprawy na Zachodzie, a zarazem podejmujące nowe, wielkie zadania na Wschodzie, chociaż ostatni Piast, po nieszczęśliwem pożyciu małżeńskiem z Niemką (heską, jak Zygmunt August z habsburską), skrzywił w ostatniej chwili linję wytyczną swych rządów przez nadmierne wyposażenie Kaźka szczecińskiego. Z wszelkich manowców wybrnęło szczęśliwie ostatnie trzydziestolecie, gdy możnowładztwo małopolskie przez politykę dynastyczną, mimo wszelkiego oporu, plan, niegdyś przez ożenek Aldony-Anny z Kazimierzem niby przeczuty, teraz śród innych okoliczności przeprowadziło zwycięsko i stworzyło wielkomocarstwowe znaczenie Polski. Cały wiek XV przedstawiał wyniki tego planu, a w własnem ostatniem trzydziestoleciu rozwinął jeszcze o wiele szerzej politykę dynastyczną i jej zdobycze następnemu przekazał.

Zjednoczona Polska Łokietkowa różniła się znacznie od Bolesławowej wielkiem uszczupleniem granic, bo obejmowała tylko Mało- i Wielkopolskę, i król jej u Czechów i Krzyżaków nosił długo tytuł «krakowskiego», bo nie Poznań-Gniezno, lecz Kraków czoło państwa stanowił, ale *corona Poloniae* nie odnosiła się już do dawnej Polonji, t. j. Wielkopolski, lecz obejmowała wszystkie ziemie polskie, zjednoczone i oderwane. Kazimierz rozszerzył dziedzinę ojcowską przez Kujawy i Mazowsze, których książęta jego panem zwierzchnim uznali; nie zdołał jednak usunąć odrębności-autonomji ziem składowych, przetopić ich w jednolity organizm. Wielkopolska a za nią i inne ziemie zatrzymały dygnitarzy, urzędy i sądy, prawa i zwyczaje, w spadku po okresie dzielnicowym, który różnice, zacierane za Bolesławów, wznowił i pogłębił. Wynikła stąd nieuchronna rywalizacja między Małą a Wielką Polską; ster rządów przeszedł do Małopolan otaczających króla, i daremnie protestowali Wielkopolanie przeciw narzucanym im starostom, «obcym», jako nie *terrigenae*.

## KAZIMIERZ WIELKI

Największą zasługą Kazimierza było utworzenie prawnego państwa. W drugiej połowie XIII wieku nastąpiło zupełne rozluźnienie ładu; znaczne rody ziemskie skupiły w swoich rękach urzędy najwyższe niby dziedzicznie, a władza książęca okazała się bezsilną. Złemu zaradziła częściowo inwazja czeska, bo Wacław II, zająwszy Małą a dalej i Wielką Polskę, wprowadził swoich urzędników, starostów *(capitaneus)* i *oprawców (justitiarius,* na Mazowszu *prawidlnik),* zawisłych tylko od króla i wykonujących jego rozkazy, opartych o siłę zbrojną załóg grodowych i tępiących wszelkie zbrodnie. Nowy rząd okazał się tak skutecznym, że i po ustąpieniu Czechów zatrzymał go Łokietek, a Kazimierz przeniósł też na ziemie, wcale niedotknięte inwazją czeską, nawet na nowo zdobytą Ruś. Jeneralny starosta zastępował króla, zawiadywał skarbem i wojskiem, a pod nim dbali oprawcy o ład i bezpieczeństwo; dawne urzędy pozostały nietknięte niby, ale tylko nowe sprawowały rządy właściwe; dawne zeszły poniekąd na same dygnitarstwa; to był trwały nabytek przemijających rządów czeskich, które wypróbowane u siebie porządki przeniosły do Polski, gdzie Wacław mógł się tylko przelotnie zjawiać, więc musiał się był opierać o silnych zastępców. Tylko w Małopolsce jako w ziemi, gdzie król polski sam rezydował, starosty nie było, a sprawami dóbr królewskich zarządzał tu t. zw. wielkorządca.

I sądownictwo spoczywało w rękach starostów, którzy objeżdżali, wraz z sędzią ziemskim, ziemie, w pewnych terminach, *rokach,* wkońcu odbywanych na pewnych stałych miejscach, które stawały się środowiskiem okręgu sądowego, *powiatu:* nazwa tłumacząca 'bannum regium' i 'territorium' późna, stoi w związku z wiecem; *iudicium particulare,* t. j. mniejsze, nazywało się *powiatkiem.* Nowe sądownictwo miało samowolę i widzimisię dotychczasowe usunąć, ale w braku praw pisanych jakżeż im się

opierać? I temu zaradził król przez pisemną redakcję prawa zwyczajowego, osobną dla Małej, osobną dla Wielkiej Polski, stosując się do właściwości ziemic (zob. niżej); dzieła dokonali wyszkoleni za granicą prawnicy, a dla zapewnienia krajowi szkoły prawniczej umyślił król założenie studjum generalnego w kraju, przeznaczonego w pierwszym rzędzie dla nauki prawa (zob. niżej).

Pomimo uznawania odrębności ziemi i zachowywania ich dygnitarstw i sądownictwa, zaczął Kazimierz wytwarzać pierwsze urzędy centralne, mianowicie podskarbiego, dalej kanclerza z podkanclerzym; przez ich ręce przechodziły sprawy wszystkich ziem ogólniejszego znaczenia; kanclerze pojedyńczych ziem byli już za niego tylko nominalnymi posiadaczami urzędów.

Również dbał król o wzorowy porządek w dobrach królewskich, przez poprzednią gospodarkę bardzo uszczuplonych, bo szafowała niemi jak najrozrzutniej; król próbował dochodzić, czy też były u ich posiadaczy dostateczne na nie przywileje, aby w braku tych ściągać nieprawne nabytki; taka «egzekucja praw» wyprzedziła więc o dwa wieki Zygmunta Augusta, ale król zbyt nią nie naciskał, choć ona i tak, szczególniej w Wielkopolsce, posiadaczom podobnych «królewszczyzn» wiele krwi napsuła; dawne nadania miały zachować swą moc, nawet gdyby przywileju na nie nie było, jeśli posiadacz poległ (lub polegnie) na polu walki. Dochody z dóbr królewskich, pod zarządem starostów czy wielkorządców, rozdzielił król tak, że urzędnicy pobierali dla siebie dochody w naturaljach i winy sądowe, natomiast królowi przypadały wszelkie czynsze i podatki pieniężne. Do przysporzenia dochodów posłużyło nowe urządzenie żup solnych w Wieliczce i Bochni, a ołowianych w Olkuszu; i tu skodyfikował król prawo zwyczajowe, pousuwał wszelakie nadużycia i ustanowił, żeby żupnicy sprzedawali sól po wyznaczonych cenach mieszczanom (Krakowa, Bochni, Wieliczki), którzy mieli więc monopol tego handlu.

Tak samo wprowadził król nowe porządki wojskowe. Ustalił pospolite ruszenie, t. j. zmusił każdego właściciela ziemi do stawania osobistego pod bronią wraz z pachołkami wedle wielkości swej posiadłości; nawet duchowny, właściciel majątku ziemskiego, wyprawiał zastępcę, jeśli nie miał jego majątek ulec konfiskacie; do broni powołał i wójtów i sołtysów; wójt wychodził w zbroi blaszanej z trzema uzbrojonymi pachołkami; sołtys z jednym ciężko lub z dwoma lekko uzbrojonymi ludźmi. Obok tego pospolitego ruszenia używał Kazimierz wojska zaciężnego. Wymagał od wojska szlacheckiego jak najlepszego uzbrojenia i znajomości robienia bronią; wymagał dalej, żeby każdy stawał pod jakąś chorągwią i czyjemś dowództwem; ktoby się wyłamywał z tej karności, tego podkomorzy odnośnej ziemi czy powiatu więził i stawiał przed królem, a konie dla siebie zabierał. Już zastrzegał szlachcie prawo, że nie jest obowiązana do wypraw zagranicznych, chyba za osobliwszem wynagrodzeniem, albo za uproszeniem królewskiem. Takie wyprawy i zaciężne wojsko wymagały znacznych środków, i król zaciągał długi u mieszczan i żydów, albo upraszał papieża o odstąpienie na rok lub dłużej dziesięcin kościelnych czy ich części na rzecz skarbu. Dla zwiększenia obronności krajowej stawiał twierdze, około czterdzieści; obmurowywał miasta; mianowicie wszystkie linje graniczne umacniał starannie, przeciw Krzyżakom, od Śląska, na Rusi, a nie były to dawne grody z nadgniłym ostrokołem i niewysokim wałem, lecz silne mury ceglane, z wysokiemi basztami i głębokiemi fosami; Włodzimierz obmurował mu ksiądz Wacław z Tęczyna, który się tej sztuki we Włoszech wyuczył. Dbał również król, aby wojsko w przemarszach nie dawało się ludności we znaki, nieraz gorzej niż nieprzyjaciel, więc wolno było tylko niezbędnej żywności i paszy wymagać, obozować w polu, nie rozkładać się po wsiach, nie rabować koni czy bydła, nie ścinać budulcu.

Równą opieką otaczał miasta jako podstawę wszelkiego bo-

gactwa krajowego, zob. niżej. Uregulował też, acz nie na długo, wobec braku szlachetnych kruszców, monetę. Polskę zalewała obca, mianowicie wyborowa czeska, owe szerokie, grube grosze praskie, których się także Niemcy jęli, nietylko Polska: przecież Niemcy od Czechów nazwę przejęli (nie odwrotnie!); obok «czeskich» srebrnych szerzyły się floreny złote, nie tak typu romańskiego, jak węgierskiego, które w XV w. wszelkie inne, «ruble», «korabelniki» (angielskie, z wizerunkiem korabia) i in. wycieśniły z obiegu. Bił więc Kazimierz własną dobrą monetę, wywoływał obcą, kazał Węgrom za sól złotem cło opłacać, ale te zabiegi nie starczyły i wkońcu sam Kazimierz obniżał wartość swoich kwartników; grosz polski ustępował coraz bardziej czeskiemu.

Trzydzieści siedm lat najzabiegliwszych rządów, zabezpieczających Polsce pokój upragniony, przeobraziły kraj z gruntu: objął król rządy nad ziemią wyniszczoną przez wojny obce i własne zatargi, a zostawiał przy zgonie, opłakanym powszechnie, bogatą i ludną, obronną i oświeconą, rządną i spokojną, o tak silnej już więzi, że ani niezdarne rządy następne węgierskie, ani zamieszki wewnętrzne, trapiące szczególniej Wielkopolskę, nie mogły państwa naruszyć, a mądra polityka małopolskich wielmożów zbogaciła je o nabytki, którym nawet zajęcie i utrzymanie Rusi nie dorównało. Pozatem żyły następne dziesięciolecia tradycjami Kazimierzowemi, niewiele nowego, a jeszcze mniej dobrego przysparzając.

## SZLACHTA

Okres dzielnicowy wydał ostatecznie państwo i rządy wielmożom; książę był panem z Bożej łaski, a narzędziem panów ziemskich; winien się opierać o najmożniejsze rody i okupywać ich względy nadaniami ziemi i zwolnieniami od obowiązków; te zwolnienia otrzymywały osoby, nie stan jako taki. Najmoż-

niejsze rody albo dzieliły się zgodnie wpływami i dostatkami, albo wojowały z sobą zawzięcie, jak w Wielkopolsce, albo w razie niezadowolenia z rządów silniejszych zdradzały kraj, jak Święcowie, którzy Pomorze margrabiom brandenburskim wydali. Tę butę ukorzył dopiero Kazimierz i środkami represyjnemi, gdy łagodne nie pomagały (ściął np. Maćka Borkowica, stale wichrzącego), i mądrą polityką. Wysuwał bowiem przeciw starym, znarowionym rodom nowe, od niego bardziej zawisłe; już Łokietek tak czynił, ale Kazimierz nierównie konsekwentniej. Więc w Małopolsce wystąpili znamienici teraz Leliwici: Spytek z Melsztyna, najwpływowszy doradca królewski, kasztelan krakowski (pierwszy dygnitarz w kraju), a ta kasztelanja utrzymywała się u panów z Melsztyna jakby dziedzicznie; dalej Bogoryjowie, arcybiskup Jarosław Skotnicki, już około Łokietka zasłużony; Śreniawici: Jaśko Kmita z Wiśnicza, starosta ruski i poseł do Awinionu; Poraje: biskup krakowski Bodzęta, Dobiesław z Kurozwęk, wojewoda; — wszyscy gorący zwolennicy Andegawenów i sojuszu węgierskiego; przy królu stali wiernie z starych rodów Toporczycy: Tęczyńscy i Pileccy. Natomiast ustąpili Lisy, Odrowąże, Łabędzie, Awdańce i in. Rodami małopolskiemi rządził Kazimierz w całym kraju; w Wielkopolsce opierał się na Doliwach, biskupach i wojewodach, i Pałukach, już Łokietkowi najwierniej oddanych, dalej na Grzymałach; Zarębowie, Nałęcze, Łodzie najpóźniej się z królem pogodzili. Walka wybuchła o starostwo wielkopolskie; szlachta tamtejsza, nie życząc sobie rządów silnych, chciała starostów kilku, a gdy im król wkońcu znowu jednego i to obcego (Wierzbiętę Ślązaka) narzucił, zawiązała konfederację r. 1352 przeciw staroście i karom, przez niego bez sądu nakładanym, za wzorem brandenburskim i licząc na pomoc brandenburską, obowiązując się do solidarności. Ale król energicznem wystąpieniem złamał konfederację, przewódców skazał na wygnanie, starostę utrzymał i kraj uspokoił. W obozie królewskim, bardzo zresztą jednoli-

tym, nastąpiło dopiero przy końcu rządów królewskich pewne rozdwojenie wobec sprawy następstwa; przeciw silnie przeważającej stronie węgierskiej stanęli Jan Suchywilk Strzelecki (krewny arcybiskupa), kanclerz, najwpływowsza osoba w radzie królewskiej i najuczeńszy prawnik; podkanclerzy Janko z Czarnkowa (zob. niż.) i inni, przeważnie duchowni, skłonni ku Luksemburgom raczej i Kaźkowi szczecińskiemu — nagła śmierć królewska unicestwiła ich zabiegi, co się na Janku z Czarnkowa przykro odbiło.

Obok tych «panów chorągiewnych», co stawiali własne chorągwie, pod które się i drobniejsza szlachta garnęła (nazwa czeska, a instytucja węgierska), tworzyła dalsza szlachta rody rycerskie, stan zwarty, który się godłami-zawołaniami, herbami-klejnotami, pieczęciami i majątkami ziemskiemi od niższych wyróżniał, na łączność rodową bystro baczył i przeciw wszelkim niepowołanym występował, zarzucając im nieszlacheckość urodzenia; «naganieni» w ten sposób winni byli się oczyszczać świadectwem rodowitej szlachty, po dwu z trzech rodów, zeznających pod przysięgą, że naganiony jest ich «krwie i postaci», ich herbu i godła. Niżej od szlachty stali nieposesjonaci, włodycy-ścircialki *(scartabelli)*, a najniżej świeżo z sołtysów czy kmieci za usługi wojskowe uszlachceni, panosze. Statuty Kazimierzowe naznaczały też jako główszczyznę (opłatę za głowę-zabójstwo) rycerza grzywien sześćdziesiąt, włodyki — trzydzieści, panoszy — piętnaście; w podobnym stosunku płacono i nawiązkę za rany. Posiadanie majątku ziemskiego było warunkiem rycerskości, więc zmieniły się i nazwy rycerskie; każdy nazywał się teraz od majątku, więc dawny Jan ze Skotnik nazywał się teraz Skotnickim, i tak powstała olbrzymia przewaga nazw szlacheckich na *-cki* lub *ski*, wobec których wszelkie inne, np. *patronimica* na *-wic* (Pretfic Ślązak, później rody ruskie na *-wicz*, Chodkiewicz i in.), albo rzeczowniki jakieś (Pieniążek; Rej, Firlej — oba od tańców niemieckich, Kmita, Ligęza, Strus, Trepka, Her-

bułt, Sęp i t. d.) zupełnie ginęły; zaczęło się to w wieku XIII, a dokonało w XVI; podobnie było w Czechach, a tak samo na Węgrzech (przymiotniki na *-i*, Esterhazi i t. d.). Szlachcic obejmując nowy majątek, mógł i nazwę odmienić, Bielski zwał się pierwej Wolskim; nazywał się protoplasta Czajka, od niego zaścianek Czajki, a od tego Czajkowski, tak samo Cieciorka — Cieciorki — Ciecierscy i t. d. Już w średniowieczu ustalał się ten nowy typ nazw szlacheckich; nie było natomiast jeszcze ścisłego wyodrębnienia stanowego; bogaty mieszczanin kupował dobra ziemskie, żenił się z szlachcianką i zostawał szlachcicem, szczególnie na Mazowszu proces nierzadki; odwrotnie osiadał szlachcic w mieście i przyjmował wkońcu stan miejski. Mimo to pełno w księgach sądowych «nagan» i «oczyszczań»; szczególniej zarzucano nie tak miejskie czy wiejskie, jak *defectus natalium*, urodzenie nieślubne, legitymowane później «pod płaszczem» albo przez papieża, o co duchowni «wylegańcy» czy «pokrzywnicy» ubiegali.[1]

## PRZYWILEJE

Dopiero w XIV wieku zyskała szlachta jako stan, nietylko osobnicy, przywileje królewskie, dzięki zmianom dynastycznym, przy których można było wytargować ustępstwa. I tak r. 1374 w przywileju koszyckim postawiono pierwszy rozstrzygający krok na tej pochyłości, która wprost do szlacheckiego państwa przywiodła, bo za cenę uznania swych córek jako dziedziczek państwa zwalniał król Lojs szlachtę całą, a więc jako

[1] Rozumie się, że *-ski, -cki* pierwotnie nic «szlacheckiego» nie oznaczało; chłop z Lipin, który się do innej wsi czy miasteczka przeniósł, mógł się Lipińskim przezwać, jak szlachcic, co Lipiny posiadał. I są takie nazwy chłopskie na *-ski* już po spisach XV wieku, ale przeważają nieskończenie przymiotniki, np. Łysy, Rudy (Rudek), dalej wszelkie rzeczowniki, nakoniec złożenia, jak Żmudzilato i pod., zob. wyżej.

stan, od wszystkich podatków i ciężarów, nawet i od stacji w dobrach szlacheckich, oprócz opłaty dwu groszów od łanu na znak zwierzchności królewskiej, zwanej też poprostu «królestwem». Zobowiązał się dalej urzędy ziemskie obsadzać tylko «ziemianami» odnośnej ziemi, a starostwa grodowe obsadzać tylko Polakami i ręczył szlachcie za wszelkie szkody na wyprawach zagranicą poniesione; to samo potwierdziły, a nawet rozszerzyły przywileje, wydawane przez Jagiełłę od r. 1385 do 1386; król zniósł urząd justicjarjuszów i przyrzekł szlachcie po pięć grzywien na kopję przy wyprawach za granicę.

To samo powtarzało się przez cały wiek XV; za cenę uznania nieletnich synów, za pomoc finansową i wojskową zyskiwała szlachta coraz nowe przywileje, najpierw polityczne, a później i ekonomiczne. Z powodu zmiany dynastji przeobraziło się państwo z dziedzicznego w elekcyjne już w tym wieku, a każda elekcja potwierdzała, jeśli nie rozszerzała, przywileje szlacheckie; jeszcze więcej znaczyła wojna pruska, tocząca się od r. 1454 przez lat kilkanaście, która Polsce Prusy a szlachcie panowanie przyniosła; fatalne skutki klęski pod Chojnicami odrobiono (po części, bo wschodnie Prusy utracono przez nią na zawsze) wojskowo, ale przywileje nieszawskie 1454 r. stworzyły parlamentaryzm szlachecki. Za cenę dalszych podatków i krwi otrzymała szlachta, że król nowych zarządzeń, zwoływania pospolitego ruszenia, bez zgody sejmików nie będzie wydawał; bo już ustaliły się zjazdy szlacheckie, które obok dawnych wiec urzędniczych się zjawiały, a teraz je zupełnie zastąpiły. Do tego przybywały wszelakie ograniczenia samowoli sądów (które się miały trzymać ustaw pisanych) i wielmożów; odgraniczano sądy starostów i ziemskie; wprowadzono pociąganie mieszczan przed te sądy; występowano przeciw trwonieniu dóbr koronnych. Traciła więc znaczenie rada królewska, przyboczna, urzędnicza, ale i sejmikowa władza nie utrzymała się w pełni, bo apelowanie w każdej sprawie do wszystkich sejmików zosobna nie dało się na dłuż-

szy czas przeprowadzać. Zjazdy owe i wyłaniające się z nich sejmiki odbywały się w Wielkopolsce w każdej dzielnicy (Sieradzu, Łęczycy i t. d.), a po nich zjeżdżano się w Kole dla uzgodnienia uchwał; w Małopolsce i Rusi najpierw tylko w Korczynie, a później i tu w każdej ziemi zosobna, poczem się do Korczyna na «sejmik generalny» zjeżdżano, w tym samym celu; na te sejmiki generalne przybywała jednak nie cała szlachta, jak na sejmiki ziemskie, lecz przeważnie wybrani jej przedstawiciele. Teraz połączył Jan Olbracht r. 1493, a jeszcze wyraźniej i uroczyściej r. 1496 oba sejmiki generalne w jednym sejmie walnym, państwowym, reprezentującym całe królestwo, bo mającym pełnomocnictwo od nieobecnych. Tak więc jeden jedyny stan, szlachecki, objął panowanie, bo bez zgody sejmu nic nie można było stanowić. Zwrócił się też ten sejm piotrkowski przeciw mieszczanom i chłopom, zob. niżej. Łudził się chyba Jan Olbracht, że oparty o sejm przełamie możnowładztwo, teraz w drugiej izbie, zwanej senatem, skupione, a wyszłe z dawnej rady przybocznej królewskiej, dygnitarzy duchownych i świeckich, lecz rachuba zawiodła. Izba wyłącznie szlachecka, bo nie było w niej nawet duchownych, cóż dopiero mieszczan, miała odtąd rządzić, ale zarazem dokonała zupełnego zjednoczenia całej Korony; gdy Kazimierz jeszcze ustawy nieszawskie wydawał dla każdej ziemi osobno, sejm walny tego już nie uwzględniał.

Powoli przełamywała szlachta także monopol nauki, do niedawna przez duchowieństwo piastowany. Jeszcze w XIV w. liczba szlachty piśmiennej była wcale ograniczona, procent analfabetów był śród niej nierównie wyższy niż śród mieszczan; w pierwszej połowie XV wieku garnęła się na uniwersytet, ale w drugiej raczej wyjeżdżała dla studjów, szczególnie prawniczych, i taki Jan Ostroróg, doktor obojga praw, nie był czemś nadzwyczajnem. Prawda, zbyt wielu łacinników śród niej i teraz jeszcze nie było; akta procesowe musiały sądy konsystorskie przez cały wiek XV prawującej się szlachcie dosłownie przekła-

dać; przecież sam kanclerz państwa przyznawał się przed witającymi go po łacinie profesorami, że nie tęgi łacinnik; świetna, nowa łacina panowała też wyłącznie w konsystorzach i kancelarji dworskiej, obsługiwanej przez kler; dla posła królewskiego przekładano instrukcję na sejmiki na polskie. Braki łaciny zastąpił animusz szlachecki; na zjazdach-sejmikach, w kole obozowem rozpolitykowała się szlachta: chodziło jej o interesy materjalne i wiedział każdy, co mu dokucza, więc znalazły się słowa i domorośli Demostenesy i Cyceronowie, na razie nie odwołując się jeszcze do tych patronów (co dopiero w XVI wieku nastąpiło), umieli bracią poruszać: przyrodzona ruchliwość umysłowa wyszkoliła się znakomicie w tych rozprawach. Nie były to górne, napuszone mowy, jakiemi np. Jan Ostroróg przed papieżem szafował, ani jałowe rozprawy akademickie, które rzecz istotną stale omijały, bujając w empirejach scholastycznych, były to krótkie a dosadne improwizacje, bez owej fatalnej togi klasycznej, co już w XVI wieku ruchy i myśli polskie zakrywała; mowy Długoszowe, to Liwjuszowe, nie szlacheckie. Ale poczucie siły i mocy ożywiło małomównych, uskrzydliło myśli, wygładziło język; spólny interes zespolił całą szlachtę; wzrosło samopoczucie stanowe.

## CECHY STANOWE

Dopiero teraz ustalił się i zasklepił stan szlachecki; sprawy o naganę szlachectwa, rzadkie na Mazowszu i Kujawach, były bardzo liczne w Małej i Wielkiej Polsce. Teraz okazało się, jaka ta szlachta liczna, nierównie stosunkowo liczniejsza, niż na Zachodzie. Skąd takie jej mnóstwo? (w Czechach nie było wiele inaczej). Zwyciężała spólnota wojskowa, każdy wój czuł się szlachcicem, rycerzem, a obok tego ów instynkt rodowy, silniejszy niż na Zachodzie. Od najwcześniejszej epoki chlubił się każdy wój, a potem rycerz przynależnością do jakiegoś rodu, o czem

Niemiec czy Francuz zapominał; to go wyróżniało od smarda, niepomnego rodu i pokolenia. Liczba samych rodów była wcale nie nadzwyczajna, kilka ich set tylko, ale każdy ród aż do najdalszych odprysków w najdalszych zakątkach czuł się związanym krwią — bractwem. Nie rozstrzygała pierwotnie nawet własność ziemska, i władyka-gołota był spokrewniony z jakim panem chorągiewnym, choć nie był pasanym rycerzem, choć główszczyzna i nawiązka jego były o połowę mniejsze, a woźny go ustnie, nie listem przed sąd wzywał. Mały odłam włodyków ugrzązł śród kmieci i mieszczan, większość do szlachty weszła, a sam stan włodyków, najliczniejszy na ubogiem Mazowszu, może zginął zupełnie w ciągu XV wieku.

Zapiski sądowe wspominają nieraz o chlebojedźcach, którzy nigdy osobnego stanu nie tworzyli; należy się im wzmianka wobec nieuzasadnionej (przynajmniej w etnograficznej Polsce) roli, jaką im przypisano. «Dawna własność wspólna rodowa zjawiała się (w XII wieku i później) już tylko sporadycznie, zwyczajnie jako na razie niepodzielony jeszcze majątek najbliższych tylko krewnych *(indivisi,* chlebojedźcy)»; ten sam autor prawi o «istnieniu wspólnego życia krewnych w większych skupieniach (zwano ich *chlebojedźcami,* t. j. jedzącymi wspólnie chleb), jeszcze dla wieku XV... spotykanych nie w właściwych polskich dzielnicach». Ależ chlebojedźcy zapisek sądowych nie mieli nic spólnego ani z zadrugą serbską, której nigdy, ile wiemy, w Polsce nie było (t. j. owej spólnoty produkcji, konsumpcji, mieszkania), ani z własnością rodową. Chlebojedźca polski XIV i XV w. jest klientem, którego patron żywi i ubiera, a ten mu zato służy, np. jako prokurator-pierca albo jako włodarz; nie jest sługą-*servus,* ale też nie jest niezawisły, i dlatego w sądzie w sprawach swego pana świadczyć nie może, bo strona przeciwna zawszeby go odrzuciła jako człowieka zawisłego; dlatego też oświadcza strona przed sądem: N. nie jest moim chlebojedźcą *(commensalis),* ja go ani żywię ani on nosi mego ubra-

nia; «nie dopuszczę ich do przysięgi, bo są veri familiares *powsedni chleboieczcze*».

Jeżeli szlachta polska zachodnią przewyższała liczbą, uderzała jeszcze bardziej swą jednolitością, równością, braterstwem, nie znając żadnych dalszych między sobą różnic, owej całej skali rodu dostojnego, od książąt, markizów, hrabi, baronów aż do zwykłych skwirjów. Jak przyszło do tego zrównania szlachty? boć i w Polsce widoczne zakusy, w XII i XIII wieku szczególnie, wyróżniania od zwykłych «milesów», jakichś comesów, baronów, *nobiles;* nazwy baronów i *nobiles* się nie przyjęły, a *comes* utkwił już pierwotnie w słowiańskim *kmieciu* i jako *kmeto* dostał się zpowrotem do łaciny aktowej, u Czechów równoznaczny z *baro,* u nas w całym XV wieku już tylko *chłop,* ale jeszcze w *Bogurodzicy,* w dalszej jej pieśni z XIV wieku prawiono: «Adamie ty boży *kmieciu,* Ty siedzisz u Boga w wiecu»; tu *kmieć* tyle co dygnitarz, *czestnik,* zasiadający w wiecu czestników, boć innego nie było. Wyróżniano i u nas *chorągiewnych panów* wobec zwykłych *rycerzy,* mimo to nie doszło do ich dziedzicznego, stałego wyodrębniania. Przyczyna tkwi w tem, że u nas właśnie dziedziczności urzędów i honorów, obowiązującej na Zachodzie, wcale nie było; syn wojewody czy kasztelana, jeśli się sam tego urzędu (później raczej zaszczytu) nie dosłużył, spadał do rzędu wszystkich innych rycerzy, i tylko późniejsza próżność wynagradzała to poniekąd tytułowaniem osobliwszem, nieznanem na dalszym świecie: wojewodzica, kasztelanica, starościca i t. d., co jednak żadnych skutków prócz schlebiania próżności nie miało. Z każdym wiekiem wdrażało się szlachcie coraz silniej przekonanie o tej równości szlacheckiej i coraz podejrzliwiej jej strzeżono: silne rodowe poczucie nie zezwalało na wyniesienie się jednego członka i jego potomstwa nad innymi, istna słowiańska demokracja, z zasady arystokracji przeciwna.

Próżność szlachecka zaznaczała się już w XV-tym wieku i w inny sposób; oto wywodzono swój ród z zagranicy; w Mo-

skwie od XVI w., kiedy się Iwan Groźny od Augustów wywodził (a za nim później dworjaństwo od Niemców, Włochów itd.), u nas już wcześniej, bo inaczej trudno wytłumaczyć Długoszowe bajki heraldyczne, co prapolskie rody z nad Renu wywodziły. Np. o Leliwitach twierdził, że powodem pierwszym był rycerz Spycimir, który miał w herbie pierwotnie ogniwo, gdy od Renu przybywał, ale w przeciągu czasu połączył się i zjednoczył z rodem polskim, który miał w herbie uszczerbiony księżyc czerwony z gwiazdą, i jedną rodzinę utworzył; samo nazwisko prapolskie z owego Renu szydzi. To samo twierdził o Prawdzicach, że przybysz z nad Renu (pieczętujący się lwem nad murem) połączył się z domem polskim, który ma za herb prawdę, t. j. podstawkę, na której misy u stołu stawiają, «a prawdą *(veritas)* się nazywała», i jedną rodzinę utworzył. To jego, Długosza, specjalny wymysł: Leliwici i Prawdzice twierdzili, że z nad Renu przyszli, Długosza patrjotyzm to raziło, więc aby był wilk syty i koza cała, zmyślił jednego obcego przybłędę w rodzie polskim. Na jakiej on podstawie Sulimów, Zarębów, Zadorów (z nad Renu), Rogalów, Wieruszowych (z Miśnji), Grzymałów, Korabitów z Niemiec wywodził, nie zgadnę; u Korcboków i Biberstynów nazwa sama wystarczała; Dryów z Burgundji, skąd i św. Bernard (!); Bończę z Włoch, bo mu się zamiast imienia Bonifacy włoska *bonaccia* 'pomyślność' przyśniła; Gryfów i Łabędziów z Danji. U Warniów widział raka w herbie, więc pomieszał polskiego *raka* z czeskim *rekiem* i śmiało zmyślał, że to *rak* zamiast *rek* 'bohatera' znaczy! O Kuszabie *(cunnus!)* zmyślił, że to młyński kamień, i z Czech go wywiódł, przyplątawszy do młynarza średniowieczną baśń o pani, która śmiejąc się z kobiety, co troje dzieci odrazu powiła, sama za karę dziewięć chłopczyków porodziła, z nich ośm potopić kazała, których ów młynarz wychował i stąd kamień młyński w herbie odniósł! Ponieważ pierwotny plastr miodu u Wczelów ('Pszczół') szachownicą ochrzczono, a nad plastrem panna była, więc powtórzył czy

zmyślił bajkę o zawodnictwie w grze szachowej z królewną etjopską (!) i jak jej Polak szachownicę o głowę rozbił, co ona dotąd innym czyniła! Czy wobec tych potworności godzi się wierzyć we wszelkie jego czeskie początki, np. u Okszy, Odrowąża (z Moraw) i in., wolno wątpić.

Tem bardziej dbała teraz szlachta o honor: zarzucano jednemu, że jego rodzice piwo szynkowali; drugiemu, że urodził się z ojca «przypalanego» *(percombustus,* widocznie piętnowanego za złodziejstwo), ten się obronił tem, że urodził się przed owem piętnowaniem («mąż szlachetny to ten, którego nigdy o kradzież sądownie nie pociągano»); innego nazwano *baster,* a gdy ten się bronił, przeciwnik mu zarzucił, że go ojciec *sub pallio cum tua matre desponsaverit* (było to rodzajem adopcji — na poziomie pierwotniejszym nierównie drastyczniejszych symbolów w tym celu używano). Tylkoż pojęcia o czci szlacheckiej różniły się nieraz znacznie od naszych: za policzek odbierano nawiązkę i prawowano się tylko o jej wysokość, czy szlachecką czy mniejszą, np. Wojciech dostał trzy razy w twarz i dowodzi swego szlachectwa, aby dostać odpowiednią nawiązkę; padają przy tem nieraz drastyczne uwagi, od jednego policzka się przecież nie umiera i t. p., a sprawy o zabójstwo przybierają nieraz pozory istnego targu. Już osiadający w mieście traci prawa szlacheckie: czynisz się szlachcicem, ale że siedzisz w mieście, można ciebie za ośm kop zabić.

Tak wyglądało na niżu szlacheckim; na wyżynach panowały całkiem europejskie stosunki i taki rycerz Zawisza Czarny z Garbowa nie ustępował nikomu w chrześcijaństwie. Żyło się po pańsku; budowano zamki okazałe (miasta omijano z zasady); utrzymywało liczną służbę (wymieniają np. Beatę Dąbrowską jako ochmistrzynię, *domina antiqua* — starsza pani — wojewodzianki Barbary Tęczyńskiej) i trzymają ją w strasznej grozie. Szafraniec miał na zamku papugę i drozda, chłopiec, co ich doglądał, w nieobecność pańską zaniedbał je, z strachu przed róż-

gami rzucił się z okna zamkowego, jak przed nim dziewczyna z podobnego powodu (w r. 1478). Do służby pańskiej, do dworów, cisnęło się co żyło; ta służba zapewniała protekcję, dostęp i do służby królewskiej, a co najmniej do jakiego włodarstwa w dobrach pańskich, ale co ważniejsze nierównie, służba dworska uczyła obyczajów, wygładzała je, stawała za akademje czy gimnazja obce.

Turnieje, t. j. kolby *(hastiludium)* odbywano, kłóto w kolczej zbroi po zachodniemu; kłóto i o nagrody; w ugodzie majątkowej między Rytwiańskimi a Borzysławskim z r. 1437 wyliczają kosztowne zaponki, o jedną z nich wartości 280 złotych węgierskich będzie walczył Dziersław Rytwiański, jeśliby ją, co Boże uchowaj, stracił, nie potrzeba mu płacić połowy, jeśli wygra, to weźmie z zyskiem zaponkę, a drugą odda Borzysławskiemu. Dla Henryka z Rogowa dostarczył szmuklerz trzech wieńców *(crinalia)* z perłami i złotem; pięćdziesiątpięć złotych gwiazd do jaki (kurtki) do tańca; pusz za dziesięć grzywien, kapelusz z piór żórawich, dwieście białych lilij (srebrnych naszytych) na turniej. R. 1437 wyliczając srebra wymieniają: pięć rogów (do picia) na srebrnych nogach, dwie długie trąby srebrne i t. d.

Przeciętny szlachcic żył co prawda skromnie, skromniej niż mieszczanin, wina nie znał (pijecie tylko piwo a jecie wołowinę — kpił Eneasz Silvius), ubierał się szaro, samodział, płótno, wilczura albo i kożuch barani wystarczały mu zupełnie i pani jego niezbyt się stroiła; wystawność i zbytek zawitały dopiero przy końcu wieku, a rozpanoszyły się w następnym. Ale była jaka taka gotowość do boju, łuk i kusza zawsze jeszcze na podorędziu (samopał rzadki), wierzchowiec po temu, a honor wojskowy w całej sile — opowiadał przecież Orzechowski, że przed szlachcicami, co wrócili z Warneńskiej, obrusy krajano (znak najwyższej pogardy): gdzieście króla odbiegli?

Tylko zmysłu dynastycznego brakło coraz bardziej tej

szlachcie, nawet szaraczkom, cóż dopiero wielmożom. Popularność Kazimierza Jagiellończyka topniała; sympatje, jakie młody król pozyskał, utracił starszy; zacięty jego przeciwnik, Maciej węgierski, miał u szlachty tyle miru, że stawiała się nawet w jego obozie, przeciw własnemu królowi! Niepowodzenia wojenne, a wkońcu i dyplomatyczne, zdyskredytowały rządy królewskie, które wyłącznie zabiegom dynastycznym oddane zaniedbywały grozę wschodnią (moskiewską) i południową (turecką, tatarską), a na zachodzie wkońcu tylko koronę czeską (Czech samych, bez Śląska i t. d.) dla najnieudolniejszego z synów, dla króla *Bene,* ocaliły. Sarkano na królową i jej ambicję, na nieudolność wodza Rytwiańskiego; odmawiano królowi to podatków, to pospolitego ruszenia, to obojga razem, i rosło z potęgą szlachty jej samopoczucie: ster rządów przesuwał się widocznie do jej ręku. Przewagę polityczną miała też niebawem wyzyskać dla materjalnej.

Powoli przygotowywała się inna odmiana typu szlacheckiego: wój-rycerz rzucał broń i ćwiczenia wojskowe dla domatorstwa - gospodarstwa. Zmieniły się stosunki ekonomiczne w kraju, ale szczególniej za granicą, gdzie coraz większe miasta, wzrastająca stale industrjalizacja popyt na zboże polskie stworzyły. Szlachcic żył dotąd z folwarku, który jego potrzebom domowym wystarczał, i z czynszu swych kmieci; nie wysoki był poziom tego patrjarchalnego życia, zadomowionego. Zmieniło się to szczególnie w XV wieku: wartość stałego czynszu coraz opadała, a wymogi życiowe coraz rosły: jakież sumy pochłaniały same stroje! Już i przejażdżki zagraniczne bywały nie wyjątkowe, szczególnie jeśli synów kształcić chciano, i posagi rosły, a niebawem nie wystarczały dawne «piwo i wołowina», więc należało koniecznie dochody zwiększać, a na to nie było innego środka, prócz intensywniejszej pracy na roli i w oborze, dla której teraz dopiero szeroki odbyt się przedstawił, boć nietylko zagranica, ale i miasta krajowe dowozu zboża i bydła potrzebo-

wały; zagranica zaś już oddawna w Gdańsku w zboże polskie się zaopatrywała; z końcem wieku XV wywożono już z miasta do 10 tysięcy łasztów zboża. Za własne zboże, drzewo, bydło sprowadzano drogie sukna i jedwabie; wina i korzenie, wszelkie artykuły zbytku; z bronią zarzucano i szary tryb życia; sadzono się na przyjęcia, polowania, wesela; zazdroszczono mieszczanom i naśladowano ich, a środków na to wszystko musiała wieś dostarczać, więc należało rozszerzać dawne gospodarstwo folwarczne, karczować lasy, korzystać z każdej sposobności (np. ze skupu sołectw, zob. niż.), aby powiększać kosztem kmiecej własność pańską. Obrońca ojczyzny odmieniał się powoli w jej wyzyskiwacza.

Od dworu królewskiego nie wychodził bynajmniej zły przykład; może za Kazimierza Wielkiego świecił przepychem, za Łokietka jak za Jagiellonów (pierwszych) przepychu nie było. Dochowały się rachunki dworskie Jadwigi i Jagiełły z lat 1390 i następnych; uderza w nich tylko nadzwyczajna ilość służby wszelakiej, ale o jakimkolwiek zbytku mowy nie było. Rachunki prowadzono osobno dla króla, osobno dla królowej; każdy dzień równy drugiemu, zawsze tosamo: wół tuczny, cielę; prosięta, szołdry (szynki); kury, kurczęta i kapłony; gęsi; jaja (całemi secinami); królowa pości, więc ryby świeże (węgorze i szczupaki), solone *(strekfusy)* i śledzie (zawsze secinami; średniowiecze konsumowało ich co niemiara; nawet na obrazku cechowym u Behma przynosi chłopiec-terminator śledzia na talerzu). Rzadko przewijają się gołębie, cietrzewie, raki; groch, proso, cebule, pietruszki, kruczmorka (słodyczka), warzywo *(olera,* całkiem ogólnikowo), mak, kapusta kiszona, grzyby, orzechy, nieraz jabłka i maliny; chleby i żemły, masło, mleko i śmietanka, sery; olej i ocet, sól; łój na świece, do kuchni i do tłuczy psom myśliwym. I tosamo powtarza się dzień w dzień; ledwie czasem jakaś uboczna uwaga, np. tłucz dla sześć psów, które zatrzymaliśmy w Niepołomicach, bo je dziki poturbowały;

albo wymienia się nowo przybyłą osobę, Opolczyka czy Skirgiełłę; albo zapisy mieszczanom na wozy, bo chłopi dla nawału robót podwód dostarczyć nie mogli. Przybywały wydatki na utrzymanie budynków, np. na pokrycie dachu gontami, przybijanemi spernalami, na okna, kłódki i t. d., poprawę kominów i in., dalej wydatki na ubiór dla służby, na *jaki* dla książąt, na broń wszelaką, na kucie koni i t. d.; coraz kupowano kaczęta sokolnikom (dla sokołów, których zawołany myśliwy, król, mnóstwo hodował). O napojach żadnej innej wzmianki oprócz mnóstwa achteli piwa, wyjątkowo o miodzie (dla Skirgiełły) wspomniano; zato kupowano wiele szkieł do piwnicy i wszelakich naczyń do stołu i kuchni. Imponują więc tylko olbrzymie liczby, świadczące o mnóstwie dworzan i ich apetycie, ale jakiejś wykwintności ani śladu. Dopiero za Kazimierza Jagiellończyka, przy dumnej Habsburżance (która o Macieju węgierskim, «chłopie», jako o zięciu ani słyszeć nie chciała), podniósł się, szczególnie też za synów, tryb dworski i znikła szarzyzna Jagiełłowa.

## DUCHOWIEŃSTWO

W porównaniu z wiekiem XIII uległo już w XIV życie duchowieństwa coraz wzmagającemu się rozluźnieniu. Wiek XIV-ty wstępował niby w ślady poprzedniego; sypały się nadania kościelne, chociaż w mniejszej już obfitości; pobożność mieszczan wysadzała się na budowle okazałych świątyń, a nie zapominano też o szpitalach i o zapisach na szkoły i szkółki; rozdawano obficie jałmużnę. Ale duchowieństwo samo świeciło coraz bardziej; olbrzymie majątki biskupie, bogate opactwa i kanonikaty, liczne beneficja, nadawane jednemu, nęciły do używania świata, a znakomita rola polityczna, jaka na biskupów spadała, zmuszała ich do każdej innej prócz duszpasterskiej czynności. I dochodziło do gorszących zatargów między

władzą świecką a duchowną, a sprawy ekonomiczne dolewały oliwy do ognia. Spory dziesięcinne zapełniały już wiek XIV; załagodził je poniekąd arcybiskup Jarosław za Kazimierza W., ale w XV wybuchły tem ostrzej, że duchowieństwo nie uznawało owej ugody; chodziło to o dziesięciny z nowin; to o to, że inaczej opłacano je z łanów chłopskich, inaczej z pańskich i jeżeli pan niwę chłopską do folwarku przyłączył, nie chciał ksiądz odstąpić od dawnej dziesięciny.[1] A dziesięcina, którą rozciągano ze zbóż i na konopie i in., przeciw czemu protestowano zawzięcie, nie była jedyną opłatą kościelną; dołączało się meszne dla księdza; kolędę on sam i klecha pobierał, obchodząc dwory i domki; świętopietrze szło do Rzymu.

Jeżeli szlachta nie stanęła wręcz wrogo przeciw duchowieństwu, czyniła to dla własnej dobrze zrozumianej korzyści, bo już w tym wieku, a jeszcze bardziej w następnym, zastrzegła sobie we wszystkich większych kapitułach dochodne miejsca, zezwalając tylko na kilka prebend dla doktorów praw i teologji, którzyby i z mieszczaństwa pochodzili. Przeciwieństwo między świeckimi a duchownymi pogłębiało się; raziło świeckich niekanoniczne życie wielu duchownych i nadmiar cenzur kościelnych. Kto bowiem ociągał się z opłatą dziesięcin i in., tego ksiądz ekskomunikował; w niedzielę po kazaniu odczytywał spis ludzi, wyłączonych ze spólnoty chrześcijańskiej, którym się zabraniało wstępu do kościoła i wszelkich posług kościelnych; ekskomunikowani apelowali nieraz do biskupa i toczono o to procesy. Biskup sam rzucał interdykt-klątwę na całe parafje,

[1] A oddawano ją nieraz wcale nie skrupulatnie. Krążyły później na Górnym Śląsku takie o tem wierszyki:

Chruszcze, stokłosy i wyczki,
Dobre to księdzu na zbyczki;

odpowiadał zaś ksiądz:

Czyste wam opowiadam słowo Boże,
Czyste też dajcie tacmowe mi zboże

(*tacem*, z czeskiego a to z niemieckiego = *decem*, dziesięcina).

gdzie popełniono cięższą jaką winę: tam zamykano kościoły ku uciesze nieraz mnichów, którzy nie zważając na interdykt biskupi swoje kościoły zrozpaczonym wiernym otwierali, chlubiąc się z swego miłosierdzia nad ludźmi: księża protestowali, spory o to trwały. I coraz nowe wybuchały np. między gminą a plebanem, o byle co, np. o prawo mianowania nauczyciela do szkoły parafjalnej; to notarjusz miejski bywał także magistrem szkoły miejskiej, na co się proboszcz nie zgadzał; to spory o jakiś dom w mieście, a sprawy odwlekały się strasznie, bo ksiądz apelował do Rzymu i narażał mieszczan na znaczne koszty. Co nacierpieli się np. Lwowianie z swoim kłótliwym a zachłannym arcybiskupem Bernardem, a jeszcze bardziej z swoim plebanem Janem, trapiącym ich przeciw wszelkiej słuszności przez lata (około r. 1410), chociaż arcybiskup Jakób, oględny i dobrotliwy, po stronie mieszczan stawał. Bywały wszelkie przykre zatargi, nierzadkie nawet zabójstwa księży, interdyktem karane, jeśli «głowy» nie wypłacono; kazał i Kazimierz W. księdza Baryczkę, który mu przyniósł rzucony nań przez biskupa krakowskiego Bodzentę interdykt, w Wiśle utopić.

Wiary samej nic jeszcze w wieku XIV nie naruszało. Wprawdzie dobił się papież zaprowadzenia inkwizycji i w Polsce i polecenia jej, jak wszędzie, dominikanom, ale niemieckie ruchy kacerskie (waldensów i in.) zaczepiły tylko o śląskich mieszczan i chłopów niemieckich, Polski nie tknęły. Polska średniowieczna nie przedstawiała gruntu podatnego dla ruchów religijnych; przyjęła stosunkowo późno chrześcijaństwo, ale niem się nie nadto przejęła; zadowalała się biernem niemal powtarzaniem jego zasad i nauki, nie znała nędzy robotników, którzy w warsztatach za znośniejszą dolą tęsknili i słowa ewangeliczne na darmo przyzywali; nie uniosła się też nigdy marzeniami mistycznemi. I ją wprawdzie ogarnął r. 1260 strach moru i przed nim uciekała do biczowników i powtórzyła to samo r. 1349, ale w bardzo skromnych rozmiarach; ruch ów przy-

szedł z zagranicy, przewalił się z Węgier przez Małopolskę na Śląsk i dalej do Niemiec, ale sam mór dotknął Polski nierównie mniej niż inne kraje; bulle papieskie, skierowane przeciw biczownikom, jako wyłamującym się z pod karności kościelnej, wyszły i do Polski. Tak samo zaczepił o Polskę i ruch flandryjskich beginek: kobiety biedne szukały przytułku i znachodziły go w domostwach, powstałych ze składek i zapisów, i żyły tu po zakonnemu; był dom beginek i w Krakowie, jak z rachunków miejskich XIV wieku wiemy, i w Poznaniu, najdawniejszy w Sandomierzu; były to może same Niemki. Ale o śladach jakichś herezyj, które się w Flandrji i w Niemczech między beginkami i begardami (mężczyźni podobnego pokroju, w Polsce prawie zupełnie nieznani) wylęgły, niema u nas mowy; raz biskup krakowski zabrania im (r. 1373) wpływania na wybór miejsc pogrzebowych przez świeckich; zato we Francji i Niemczech szerzyło się heretyctwo, najsurowiej tępione, tak że papież Klemens V je znieść kazał. I waldensi przybyli do Polski chyba tylko z osadnikami niemieckimi; śród nich działali ich «apostołowie», przypominający bogomiłów bułgarskich wysoką etyką i świętością życia. Wszystkie te ruchy szły od dołu, od ludzi niepiśmiennych nawet; wiklefizm przeciwnie do uczonych się najpierw zwracał, znachodził adeptów, jak sobie na ucho szeptano, śród mistrzów krakowskich, co się na jednym z nich skrupiło, na Andrzeju Gałce z Dobczyna, wielkopolaninie, którego lektura pism Wiklefowych, nadsyłanych z Pragi, od ortodoksji odwiodła; wykryło się to przy rewizji jego ksiąg; on sam zbiegł zawczasu na Śląsk, przejęty realizmem Wiklefowym przeciw nominalistom krakowskim.

## HUSYTYZM

To były ruchy obce, niemieckie (jak i w Czechach pierwotnie), albo uczone, wypadki całkiem odosobnione. Poważne niebezpieczeństwo zagroziłoby katolicyzmowi dopiero przez ów

odłam wiklefizmu, który nie zadowolił się teorją mistrza, lecz ją w życie wprowadzał. Przy ścisłych związkach Polski z Czechami mógł husytyzm liczyć na bratni naród, na propagandę ustną zapomocą i kazań i pieśni, łatwo zrozumiałych; nie lenili się też husyci, i szczególnie na pasie wielkopolskm udało się im przeciągnąć na swoją stronę niejednego, mieszczanina i księdza, ale do chłopstwa husytyzm zupełnie nie dotarł, a i śród mieszczan, duchowieństwa, szlachty nigdy i nigdzie do masowej apostazji nie doszło. Działały te same siły, o których wyżej wspomnieliśmy: zachowawczość narodowa, brak energji (nierównie żywotniejszej śród Czechów), brak jakiegokolwiek działacza-apostoła, któryby zdołał masy rozruszać, a nie było i hasła, któreby to mogło wywołać. Dogmatyczne spory nie rozruszałyby nieprzygotowanych umysłów, i słusznie twierdził biskup-kanclerz Jastrzębiec, że lud prosty nie pojąłby nauki głębokiego filozofa; bardziej zajęła szlachtę, szczególnie wielkopolską, która w dziewięciu na jednej wiosce siedziała, socjalna i polityczna strona husytyzmu. Polityczną podkreślili Czesi sami, skoro wzywali Jagiełłę i Witowta do objęcia rządów zamiast znienawidzonego Zygmunta; obaj też się dziwnie chwiali: to przyjmowali wezwanie, to się wycofywali, szczególniej Jagiełło, gdy Witowt dłużej się wahał; wzgląd na Europę, obawa, by nie zasłynąć, szczególniej dla walki z Zakonem, jako obrońcy kacerstwa, rozstrzygała, ale po śmierci Zygmunta jeszcze raz spróbowano opanowania rządów czeskich, lecz niezbyt energicznie wzięto się do dzieła i rychło ustąpiono, bo cała ta polityka czeska nie znalazła, acz z różnych powodów, silnego poparcia ani od strony duchowieństwa, wszechwładnego za Zbygniewa Oleśnickiego, ani nawet od możnowładztwa małopolskiego, dzielącego się rządami z biskupem krakowskim. Duchowieństwo wyższe, bez wyjątku, zostało przy Rzymie i wytężyło wszystkie siły na zgniecenie ruchu, który się przecież i przeciwko jego bogactwom zwracał i od Kościoła prawdziwego, apostol-

skiego, ubóstwa wymagał; możnowładców małopolskich raził radykalizm początkowy, który zagrażał podstawom społecznym ówczesnym. Już w statutach arcybiskupa Mikołaja Trąby z roku 1420 nałożono na całe duchowieństwo jako najpilniejszy obowiązek śledzenie każdej oznaki ruchu czeskiego u ludzi przybyłych z Czech, kazań w tym duchu, pism, wspomnień, a już r. 1424 udało się uzyskać współdziałanie ramienia świeckiego w słynnym edykcie wieluńskim, który nakazał «heretyków» chwytać i karać, zwolennikom ich groził konfiskatą majątku, a dzieciom ich utratą szlachectwa, odwoływał wszystkich Polaków z Czech, a granicę dla wywozu broni i żywności zamykał.

Tryumf hierarchji nie przeszkodził jednak szerzeniu się husytyzmu między niższem duchowieństwem i szlachtą, szczególniej wielkopolską, zazdrosną o przewagę Małopolan i prawującą się z duchowieństwem o dziesięciny; niższe duchowieństwo znowu nie opływało w dostatki i reformy socjalnej mniej się obawiało. I nie brakło śród niego «husytów» przez cały wiek XV. R. 1415 oskarżano przed kapitułą gnieźnieńską księdza Jakóba z Tarnawej Łąki, że na słowa: «Hus jest dzieckiem szatana, odpowiedział: nie Hus jest dzieckiem szatana, lecz wasz Bóg ziemski, papież; oby dusza moja była tam, gdzie będzie dusza Husa». Ruch skupił się w obozie Spytka z Melsztyna i Abrahama Zbąskiego, ale ich konfederację rozbiła konfederacja Oleśnickiego; Spytko padł w boju, a Abraham, który w Zbąszyniu husytyzm jawnie krzewił, chociaż się go oficjalnie wypierał, umarł r. 1442, i odtąd ograniczył się husytyzm znowu tylko luźnemi wystąpieniami śród księży i mieszczan, wyjątkowo i śród szlachty, głównie kobiet. Nie było przy tem mowy o kardynalnych żądaniach husytyzmu; zadowalano się głównie udzielaniem sakramentu pod obiema postaciami. Przy najlżejszem podejrzeniu wkraczały sądy konsystorskie z największą energją, nie szczędzono żadnych zachodów, aby wykryć źródło

i spółwinnych, aby wyłowić i zniszczyć każde pismo podejrzane.

A podejrzanem było każde pismo polskie samo przez się; obawiano się najsilniej przekładów Nowego Testamentu, i to bynajmniej nie przypadek, że nas nie doszedł ani jeden egzemplarz tłumaczenia z tego wieku, chociaż były. Tak wytoczono r. 1455 księdzu Stanisławowi z Pakości proces o to, że był w Czechach (kto Rokicanę, głowę utrakwistów, słyszał, już za kacerza uchodził), że posiada pisma heretyckie; o te pisma badają najskrupulatniej; jeden świadek stwierdził, że widział u niego Nowy Testament po polsku, inny, że pismo polskie, w którem była wzmianka o tych, co chodzą «ku Bożemu Ciałku na odpust» (słynne Wilsnack w Marchji, gdzie grzechy ważono, dokąd także Jagiełło i inni Polacy ofiarowali wota). Raz pytają księdza, czy się znosił z Andrzejem Gałką; pytają go, co on rozumie o dulii (wzywaniu świętych), ale ksiądz tego pytania ani nie pojął.

W pierwszej połowie wieku krążyli też po Polsce kaznodzieje husyccy i można było z kazalnicy słyszeć wycieczki przeciw odpustom, przeciw symonji, przeciw władzy przełożonych (ksiądz, to samo co biskup i papież) i mogły się w Niemczech odzywać głosy, jakoby Polska zheretyczała (przez co tracono kredyt na Śląsku niemieckim, który dla antagonizmu narodowościowego Czechy wyklinał) i jedyne wyższe duchowieństwo temu się jeszcze opiera. W drugiej połowie wieku już się z takiemi głosami nie spotykamy; mimo to obudzona czujność nie dała się uśpić i o najlżejsze dwuznaczności pociągano do odpowiedzialności przed sądy konsystorskie, np. młynarza, co się chwalił, że to on stworzył ciało swej córki, jej duszę P. Bóg, a djabeł z zadrości jej... W Łomży poprawiał mieszczanin Żołądek księdza, że na kazaniu uczniów z Emaus apostołami nazwał i nie wspomniał, że Chrystus jako ogrodnik «z rydlem» się objawił, ani co to za pokój, jaki Chrystus daje *(da pacem);*

biskup go uwięził, widocznie nie wolno było w rzeczach wiary «rozsądzać». Ginęli na stosie, którzy w obu postaciach sakrament przyjmowali, a księży o to w więzieniu morzono. Pokryjomo mszczono się za ten ucisk parodjami, np. kilku mieszczan w Stawiczynie chrzciło cielęta zamiast dziatwy, a podchmieleni księża parodjowali mszę św., albo łżyli Marję. Nie brakło i śpiewek gorszących, ale kilkanaście wzmianek po aktach konsystorskich zastąpiły nam wszelkie inne ślady.[1]

---

[1] Oto kilka przykładów: r. 1500 twierdził szlachcic we Włocławku, że Chrystus był tylko człowiekiem, że Żydzi go słusznie za jego występki ukrzyżowali, że żaden święty niczego zdziałać nie może, więc nie należy ich wzywać, że niema żadnego zmartwychwstania, a o cenzury kościelne dbać nie trzeba: na sądzie odwołał wszystko z płaczem, a za wstawiennictwem biskupa poznańskiego i szlachty ukarał go biskup włocławski bardzo łaskawie, nawet cenzury kościelne odpuścił, miał tylko rozdać między ubogich pięć postawów zwykłego sukna; mieszczaninowi nie byłoby to tak gładko uszło. R. 1499 skazano na śmierć kacerza Adama z Radziejowa, ale inny duchowny chwalił go, że w rozprawie sądowej odbijał argumenty swoich przeciwników «jako psy z kuchniej parzą warem». W diecezji włocławskiej komunikował Gąska panią w stajni ojcowskiej pod obiema postaciami, ocalił się ucieczką, ale księdza Macieja z Żelewa, którego zwiódł kuśnierz Mikołaj z Nieszawy, obwiniono o to samo; przy rewizji znaleziono u niego podejrzane książki i wszelakie «klatki» (plotki); kuśnierza wzięto na męki i za kacerstwo «pelagiańskie» spalono a cały majątek skonfiskowano; wszystkie osoby, które się z kuśnierzem znosiły, badano jak najostrzej; wyrzekali się wszystkiego; księdza umorzono. W Gnieźnie r. 1437 oskarżono księdza, że kazał się modlić za Piotra Polaka jako za «obrońcę korony Polskiej», był to zawołany obok Puchały i in. husyta, członek konfederacji Melsztyńskiego, ależ zarazem najeźdźał pogranicze śląskie i marchijskie i może dlatego go ksiądz sławił (imię «Polak» r. 1437 zastąpiłoby «Polanina» r. 1237). Akta kapitulne płockie zaczynają niemal stale od pytań w rzeczach wiary, czy komu co wiadomo o herezjach, zapytują o to i arcybiskupa, ależ jak rzadko wymienia się jakie podejrzane nazwisko! Raz, co prawda, mowa o księdzu, co śpiewa w zebraniach świeckich wiersze o tem, że się ludowi należy komunja pod obiema postaciami (chyba polskie?); raz o księdze heretyckiej, gdzie tego samego nawet i dla dzieci żądają (ale to chyba nie polska); o szlachcicu,

Baczności inkwizytorów uszedł rękopis z kazaniami nienazwanego księdza, który nie wspominając ani słówkiem o Husie, jak najostrożniej zasady husyckie szerzył. Bo oto każe się odzywać św. Pawłowi do Polaków, śród których znalazłby księży konkubinarzy, których mszy nie należałoby słuchać: panowie (rajcy miejscy) karzecie tych, co się sprzeciwiają prawom waszych ksiąg miejskich, o wiele skuteczniej winniście uśmierzać tych, co się prawom Chrystusowym sprzeciwiają. Jest to właśnie siódmy i ósmy artykuł husycki z tych dziewięciu, które Zbygniewowi Oleśnickiemu przedłożono: nie słuchać mszy księdza-cudzołożnika i karanie księży występnych przez urząd świecki. Albo: winniśmy księża opowiadać ludowi słowo Boże, a nietylko dziesięciny chwytać, i pyta: «którym urzędem pożywa jałmużny chrześcijańskiej ksiądz, nie przepowiadający słowa Bożego?» Ależ to wszystko całkiem luźne, chociaż już r. 1426 oskarżono dwu księży, że obalali krzyże i krucyfiksy; w Zbąszyniu tłumaczono się już chętnie, że tylko z obawy przed p. Zbąskim herezji się dopuszczano. Tak powiodło się wyższemu duchowieństwu ocalić czystość wiary katolickiej i nie dziw, trudnoż było nierozgarnięty lud sprowadzać z drogi odwiecznej tradycji. Czechy były nierównie więcej rozbudzone, a zasady ruchu husyckiego odzywały się śród nich samych już w XIV w. w kazaniach gorących oskarżycieli wszelakich nadużyć. Nasz uniwersytet stał z wyjątkiem jednego wiklefisty, Andrzeja Gałki (który miał mieć poprzednika w kanoniku św. florjańskim, Janie Jelitce, około r. 1400), niewzruszenie na gruncie katolickim

---

co się od ośm lat nie spowiadał; o innym, co wszelakie herezje prawił (o Marji rodzącej jak zwykła kobieta; o księdzu, że przy mszy św. nie tworzy ciała Pańskiego i in.), ale przed sądem wyparł się wszystkiego. Laików prawie niema (kuśnierz jakiś i in.); podejrzewają plebanów (np. w Bąboszewie) jeszcze w połowie wieku; później giną ślady zupełnie; ortodoksja zwyciężyła na całej linji, pożar czeski u nas się nie zajął; luźne jego iskierki zadeptano jak najrychlej.

i odpierał wymownie artykuły husyckie piórami Czechów-katolików, co z Pragi uchodzili jak Palecz, Rwaczka i in., lub polskiemi Stanisława z Skarbimierza, Jana Elgota, Jakóba z Paradyża, Andrzeja z Kokorzyna, Benedykta Hessego i in., ale ich traktaty nie przekraczały murów uniwersytetu, który od nowo wstępujących uczniów wymagał wyprzysiężenia się nauki Husa.

O husytyźmie polskim mało co wiemy, bo śledztwa konsystorskie zaczynają się od połowy wieku dopiero, kiedy burza już minęła, — ale inaczej było w pierwszej połowie; Długoszowe dzieje zbyt jednostronne. Niemiec brzydził się husyctwem już, że było czeskiem i dlatego Śląsk (Wrocław mianowicie!) husytyzm tępił; Polaka wiara czeska raczejby nęciła, a śpiewki husyckie (broń ulubiona ówcześnie) pewnie i do Polski się dostawały — nie z przypadku ów Gałka swoją piosnkę polską o Wiklefie ułożył, przeznaczał ją chyba dla propagandy. Powiodło się wprawdzie duchowieństwu wydobyć edykt wieluński, ale jak go stosowano, to inne pytanie. I między wielmożami nie brakło sympatyków husyckich, choćby donosy o tem Witowta były stronnicze i przesadne. Sytuację ocaliło energiczne wystąpienie Zbygniewa Oleśnickiego: on się nie zawahał obłożyć Kraków interdyktem, gdy się poselstwo husyckie w mieście zjawiło (chociaż odwoływał się niby do powagi uniwersytetu), a że sobór bazylejski husytom kompaktaty przyznał, to nie przysporzyło mu sympatji śród biskupów polskich; podobnie i unja soboru Florenckiego nie znalazła u nich poklasku; byli «bardziej katolickimi, niż papież». Natomiast nie dzielili zapatrywań Rzymu na sobór i reformę kościelną; byli wybitnymi koncyljarzystami, stawiali, jak Andrzej Łaskarz, albo Jakób z Paradyża, sobór nad papieża, a domagali się reformy choćby przed wyborem papieża; szli z Niemcami przeciw Rzymowi; u Długosza to wcale niewyraźnie się zaznaczyło; Polska pierwszej połowy tego wieku jeszcze wcale nie była tylko potulną owieczką, a wywołała to długoletnia szyzma papieska.

## UDZIAŁ W SOBORACH

Jak pierwsze walne zwycięstwo wojskowe pod Grunwaldem, tak rozsławiło imię Polski pierwsze jej wystąpienie na arenie europejskiej podczas soboru w Konstancji; delegacja polska zaimponowała ojcom soborowym nietylko liczbą i wystawnością — arcybiskup były lwowski, teraz gnieźnieński, Trąba, podejmował najgościnniej ojców soborowych w Konstancji, a najokazalej w Paryżu cały uniwersytet — ale siłą umysłową i wymową; nawet bardzo podrzędną jej osobistość, lwowianina (?) Wolframa, naznaczono do odczytywania aktów soborowych, ale jej głowy, Andrzej Łaskarz z Gosławic, elekt poznański, i jego towarzysz a przedstawiciel uniwersytetu, Paweł Włodkowic, przewodzili jawnie i tajnie śród ojców. Arcybiskup sam, z Niemców rodem, należał do umiarkowanych i godził strony przeciwne, miał się nawet przyłożyć do obioru Marcina V, ale Łaskarz był najzaciętszym koncyljarzystą. Pawła Włodkowica pochłonęły całkowicie walka z zakonem o zasady i z Falkenbergiem o pamflet. Chociaż sam w dawniejszym traktacie o annatach (tak nazwanym, bo tylko ten jeden punkt, pobór jednego rocznego dochodu od świeżo mianowanego dostojnika przez Rzym, szeroko opracował) między innemi zarzutami i skład niedobrany kurji kardynalskiej i samowolę papieską wyliczał, teraz walczył o uznanie zasady, że i «niewierni» swe prawa mają i spokojnych napastować i odbierać im ich mienie się nie godzi, czego Krzyżacy nigdy nie uznawali, wychodząc z wygodnej dla nich wszechmocy cesarskiej nad niewiernymi. A dalej zwalczał Falkenberga pismo złośliwe, kłamliwe, skandaliczne, ależ nie heretyckie i napróżno żądała delegacja polska, żeby je sobór uroczyście jako heretyckie potępił i przyszło o to do bardzo drastycznych scen wobec Marcina V, który się na podchmielonych oburzał; że arcybiskup wrócił z soboru jako prymas Polski, a Władysław i Witowt wikarjuszami papieskiemi

na Wschodzie niewiernym zostali, nie wyrównywało ani tego zajścia, ani tego zawodu, że głównego innego zadania, choćby kroków przedwstępnych do «redukcji» szyzmatyków, do unji ich z Rzymem, już ani nie tknięto i skończyło się tylko na szumnem wystąpieniu nowego metropolity kijowskiego, Bułgara Cemblaka, wobec soboru. Trwalsze były stosunki, zawiązane z Czechami; sprawa Husa rozruszała i Polaków i dziękował im Hus za oznaki sympatji, ale i jego zawzięci przeciwnicy, Maurycy Rwaczka i Stefan Palecz, wytrwali przy sprawie polskiej, o nią się gorąco ujmowali i z soboru do Polski przybyli, tu walkę przeciw husytom silną podejmując. Tak zetknęli się Polacy z elitą duchową Europy, i już się nie dziwił Filelfo, że go król na swe gody małżeńskie do Krakowa zapraszał, gdzie humanistę wspaniale podejmowano.

Odmiennie potoczyły się losy udziału Polski w następnym, bazylejskim soborze. I tu stali Polacy w pierwszym rzędzie koncyljarzystów i mógł na nich sobór liczyć jako na najwierniejszych sprzymierzeńców, wysyłał do nich nieraz swych delegatów i odebrał z Krakowa ów traktat o wyższości soborowej, który potem jako najtrafniejszy po Europie rozsyłał; była to zbiorowa praca uniwersytetu, przyjęta wkońcu nie w ostrej redakcji Jakóba z Paradyża, lecz w łagodniejszej Mikołaja Strzępińskiego. Uniwersytet czuł się tak dalece wobec soboru zobowiązanym, że nie myślał odstąpić od niego ani od antypapieża Feliksa V, od którego przecież i Zbygniew Oleśnicki i arcybiskup Wincenty Kot przyjęli kapelusze kardynalskie; i gdy już i król i kler sprawę soborową zupełnie porzucili, uniwersytet się przy niej do końca upierał i napróżno obsyłał uniwersytety obce, niemieckie i paryskie, prosząc o wskazówkę ostateczną, paryski jawnie przeciw niemu stanął; ostatni też w Europie uznał Mikołaja V. Zato zadzierzgnął na soborze liczne stosunki z uczonym światem europejskim (były tam właśnie uniwersytety najświetniej zastąpione); wracali z niego Po-

lacy do domu z cennemi rękopisami, z znajomością nowych haseł i chociaż nie stawili się w 800 koni, jak w Konstancji, lecz nierównie skromniej, skutki były donioślejsze; dawne odosobnienie należało już do niepowrotnej przeszłości. Tylko na soborze florenckim, w dziele unji kościelnej, nie wzięli udziału; nic ich teraz do tego już nie ciągnęło, a najmniej ich wodza.

## TYPY DUCHOWNE

Szczyt bowiem całego duchowieństwa polskiego, nietylko średniowiecznego, to biskup krakowski i kardynał dwu papieży, Zbygniew Oleśnicki, najczynniejszy z ludzi, nadzwyczajnego hartu charakteru, niezłomny szermierz bojującego Kościoła, jakiego Polska ani przed ani po nim drugiego nie zaznała, żądny sławy i mocy, ostatni rycerz średniowiecza, zakuty w jego zbroję umysłową, nie poddający się nowemu duchowi, wrogi każdemu ustępstwu, czy dla husytów czy dla humanizmu, chociaż poprawniejszą łacinę umiłował, a historja go bawiła; mąż czynu, nie pióra, doktryner średniowiecza, popadł wkońcu w ostry konflikt z królem-politykiem i nie wyszedł zeń zwycięzcą. Gorący patrjota, stawiał Kościół nad państwo; wróg Krzyżaków, Niemców od młodości wrocławskiej lubił (jak i Łaskarz, który życia śród benedyktynów niemieckich zamierzał dokończyć), a obcym sprzyjał; przytomnością umysłu, rzutkością myśli, szybkością decyzji zwyciężał trudności; uznał go nawet Eneasz Silvius, niechętny Słowianom dla husytyzmu i szyzmy, a specjalnie i Polsce za sięgnięcie po koronę węgierską i uszczypliwie z niej drwiący: jego dziesięcioletnia niemal korespondencja ze Zbygniewem świadczyła mimo wszelkiej humanistycznej przesady, jak mu książę Kościoła polskiego zaimponował. Był gwałtowny, karcił ostro króla za rządy a uniwersytet za nepotyzm, mimoto ostrożny; snuł wielkie plany, ale dla nich rzeczywistości nie poświęcał; w nim dosiągł Kościół polski szczytu siły

i znaczenia. Co za karzeł wobec niego arcybiskup gnieźnieński Oleśnicki! prawda, że i czasy się zupełnie odmieniły.

Ale Zbygniew Oleśnicki, to zadomowiony Polak, co za Wrocław i Budę nie wyglądał; śród dostojników kościelnych już przeważają «ultramontani» w pierwotnem, padewskiem tego słowa znaczeniu, wychowankowie Padwy, Bolonji, Paryża, co najmniej Pragi. Szczyt to umysłowości polskiej XIV i XV w., chociaż to mężowie czynu, co rzadko do pióra sięgali, a zawołani juryści i politycy, w kancelarji i dyplomacji, nie na kazalnicy ani w duszpasterstwie się odznaczyli; dygnitarze to świeccy w rewerendzie i mantoletach. W wieku XIV padewczycy Skotnicki i Strzelecki najzdolniejsze narzędzia w ręku Kazimierzowych; jeszcze wybitniejsze fizjognomje XV wieku, z pierwszej jego połowy, bo w drugiej — nietylko śród duchowieństwa, tak samo było na uniwersytecie, u dworu i w wojsku — poziom się widocznie obniżył. Oto dwaj koledzy, zarówno na studjach padewskich jak na soborze konstanckim, gdzie się z nauczycielem, kardynałem Zabarellą, znowu spotkali, Andrzej Łaskarz (wkońcu biskup poznański, acz do zacisza benedyktyńskiego tęsknił) i Paweł Włodkowic, który wkońcu do takiego zacisza klasztornego (w Kłodawie) się schronił, obaj nieznużeni szermierze, jeden przewagi soborowej i reformy kościelnej, drugi spraw polsko-krzyżackich, piórem bardziej zasłużony, gdy Łaskarz mową i propagandą narabiał; obok nich Mikołaj Trąba, ostatni z mieszczan arcybiskup, okazałością życia na obczyźnie, a w kraju pracą synodalną i antihusową znamienity. Wszystkich przewyższał ogładą wykwintną zamożny dziekan krakowski, Mikołaj Lasocki, gorliwy niegdyś Bazylejczyk, a mimoto w największych łaskach u Mikołaja V; on pierwszy istotne związki z humanistami włoskimi, nie przelotne znajomości uprawiał; zawołany dyplomata w służbie, czy Hunjadego czy króla polskiego, swoich bratanków u starzejącego się humanisty Guarina w tegoż konwikcie w Ferrarze umieścił: płaszczyli się

przed nim w uniżonych listach-prośbach (o protekcję w kurji rzymskiej) Guarinowie ojciec i syn w latach 1437—1449; mówca to znakomity, powszechnie dla darów serca i ducha ceniony; jego to pierwsza mowa antyturecka polska (do Mikołaja V wygłoszona r. 1448), pierwsza ściśle humanistyczna zarazem; po warneńskiej bawili on i Grzegorz z Sanoka u Jana Hunjadego, on jako jego sekretarz, Grzegorz jako nauczyciel jego synów. Obaj już «zwłoszali»; sarmatą mimo Bazylei pozostał Dziersław z Borzymowa, który ojców soborowych śmieszył rubasznemi żartami o poście-śmierci dla Polaka. Wcale inny typ duchownego, to Sędziwój (Sądko) z Czechła, który życia u augustjanów w Kłodawie dokończył, niewzruszony bazylejczyk (soborowczyk) do śmierci, podobny w tem do Jakóba z Paradyża; paryski bakałarz św. teologji, szperacz uczony (dzieł historycznych) i natchniony kaznodzieja, ścierający się namiętnie z chłodnym Kazimierzem, bezinteresowny sługa słowa Bożego; jako prawy bazylejczyk i paryżanin obrońca dogmatu Niepokalanego Poczęcia i przeciwnik dominikanów krakowskich i ich profanującej Bogarodzicę rzeźby; wróg wreszcie symonji każdego rodzaju. Inni dygnitarze kościelni bywali wpierw profesorami uniwersyteckimi, taki np. Strzępiński (następca Zbygniewa), zawołany teolog; z innymi spotkamy się jeszcze niżej. Takie biskupstwo krakowskie było raczej posterunkiem dyplomatycznym niż duszpasterskim: musiał z niego ustąpić i przenieść się na niższe poznańskie, Piotr Wysz, powiernik Jadwigi, gdy partja Witowtowa przeważyła; musiał z niego ustąpić kanclerz Wojciech Jastrzębiec (i przenieść się na arcybiskupstwo po Trąbie), gdy partja Witowtowa doznała porażki. Moralność tych pasterzy nie zawsze była nienaganna; w XIV w. biskup poznański Jan z Łodzi i biskup krakowski Zawisza, szczególniej ten, słynęli z rozpusty (Zawisza kark dla niej skręcił), a w XV wieku Stanisław Ciołek, biskup poznański, zażywał również nienajlepszej sławy, intrygant pierwszorzędny, ale zręczny bar-

dzo i układny, retor średniowiecznej, t. j. kancelaryjnej próby (zob. niżej).

Rola duchowieństwa odmieniła się najzupełniej w ciągu XV wieku; skoro się w Polsce wszystko spóźniało, mogło się zdawać, że nadejdą jakieś czasy Grzegorza VII czy Innocentego III, nasuwało się za rządów Zbygniewa niby widmo jakiejś nowej teokracji; złudę potęgowało, że z powodu obu soborów, ruchu husyckiego, grozy tureckiej, rzeczy wiary wszelkie inne przytłaczały. Ale czasy nie były już potemu; polityka dynastyczna wypełniła całą drugą połowę wieku, a rzeczy wiary zeszły zupełnie z widnokręgu; energiczny król wyzwolił się zpod przewagi Zbygniewa, który następcy już nie znalazł. Państwo i społeczeństwo zeświecczały zupełnie; narazie nikt jeszcze nie tykał stanu posiadania duchowieństwa, ono zasilało po dawnemu kancelarję królewską, obfitowało w dochody olbrzymie, tępiło herezję, ale już rozstrzygały interesy władzy świeckiej wyłącznie. Duch, co się dotąd dał wodzić na pasku hierarchji, zrywał się do swobody; ideały ascezy średniowiecznej w życiu, przewodniczenia teologji w nauce ustąpiły nowym prądom: jeszcze taki Sędziwój z Czechła umykał pod krzyż od powabu muz antycznych, ale ich pochód tryumfalny był już niewstrzymany; od południa, które o nich nigdy doszczętnie nie zapomniało, gdzie i niebo pogodne i resztki sztuki zawsze je przypominały, szedł on przez Alpy i na Węgry do Polski i sama hierarchja, Grzegorz z Sanoka, Piotr Bniński, Maciej Drzewicki, je witała; rządy duchowne skończyły się niepowrotnie, zawiało nowym duchem, wyzwoleniem.

## KOŚCIÓŁ POLSKI

Wobec znaczenia i olbrzymich środków biskupich było dla energicznych królów, jak obaj Kazimierze, prowadzący własną politykę (inni zależeli przeważnie od otoczenia, od rady), rzeczą

pierwszorzędnej wagi obsadzanie biskupstw; należeli do rady koronnej, więc winni być ludźmi, na którychby król ufnie mógł liczyć. Biskupa wybierała kapituła, w wyjątkowych razach i Rzym to prawo sobie rościł; w istocie rozstrzygał król, który niedogodnych kandydatów usuwał, tak że wolny wybór kapituły był nadzwyczaj ograniczony, pozorny. Kazimierz Wielki nie dopuszczał w Poznaniu, Płocku kandydatów niepewnych czy wrogich; mniej mu się w Krakowie szczęściło, ależ i tu nie powtórzył się mimo wszelkich tarć konflikt, w jaki Łokietek popadł z biskupem Muskatą, jawnym poplecznikiem czeskim a wrogiem Polski. Kazimierz Jagiellończyk przeprowadzał swoich kandydatów bez trudności, tylko raz przyszło do ostrego starcia z kapitułą krakowską i z papieżem; kapituła wybrała po śmierci Strzępińskiego podkanclerzego, Jana Lutka z Brzezia, król chciał Jana Gruszczyńskiego, a papież zamianował Jakóba z Sienna; przyszło do silnego zatargu, do całej wojny duchownej, ale król nie ustąpił i wygrał, papież ustąpił, kapituła zagrożona wygnaniem, konfiskatą majątków, więzieniem poddała się i Gruszczyński został biskupem (niebawem arcybiskup). Czasy Oleśnickiego minęły stanowczo.

Kościół polski doszedł był w XIV wieku nadzwyczajnego rozszerzenia swych granic przez zajęcie Rusi; Kazimierz Wielki pomyślał rychło o organizacji dla nowej prowincji. Były tu już dawniej misje franciszkańskie, «Stowarzyszenia Braci pielgrzymujących dla Chrystusa po ziemiach niewiernych», z obszernemi przywilejami papieskiemi do sprawowania sakramentów i czynności duszpasterskich; tych brodaczy witała ludność obca raczej niż dominikanów; ludności łacińskiego obrządku przybywało coraz więcej; kler był przeważnie niemieckim. Biskupstwo przemyskie założył już Kazimierz W., ale w organizacji kościelnej bróździły pretensje, jakie od XII wieku rościł biskup lubuski do tej misji; inne biskupstwa ruskie były całkiem tytularne. Dopiero przy końcu swych rządów podjął Kazimierz myśl

utworzenia całej metropolji halickiej, do czego doszło dopiero r. 1375 za Władysława Opolczyka, sprawującego rządy na Rusi z ramienia króla węgierskiego. Biskup lubuski zrzekł się swych roszczeń, a nowa metropolja, założona w Haliczu, przeniesiona wkońcu ze zrujnowanej mieściny do zamożnego i ludnego Lwowa r. 1412, obejmowała prócz halicko-lwowskiej, diecezje przemyską, włodzimierską i chełmską. Niemców-biskupów (np. czynny Erich von Winsen w Przemyślu, nieczynni pierwsi arcybiskupi haliccy Maciej i Bernard) zastąpili niebawem Polacy, Maciej kanonik gnieźnieński w Przemyślu, Jakób gwardjan franciszkański w Haliczu i Lwowie, gdzie stale przesiadywał: franciszkanie właśnie mieli liczne konwenty po Rusi Czerwonej i Podolu aż do Mołdawji włącznie; r. 1341 ponieśli byli we Lwowie śmierć męczeńską od Tatarów. Organizacja jakiś czas istniała raczej na papierze, bo biskupi włodzimierski i chełmski byli tylko tytularnymi, ale r. 1400 objęli istotnie rządy w swoich diecezjach i dwie nowe, w Kamieńcu (podolskim) i Kijowie utworzono; wkońcu jeszcze i w Łucku, co jednak trafiło na odpór Witowta i biskupa włodzimierskiego. Polonizacja postępowała rychło; już u boku arcybiskupa Jakóba (zmarłego r. 1409 czy 1410, słynącego niebawem i cudami) był kaznodzieja polski dla Lwowa.

Rozluźniły się natomiast zupełnie stosunki z Wrocławiem i Lubuszem; wrocławscy biskupi należeli jeszcze do prowincji polskiej, ale to było rzeczą raczej tytularną; nie brali już udziału w synodach polskich, ale zakusy czeskie, by połączyć Wrocław z Pragą, nie powiodły się. Biskupstwa pruskie, warmijskie przedewszystkiem, nie weszły w organizację prowincji polskiej; w Warmji wybuchły niebawem przykre walki z biskupem Tungenem (wojna popia), a i po nim przyszło do nowych zatargów z królem o obsadę biskupstwa, bo stany pruskie sprzeciwiały się mianowaniu «obcego» (nie indigeny pruskiego).

Wiek piętnasty górował czasami nad czternastym oży-

wioną religijnością, nie znał wprawdzie takich wstrząśnień moralnych jak trzynasty, mimo to gotował się do wypraw krzyżowych na Turka nieraz, a zabłysnął i nowym zakonem i nowymi świętymi Pańskimi, chociaż wyprawy krzyżowe kończyły się i pogromem żydowskim. Wydał nowych świętych nietylko ów nowy zakon (bernardyni Władysław z Gielniowa, Szymon z Lipnicy, Jan z Dukli), ale i śród świeckiego duchowieństwa (Jan Kanty, profesor uniwersytetu) i zakonnego (Izajasz Boner, Michał Giedrojć), nawet w rodzie królewskim (młodo zmarły Kazimierz) słynęli cnotami i świątobliwością, kanonizowani czy beatyfikowani słudzy Pańscy, gorący kaznodzieje czy cisi pracownicy. Lecz nie sądzić nam wedle tych wyborowych całego duchowieństwa; nie myślimy go też sądzić wedle aktów konsystorskich, które z natury rzeczy prawią o wyjątkach, występnych z krewkości czy niegodnych stanu swego. Energja biskupów pokonała herezję, ocaliła prawowierność i dowiodła czynem, że bezczelne wycieczki Falkenberga przeciw Polsce i Litwie, adorującym jakieś bóstwo Pagel, na niego samego się obaliły; mimo to nie zdołała ta energja ocalić organizmu duchownego od toczącego go raka, nie zdołała przywrócić i zapewnić całemu duchowieństwu dawnej powagi.

## ŻYCIE KLERU

Budziła się myśl z powijaków scholastycznych, nie strzegła autorytetów, przenikała pozory i ułudy; żywa wymiana zdań i sporów wstrząsały przestarzałemi przesądami, a coraz mnożyły się oznaki, że karność, dyscyplina, czystość obyczajów, powaga życia i stanu duchownego bardzo nadwątlone. Gorszyło nieraz nieuctwo księży; r. 1439 stanęło w Płocku przed kapitułą trzech braci księży; język był łaciński, więc pierwszy zeznawał *valde titubando* (bardzo chwiejnie, t. j. po łacinie); dwuch drugich egzaminowano, okazało się, że nawet słów kon-

sekracji nie znali i wcale źle czytali. Egzaminowano nowych księży jak żaków, pytano o rodzaj i przypadek, kazano odmieniać i t. d., a wkońcu pozwalano nieukowi na odprawianie tylko wigilji i pewnej mszy. I w zakonach nie bywało lepiej, nie przypadkowo wymieniały kroniki klasztorne tak starannie braciszków, którzy się odpisywaniem i zdobieniem kodeksów odznaczali — o wyższej pracy umysłowej bywało głucho i rozumiemy też, że Grzegorza z Sanoka i nieuctwo i fatalna wymowa łaciny (nie uznająca iloczasu łacińskiego) gniewały. Ależ i gdzie indziej nie bywało wtedy lepiej (świadkiem choćby «listy obskurnych mężów» w Niemczech).

Gorzej wadził, niż niski poziom umysłowy, moralny. Symonja rzymska wydawała fatalne owoce; opłacając się w kurji dobijano się wszystkiego; skupiano w jednej ręce liczne beneficja, nie wymagano obecności beneficjata; dobrze było, jeśli kapituła udzielała kilkuletniego nawet urlopu dla studjów zagranicznych, ale i bez takiej słusznej przyczyny absentowano się nawet z synodów. Ogromnie gorszyły cenzury kościelne, nakładane o marny grosz — upierało się przy nich duchowieństwo, ale już zdarzały się wypadki, że szlachcic i cztery lata trwał w ekskomunice. Gorszyło dalej życie kleru: wprawdzie dbały synody i ich ustawy o czystość obyczajową, walczyły z rakami konkubinatu, jawnego i tajnego, i pijaństwa, szczególniej «w rząd» z świeckimi, ale ksiądz winny zapłacił karę synodalną (trzech grzywien) i ślubował poprawę — do następnego razu («i ja człowiek» wołał). Już różnił się kler ubiorem od laików; ciemna barwa długiej szaty (u kanoników do tego «kożki», pelerynki, i łańcuch), zakaz śpiczastych trzewików, noszenia broni, zwisających rękawów, wieńców na głowie, czyniły go wcale odmiennym, ale nie przeszkadzały bynajmniej udziałowi w «posiedzeniach» z ich pijatyką «w rząd» i grą w bierki i kostki.

Nie przychodziło u nas do tylu gorszących widowisk, ja-

kich życie kleru zachodniego, a szczególniej włoskiego i kortezanów rzymskich dostarczało; przy bardziej skromnem, niemal patrjarchalnem życiu tradycyjnem, przy kornem usposobieniu naszych maluczkich, przy braku podżegaczy (husyci rychło ustąpili), a niewysokich wymaganiach trzódki duchownej, ogół duchowieństwa wychodził obronną ręką; były spory z witrykusami (dozorcami kościelnymi z gminy), ale przy nadto gorszących wybrykach powoływano księdza przed konsystorz, zmuszano do opuszczenia albo zmiany parafji i więziono. Brakło nieraz prostej subordynacji: gdy księdzu biskupem zagrożono, on na to: «*chłość macierz* (ogólne to wyzwisko ówczesne, bardzo brzydkie) biskupowi, ja go pozwę do Rzymu i jego djabli wezmą a ja zostanę plebanem w Kobiece». Wybryki podobne tłumaczą się bardzo często tem, że się ich w nietrzeźwym stanie dopuszczano. Chodzili np. ksiądz z klechą po kolędzie, silnie się upili i wróciwszy do plebanji pokłócili, ksiądz uderzył kijem klechę tak, że ten niebawem skonał, ksiądz rzeczy na wóz ułożył, aby uciec, ale go przytrzymano. W takim to stanie dopuszczano się sprawek, które tylko po łacinie przytaczaćby można, a o bluźnierstwa i przeciw Marji i przeciw sakramentowi ołtarza nie było trudno («co to za skarb? może nim sobie rybałt kapustę uważyć» i t. p.). Pijaństwo bywało wszystkiemu przyczyną; pleban szynkował piwo i na plebanji, nawet «w rząd» (t. zn. pokolei płacił każdy za wszystkich), a nawet gorzałkę *(vinum combustum),* więc go i szkalowano: ty opiły popie (opuchły, pogrzebany popie, nieraz po aktach), a pobożny pisarz jakiś zakończył swój odpis wierszami:

Kapłanie, chcesz polepszyć dusze swej,
Nie mów często: piwa nalej!
Boć piwo jest dziwny olej;
Więc z nich kłamają (szydzą) chłopi,
Rzekąc (mówiąc): szaleni są popi!

W takim stanie zdradzano nieraz tajemnicę spowiedzi, wymawiając się, że to tylko z żartu (!), ależ zdradzał ksiądz mężowi niewierność żony. Zaniedbywali nabożeństwo; w wilję Bożego Narodzenia czekała darmo parafja na plebana, patrzą przez okna plebanji, a on grał całą noc z szlachtą w *werteczkę* albo *wertaczkę* (nie wiem, coto za gra? bierki? kostki?); albo niewyspany, pobiwszy się z ludźmi, mszę odprawiał. Więc nie dziw, że mu ktoś kazanie przerwał: poco on każe, niech mi lepiej odda grosz, co ode mnie na piwie wygrał, a inny: dosyć, schowaj resztę na jutro. Nadużywali też księża swobody słowa; w kazaniu potępiali przeciwników, np. pana Aleksandra z Sobanic: patrzcie, wołał ksiądz z kazalnicy, jak się ten pan dał pokornie wymalować na tablicy, ale duszę i ciało jego już w piekle odmalowano, a tu już tylko jego cień, a innym razem: oszust to, łgarz i zdrajca, ale pobożny na obrazie. Po kazaniu wielkanocnem zaśpiewał inny: «Chrystus zmartwychwstał jest, pan Strzelecki zdrajca jest», a inny powtykał do *Bogurodzicy* sprośne słowa; raz skarżył się pleban, że jego wikary przybił u wrót kościoła kartkę z szkalowaniem na niego i wyśmiewa jego kazanie; więc nie dziw, że owi mieszczanie stawiscy wiersze hańbiące na duchownych układali i niemi sławę ich po całej okolicy szczypali. A oto ksiądz na kazaniu powie o innym: to pół psa, pół kota, ale nie człowiek! W karczmie nietylko pili do upadłego (karczmarz prosił: już trzecia świeca zapalona, idźcie do domu), napastując potem domy miejskie, ale i grali w kostki i karty; wymawiali się stale, że nie o pieniądze grali, ale o piwo, albo o «targanie za włosy» (pro capillacione crinium *nyechaimego* czy *niechajnego?)*, albo o zachęcenie do picia; u jednego kleryka znaleziono jednak fałszywe kostki (z dwoma cynkami i dwiema dryjami), a kartę jedną znaczoną, grubszą. Wszystko to było najsurowiej zabronione, ale nie pytano o zakazy. Jeden święcie obiecywał, że przez rok codzień tylko za trzy «denary», nie więcej, piwa pić będzie. Inny w karczmie

spowiedzi słuchał, więc nie dziw, że ktoś księdza przezwał «małpą i kobyłą *jestrewa*» (nie rozumiem tego). A ksiądz także pisał uszczypliwe wiersze i zawiesił je w stalli pewnej pani w kościele.

Nietrudno było też o fałszywe relikwje i cuda. I tak wystawiał jeden ksiądz w monstrancji do całowania nowo przybyłe relikwje śś. Mikołaja, Katarzyny, Doroty, ależ były tam tylko «brudne szmaty, niegodne do obtarcia nóg». Inny chrzcił obraz św. Anny, co miał być cudowny: konsystorz zakazał jego wystawiania. Podobnych środków chwytali się i «kacerze»: gdy w Zbąszyniu kacerstwo upadało, sprowadzili opętaną, która wołała, że wiara czeska jest lepsza niż rzymska, i to ludzi znowu odwróciło. Kościół tępił gusła i zabobony, ostro karał nadużywania świętości dla czarowania, np. św. krzyżma, aby ludzie piwo chętniej kupowali; kradli albo wyjmowali z ust opłatek dla czarów: kobietę, «wieszczą babę, wieszczycę», która się tego dopuściła, skazano, żeby przez cały rok co niedzielę i święta stała bosa z świecą w ręku przed kościołem podczas nabożeństwa, ostro pościła w dzień Ciała Pańskiego, a przez całe życie przy podniesieniu na klęczki padała — panią, co o tem wiedziała, dotknęła tasama kara. Bagniędziem święconem czarowano drób, aby go przed jastrzębiem uchronić. To znowu obcinała kobieta wisielcom palce i wkładała do naczyń dla lepszego odbytu piwa; wiemy, jak się o podobne «relikwje» dla szczęścia starano. Czarowano chlebem i wodą, aby złodzieja wykryć. R. 1453 ukradziono w Poznaniu w ratuszu pieniądze; kilku rajców udało się do znanego wieszczka, ślepego Grelicha, i obiecali mu futro i kilka groszy na buty, jeśli wykryje złodzieja. Grelich kazał im wypisać w odstępach nazwiska wszystkich, którychby posądzali; zamawiał laseczki, które ustawiał między nazwiskami i kazał patrzeć, do którego nazwiska laseczka się skłoni: oto i złodziej. Oskarżono kobietę, że niechrzczone dziecko usmażyła dla tłuszczu, żeby nim czarować i t. p.

## KAZNODZIEJSTWO

Miał więc Kościół trudne zadanie, ale przecież katechizacja kraju znacznie postąpiła; całkiem wyjątkowe bywały wypadki jak np. w Kołatach, gdzie chłopi w święta robili, świętopietrza nie płacili i *Creda* nie chcieli się uczyć: konsystorz skazał ich, by w przeciągu roku wyuczyli się trzech modlitw głównych pod karą kamienia wosku. Słowo boże rozlegało się po całym kraju; w XV wieku, również dzięki uniwersytetowi, nie było nawet parafji, gdzieby pleban albo uproszony zakonnik nie prawili kazań, szczególniej w wielki post, a najbardziej w tydzień pasyjny, w wielki piątek, kiedy to godzinami kazania trwały. Księża posługiwali się do nich obcemi i własnemi zbiorami; liczne odpisy najpospolitszych obcych (Jakóba de Voragine; postyli Waldhausera, Niemca praskiego; *Dormi secure;* Baraleta i t. d.) i własnych (Wiganda przemyskiego; Szczekny; Hieronima z Pragi, mnicha i spowiednika Jagiełły; Jana z Słupcy i t. d.) dowodzą najlepiej, jak wskutek podniesienia, niemal nagłego, nauki śród księży, dzięki licznym, nierównie lepszym szkołom kaznodziejstwo spotężniało. Po łacinie prawiono kazania na synodach duchowieństwa, w których ostrej prawdy sobie nie skąpiono; na uniwersytecie, gdzie w szczegóły życiowe nie wchodzono i uczony, alegoryczny i mistyczny wykład przeważał; po klasztorach męskich; spisywano wszystkie po łacinie bez glos (wyrazów) polskich. Przed ludem prawiono po polsku, względnie po miastach po niemiecku i polsku (były nieraz osobne zapisy testamentowe dla jednego i drugiego kaznodziei, np. w Poznaniu), ale spisywano je dla wygody i krótkości po łacinie znowu, przetykając je chyba glosami polskiemi. W kazaniach polskich wykładu uczonego nie bywało; ksiądz karcił raczej wszelkie nadużycia i grzechy, wdawał się w szczegóły, np. w wielki czwartek gromił zabobony i gusła, wyliczając tych, co z powodu nich niegodni przyjęcia Ciała Pań-

skiego; przerywał nauki moralne i wykład ewangelji przykładami z przyrody, albo z dziejów-anegdot budujących. Więc radził gorąco, unikając grzechu, naśladować kruka, który choćby pazurem tylko zawadził, nigdy do potrzasku nie wróci więcej, a strzec się świni, której choć nogę przy brogu utnij, ona do niego się wdziera. Z dziejów-anegdot przedostawały się nawet niektóre wątki krążących po świecie opowiadań do tradycji ludowej. Kazania bywały długie, ludzie siedzieli na posadzce i drzemali, więc należało budzić uwagę nieraz w sposób drastyczny. I nawiązał się przez kazania serdeczniejszy stosunek między plebanem a gminą i moralność chrześcijańska wsiąkała w lud, który żywo pragnął słowa bożego, tak że ulubiony kaznodzieja na place wychodził, bo kościół nie zmieścił rzeszy nabożnych, pragnących słyszeć np. Władysława z Gielniowa lub Ludwika z Warki (obaj mazurzy, bernardyni); słynnym kaznodzieją był i bł. Szymon z Lipnicy, pielgrzym do Ziemi świętej (żaden z naszych pielgrzymów, a był między nimi i Długosz, pielgrzymki i miejsc świętych nie opisał, aż brat Anzelm na początku XVI wieku).

Kaznodzieja polski poprzedzał kazanie w XV wieku stałym niemal wstępem, brzmiącym mniej więcej tak: Na początku słowa mojego proszę sobie Boga wszechmogącego i w Trójcy jedynego, aby mi raczył zesłać dar Ducha Świętego z królestwa niebieskiego, iż bych mógł rozumieć co dobrego i t. d.; zamiast takiego *praeambulum* służyło i odśpiewanie jakiej pieśni, szczególnie Maryjnej, np. «Maryja czysta dziewicą» (zob. niż.), w jej toku zaznaczono wyraźnie: «Żebychom na tem kazaniu Przyszli k boskiemu poznaniu». I po kazaniu odśpiewywano pieśń jaką dla zbudowania, szczególnie wiele podobnych składali bernardyni wszelacy, nietylko Władysław z Gielniowa (zob. niż.). Bywało nawet, że kaznodzieja całe kazanie wierszem opracował, np. objaśniając siedm słów Zbawicielowych na krzyżu, albo omawiając obszerniej Dekalog; wplatał i wiersze moralizujące

do samego kazania, np. ową przestrogę matrymonjalną: Nie wybieraj junochu oczyma (krasnej panny), ale cichemi uszyma i t. d.

Nowe zakony wstrząsnęły silnie uczuciem religijnem; szczególniej bernardyni, odrośl franciszkanów. Natchniony Jan Kapistran przybył dla zwalczania kacerstwa do Niemiec i Śląska, a uproszony gorąco zjechał do Krakowa, uroczyście witany przez królestwo i kardynała; dziewięć miesięcy tu bawił, prawiąc kazania po łacinie, tłumaczone wiernym przez księży polskich, gromiąc lichwę i kosterstwo; ludzie znosili karty i kostki, palone na rynku (Kapistran prawił przed kościółkiem św. Wojciecha albo u P. Marji); kto je w domu uchował, znachodził zamiast nich błoto. W Wrocławiu niechętni przedstawili mu młodzieńca, jakoby umarłego, żeby go wskrzesił, ale świętokradca umarł istotnie — powtarzano ten cud w wieku XVI-tym. Napływ do nowego zakonu był nadzwyczajny, garnęła się młodzież szlachecka i uniwersytecka, i powstawały klasztory w Krakowie i Warszawie, a za niemi po całej Polsce; nadzwyczajna popularność bernardynów-bernachów zaczęła się już wtedy. Oni nie byli jedyni nowi; Paulinów sprowadził z Węgier jeszcze Władysław Opolczyk, namiestnik Rusi z ramienia króla Lojsa, do Częstochowy, dokąd przeniósł z Bełza cudowny obraz Matki Boskiej. I zasłynął ten obraz już w wieku XV cudami i zaczęły się już wtedy owe pielgrzymki wiernych, które wkońcu i obcych pociągały. W XV wieku wyliczano jako miejsca przez pątników ulubione: do Matki Boskiej jasnogórskiej; do św. Krzyża na Łyścu; do męki Pańskiej w Miechowie; do św. Stanisława na Skałce; do św. Bernarda na Stradomiu za murami krakowskiemi; do św. Leonarda od wszelkich chorób za Kazimierzem; dawniej do niego do Klecia zewsząd spieszono, ale już za Długosza o tem zapomniano, bo i na miejsca cudowne bywała także moda. Ani paulini, ani karmelici, ani kartuzi nie mogli się równać z bernardynami co do popularności; eremów kartuskich było

tylko dwa, jeden na Spiżu (Czerwony klasztor), a drugi pod Gdańskiem; paulini, eremici św. Pawła, znaleźli łaskę u Jagiełły, który fundację Opolczyka bardzo rozszerzył i inne im pobudował klasztory; on sprowadził z Kłodzka śląskiego, wypełniając wolę Jadwigi, po jej śmierci, r. 1405 kanoników regularnych laterańskich przy kościele Bożego Ciała na Kazimierzu — stąd ich Bożeciałkami zwano (wymienione wyżej Boże Ciałko nie do nich się odnosi); z Kłodzkiem (Glatz) i Bożeciałkami związany jest najściślej Psałterz t. zw. florjański, najstarszy dochowany polski, trójjęzykowy (łaciński, polski, niemiecki, wiersz po wierszu). Karmelici, już dawniej na Pomorzu osiedli, dostali się teraz i do nas, nie tworząc na razie osobnej prowincji, należąc najpierw do niemieckiej, a później, od r. 1441 wraz z Prusami do czeskiej; dopiero przy końcu wieku powstała prowincja polska. Niektóre fundacje zawiodły zupełnie. I tak, gdy myśl o «redukcji» szyzmatyków kołowała u Karola IV, sprowadził on do Pragi na Emaus benedyktynów chorwackich z ich liturgją słowiańską i mszałami głagolickiemi; Jadwiga (z Jagiełłą), zajęta myślą o Rusi szyzmatyckiej (i Litwie nowoochrzczonej), sprowadziła ich z Emausu do Krakowa i osadzono ich na Kleparzu przy kościele św. Krzyża, ale gdy po praskich benedyktynach słowiańskich zostały przynajmniej rękopisy (nawet biblja czeska, głagolickim alfabetem wypisana), które i do ich ojczyzny się dostawały, po krakowskich niema i tego i już za Długosza oni wygaśli: sprawa unji nic a nic po nich nie zyskała. Niektóre zakony cieszyły się mniejszem powodzeniem u nas, a zdobyły je później na Litwie i tak markowie, t. j. kanonicy regularni u kościoła św. Marka w Krakowie, gdzie z książąt litewskich Michał Gedrojć *in odore sanctitatis* zasłynął; nieznaczni w Polsce, na Litwie się rozszerzali i zasłynęli. W porównaniu z wiekiem czternastym odznaczył się piętnasty nierównie liczniejszemi klasztorami i zakonami; żeńskie pominęliśmy.

Mimo te objawy tracił Kościół coraz widoczniej rząd dusz, nie u prostaczków, lecz śród mieszczan zamożnych (Małgorzata Morsztynówna chciała r. 1479 do żydowstwa przystąpić i wiemy, jakie za nią wojewodowie i kasztelanowie stawiali olbrzymie wadium, 15.000 i 12.000 grzywien srebra, że stawi się przed sądem królewskim i patrjarchy akwilejskiego albo jego komisarza) i szlachty. Sarkano narazie na Rzym, na obedjencje i annaty, na jego doktorów «bułowych» (papieskich) i kortezanów, polujących na beneficja i prebendy; zżymano się na dziesięciny i cenzury kościelne; spoglądano z zawiścią na bogactwa martwej ręki — przecież już Kazimierz Wielki w liście do papieża szacował jedno biskupstwo, płockie (wcale nie najbogatsze) na więcej niż 8000 dukatów rocznego dochodu. Ustawała dawna ślepa wiara; minęły te czasy, kiedy to księżna Salomea r. 1149 dla klasztoru w Zwiefalten z Polski wysyłała kosztowności i relikwje: ząb Jana Chrzciciela, Pankracego, Cecylji, ogniwo z łańcucha św. Piotra, mleka Marji, krwi Chrystusowej, znaczne kawałki krzyża świętego (tylko wielkiego, złotem pisanego psałterza i innych rzeczy dla wielkiej wagi nie mogli bracia klasztorni, obdarowani i przez służącą Salomei, Bilihilt, zabrać z sobą); jak się teraz z podobnemi relikwjami sprawiano, widzieliśmy wyżej. Sarkał i kler niższy: *pluralitas beneficiorum* skupiała bogate w ręku jednego urzędy, który nie pokazując się wcale na nich, dawał się zastępować przez źle płatnych wikarych; nierzadkie też spory wikarego z księdzem plebanem, który wszelkie zyski dla siebie garnął. Obruszało dalej, że wobec roli politycznej i bogactw duchowieństwo na potrzeby państwowe skąpiło; wprawdzie płacili jego chłopi poradlne (a klasztorni podwójne i obowiązani byli do paru dni służby w dobrach królewskich), ale trudno było co więcej od niego uzyskać nad *donum charitativum*, niby jałmużnę dobrowolną, którą między sobą się okładano. Tak skupiało się coraz więcej nieza-

dowolenia i nie wetowały go chwilowe reakcje; w drugiej połowie wieku, między latami 1460—1480, wznawiało się zapisywanie nowych cudów szczególniej u grobu św. Stanisława, aby potem znowu zupełnie ucichnąć; cuda nie ustawały chyba w Częstochowie, gdzie opętane histeryczki *Bogurodzica* «piekła», ale powoli opadało to coraz bardziej między lud prosty; klasy wyższe coraz mniej brały w tem udziału. Wystawność obrzędów, barwność procesji, napływ pieśni polskich nie zdołały zatrzeć wrażenia, że świat średniowieczny ma się ku końcowi, chociaż trwożliwie wyglądany rok 1492 (koniec ery) minął najspokojniej; rola przewodzącego w społeczeństwie duchowieństwa wyczerpywała się doszczętnie, zaczynało się jej ograniczenie do warstw niższych; dla wyższych miały nowe prądy zastąpić uszlachetniającą działalność Kościoła.

Na osobliwszą wzmiankę zasłużyło, że w XV wieku odpłacała niejako Polska czeską pracę misyjną dziesiątego wieku, bo zabrakło w Czechach, a szczególniej na Morawach, księży katolickich wobec zamieszek husyckich, a Morawy pozostały nierównie wierniejsze katolicyzmowi niż Czechy. Otworzyło się pole dla polskich księży i ci przybywali i osiedlali się tu na stałe. Należy jednak wyznać, że ci księża polscy nie najlepszej zażywali sławy; byli to nieraz klerycy, którzy własne parafje dla wszelakich występków albo sami opuszczali, albo których konsystorz wydalał (kazał im zmieniać parafję); szły o to skargi i do Polski, ale Oleśnicki Czechom samym winę przypisywał, dlaczegoż takich niepewnych przyjmowali? Nie należy tych zbiegów wszystkich potępiać; właśnie jedyne całe kazanie polskie XV wieku ocalało w rękopisie księdza Polaka na Morawie, dziś w Pradze z paru innemi, podobnego pochodzenia. Nawet w słowackich tekstach duchownych XV wieku znaleźć można polskie wpływy, co może również dostały się tu taką drogą.

## BIBLJOGRAFJA

K. Szajnocha, *Jadwiga i Jagiełło,* 4 tomy, Lwów 1861, dał barwny obraz życia wewnętrznego. Papée, *Polska i Litwa na przełomie wieków średnich,* I, Kraków 1903. Dzieło zbiorowe: *Polska i Litwa w dziejowym stosunku,* Warszawa-Kraków 1914. O udziale w soborach, o kaznodziejstwie, patrz bibljografję do rozdziału dwunastego. K. Kolbuszewski, *Ruchy husyckie w Polsce i wpływ na piśmiennictwo,* Reformacja w Polsce, I, 1921; liczne są przyczynki A. Prochaski o sprawach husyckich. *Studja i materjały do historji ustawodawstwa synodalnego w Polsce,* 6 zeszytów, Kraków 1915—1921 po wydawnictwach źródłowych E. A. Helcla i R. Hubego z r. 1856; liczne przyczynki B. Ulanowskiego; nie wymieniam ich szczegółowo, bo jak owe Prochaski kultury bezpośrednio mało dotykają.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

# MIASTO I WIEŚ

Miasta i ich gospodarka. — Ustrój. —Handel. — Cechy. — Misterja. — Kuchnia. — Rozrywki. — Zbytek. — Żydzi. — Znaczenie miasta. — Kmiecie. — Wojsko. — Skarbowość. — Sądownictwo. — Życie rodzinne. — Życie potoczne. — Wpływy obce. — Bibljografja.

## MIASTA I ICH GOSPODARKA

Przy końcu XV wieku stanęły miasta u szczytu bogactw i kultury; ich poziom życiowy był o wiele wyższy niż przeciętny szlachecki. Objawiły się one u nas dopiero w drugiej połowie XIII wieku; złoty ich okres rozpoczął się w XIV, a w XV wieku zwróciły na siebie uwagę Europy. Z Wrocławiem, który się już od Polski oddzielił, a od niefortunnej wyprawy śląskiej Kazimierza Jagiellończyka sympatyj polskich ostatecznie się pozbył; z Pragą, której kredyt husyckie walki silnie nadwątliły; z Norymbergą mógł Kraków zawodniczyć, nie tak zaludnieniem czy obronnością, jak bogactwem (wychodziły mieszczki krakowskie za książąt śląskich i mazowieckich); ogładą mieszczan; dworami królewskim, biskupim, wielmożów; muzyką i rzeźbiarstwem; życiem naukowem; skupieniem obcych przybyszów (Włochów z Genui, Florencji, Ferrary, mniej z Wenecji). Osobną nutę, obcą Wrocławiu i Norymberdze, nadawali miastu swoi i obcy scholarze; do tego ilość i bogactwa cechów, ład miejski, sprężysta administracja, swoi i obcy handlarze i kupcy, żydzi wreszcie, nierównie mniej trapieni niż gdziekolwiek indziej — wszystko składało się na obraz życia barwnego, europejskiego.

Co w Krakowie panowało, powtarzało się, na znacznie mniejszą skalę, w każdem innem mieście; organizacja była jednolita, choćby w takim Kaźmierzu, tego Krakowa w miniaturze, który krakowianom, jak i Kleparz, wiele krwi napsuł, gdy Kazimierz obydwa przywilejami, równemi krakowskim, opatrzył; r. 1335 założył przecież za Wisłą na rozległych aż nadto bło-

niach miasto i swoją mu nazwę nadał, a w braku innych zabudowywał je świątyniami i klasztorami, np. Augustjanów; tu nawet, jeśli Długosz nie zmylił, zamierzał pierwotnie *studium generale* umieścić.

Jakież były dochody miejskie? Miasto posiadało własne łany, które wydzierżawiało; posiadało liczne monopole, zarówno wielkiej (dla kruszców) jak i małej wagi (sprzedający innej używać nie śmieli, tylko miejskiej za opłatą); monopol topni wosku i łoju; łaźnie; w ratuszu smatruz *(Schmetterhaus,* 'dom gwary') dla sprzedających wszelkie towary; browar (niem.) własnego piwa, a wyborne świdnickie sprowadzało miasto do swojej świdnickiej piwiarni w ratuszu, którą jednak Kazimierz r. 1456 zamknąć kazał (dla celów politycznych raczej, później ją znowu otworzono); przewóz wina i piwa (nie wolno ich było wyładowywać i naładowywać inaczej niż przez szrotarzy miejskich, nazywanych od szrotowania-ładowania beczek, za miejską opłatą); postrzygalnię sukna; myta i cła od napojów; skład (zob. niż.); opłaty od nadawania prawa miejskiego; nakoniec szos, nakładany wedle potrzeby na mieszczan, albo (jak w Krakowie) stały podatek.

Znacznym dochodom odpowiadały wydatki; opłacało miasto «cyrkulatorów», doglądających porządku na ulicach i targach; kosztowały wszelkie fabryki i urządzenia miejskie, łaźnie, waga, kamieniołomy (Kraków posiadał bardzo wcześnie bruki na równi z miastami niemieckiemi), ceglarnie; podatki królewskie (na to głównie szos wychodził); budowy miejskie (od kościoła farnego do sukiennic i kramów); naprawa murów; wyrób broni; podejmowanie dygnitarzy, nie mówiąc o parze królewskiej; zasiłki na misje miejskie; podarunki dla króla i dygnitarzy, aby zaskarbić łaskę czy dziękować za doznaną; wydatki na cele dobroczynne; płace na mistrzów szkolnych; na pisarzów, którzy z początku wiedli księgi w języku niemieckim; już r. 1312, widocznie jako kara za bunt, zastąpił go łaciński, który

dopiero pod koniec wieku znowu przed niemieckim się cofnął. A zapisywano wszystko starannie, każdą zmianę własności oznajmiano w sądzie (niegdyś ławniczym, później przed radą-konsulami, przywłaszczającymi sobie coraz więcej spraw); wpisom w obywatelstwo towarzyszyły «wypisy» z niego, gdy za zbrodnie lub winy «proskrybowano» mieszkańca na czas lub na zawsze z miasta, nawet mimo instancji królewskiej czy innej, chociaż takie instancje wystarczały, by więźniów z kłody lub z wieży wypuścić.

## USTRÓJ

Ustrój miejski był niby wszędzie ten sam, ale zachodziły walne różnice w szczegółach, czy miasto było wolne, królewskie, czy też prywatne, pańskie (jako założone przez właściciela na jego ziemi, oczywiście za pozwoleniem królewskiem). Miastem rządziła rada, w prywatnem obierana przez pana, w wolnem przez radę, ławników, cechmistrzów, nawet i pospólstwo, potwierdzana przez starostę (a nieraz przez niego samego obierana). Radę wybierano na rok, ale w niektórych miastach królewskich byli radcy dożywotni; było rajców sześciu do ośmiu, ale były i rady pełniejsze, z których tylko część (połowa) rocznie urzędowała; w ważnych sprawach zwoływano całą taką radę. Rady rządziły się autonomicznie, wydawały obowiązujące uchwały, wilkierze, bez potwierdzenia królewskiego, które w wieku XIV było wymagane. Na czele rady stał burmistrz, z niej wybierany, lub kilku, albo rajcy kolejno ten urząd sprawowali. Zczasem pozbyto się wójta dziedzicznego; miasta albo panowie skupywali go, nie znosząc niezależnego od nich czynnika; jego łany i domy przypadały miastu czy panu; oni wybierali teraz wójta rocznie, aby przewodniczył sądowi ławniczemu. Ten sąd składał się z siedmiu ławników, wybieranych przez miasto, corocznie; rajcą zostawał, kto był poprzednio ław-

nikiem; do ławników dostawali się i cechmistrze, do rady zazwyczaj tylko kupcy, arystokracja miejska, patrycjat. Prawa miejskiego zażywali rodowici mieszczanie albo nabywali je obcy przybysze, po opłaceniu taksy a wykazawszy się listem dobrego urodzenia (z prawego małżeństwa); nie mieli prawa miejskiego ludzie służebni. Pierwotne prawo niemieckie (magdeburskie) zczasem rozwijano i odmieniano, wedle potrzeb miejscowych. Rada doglądała bruków, studni, wodociągów, szystości (bardzo względnej; nawet Krakowowi samemu zarzucano «błotnistość»), targów i jarmarków. Sklepów nie było oprócz sukiennic i «smatruzów» w ratuszu, zresztą wykładał kupiec towary na ladzie przed oknem swego domu (on był zazwyczaj jego posiadaczem, rzadko go najmował). Stosunki zdrowotne były, jak w każdem wąskiem mieście średniowiecznem (a wąskiem, szczupłem musiało być dla obronności), dosyć opłakane; zarazy szerzyły się z nadzwyczajną siłą; łaźni używano wiele, miejskich i prywatnych; wybijaniem na miednicy dawał łaziebnik znak, że kąpiel gotowa; u nas płci były ściśle rozdzielone, łaźni spólnych, jak zagranicą, nie było. Na rynku znowu zawieszano kapelusz na słupie na znak, że targ czy jarmark otwarty. Jak zarazy, tak obawiano się i ognia, co śród domostw drewnianych szalał; były ostre przepisy co do pogotowia (każdy dom winien mieć kadź z wodą, haki), a surowo karano tego, coby sam uciekał przed ogniem, nie oznajmiając o nim.

Moralność wysoko nie stała; dzikości obyczajów pierwotnych nie można było poskromić; liczba zabójstw, co z ksiąg proskrypcyjnych widoczna, była nadzwyczajna; noża dobywano zbyt często; to najznaczniejsza rubryka przestępstw. Nierównie rzadsze, nieraz wręcz wyjątkowe, były wykroczenia przeciw czystości obyczajowej; potępiano je tak samo jak grę w kostki lub karty. Utrzymywano domy nierządu, ale sumienia radzieckie niepokoiło pytanie, czy to się godzi, czy się godzi ciągnąć z nich zyski? R. 1406 zwróciła się rada z podobnem zapytaniem do

dominikana Jana z Falkenberga (autora później osławionego pamfletu na Polskę i Polaków); on się oświadczył za mniejszem złem, t. j. za utrzymywaniem domów. Za Jana Olbrachta kobiety nierządne winne były przy nadzwyczajnym poborze po groszu tygodniowo składać; chodziły z zasłoniętą głową. Wałęsanie się po nocy było wszystkim obywatelom srogo zabronione; *firtelsleute*-cyrkulatorzy zabierali na ratusz, kogo napotykali; do kłody wsadzano wszelakich przestępców i był osobny dozorca kłody, który czasem z wyższego jakiego nakazu winnego bezprawnie wypuszczał. Przestępcę wystawiano niegdyś na drabinie-*skali* (stąd nasz wyraz szkalować go, z łacińskiego *scalare)*, później na *pręg(l)erzu,* tam go kat i smagał, albo po rynku smagając go gonił, poczem go z miasta «wyświecano»; kat brał oskarżonego na «próbę»-męki; karę śmierci wykonywano przez wieszanie zazwyczaj, a stosowano ją często, szczególniej za złodziejstwo «z licem», t. j. na gorącym uczynku.

Średniowieczna szarzyzna-prostota, która tylko w wystawianiu kosztownych świątyń na największe, wieloletnie koszta i prace się wysadzała, oburzała się na jakąkolwiek świecką wystawność, ograniczała więc wszelkiemi wilkierzami-ustawami wszelki zbytek. R. 1336 wydał Kazimierz Wielki, co później do samorządu miejskiego należało, przepisy co do wesel i chrzcin; na ucztę weselną wolno było zaprosić tylko po ośm osób ze strony młodego i młodej, a oprócz nich ośm obcych, prócz domowników i księży, pięć dań na trzydzieści półmisków po trzy osoby; pan młody dostawał od gościa najwyżej dwa grosze, tyleż od żony, a grosza od córki; wolno było tylko ośmiu igrców sprowadzać, żadnych «rymarzy» (wierszokletów, chyba dla sprosności ich rymów). R. 1378 dozwalała rada tylko czteru muzyków po sześć groszów. Zabraniano uczt przy zaręczynach; tylko dwudziestu wolno było odprowadzać pannę do łaźni, ale broń Boże, z nią się przed oddaniem po nocy wałęsać. *Kindelbier* u położnicy był również zabroniony, można ją było od-

wiedzać, ale jej kołdra nie miała nad cztery grzywny kosztować; dwudziestu mogło dzieciątko do chrztu wodzić, tyleż matkę do kościoła na wywody. Służącym zakazywano trzewików, miały tylko na «trepkach» chodzić. Przepisywano, jak drogie mogą być pasy srebrne, jak nie wolno używać jedwabiu i t. p., lecz te ustawy były chyba na to, aby je przekraczano.

Miasta przeszły z XIII do XIV wieku całkiem jako niemieckie i pomyślały nawet o polityce na własną rękę, popierając Czechów najpierw a potem Ślązaków, nie tak z widoków narodowościowych, jak licząc na większe zabezpieczenie swoich korzyści materjalnych, najpierw w oparciu o potężne, bogate i sprawne państwo Przemysłów, a później o bliski Śląsk z jego bogatem i wpływowem mieszczaństwem, równie niemieckiem. Kraków posunął się do otwartego buntu, krwawo zgniecionego; w dwa lata później, 1314 r., zdobyli też Wielkopolanie Poznań. Od tego czasu wycofało się mieszczaństwo, ku największej szkodzie własnej, od wszelkiego udziału w życiu politycznem, dbając wyłącznie o handel i przemysł, i nastały dla niego, szczególniej dla Krakowa, istne złote czasy. Nawet Łoktek, tem mniej Kazimierz, nie uszczuplili przywilejów handlowych miejskich, owszem celowa polityka Kazimierza zabezpieczała je i rozszerzała.

## HANDEL. CECHY

Kraków był punktem węzłowym; tu krzyżowały się obie najważniejsze drogi handlowe, jedna z Zachodu na Wrocław przez Kraków i Lwów, zdążająca na Wschód, do genueńskich kolonij czarnomorskich, monopolizujących handel ze Wschodem; druga z Węgier, od miast górniczych z ich miedzią, na północ do Torunia i Gdańska. Drogi były stałe, t. j. nie wolno było, pod karą utraty towarów, innych obierać, a Kraków miał prawo składu, t. j. obcy kupiec musiał swój towar tu najpierw

na sprzedaż i to *en gros* wystawić, nim śmiał go dalej wieźć. Ten to handel tranzytowy zbogacił Kraków i Lwów i poziom życia miejskiego wzniósł się tak wysoko, że o takim szlachta ani myśleć nie mogła. Mieszczanin dbał też nierównie gorliwiej, niż szlachcic, o wychowanie dzieci; handel wymagał tego koniecznie. Kraków należał do związku potężnego miast hanzeatyckich, a kupcy krakowscy zjawiali się i w Flandrji, w Bruges, i w Londynie — dla analfabetów nie było więc miejsca; nawet małe miasta śląskie nie nadawały prawa miejskiego temu, co nie umiał czytać i pisać. Język urzędowy, przewód sądowy były wyłącznie niemieckie, po *ortyle* (wyroki) słano nawet do ławników magdeburskich, ale z tem nadużyciem pokończył Kazimierz, zakładając na zamku krakowskim wyższy sąd prawa niemieckiego, obsadzony wójtem krakowskim i siedmiu ławnikami, a nad nim w ostatniej instancji «sąd sześciu miast», t. j. mianowanych przez króla przedstawicieli Krakowa, Kaźmierza, Olkusza, Wieliczki, Bochni i Nowego Sącza.

Celu swego król nie osiągnął zupełnie, gdyż i dalej, przez cały wiek XIV i XV słano po ortyle do magdeburskich «szewców», na co się Ostrorog obruszał; posiadamy nawet dwa oryginały takich ortylów. Jeden dla Krakowa z r. 1410, w sprawie rajcy miejskiego Andrzeja Wierzynka (ze znanego rodu patrycjuszowego), ściętego za kradzież pieniędzy miejskich jako schwyconego na gorącym uczynku; drugi dla Poznania 1517 r. Zbiór ortyli magdeburskich, dokonany w Krakowie przy końcu XIV wieku, rozszedł się po całej Polsce, nawet w Czechach i we wschodnich Niemczech; tłumaczono też oryginał niemiecki kilkakrotnie na łacinę (według brzmienia zupełnego lub skróconego), polskie i czeskie; nie były to jednak ortyle zupełne, redaktorowie ich zbiorów opuszczali zapytania, dawali skrócone i przerabiane odpowiedzi — więc w każdym rękopisie tekst bywa odmienny. Zbiór 281 ortyli, ułożony dla owego sądu najwyższego na zamku, posiadamy w kopji niemieckiej, tłumaczeniu ła-

cińskiem i polskiem (krótszem jednak o 30 ortyli końcowych): tłumaczenia dowodziły, że znajomość języka niemieckiego znikała; polskie wyszło z inicjatywy pana Gołogórskiego w połowie XV wieku. Całe to prawodawstwo, od którego nasze miejskie i wiejskie zawisło, «kształciło prawo sądowe w duchu nowożytnym, wyzwalało je z pęt formalizmu, popierało dobrą wiarę i łatwość w obrocie, wyzwalało z pod władzy zwierzchniej pańskiej»; nie znało kary pieniężnej za zabójstwo i rany.

Obok rady-konsulów i ławników-skabinów charakteryzowały miasta niemieckie ich cechy; byłyż tak samo nowym nabytkiem dla Polski, jak miasta; jak dawne wsi targowe *(villae forenses)* odbiegały od nowych miast, tak samo nie przypominały owe Piekary, Złotniki i t. d. organizowanych cechów miejskich piekarskich, złotniczych i in. Mieszczan stanowili kupcy i rzemieślnicy, obok nich bez prawa miejskiego wyrobnicy i żydzi, jeszcze nieliczni. Zmysł organizacyjny średniowieczny, który wobec braku władzy sprężystej do samopomocy zmuszał, łączył ludzi tego samego rzemiosła w związki, dbałe o równy rozkład pracy, o możliwość równego zarobkowania, o pomoc wzajemną w razie potrzeby, o opiekę nad chorymi, wdowami, sierotami, o wspólne nabożeństwa, o wspólną obronę miejską; te zadania wszystkie wypełniały cechy (wyraz czeski z niemieckiego, *Zeche).* Ustrój cechowy do najdrobniejszych szczegółów znamy z ustaw cechowych XVI i XVII wieku, łacińskich i polskich; brak ich dla wieków poprzednich, w których cechy najpełniej się rozwinęły; główne zarysy pozostały jednak mało zmienione; najważniejsza była zmiana narodowościowa; różnicę np. między szewcami polskimi a niemieckimi zaznaczono już przy końcu XIV wieku; ależ zupełnie spolszczały cechy dopiero z początkiem XVI wieku, chociaż terminologja pozostała dawna, niemiecka, z *wirtami, szynkami, trunkalem* (Trinkgeldem), *wochlonem, fajeramtem, lichtgęsią, majstersztukiem, sturarzem* (partaczem) i t. d., nie mówiąc o niezliczonych wyrazach fa-

chowych, jakich stolarz, ślusarz, rusznikarz i t. d. w rzemiośle coraz używał, których znaczenia dziś nieraz ani odgadnąć.

Każde rzemiosło stanowiło cech odrębny; jeśli zliczyć wszelkie odmianki, uzbiera się ich niemal do setki; w istocie bywało ich znacznie mniej, ale nawet w małych mieścinach od ośmiu do dwudziestu. Rzemiosła specjalizowano; były osobne cechy piekarzy «białych» i «czarnych», a obok nich kichlarzy *(Kuchenbäcker)* i piernikarzy; byli białoskórnicy i czerwonoskórnicy (kordybanici); byli miecznikarze i rusznikarze; golarze i cyrulicy; czasem łączyły się pokrewne cechy, to znowu rozdzielały. Na cech składali się majstrowie, obierający zpośród siebie starszych, którzy pod cechmistrzem przewodniczyli w radzie, zebraniu cechowem; oni chowali ladę i skrzynkę cechową z przywilejami i rachunkami, z kasą, do której wpływały stałe składki i kary pieniężne; oni cech wobec rady miejskiej przedstawiali; oni redagowali artykuły, ustawy, które rada miejska, a nieraz sam król zatwierdzali.

Organizacja była, jak zawsze w średniowieczu, trójdzielna; pod mistrzami-majstrami byli towarzysze, czeladnicy starsi, wyzwoleni; pod nimi chłopcy, terminatorzy. Chłopiec wstępował do mistrza na naukę, która jeśli bezpłatna, jeśli mistrz utrzymywał chłopca, trwała dłużej, latami; krócej, jeśli za chłopca rodzice płacili; po wyuczeniu się rzemiosła chłopiec stawał się robieńcem, którego niebawem wyzwalano na towarzysza-czeladnika, różniącego się od mistrza głównie tem, że nie sam sprawował, utrzymywał rzemiosło; dopiero w XVI wieku powstały znaczniejsze między czeladnikami a majstrami spory i tarcia. Od czeladnika wymagano wędrówki, żeby po innych miastach, u innych mistrzów pracował; gdy wrócił po paroletniej wędrówce, mógł sam zostać mistrzem, dowiódłszy swej wprawy złożeniem niby egzaminu, wyrobieniem przepisanego ustawą majstersztuku. Cech ręczył za sumienność pracy i za przystępność ceny; starsi cechowi odwiedzali więc pracownie,

dbali, by jeden mistrz nie podbijał ani zniżał cen, by każdemu dostawał się surowiec po równej cenie, by jeden drugiemu nie odmawiał chłopców czy czeladzi, by nie przekraczano czasu roboczego (od świtania do zmierzchu, który wobec lichego światła po niskich warsztatach a małych okienkach rychło następował, tak że przy kagankach-świeczkach pracowano, co lichtgęsią nazywano). Każdy cech miał swego patrona-świętego, którego kaplicę ozdabiał; miał na murze miejskim wydzieloną basztę, której bronił; miał w tym celu skład własnej broni, którego wedle rewizji rady miejskiej dopełniał; miał swoją gospodę, gdzie się zbierał (co cztery tygodnie, jeśli nic nadzwyczajnego nie wypadło) na posiedzenia: po ich części urzędowej następował parogodzinny «szynk», zabawa-pogadanka cechowa, z normami ściśle przestrzeganemi: jak się zachować przy stole, ile pić, nie wylewać piwa więcej niż go ręką na stole przesłoni lub na ziemi nogą ukryje i t. d. Moralności i nabożności przestrzegano surowo; poszanowanie starszych (szczególnie ojca i matki gospody) było wzorowe, uczono istotnie obyczajności, wygładzano szpetotę mowy i ruchów; duch panował jeszcze w XV wieku patrjarchalny, warsztat pozostawał w rodzinie, syn obejmował go po ojcu albo obcy żenił się z wdową czy córką. Dbano szczególnie, aby nikt, kto do cechu nie należał, kto jemu się nie opłacał, roboty cechowej się nie podejmował; wędrujący towarzysz musiał obiecywać, że u takiego «sturarza» nie będzie pracował. Samowolne opuszczanie warsztatu bez wypowiedzenia karano «trybówką», wykluczaniem z każdego warsztatu, dokądkolwiek się winny udawał.

Ponieważ cechy broniły miasta, winny się były ćwiczyć w władaniu bronią, więc bito z łuków do celu na celsztacie, co od XVI wieku w strzelaniu do kurka się odmieniło i w życiu miejskiem silniej zaważyło, otoczone wszelakiemi obrzędami, godnościami (król kurkowy), obchodami. Dalej występowały cechy w zapusty, brały udział w publicznych zabawach, ale na-

sze źródła skąpią wiadomości i winnibyśmy odwoływać się do czeskich i niemieckich; jedyny «konik zwierzyniecki» cechu włóczków ocalał do naszych dni, ale trudno go do średniowiecza jeszcze wprost odnosić; że zwykłemu obchodowi cechowemu w maskach *(combrach,* z niem. *Schömbart* 'maska', stąd baby *cąbrowe* w Krakowie) nadano pseudohistoryczne tłumaczenie, o jakichś Tatarach i t. p. prawiono, zwykły to anachronizm. W każdy sposób ta rola cechowa występowała u nas mniej barwnie i zgiełkliwie, niż na Zachodzie.

## MISTERJA

Mniej ruchu i barw dostrzeżemy też na innych polach życia miejskiego, najbardziej w misterjach, z których, jak wiadomo, urósł teatr i dramat nowoczesny, gdyż tradycje antyczne tak zaprzepaszczono, że nawet nie poznano się na teatrze Terencjusza (Plauta wcale nie znano); myślano że i to epika osobliwego rodzaju. Misterja wyrosły na gruncie religijnym; wobec wszechwładnej łaciny uznawał Kościół potrzebę uzmysławiania dla mas szerokich najważniejszych tajemnic wiary. Taką było Zmartwychwstanie Pańskie, a dramatyczny wątek ewangeliczny nasuwał już w X w. myśl, by w związku z liturgją wielkanocną przedstawiać obrazowo treść ewangelji. Ta służba pierwotna, to pierwsze oficjum wielkanocne, trzymało się ściśle słów ewangelji, tylko rozdzielało je między diakonów i żaków, wybranych dla unaocznienia sceny: w pergaminowym antyfonarzu katedry krakowskiej z XII wieku posiadamy najdawniejsze *officium sepulcri* (grobu Pańskiego) w Polsce; powtarza się ono niemal bez zmian w antyfonarzach XV wieku. W kościele śród nabożeństwa jutrzennego wychodzili trzej zakonnicy (wedle tekstu XII wieku) z zakrystji do grobu, w albach, z kadzidłem, przedstawiając trzy Marje; z grobu pytali ich dwaj chłopcy, kogo szukacie i t. d. Marje, okadziwszy grób, wracały do zakrystji,

poczem wybiegali dwaj (uczniowie) do grobu i t. d.; odśpiewem *Te Deum laudamus* kończyła się scena. Tak samo dramatyzowano inne sceny Nowego Testamentu, ogrojcową, jasełkową z Trzema Królami, Męki Pańskiej i t. d.; wszystko po łacinie i w samym kościele.

Zczasem wyniesiono się i na cmentarz, tekst rozszerzano wstawkami, wcześnie już i w narodowym języku i tak powstały wkońcu gry wielkanocne, *ludus pascalis* i inne (gra Mądrych Panien, Zwiastowania, Pasterzy, Ucieczki do Egiptu i t. d.); w wieku XIII zlewano kilka officjów w jedną wielką grę z przewagą już narodowego języka. Tak było na Zachodzie; u nas nie odnaleziono dotąd śladu takich «gier», jakby pozostaliśmy przy pierwotnej fazie owego pierwszego *officium*. Bo co przytaczają u nas z XIII wieku, nie należy tu wcale: są to wybryki żakowskie, parodje ewengelji, ale nie dramaty liturgiczne; jest to *festum stultorum* albo *asinorum*, którego papież Innocenty III r. 1207 zabronił, odbywane w trzy dni po Godach przez księży i diakonów, przybierających maski i ruchy nieskromne, obniżające powagę duchowieństwa w oczach pospólstwa. Zakaz Grzegorza IX z r. 1230 dotyczył wręcz tylko żaków krakowskich, którzy nachodzili w te dnie Tyniec i kosztem benedyktynów hałasowali i rozbijali, wyprawiając wszelakie wszeteczeństwa. A nie inaczej napomnienia synodu uniejowskiego z r. 1326 rozumieć należy: nie o dramat liturgiczny chodzi, tylko o wznowienie zakazu, by klerycy czy laicy nie napastowali w maszkarach kościołów szczególnie podczas nabożeństwa. Dopiero z XIV wieku otrzymujemy urzędową wiadomość o *ludus pascalis:* rajcy Kazimierza dali r. 1377 sześć groszów na wspomożenie *ludus pascalis Domini;* spółcześnie dowiadujemy się o *ludus Ogrojcowy;* oczywiście żacy szkoły parafjalnej z swoim mistrzem, z organistą i lokatem urządzali grę, która już nie samo *officium* liturgiczne obejmowała, lecz znacznie się rozciągała (Objawienie Chrystusa apostołom, scenę z Tomaszem i t. d.), a zaczynała

się humorystyczną przemową aptekarza, zachwalającego swe maści trzem Marjom — posiadamy staroczeskiego Mastickarza z pierwszej połowy XIV wieku, co silnie pornografją zatrąca.

Ale dalej urywają się znowu świadectwa, rachunki radzieckie milczą i dopiero z zaginionych dziś rękopisów (spaliły się ze zbiorami ks. Juszyńskiego) opowiadał Juszyński o grach świętojańskich i wielkanocnych, najwięcej o sławnym dialogu dominikańskim z r. 1533, który trwał cztery dni (od niedzieli palmowej do wielkiej środy), prawdziwe misterjum w 108 scenach z mnóstwem osób i postaci symbolicznych; scenarjusz łaciński, tekst polski. Posiadamy tylko *Historję o chwalebnem zmartwychwstaniu Pańskiem,* misterjum częstochowskie przez paulina Mikołaja z Wilkowiecka napisane, całkiem w stylu średniowiecznym, naiwnym, humorystycznym utrzymane. Razi u nas nadzwyczajne ubóstwo produkcji na tem polu, czeska nierównie bogatsza i bynajmniej nie do tekstów ewangelicznych ograniczona, ale i legendy wszelakie objęła. Misterja były sztuką wyłącznie miejską, z nadzwyczajną wystawnością wyprawiane; chyba i na tem polu dwujęzykowość naszych miast pobróżdziła, bo w jakimże języku odprawiali żacy kazimierscy swój *ludus pascalis* r. 1377? Jasełka i szopkę zdaje się dopiero bernardyni wprowadzili.

Z miast i wsi niemieckich szerzyły się obchody, zwyczaje, przesądy dalej do ludu polskiego i z trudem tylko rozróżniamy, co przywoźne, obce a co rodzime. Np. obchody wielkanocne znane pod nazwą dyngusu i śmigusu. Jeśli sama nazwa rozstrzygać winna, to są to rzeczy niemieckie; *dyngus* z niemieckiego *dingnus (depactatio,* wykup niby), nazwany dlatego, że żacy obchodząc po domach, napastowali gospodynię, która się im okupywała szynką czy plackiem świątecznym; *śmigus* zaś, dawniej *śmigust,* to niemieckie *Schmeckostern,* bicie palmą-rózgą wielkanocną, kobiet przez mężczyzny, mężczyzn przez kobiety,

a przystępuje do tego zlewanie wodą, ba, dawniej wtrącanie do wody, co się, jeżeli duchownym wierzyć, i śmiercią czasem kończyło. Duchowieństwo wojowało usilnie w XV wieku z temi wybrykami, lecz niczego nie przewiodło, i dziś jeszcze młodzież dyngusuje, zlewa się wodą (co nieraz śmigusem nazywają, nazwy się poplątały). R. 1420 rozkazał synod poznański duchownym: «zabraniajcie, aby w drugie i trzecie święto wielkanocne mężczyźni kobiet a kobiety mężczyzn nie ważyli się napastować o jaja i inne podarki, co pospolicie się nazywa *dyngować*, ani do wody ciągać». Nic łatwiej, niż w zlewaniu wodą upatrywać jakąś prastarą lustrację wiosenną, a w uderzaniu palmą odgadywać rózgę życiową, pobudzającą do płodności i t. d., lecz czy to się da w istocie utrzymać, twierdzić, że tylko nazwa obca przywarła do obchodu rodzimego? Jajo nie odgrywało, ile z źródeł sądzić wolno, osobliwszej roli w obrzędach słowiańskich; pisanki i kraszanki, walatka (stukanie jajami świątecznemi; kto całe dochował, zabierał nadbite), to są rzeczy obce, miejskie, które zczasem między lud spadły. O wiele oryginalniejszem wydaje się chodzenie z kurkiem (kogutem, żywym lub sztucznym) po dyngusie, do dziś w Opoczyńskiem zachowane; na taczce ustawia się wszelakie figurki, między niemi i kurka — ale takiego samego wózka używają tam i przy obchodach weselnych: kur odgrywał we wszelkich ofiarach pogańskich znaczącą rolę.

Podobne wątpliwości budzą się przy wiosennem (wielkopostnem) topieniu Marzanny, znanem niegdyś tylko na Śląsku i w Wielkiej Polsce, u Czechów do dziś obchodzonem. Czy nie jest to słynne wynoszenie śmierci w niedzielę *Laetare*, obchodzone w Norymberdze i stamtąd przeniesione do Czech i dalej do Polski? Znają także inni Słowianie podobne obchody, ale nie w tym czasie ani pod podobną nazwą; to śmierć wynoszą, to zimę topią a co wskok od rzeki czy stawu uciekają — biada, kto ostatni: wszystko zeszło na zabawy dziecinne, co wprzód

miało głębsze znaczenie i to wszystkich podobnych obrzędów dotyczy. Dalej ciągnienie kloca w post przez panny lub młodzieńców, co się w zapusty nie pobrali, i to również miejska, niemiecka zabawa, chociaż aż na Ruś dotarła.

## KUCHNIA

W życiu średniowiecznem, ubogiem pod względem umysłowym, o kuchnię («stół chlebowy») najwięcej dbano, a do rozmnożenia i urozmaicania kuchni polskiej najbardziej się miasta przyłożyły, skoro słownictwo kuchenne obfituje w germanizmy bardziej może, niż wszelki inny dział językowy. Z nazwy niemieckiej wprawdzie wcale nie wynika, by rzeczy samej przed nią nie znano, mimoto i ona coś zaważy. Kuchni średniowiecznej było daleko jeszcze do francuskiej; jej dania były wcale «zawiesiste», bardzo substancjalne, bez wymysłów; stół obfitował w pieczyste a czasu postu w ryby; spis potraw był zawsze ten sam, chyba kuchta przyprawami różnorodnemi dania urozmaicał. Dziczyzny było niewiele, zając chyba częściej się zjawiał; zresztą zawsze wołowina, skopowina, cielęcina, świnina, kurczęta, gęsi (i tuczone); ryby świeże i suszone (morskie); śledzie; jesiotrzyna nie rzadka, o węgorzach, pstrągach, łososiach wyjątkowo słychać; galarety zwały się *kwaszeniną* (czeskie), albo *nazimnem;* flaki dawano często; nie brak i raków. Dawano mięsa z *sałsą,* sosem słonym; *żufka, żufeczka* służyła za zupę, obok nich *jucha, polewka; żur, kisiel(ica)* i, jej niemiecka przeróbka, *geislicz (żur,* niem. *sur, sauer)* były postne. Ciast i pieczywa były wszelakie rodzaje: wypiekano codziennie stale w kształcie organów płciowych *buły* (bułki) i *rogale* (zwane *ornafkami,* t. j. *hornaffe, rogliczkami* z czeskiego); *żemła* pierwotnie tylko cienką mąkę oznaczała, później bułkę, *białkę; osuch,* rodzaj placka, *podpłomyk* też, *pokręty* były, jak *baby* i *kołacze,* domowego początku; *strucla* i *strucel* (oba ro-

dzaje w wieku XV, niemieckie); *pirogi; mazańce, sadlnik, jajecznik, miodownik, piernik* (od pieprzu nazwany, niem. *Pfefferkuchen); placki* (niem.); *obarzanki; corman* (? może babka); *kraple* (dziś *kreple), pączki* (z niem. *Pfannkuchen); ubogie włodyki* tłumaczyły niem. *Arme Ritter* (niby suchary w gęstym słodkim sosie); *twarożnik; grzyb* (biszkot); rano posilano się polewką piwną czy winną z grzankami; dzieciom dawano *papiny* (rozgotowanej mąki jęczmiennej); raczono się i krupami (zowiąc większe *babiemi zębami,* drobne *zaspicą).* Wszystko zaprawiano korzeniami, najwięcej szafranem i żyd zaskarbiał nim łaski pańskie, *korzycą (korą,* cynamonem), *imbierem, goździkami* (tłumaczenie z niem. *Nelke,* niby *Nägelke),* aby o pieprzu nie wspominać; maku też wiele spożywano, jak i innego nasienia. Bogaty był dział warzywa, jarzyny, i takiej, jakiej dziś od dawna nie używamy, np. *kruczmorki* (później *kuczmorką* zwanej, z niem. *Krützelmos),* rodzaju słodyczki; *gierszu (gieru, giru,* z niem. *Giersch), ćwikły* (nie w dzisiejszem znaczeniu); rzepa, groch, marchew, brzoskiew; odrośli, które służyły na «sałatę» (t. j. «posoloną»); *warmuż* i *jarmuż* i do śniadania służyły; kiele, karafioły, szpinak, szparagi, wszystko późniejsze dopiero nabytki. Na wety (t. j. koniec sprawy sądowej pierwotnie, z Magdeburgji wzięte) podawano orzechy, owoce, konfekty (z migdałowego ciasta i t. p.; złocono je, bo kuchnia średniowieczna przepychem smak wynagradzała, i pieczyste i ryby przybierały dziwne kształty i barwy-ozdóbki); sery na zawarcie żołądka. Wieśniacy czasu głodu domieszywali do mąki i kory drzewnej i lebiody, a wkońcu szli i do lasu po żołędź. Jagody leśne, *sunice* 'poziomki', maliny, jeżyny (pod najrozmaitszemi nazwami znane), również na stół przychodziły. Ptactwo leśne i polne czy błotne tępiono masami i podziwiamy zęby i smak, co temu wszystkiemu sprostały. Przed obiadem myło się *pro forma* ręce, bo widelców nie było, a do misy palcami sięgano;

łyżkę i nóż miał każdy własne; siadano wedle wieku i godności i bywały o to spory szczególnie między paniami, co się nie dawały «posieść».

## ROZRYWKI. ZBYTEK

Miasto zwabiało nierównie silniej, niż dawne grody i podgrodzia, wszelakich kuglarzy (nazwa niemiecka), którzy mieli jednak i rodzime nazwy, obok pierwotnych, dawno zapomnianych *skomrochów, wil* (por. dzisiejsze jeszcze *szaławiła)* i *fistów (chwistów,* t. j. właściwie 'pusty orzech'; *fist* był też przezwiskiem obelżywem, bo tego stanu nie ceniono); obok kuglarzy był i drugi obcy, *spilman,* domowy *igrzec.* Obchodzili miasta, zasiadali w gospodzie, produkowali się też na rynku; odznaczał ich ubiór, czapeczka z dzwonkami, ogon lisi zawieszony z tyłu, pstre łachy; nogawice dwubarwne (choć te także do mody pańskiej należały), jedna czarna, druga czerwona; flet-piszczałka towarzyszyły produkcjom, gdy dudarz samą muzyką wabił. Pokazywali łątki-lalki (marjonetki, sceny śmieszne w zapusty, świąteczne podczas godów); układali pieśni na byle wypadek; popisywali się tańcami («krzepczyli»), skokami i na linach, pokazywali sztuki; wodzili niedźwiedzie, pieski i koniki wyuczone. Kościół surowo zakazywał klerykom samego przyglądania się ich kawałkom, a jeszcze srożej, żeby im niczego nie dawali; tem chętniej dopuszczano ich do wesel-swadzieb, gdzie ich repertuar rozwiązłej zabawie najlepiej odpowiadał. Kompanij aktorskich nie tworzyli; nie od nich dramat wskrzeszono.

Życie miejskie upływało, poza wyjątkowemi czasy, głównie świątecznemi, bardzo spokojnie i jednostajnie; przy mroku zamykano bramy miejskie, więc przechadzki wieczorne były niemożliwe, nie mówiąc o niebezpieczeństwie, grożącem nieraz i za dnia poza obrębem murów miejskich. Oświetlenia ulic nie było; kto nocą wychodził, sam pochodnię nosił, jeśli nie chciał, by go

o zamiary zbrodnicze posądzono i imano; ludzie byli pochłonięci pracą, tem chętniej korzystali z każdej sposobności, wesela, wjazdu królewskiego czy dygnitarskiego, by się rozerwać. Swobodniejsza, zamożniejsza młodzież we dnie wiosenne i letnie wychodziła za miasto, urządzała pikniki — posiadamy kilka listów w ówczesnych listownikach (Feygego, Ursyna), opisujących takie spólne wycieczki; nie brak śpiewów i tańców, pustują, panowie łowią ryby sieciami, panie się przypatrują; panienka chciała pokrzywą sparzyć kogoś, sama w wodę po pas wpadła ku ogólnemu śmiechu; inna podczas zakąski zaplusnęła komuś twarz *kompostem* (mlekiem zsiadłem — żart wówczas powszechny, już w XVI-tym wieku niemożliwy w towarzystwie); śmiano się z brudnych chłopów, wracających z pola i figlujących; pary się rozchodziły po polach, ale rychło trzeba było wracać. Zimą nie brakło posiedzeń towarzyskich; panie przyjmowano chętnie i po klasztorach, gdzie je w refektarzu ugaszczano; wychowywały przecież zakonnice dziatwę, więc i rodziców witano. Mężczyźni schodzili się często po gospodach i mimo ostrych zakazów nie stronili od kostek, bierek i kart; karano zato i graczy i gospodarzy domów, a bywały też kostki fałszywe. Książek mężczyźni nie znali; książki liczono stale do *gierady*, t. j. do wyprawy żeńskiej, boć były to najczęściej modlitewniki i psałterze. W XV wieku stosunki się powoli odmieniały, budziły się zajęcia umysłowe; zawierano znajomości i schodzono się na pogadanki humanistyczne, garniono się około jakiejś wybitniejszej osobistości, nieraz obcego przybysza i w sali, czy ogrodzie, nieraz o skromnym posiłku czy przy winie węgierskiem lub małwazji dzielono się wiadomościami albo rozprawiano o nauce czy o poezji: świadectw po temu nie zbywa. Przeważała jednak całkiem materjalna strona: objadano się i opijano, a przedewszystkiem sadzono się na stroje; mężczyźni nie ustępowali paniom, szczególniej od drugiej połowy wieku. Wspominaliśmy o wilkierzach krakowskich, gromiących wszelkie zbytki, wyliczają-

cych, czego wszystkiego nie wolno, ale któż o to pytał? To materjalne używanie uszlachetniała jedyna muzyka i słynął nią Kraków właśnie, a nie zadowalała mieszczan kościelna, wokalna i instrumentalna, chociaż na nią najwięcej łożono; nie brakło jej też po domach prywatnych; wyprawiano także serenady i raz sąd kościelny (gnieźnieński) wdał się w sprawę, gdy jakiś panicz w zapusty nocą z pochodniami i piwem obchodził dom panny, czarując i wróżąc, czem się parafja zgorszyła (r. 1428).

Zbytek nadzwyczajny, panujący śród mieszczan i przenoszący się do szlachty i księży (testament byle księdza razi wręcz ilością szat, szub, naczynia, kubków, miednic i t. d.), daje się jednak łatwo wytłumaczyć. Winę ponosił Kościół, bo z jego przyczyny nie wiedziano, co robić z gotówką; czy chować ją do skrzyni i przynęcać na nią złodziejów; czy zakopywać w fundamentach, aby je murarze później, i po wiekach dopiero, odnachodzili? Gotówka leżała bezużytecznie, musiała być jałową *(sterilis)*, bo tego wymagał Kościół, który wszelki, nawet najmniejszy procent lichwą i ciężkim grzechem ochrzcił i każdą sprawkę «lichwową» przed swój trybunał przywoływał. Więc w teorji, z kazalnicy, gromił Kościół każdy zbytek, szczególniej w stroju, jako najbardziej w oko wpadający; panie, co szlepy długie nosiły, nazywał «wozatarkami djabelskiemi», bo na tych szlepach wożą szatana, a jeśli się przed zwierciadłem długo stroiły, groził im, że djabła w niem obaczą; guzy złote, trefione włosy, śpiczaste obuwie, wiszące rękawy — na to wszystko namiętnie nastawał.

## ŻYDZI

W praktyce sam Kościół zbytek wywoływał, nie pozwalając pieniędzy mądrzej używać, dla kredytu, i stworzył przez to monopol pieniężny dla żydów. Bo «niewiernym» wolno było lichwić, pobierać bezkarnie szalone procenty, choćby grosza od grzywny

tygodniowo (zwykła stopa!), a sądy starały się o to, żeby żyd przyszedł do swej sumy; jak ujmował się Kazimierz Wielki za swoim żydem Lewkiem, którego nawet żupnikiem zrobił! Tej polityce kościelnej zawdzięczali żydzi swe kapitały; zabraniano im wprawdzie, żeby nie pożyczali na obligi-weksle, lecz tylko na fanty-zastawy, z wyjątkiem rzeczy świętych, ale to omijano.

Fantastyczność nieekonomicznej polityki kościelnej zmusiła wkońcu ludzi do wybiegów; *wyderkaufy* miały się zrodzić na Śląsku w XIV wieku. Potrzebujący pieniędzy sprzedawał realność miejską czy dział wiejski, pozostawał jednak w jej użytkowaniu i płacił za to «wierzycielowi» czynsz, mógł jednak każdej chwili odebrać swoją własność, złożywszy cenę kupna *(revendicio, widerkauf)*, lecz właściciel sumy, wierzyciel niby, nie mógł jej wypowiadać; był to więc czynsz wieczysty.

Już w XIV wieku zaciężyli żydzi nad miastem i szlachtą; gorzko się na nich Kraków już r. 1369 uskarżał, im w pierwszym rzędzie swój stan pogorszony przypisywał; przeniesiono ich wkońcu na Kaźmierz, który się nie rozwijał tak świetnie, jak król-założyciel planował. Nie przyszło w Krakowie mimoto do takich pogromów żydowskich, jakie Praga lub Wrocław widywały; czuli się bezpieczni za wojewodą; sami, skarżyli się rajcy krakowscy, łowili swoich winowajców i odstawiali do grodu; sami przechowywali złodziejów i towar kradziony; szczególniej przy pożarach im się odgrażano, im winę przypisywano; tak było jeszcze przy końcu wieku XV. Jak im wkońcu osobne dzielnice ku mieszkaniu naznaczano, tak mieli się i ubiorem od chrześcijan różnić, ale nakaz omijali; za to pastwiła się nad nimi młodzież szkolna, rzadziej cechowa, i musieli się jej okupywać «koszykowem», *kozubales*, bo żyd już coraz częściej z koszem dla handlu wychodził. Za Kazimierza Jagiellończyka byli celnikami przeważnie żydzi, np. Schan w Bełzie, Josko we Lwowie, Ozar w Rawie i t. d.; buta ich widocznie rosła, jak ich dostatki.

Dochodziło i w Krakowie czy Poznaniu do pogromów,

już w XIV wieku (r. 1361 i in.), ale ani rzezi wrocławskiej, ani wypędzania żydów nie było. Zato kwitły i u nas antysemickie plotki, mianowicie o sprzedanej, ukradzionej hostji, którą żydzi nożami kłóją, a krew z niej ciecze (powszechna to baśń średniowieczna); słynna historja poznańska o cudzie z taką hostją, Jagiełło kościół wystawił na miejscu jej odnalezienia. Inną bajkę antysemicką przytoczył już cysters koloński, Cesarius, w swych księgach o cudach (z pierwszej połowy XIII wieku): w Wrocławiu żydziak z innymi chłopcami wpadł do kościoła w niedzielę wielkanocną i z hostją, która mu się żywem mięsem zdawała, do ojca wrócił i wszystko opowiedział; ojciec wrzucił chłopca do gorejącego pieca, lecz gdy ludzie na krzyk matki nadbiegli, chłopiec był zdrowiuteńki i ojca do pieca zamiast niego wrzucono (tę baśń opowiadano w rozmaitych wersjach i na Wschodzie i we Włoszech). Na razie jeszcze nie było słychać o trzeciej, równie upornej baśni, o porywaniu dzieci chrześcijańskich dla utoczenia im krwi na sporządzanie maces; ale i ta później nadeszła. Stale rosła liczba żydów, ale dopiero w następnym wieku zasłynęli nietylko dostatkami, lecz i nauką, i Kraków odegrał rolę w ich życiu umysłowem.

## ZNACZENIE MIASTA

Nic jeszcze nie zagrażało mieszczaństwu, opływającemu w dostatki ogromne, jak można wnioskować z cudów, opowiadanych przez Długosza o owej uczcie wspaniałej, jaką Wirsing-Wierzynek ugościł monarchów i książąt r. 1368, co uwidoczniło zamożność mieszczaństwa, któremu dalszych przywilejów przysporzył Ludwik, uwalniając miasta polskie od ceł, nadając im prawo składu. Kazimierz, ale jeszcze więcej Ludwik i matka-regentka, popierali ze wszech sił miasta nietylko dla jawnych wygód materjalnych — wszak bywali mieszczanie nieraz bankierami królewskimi, ale i w celach politycznych, aby móc się

na nich opierać przeciw szlachcie i możnowładztwu, lecz miasta ponad ścisłą, wdzięczną lojalność już się nie wzniosły.

Handel (i jego zyski) był jednak tylko tranzytowy, t. j. zawisł od dróg handlowych, a gdy te się odmieniły, tracił sam na znaczeniu. Okazało się to dopiero w drugiej połowie XV wieku, gdy Turcy zdobyli brzegi północne morza Czarnego, kolonje genueńskie i porty mołdawskie, gdy morze Czarne stało się *mare clausum*, jeziorem tureckiem. Nie dało się to odczuć odrazu, ale powoli zaczęło słabnąć dawne ożywienie handlowe i jego punkt ciężkości przesunął się na północ, do Gdańska, który kosztem Torunia skupił wywóz surowców polskich, gdy bydło polskie na Śląsk, do Brzegu i Frankfurtu zwrócono; z wewnętrznego handlu polskiego Kraków nie ciągnął większych zysków.

Na handlu wewnętrznym opierało się natomiast znaczenie Poznania i Lublina, które ściągały kupców i towary z Litwy (Wilna) i Rusi; jarmarki lubelskie były najsłynniejsze w XV i XVI wieku. Z Litwy i Rusi wywożono skóry, futra, bydło, wosk, czerwiec, siwidło (dla folowania sukna); jak silne były związki Poznania z Wilnem, dowodzą między innemi awantury, w jakie popadł w Poznaniu wileński (słynny niegdyś drukarz ksiąg cerkiewnych dla Rusi) Franciszek Skorina w ciągu handlu (własnego i bratniego) skórami. Czerwiec wywoził Poznań dalej na zachód, ale ten handel ustał zupełnie (w XVI w.), gdy koszenila czerwiec z farbiarstwa europejskiego wyparła. Czerwiec, to poczwarki drobnego owadu, żyjące na korzeniach *Scleranthus perennis*, na Podolu, Ukrainie, Polesiu i w Rosji, zbierane w połowie czerwca-lipca, suszone i tłuczone na proszek, rozprowadzany we wrzątku, dający piękny, szkarłatny kolor (od tego nazwa miesiąca i samego koloru «czerwionego»). Leżał więc Poznań przy tej głównej drodze wywozowej, prowadzącej ze wschodu (od Brześcia, Lublina, z którym Poznań stałą komunikację utrzymywał; Wilna), na Warszawę do Wrocławia i dalej; tak wybił się Poznań na czoło miast wielko-

polskich i wkońcu zajął po Krakowie miejsce drugiego emporjum handlowego w Polsce; szczególnie ściśle był związany z Lipskiem; dalej z Gdańskiem, chociaż sam do Gdańska niczego nie wywoził; stosunki z Gdańskiem zajęły dawniejsze z Toruniem, co upadły zupełnie po r. 1466; z Gdańska przywoził Poznań wino i korzenie, sól (Wielkopolska była w nią najuboższa i zaopatrywała się w nią już w XIII wieku od Hali i in.), śledzie, sukna; sam dostarczał Poznań wschodowi wyrobów żelaznych (kosy, sierpy, noże), korzeni, tkanin. Stosunki z Wrocławiem bywały naprężone i omijał go Poznań, nawiązując je bezpośrednio z górno-niemieckiemi miastami, Norymbergą i Augsburgiem, skąd liczni przybysze osiadali w Poznaniu; o Lipsku właśnie wspominaliśmy. Kwitł ten handel wywozowy szczególniej przy końcu XV wieku; na odmianie dróg handlowych nie ucierpiał Poznań tak silnie, jak Lwów i Kraków.

Gorzej miał oddziałać antagonizm stanowy i narodowościowy. Że się Kraków i Poznań oświadczyli za książętami śląskimi, zniemczonymi, znienawidzonymi dlatego w Wielkopolsce szczególniej, gdzie książąt wyłącznie Niemcami się otaczających o chęć zagłady imienia polskiego pomawiano, srodze się na nich zemściło. Antagonizm ten wybuchł jaskrawo, gdy przy uśmierzaniu buntu krakowskiego wojsko Łokietkowe, nie wiedząc chyba, że naśladuje wzór dany w Starym Testamencie, tych zabijało, którzy nie wymawiali poprawnie *soczewica, miele młyn;* pamięć o tem zapadła ciężko w umysłach szlacheckich; jeszcze w sto lat później wypominali to krakowianom. Nienawidzili tych obcokrajowców z ich autonomją (szlachcic poddawał się sądom miejskim, jeśli skarżył mieszczanina), i z ich dostatkami, tem bardziej, że tylko szlachta broniła kraju, któremu ci Niemcy swój dobrobyt zawdzięczali. Więc przynajmniej od dygnitarstw duchownych, uposażonych dobrami ziemskiemi, odsuwała szlachta tych przybyszów i praktykowała już w czternastym wieku, zanim autoryzacja papieska (r. 1413), a później

krajowa ustawa tego zwyczaju nie uprawniła na zawsze; odgrażała się przecież szlachta, że kanonikom-mieszczanom dziesięcin dawać nie będzie. Niechętnie patrzyła szlachta na cechy, które normowały nietylko ceny, ale wogóle całym przemysłem kierowały, nie dozwalając niecechowej «sturarskiej» roboty o cenach nierównie wygodniejszych, więc przeprowadziła wkońcu szlachta, że wojewoda wydawał cennik, nie licząc się nieraz z słusznemi wymaganiami cechowych. Nie znosiła dalej, że bogaci mieszczanie zakupywali dobra ziemskie i tem łatwiej dostawali się przez następny ożenek między szlachtę rodowitą i oto przeprowadziła prawo, zabraniające mieszczanom kupowanie takich dóbr. To były prawne ograniczenia stanu miejskiego, nie uznawanego jako stan osobny, z głosem własnym; zgodziły się miasta milczkiem na takie ograniczenie i wydziedziczenie niby; nie było winą królewską, że sprawy miejskie na taki tor weszły. Luźne epizody dowodziły, jak zaognione były te stosunki; zabójstwo Andrzeja Tęczyńskiego r. 1461, przez motłoch popełnione, odpokutował Kraków drakońskim wyrokiem, a wiersz szlachcica polskiego o tem zajściu dyszał poprostu nienawiścią przeciw mieszczaństwu. Szlachcic osiadły w mieście, oddający się rzemiosłu czy handlowi, tracił szlachectwo, co później ustawą stwierdzono.

Nie pomogło, że w XV wieku miasta prędko polszczały. Ustawał przypływ coraz nowych przybyszów, a związki rodzinne wtaczały w ich żyły coraz więcej polskiej krwi. Widzimy to w protokółach o cudach św. Stanisława; stają przed księdzem oficjałem ludzie z niemieckiem nazwiskiem, ale jakże wyjątkowo stwierdza zapiska, że np. piekarz krakowski Stephanus *teutunicus per omnia,* albo sześćdziesięcioletni altarysta u N. P. Marji, Nicolaus de Constantin baccalaureus artium *idiomate theutonicus,* albo Catherina *mulier in toto theutonica,* t. zn. nie umieli po polsku. Najpóźniej wyuczył się po polsku Kraków, gdzie mieszczaństwo niemieckie silnie tkwiło, dokąd Niemców dlatego

najwięcej przybywało, a bywało tak, że jeden za sobą kilka rodaków sprowadzał; tak było to z Bonerami i in.; miasteczka jak Rothenburg, Weissenburg, Landau wysyłały nieraz po kilku osadników. Przeważali przybysze z Śląska, jak to widać ze spisu przyjmujących mieszczaństwo; nie rozstrzyga nawet wymienienie takiego Zawichostu i innych mieścin, bo i z nich mógł się Niemiec wywodzić. Ale już zanikała powoli znajomość niemczyzny; taki wojewoda Działyński odpisywał wojewodzie pomorskiemu po odebraniu listu łacińskiego i niemieckiego, żeby mu nadal niemieckiego nie przesyłał, bo nikt mu go wyłożyć nie umiał. I właśnie wielkopolski pan, Jan Ostroróg, widocznie wedle wrażeń poznańskich, oburzał się, że w głównej nawie kościelnej ksiądz Niemiec prawił kazanie wobec kilku staruch, gdy tłum cisnął się w bocznej kaplicy około księdza polskiego. Stąd urosło też przysłowie: siedzi jak na niemieckiem (przenigdy tureckiem!) kazaniu. Stosunki narodowościowe trudno dokładniej po miastach ustalić; już Poznań był mniej niemieckim niż Kraków; ależ i w Krakowie niższe warstwy były polskiemi, miały i w wieku XIV polskiego kaznodzieję; jednak warstwy wyższe były niemieckie, język urzędowy miejski był niemiecki, wsparty o dawną tradycję. I czuli się Niemcy swojsko i zaliczano poprostu Kraków do miast niemieckich (tak Jan z Ludziska w swej mowie 1447 r.). Z wiekiem XV ta przewaga ustąpiła.

Osadnictwo niemieckie, miejskie szczególniej, było obustronnem dobrodziejstwem, Niemcom zapewniało dobrobyt, Polsce ład i porządek. Rady miejskie wglądały przecież w każdy szczegół życiowy, dbały o dobroć prowizji, np. obowiązywały «rybitwów», że niesprzedanej rybie na drugi dzień pół plusku, na trzeci cały odrzynał; dbały, żeby przekupnie nie zakupywali od chłopów, przychodzących na targ czy jarmark, ich prowizji wprzód niż publiczność i t. d. Rola miast była wręcz wychowawcza; nauczono się względu na innych, spółżycia, szanowania ustaw; sądownictwo miejskie (prawa i przewód) było w porów-

naniu z krajowemi postępowe; miasta stworzyły handel i przemysł, którego dawniej były tylko zadatki; przez nie wzmógł się dobrobyt całego kraju, wzniósł się poziom całego życia; one stworzyły tło dla szkoły — uniwersytet mógł tylko w rządnem mieście funkcjonować. Jak obronność kraju przez nie zyskała, dowiódł już koniec XIII wieku, kiedy omurowany Sandomierz czy Kraków odparły wszelkie szturmy. Osadnictwo wiejskie odsunęło zupełne ujarzmienie chłopa polskiego o jakie dwa wieki. Nie Kazimierz Wielki odmienił Polskę drzewianą w murowaną: miasta to uczyniły. Jakaż różnica między Krakowem niemieckim 1300 a biskupim 1200 roku! a co o Krakowie, odnosi się do każdego innego miasta.

Niebezpieczeństwo wynarodowienia, jakie się pozornie przy końcu XIII wieku zapowiadało, rychło minęło; wprawdzie nim obcy organizm zupełnie się zasymilował, półtrzecia wieku minęło, a w języku pozostawiły do dziś niestarte ślady. Zastępowano własne słowa niemieckiemi; żaden dział się przed niemi nie uchronił; jedne wyrugowały zupełnie polskie, np. *los wróżę, szołdra (szynka) giżę;* drugie utrzymały się obok polskich, *rachować* i t. d. obok *liczyć, szanować* i t. d. obok *czcić, szynkarz* obok *karczmarza,* nie mówiąc o tych, które niemiecką nazwę dla niemieckiej rzeczy zatrzymały, np. *szepszeling* i mnóstwo innych wyrazów sądowych i cechowych, z handlu i przemysłu, ani o tych, które żywcem z niemieckiego przetłumaczono, np. *gaić sąd,* bo Niemiec istotnie zielonem, gałęziami i t. d. miejsce sądowe obtykał, albo *jutrzyna* obok *morgu,* ława i ławnik od *Schöppenstuhl.* Stąd nabrał język (zresztą nie polski jedyny, tak było i z czeskim, nie mówiąc o dalszych narzeczach zachodnich, łużyckich i in.) w ciągu tych dwu wieków nowej cechy, wyzbył się wielu słów własnych, nawet dla części ciała *(nerka),* dla pląsów (już nie «krzepczą», ale tańcują reje, firleje, cynary i t. d.), i zalew ten dosiągł wyżyn właśnie u końca XV wieku, potem zaczął opadać.

## KMIECIE

Najciężej odbił się przewrót polityczny, t. j. dojście jednego stanu do wszechwładzy, na kmieciach. Pozacierały się dawne różnice, czy *hospes*, czy *ascripticius*, czy *servus* (łazęka-przypisaniec-niewolnik), a przeniesienie z uciążliwości prawa polskiego na niemieckie z jego ściśle określonym czynszem i z autonomją gminną polepszyło położenie kmiecia materjalne i poziom życiowy. Ale już w XIII wieku przyzwyczajano się do wymagań robocizny od kmieci; w dokumentach śląskich opuszczało się im wszelkie obowiązki wzamian za sześćtygodniową robociznę (trzykrotnie do roku po dwa tygodnie), szczególnie dla «sieczenia» łąk i podczas żniw, tudzież dla przywozu drzewa opałowego, i o to zaczepiły dalsze wymagania pańskie. W ciągu XIV wieku, póki pan nie mógł zbywać zagranicę zboża ani bydła dla braku popytu, nie zmieniały się stosunki, ale w XV wieku, w drugiej połowie, gdy cały bieg Wisły był w rękach polskich i szykany cłowe Zakonu ustały a Gdańsk najdogodniejszym portem się okazał do zaopatrywania Zachodu w polskie zboże, budulec i inne produkty leśne, nastręczała się panu sposobność zbywania wygodnego płodów swego gospodarstwa folwarcznego. Folwarki *(forwarki* i *forwalki)* sięgały początkami swemi o wiele dawniejszych czasów; książęta, panowie świeccy i duchowni, klasztory, mieli własne *praedia*, uprawiane przez niewolników od niepamiętnych czasów; ale to gospodarstwo zaspokajało głównie własne potrzeby domowe. Gdy odbyt (choćby dla nowych miast) wzrastał, opłacało się rozszerzanie gospodarstwa folwarcznego: brano pod uprawę wszelkie nieużytki, a jeżeli kmieć opuszczał wieś, jego żrzeb włączano do pańskiego folwarku; wkońcu wymagano i od kmiecia robocizny, powiększając nieznacznie tę, do której go dawne umowy obowiązywały. W ciągu wieku wzmagała się powoli pań-

szczyzna, poczynając od jednego dnia w tygodniu; na dobrach królewskich i duchownych nie przekraczano tej normy, inaczej było na pańskich. Już dawniej ograniczano wszelkiemi sposobami wolność opuszczania wsi, szukania lepszych warunków w innej wsi lub w mieście (dla rzemiosła) i tak nie wolno było kmieciu opuszczać wsi, gdy pan był na wyprawie wojennej, albo nie wolno było w ciągu roku więcej niż jednemu wysiedlać się; prawo niemieckie żądało nawet przedstawienia zastępcy, zasadźcy; było pod tym względem uciążliwsze niż polskie. Ale kmiecie zbiegali, nie pytając pana, który ich łowił i u nowego pana odbierał; procesy przewlekłe o zbiegłych kmieci zaprzątały też stale sądy ziemskie. Wyprzedziła te obostrzenia uchwała statutu wareckiego z r. 1423, która dozwalała szlachcie wykupu sołectw. Sołtys dziedziczny, więc niezawisły od pana, był z istoty rzeczy nieraz obrońcą praw kmiecych, t. j. przywilejów, które i jemu samemu służyły; skoro go pan skupił i oddalił, mianował dla sądów wiejskich sam sołtysa i ten jako narzędzie pańskie dbał o łaskę pańską, nie o kmieci, szczególnie jeśli szlachcic-gołota, włodyka, sołectwo kupował, a czynił to bardzo często dla polepszenia swego bytu. Wszelkie te ograniczenia usankcjonował walny sejm piotrkowski z r. 1496, a dodał od siebie, że z synów kmiecych tylko jeden może się udawać na naukę albo do rzemiosła. Mógł król łamać przywileje krakowskie, odbierać miastu wójta i wybór rady i sam ją mianować, słuszną karą za zdradę i bunt, uśmierzony dopiero za obcą pomocą, ależ sołtysi i kmiecie nie przewinili się niczem, a «krnąbrność» niewygodnego sołtysa, o jakiej w Warcie mówiono, można było łatwo skonstruować. Od kmiecia liczono przeciętnie dwadzieścia grzywien rocznego dochodu; na niego spadał też jedyny stały podatek, bo on opłacał poradlne.

Los, zależność i zamożność kmieci były bardzo nierówne. Rozdrobnienie gruntów włościańskich jeszcze było wcale umiarkowane, nie brakło gospodarstw łanowych i półłanowych;

mniejsze udziały były w ręku zagrodników; komornicy nie posiadali już ziemi prócz kawałka ogrodu; na Mazowszu nazywano ich i zagrodników *wardężniami* (od *wardęgi,* niemieckiego *Wertung*-czynszu; *wardęgą* też bydło zwano jako podstawę majątku kmiecego). Wieś, szczególniej na prawie niemieckiem, była jeszcze samorządna; już wprawdzie ani król ani duchowieństwo nie sprowadzali nowych kolonistów (którzy chyba szli dalej na wschód), ani lokowali na nowo; w XV wieku już tylko na własności prywatnej to czyniono. Pojawiła się teraz także nowa kategorja wsi wołoskich, bo pasterze rumuńscy z trzodami swemi i osobliwszem gospodarstwem mlecznem szerzyli się po całem Podkarpaciu od Bukowiny aż poza Polskę do Moraw. Wsiami wołoskiemi rządził *kniaź,* niby sołtys; swoim samorządem przypominały one niemieckie, lecz nie płaciły czynszu inaczej jak tylko bydłem, t. j. dziesięciną z owiec; do dziś pozostało po nich całe nasze słownictwo tego gospodarstwa, od *strągi-koszary* począwszy, do *żętycy, zwurdziałego* mleka, *baców* i *juhasów, gazd* i *szałasów.* Wieś polska, t. j. na polskiem prawie, która ani dziedzicznego sołtysa, ani wyłącznego czynszu unormowanego nie znała, była nierównie bardziej od pana zawisła; on ją sądził, kmieć nie mógł od niego apelować do sądu państwowego, który dla kmiecia «niemieckiego» był zawsze jeszcze dostępny. Wolność osobista była w różnych dzielnicach różnie uwarunkowana: pod układem ziemskim albo prawem rozumiano, że kmieć, jeśli chciał opuścić pana, winien go był wcześnie zawiadomić, zagrodę (chycze) w dobrym stanie oddać, zwrócić pomocne (załogę, zakładkę, którą dostał był kiedy od pana, i zapłacić t. zw. ustane; ewentualnie ręczył nowy jego pan, że tych zobowiązań dopełni. Tylko w razie, gdy go pan krzywdził, umowy nie dotrzymywał, gwałtu się dopuszczał, mógł się kmieć każdej chwili od niego wyprowadzić. Inny był los parobków, którzy na folwarku pracowali, ci żadnych praw nie mieli; inny karczmarzy

i młynarzy, którzy wiejską arystokrację obok sołtysa tworzyli. W XIV i XV w. był los kmieci jeszcze bardzo znośny; robocizny niewiele, a i tę kmieć dość lekko odbywał; na tłokę-powabę w czasach większej, nagłej potrzeby wychodził, ależ za to należało go ugościć; póki gospodarka czynszowa powszechnie obowiązywała, nie ciężył zbytnio na nim ten czynsz, nie zmieniający się, chociaż wartość jego pieniężna spadała; włodarz pański jeszcze zbyt nie dociskał i żyło się kmieciowi dostatnio. Dopiero wiek XVI obrócił wszystko na gorsze.

Życie wiejskie było jeszcze bardzo patrjarchalne, prymitywne, szczególniej we wsi polskiej. Pobożność kmiecia była wzorowa, lecz roiło się około niego od przesądów i zabobonów; na szczęście nie czyniła jeszcze wiara w czarownice pustoszeń. Coraz częściej zaglądał już kmieć do karczmy, chociaż sam mógł jeszcze piwo warzyć i miód sycić, a musu do karczmy pańskiej nie było. Różnice stanowe już zarysowały się ostro; w Gnieźnie r. 1399 (nr. 1213) wymagał sąd od pana, aby chłopom za wyzwiska (na szlachcica) język, a za rany ręce ucinał. Chłop był wolny od wszelkiej służby wojskowej, ale opłacał drogo tę wolność, wpadając w coraz większą zależność od pana; już on nie sam dochodził swej krzywdy przed sądem, lecz pan to za niego czynił; coraz wyłączniej stawał on się przedmiotem-niewolnikiem i już w XV wieku odzywały się głosy, np. w przemowie Jana z Ludziska z r. 1447, które oczekiwały od nowego króla uwolnienia uciśnionego włościaństwa — rzecz wtedy całkiem wyjątkowa zresztą. Powoli zapadały też ziarna nienawiści w serca chłopskie: chłopi zdradzali Tatarom i Turkom (r. 1497) kryjówki panów po lasach (źródło milczy o tem, czy nie wymuszał wróg takiego zeznania). *Smard* był już tylko wyzwiskiem, a *chłop* jeszcze gorszem, niebawem *cham* obok nich stanął; jawna pogarda z jednej strony budziła powoli nienawiść po drugiej.

## WOJSKO

Siłę wojskową polską powiększył Kazimierz W., lecz pospolite ruszenie rycerstwa, jej podstawa, okazało się już w XV wieku nieprzydatnem. Grunwald był jego ostatniem, świetnem na wsze czasy zwycięstwem, ale już rok 1410 dowiódł, że trudno pospolite ruszenie, nawet zwycięskie, utrzymać długo w boju, a w niewiarogodnej klęsce pod Chojnicami, gdy rozpolitykowana szlachta pod najnieudolniejszem dowództwem z pola pierzchnęła i samego króla na szwank naraziła (r. 1454), nie dotrzymały niesforne i mało wyćwiczone a źle uzbrojone tłumy przeciw wypróbowanym wojskom zaciężnym albo wprawnym zakonnym placu. Dzień 15 lipca 1410 r. okrył oręż polski największą chwałą, ale wtedy zwyciężył i duch, nie sama siła; on porwał rycerstwo, ufne w swą dobrą sprawę, a chciwe odwetu za sto lat ciężkich krzywd. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, który się nigdy już nie powtórzył, składało się wszystko zgóry na powodzenie: znakomicie obmyślany plan, zachowany do ostatniej chwili w najgłębszej tajemnicy, przeprawa na lewy brzeg Wisły po znakomicie zbudowanym moście łyżwowym, obfitość zapasów, trafne uszykowanie wojska i jego święty zapał zgniotły przeciwnika. Ale to było zarazem pożegnaniem wojskowości średniowiecznej, owej wyłącznej «kawalerji narodowej», bo broń palna nie miała jeszcze znaczenia; dano wprawdzie przy pierwszem zwarciu się szeregów kilka salw, ale te nikomu szkody nie wyrządziły; przy oblęganiu twierdz z dział już korzystano, w polu jeszcze nie dopisywały. Po raz ostatni występowały tu chorągwie rodowe, spływające z całej Polski, a wszystkie zawodniczyły o palmę zwycięstwa, ale po nadludzkim wysiłku spoczęło rycerstwo na zdobytych wawrzynach i rychło ulotnił się duch wojowniczy; nie znać go wcale we wszystkich późniejszych walkach tego wieku; zabrakło nawet jakiegokolwiek wodza wybitnego. Dynastja sama wysiliła się

w trzech pierwszych pokoleniach, trzy dalsze odznaczały się już tylko cierpliwością, uporem, zwlekaniem, nie zdobyły się na żadną wielką inicjatywę.

Dwieście lat przed Montekukulim dowiodła wojna pruska, trzynastoletnia, że do prowadzenia wojny potrzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy; pieniądzmi, nie rotami, zwyciężył Kazimierz, gdy hufcom czeskim wypłacał zaległy żołd, na co się wynędzniony Zakon już nie zdobył. Teraz zajęło wojsko zaciężne, zawodowe, dobrze uzbrojone i wyćwiczone, miejsce ruchawki szlacheckiej. I w tem nowem wojsku polskiem było z początku najmniej Polaków, najwięcej Czechów, dla których wiek XV był wiekiem sławy wojennej; obok Czechów i Słowaków Niemcy, a czem później w wiek, tem więcej «Raców» (węgierska Serbów nazwa), którzy z pod jarzma tureckiego uchodzili i podstawę późniejszej husarji założyli.

Powtórzyło się coś niby za kolonizacji niemieckiej; jak tam *lokator,* tak tu *rotmistrz* werbował ochotników i składał z nich *rotę,* której jednak daleko jeszcze było do «regularności» — każdy był inaczej uzbrojony, jak to ze spisów wynika. W pierwszej połowie wieku było ich jeszcze bardzo niewielu, mnożyli się w drugiej dopiero; spisy wymieniały najdokładniej uzbrojenie i konia każdego towarzysza, bo za szkody w zbroi i koniu należała mu się zapłata, oprócz żołdu samego, wydawanego ćwierćrocznie zazwyczaj. I tak zaciągał Kazimierz r. 1471 na wyprawę syna do Czech 1145 koni po dziesięć złotych węgierskich na kwartał i 2039 piechoty po pięć zł. w.; w rocie Rokosowskiego miał rotmistrz własnych 24 koni pod pacholętami, po nim następuje dwunastu towarzyszy, każdy z swoim acz mniejszym pocztem; tak «okazował się» pan Jerzyk Kościejewicz w sześć koni, sam ciężko uzbrojony, t. j. we zbroi kopijniczej, a poczet jego lekko, we zbroi strzelczej. Rota piesza pana Marka liczyła 50 żołnierzy, dziesięciu w kapalinach (szturmhaubach), płachach, miskach, szynkach (nagolenicach),

z paweżami (tarczami) większemi lub mniejszemi, z mieczami; 17 strzelców z kuszami nowemi albo «podzelowanemi» i mieczami albo koncerzami, i 23 «paweże» czerwone lub posrebrzane; rota Cienieckiego Wańki włodyki liczyła 309 pieszych i 12 koni; rota Matysa i Grota liczyła 202 pieszych i t. d.; w piechocie służyli «drabi» i szlachta uboższa, co się na konia nie zdobywała. Ciężka jazda polska była od stóp do głowy uzbrojona w blachy żelazne, dźwigała długą niezmiernie kopję lub krótki oszczep, miała i obuszek (czekan, toporek) do rozbijania broni; już zjawiały się krzywe szable, znacznej szerokości u dołu, obok mieczów długich i krótkich tasaków; lekka jazda, na lżejszych koniach i w lżejszem uzbrojeniu, miała zamiast kopij kusze (samostrzały, które lewarem naciągano do strzelenia). I piechota miała kopje w pierwszym i drugim szeregu; ich zasłaniały «paweże»; w dalszych szeregach miano kusze i rusznice, coraz liczniejsze od r. 1477; pierwotnie odlewane ze spiżu, niby małe działka ręczne, rura z ogonem do trzymania jej w ręku, później w kolbie drewnianej z kurkiem; przed r. 1471 ich się u nas nie spotyka. Działa zato polne, a szczególniej oblężnicze, były już od czasów Kazimierza Wielkiego w użyciu, z kulami kamiennemi o wielkości głowy ludzkiej (opasywanemi obręczami żelaznemi, by nie pękały) i żelaznemi czy ołowianemi.

Twierdzi Marcin Bielski, że

«Racowie (Serbowie z Węgier) za króla Ludwika naprzód tu do nas służbę żołnierską z drzewem (kopją), a i tarczą wnieśli. Gdyż przedtym naszy z kuszą tylko jeździli, którą, hak mając u pasa, schyliwszy się na koniu a kuszę o nogę zawadziwszy, dopinali. Rohatynę ktemu mieli, którą uwiązawszy u łęku przy koniu włóczyli i przetoż ją włócznią zwali; do tego miecz był u boku. A to była własna i starożytna broń polska, którą dopiero na ten czas nazwy porzuciwszy do drzew się rzucili».

O kuszy trafnie Stryjkowski napomknął, że się do walki z Rusią czy Tatarami mało godziła, bo «niż raz Polak kuszę lewarem naciągnął, tym Rusin jeden prędkiemi strzałami (z łuku) kilkudziesiąt snadnie ranił», zato były bełty (strzały)

z kuszy nierównie większe niż z łuku. W XVI wieku twierdzono, że pierwotna zbroja polska (za Mieszki) była z łubia.

W sztuce wojennej celowali Czesi od wojen husyckich i ich «taborów», niby twierdz ruchomych ze sprzągniętych razem łańcuchami wozów, na których i działka ustawiano. Całe nasze słownictwo ówczesne przejęte z czeskiego, *rusznica*, t. j. ręcznica, *taraśnice* (działka do obrony murów zamkowych), *hufnice* i *bombardy* (rodzaj moździerzy); inwentarze zamków królewskich wymieniają je stale; obsługiwali je puszkarze, co i proch wyrabiali. W rocie Marka było na 446 ludzi 5 hakownic (większe i cięższe niż rusznice) i 4 piszczale (termin czeski, rury).

Wojska w ciągnieniu plądrowały i w własnym kraju, zabierały bydło i zboże; po aktach konsystorskich pełno skarg plebańskich na przechodzących; każdy rycerz woził za sobą zapasy na cztery do sześciu tygodni; kto się uchylił od pospolitego ruszenia, tego czekała konfiskata majątku; po wyprawie bukowińskiej Jana Olbrachta posypało się o to kilkaset pozwów, bo delator ubiegał się o otrzymanie skonfiskowanego majątku.

## SKARBOWOŚĆ

Wojsko zaciężne wymagało żołdu a skarb państwowy bywał pusty; reforma wojskowa, zastąpienie niesfornej ruchawki, która się w słotę i głód rozbiegała, wojskiem czy stałem czy zaciągniętem dla wojny, zależała więc przedewszystkiem od reformy skarbowości, a do niej nie dopuszczały koła zainteresowane, możnowładcze i duchowne. Szlachta liczyła na olbrzymie dobra królewskie; z ich dochodów winien król opatrywać załogi po zamkach i obronę potoczną, ale te dochody topniały w miarę rozszafowania tych dóbr za zasługi lub jako zastawy na wypożyczone sumy, których nie zwracano. Szczególniej za Aleksandra przekroczyło to trwonienie dóbr królewskich wszel-

kie rozmiary; król pomagał sobie i w ten sposób, że wierzyciele jego dostarczali do mennicy własne srebro, które przyjmowano po cenach handlowych; z srebra bito monety, a zyskaną przy tem nadwyżką opłacano wierzyciela; raz wyszedł źle na tym targu Buczacki, bo mu mincerze złoty węgierski po dwa grosze niżej oszacowali. Dochody skarbowe były ograniczone do dóbr królewskich, do stacji, ceł i żup, częściowo coraz zastawianych, i do poradlnego; poradlne szlachta w razie potrzeby kilkakrotnie (nieraz aż do sześciu poborów, t. j. do 12 groszy) podwyższała. Większe sumy nadpływały z miast, szczególniej z ich szosu; wybierano i czopowe na rzecz skarbu; nadzwyczajnemu pogłównemu podlegali wszyscy (i żony i dzieci). Oprócz tego taki Gdańsk łożył sumy olbrzymie podczas wojny pruskiej, za co nabywał przywilejów równej doniosłości. Ależ to wszystko nie zastąpiło owej reformy podatkowej, która jedynie mogłaby skarb uzdrowić; król zastawiał więc i stacje, co się mu po dobrach należały na rok lub lata, wedle wysokości dłużnej sumy. Za Kazimierza Jagiellończyka były jednak wydatki znacznie mniejsze i on jeszcze nie odsyłał wierzycieli do mennicy z ich srebrem. I ona tworzyła wielki zysk dla skarbu, lecz stosunki mennicze były dosyć opłakane. Radykalna reforma, wniesiona przez Czechów, uzdrowiła je, lecz nie na długo; Kazimierz Wielki, jak wyżej wspomnieliśmy, zamierzał grosze grube czeskie własnemi zastępować, ale dla braku kruszcu szlachetnego (srebra, o złocie i mowy nie było), stopę menniczą psował i już r. 1369 skarżyli się Krakowianie w memorjale przed królem, że dla pogorszonej monety (której mincerz wybijał ile chciał), zyski z handlu opadają i mieszczanie się ubożą. Czesi bili z grzywny-marki (t. j. z półfunta srebra) kopę groszy, Kazimierz czterdzieściośm i ten stosunek ustalił się u nas, więc liczono zawsze grzywnę na 48 groszy, a obok grzywien liczono jeszcze częściej kopami groszów, szerokich, praskich, i domowych, polskich (ich dwadzieściacztery równano dwudziestu praskim), albo pół-

groszkami, które (96) dzielono dalej na 192 kwartników; dwa dukaty (węgierskie, polskich nie było) liczono na kopę groszów. Kupowano w Krakowie wielką kamienicę za 700 grzywien; cena konia wynosiła od dwu do dwudziestu grzywien; broń (pancerz) była równej wysokości; za łokieć sukna krajowego płacono 2—4 groszy, fajnlundysz (holenderskie) szedł i po 20; korzec żyta kosztował 5 groszy, pszenicy 7; para kurcząt grosz i t. d. W Polsce obiegała tylko moneta srebrna, groszowa; miedzianą wybijał Kazimierz dla Rusi; przez cały wiek XV liczono jeszcze na kopy i grzywny, dopiero w XVI w. zastąpił je złoty, głównie węgierski, bo włoskie dukaty, francuskie noble, angielskie korabielniki (od wybitego na nich okrętu) nierównie rzadziej obiegały. Na Mazowszu obiegała i inna, pruska moneta, np. *ferlągi (Vierlinge, quartenses).*

## SĄDOWNICTWO

Z sądów znikało dawne barbarzyństwo. Wiemy o niem bardzo niewiele, bo Gall i Wincenty w szczegóły życiowe nie wchodzili — jakież ich kroniki nudno-jednostajne wobec barwnych aż do jaskrawości obrazów, roztaczanych przez Kozmę praskiego. Od niego dowiadujemy się o karach barbarzyńskich, praktykowanych w Czechach, a więc i w Polsce spółczesnej wcale możliwych, jak przestępcę przeciw panującemu oprowadzano po mieście z parszywym psem około szyi, co bławał na niego; jak mu na stole brodę obcinano i t. d. (psami u nas tylko w podaniu o karach Śmiałego podobnie «zaszczycano»); przy wyłupianiu oczu ucinano i inne członki. Od Kozmy dowiadujemy się nawet o więźniu w Krakowie, zasadzonym na dnie głębokiej wieży, dokąd mu przez okienko u góry nieco chleba i wody podawano; zjawił mu się po trzech latach więzienia i wyprowadził go na wolność Radzim (brat Wojciecha św.) i kazał się udać do Pragi, do grobu Radzimowego, o który ów były więzień

Koźmę pytał, przyniósłszy z sobą (na ofiarę dziękczynną) wosk i nitkę srebrną, wymierzoną wedle jego postawy. Całkiem przypadkowo (w żywocie biskupa Wernera płockiego) dowiadujemy się, jak jego zabójcę spalono w płótnie napuszczonem woskiem. Wymierzano karę śmierci przez ścięcie lub powieszenie albo i ćwiartowanie, stos dla kacerzy gorzał, ale zresztą więzienie i kary pieniężne (nawet z szkodą dla sprawiedliwości) panowały.

Znikały teraz i sądy boże, *ordalia,* a do ich wytępienia przyłożył się głównie Kościół, ten sam, co się niegdyś niemi opiekował, rytuał dla nich szczególny miewał, aby poświęceniem czary oddalić, mszę osobną odprawiał, księży do tego naznaczał i opłatę zato pobierał. W najstarszym pontyfikale, który katedra krakowska jako jeden z swych benedykcjonałów już r. 1110 posiadała, mieszczą się modlitwy i egzorcyzmy przy próbie żelaza, wrzątku i wody zimnej; najobszerniejsze podano tylko przy próbie chleba i sera (dawano połykać «pół uncji» chleba i sera posądzonemu o kradzież, ale nasze źródła milczą zupełnie o podobnej praktyce, wprowadzanej przez Kościół dla ułagodzenia postępowania). Kościół oparł się przeciw pojedynkom sądowym, a od soboru Laterańskiego 1215 r. ogółem przeciw sądom bożym; jest też bardzo charakterystyczne, że gdy r. 1249 Prusowie przyjmowali prawo polskie, legat papieski sądy boże z nich wykluczał. Mowa o nich u nas przez cały wiek XIII, wychodziły od urzędu grodowego (kasztelana), książę nadawał je także klasztorom; r. 1304 po raz ostatni o nich wzmianka. Późniejsze pojedynki, jak wiadomo, wyszły z boju sądowego; słowiańskim był tylko bój kijowy; reszta ordaljów (próba żelaza i wody) przyszły z chrześcijaństwem dopiero.

Sądownictwu założył spisaniem praw Kazimierz W. najtrwalszą podstawę i już w kilkanaście lat po jego śmierci zaczęto prowadzić prawidłowe księgi sądowe, a szlachta na zjazdach coraz usilniej wymagała, aby ją sądzono wedle prawa pi-

sanego, a nie wedle widzimisię sędziego. Księgi utrzymywano we wzorowym porządku, wyłącznie po łacinie, z wielką niedogodnością dla stron i pisarzy, bo świeccy, inaczej niż duchowni, z łaciną wojowali. Akty kapitulne pisano zawsze dobrą łaciną, świeckie nieraz całkiem wedle wzoru «nieborak = *Himmelkrebs*», t. j. pisarz przelewał polskie terminy dosłownie na łacinę i można od tej łaciny boki zrywać, np. *będzie chcieć* było u niego *erit velle; iść za niego* (zamąż), *ire post eum; ipse* dla nich nie istniał, zawsze *solus* = *sam* (ale to ogólna polska wada, i u duchownych bywało nie inaczej) i t. d. Dokładnie wypisywano, zato w haniebnej ortografji, a raczej kakografji, rotę przysięgi, która przeciw językowi urzędowemu (przynajmniej na piśmie) była zawsze polska; woźny ją przepowiadał a powtarzała strona i jej świadkowie i biada im, jeśli słówko zmylili, jeśli *deviabant ante crucem*, «potykali się» (po polsku; stąd *potyczel* 'zmylona przysięga', t. j. przegranie sprawy; na Mazowszu dawniej za potyczel zdzierał jeszcze dla siebie woźny płaszcz czy kabat z przysięgającego, co dopiero w XV wieku zniesiono). Wystarczało, że przysięgający powiedział *mu* zamiast *jemu; otom ja* zamiast *oto ja; eż* zamiast *eże* (iż); *o to* zamiast *o tę*. Usprawiedliwiano to tem, że przysięga była niby sądem Bożym, zastępowała go, więc dlatego tak na nią baczono, ależ taki sam straszny formalizm panował i przy pozwach, zaprzeczano ich ważności, jeśli np. nazwę wsi napisano raz *Czulicze*, a drugi raz *Culicze*, raz *Osthresznycza* a drugi *Ostransznycza*, albo jeśli w datum brakowało słowo *Domini (anno Domini)*, albo nie dopisano *Sanctorum Innocentum*, albo że pieczęć za wysoko położono *(attingit scripturam)*. Mimo tego formalizmu zdarzało się, że adwokat *(procurator, pierca)* czytać nie umiał; raz twierdził, że w pozwie brakowało słów: *judicialiter responsurus*, ależ nie brakowało, i prosił sędziów o wybaczenie, bo czytać nie umie (Helcl nr. 4367), innym razem (nr. 4154) pytał sam sędziów, czy to ten dokument, bo czytać nie umie. I przypominają się

nam słynni autorowie (poeci) średniowieczni — analfabeci! Na Mazowszu zniesiono dopiero 1427 r. tę drobiazgowość; rota miała być tylko wtedy nieważna, jeśli opuszczono całe słowo.

Przed sądem wymagano największego spokoju i uszanowania, najlżejsze wykroczenie karano pieniężnie, chociaż sędzia mógł z łaski odpuszczać winy; czynił to stale, darował wszelkie zaległe winy, gdy przechodził na inny urząd. Więc płacono winę, że się nie stało prosto; że uderzano pięścią w stół; że nie zdjęto czapki lub płaszcza; że wchodzono w zbroi (pancerzu) albo wyjmowano nóż czy miecz; za każde obraźliwe słowo, za krytykę jakąkolwiek najlżejszą; np. że jeden «oczy pomrużywszy» spojrzał z podełba na sędziów i rzekł: bodaj wam się takiej sprawiedliwości dostało, jaką mi dajecie; innego, że wobec sądu swojemu prokuratorowi coś do ucha szepnął. Jeden chciał wygrać sprawę, bo prokurator powiedział swej klientce, co miała przysięgać, żeby za woźnym słowa powtarzała *(ecce ipsam informavit,* a tego nie wolno); Wieprzyk płaci karę, *quia docuit testem circa crucem;* inny chciał wygrać tem, że przeciwnik *avunculos* zamiast *patronos* powiedział, albo że Staszka Falibogiem nazwał. Płaciła winy strona, że powiedziała przeciwnej: mali mnie kto zbawić dziedziny, to ty; albo: zubożyłeś mnie i ubożysz mnie więcej; albo dwukrotnie powie i dwukrotnie winę zapłaci: ty nie napisałeś prawnie zawitego roku, albo: pozwałeś mnie niesłusznie przez twego chlebojedźcę. Mowa nieraz i o djable: wdowa poleca powoda razem z sądem djabłu; «daj się djabłu z przysięgą»; inny unosi się: «odpuść mi przysięgę dla Boga, a nie chcesz dla Boga, to dla djabła». Przychodziło do wyzwisk: stoisz mi *pro stercore;* łżesz jak pies, nieraz (tylko u nas pies doszedł tego wątpliwego zaszczytu, por. brechnia i t. p.); gdy się kto gwałtu wobec sądu dopuścił, wstawali sędziowie; zrywali posiedzenie, bo jeden uderzył drugiego nożem w twarz; i ksiądz jeden groził: dam ci nożem w twarz! W izbie sądowej, t. j. w mieszkaniu burgrabiego, albo i w domu pry-

watnym, nie było klepsydry, więc posyłał sąd woźnego «do mnichów» zapytać, czy już południe; południe już minęło (w Ciężkowicach wiedziano o południu, kiedy bydło szło rycząc z pastwiska); ale raz płacił ktoś winę, że szkło na stole (klepsydrę?) *perfudit.* Nie brak i zwrotów humorystycznych: znam ludzi, co mi we śnie więcej wierzą niż tobie na jawi, albo: tyś memu mężowi nie śmiał w oczy spojrzeć; «jak ty chętnie przysięgasz», a za takie słowa wina.[1]

Pozew doręczał woźny szlachcie na piśmie, więc czytamy raz: ja nie naganiam *(confundo)* twego szlachectwa, ale nie wiem, czy się ciebie listem pozywa; innych wołał woźny np. w miasteczku u słupa na rynku trzykrotnie. Stawanie przed sądem odwlekano na wszelkie sposoby, nie stawano najczęściej, będąc «w bożej kaźni» (słabym, co ksiądz w razie potrzeby poświadczał); kto się na roku bez usprawiedliwienia nie stawił, albo zastępcy (prokuratora) nie posłał, tego skazywał sąd na winę «niestane» (pełno tego po aktach) i naznaczał nowy rok;

---

[1] Przytaczam jeszcze w przypisku parę podobnych zwrotów z ówczesnej praktyki sądowej. Mazur jeden się odgrażał: nie będziesz na mię długo *gdakał;* inny: *łżesz,* by w kłodzie nie siedział; gorzej powiedział inny: in tua loquela iacet *morda* canina nr. 6225 (Łęczyckie). Karę płacili za to samo, że wiele mówili, np. Wawrzyniec de Solaydi; Jędrzej Ochal dwie winy, że był niespokojny i prosto nie stał (recte non stetit). Za najlżejsze wypominanie sędziemu płacą winę, np. za słowa: łomisz mną i zmuszasz mnie to czynić; krótko mi czynisz (jest to i w statucie); albo: dajesz pisać, co chcesz, łowisz mnie w słowach, krzywdzisz mnie; do pisarza: masz pisać wszystko czego niema; musić mi stać o gardło i wrócić w gardło. Zabawski woła: muszę go zabić, albo on mnie zabije Świadek jest «odgrożon» (grożą mu w razie, gdyby świadczył?), duchowny nie odważył się przysiąc, «bom otgrodzon»; zupełnie co innego, gdy kogoś nazwano «pogrodzeninem», por. «pogrodzanin» i iudiciarius? Raz (nr. 2511) da woźny znak aquam emittendo, czy z klepsydry? i t. d. Jeden pomylił w rocie, bo powiedział zamiast «nie *usiedlił* chycz», nie *postawił* (o *usiedlić* 'budować' zob. wyż). I to warto przypomnieć, jak się szlachcic chwalił, że o jego herbie (Starykoń) mowa w kronikach, a o twoim nię.

kto i w ostatnim (zawitym) nie stawał, przegrywał sprawę i nakazywano mu wieczne milczenie. Brano to nieraz bardzo lekko: pani prosiła o odroczenie terminu dla słabości, ależ po chwili zaczęła sama skarżyć, sąd i skargę oddalił i ów proces przegrała.

Najważniejszym środkiem dowodowym była przysięga; wygrywała strona, którą do niej dopuszczono, ale nie starczyła nigdy osobista przysięga; przysięgano zawsze razem z przyjaciółmi; liczbę stosowano wedle ważności sprawy, najczęściej sześciu do niej stawało. Obżałowany wymieniał kilkunastu, powód odrzucał, *emandabat,* tego lub owego, pisarz zapisywał tych, na których się zgodzono (była zato opłata). Parsk z Mękolina wymienił ośmnastu szlachciców, powód wybrał sześciu, ale gdy pierwszy z nich miał przysięgać, odrzucił go, że był prokuratorem w tej samej sprawie; inny musiał przysięgać, że świadek nie jest ani moim sługą, ani moim chlebojedźcą (zob. wyż.). Zamiast sześciu świadków zadowalała się strona przeciwna i dwoma. Przysięgano na cmentarzu przed osobnym krzyżem; świadek powtarzał rotę za woźnym i kładł dwa palce u stóp krzyża (raz ktoś tylko jeden palec przyłożył); potem zeznawał woźny w sądzie, że świadkowie dobrze przed krzyżem przeszli *(pertransivit ante crucem).* Świadek co przy sprawie był obecny, przysięgał: jakom przy tem był, gdy to i to; ale taki bywał jeden, dwóch; reszta świadków świadczyła o prawdziwości słów strony: jako to wiemy i t. d., ale już w piętnastym wieku podejrzywano, acz całkiem wyjątkowo, szczerość wyznania, posądzano o przekupstwo (przemycenie) lub o interesowność jaką; odmawiano przysięgi dla «pogrożenia».

Wróżda czy wróżba należała w Polsce już do przeżytku; głowę tu zawsze okupywano, ale na Mazowszu, stale zacofanem, o niej nie zapomniano i wyrobiła się tam dla poskromienia rzezi w XV wieku osobliwsza praktyka. W XIV wieku płacono za głowę szlachcica 48 kop groszy (jeśli winny nie miał

pieniędzy, tracił głowę, chyba że go «przyjaciele» wyręczyli) i odbywano pokorę samotrzynast (za głowę włodyki kop dwadzieścia i pokora), opuściwszy szaty do pasa z gołym mieczem i prosząc dla Boga o przebaczenie. W XV wieku kazano mordercy wynosić się bezzwłocznie z kraju na rok i sześć niedziel; poczem mógł wrócić do kraju i miał stanąć przed sądem, który go skazywał na zapłacenie głowy w ciągu ośmnastu tygodni — o pokorze w statucie z r. 1453 niema mowy. Zdarzało się jednak, że zabójca zamiast siebie wysyłał kogo innego zagranicę, ale to mu nie pomagało, bo przychwyconego sadzono do wieży na rok i sześć tygodni, a potem na okup skazywano; to siedzenie zagranicą czy w wieży nazywano wróżbą (na wróżbę wyjechawszy ma pełny rok i sześć niedziel cierpieć, tłumaczy Prażmowski); oskarżonemu zapewniono mir i wszelka pomsta mimo wyroku sądowego była zabroniona. W Polsce z pokorą się jeszcze w XV wieku nieraz spotykamy, obyczaj bywał rozmaity: odprawiano ją na wiecu czy roczkach albo i w kościele, liczba przyjaciół bywała rozmaita, aż do dwudziestu; wymagano i pielgrzymki na Łysiec i in. i oddania kamienia wosku do kościołów. Nie posiadamy źródeł dawnej praktyki sądowej, jak Czesi i Morawa w księdze Towaczowskiej i in., gdzie cały proceder jest jak najdokładniej opisany, kary nierównie większe, akt pokory jeszcze wiele dotkliwszy: zabójca kładzie się na grobie swej ofiary, najbliższy krewny zabitego trzyma miecz między plecyma zabójcy i mówi do niego: mam tedy twe gardło tak w mocy swej jak ty miałeś brata mego, a ten odpowiada: jestem w twej mocy, lecz proszę na Boga zachować mię przy życiu, na co ów brat: zachowujem cię przy życiu dla Pana Boga. Czeskie uchwały objaśniają też ów wyjazd czy wygnanie: starać się przez ten czas o ubłaganie pokrzywdzonych.

Już z końcem XIV wieku objawiało się pieniactwo w całej pełni; procesowano się o byle co; woźny z synem doręczał czasem czterdzieści pozwów na dzień, a urzędowanie jego by-

wało wcale urozmaicone; to musiał pozew zjeść (na szczęście pozew pisano już na papierze, od drugiej połowy XIV wieku ogólnie używanym, zastąpił on dawniejszy pergamin albo deski woskowane, na których rylcem pisano); to grożono mu obiciem: temu co przyjdzie mnie ciądzać (fantować), nogi urznę, zarzekał się szlachcic. Najniższa instancja, sędzia ziemski z kilku panami, każdą nieco zawilszą rzecz odsyłał na wielkie roki albo do sądu królewskiego; od jego wyroku odwoływano się wyżej, ale przegrawszy sprawę płacono sędziemu *koc;* odwoływano się do dawniej zapadłego wyroku po *wsteczy;* sprawy nie prowadzono tylko osobiście, ale i przez *piercę,* prokuratora, szczególniej kobiet dla «krechkości płci» nie dopuszczano do sądu; skargi wytaczały przez męża czy prokuratora; zlecano mu sprawy przed sądem, gdzie pełnomocnictwo zapisywano albo dla wszystkich spraw albo dla specjalnej; była prokuratura instytucją prawa kanonicznego, duchowni (klasztory!) wymagały zastępstwa, a to przeszło w wieku XIV do prawa cywilnego. Sądy odprawiano w największym spokoju, nikt niewezwany nie śmiał wejść do izby; winę płacił, ktoby się tego ważył. Woźny *(ministerialis)* był wcale ważną osobą, on poświadczał doręczenie pozwu, on odbierał przysięgę świadków. Procesy ciągnęły się długo przez wszelakie odwłoki; jeśli szlachcic miał większy proces, to samo uwalniało go od stawienia się na terminie o rzecz mniejszą (odwłoka rozumiała się sama przez się); w czasie pospolitego ruszenia, pogotowia wojennego, albo w byle sprawie urzędowej (poselstwie i t. p.) odwlekały się terminy.

Były i osobliwsze obyczaje sądowe. Pokrzywdzonemu, póki go nie odszkodowano, przysługiwało prawo publicznego bezczeszczenia krzywdziciela ostatniemi wyzwiskami, a ten musiał to milczkiem przyjmować. Dalej obowiązywano się do załogi, t. j. gdy nie dotrzymano np. terminu wypłaty długu, wtedy oddawano się do dobrowolnego niby aresztu; szlachic albo jego rękojmia wjeżdżał do miasta, do jakiejś gospody i zarzekał się

pod słowem uczciwości, że nie wyjedzie z miasta, póki nie wypłaci czy nie wypłacą za niego długu. Przeciw pieniactwu świadczą natomiast liczne bardzo pojednania: strony obowiązują się sądownie, że zdadzą się na wyrok jednaczy (z jakimś *obermanem* na czele) i ktoby się temu wyrokowi nie poddał, albo nie czekając go napastował przeciwnika, miał tracić zakład, *zawiat (vadium),* zwykle dosyć znaczny; sąd warował sobie pod karą, żeby nie uciekano się do jednania, jeśli sprawę już przed kratki sądowe wytoczono.

Pomijamy sądy miejskie, jako niemieckie; czasem jeden i drugi zwyczaj wyraźnie jako niemiecki poświadczają, np. oddawanie nieruchomości *sub ramo,* pod gałęzią (rózgą; przypomina to poniekąd, jakto r. 1038 Giedczanie polscy przed Brzetysławem czeskim na znak poddania z złotą rózgą się stawili).

Przed sądem zapowiadano drogi; właściciel pola czy łąki czy gaju warował sobie, że nie wolno (prócz stałej, dawnej drogi) przez nie objeżdżać czy przejeżdżać i przysługiwało mu potem prawo *ciądzania,* fantowania, ktoby na zapowiedzenie nie zważał; ciądzano też dobytek pasący się na cudzej łące czy polu, na *spasi,* albo siekierę temu, co w cudzej zapuście rąbał; niejeden opierał się gwałtem ciądzaniu albo odbijał gwałtem ciądzę; bydło przychwycone odstawiano po kilku dniach do grodu. Spory o granice zaprzątały sądy; dla ich załagodzenia wysyłał sąd woźnego-komornika; przywoływano oba *opola* stron prawujących się; schodziły się, stawały u miedzy i spory zaczynały się nieraz od tego, że żadne opole swojej miedzy opuszczać nie chciało, wołało na przeciwne, żeby do niego przeszło; rozchodzono się nieraz na tem albo przychodziło do bójki; na te *ujazdy* albo *objazdy* wychodzono nieraz z bronią, z łukami i oszczepami i akta mieszczą nieraz relacje woźnych o dramatycznych przy tem zajściach; obchodząc miedze szło się i potokiem, zzuwszy buty, a znaczono granice ciosnami na drzewach lub kopcami (z wetkniętym kamieniem z ludzką stopą) na polu;

miejsca znaczne zwały się *uroczyskami*, t. j. miejscami *uroków*, umówionych, urzeczonych znaków (nic mitologicznego nie było pierwotnie w tej nazwie), a było uroczysk najwięcej naturalnie po lasach, gdzie trudniej było o rozgraniczenie; rozstrzygali starcy, świadomi okolicy. Wedle zapiski nr. 3105 (u Lekszyckiego pod r. 1399) przybywają opolnicy z tarczami i łukami, ciągną woźnego za rękaw i wołają nań: idź za opolim abo będziesz zabit; jeden z opolników pokazał mu strzałę w szczycie, ale sam chyba umyślnie ją wstrzelił.

Naruszenie własności karano surowiej niż zabójstwo; od tego wykupywano się pieniądzmi; za powtórzoną kradzież wieszano, nieraz i bez lica, z licem zawsze; ukradł chłop sukno, schwycono go na gorącym uczynku, zawieszono mu sukno na szyi i przywiedziono przed sędziego; chłop się tłumaczył, że to żartem zrobił, na to sędzia: takich żartów się nie robi i kazał go powiesić. Z łaski urzynano złodziejowi tylko ucho, więc jeden woła: podaj mi noża, abym mu ucho urznął, nie będzie mógł mnie pozywać ani ja mu przed sądem odpowiadać, boć niema ucha. Ktoś uciął (r. 1448 w Płockiem) wikaremu ucho, ale że nie dla złodziejstwa, więc winien siedm kóp halerzowych mu zapłacić. Podpalaczy palono żywcem (wobec szkód pożarowych strasznych śród domostw drewnianych;), ale też często odgrażano się przeciwnikowi, że się go podpali: zawieszano w tym celu głownię na jego domie *(ticionem suspendit,* nieraz).

Sądów doraźnych nie było, chyba w owych czterech głównych winach, co do których starosta miał prawo takiego sądu, t. j. w mężobójstwie jawnem, gwałcie dokonanym na kobiecie, pożodze i łupieniu wsi. Pomijamy inne szczegóły sądownictwa, które statuta wymieniają albo i znoszą, np. t. zw. *krwawe* (woźny po oglądnięciu zabitego, zabierał dla siebie jego ubiór), lecz wypada wymienić trzy stosunki-terminy prawne, uwzględnione chyba w najdawniejszych prawach obyczajowych, lecz nam dopiero wedle statutów i zapisek sądowych w praktyce

jawnych. I tak *zachodźtwo:* gdy kogo obwiniono o nieprawne posiadanie rzeczy (kradzionej), albo o nieprawny nabytek posiadłości (do której, jeśli była rodową, rodowcy zawsze prawo rościli, skoro bez ich przyzwolenia ją sprzedano), pomówiony odwoływał się do tego, od którego rzecz czy posiadłość nabył; ten go przed powodem i sądem zastępował, *zachodził,* był jego *zachodźcą;* więc w aktach kupna, zeznawanego przed sądem, stale obowiązywał się sprzedawca, że kupującego od wszelkiego nagabywania przez kogokolwiek zastąpi. Druga rzecz to *dawność* ziemska, przedawnienie; kto bez czyjego nagabywania trzy lata i trzy miesiące posiadłość spokojnie wydzierżał, stawał się jej prawnym właścicielem na zawsze, wyjąwszy dzieci małoletnie, które przyszedłszy do lat mogły się bez względu na ową dawność o swą własność upominać; przerywały też dawność bezkrólewia, wyprawy wojenne i t. d.; dawność była rozmaita, wedle rzeczy, krótsza lub dłuższa. Trzeci termin, to prastary okrzyk *nastojcie!* (t. j. gońcie, ścigajcie), jakim przestępcę na gorącym uczynku ścigano, *nastojcie nań* (cum ardenti vestigio *godło);* w prawie miejskiem *ceter nań* wołano po ulicach i każdy na to zbiegał; to *nastojcie* (tak samo w czeskiem, *nastojte*) odmieniono dla nieporozumienia w *niestojcie,* a od XVI wieku w okrzyknik *niestocie, niestety.*

## ŻYCIE RODZINNE

Życie rodzinne pozbyło się dawnej szarej i cichej jednostajności; teraz żyło się inaczej po dworkach szlacheckich, po dworach wielkopańskich i królewskich, po domach miejskich — wiejskie jeszcze najbardziej dawny tryb przypominały. Wszędzie podniosło się stanowisko kobiety; już ona dziedziczką dóbr ojcowych być może, już ją pytają, czy zgadza się z wyborem małżonka, chociaż to zawsze jeszcze bardziej na formalność zakrawało. Ślub kościelny wszedł już w powszechny zwyczaj, a duchowieństwo przeprowadziło nawet wymagane trzykrotne za-

powiedzi, chociaż szlachta zawarowała sobie znaczną ulgę. W wieku XIV o zapowiedziach nieco głucho, ale przy końcu wieku, w latach 1398—1406, żądał Kościół energicznie wykonywania odnośnych uchwał soboru Lateraneńskiego z r. 1215. Na zjeździe piotrkowskim r. 1406 szlachta zaprotestowała: nowotne i nieskończone wymysły wzniecają mordy i zgorszenie jak i ten, żeby śluby zapowiadać i na dwa tygodnie odkładać, z jakiej odwłoki kłótnie i zwady powstają, więc dla ludzi znanych księdzu i urodzonych w jego parafji one niepotrzebne, chyba dla obcych i nieznanych. I Kościół istotnie ustąpił; śluby szlacheckie mogły się odbywać i bez zapowiedzi wedle dawnego trybu, który od zmówin (zaręczyn) natychmiast do zdawin, t. j. do ślubu przystępował, chociaż niemal wiek cały o to ustępstwo się targowano. Kościół rozwiązywał śluby, nieważne dla przeszkód kanonicznych, skoro się objawiły, np. śluby między kumami, dalej śluby wymuszone, a zmuszano do nich i mężczyzn, nietylko kobiety (chłopa raz powrozem u szyi do ślubu zaciągnięto); dalej ogłaszał nieważność ślubów: wobec impotencji małżowej, ale termin wyroku nieraz długo odwlekał (nawet i na trzy lata, licząc że się stosunki poprawią — szczegóły bywały bardzo drastyczne); wobec bigamji, mąż musiał wrócić do pierwszej żony, a spotykały go dotkliwe przytem kary kościelne: jeden chłop musiał zato od świąt wielkanocnych do zielonych świątek przed każdą procesją kroczyć ze spuszczonemi do pasa sukmaną i koszulą i kłaść się potem krzyżem na progu kościelnym, aby wchodzący i wychodzący po nim deptali. Gromił Kościół ostro tajne małżeństwa, t. j. bez zapowiedzi publicznych, do czego sobie niektórzy księża wobec ludzi obcych prawo rościli, albo śluby, jakich swat dokonywał, używając formułki kościelnej. Rola swata była zawsze jeszcze znacząca: raz prosił młodzieniec matkę (wdowę) o rękę jej córki, ona się chętnie zgadzała, ale wymagała, żeby wpierw swata przysłał wedle zwyczaju.

Wyjątki od zgodnego pożycia małżeństwa były nie arcyrzadkie; żony uciekały się do sądu kościelnego przeciw zbytniemu udręczaniu; Kościół zabraniał mężom kaleczenia żony, ale wyraźnie zezwalał na chłostę w razie nieposłuszeństwa czy uporu (cóż za dziw, kiedy panienka w 14 czy 15 roku życia zamąż wychodziła), ale tylko rózgą; zobowiązywał męża poręką przyjaciół, że na zdrowie żony ani sam ani przez nasłanych spiskować nie będzie. Pan Adam z Boguszyc musiał ślubować, że żonę będzie miał w poszanowaniu, że nie będzie jej głodem morzyć ani jej do pasienia bydła lub do innej niedozwolonej czy niehonorowej roboty zmuszać. R. 1422 ślubuje jeden, że nie będzie żony męczyć ani na twarzy oszpecać, tylko rózgi użyje, gdy ona coś zbroi; ona natomiast ślubuje, że ani sama ani przez przyjaciół na jego życie godzić nie będzie. W stanach niższych bywało gorzej; nic bardziej charakterystycznego niż skarga kobiety przed sądem: on mnie tak bije, jakbym była jego żoną. «Wieszczyce» umieją wadzić, «ostudzać» małżonków, ale i bez nich dochodziło czasem do tego, że sobie na życie godzono. Krawiec Cieslic w Włocławku wymagał r. 1497 rozwodu od swej Hanki, która go truła: najpierw podała mu w napoju sześć roztartych pająków (środek częściej wtedy używany), potem muchomory i jakieś inne bdły, co on zwrócił; potem krwi z upławów; ona już rady sobie znaleźć nie może i z wężami spróbuje. Oskarżona odpowiedziała najspokojniej: on mi na życie nastaje, dlaczegóż nie miałabym na jego godzić? Nierównie rzadsze są skargi o cudzołostwo, np. r. 1425 (w Włocławskiem) udaje mąż podejrzliwy, że wyjeżdża do rodziców; wraca pokryjomu i strzeże, aż mu doniesiono, że się ktoś zakradł do pani; on zamyka dom łańcuchem, woła na gwałt, ale kochanek oknem wyskoczył. Częściej skarżyła brzemienna o niedotrzymanie przyrzeczenia małżeństwa; raz nie mogą się pobrać, bo okazało się pokrewieństwo duchowne (kumostwo), więc on musi ją wyposażyć, tak albo jeszcze lepiej niż rodzice i dziecko wychować;

czasem z podobnego związku on chłopca, ona dziewczynę wychować winna; on wypłaca posag zwykły, sześćdziesiąt kop groszy; zwykłe porubstwo opłaca się u szlachty piętnastu kopami. Dziewczyna brzemienna winna panu wsi krowę i cielę wartości półtora kopy groszy, ale bywają i wyższe kary. Raz wymagają obie strony rozwodu, bo on się z nią tylko ożenił, aby ją ocalić od utopienia albo zamorzenia głodem. Znęcają się nad kobietą, obiwszy ją sypią na pręgi soli i popiołu i zlewają wodą. Ale podobne zapiski gubią się w mnóstwie skarg dziesięcinnych i procesów wytaczanych księżom o konkubinat. Najoryginalniejsza skarga młodego chłopca, że go starsza natręctwem, prośbami i obietnicami «przedziewczyła»; wymaga dziesięć grzywien za straconą niewinność. Końca spraw nie można się często doczytać, bo ks. oficjał odkładał wyrok, albo naznaczał dalsze przesłuchiwania, na nowy termin i na tem się rzecz w naszych wydawnictwach urywa. Ale — powtarzam — wyjątki, sprosności, należą do najrzadszych; obyczaje były jeszcze dziwnej prostoty.

## ŻYCIE POTOCZNE

Posagi jeszcze nie znaczne; 60 kóp groszy uchodzi za zwykłą sumę; robią jednemu zarzut: tyś wydał Katarzynę za chłopa, a ona miała sto grzywien posagu. Nawet za panną wysokiego rodu, np. Tęczyńską, dają 200 grzywien posagu (wyprawa swoją drogą); tyleż daje mąż wiana, ale z osobliwszej miłości czasem podwoi sumę. Panna, która bez woli lub przeciw woli braci, wuja, wychodzi zamąż, traci cały posag; w prawie miejskiem tego, co pobrał pannę przeciw woli krewnych, albo pannę z jej zezwoleniem uprowadził, wyświecano z miasta, ona zaś przez lat dziesięć niczego dziedziczyć nie mogła. Nieraz zobowiązała się matka, że (do trzech lat) nie wyda córki bez przyzwolenia wuja. Raz wydali wujowie siostrzenicę przeciw jej i jej matki woli zamąż; w procesie przed konsystorzem (płockim) prawią: nie taki mały świat jest, jak się w oknie wydaje.

Nabożeństwo znaczyło w tem życiu nadzwyczaj wiele; kościoły odwiedzano licznie; kolatorowie mieli w kościele swoje ławki, o nie się nieraz i procesowali, bo jeden kolator wyrzucił ławkę drugiemu, musiał ją znowu wstawić; aby ujść kłótni, winna była pani do swej ławeczki za plecami (nie inaczej) drugiej przechodzić. Kościoły i cmentarze były miejscami wiecznego odpoczynku; kolatorów grzebano w kościele samym, innych na cmentarzu; koszta pogrzebowe były znaczne (w mieście chowali księża ławników za darmo), a wystawa (procesje żaków, zakonów) wielka; katafalki urządzano wspaniałe, z niesłychanym zresztą zbytkiem; mnóstwo sukna i adamaszków na ustrojenie katafalku zużywano; ta ozdoba należała się kościołowi, kapitule i plebanowi, aż do klechy-kościelnego i toczył pleban spór o swoją *porcio canonica*, o podział tych «spoliów» (niby łupów, bo je i gwałtem rozdzierało pospólstwo), przed konsystorzem. Pierwotnie nie stawiano nagrobków, wpuszczano tylko płyty w posadzkę czy ziemię; dopiero później powstał zwyczaj wznoszenia pomników, najpierw zapewne u grobów królewskich.

Nie rzadkie były spory między duchownymi a zakonnikami. Zakonnicy chlubili się przed laikami: my was nie wyklinamy, my was tylko błogosławimy; żal nam was, że was niesłusznie wyklęto; a gdybyście nas nie mieli, bylibyście jak bydło, bo mnisi nie zważali na interdykt; oni ubiegali i wikarych przy kolędowaniu i przy śpiewaniu wigilji. Ksiądz chodził po domach z relikwjami po kolędzie, raz uderzył niemi w twarz szlachcica, podając mu je do ucałowania. Szlachta wymagała, aby ksiądz jej w domu wielkanocne baby i szołdry święcił, ale tylko kolatorowie mieli do tego prawo; inny musiał sam z niemi na cmentarzu śród innych stawać. W wielką sobotę święcił ksiądz nowy ogień; tak się wszyscy cisnęli, żeby coś dla siebie unieść, że przyszło aż do skaleczenia szlachcica, gdy ksiądz sobie ożogiem rum czynił; zioła święcono na Wniebowzięcie; świece na Gromniczną; wina i piwa na św. Jan. Na potrzeby

kościelne (budowę i inne) zbierano dary na tablicę; chodzili z nią chłopi, pokolei, po dwóch przez dwa tygodnie. To skarżą przed konsystorzem na księdza, że wymaga opłat niesłusznych, np. grosza od wywodu położnicy, chociaż otrzymał już wiktuały zato. Tak wkraczał Kościół coraz w życie rodzinne, które się z kościelnem plątało, szczególnie przy obchodach pogrzebowych i stypach (wyraz pojawia się po raz pierwszy r. 1437): wdowa nie chce płacić szkolarzom za śpiew przy wynoszeniu zwłok jej męża, bo oni nie śpiewali, udawali tylko; dbano, aby śpiew przy mszy był uroczysty i ponieważ szkolarze w święta i niedziele nonę niedbale odśpiewywali, ustalił kanonik gnieźnieński r. 1480 zapisem dwa grosze na taki dzień dla nich, albo sześć porcji chleba i mięsa (lub ryby), albo dwanaście jaj i warzywo jakie i krużkę piwa.

Ceny były niskie, lecz książki nadzwyczaj drogie; za biblję żądano czterdzieści dukatów; inny ma sprzedać polski tekst *(liber sapientalis? cum glossis)* za dziesięć dukatów, a książka nie była chyba obszerna. Są też spory przed konsystorzem o niedotrzymanie umowy co do odpisywania; zgodzono się np. o przepis biblji za bróg zboża i dwadzieścia groszy, ale brakowało kilka poszytów. Nauka była nierównie tańsza, za półtorej grzywny miał nauczyciel wprowadzić ucznia w całą *disciplinam scolasticam*, ale też skutki bywały marne: gdy mu dano na egzaminie (na księdza) odczytać lekcję z Apostolskich Dziejów, on ani jej czytać ani wyłożyć nie umiał.

## WPŁYWY OBCE

Życie publiczne (polityczne), czy rodzinne (domowe), społeczne czy indywidualne, nie obeszło się bez znacznych wpływów obcych. Daleka Francja straciła wprawdzie swój urok, tytuł *Parisius* dawał już tylko kwalifikacje naukowe, ale pierwotna jej wszechwładza w XIV i XV wieku, szczególnie za wojen angielskich, zasuwała się powoli w cień i tylko jej teo-

logja błyskała pierwszorzędnemi imionami (Gerson i in.). Powoli wstępowali Włosi, mimo rozdarcia kraju między swoich i obcych, na jej miejsce, «humanizm» włoski rugował «gotyk» francuski ze wszystkich działów myśli i sztuki, literatury i polityki, handlu nawet i przemysłu. Już nawiązywały się stałe stosunki między Polską a Włochami; dawniej ograniczały się do kościelnych, rzymskich, do annat i prowizji, do legatów rzymskich i posłów polskich, teraz głównie handel, obroty pieniężne, zarząd żup coraz liczniejszych witały Włochów. Trafiał już i humanista włoski do Polski, przelotnie, jak Filelfo, na stałe jak Kallimach (zob. niż.), ale głównie kupcy i bankierzy włoscy osiadali w Krakowie i Lwowie, Tedaldi i in. Nierównie liczniej i w innych celach nawiedzali Polacy «Ausonię», nietylko *Romipetae* dla osiągania wszelakich beneficjów, dla popierania spraw w apelacji, dla składania obediencji, dla odwiedzania *limina apostolorum*, jak to jeszcze w XIV wieku do Rzymu czy do Awinjonu obowiązywało; teraz w XV Padwa i Bononja jeszcze liczniejszych niż dawniej ściągały adeptów, teraz jeszcze dłużej i częściej uczyli się tu i wykładali Polacy i powiew nowego ducha, choćby przez Węgry, docierał do «Sarmacji», krzepiąc na razie luźne umysły, podatne dla nowizny. O masowym wpływie włoskim w sztuce i przemyśle, w stroju i obyczaju, po dworach i kancelarjach jeszcze i mowy nie było; jeszcze nie tajała lodowa skorupa średniowieczna pod promieniami południowego słońca, ale już zapowiadał się z poza Alp brzask nadchodzącego dnia.

Nierównie silniejszy był wpływ niemiecki, bijący bezpośrednio z dwu ścian, od Prus, Torunia, Chełmna na Kujawy, od Śląska na Wielką i Małą Polskę. Prusy były już niemieckie, Śląsk dolny i średni niemczał z dnia na dzień. I jeszcze docierał ksiądz polski, np. Jakób z Kalisza, przy końcu XIV wieku, np. w Żeganiu, do wsi i domostw polskich, nosząc im słowo Boże w narodowym języku; jeszcze nie zrywał biskup wroc-

ławski związków z archidiecezją; jeszcze pisano po rękopisach i drukowano w statutach synodalnych wrocławskich (1475 r.; rękopisy wcześniejsze) modlitwy codzienne polskie (prawda, że z silną przymieszką czeską), ale już cofnął się żywioł polski na Śląsk górny, nie nęcący obcych przybyszów. Wrocław był już całkiem niemieckiem miastem i znosił się z podobnym Krakowem, gdy na Poznań i Frankfurt nadodrzański oddziaływał. Mówiąc o miastach, ich rządach i ustroju, podnosiliśmy wpływ ich olbrzymi, jak to one stworzyły żywioł i życie miejskie, ich rady i ławy, cechy i handle, mowę i obyczaje, jak przedostawały się nawet do wsi polskiej porządki i słownictwo niemieckie, takie *wardęga, gasa, tadynki* (Theiding, proces), *foldrowanie, gwara* (Gewähr), *cło, wet* (Wette), *mordy* i *łotry, opmisy* i *gwarki, wójty* i *sołtysi, olbory* (Urbäre, czynsze), gęste szeregi nazw cechowych, majstrów, knapów i ich wyrobów, *ludwisarzy, rymarzy, kuśnierzy, zegarów, płatnerzy, andfosów, krygów, puńczoch,* aż do *tancmantlików, koców* i *kiecek, fartuchów* i *słojerzy, kołnierzy* i *bryżów* i t. d. Bywały to albo rzeczy nowe, które z Niemcami przybywały, albo co częściej, niemiecki wyraz rugował niepotrzebnie dawny, dobry polski, np. *dyszel* oje czy ciągadło, *kielnia* dawną *korzkiew, rachować* dawne *czyść* czy liczyć, *lada* skrzynię, *handfos* nalewkę i t. d. *Ceglarzy strychują* w *żumpiach (rząpiach, Sumpf)* dla *budynków, wykuszów* i *lamusów; balwierze* w *rynku gnarują* się i tak możnaby jeszcze liczne zdania z germanizmami dawnemi stroić, z których niejeden znowu w niepamięci ugrzązł. Nie od szlachty ani od chłopów wychodziła ta niemczyzna, szerzyła się od miasta i cechów, głównie też materjalnych rzeczy się tyczyła, wyjątkowo chyba i innych, np. *szanować.* Pomijamy całe działy nieco późniejsze, np. *flisów* (niegdyś *włóczków)* z ich *tratwami* (dawniej *traftami)* i całą *żeglugę,* boć i całe słownictwo morskie z niemieckiego przejęte.

Nie ograniczały się jednak bynajmniej wpływy niemieckie

do miast i cechów i ich słownictwa; sięgały też głęboko w obyczajność ludową i już wyżej je wykazywaliśmy w obrzędach jak dyngus, śmigus, ciągnienie kloca, przy weselach ruta (wianek ruciany, później mirtowy), picie z trzewika panien i t. p.; albo kary wszelakie jak ciągnienie kota przez wodę i rzezanie się w koszu nad wodą, o czem jeszcze później mowa będzie. Podejrzywamy i zwyczaj *litkupu*, dziś tylko ludowy, o obce pochodzenie, nietylko z powodu samej nazwy *(Litkauf)*, próżno bowiem szukać dla niego nazwy w Słowiańszczyźnie. Litkup (od nazwy moszczu). polegał na tem, że po *dobiciu* targu (nie przenośnia to, lecz bicie wzajemne w dłonie a donośne) zapijali go sprzedawca, nabywca, machlerzy, świadkowie, w gospodzie i ten spólny napitek był urzędowem niby poświadczeniem targu, którego już nie wolno było wzruszać. W zwyczajowem prawie polskiem najdawniejszem pił sprzedający nieruchomość «wodę wyrzeczenia» *(abrenuntiationis)*, nie wiadomo, w jakiem właściwie znaczeniu-symbolu; litkup uważają jednak jako ślad ofiary składanej niegdyś bogom na potwierdzenie umowy (?). Gdy litkup za warstwy miejskie i wiejskie pierwotnie nie wychodził, przejmowała szlachta i swą nazwę i wszelakie zwyczaje rycerskie, klejnoty i herby, turnieje i t. d. od tych Niemców, których odwiedzała, a raczej i od tych, którzy się śród niej osiedlali. Np. przysięgę na słońce, obrzęd u nas stosowany rzadko, i to wyłącznie śród rycerstwa o sprawy posiadłości ziemskich, np. o granice; najobszerniejsze jego opisy podają znowu czeskie księgi prawne; przysięgający wstępowali boso do wykopanego dołu i twarzą zwróceni ku słońcu składali przysięgę; zwyczaj to niemiecki, praktykowany śród szlachty np. nadreńskiej, który może dopiero przez Czechy i do nas w XV wieku zawitał, ale w XVI znowu zaginął. Również niemieckim (specjalnie saskim) był obyczaj dobywania szabel z pochew do połowy przy mszy niedzielnej, przy odśpiewywaniu słów ewangelicznych, a wkładania ich napowrót, gdy żak *Chwała Tobie*

*Panie!* zanucił. Długosz zanotował mniemany rok wprowadzenia tego obrzędu przez Mieszkę I (r. 979!) i żałował, że zwyczaj ten, oznaka przywiązania do wiary i gotowości do jej obrony, poszedł za jego czasów w zaniedbanie, ależ to rzecz obca, nie polska.

Lecz wszelkie obce wpływy przewyższał czeski, trwałością zarówno (od r. 966) jak i napięciem, bo obejmował wszystko, od Kościoła poprzez urzędy i mińcę aż do literatury, pisma i szkoły (praskiej!). Mieliśmy coraz sposobność wykazywania tych wpływów i wzorów, tak jaskrawych za Łokietka i Kazimierza Wielkiego, który nawet czeską nazwę podatku, *bernia,* zachował, augustjanów wedle wzoru praskiego do Krakowa sprowadził, kościół św. Katarzynie, patronce Karola Luksemburczyka, wystawił; co Praga wtedy i w następnych dziesięcioleciach dla Krakowa i Polski znaczyła, przewyższało wpływy włoskie i niemieckie. Niżej, przy szkole i literaturze, obszerniej o tem rozprawiać będziemy, tu zaznaczymy tylko, że najwymowniejsze tych wpływów świadectwo znowu językowi zawdzięczamy, obfitującemu we wszelakie czechizmy. Wobec ścisłego obu języków pokrewieństwa trudno nieraz nawet rozstrzygnąć, czy zgoda z czeszczyzną polega na przejęciu pożyczek, czy też to rzecz rodzima; dalej, czy pożyczka niemiecka przyszła do nas wprost od Niemców, czy nie raczej przez pośrednictwo czeskie, np. *szlachtę, herb, łan, żegnać, dziękować* i in. tak dostaliśmy. Taka np. *sprawiedliwość,* od *prawa* daleko się wywodząca, może czeska, nie polska. Jak w XIV wieku szkoła, tak w XV wojsko o czeskie się wzory oparło. Ale z końcem XV wieku ten dotąd niemal namacalny wpływ zaczyna przymierać; nie wzmogli go nawet Jagiellonowie na tronie czeskim; odzywa się on jeszcze tu i owdzie w literaturze, w stosunkach towarzyskich i politycznych, ale Praga odsunęła się od Krakowa, niema więcej tej ożywionej wymiany, tak znaczącej w wieku XIV szczególnie, gdy Jagiełło benedyktynów z Emausu praskiego sprowadzał,

a Jadwiga kolegjum polskolitewskie w Pradze zakładała. Był to wpływ dobroczynny, nie mieścił w sobie nic niebezpiecznego, nie zagrażał nigdy narodowości ani literaturze nawet, która z gotowych wzorów czeskich w obu wiekach się zasilała; ułatwiał pracę. W następnym wieku miał się stosunek odwrócić, Czesi będą czerpali z literatury polskiej, obfitszej i różnorodniejszej. Stosunki polityczne bywały we wczesnem średniowieczu i jeszcze za Kazimierza Wielkiego nieraz naprężone, nienawistne nawet, lecz po r. 1350 uspokoiły się na zawsze i można śmiało o pobratymstwie narodowem mówić; odczuwano to szczególnie żywo po stronie czeskiej.

Wpływy ruskie i węgierskie jeszcze nie zaważały; i łacina dostępu do mas szerokich jeszcze nie miała; chociaż już pierwsze słowa łacińskie (t. j. bez obcego pośrednictwa) w język się wsączały, duchowieństwo z swoją obowiązującą łaciną drogę im torowało. Zato literatura w kraju na łacińskiej się wzorowała, bo szkoła innej nie znała, na średniowiecznej najpierw, a później i na klasycznej, zob. niżej.

## BIBLJOGRAFJA

Oprócz dzieł wymienionych wyżej, liczne rozprawy w *Roczniku Krakowskim* (I—XXII); J. Ptaśnik, *Kultura wieków średnich* I, Warszawa 1923; tegoż, *Kultura włoska wieków średnich w Polsce,* Warszawa 1922; St. Kutrzeba, *Handel Krakowa w wiekach średnich* (Rozprawy Akad. tom. 44), *Handel Polski ze Wschodem w wiekach średnich,* Kraków 1903; Kutrzeba, *Finanse Krakowa w wiekach średnich,* Rocznik Krakowski III. Charewiczowa, *Handel średniowiecznego Lwowa,* Lwów 1925. Józ. Rafacz, *Dawny proces polski,* Warszawa 1925. Tad. Korzon, *Dzieje wojen i wojskowości w Polsce,* 3 tomy, Lwów-Warszawa 1923. F. Piekosiński, *Rycerstwo polskie wieków średnich,* 3 tomy, Kraków 1897—1901. J. Ptaśnik, *Monumenta Poloniae Vaticana,* dwa tomy, Kraków 1903 i 1913 (od r. 1207—1374); tegoż studja o *Denarze św. Piotra* i o *Kolektorach kamery apostolskiej* w Rozprawach Akadem. histor. 50 i 51, Kraków 1907 i 1908.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

# SZKOLNICTWO

Szkoły niższe. — Uniwersytety. — Uniwersytet Jagielloński. — Bibljografja.

## SZKOŁY NIŻSZE

W ciągu XIV wieku mogło się zdawać, że na razie nie było odmiany. Tesame szkoły katedralne, kolegjackie, klasztorne i parafjalne służyły temu samemu celowi, kształceniu duchownych, tym samym sposobem, sieczeniem dzieci i uczeniem łaciny z dawnej prozy Donata i nowszych wierszy Aleksandra de villa Dei («Aleksander ufrasował żaki», śpiewał o nim J. Kochanowski). Gdy jednak katedralne, kolegjackie i klasztorne szkoły się nie mnożyły, przybywało parafjalnych niemal co roku. Niebawem nie było miasta i miasteczka bez szkoły lub szkółki, a wkońcu i wiejskie parafje bez nich nie zawsze się obywały; po miastach zakładali mieszczanie obok dawnej szkoły katedralnej nową parafjalną miejską, w Krakowie było ich ostatecznie około dziesięciu, w Wrocławiu pięć. I już w XIV wieku zaczynały się spory między temi szkołami: o porządek w procesjach, albo o prawo mianowania nauczyciela (rektora). I co do jakości nauki rosły wymagania: parafjalne szkoły jako najniższe, początkowe, miały uczyć czytania i pisania, rachunków, śpiewu kościelnego, bo chłopców wciągano jak najrychlej do służby kościelnej, a o wystawność służby Bożej dbano najwięcej. Klasztorne ograniczały się coraz bardziej do obuczania własnych nowicjuszów. Najwyżej stawała szkoła katedralna, która początków nieraz wcale nie udzielała, zato utrzymywała teologa (czego już sobór Lateraneński z r. 1215 wyraźnie wymagał), uczącego kleryków dogmatów i obrzędów, a wkońcu, w takiej szkole katedralnej gnieźnieńskiej czy po-

znańskiej obok lektora teologji stawał i lektor dekretów (prawa kanonicznego). Ograniczania szkółek parafjalnych do początków, do *trivium*, nieraz mimo zakazów nie przestrzegano; sięgano do *quadrivium*, i tak np. akt urządzenia szkoły św. Piotra w Legnicy z r. 1309 zapowiadał, że w niej będzie się wykładać «księgi gramatyki, logiki, nauk przyrodniczych i wszelkie inne, dostępne zrozumieniu słuchaczów». Program szkolny zależał więc od uzdolnienia nauczyciela, a coraz częściej miewał on pomocnika, nietylko kantora, uczącego chłopców śpiewu, lecz «lokata», który na jego miejscu początków uczył, a czasem i kilku: personal szkolny urastał aż do pięciu uczących. Powoli zacierała się wyłączna dotąd cecha szkoły jako seminarjum duchownego. Przedewszystkiem w miastach. Kupiec i rzemieślnik oddawał syna do szkoły niekoniecznie dla służby Bożej, nie kierował go na duchownego, lecz wymagał, by dla handlu czy rzemiosła wyuczył się trywium, początków, i odbierał go ze szkoły dla celów świeckich; zarząd miejski wymagał również pisarzy, a pisarz miejski, nie kleryk bywał często rektorem szkoły i procesowali się proboszcz i rada miejska, kto ma prawo naznaczania rektora; wyższe instancje (biskup) przyznawały je jeszcze stale proboszczowi, który tylko miał zawiadamiać radę, że obrał godnego rektora, że go odmieni, gdy będą słuszne po temu przyczyny. Rektor bowiem służył wyłącznie za kontraktem, stałych posad nie było, każdej chwili mógł mu proboszcz-pleban służbę wymówić.

Liche też było jego opatrzenie; najlepsze w szkołach miejskich, gdzie szło od rodziców skromne czesne w groszach i naturaljach (świece; opał; kury i inna prowizja). Najlepiej opłacała się jemu służba kościelna, śpiewał z żakami w chórze, w procesjach, przy pogrzebach (raz wdowa nie zapłaciła umówionej ceny, bo żacy szli wprawdzie, lecz milczeli; to znowu legował ksiądz osobną kwotę, żeby żacy chętniej śpiewali), gdzie także część sukna-obicia katafalkowego jemu się dostawała.

Gorzej było w szkółce wiejskiej, gdzie klecha i uczył i dzwonił i ministrował, nietylko w zakrystji, ale i w kuchni i stodole. Więc gdy bogato wyposażony kanonik-scholastyk (piastujący w kapitułach różne miejsca) dozorował tylko, nie uczył sam, albo i wcale o szkołę nie dbał, mistrz i lokat trwali przy szkole z konieczności, rzucając ją, byle się co lepszego trafiło. Nie wymagano też od nich wyższej kwalifikacji; byle łaciną gębę pomazał, mógł już uczyć; nie egzaminował go ostrzej pleban, bo i sam nie wysokiej bywał nauki; nalegały też synody prowincjalne (np. za Mikołaja Trąby w r. 1420), żeby ustanawiano sumiennych egzaminatorów, coby się przekonywali, czy kandydat na urząd duszpasterski posiada odpowiednią wiedzę; zachodziły wypadki, że wikary niczego nie umiał, ani mszy odprawiać, ani Pisma św. rozumiał. Synod diecezji krakowskiej z r. 1408 stwierdził, że wobec wielkiej liczby szkółek po miasteczkach i wsiach brakło uzdolnionych nauczycieli; starsi chłopcy zaniedbywali się zupełnie i tak przystępowali do egzaminów; więc synod wymagał, żeby w szkole bez należycie uzdolnionego mistrza (magistra czy bakałarza) uczyła się tylko dziatwa, a dorośli w niej się nie skupiali, ale szli do wyższych. Rozluźnieniu obyczajów duchowieństwa towarzyszyło szkolne; skargi na niesforność żaków nie rzadkie; nie nosili nieraz stroju kleryckiego, a pijatyki wraz z sprośnemi pieśniami (łacińskiemi wagantów) po karczmach gorszyły wiernych; to śpiewali wezwani żacy w gospodzie pieśni polskie i łacińskie, ale inni goście ich zato wybili (wiek XV).

## UNIWERSYTETY

Szlachta i mieszczanie wyjeżdżali zawsze jeszcze dla wyższych studjów, mianowicie prawniczych, zagranicę; studjów kanonicznych wymagał Kościół od biskupów i archidiakonów już choćby dla spraw rozwodowych. Więc «rektorem ultramon-

tanów» w Bolonji był r. 1321 słynny Jarosław Bogoryja Skotnicki. Jana Grotowica mianują biskupem krakowskim (1326 r.), gdy był na studjach bolońskich; niepodobna wymieniać wszelkich doktorów *decretorum* polskich, którzy studja i tytuł z Bolonji czy Padwy wynieśli, np. Janusz Suchywilk Strzelecki, drugi duchowny doradca Kazimierza i in. W Paryżu było Polaków mało, więcej Prusaków. Z Montpellier wyniósł Jan Radlica, późniejszy biskup krakowski, wiedzę medyczną, którą wyleczył Ludwika węgierskiego. Najliczniej bywali dla studjów teologicznych w Pradze: jedna z czterech nacyj, które się na uniwersytet składały, nazywała się polską, obejmując i różnych wschodnich Niemców (Prusaków i in.).

Z obcych źródeł czerpiemy nieraz wiadomości o Polakach studjujących np. w Bolonji. I tak zapisała bolońska księga nacji germańskiej pod r. 1301, że wypłacono notarjuszowi Mateuszowi dziesięć soldów za pisanie aktów w naszej sprawie przeciw Polakom; r. 1306 za naprawę świec, połamanych podczas tumultu w zwadzie, którą mieliśmy z Polakami; za papier i atrament jeden sold, gdyśmy pisali o rzecz między nami a Polakami; pedelowi, gdy wywołał naszą nację przy potwierdzaniu ustawy między nami a Polakami; gdy do naszego kościoła przyszedł archidjakon z Polski (Nanker?) dla odprawienia mszy św.; notarjuszowi za pisma w naszej zwadzie 30 soldów. R. 1310 przy spornym wyborze rektora stają przeciw Niemcom Burgundowie, Polacy, Czesi i i. R. 1336 wymieniają jako świadka kanonika Konrada od kościoła św. Krzyża w Polsce. R. 1439 płaci Jerzy Stock z diecezji poznańskiej 6 soldów wpisowego. R. 1449 wybierają Niemcy swego prokuratora w obecności Stanisława i Jana z Polski; 1496 wymieniają Polaka p. Pawła. Wedle ustaw przyjmują za starym trybem do nacji niemieckiej Czechów, Morawian, Litwinów (!) i Duńczyków.

W drugiej połowie wieku rozegrał się epizod, na razie bez widocznych skutków, który jednak niebawem miał silnie zaważyć

na losach szkoły i nauki polskiej. Przy reformie ustawodawstwa krajowego odczuwał król Kazimierz brak wykształconych prawników, któremu kilku doktorów zagranicznej promocji zaradzić nie mogło, więc nasuwała się praktycznej myśli królewskiej potrzeba utworzenia najwyższej krajowej uczelni tem łatwiej, że spółcześnie w środkowej Europie mnożyły się podobne. W r. 1347 rozpoczęły się wykłady na uniwersytecie praskim (bez prawa rzymskiego); 1365 powstał (ale na razie zamarł) uniwersytet w Wiedniu, a Ludwik węgierski w Pięciukościołach swój urządzał; wnet i Zakon w Chełmnie uniwersytet usiłował założyć. Dla urzeczywistnienia zamiaru był jednak nieodzownym autorytet papieski, bo jeśli stopnie akademickie miały mieć walor europejski, to nie starczyło na to powagi krajowej; był przecież papież najwyższą instancją we wszelkich sprawach szkolnych, t. j. duchownych.

Przygotowanie i wykonanie planów królewskich wymagało dłuższego czasu. Do nowego papieża, Urbana V (wybranego z końcem r. 1362), podążyło do Awinjonu w początku 1363 r. poselstwo polskie z winną obediencją, i miało poruszyć także sprawę uniwersytetu w kraju, aby oszczędzać krajowcom długiej i niebezpiecznej drogi zagranicznej. 12-go maja 1364 r. wystawił wreszcie król dyplom fundacji uniwersyteckiej, co papież potwierdził, odmieniwszy jednak dwa ważne zarządzenia królewskie. Król tworzył uniwersytet o czterech wydziałach, papież skreślił teologiczny, widocznie ujął się cesarz Karol IV o interesy swego praskiego uniwersytetu, warując i nadal dla niego studjum teologiczne; król wyznaczał swego komisarza dla nadzorowania promocyj, papież go usunął, bo dozór nad promocjami jest przywilejem papiestwa.

Skoro królem kierował wzgląd na brak w kraju «mężów prawa», nie dziw, że wzorował się na włoskich szkołach prawnych, bolońskiej, padewskiej, neapolitańskiej. Jego uniwersytet był więc zrzeszeniem uczących się, którzy sami powoływali

mistrzów i sami się rządzili, wybierając z pośród siebie rektora. Król dostarczał środków, ubezpieczając sumę roczną 340 grzywien, wypłacanych kwartalnie, na kopalniach wielickich.[1] Urządzał razem jedenaście katedr, z tych ośm prawniczych (pięć dla prawa rzymskiego, na razie tylko trzy, i trzy dla kanonów), dwie medyczne, a jednę filozoficzną, którą połączył z rektoratem szkoły parafjalnej u N. P. Marji; nie tworzył więc osobnego wydziału «artystów»; uczniowie mieli studjować *artes* w innych szkołach, a mistrz poddawał ich tylko egzaminom i promocjom; istotnie wykwalifikował «wydział» do końca wieku kilku bakałarzy *artium* krakowskich, którzy jednak w Pradze dalej studjowali, bo uniwersytet legistów krakowski w życie nie wszedł; duchowieństwo dla braku teologji i filozofji nim się nie zajęło i fundacja zawisła w powietrzu; rychła śmierć królewska uniemożliwiła wszelki dalszy rozwój. Ale ziarno rzucone nie zmarniało, bo gdy okazała się potrzeba nie «mężów prawa» *(viri legales)*, lecz księży, wobec przyłączenia pogańskiej Litwy i szyzmatyckiej Rusi do Korony, wznowiono, chociaż na innej podstawie, dzieło Kazimierzowe. Para królewska przedstawiła papieżowi Bonifacemu IX fundację Kazimierzową i prosiła o uzupełnienie jej fakultetem teologicznym, na co papież r. 1397 zezwolił, nie wiedząc, że mniemane «dotychczasowe kierownictwo» ustąpiło innemu, bo zamiast włoskich wzorowało się na szkołach zachodnich, paryskiej i praskiej; uniwersytet scholarów zastąpiono uniwersytetem mistrzów. Analfabeta Jagiełło odgrywał tu rolę niemego świadka; piśmienna Jadwiga łożyła wszelkie koszta umysłowe i materjalne; spieniężenie części jej kosztowności (bo królowa umarła już r. 1399). dostarczało środków; w układaniu planów pomocny był jej krakowianin rodem, były praski profesor a obecny

[1] Był więc nierównie hojniejszy, niż Karol IV, który koszty uniwersytetu praskiego zrzucił zpoczątku na barki kleru (szczególniej zakonnego), a dopiero po latach sięgnął do własnej kieszeni.

rektor heidelberski, Mateusz Notarii (Stadtschreiber), bawiąc w Krakowie 1397 r., od miasta hojnie przyjęty (miał za pobytu krakowskiego rocznie 40 grzywien pobierać).

## UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI

Od 22 do 26 lipca 1400 r. odbywało się uroczyste założenie, wpisy pierwsze i wykład inauguracyjny biskupa krakowskiego Piotra Wysza: na czele «albumu studiosów» stanął król, za nim kilku najwyższych dygnitarzy, poczem kilkudziesięciu prałatów, kanoników i proboszczów, a wpisało się 205 uczniów, których liczba z każdym rokiem znacznie wzrastała; osobny gmach (kolegjum królewskie) przy ulicy św. Anny w dzielnicy na poły żydowskiej okazał się niebawem za szczupłym, przyłączano doń inne; dochody stanowiły 100 grzywien na cle krakowskiem i dziewięć prebend (w kolegjacie św. Florjana krakowskiej i in.), dalej liczne nadania Piotra Wysza, Szafrańców, mistrzów Isnera i Stobnera i in. Po raz pierwszy stała się szkoła zakładem narodowym; zrozumiano jej doniosłość, otaczano ją gorącem uznaniem i raczono zapisami-darami. *Studium generale* krakowskie było wkońcu niby wielką kolegjatą o kilku prałatach, kilkunastu kanonikach i kilkudziesięciu wikarych, posuwających się bardzo powoli, według starszeństwa głównie, z posad wcale niepłatnych lub licho opłacanych na coraz dostatniejsze. Fakultet filozoficzny *(artium)* był podstawą, teologiczny koroną tych studjów, w których medycyna wcale poślednio (jeden profesor albo żaden), a z prawa tylko katedry kanoniczne były zastąpione.

Liczba katedr była pierwotnie bardzo ograniczona, było kilka teologicznych i kilka filozoficznych; przybywały nowe z fundacyj prywatnych, kapituły i biskupa krakowskiego; najpierw teologiczne, a później i filozoficzne; tych było przed r. 1450 już sześć, po 1450 przybyło jeszcze trzy; były to ka-

tedry gramatyki i retoryki (kilka), poetyki, matematyki i astronomji (katedra Stobnera, później druga Marcina Króla). Katedr teologicznych było jeszcze więcej (jedenaście), ich profesorowie mieszkali w *collegium maius,* budynku ufundowanym przez Jagiełłę i przy nich czterej filozofowie; dla reszty założono r. 1449 *collegium minus.* Katedr prawa kanonicznego było trzy. Każdy fakultet był ciałem autonomicznem, wybierał swego dziekana (wraz z dwoma konsyljarzami) co pół roku; i rektora tak wybierano, który z trzema dziekanami rządził uniwersytetem, był jego sędzią, a zczasem i nad fakultetami przewodził. Kolegja (większe i mniejsze) miały swoich prepozytów, dozorujących wydatków i służby; kolegjaci (profesorowie) mieli każdy osobną izbę i w niej na usługę famulusa, biednego studenta, podczas gdy bursy (najrozmaitsze: bursa ubogich, wyposażona przez Isnera; Jeruzalem, Oleśnickiego na 100 uczni; kilka burs prywatnych) stały pod rektorem i senjorami, odpowiedzialnymi za porządek.

Życie profesorów (zarówno jak studentów) było niemal zakonne, począwszy od poważnego stroju i tonzury, do bezżenności, do spólnego mieszkania i stołu po kolegjach, pełnienia licznych obowiązków duchownych, nieodłącznych od prebend, głównego dochodu stałego starszych profesorów; młodzi zadowalali się czesnem, szczupłem, bo ubogich od niego jak i od wpisowych ośmiu groszy uwalniano, i starali się o dochody poboczne z służby po kościołach, szkołach, urzędach; wymagania były skromne, tryb życia poziomy. Ścisłe przepisy, co do liczby wykładów, ćwiczeń (powtarzań) i dysput dialektycznych (sobotnich i innych) wiązały ubiegającego się o stopnie naukowe; po dwuletniem studjum zdawano egzamin na bakałarza, a po nowem dwuleciu na magistra *artium;* tylko magister *artium* (bo *artes,* filozofja, była służebniczką reszty wydziałów) mógł się w dalszym ciągu ubiegać o bakałarstwo, licencjaturę i doktorat medycyny, dekretów, teologji; egzamina te były uciąż-

liwe, a koszta promocji znaczne; doktorat teologji wymagał od magistra *artium* najmniej dalszych ośm lat studjów; wielką zawadą było, że na «filozofji» mistrze przechodzili od przedmiotu do przedmiotu, nieraz losowali, kto co będzie wykładać, nie oddawali się więc jednemu fachowi.

Powtarzamy za Antonim Karbowiakiem niektóre liczby: w pierwszych trzydziestu latach zapisało się 4254 uczniów (liczby półroczne bardzo nierówne, wahają się od 35 do 264); z tych zdobyło stopień bakałarza *artium* tylko 619, a magistra tylko 184; z zagranicy przybyło około 800, z tych 479 z Śląska, a z Węgier 146, jako z krajów, nie mających własnych uniwersytetów. Od r. 1433/4 do 1509/10, zapisało się 17.263 scholarów, śród nich 9652 krajowców, a 7611 obcych, których liczba się więc niemal do połowy wszystkich wzmogła, dowodząc rosnącej siły przyciągającej studjum krakowskiego (liczby półroczne chwiejne, od 67 do 558); najliczniejsi Węgrzy (2876) i Ślązacy (2487), ale z Wirtembergu 74 a z Szwajcarji 54, pomimo bliskości innych uniwersytetów, świadczyły o powadze szkoły krakowskiej.

Nauka, przerywana niedzielami i licznemi świętami (około 126 dni), trwała cały rok, bo nawet podczas kanikuł letnich i innych przerw wykładały siły młodsze; nauczyciele czytali i objaśniali tylko przepisane księgi, od gramatyki szkolnej Donata i wierszowanego Aleksandra de Villa Dei aż do Pisma św. i Sentencyj Lombarda, obejmujących wykład dogmatyki; na «filozofji» przeważali obok gramatyki poeci średniowieczni, o formie nieudolnej a nieudałej treści, Theodulus, Alanus, Ezopy, Palestra Christi, Henricus Septimelensis i in., którzy dopiero pod koniec wieku zupełnie ustępowali miejsca poetom klasycznym; w prozie czytano kronikę Wincentego i pisma Cyceronowe; w filozofji tłumaczenia nieudolne Arystotelesa, pism prawdziwych i mylnie jemu przypisywanych; te niemal wyłącznie objaśniano; oryginałów greckich nikt nie znał. Inne

nauki ustępowały; całe *quadrivium* bywało słabo uprawiane: muzyka, arytmetyka z geometrją; jedynie astronomja z astrologją kwitnęła, bo nią się wyłącznie mistrz-fachowiec zatrudniał, on to wydawał doroczne *iudicia,* prognostyki, kalendarze, wróżące nietylko o stanie pogody i urodzajów, ale i o wojnach i morach, o krajach i żydach. Tu słuchał Mikołaj Kopernik, chociaż za jego studjów krakowskich najznakomitszy astronom, Wojciech z Brudzewa («znakomity matematyk, mistrz Celtesa», dopisała obca ręka w księdze promocji przy jego imieniu), od r. 1490 bakałarz teologji, już tylko Arystotelesa wykładał. Medycyna nie kwitnęła wcale, pielęgnował ją jeden lub dwu mistrzów, którzy najczęściej zagranicą się wyuczyli; i ona polegała wyłącznie na wykładzie dzieł przepisanych; to samo dotyczyło każdej innej nauki: nauczyciel był tylko powołanym tłumaczem od wieku wyznaczonych traktatów obcych; więc losowali na początku półrocza, które księgi Arystotelesowe wykładać będą, a każdy przechodził te same stopnie, wykładał to poetę, to arytmetykę, aż do dekretów czy sentencyj dochodził. Po obiedzie powtarzał, ćwiczył uczniów w tem, co rano wykładał; najważniejszym działem były dysputy, ściśle dialektyczne, stawianie i zbijanie sylogizmów, zdolności i zręczności logicznego myślenia bez treści realnej dowodzące; obok stałych, sobotnich, podczas których wszelkie inne czynności uniwersyteckie zawieszano, były nadzwyczajne, jakiemi się mistrz obcy do grona krakowskiego wprowadzał; dysputowali mistrzowie, bakałarze zestawiali ich argumenty.

Greki w uniwersytecie nie uprawiano, chociaż sobór bazylejski r. 1439 Greka Demetrjusza z Konstantynopola, biegłego w łacinie i grece, uniwersytetowi dla nauki greki polecał, uważając to za wcale korzystne dla bliskości Polski do krajów greckich. Ależ właśnie bliskość szyzmy greckiej odstraszała, polski episkopat od unji, a uczonych od greki. Zresztą i na zachodzie

greki nie uczono nigdzie; po Demetrym śladu też niema. R. 1440 gościł inny Grek, nowy metropolita.

Podniósł się odrazu poziom nauki i nauczania w kraju. O początkach szkoły stanowiła immigracja praska; z 40 doktorów i mistrzów, spisanych w uniwersytecie na r. 1407, pochodziło 25 z samej Pragi, ależ nie byli to wyłącznie Czesi i Niemcy, przeciwnie i między nimi przeważali Polacy, którzy dla dotychczasowego braku szkoły krajowej w Pradze studjowali; cała fala pierwszych mistrzów z lat 1400—1403 odebrała wykształcenie w Pradze; ale już na 128 doktorów i mistrzów od r. 1400—1432 dostarczył Kraków sobie sam 81. Szeregi uczących i uczniów zaciągały się głównie z mieszczaństwa; wieś wysyłała nader rzadko swoich synów, nierównie częściej szlachta; między mistrzami jednak brak niemal zupełny szlachty u filozofów, byli tylko między prawnikami i teologami, aby przechodzić z profesury na wyższe dostojeństwa kościelne i państwowe, dla nich zachowane; tylko mieszczanie imali się niewdzięcznej służby uniwersyteckiej, filozoficznej szczególnie. Już kwitł pewnego rodzaju nepotyzm; starszeństwo, nie zasługi rozstrzygały, o czem się z goryczą i Zbygniew Oleśnicki przekonał, gdy wbrew jego poleceniom wydział swoich kandydatów wyniósł; przyszło o to do ostrego starcia, aż struchlał uniwersytet przed groźbami. Szkoły i szkółki po miastach i wsiach otrzymywały teraz lepiej wykształconych nauczycieli, bakałarzów i mistrzów, a choćby i niegraduowanych słuchaczów; to samo dotyczyło i księży. Gdy w XIV wieku kazania polskie były wyjątkowe, teraz pełno ich po całej Koronie. Cóż dopiero mówić o nauce samej, przedtem tu i ówdzie a głównie zagranicą, w Pradze, piastowanej, teraz z gruntu krajowej, rodzimej.

Porządek wszelkich studjów i egzaminów był jak najściślej określony, przy egzaminach taksy a oprócz nich osobliwsze zwyczaje, obliczone na wygodę egzaminatorów: kandydaci prowadzili egzaminatorów po egzaminach do kąpieli, a potem

na wieczerzę; tak uzyskiwało się bakalarjat. Egzamin na magistra wymagał większych taks i sutszej wieczerzy *(prandium Aristotelis)*, a osobnych podarków dla wicekanclerza uniwersyteckiego, który kandydatowi udzielał licencjatury, t. j. dozwolenia wykładów na fakultecie; przy promocji na magistra wręczał mu biret. Promocje na wyższych fakultetach były tak drogie, że uboższy, np. Sędziwój z Czechła, zadowalał się i w Paryżu i w Krakowie samą licencjaturą, np. teologji. Magister (filozofji) po dwu latach wykładów zostawał członkiem fakultetu, *extraneus*, bo zamieszkał w kolegjum i zostawał «kolegą» dopiero, gdy się miejsce w kolegjum *(minus)* opróżniło; z tych kolegjatów mniejszych (a bywali tak licho wyposażeni, że nawet togi-tabardu sprawić sobie nie mogli, uniwersytet zakupował sukno, a oni ratami spłacali) wybierano wkońcu kolegjatów starszych *(maiores)* do królewskiego kolegjum. Nie nęciła więc nadto karjera uczona, a reguła była dosyć ostra, kobiety do kolegjów przystępu nie miały; przy spólnym stole jeden z mistrzów odczytywał jakiś budujący traktat, a pożywienie samo było bardzo skromne. Wszelkie przekroczenia reguły okupywano karą pieniężną, a wkońcu wydaleniem.

Uczniowie mieścili się wyjątkowo po hospicjach, domach prywatnych, szczególniej zamożna szlachta; mieszkali przeważnie u magistrów po kolegjach, usługując im, albo przy szkołach parafjalnych krakowskich, razem z ich żakami; od drugiej połowy wieku głównie w bursach, zakładanych przez dobrodziejów uniwersytetu, Oleśnickiego, Długosza i in. Najstarsza była bursa ubogich, założona jeszcze r. 1409, najznaczniejsza bursa Jeruzalem Oleśnickiego (otwarta r. 1456), bursa Długosza dla prawników, gdzie się około stu młodzieży mieściło (z r. 1471); bursa węgierska, niemiecka czyli nowa i in. Życie w bursach było jak w kolegjach, klasztorne; ciszę jego przerywały dzwonki do mszy, do spólnych stołów, przy których odczytywano pobożne lekcje; na wieczór je zamykano rychło.

Bursy utrzymywały się z wkładek wpisowego i z ofiarności publicznej; sam strój klerycki przyszłym księżom narzucał powagę, której się wyzbywali i w mięsopusty i w przyjmowaniu nowicjuszów-beanów: starsi przebrani wychodzili za miasto na ich spotkanie, co się biciem i sutem oblewaniem w karczmie kończyło; takie «otrzęsiny» *(depositio beani)* były uświęcone we wszystkich uniwersytetach, i w Krakowie przebierały miarę, aż je w r. 1511 usunięto. Młodzież chętnie swawoliła, kłóciła się między sobą, szydziła z Mazurów *(alfabetum masoviticum* i nieskończone przytyki inne), bijali się i Węgrzy z Niemcami, ale zbytnich wykroczeń nie bywało; o tem akty sądownictwa rektorskiego pełne drobnych spraw, głównie o zapłatę rzemieślnikom, najlepiej świadczą. Cały tryb życia był nadzwyczaj jednostajny; między uczniami a mistrzami nie było zbytniej różnicy, bo każdy uczący, mistrz czy bakałarz, sam się znowu uczył, aby przejść do wyższego fakultetu; powaga wieku rozstrzygała głównie. Nie była to więc szkoła świecka, raczej tylko wielkie seminarjum duchowne; z mistrzem żonatym spotykamy się wyjątkowo zupełnie przy końcu wieku.

Strój scholarów i graduowanych był klerycki, duchowny, różnił się u graduowanych obszywką rękawów, biretem okrągłym na głowie zamiast kapucy lub mycki; kolor wierzchniej szaty ciemny, mistrzowie przybierali długie togi. Ale młodzież, szczególniej bogata, nie zważała na przepisy, stroiła się w barwne, żółte i czerwone kopieniaki, a pstre obuwie. Noszenie broni było surowo wzbronione, ale i przeciw temu wykraczano, co karą pieniężną odpokutować należało. Równie zakazywano wałęsania po gospodach, pijatyki wszelkiej i gry w kostki lub karty, ale młodzież, szczególnie węgierska, o to ani pytała i tylko w razie konfliktu, gdy np. nie chcieli płacić a wypili, przychodziło do rozpraw przed rektorem. Senior bursy odpowiadał za prowadzenie się bursowników, ale sam nieskromny odcień, jaki ta nazwa przybrała: *bursować* mawiano zamiast

*łotrować*, dowodził, jak pobłażliwie senior swój urząd traktował. Po hospicjach prywatnych profesorowie doglądali moralności scholarskiej. Pierwotna dyscyplina widocznie się rozprzęgała; chociaż akty sądu rektorskiego dopiero od końca wieku się zachowały, wolno twierdzić, że do rozpasania, jakie po innych uniwersytetach nie rzadkie bywało (np. w paryskim), u nas nie doszło. Nasze własne źródła wprawdzie bardzo małomówne; trzeba sięgać do obcych, czeskich, niemieckich, aby np. doczytać się brutalności owych «frycówek» *(depositio beanorum)*, jakiemi nowicjuszów raczono: ociosywano, oheblowano, wygładzano niby wszelką beanję-prostotę, obmywano i czesano nieszczęśliwe ofiary, ale i u nas musiały one być nie najniewinniejsze, skoro ich w wieku następnym zakazano. Najwięcej dokazywali Węgrzy, którzy sobie nawet przywłaszczali prawo bicia w dzień młodzianków nowicjuszów, powołując się na swój zwyczaj krajowy; oni też żarli się z Niemcami, rzadziej Polacy, którzy szczególniej Mazurów przedrzeźniali (ich słówka: *tutka, sieno*, owe jednozgłoskowe *stęk, pęk, jęk* i t. p.); Niemcom dostawało się i od Pilata, co miał z Niemiec (Szwajcarji) pochodzić, oni byli chyba najpilniejszymi szkolarzami. Z prowincji udawał się chłopiec na uniwersytet nieraz w towarzystwie starszego, który się nim miał opiekować; skargi o niedotrzymanie umowy pierwotnej są w aktach konsystorskich, bo wszystko co z nauką styczność miało, podpadało, jeśli nie pod rektorskie, to pod te sądy; wystarczało przecież, że ktoś czytał gorliwie książki, aby go za kleryka uważano, chociaż żadnych święceń nie miał. Że przy tym, jak na szczupłe średniowieczne miasto, olbrzymim napływie młodzieży fizjognomja miasta nabrała osobliwszych cech, nie dziwi, lecz pożycie z mieszczaństwem nie pozostawiało nic do życzenia, nie było waśni z młodzieżą cechową, moralności strzeżono pilnie, wyjątków gorszących nie bywało; sądy rektorskie były łagodne.

Snopy światła biły z Krakowa w najdalsze zakątki;

wprawdzie zawsze jeszcze mistrz miejski lub wiejski był przedewszystkiem mistrzem w kościele, dla którego szkołę prowadził, bo zawsze jeszcze chór chłopców dopełniał nabożeństwa, procesji, pogrzebu, ale już rosły wymagania i mistrz po większych szkołach otrzymywał co najmniej jednego towarzysza-pomocnika, a w szkołach katedralnych (w Gnieźnie, Poznaniu) ustanawiano lektorów teologji i dekretów dla kleryków-młodzieńców, coraz bardziej odgraniczających się od puerów-pauprów. Już myślano po miastach o nauce dziewcząt, oddawano je zakonnicom dla nauki początkowej i dla robót ręcznych; obcy (Marcin, później opat benedyktynów wiedeńskich) zanotował nawet, że około r. 1415 jakaś Wielkopolanka, którą ojciec-rektor wyuczył w swej szkole początków, wybrała się po jego śmierci dla dalszej nauki do Krakowa w przebraniu męskiem i już była bliska bakalaureatu, gdy przypadek (szlachcic scholarz założył się, że to kobieta, i pod pozorem rozmowy dokonał gwałtem rewizji w sieni kamienicy Kaldenberga) ją zdradził; przy najlżejszem podejrzeniu o flirt czekał ją stos, ale gdy ogólnie jej skromne życie zaświadczono, oddano ją do klasztoru, gdzie uczyła i wkońcu ksienią została. *Si non è vero...*

## BIBLJOGRAFJA

Podstawowe dzieło Karbowiaka wymieniono już wyżej; drugie, ważniejsze jeszcze, Kazimierza Morawskiego, *Historja uniwersytetu Jagiellońskiego*, 2 tomy, Kraków 1900 (jest i tłumaczenie francuskie); dawniejsze pomijamy, jak i przyczynki drobne, np. w *Roczniku Krakowskim*, w *Bibljotece Krakowskiej* (Ptaśnik i in.). St. Krzyżanowski, *Poselstwo Kazimierza W. do Awinjonu i pierwsze uniwersyteckie przywileje*, Rocznik Krakowski 1900, IV. Ks. I. Fijałek, *Studja do dziejów uniwersytetu krakowskiego i jego wydziału teologicznego w XV wieku*, Rozprawy Akad. filolog. 1899. Tenże: *Mistrz Jakób z Paradyża i uniwersytet krakowski w okresie soboru bazylejskiego*, 2 tomy, Kraków 1900. Tenże: *Polonia apud Italos scholastica*, Kraków 1900.

Wydawnictwa źródłowe, *Codex diplomaticus Universitatis* (5 części, Kraków 1870—1900); *Album studiosorum* (od. r. 1490—1550, dwa tomy); *Acta rectoralia* (zapiski sądu rektorskiego, od r. 1469—1580, dwa tomy); *Liber diligentiarum facultatis artisticae* (spis wykładów od roku 1487—1563).

Dawniejsze, niczem dotąd (w całości) nie zastąpione dzieło Józ. Łukaszewicza, *Historja szkół w Koronie i w Wielkiem Księstwie Litewskiem od najdawniejszych czasów aż do r. 1794,* 3 tomy, Poznań 1849—1851, rzuciło podstawę do dalszych badań; drobniejszych przyczynków Wisłockiego, Karbowiaka, Ptaśnika (w Roczniku Krakowskim), Fijałka, Kaz. Miaskowskiego i in., nie wyliczam osobno.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

# LITERATURA ŁACIŃSKA

Ubóstwo wieku XIV. — Literatura XV wieku. — Traktaty naukowe. — Jan Długosz. — Wymowa świecka. — Poezja łacińska. — Zwiastuny humanizmu. — Nauki. — Bibljografja.

## UBÓSTWO WIEKU XIV

W każdej dziedzinie życia kulturalnego XIV wieku występuje twórczo wielka postać ostatniego Piasta — z jedynym, tem dziwniejszym wyjątkiem: literatura, szczególniej piękna, łacińska czy polska, nie zna jego imienia wcale. Z Krzywoustym łączymy Galla, z Kazimierzem Sprawiedliwym Wincentego, z Kingą i Jadwigą, acz Węgierkami, psałterze, z Sońką, acz Rusinką, biblję, tylko z Kazimierzem Wielkim wielka próżnia literacka, której nawet Janko z Czarnkowa nie zapełnił, życia i rządów swego dobrodzieja nie napisał, raczej akt oskarżenia swoich przeciwników zostawił. Gdzież powód tej niespodziewanej luki w życiu dworskiem, w którem choćby dla roztańczonej Aldony-Anny śpiew i muzyka rozbrzmiewały? Dlaczego nie poszedł Kazimierz za wzorem Luksemburczyka, z którym zresztą stale zawodniczył? Karol Czwarty jak w kulturze czeskiej, tak w literaturze niepoślednie zajął miejsce, na którem próżno Piasta szukamy.

Poszedł on tym razem za wzorem Andegawenów. Wiemy, co oni dla kultury węgierskiej zdziałali, tylkoż znowu nic dla literatury — ale ich tłumaczy poniekąd obce pochodzenie, brak zżycia się z krajem i ludem. U nich to wychował się przyszły król polski, który wśród spraw dziennych, pochłaniających jego myśli i plany, nawet nie zauważył, że Polska i jej ród panujący spisu swych dziejów nie posiadły, o jaki Karol w obu językach się starał. Literatura więc, to dział jedyny, w którym nie od Kazimierza przy kreśleniu kultury wieku wychodzimy, chyba-

byśmy stwierdzić chcieli, że, ponieważ tu zabrakło inicjatywy królewskiej, więc wiek sam nic z siebie nie wydał. Na usprawiedliwienie wypadnie dodać i to, że jeszcze w tym wieku (nietylko u nas) nie obudziło się żywsze zajęcie przeszłością i jej dziejami; nauki, teologja i in., postępowały zwykłym trybem (brak było owych wielkich świateł XIII wieku, owych Dominikanów i Franciszkanów, Tomaszów i Skotów i Albertów i Wincentych), dziejopisarstwo najmniej miało uzdolnionych przedstawicieli a i poezja chromała; wiek mało sprzyjał nauce i literaturze, a już najmniej u nas, gdzie pole jeszcze nie było użyźnione. Tak samo jednak było i w wieku XV, pozbawionym poezji, najbardziej prozaicznym, ale zato i nauką i odrodzeniem wiedzy i poezji starożytnej około ludzkości-humanizmu zasłużonym. Wiek XIV zadowalał się niemal ubogiem u nas dziedzictwem XIII-go, nie pomnażał go znaczniej; nawet prostych odpisów stosunkowo niewiele zostawił. Rocznikarstwo i kronikarstwo nie zdobyło nowych pozycyj, chyba na Śląsku, żyjącym coraz bardziej życiem własnem; panowanie Łokietka, nawet Kazimierza Wielkiego, nie znalazło opowiadacza; na polu teologicznem głęboka cisza, taka sama, jaka na każdem innem. I nie dziw; szlachta jeszcze się do nauki nie garnęła, w pierwszej połowie wieku nęciła ją raczej chąsa, skoro dopiero Kazimierz energicznie się rozprawił z «raubritterstwem»; mieszczanie, szczególniej krakowscy, oddawali się zarobkom i handlowi; żyli hucznie i wystawnie, zadowalali się niezbędnemi początkami nauk, o nic więcej nie dbali, jak to bywa po wszelakich kolonjach, które, odpadłszy od pnia macierzystego, jednostronnie się rozwijają, czy to w kolonjach greckich, czy w Ameryce. Jedyni duchowni byli powołani do nauki i literatury, ale z szkół parafjalnych i katedralnych zbyt mało wynosili. Rozstrzygały wyłącznie potrzeby praktyczne. Ilość dokumentów rosła; kiedy w XIII wieku obca ręka spisywała po niemiecku zwyczaje prawne polskie, teraz sam król, za przykładem wę-

gierskim i czeskim, dążył do skodyfikowania prawa obyczajowego i ulepszenia przewodu sądowego; wydał też dwa statuty, jeden dla Małej, drugi dla Wielkiej Polski. Brak szczegółów, gdzie, kiedy, kto je redagował (oczywiście duchowni, obeznani z prawami obcemi); niema nawet pierwotnego układu, do którego zczasem wciągano i nowe przepisy (t. zw. ekstrawaganty) i prejudykaty (przykłady, jak należy sprawy sporne rozstrzygać): takie zlepki późniejsze krążą pod nazwą Statutów Kazimierzowych («wiślickich» i «piotrkowskich»); między statutem mało- a wielkopolskim zachodzą różnice, wielkopolski bardziej konserwatywny, małopolski nieco postępowy.

Z szkoły królewskiej wyszedł taki podkanclerzy Janko, syn wójta z Czarnkowa, mieszczanin, który własnym zdolnościom, ale i protekcji Suchegowilka zawdzięczał stanowisko, jakie po śmierci królewskiej z powodu wrogiego a zwycięskiego stronnictwa węgierskiego porzucić musiał; gdy po wszelakich przykrych przeprawach w Gnieźnie spokojnie osiadł, zebrał wszelkie dostępne mu kroniki, aby z nich całość dziejów ulepić i własnemi wstawkami bajecznemi, np. historją o Walcerzu Udałym, uzupełniać. Sam nie napisał dziejów Kazimierzowych; skreślił kronikę lat 1370—1384, jak wszelkie poprzednie niedomówioną czy przerwaną, namiętną, poniekąd stronniczą, bo i *pro domo* pisaną, ale barwną i żywą; zaciekawiony dziejami Słowiańszczyzny nadłabskiej jako kanonik w Szwerinie meklenburskim, dokąd go biskup Polak z Poznania z sobą zabrał, rozmyślał przygodnie także o losach tej Słowiańszczyzny i etymologjami średniowiecznemi, t. j. najnaiwniejszemi w świecie, jej i polskie dzieje pierwotne zaciemniał i Słowiańszczyźnie najszersze zakreślał granice, np. aż po Bremen 'brzemię' i Dalmację 'dała mać', wyprzedzając tym sposobem księdza Dębołęckiego o półtrzecia wieku. On niegdyś w Awinjonie z ramienia królewskiego popierał sprawę uniwersytetu Kazimierzowego.

Również dla uniwersytetu królowej Jadwigi w Krakowie radził mieszczanin krakowski Mateusz Notarii, najgłośniejszy mąż nauki polskiej na przełomie obu wieków, który jednak tylko w Pradze a potem w Heidelbergu uczył; umiał po polsku, skoro przytoczył raz przysłowie polskie obszerne. Z Polski wyniósł tylko początki z szkoły parafjalnej (marjackiej?), uczył się i nauczał wyłącznie w Pradze — z jego szkoły wyszli teologowie najpierw prascy, później krakowscy, Isner i Czech Szczekna — tu i w Niemczech pisał swoje traktaty, często przepisywane a później drukowane i tłumaczone; i w Polsce przepisywano jego *Rationale operum divinorum,* dialog między ojcem a synem, poświęcony biskupowi warmijskiemu, tłumaczący, skąd się wzięło złe w świecie dobrego Boga; jego *Dialogus rationis et conscientiae,* polecający za innymi mistrzami praskimi jak najczęstsze przystępowanie ku sakramentowi Ołtarza; wreszcie jego głośny traktat antyrzymski *De squaloribus curiae Romanae* (tak oraz inaczej nazywany), potępiający symonję rzymską a wysławiający ubóstwo pierwotnego Kościoła. Więc choć na obczyźnie spisane te rzeczy, odezwały się one i w Krakowie, gdzie Jan z Falkenbergu potępiał je jako heretyckie, na co mu Mateusz odpowiedział; gdzie teologowie, jak Jakób z Paradyża i in. bronili zasady soborowej przeciw kurji rzymskiej, a czystości Kościoła, znowu przeciw kurji i jej kortezanom, którzy za pieniądze w Rzymie i tytuły uczone i prowizje na prebendy krajowe nabywali.

Zresztą mogła literatura teologiczna wykazać kilka żywotów świętych polskich (św. Salomei i Kingi) i zbiór kazań niedzielnych doktora dekretów bolońskiego, Stanisława Stojkowica z Książa, proboszcza miechowskiego, zmarłego r. 1395. Nie obfitsza była i poezja łacińska. Frowin z Sącza (?), kanonik sandomierski i krakowski z pierwszej połowy wieku, napisał wiersze, uczące morałów i gramatyki zarazem, p. t. *Antigameratus* przeciw równie długiemu dawniejszemu wierszowi

*Gameratus* jakiegoś Teodoryka, nieznanego nam bliżej z pochodzenia (gameratus, t. j. wszeteczny, gach), z rodzaju t. zw. *versus differenciales*, leoniny, które powtarzają w środku i końcu wiersza słowa jednego brzmienia, a różnego znaczenia; kunsztowna, t. j. potworna forma zaważyła zbyt silnie na treści, zwracającej się kolejno przeciw wszelkim objawom życia, od stroju, obowiązków panów i sędziów, aż do pracy wieśniaka w polu i ogrodzie wedle pór roku. Jan herbu Łodzia z Kępy, biskup poznański, wielki miłośnik muzyki i wesołego życia, napisał kilka «proz» (wierszów religijnych). Natomiast obszerny wiersz łaciński (dwadzieścia jeden zwrotek) *De quodam advocato cracoviense Alberto*, przechowany tylko w rękopisach czeskich, jest pochodzenia czeskiego (o czem sam tytuł napomyka), porusza też czeskie stosunki, mówi o *sudarius*, t. j. o sędziu w *cudzie* (sądzie ziemskim) i gry słów się dopuszcza (Niemiec ofiaruje spory pieniądz *ut fiat sudarius, mox adhuc sudat diatim* 'poci się' i t. d.). Wiersz przestrzegał przed przyrodą Niemców, którzy wszędzie chcą być pierwszymi; z początku się poniżają, potem żenią się z córkami krajowemi, własne powydawawszy wpierw, kończy zwrotką o swoich Czechach: *Sic Bohemi sunt delusi, De bonis suis detrusi, Ab ipsis Theutunicis, Et iam quasi perierunt* (tak Czesi oszydzeni, dóbr własnych pozbawieni i już jakby zginęli). Szczegółów buntu Alberta nie podaje wiele, bo nie o dzieje, tylko o wypływającą z nich naukę mu poszło. Zalew niemiecki w Czechach przedstawiał się dla narodowości czeskiej nierównie groźniej niż w Polsce, więc też tu nie było tego niepokoju ani tej animozji, jaką dyszy ów wiersz, wcale wtedy nie odosobniony u Czechów, jak dowodzi spółczesna kronika czeska (t. zw. Dalimil) i nieco późniejszy ich *Ezop*. W Pradze zajmowano się żywo Polską, przecież król Czech i Polski przed pięciu laty umarł, a nowy król czeski ten sam tytuł przybierał.

## LITERATURA XV WIEKU

Tak więc i w XIV wieku posiew literacki był jeszcze wcale skąpy, literatura nie odpowiadała w niczem znaczeniu wielkiego mocarstwa słowiańskiego, związanego z Czechami i tytułem bractwa i wpływami szkoły praskiej, kolebki polskiej wiedzy. Co bowiem na początku XV wieku w umysłowości polskiej się wybiło, przechodziło niemal wszystko szkołę praską. Ona i kancelarja królewska (jeszcze cesarza Karola IV) były wzorem dla polskiej. Czesi mieli już od XIII wieku, od Przemysła i Wacława, tradycję kancelaryjną i zbierali formularze listów i aktów; Śląsk posiadał je za wzorem czeskim w wieku XIV (w Wrocławiu), my dopiero w XV, a szereg ich rozpoczął notarjusz królewski, potem podkanclerzy, wkońcu biskup poznański Stanisław Ciołek, rodem z Mazowsza; zbiór jego listów i aktów, t. j. wyszłych nie z pod jego pióra, ale z jego kancelarji, przechował się w dwóch częściach, które późniejsi (Cieński) o dwie dalsze przedłużyli. Oprócz nich znamy «retorykę» krakowską w rękopisie praskim; innych zbiorów, wcale pokaźnych na liczbę, dotąd nie ogłoszono. Uwzględnialibyśmy ich w dziejach kultury, gdyby zawierały same tylko listy oficjalne i dokumenty, ale notarjusze, począwszy od ich zwierzchnika, Ciołka, wplatali w autentyczne listy swoje własne kompozycje, t. zw. *dictamina,* humorystycznej, satyrycznej, erotycznej i opisowo-fantastycznej treści; w prozę i wiersze mieszali, a Ciołek właśnie poezją i satyrą nad kolegami czy podwładnymi górował. Styl jego, to europejski XIII i XIV wieku, jaki z kancelarji papieskiej i cesarskiej (Fryderyka II) Alpy przekroczył, w Niemczech i Czechach tak się przyjął, że i tuziemcy Włochów znakomicie naśladowali; z Czech do nas się dostał (Ciołek studjował w Pradze latami). Styl to napuszony, kwiecisty, lubujący w nadzwyczajnych słowach (ukuwanych umyślnie) i zwrotach dziwacznych, gardzący jasnością i prostotą. W jednym liście zaprasza Róża przez

Lilję na wesele Pierwiosnka; w drugim król Maj przez słowika i skowronka pannę na gody po zwycięstwie nad «wieszczycą» Zimą (podobnie w krakowskim liście z końca XIV wieku zapraszał książę wiosny Maj na rozwiązanie brzemienności Jadwigi; jest w formularzu wrocławskim); inni pisali listy o Zimie, o Poście i t. p.; są listy miłosne, jeden nawet po polsku w retoryce Marcina z Międzyrzecza około r. 1428, pierwszy tego rodzaju (ale faktyczny, nie zmyślony). Są satyry, na kolegę Bruchrynka, podejrzanego o husytyzm (Ciołek był, jak cały episkopat polski, zawziętym przeciwnikiem «herezji» i biadał nad upadkiem dobrej sławy i wielkiej mocy czeskiej); najsromotniejsza z nich, to list hańbiący ożenek Władysława Jagiełły z Granowską, taki skandaliczny, że król napędził kancelistę, aby go niebawem dla zdolności jego znowu powołać do służby i wywyższać. Pod przejrzystą aż nadto alegorją wystawiony owdowiały stary lew, bezdzietny, który na nalegania Rady myśli o nowym ożenku, ale gdy mu rają najpiękniejsze dziewice, on chucią zwiedziony starą świnię obiera; z wycieńczonej płodu nie będzie. Są i wiersze dworaka-Ciołka, hymny, do których melodje Mikołaj z Radomia dorabiał, na urodziny upragnionych dziedziców Jagiełłowych, Władysława i Kazimierza, szczyt panegirycznego uwielbienia, w najmozolniejszej łacinie. Najciekawszy z tych wierszy, to «pochwała Krakowa», nie pierwsza zresztą, bo już Polak a mistrz w Sorbonie, Tomasz, podobne dytyramby w prozie śpiewał do Jagiełły. Wiersz Ciołka ma 10 strof sześciowierszowych, każda o tym samym rymie własnym; w pierwszej połowie sławi Kraków z położenia, ozdoby, dzielności mężów a płodności kobiet, z wesołości i tańców, z grobów Stanisława i Jadwigi; druga połowa sławi parę królewską i królewiczówniemowlęta. Następny (w rękopisie praskim) wiersz, hymn na Bogurodzicę, jest również jego pióra, bo akrostych daje jego imię, *Stanislaus;* tekst zeszpecony przez kopistę, co np. napisał *Surge virgo theotokos* (wstań dziewico Bogurodzico), *iuva nos*

*unitiores* (co to? tylko w żaden sposób o unitach wzmianka, jak się domyślano); nierównie zawilsze dwa pierwsze na urodziny królewiców; i inne pobożne (dla Marji, dla św. Stanisława) tegoż rękopisu będą chyba własnością Ciołka, tak że sąd, jaki o nim nieprzychylny mu dla lekkości jego obyczajów Długosz wydał: «sztuką poetycką z przyrody znaczny, do żartów i facecji nakłonny», prawdzie odpowiadał.

Listów miłosnych *(ad amasiam* i t. p.) jest po tych formularzach sporo; one dotąd nie wydane; wydano tylko ze wzorową dokładnością, nadzwyczajnem zamiłowaniem i znajomością źródeł zbiorek łacińskich listów i wierszy miłosnych żaka krakowskiego, do wszelakich urojonych pań i panienek krakowskich, a więc zmyślonych; tylko jeden, najdłuższy wiersz do panny «Eleny» zawiera szczegóły realne, około czterdzieści zwrotek, kręci się nieco w kółko i powtarza, obsypuje niebiankę wszelkiemi cnotami ducha i urody, wysmażonemi w szkolnej poetyce, iście żakowskiemi. Ale ma temperament, oto np. trzecia zwrotka, mieszająca z łaciną polszczyznę:

Omnes tui inimici (wszyscy twoi nieprzyjaciele)
Bodaj wrychle kijem zbici
I kapustą pluskani.
Credo hoc non increpares (wierzę, tego mi nie zganisz)
Anatema conservares (przekleństwo me zatrzymasz)
I z twą matką, cna pani.

Dla rysów obyczajowych to nie obojętne; kapustą (t. j. kompostem, mlekiem kwaśnem) «pluskano» sobie w twarz jeszcze za Reja, co on strofował; a do panny mówiło się «pani», jak dziś, już w XV wieku. Bardzo obcesowo brzmi jednak: gdybym taką pannę miał u siebie na folwarku, biłbym ją z wielką radością *(solemni cum gaudio eam verberarem),* ale to nie sadyzm, zob. niż. i porównaj z innej zwrotki: chciałbym *tuum corpus lacerare.* Jest mowa i o jego ojcu, dobrym Polaku (Elena, córka Piotra, była widocznie Niemką), ale skąpym, wsi skupuje,

bo dziewki lubi, a mnie grosza nie chce dać, aż spać nie mogę. Coraz powtarza rysy jej piękności, ależ i pobożna ona, chodzi przez miasto do św. Trójcy (dominikanów) na modły; z zachwyceniem przypomina chwile, gdy przy niej siedział, jej włos głaskał. Daje nawet datę swego listu, w poniedziałek, w maju, w dzień św. Dobiesława (t. j. Tobiasza, ale data mylna, żadnego Tobiasza 5 maja niema). Ostatnia zwrotka nieco pesymistyczna: O tem niema wątpienia, że jest piękna, ale wątpliwe, czy mi sprzyja *parva* (może *panna?) Elena.* Najdłuższy to utwór erotyczny całego naszego średniowiecza; mieszaninę łaciny i czeszczyzny mają też czeskie wiersze miłosne — więc to nie wymysł polski wyłącznie.

## TRAKTATY NAUKOWE

W wieku XV odmieniło się wszystko, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej; uniwersytet stworzył naukę teologiczną i scholastyczną, wymowę świecką i kościelną, poezję łacińską i polską. Nowy członek duchowej spólnoty europejskiej zajął odrazu wybitne miejsce na soborach w Konstancji i Bazylei; do Konstancji zgłosił się sam, Bazyleja słała do niego, chcąc zabezpieczyć sobie jego wsparcie moralne. Paweł Włodkowic (Paulus Vladimiri) herbu Dołęga z Brudzenia wielkopolskiego, uczeń Pragi i Padwy, rektor krakowski z r. 1414 i 1415, doktor dekretów, bronił w Konstancji sprawy polskiej przeciw oszczerstwom krzyżackim, które z powodu pomocy litewsko-ruskiej przeczyły katolicyzmowi polskiemu, pomawiały Polskę o popieranie «herezji». Otóż dowodził rektor krakowski słuszności polskiej, szczególniej w pierwszym traktacie, przedłożonym soborowi *(O mocy papieża i cesarza wobec niewiernych),* przyznając papiestwu (słońcu) wyższość nad cesarstwem (księżycem), że nie wolno spokojnych niewiernych nachodzić, nawracać ich siłą i pozbawiać ziemi (przeciw roszczeniom krzyżac-

kim); że godzi się dla własnej obrony oprzeć się i o pomoc niewiernych (za stanowiskiem polskiem). Powtarzał te wywody w dalszych traktatach, a osobno zwalczał dwa paszkwile domikana Jana Falkenberga, jako pełne najzjadliwszych wycieczek przeciw królowi i Polsce (pierwsze to pismo polityczne, przełożone na polskie i odczytane zgromadzonej na wiecu szlachcie), i domagał się zasądzenia ich i potępienia jako heretyckie. Sprawy polskiej bronił i nadal przed Marcinem V w licznych pismach procesualnej natury: to było głównem zadaniem jego pracy życiowej.

W trzydzieści lat później wystąpił w tej samej sprawie młody Henryk Bąk z Góry, Małopolanin, uczeń uniwersytetu, z traktatem przeciw Krzyżakom, najeźdźcom Polski, w samym początku «długiej wojny»; ciekawy on nie dla polemiki z Krzyżakami, nie wytaczającej po Włodkowicu nowych argumentów, lecz dla partji końcowej, zwróconej w myśl duchowieństwa przeciw królowi, który chciał zmusić duchowieństwo do znaczniejszych ofiar na rzecz wojny. Ciekawe tu wysunięcie jednego stanu przeciw drugiemu: duchowieństwo zwalało ciężary na «administratorów państwa» (tytuł z stosunków dawniejszych, po śmierci Jagiełły i Warneńczyka), t. j. na możnowładców: oni, nie pospolite ruszenie, ani wojska zaciężne, swojemi chorągwiami, jak za Grunwaldu, powinni poskromić Krzyżaków; król źle postąpi, naruszając nietykalność dóbr kościelnych — egoizm stanowy w najnaiwniejszej formie; słusznie też dzieciątkiem nazywał się autor, poświęcając pisemko dekretystom krakowskim, szczególnie Janowi Dąbrówce. Pisemko nie ważne, ale charakterystyczne, jakiemi to manowcami uchylano się od świadczeń niezbędnych.

Nierównie większej wartości były inne traktaty, które wychodziły spółcześnie od dawnych czy jeszcze urzędujących profesorów uniwersyteckich (ich pisma przeciw Husytom pomijamy), a służyły celom praktycznym, kształceniu duchowieństwa w jego czynnościach duszpasterskich, mianowicie w odprawianiu

sakramentów, a szczególnie mszy św. Biadały też nad nieuctwem księży synody i biskupi i należało zaradzić złemu. Ciołek nakłonił Mikołaja Pczółkę z Błonia (mazowieckiego), kapelana swego, byłego mistrza krakowskiego i proboszcza, do napisania podręcznika, *Sacramentale*, który nietylko dla diecezji poznańskiej i płockiej, ale dla Polski i zagranicy nabył znaczenia, skoro go (nie licząc odpisów), od r. 1475 (t. j. od druku Eljana wrocławskiego) dziesięć razy do r. 1500 przedrukowano, dla jego jasności i dokładności; te same zalety odznaczały i jego zbiór kazań, drukowany nieraz zagranicą od XV do XVII wieku, ceniony dla przystępności i potoczystości. Mniej udał się podobny traktat, jaki na Andrzeju z Kokorzyna wymógł Oleśnicki w tym samym celu; tegoż *Speculum sacerdotum* (Zwierciadło księże) i niedokończone i co do popularności nie mogło się równać z Mikołajowem; autor słynął jako zawołany teolog, zwalczał Husytów, jak jego praski nauczyciel Palecz i inni.

Wszystkich teologów krakowskich przewyższył Jakub, cysters paradyski i mogilski, uczeń cystersów czeskich (zbrasławskich), dalej uniwersytetu krakowskiego, gdy r. 1417 nakazano cystersom polskim pobierać nauki teologiczne w Krakowie; tu został kaznodzieją uniwersyteckim i profesorem, ale nie znalazł ani w celi ani na katedrze ukojenia myśli, znalazł je w eremie kartuskim pod Erfurtem, gdzie spędził ostatnie lata życia (1447—1464), oddany pracy literackiej. Niemiec to wielkopolski — w kazaniach jego spotyka się i wyraz niemiecki, brak polskiego natomiast — ostro występował, z mniszą nieraz zaciekłością, przeciw rozluźnieniu zakonnemu i nadużyciom kościelnym, więc jak i Mateusza Notarii uważano go później dowolnie za poprzednika reformacji. Jednakże on nigdy o dogmaty, zawsze tylko o moralność walczył, przejęty powołaniem kaznodziejskiem, wymowny oskarżyciel każdego przestępstwa przeciw regule zakonnej, pojmowanej w duchu wyrzeczenia się świata, więc nawet w własnym zakonie miru nie znalazł, ceniony tem

bardziej przez umysły głębsze, jak tego dowodzą niezliczone odpisy traktatów jego o zakonnikach, o urzędzie duchownym i jego reformie, kazań, szerzonych od r. 1470 i przez wczesne druki; traktaty mogilskie poświęcał sprawom zakonnym głównie, erfurckiemi całego Kościoła dotykał.

W drugiej połowie wieku zaczyna bogaty zdrój literatury teologicznej powoli zasychać, a dotyczy to i literatury homiletycznej; zbiorów kazań coraz mniej bywa nowych. Dostarczała ich licznie pierwsza połowa. Przeważała forma postyli, która objaśniała tekst lekcji ewangelicznej, trzymając się nie sensu słownego, lecz tłumacząc go przenośnie, najczęściej moralnie lub mistycznie. Wplatano dla zbudowania słuchaczy, a głównie dla podniecenia martwiejącej ich uwagi historyjki nieraz wcale nie budujące, wybierane z anegdot i powiastek całego świata w osobnych podręcznikach o najrozmaitszych tytułach i rozmiarach dla wygody kaznodziejskiej. Literatura to na ilość bogata, ale niewiele w niej oryginalnego; najciekawsza, gdzie od cytacji z Pisma i Doktorów Kościoła przechodziła do obyczajności spółczesnej, karciła stroje barwne i wymyślne, długie włosy, grę w kostki, hulanki nocne, najwięcej zaś śpiewy i tańce, narzędzia djabelskie na uwiedzenie ludzkości, szczególniej wiosenne, około Zielonych Świąt.

Cała ta literatura, nieco uboga, dogmatyczna i moralizująca, najbogatsza kaznodziejska, nie znała innego ducha i trybu niż średniowieczny, scholastyczny. Na powagach oparta, dialektyką wojowała; od przesądów nie wolna, ascetyzmem zaprawiona, gorszyła się światem, stale mu zaświat przeciwstawiała, w tegoż imię ziemski potępiała. Nie zdobywała się, chyba u Jakóba z Paradyża, na samoistność, powtarzała i przerabiała dawne, co szczególnie widnieje w traktatach filozoficznych, tezach i dysputach, jakie liczni tomiści a wyjątkowo skotyści w ciągu studjów uniwersyteckich urządzali: dawny scholastycyzm średniowieczny, jedynym Arystotelesem wiedziony, pano-

wał tu niepodzielnie; doświadczenie nie odgrywało roli, zepchnięte przez kazuistykę i sofistykę, rozstrzygające o wszystkiem zgóry, dedukcyjnie, wedle samych oderwanych pojęć.

## JAN DŁUGOSZ

Duchem średniowiecznym, hierarchicznym przesiąkło i wielkie historyczne dzieło Jana Długosza, kanonika krakowskiego, stronnika i wielbiciela autokraty duchownego (Zbygniewa Oleśnickiego), nieznużonego pracownika, gorącego patrjoty, jeszcze gorętszego katolika. Wobec braków i luk w dawnem kronikarstwie. powziął Długosz, naglony przez biskupa, który ocenił zdolność i pracowitość swego kanonika, zamiar wystawienia dzieła pomnikowego, co miałoby ogarnąć całe dzieje narodowe z lat pół tysiąca, zebrane ze wszelkich możliwych źródeł, domowych i obcych, co do czasów nowszych z własnych doświadczeń i pamięci; co miałoby powiązać te dzieje z wyrokami Opatrzności, miłującej i karzącej wedle czynów i chęci; co miałoby zadowolić słuszną dumę narodową, potomnym przedstawiać czyny, świetne i dobre, do naśladowania a odstraszać od błędów. Przez całe życie, o ile liczne inne obowiązki służby duchownej i państwowej (w misjach wszelakich do Węgier i Włoch, do Prus i Pragi), a nawet kierownictwa wychowaniem synów królewskich, dozwalały, zbierał Długosz materjały źródłowe do wiekopomnego dzieła, układał żywoty świętych, katalogi biskupów, opisywał herby, stworzył bogaty inwentarz dóbr kościelnych diecezji krakowskiej, uczył się po rusku, aby z Nestora korzystać, stworzył więc pierwszy wielkie naukowe dzieło, przewyższające znacznie poziom kronikarstwa średniowiecznego; wzorem był mu Liwjusz w stylu i przedstawieniu. Zamysł był pierwotnie odmienny, chodziło o wystawienie dziejów spółczesnych z punktu widzenia Oleśnickiego (teokratycznego, przewagi Kościoła nad państwem) i tym poświęcił Długosz najwięcej miejsca; księgi

XI i XII, które o nich prawią, są niemal równej objętości z poprzedniemi dziesięcioma. W kreśleniu dawnych dziejów pozostał synem swego wieku; jego oczyma patrzył na przebieg dziejowy, t. j. przenosił stosunki spółczesne na dawne, uzupełniał i rozszerzał niedostateczne wzmianki dawne dosyć samowolnie; próbował już krytyki, ale nie mógł się oswobodzić od krępującej go litery. Roztaczał pierwszy szerokie widnokręgi; poprzedzał same dzieje obszernym opisem geograficznym terenu tych dziejów i charakterystyką ludu i szlachty, nawet rodów pojedyńczych; wciągał wszelkie dostępne mu dokumenty; starał się o pragmatyczne powiązanie szczegółów; szczegóły bitew, przemowy i t. p. zmyślał, dodawał niejedno z własnej fantazji, aby zaokrąglić wykład, nieraz aby przeprowadzić własną tendencję. Szlachetny patrjotyzm i głęboka wiara wodziły jego piórem; stworzył dzieło pomnikowe, które przetrwało wieki; żaden z późniejszych dziejopisów, aż do Naruszewicza, nie odważył się podjąć podobnej pracy; każdy z niego korzystał, on stworzył dzieje średniowiecznej Polski. On zastąpił też jedyny całe dziejopisarstwo wieku, bo komentarz mistrza Jana z Dąbrówki do kroniki Wincentego nic nie miał z historją spólnego, był scholastycznem rozwałkowywaniem wszelakich sentencyj, a dzieła historyczne Kalimachowe (zob. niż.) wartości, oprócz stylowej, nie miały; inne zaginęły lub nie przyszły do skutku, np. to, co polecił król Aleksander r. 1506, napisanie dziejów dawnych Polski Mikołajowi Rozenberskiemu w ciągu roku, wyznaczając mu na to pensję (kopę groszy tygodniowo).[1]

W dziejach kultury Długosz to niezwykła postać. Jedyny

[1] Ten «rycerz jerozolimski» (a więc podróżnik do Ziemi świętej) posłował od króla Olbrachta do cesarza i książąt Rzeszy; ocalały po nim mowy poselskie i rozprawki o Tatarach z r. 1503 (wyprzedził niby Miechowczyka), przedłożone cesarzowi: *Explanatio compendiosa de situ, moribus, diversitate Scithicarum gencium,* i *Adhortacio contra Turcos et Asianos* (w Tekach Naruszewiczowych). Ślad historji polskiej zaginął.

z Polaków, który (wzorem zawsze czynnego protektora swego, Oleśnickiego) nietylko ani na chwilę nie próżnował, ale pierwszy rwał się do pióra, gdy wszyscy inni bądź milczeli, bądź jak ów biskup chełmski, co opisywał wypadki spółczesne, o ogłoszeniu ani pomyśleli i nic nie zdziałali. Ależ to pionier kultury; zwiedzał Włochy, pątnikował do Ziemi św., zewsząd nabywał i odpisywał dzieła ważne, posprowadzał wszelakich klasyków do kraju, pierwszy poddał się zupełnie wpływowi i stylowi Liwjusza (przywiózł egzemplarz tegoż z Węgier); pierwszy w Polsce zdał sprawę o epopei Dantowej, a olbrzymia praca jego naśladowcy już nie znalazła. On jednostronny, ostatni to Mohikan z obozu stawiającego Kościół nad państwem, i z tego punktu oceniający czasy i ludzi, więc niechętny Jagiellonom, szczególniej gdy się z pod feruły biskupa krakowskiego wybili — Polak niby przeciwstawiał się Litwie, ale nie zaślepiał go szowinizm narodowy i ziomkom ostre prawdy prawił. Nie sposób, bez wzruszenia przejść około krótkiego epilogu jego kroniki (bo trybem średniowiecznym za latami postępował), gdzie pracę dwudziestopięcioletnią, w pierwszych księgach coraz kilkakrotnie przerabianą, w wyrazach najpokorniejszych ofiarował pamięci dopełniaczy, których w uniwersytecie (sam bez tytułów uczonych) upatrywał. A dzieło wykraczało za granice polskie, wciągało kraje ościenne: dzieje jednych miały drugie rozświecać. I to wszystko celowo obmyślane i Długosz pierwszy wskazał dziejopisarstwu narodowemu drogi i metodę. Jako człowiek równie on zasłużony, dochodu z licznych swych beneficjów nie zużywał ani dla siebie, ani dla rodziny, lecz budował bursy, kościoły, klasztory. Jedno dziwne: niestrudzony pisarz, gorący patrjota, niczego dla języka narodowego nie zdziałał, i w tem wierny syn średniowiecza, które w swoim uniwersaliźmie (wybitnej cesze katolicyzmu zarazem) dla *lingua vulgaris* miejsca nie znachodziło — może go przykład czeski odstraszał? Postać to jednolita, bez najmniejszej obcej przy-

mieszki; ocierał się po świecie, ale nic z niego doń nie przywarło; niezachwiana wiara, silne poczucie prawa i sprawiedliwości, wyższy pogląd na tok rzeczy ludzkich, charakter niezłomny, unikanie scholastycyzmu i abstrakcji, wyróżniały człowieka i pisarza; on godnie zakończył średniowiecze polskie, nowemu pokoleniu nie podał ręki; ono go też wcale nie oceniło, chociaż z pracy jego gorliwie korzystało.

### WYMOWA ŚWIECKA

Dział wymowy świeckiej, panegirycznej i politycznej, przedstawiał się nierównie obficiej niż dziejopisarstwo; zastąpione były wszelkie jej rodzaje; liczne między niemi przemowy mistrzów krakowskich, posłów polskich na sobory i do Rzymu, duchownych i świeckich, wszystkie po łacinie, nawet jeśli ten, do kogo przemawiano, nie czuł się zbyt silnym w łacinie. Najciekawsze między temi przemowami dwie Jana Ostroroga, magnata, który w uniwersytecie erfurckim i bolońskim studjował (magnaci omijali już szkołę krakowską jako wyłącznie duchowną i przeważnie plebejską) i w Bolonji dekrety jako lektor wykładał, później kasztelan, wkońcu wojewoda poznański (umarł r. 1501). Jedna przemowa, to z r. 1466 przed nowo obranym papieżem Pawłem II, gdy w imieniu królewskiem obediencję mu składał: nadzwyczaj pompatyczna, gdzie na podstawie kroniki Wincentego Aleksandra W. i Cezara zwyciężał (co wywołało protest ze strony nienazwanego «poety» włoskiego, podtrzymującego honor niezwyciężonego przez nikogo Rzymu), a dalej Jagiellonów, obu Władysławów, jako kolumny wiary wysławiał. Cenniejsze jego *Monumentum*, t. j. memorjał, zwrócony ku senatorom na sejmie generalnym (którym? nowokorczyńskim z r. 1475?) zebranym, traktujący najpierw o rzeczach duchowych, a od 24 rozdziału o świeckich wszelakich: próba reformy państwowej, bardzo stanowcza wobec roszczeń

duchowieństwa, mniej wobec braków świeckich. Średniowieczyzną trącą cytaty «doktora dekretów», ale duch nowy zerwał z teokracją zupełnie, uznawał tylko władzę monarszą, zwracał się przeciw wszelkim zastarzałym przywarom, bo oto klasztory polskie nie przyjmują Polaków; kazania niemieckie panoszą się jeszcze zawsze w kościele; nacisk synów chłopskich i rzemieślniczych do duchowieństwa; nieuctwo księży, co ledwie Aleksandra (gramatykę) i Donata przeczytał, już plesz ogolił i z kazalnicy wrzeszczy i t. d. Pomysły jego nie sięgały zbyt głęboko, chociaż niejeden, np. żądanie wprowadzenia prawa «cesarskiego», równości praw dla wszystkich i in. brzmiały nieco rewolucyjnie, bo w praktyce malały, np. żądanie różnicy stroju głównie żydów i nierządnic dotykało, a żądanie języka polskiego umowy i skargi sądowej nie przekraczało (i ani spółcześni więcej nie żądali). Górowały poczucie i duma narodowe; oburzał się przeciw wszystkiemu, coby czci narodowej uwłaczało, a więc przeciw odwoływaniu się od sądów w Polsce do «szewców majdeburskich», przeciw wywożeniu annat (opłat rocznych) do Rzymu; żądał, by w Polsce po polsku mówiono (jak Niemcy u siebie od Polaków niemczyzny wymagają). Na mieszczan niebardzo łaskaw: żądał zniesienia cechów, bo podrażają ceny; sarkał na żydów i ich lichwę; nie godził się, by ceł w kraju od krajowców pobierać. *Monumentum* ciekawsze dla dziejów kultury, niż reformy lub literatury, bo przeszło niezauważone, bo w formie suche, pobieżne, luźne, a w treści, szczególniej co do ostrej antyrzymskiej postawy, nie nowe, powtarzało co Mateusz z Krakowa i Paweł Włodkowic przed nim prawili.

Ten sam temat chwały narodowej, jaki Ostroróg w przemowie do Pawła II, opracował dwadzieścia lat przedtem doktor (medycyny) padewski i profesor krakowski, Jan z Ludziska, witając Kazimierza w murach uniwersyteckich: skromny ksiądz nietylko gładkością wymowy przewyższył pana kasztelana, ale

pierwszy przed Skargą, w tej jednej przemowie aż trzykrotnie zaprotestował przeciw uciskowi chrześcijan, nam równych, t. j. przeciw niewoli chłopskiej w Koronie i Litwie i wyraził nadzieję, że nowy król dzieła miłosierdzia dopełni. Z innych jego mów okolicznościowych wiał duch nowego stylu, na Cyceronie kształconego: nietylkoż medycyny nasz ksiądz się w Padwie wyuczył.

Wymowy świeckiej u nas już wiek XV wytworzył mnóstwo, lecz mów polskich (wiecowych i in.) nikt nie spisywał, a łacińskich niewiele; kilka ocalało zagranicą, np. biskupa Łaskarza przemowy na soborze w Konstancji, albo przemowy do papieży, między któremi odznaczała się mowa kanonika Mikołaja Lasockiego do Mikołaja V z r. 1448 (przeciw Turkom, temat coraz częściej przez Polaków uprawiany). Mowy dyplomatów polskich owiane były duchem nowszym i stylem poprawniejszym się odznaczały; mowy uniwersyteckie, np. Stanisława Skalmierczyka, czy na pogrzebie Jadwigi, czy przy otwarciu uniwersytetu 1400 r., były nawskróś scholastyczne, t. j. oderwane, ogólnikowe, brnęły w cytacjach a unikały faktów; mowy u Długosza były jego konceptu; przy końcu wieku dopiero i na uniwersytecie wymowa humanizmem się zabawiała.

## POEZJA ŁACIŃSKA

Poezja nierównie uboższa; okazy jej liczniejsze, lecz brak im właśnie poezji, gdyż forma metryczna i wyszukana frazeologja (dobierająca chętnie i słów greckich!) same poezji nie tworzą. Rola jej głównie służebna, ona skraca i zabawia, a ułatwia pamięć, więc podręczniki metryczne *(Metrificale* np. Marka z Opatowca) i inne w wierszach układano; pisano satyry na wszelkie stany a szczególnie i na dworaków, ale całkiem ogólnikowe (podobnie jak *Antigameratus* XIV wieku), w których cech polskich prócz jednego i drugiego wyrazu (np.

*kmetho* 'kmieć') prawie niema. Najliczniejsze były wiersze nagrobkowe, nieraz wcale obszerne, całość życia wystawiały, nagrobki królów (Jagiełły, Jadwigi, Zofji) i rodziny królewskiej, córki Jagiełłowej, Jadwigi; wiersze na urodziny królewiczów, magnatów wszelakich (Zawiszy, kasztelana Szamotulskiego, biskupa Łaskarza); wprowadzały nawet zmarłych przemawiających, np. Warneńczyka, Odrowąża; były to wiersze Adama Świnki, Grzegorza z Sanoka i in., Świnka zmarł przedwcześnie. Liczne były wiersze religijne, Maryjne, do świętych Pańskich, szczególnie do patronów polskich, śś. Wojciecha i Stanisława.

Osobna wzmianka należy się garstce wierszów historycznych, o Grunwaldzie, o klęsce Warneńskiej, o zatargach Oleśnickiego z Gruszczyńskim o Koźmin, o spustoszeniu Sambora r. 1498: było tego nierównie więcej; sam Grunwald wywołał cały rozlew wierszów, krótszych i dłuższych, wszystko anonimowe. Łacińskie ówczesne nie mogły chyba na liczbę się równać z polskiemi i niemieckiemi, które lada przypadek, anegdota wywoływały, które tak prędko ginęły, jak powstawały, jednodniówki, gdy łacińskie na bardziej literacką, uczoną formę zakrawały. Ten sam benedyktyn wiedeński (opat Marcin), który o żaku-panience anegdotę przechował, opowiada, że w śląskiej Nysie, gdzie do szkoły kolegiackiej (z pięciu uczącymi, rektorem i bakałarzami) r. 1418 uczęszczał, żacy ukradli worki z węglami; ścigani przez mieszczan zatarasowali się w szkole i wytrzymali oblężenie, obrzucając napastników kamieniami, cegłami z muru; uratowało ich wdanie się biskupa wrocławskiego: o takiej bagatelce ułożono pieśń, śpiewaną długo potem na Śląsku! To powtarzało się stale; o zabójstwie Tęczyńskiego i straceniu zato rajców krakowskich krążyły pieśni niemieckie i polskie, które przeważnie zaginęły. Łacińskich było mniej, zato bardziej uczone, liczyły się ze stylem i formą, czego w polskich nie było. Taki między niemi najobszerniejszy i najbardziej wy-

gładzony Dialog o Zbygniewie Oleśnickim, raczej nekrolog, broniący zasad i czynów kardynała, rozbity na kilka osób-rozmówców.

Cała ta poezja, trybem średniowiecznym i anonimowa i międzynarodowa, korzystała z gotowych formułek i schematów, nieraz wplatała coraz luźne wiersze i zdania z ulubionych poetów średniowiecznych (Maximiana, Alana, Palestry i in.), rzadziej klasycznych (Owidjusza). Przechowało się kilka nazwisk tych poetów, takiego np. Stanisława Ciołka (zob. wyż.), Grzegorza z Sanoka (zob. niż.); przedwcześnie zmarłego kanonika krakowskiego Adama Świnki (autora kilku epitafjów, sławionego przez Długosza i domniemanego autora utraconego poematu historycznego o czynach i zdaniach Kazimierza Wielkiego); mistrza krakowskiego Marcina z Słupcy; innych nazwisk nie znamy, np. autora dwu dłuższych satyr obyczajowych *(O złościach wyrządzonych na świecie* i *O nędzy dworskiej),* jakiś to mistrz Mikołaj Olochoch (Ołobok), uczący w szkole katedralnej poznańskiej.[1]

Cała ta poezja i proza, szczególniej w pierwszej połowie wieku, tkwiła w najgrubszej średniowiecczyźnie tak co do myśli, jak i co do formy, opadając np. w owych satyrach mistrza Mikołaja jak najniżej. Ale już i w pierwszej połowie, a w drugiej z każdym lat dziesiątkiem pojawiała się i proza gładsza (np. Długoszowa, na Liwjuszowej wzorowana) i wiersz wolny od skaz średniowiecznych (np. ów Dialog o Oleśnickim, albo

---

[1] Satyra na dworzan pańskich wystawia nędzę ich życia (o głodzie i chłodzie; bezsenność; na każde zawołanie stawać i t. d.), i sprosność (służba Wenerze i Bakchowi; niecne żarty; kłamstwa; stroje). Satyra «o złościach», bardziej ogólnikowa, wyłącznie z książek czerpie, nawet gdy chłopom zarzuca, że oszukują mieszając z pszenicą żyto, nie dosypując worków, wełnę zwilżając, by cięższa była na wadze; albo kupcom o dwojakim łokciu, co zasłaniają światło, gdy sukno liche sprzedają; spółcześni kaznodzieje nierównie dokładniej to samo prawili.

wiersz o Odrowążu z r. 1465, «pierwszy humanistyczny wiersz w Polsce»), a w uniwersytecie nawet znikali z końcem wieku średniowieczni poeci i poetyki (Ganifredus, Alanus i in.), ustępując klasycznym.

## ZWIASTUNY HUMANIZMU

Nowy duch i język, treść i styl, przesiąkały powoli do Polski. Powstały one we Włoszech, pod ich niebem jasnem i pod wpływami, nigdy zupełnie nie zerwanemi tradycji i sztuki starożytnej; to odżywanie klasyczności, ten najpierwotniejszy renesans przeciw wyłącznemu ascetyzmowi średniowiecznemu, przeciw jego zubożeniu myśli i życia zaczął się już w wieku XIII, a wygórował w XV. Spotykali się z nim Polacy za własnych studjów w Padwie i Bolonji, spotykali na soborach w Konstancji, Bazylei, Florencji. Tu zawiązywali stosunki z wybitnymi humanistami włoskimi; stąd przywozili cenne rękopisy do Krakowa, starożytne i włoskie (Boccacia) i natychmiast wyróżniamy po stylu i łacinie Polaków Padewczyków i Bolończyków, Jana z Ludziska, Mikołaja Lasockiego,[1] Grzegorza z Sanoka, od zadomowionych rodaków. Skoro bezpośredni związek z Włochami rozstrzygał, nie dziwi nas, że Węgry, które od początku XIV wieku najżywsze z Włochami (już przez swoich Andegawenów) podtrzymywali stosunki, Polskę wyprzedziły. Taki biskup waradyński, Jan Witez (Gara), był skończonym typem księcia Kościoła renensansowego, a synowiec jego, przedwcześnie zmarły Jan (Pannonius), był najznakomitszym poetą łacińskim XV wieku (wiersze jego rozeszły się w mnóstwie wy-

[1] Lasocki wysyłał z Polski bratanków swoich do Ferrary, do Guarina, na wychowanie; ten w liście z r. 1436 obawiał się, czy się ci panicze, wychowani w zbytku i rozpieszczeni, zgodzą na jego bób i nieomaszczoną mąkę i na poły surowe jarzyny; w druku z bobu i mąki *(fabas, farinam)* zrobiono *fabulas* i *famam.*

dań i w XVI wieku, żaden z naszych neolatynistów równie licznemi nie może się poszczycić). Na dworze tego magnata z rodu, ducha i majątku gościli humaniści, Włoch Paweł Vergerio (autor cennego dzieła o wychowaniu szlachetnej młodzi), Grek z Cypru Podachatherus i in.; tu otrząsł się ostatecznie z średniowiecczyzny Grzegorz z Sanoka.

Jedyny to dawny Polak, którego rozwój i wizerunek duchowy posiadamy najdokładniejszy; skreślił go obcy, Włoch, na podstawie kilkuletniej zażyłości u schyłku żywota arcybiskupa lwowskiego w jego Dunajowie. Portret Grzegorza, skreślony ręką Kallimacha, jest literackim klejnocikiem (takiej łaciny i stylu Polska jeszcze nie znała), a dla historji kultury pomnikiem pierwszorzędnej wagi. Występuje w nim jak żywy ten zwłoszały jarosz, stroniący od hucznych biesiad i sprośnych żartów sarmackich, skąpy i porywczy w domu, jowialny i łagodny na ulicy, wymowny i poważny w kościele, wielbiciel medycyny a unikający lekarzy, wróg alegorji (obniżającej doniosłość cudu i czynu) i zbyt dokładnego wystawiania i badania tajemnic wiary (szczególniej dla prostaków nie wolno zdzierać zasłony!), gardzący dociekaniami scholastycznemi, powtarzaniami cudzych autorytetów (choćby Arystotelesa), ceniący natomiast etykę dla treści a wzorową łacinę dla stylu, gardzący nieuctwem i lekkiem traktowaniem obowiązków duchowieństwa, dowcipny i towarzyski (w szczupłem gronie), co spokój i ciszę nadewszystko umiłował i od życia publicznego się świadomie odsuwał. Nie przeczymy, że w wizerunku Kallimachowym wiele i przesady i własnych myśli i życzeń, że idealnego duszpasterza kreślił w postaci Grzegorzowej, ale nie zapominajmy, że to żywot żyjącego, skreślony dla kolegi (Oleśnickiego), świadomego rzeczy, wobec którego nie uchodziło czarne za białe wydawać. Gdybyśmy Długoszowi (który chyba niechęć kardynała przeciw Grzegorzowi odziedziczył) zawierzali, widzielibyśmy w Grzegorzu tylko nowe wydanie poznańskiego biskupa Jana

z XIV wieku (muzyka, wiersze, kobiety), ależ i on przyznawał Grzegorzowi «ścisłą przyjaźń z Muzami i znaczenie w prozie jak w wierszu i w innych kierunkach humanizmu jak i w kazaniach»; co do kobiet zaś stwierdził Kallimach tak stanowczo zupełny defekt fizyczny Grzegorza, że przeciwne plotki Długoszowe niezbyt wiele znaczą: co innego, że Grzegorza «podwika nie mierziała», bo trudnoż bez niej o dobrą myśl u humanisty. Ale wywody Kallimachowe rzucały światło i na inne rzeczy, np. na niemiecki charakter Krakowa («tu widział Grzegorz, że wszystko, czy publiczne czy prywatne, po niemiecku się odbywa»), a cóż znamienniejszego, niż owe słowa znowu o Krakowie: «wtedy (za młodości Grzegorzowej) miasto, oddane najzupełniej teologji przy zaniedbaniu wszelkich sztuk wyzwolonych, muzykę najwyżej ceniło, bo przez nią ceremonje boskie jak najuroczyściej sprawiano» (rozumiemy więc, jak żacy śpiewem w kościele żywić się mogli; i Grzegorz «odznaczał się w sztuce, którą miasto najchętniej uprawiało»).

Ale nie od samotnika Grzegorza, który nawet tego co pisał nikomu nie udzielał (rzeczy historyczne, o Warneńczyku, i wierszyki, np. na Świętochnę Kallimachową), lecz od jego żywociarza Kallimacha rozszedł się pierwszy humanizm po Polsce. Gdy Włoch ów talentem swoim zdobył względy królewskie i z nauczyciela łaciny synów królewskich na zawołanego dyplomatę, używanego do wszelakich misyj się wzniósł, skupił on około siebie w Krakowie dobrane kółko literatów, niby jakąś akademję humanistyczną, w rozmowach towarzyskich o wykwintnym stylu roztrząsającą wszelakie zagadnienia, np. historyczne, i uprawiającą kult książki. Do tego kółka, które przetrwało do śmierci Kallimacha (1496 r.), należeli Piotr Bniński (biskup włocławski), krakowianin z Saksonji Jan Heidecke (Mirica; członkowie tej «akademji» przybierali imiona łacińskie, tłumaczone), pisarz miasta Krakowa i archiprezbiter u P. Marji; lekarz profesor Jakób Bokszyca (podróżnik do Ziemi św.);

profesor Mikołaj Tauchan (Mergus) z Nyssy; medyk i astronom boloński doktor Mikołaj Wódka z Kwidzynia;[1] Maciej Drzewicki, wychowanek Kallimacha;[2] słynny astronom Wojciech z Brudzewa (Albertus Brutus), który Celtesa uczył (ale za bytności Kopernika w uniwersytecie 1491—1495 r. astronomji nie wykładał, i Kopernik tylko z jego pism i wykładów Arystotelesowych korzystał), r. 1494 do Wilna jako sekretarz w. księcia się udał, gdzie już 1495 r. umarł.

To kółko prywatne, na szerszej widowni nie występowało; Kallimach sam pisywał wiele, wiersze okolicznościowe (i miłosne) w stylu wyborowym (zbierał je Drzewicki) i historyczne dziełka oprócz biografji (Grzegorza i Oleśnickiego),[3] ale to szerzyło się w nielicznych odpisach; Piotr z Bnina i Drzewicki wymagali od humanisty skreślenia godnego dziejów polskich,

---

[1] Przezwany «Abstemius», jakby wina nie pijał, zwyczajem ówczesnym nierzadkim (Włoch Bevelaqua; u nas w XVI wieku znany Węgier Bornemissa i in.); on sporządził r. 1490 kompas słoneczny (do dziś istniejący) na ścianie kościoła we Włocławku, wedle późnej tradycji wraz z młodziutkim Kopernikiem, bawiącym u wuja (Wacenrode) w Włocławku; autor kilku «iudiciów», prognostyków, lekarz ceniony i astrolog.

[2] Herbu Ciołek, żak jakoby żebrzący w Krakowie, którego Kallimach przytulił i ze stajennego wyprowadził na sekretarza, najpierw własnego, potem królewskiego, który za trumną swego «ojca» szedł już jako podkanclerzy, wkońcu arcybiskup gnieźnieński. Najdawniejszy *exlibris* polski (wedle herbu) odklejono z jego książek i z rękopisu «Retoryki», który Kallimach swemu ulubieńcowi podarował.

[3] Żywot Oleśnickiego (kardynała) jest parodją poprzedniego. Grzegorz był mieszczaninem, więc niema mowy o jego przodkach, Oleśnicki szlachcicem, więc niemal połowa dziełka poświęcona herbowi jego Dębno i bzdurom o Scytach i Deombrocie, od którego Kallimach Dębnów wywodził. Wedle niego Polska Dębnom więcej zawdzięczała niż Bogu i ludziom, ale pisząc w kilka lat później dzieje Warneńczyka (co na nim Piotr z Bnina i św. Kazimierz wymogli), o Zbygniewie Oleśnickim już ani wspomniał, dowodząc, że umie pisać tak i owak! W całym «Żywocie» jedyny nowy szczegół, jak piesek ocalił kardynała przed śmiercią w płomieniach — zresztą nic a nic!

co dopiero M. Kromer dokazał. Obok kółka Kallimachowego, elity towarzystwa krakowskiego, utworzył inne podobne, o Niemców krakowskich i śląskich oparte, wędrowny humanista i poeta uwieńczony Konrad Celtes z Würzburga, który jak i w innych miastach, w Krakowie akademję Wiślną *(Vistulana)* zakładał, wykłady prywatne (w bursie węgierskiej) miewał, listowania humanistycznego uczył, w *Sodalitas litteraria* wiersze pisał i uczniów-wielbicieli skupiał, od 1489 do 1491, kiedy Kraków nagle opuścił, może nie doznawszy uznania, na jakie liczył. Starsi znajomi i młodzi uczniowie garnęli się chętnie około niego, taki Wojciech z Brudzewa, którego sława astronomiczna i Celtesa nęciła; medyk Jan Ber (Iohannes Ursinus) z Krakowa, którego *Modus epistolandi* (z r. 1496) całkiem humanizmem przejęty; podobny drukował Wrocławczyk, magister Bernard Feyge (Caricinus) r. 1500, pisany w Krakowie; później Wawrzyniec Rabe (Corvinus) i Jan Rack z Sommerfeld (Ioh. Rhagius Aesticampianus). Ale *sodalitas* sama rozwiązała się rychło po wyjeździe Celtesa (który w późniejszych wierszach Krakowa i «Sarmatów» już nie oszczędzał), uniwersytet trzymał się od niej na uboczu.

Humanizm odezwał się wprawdzie w traktacie *De institutione regii pueri* (o nauczaniu syna królewskiego), niby od babki Elżbiety dla spodziewanego syna Władysława czeskiego i węgierskiego, napisany około r. 1502 przez nieznanego (Włocha?); omawiał początkowe i dalsze wykształcenie, uwzględniał obok moralnego i fizyczne, a kładł główną wagę co do umysłowości na nabraniu znajomości czystej łaciny (z Wergiljusza i innych prawych źródeł), i wprawy w retoryce (na podstawie Cycerona); przestrzegał przed pochlebcami, ale zalecał hojność dla uczonych i literatów, bo ci uwieczniają pamięć panujących swojemi utworami. Mimo tego zabarwienia humanistycznego trąciło pisemko jeszcze nieco średniowiecczyzną, zbieraniną

sentencyj i anegdot; wychowanie religijne (niezbędne, bo religją zdobywa się przywiązanie poddanych), ograniczało się zewnętrznemi rysami.

## NAUKI

Monopol naukowy dzierżył stale Kraków dla swego *studium generale,* lecz bardzo nierównie te nauki uprawiał; najmniej medycynę. Lekarzy uczonych było mało i nadzwyczaj ceniono ich usługi; jak starał się np. schorzały Zbygniew Oleśnicki, aby z Węgier od Huniadego Marcina Króla (z Przemyśla) zwabić ponownie do Krakowa. Nie Kraków, lecz Padwa dostarczała Polsce graduowanych mistrzów (szkoła Salerna włoskiego i Montpellier francuskiego całkiem wyjątkowo), więc w ich braku radzono sobie domowymi, cyrulikami, babami, żydami (którzy jeszcze z Hiszpanji od arabskich medyków nieraz naukę wynieśli). Chorobę przyjmowano jako «Bożą karń»; lekarz widział w niej naruszenie równowagi między owemi czteroma składnikami przyrody ludzkiej: zimnem i gorącem, wilgotnem i suchem i starał się odpowiedniemi środkami (bo i rośliny miały te właściwości) równowagę przywrócić; zewnętrznym uszkodzeniom zaradzał zręcznie bandażami i t. d.; wewnętrznym radził swojemi receptami, tem nieskuteczniejszemi, im bywały dłuższe. Jeżeli kuracja jego nie skutkowała, odmawiano umówionej zapłaty, spory z nim jak i z aptekarzem należały przed forum duchowne, jak wszystko, co z jakąkolwiek nauką, choćby odpisywaniem książek, miało styczność. «Aspekty» na niebie (konstelacje), oraz pory roku silnie wpływały, więc nauka rządzenia, zatrzymania zdrowia dla każdego miesiąca stanowiła, czego unikać czy zażywać wypadało, i kalendarze obfitowały w dłuższe i krótsze wiersze z podobnemi naukami (niby od szkoły w Salerno wydanemi). Czego wszystkiego nie polecała ta medycyna! wydzieliny ludzkie i zwierzęce pod czas lub wa-

runki osobliwsze zebrane, stare podeszwy, starte na proch, korzenie zagraniczne i wszelakie minerały (stale fałszowane); rogi łosiowe i skóry służyły wprost, zbawiennie, jako leki albo odwracały jako amulety niebezpieczeństwo. Anatomji jeszcze nie było, wedle zwierzęcego poznawano ciało ludzkie; obserwacja moczu uchodziła za najpewniejszą oznakę; puszczanie krwi przez «zacinanie» żyły lub przez pijawki, stawianie baniek, łaźnia były najpospolitszemi środkami; zioła lecznicze zbierano jak najstaranniej i cała nauka botaniczna polegała na rozeznawaniu traw i ziół, jakie ich «przyrodzenie» i przeciw czemu je stosować. Łaciński podręcznik wierszowany (Macer) wystarczał dla teorji; praktyka bab, sprzedających zioła na trecie, ją uzupełniała; uwzględniano więc starannie ich słownictwo i temu zawdzięczamy zapisywanie polskich nazw roślinnych; kanonik krakowski Stanko zebrał ich i spisał całemi setkami r. 1472, skąd najobfitszy dział dawnego słownictwa stanowią właśnie nazwy roślinne. Szalbierstwo kwitło w najlepsze, od owego dominikana, brata Mikołaja z r. 1280, o którym wyżej była mowa, aż do Adama Balińskiego, który króla Aleksandra o życie przyprawił; akta konsystorskie wypominają niejedno, jak np. kanonik Wódka z Kwidzynia (zob. wyż.) ocalił stosownemi środkami życie pacjentce, zagrożone przez szalbierza; każda kapituła przecież starała się mieć między swoimi członkami obok dekretystów również doktora medycyny. Przy fatalnych warunkach zdrowotnych szalały po miastach choroby zakaźne i kto mógł uciekał na wieś przy pierwszych oznakach «moru»; księgi kapitulne czy sądowe pełne zawieszań czynności sądowych, odroczeń terminów, zjazdów, wieców, synodów dla grasującej *pestis*. I *lepra* (trąd) pochłaniała ofiary i bywał za miastem osobny dom *leprosorum;* miasta i zakony utrzymywały szpitale, przeznaczone głównie dla kalek.

Nierównie lepiej niż medycyna kwitła w Krakowie astrologja, astronomja, matematyka, bo wszystko razem się wiązało;

przyczyna była ta, że medycyną zawiadywał osobny fakultet, błyszczący stale jak najsłabszem obsadzeniem (jeden lub dwu mistrzów, albo i żaden), gdy astronomja należała do «sztuk wolnych», do programu filozoficznego, więc z urzędu ją uprawiano, z tym lepszym skutkiem, że były w Krakowie nawet dwie osobliwsze dla niej przeznaczone katedry, fundacji Jana Stobnera i Marcina Króla. Ich kolegjaci uczyli geometrji i arytmetyki (t. j. wykładali «Euklidesa» i «algorysm» Jana de Sacrobusto-Holywood), teoryki planet wedle tablic króla kastylijskiego Alfonsa, zestawiali corocznie kalendarz (almanach), a dalej i *iudicium*, przepowiednie wedle konstelacyj, jaki będzie rok przyszły nietylko co do zmian atmosferycznych (pogody, urodzajów, chorób), ale i co do zmian politycznych, wojen, rozruchów i t. d. Mistrzowie krakowscy odznaczali się taką pilnością, że już Eneasz Silwjusz w swoich dziejach czeskich mówiąc o Krakowie dodał: «gdzie kwitnie szkoła sztuk wyzwolonych, słynna z matematyki» *(arte mathematica celebris)*, a w czterdzieści lat później Herman Schedel o Krakowie zapisał, że najsilniejsze tam studjum astronomji *(maxime viget)* i w całych Niemczech sławniejszego nadeń nie znaleźć (r. 1493). Z nowymi przedstawicielami tej nauki, wiedeńczykami Peuerbachem i Müllerem (Regiomontanem) zaznajomili się bowiem krakowianie wcześnie i dokładnie; Marcin Król poznał się w Padwie z Peuerbachem, jako doktór medycyny boloński wykładał astronomję w Bolonji, powróciwszy do Krakowa ufundował kolegjaturę dla astrologji i spisał nieodzowne podręczniki, między innemi i dla sztuki mierniczej. Większej sławy zażywał jego uczeń, Marcin Bylica (z Olkusza); choć w kraju mało bawił, całkiem do Węgier przez króla Macieja ściągnięty, z Krakowem się stale znosił, uniwersytetowi swe księgi i narzędzia astronomiczne legował, globus nieba, astrolabia i in. Najwyżej wzniósł się wielkopolanin Wojciech z Brudzewa, któ-

rego sława Celtesa do Krakowa zwabiła, kolega *minor* od r. 1476, a od r. 1483 *maior*, znany śród kółek humanistycznych Kallimacha i Celtesa, autor kilku komentarzy i kalendarzy, nauczyciel Kopernika. Z tych lat już pochodzi sława i znaczenie iudiciów (prognostyków) i kalendarzy krakowskich, co się do XIX wieku utrzymało (*Krakauer Schreibkalender* wydawano w Wiedniu do lat sześćdziesiątych). Niezachwiana była wiara w astrologję i jej przepowiednie, często co prawda dosyć ogólnikowe.

Nierównie mniej głośne były inne działy filozofji i cała teologja. Mistrzowie byli przeważnie kompilatorami i eklektykami; byli tomistami — skotyści rzadziej przychodzili do głosu; produktywnością żaden z nich się nie odznaczał; na własne pomysły i tak się scholastyka, stanowczo już ku upadku dla wyczerpania się chyląca, nie wysadzała; była w Krakowie nauka i wiedza, brakło impulsów, energji, zadowalano się samem powtarzaniem, rutyną. Pierwsza połowa wieku błyszczała jeszcze imionami teologów i dekretystów, jakich w drugiej już nie znachodzimy: Benedykt Hesse, mistrz Jakuba z Paradyża; Jan Elgot (ze Lgoty śląskiej), sekretarz niby Oleśnickiego (obok Długosza), występami przed soborem bazylejskim sławny, znaczny i w kraju mowami i dziełami; Tomasz Strzempiński, biskup krakowski, zawołany dekretysta, Jakub z Paradyża, zob. wyż. i in. Śród filozofów równie wybitnych osobistości nie było, skoro wszystko co zdolniejsze pięło się do wyższych fakultetów. Najsłynniejszych między nimi spotykamy ku końcowi wieku, taki np. Jan Głogowczyk, piszący przeważnie komentarze do komentarzy (Versora i in.), czynny na wszystkich polach *artium*, i geograf niezgorszy; albo paryski mistrz i doktor, Michał Twarog z Bystrzykowa, który przeciw tomistom krakowskim skotyzm z Paryża przywiózł.

## BIBLJOGRAFJA

A. Brückner, *Średniowieczna poezja łacińska w Polsce,* 3 części, Rozprawy Akadem. filolog. 1892—1895. Tad. Sinko, *Historja poezji łacińskiej humanistycznej w Polsce,* Encyklopedja Akademji tom XXI, Kraków 1918. H. Zeissberg, *Die polnische Geschichtsschreibung des Mittelalters,* Lipsk 1873 (polskie tłumaczenie, Warszawa 1877, dwa tomy). M. Bobrzyński i St. Smolka, *Jan Długosz, jego życie i stanowisko w piśmiennictwie,* Kraków 1893; wstępny tom do wydania wszystkich dzieł Długoszowych, podjętego przez K. X., G. i A. Przeździeckich, tomów 14, Kraków 1863—1887, gdzie tomy II—VI zawarły przekład Kroniki Długoszowej K. Mecherzyńskiego, a tomy VII—IX *Liber beneficiorum,* spis posiadłości duchownych w diecezji krakowskiej. Fr. Bujak, *Studja geograficzno-historyczne,* Kraków 1925. A. Małecki, *Z przeszłości dziejowej. Pisma pomniejsze,* Kraków 1897, dwa tomy, tu i rozprawa o *Monumentum* Ostroroga, o którem liczna literatura; wymieniam tylko ostatnią obszerną pracę J. Szcz. Ptaszyckiego, *Ze studjów nad Memorjałem Ostroroga,* Warszawa 1913 (odbitka z Przeglądu Historycznego, 1908—1912).

Liczne rozprawy o Grzegorzu z Sanoka i jego biografie, Filipie Kallimachu; biografję wydał L. Finkel w *Monumenta Poloniae historica* VI, ocenił między innymi T. Sinko w *Echach klasycznych w literaturze polskiej,* Kraków 1925. H. Zeissberg, *Kleinere Geschichtsquellen Polens im Mittelalter,* Wiedeń 1877.

R. Ganszyniec, *Polskie listy miłosne dawnych czasów,* Lwów-Warszawa 1925. K. Mecherzyński, *Historja wymowy w Polsce,* trzy tomy, od czasów najdawniejszych do połowy XVIII wieku, dotąd w całości niezastąpione, Kraków 1856. W. Bruchnalski, *Polska poezja średniowieczna,* Encyklopedja Akademji tom XXI, i *Rozwój wymowy w Polsce,* tamże tom XXII, Kraków 1918. A. Brückner, *Kazania średniowieczne,* trzy części, Rozprawy Akad. filolog. 1895 i 1897; tenże, *Literatura religijna w Polsce średniowiecznej,* trzy tomiki, Warszawa 1902. R. Ganszyniec, *Brata Mikołaja z Polski pisma lekarskie,* Poznań 1920.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

# LITERATURA POLSKA

Literatura XIV wieku. — Literatura XV wieku. — Wiersze religijne. — Wiersze świeckie. — Proza polska. — Pisownia i język literacki. — Bibljografja.

## LITERATURA XIV WIEKU

Literatura w języku narodowym przeszła podobne do łacińskiej koleje, t. j. w wieku XIV pomnożyła się bardzo nieznacznie, dopiero w XV rozrosła się, szczególniej ilościowo; z łacińską jednak nie zrównała, jako przeznaczona dla warstw niższych.

Wiek XIV przydał zasób nowych pieśni, głównie pasyjnych i wielkanocnych, nieraz wcale sztucznie zbudowanych. Dwie z nich włączono już w pierwszej ćwierci XV wieku do *Bogurodzicy,* niby dalszy jej ciąg, chociaż ani treścią ani formą z nią się nie wiążą, zlepek całkiem mechaniczny. Pierwsza z nich, wielkanocna, zawiera najoryginalniejsze w całej dawnej poezji zwroty, bo stosunki polskie żywcem w zaświat przenosi. Zwracając się do Adama, zowie go «ty Boży *kmieciu,* ty siedzisz u Boga w *wiecu*» — to niby polski *baro,* biorący udział w *colloquium, conventus* niebiańskiem (urzędniczem), a o Chrystusie prawi, że nas odjął djablej *stróży (custodia* — powinność strzeżenia zamku djabelskiego, niby immunitet nam sprawił) i *starostę* skował pkielnego, starosta niby *capitaneus generalis* XIV wieku. Druga, mniej oryginalna, powtarza niejeden zwrot hymnów łacińskich. Inne są krótsze, jednozwrotkowe, np. «Przez twe święte zmartwychwstanie», nadzwyczaj popularna, znana do dziś; inna wielkanocna «Wesoły nam dzień nastał» poszła z czeskiej, a ta znowu z niemieckiej, która sama z łacińskiego tropu *O quam felix haec dies* powstała. Z łacińskich *Horae canonicae Salvatoris* przetłumaczono pieśń polską «Jezus

Chrystus, Bóg człowiek, mądrość oćca swego... Zdradzon, jęt, i wydan jest ludu żydowskiemu», najdawniejszy nasz wiersz trzynastozgłoskowy, naśladował łacińską formę. Była i pierwsza pieśń Maryjna, «Maryja czysta dziewice, Daj nam widzieć Boże lice, Niebieska dziedzice. Czysta Krysta jeś poczęła, Nosiła porodziła, Z nas pirzwa prosiła» i t. d. — poezji w tej jak i w poprzednich niema. Była i druga Maryjna, przekład prozy Abelarda *Mittit ad virginem,* o Zwiastowaniu N. M. Panny. Więcej pieśni polskich wiek XIV nie stworzył, bo wstępu im do kościoła broniono; jedna natomiast zamiast kazania służyła, wykład rymowany Dziesięciorga, przekazany nam w kilkudziesięciu odpisach i w kilku, krótszych i dłuższych redakcjach, np. «Pirzwa *kaźń* (stąd i *kaznodzieja* nazwany!) twórca naszego: Niemasz mieć boga jinego... Pamiętaj, to tobie wielę (rozkazuję), By czcił święta i niedzielę» i t. d.; jak modlitwy główne tak i to był ksiądz obowiązany ludowi z ambon powtarzać, szczególniej gdy go na własne kazanie nie było stać; biskup krakowski Nanker w statutach z r. 1320 wyraźnie nakazał, aby każdy pleban co niedzielę ludowi Ojcze Nasz, Zdrowaś, Wierzę w Bóg, a jeżeli nadto zdoła, i ewangelję (lekcję niedzielną) *vulgariter* wykładał. Dla kleru i żaków układano t. zw. *Cyzjojany,* dwuwiersze łacińskie na każdy miesiąc, zawierające początkowe sylaby nazw świętych, których dnie w miesiącu przypadają wedle ich następstwa; przekładali je Czesi na swój język, a my za nimi, oto np. wiersze na maj:

*Phil Sig Krzyż Twor Got*[1]
*Jan* pan, *Staszka*[2] ściął Bolesław,
A jedno to usłyszał, aż precz bieżał *Urban*[3]
Gonić wilka a drzeć łyka.

[1] Filip 1 maja, Zygmunt 2, Znalezienie św. Krzyża 3, Florjana 4, Gotarda 5.

[2] Jan 6 maja, Stanisław 8.

[3] Urban 25 maja.

Nie bogatsza i proza polska wieku XIV. Były, jak właśnie widzieliśmy, główne modlitwy wraz z dziesięciorgiem; była formuła spowiedzi powszechnej, którą za księdzem lud powtarzał («Ja grzeszny człowiek kaję się... iżeśm przestąpił dziesięciorę bożą kaźń, te jeśm nigdy nie popełnił ja co mi mój tworzec kazał» i t. d.); było *Salve Regina* (prozaiczny przekład hymnu łacińskiego Zdrowa królewno i t. d.). Wspomnieliśmy już o najdawniejszym odpisie psałterza polskiego w trójjęzykowym kodeksie florjańskim, przeznaczonym dla Jadwigi, lecz przerwanym z powodu jej śmierci i później mniej okazale dokonanym. Chyba dla nieuków księży przetłumaczono modlitwę mszalną, t. zw. *Kanon,* słowo za słowem podkładając polskie łacińskim bez względu na sens i składnię, widocznie żeby taki profan nie mylił się w znaczeniu. Jedyny oryginalny zabytek całego wieku, to zbiorek dziesięciu dłuższych i krótszych kazań polskich w rękopisie kapituły gnieźnieńskiej: sędziwy pleban przepowiada miłym swym dziatkom słowo Boże, wychodząc od tekstu ewangelicznego, stale symbolicznie, alegorycznie tłumaczonego; naiwny, dobroduszny staruszek wlewa słowa otuchy i pociechy, nie gromi ani swarzy (wszyscyśmy ludzie), nie zazdrości nikomu, lubuje się w przykładach choćby z przyrody, np. w kazaniu na św. Bartłomieja (którego wy gniewacie, Bartodziejem go przezywając) schodzi na węża *(estote prudentes sicut serpentes)* i wężem tenor kazania zapełnił. Nie brak zwrotów wcale oryginalnych, np. mówiąc o św. Janie (Chrzcicielu) podnosi, że był jedynakiem, bo dobrym rodzicom Bóg mało dzieci daje, bo dzieci bywają przyczyną zmartwień (syn złodziejem będzie, a córka *złą żoną;* stały to wyraz dla nierządnicy). Nauka tego księdza nie wielka, ale serce złote i powaga wielka; żal mamy tylko do niego, że pierwotny gładki tekst upstrzył niepotrzebnemi dodatkami spójek i form czasownikowych, tudzież że w rękopisie jego kazań łacińskich nierównie więcej niż polskich, ale i te łacińskie zaopatrywał w «glosy» (wstawki, objaśnienia) polskie.

## LITERATURA XV WIEKU. WIERSZE RELIGIJNE

Nierównie bogatsza spuścizna polska wieku XV. Nie co do kazań, bo tak się włożyli kaznodzieje w łacinę (co nieraz na stenografję zarywa wobec obszernej pisaniny polskiej), że nią wyłącznie zapełniali swe karty, wtrącając w tekst lub nad linjami glosy polskie. Z całego wieku ocalało jedno kazanie, całe polskie, na dzień Wszystkich Świętych, w rękopisie polskiego księdza na Morawach (zob. wyż.), kazanie dowodzące znacznej wyższości nad owemi «gnieźnieńskiemi», obszerniejsze, lepiej zbudowane, jednolite od początku do końca, mniej trywialne we zwrotach, ale i chłodniejsze, bez górnych alegoryj, mądre, poważne; unikało wszelkiej prostoty, więc wyjątkowo zaczepiło o rzeczy codzienne, np. «twarda pokuta ale rozumna jest jako na wrzód albo na ranę twarda maść, albo *dźwiarstwo* a skrzyp na misy zmazane» (więc żwirem albo *equisetum* szorowano miski) albo «cnoty są jako *drab* (drabina) ku wlezieniu Boga poznania». Zresztą wpisał ktoś dosłowny niemal przekład polski w dwa kazania łacińskie u augustjanów krakowskich — poza tem moc kazań łacińskich najrozmaitszych autorów z luźnemi glosami polskiemi, których dalej nie wyliczamy.

I w produkcji literackiej XV wieku zawsze jeszcze prym wodziła religijna, duchowna, co nie dziwi wobec faktu, że mieszczaństwo bywało niemieckie, szlachta pióra nie chwytała, jedyni duchowni się jego imali, a dla kobiet pisali, im obroku religijnego nie szczędząc, którego inaczej, dla nieznajomości łaciny, dostąpić nie mogły. Rozrosła się przedewszystkiem pieśń religijna, śpiewało ją już co żywo, i na pąci do miejsc odpustowych i w procesji na cmentarzu około kościoła i w domowem skupieniu. Ale zmieniła się treść, nie forma pieśni; ta owszem raczej podupadła, bo nie siliła się na oryginalne, sztuczne połączenia wszelakich wierszy, krótszych i dłuższych, lecz coraz częściej wpadała w zwykłe metrum średniowieczne, ogólne

w epice i dydaktyce na całym Zachodzie, t. j. w wiersze ośmiozgłoskowe rymowane parami *(aa, bb* i t. d.), przyczem rymy bywały bardzo pośledniej próby, gramatyczne albo asonanse same (niedokładne, częstochowskie, jak je później nazywano). Treść odmienna, przeważały nieskończenie Maryjne, bo kult Marji (a za nim i św. Anny) stale wzrastał; pieśni bywają obszerniejsze, zgłaszają się nawet ich autorowie, np. jedna zaczyna: «Radości wam powiadam, Iżeć nową pieśń składam O królewnie niebieskiej, *K uciesze chrześcjańskiej»* i t. d.; w innej («Mocne boskie tajemności» i t. d.) brzmi zwrotka: «Mistrz Maciej o tobie pisze *Wszemu ludu ku uciesze,* By się k Tobie uciekali, Swoje krzywdy powiadali, Boś ty ich rzecznica» i autor sili się na porównania: «Ani lilija białością, Czyrwona róża krasnością, Ani nardus swą wonnością, Zamorski kwiat swą drogością, Maryjej się równa». Najpiękniejsza z tych wszystkich pieśni to «żale Marji», naśladujące dawny łaciński *Planctus Mariae,* po wszystkich literaturach średniowiecznych częsty (niemieckie *Marienklagen,* czeskie i t. d.). Gdy we wszystkich innych wierszach niema sztuki-poezji, jest tylko korna ufność i skrucha głęboka, wiara i uczucie, tu polot słowa i myśli widoczny; wewnętrzne rymy stopniują wrażenie, np.:

O aniele Gabriele, gdzie jest ono twe wesele,
Cożeś mi je obiecował tako barzo wiele?
Arzkący: Panno pełna jeś miłości...
A ja pełna smutku i żałości!
Spróchniało we mnie ciało i wszystkie moje kości;

albo:

Synku, bych Cię nisko miała,
Niecoć bych Ci wspomagała:
Twoja główka krzywo wisa, tęć bych ja podparła;
Krew po tobie płynie, tęć bych ja utarła;
Picia wołasz, piciać bych ci dała,
Ale nielza dosiąc Twego świętego ciała.

Śród wielu innych pieśni, Maryjnych, o św. Annie, kolęd,

wierszy wielkopostnych, o Duchu Św. i t. d., wyróżniał się nadzwyczajną popularnością *Żołtarz Jezusów czyli piętnaście rozmyślań o Bożem umęczeniu,* napisany r. 1488, w naśladownictwie owych *Horae canonicae,* przełożonych na polskie w XIV wieku (zob. wyżej), a więc czterowierszowe zwrotki, wiersze trzynastozgłoskowe; śpiewany przez następne wieki, od Czechów już na początku XVI wieku do ich kancjonałów wciągnięty. Autor jego był bł. Władysław z Gielniowa, syn Piotra, Mazur, który wstąpił r. 1462 do bernardynów i odznaczył się jako «najgorętszy kaznodzieja»; każde kazanie zaczynał od *Iesus Nazarenus Rex Iudaeorum,* objaśniając ten napis Piłatów; każda zwrotka owego żołtarza zaczyna się od «Jezus» («Jezusa Judasz przedał za pieniądze nędzne» i t. d.; 15 zwrotek, przez innych dodatkami na 27 rozszerzone); pieśń tę śpiewali bernardyni z ludem po kazaniu. Pisał brat Władysław wiele łacińskich proz i hymnów, koronki i psałterze N. M. P., czego w szkołach powszechnie uczono; napisał i wiersz *Iesus Nazarenus* na poganów (Turków). Prawił w zachwyceniu, szczególnie o męce Pańskiej. Cały szereg innych wierszy polskich on równie złożył. Pierwszy to poeta polski, asceta, z wybuchami gorącego uczucia, którego z imienia i życia poznaliśmy, ale technika jego wiersza nieraz chroma.

Do liryki kościelnej przystąpiła i epika, legendy o świętych Pańskich, narodowych (Stanisław, Wojciech) i dawnych (Katarzyna, Dorota, Aleksy, Job, Krzysztof, Barbara), wszystkie niemal w ulubionem metrum epicznem (zwrotka o czterech ośmiozgłoskowych wierszach) pisane, krótsze i dłuższe, ważne szczególniej przez to, że już w XVI wieku spadły obok *Bogurodzicy* do repertuaru dziadowskiego, nie bez zmian językowych, ale zawsze tekst średniowieczny zachowując. Najobszerniejsza z nich legenda o św. Aleksym i dla swych rozmiarów nie nadająca się do tego repertuaru, lichy jej odpis jest w rękopisie z r. 1454 (niedokończony, urywa na 240 wierszu); opowiedziana

rzecz o «Bożym człowieku», wzorze czystości i skromności, wcale sucho; tu i ówdzie rys domowy przebija, np. potkał na *żórawiu* ońca swego, żóraw to studnia, nazwana tak od długiego drąga, przed grodem (Węgrzy podobnie studnie na swych «pusztach» nazywają). Krótsze legendy mają żywsze tempo, np. o św. Stanisławie zaczyna tak: «Chwała Tobie, Gospodzinie, Iż o Twych świętych cześć słynie, Która nigdy nie zaginie, I na wieki nie przeminie. Wesel się polska Korono, Iż masz takiego patrona, Dostojnego Stanisława» i t. d. Legendę o św. Aleksym napisał Mazur, który inaczej niż bł. Władysław, cech mazurzenia narzeczowych się nie wyparł.

Na Zachodzie prawiono całe kazania wierszami; podobne dwa i u nas ocalały. Jedno, o 21 zwrotkach, zaczyna od siedmiu słów Krystusa na krzyżu (nieraz wierszowanych), dodając przy każdem odpowiednią naukę; słowami: «Katom odzienie swoje dał, Judasz piekło też otrzymał», przechodzi do nowego tematu: «Kostyrowie a łotrowie, Zbójce, złodzieje, katowie, Cić Chrystusa z sukniej łupią, Za swe grzechy piekło kupią» i opowiada o strasznym wypadku w Budzyniu, gdzie kostyrę bluźniącego djabeł porwał żywcem. Drugie kazanie wierszowane, w 20-tu zwrotkach, opowiada o gniewie Pańskim, jak za nasze występki głodem, morem, rozlewem krwi karze i przytacza na to przykłady z dziejów, najobszerniej o spustoszeniu Sandomierza przez Tatarów r. 1259, którzy ludność wysiekli (ob. wyżej), dowód, jak głęboko ta klęska w pamięci zapadła.

Obok liryki i epiki religijnej uprawiano i dydaktykę, wiersze rozmyślające o zagadnieniu śmierci przedewszystkiem, temat dla średniowiecza niewyczerpany. Jemu zawdzięczamy najobszerniejszy i najciekawszy nasz poemat całego średniowiecza, O Śmierci (rozmowa mistrza Polikarpa ze śmiercią, skąd jej wszechmoc, jak działa, kto i dlaczego jej się bać winien, kto nie i t. d.): temat głęboko religijnie, ale bardzo popularnie, z satyrycznemi przebłyskami rozwiedziony.

Autora nie znamy; był nim może scholastyk płocki, magister Stanisław (występujący w dokumentach między r. 1434 a 1449), bo w trybie szkolnym był autor nasz bardzo biegły, z niego czerpał zwroty i porównania, np. «nic ci *sortes* nie pomoże» (t. j. Socrates, przytaczany jako przykład w podręcznikach logiki średniowiecznych), albo «nie dam ci *czyść epistoły*» (nie będziesz czytał lekcji z Dziejów Apostolskich i in.). Jeśli on magister, toć uczył się w Krakowie, ale że Mazur z diecezji płockiej to pisał, dowodzi ciągłe wahanie się tekstu między *ra* i *re, ja* i *je (jeblko* zamiast *jablko* i t. p., charakterystyczne dla Mazurów, tak samo było i w legendzie o św. Aleksym), i wyrazy, np. *pocpuła* («koniecznie sejmę infułę, a dam za szyję *pocpułę*», t. j. pogębek, wyraz nieznany innym narzeczom, ale *Pocpułą* nazywał się Warszawianin r. 1426). Śmierć traci «wojewody i *czestniki*» (urzędniki, znowu termin mazowiecki); «karczmarze źle piwa dają, jako swe miechy natkają, wtenczas mą kosę poznają, kiedy nawiedzą mą *szkołę*, będą im lać w gardło smołę»; «kanonicy i proboszcze będą w mojej *szkole* jeszcze, i plebani z miąszą (grubą) szyją, iżto bardzo piwo piją»; najdosadniejszy obraz mnicha: «złe mnichy, którzy mają zakon lichy, co z klasztora uciekają, a swej woli pożywają... gdy mnich pocznie dziwy stroić, nikt go nie może ukoić... jeśli wsiędzie na szkapicę, wetknie zanadra kapicę, zawodem na koniu wraca, często kozielce przewraca» i t. d.; szczególnie ostro zwracał się i przeciw niesprawiedliwym sędziom, którzy dla pokrewieństwa lub wziątku wyroki paczą. Cały długi wiersz (497 wierszy, brak końca) odznaczał się nadzwyczajną obrazowością, opis śmierci-szkieletu i każdy inny tchnął życiem, obcy naszemu średniowieczu, znany u innych narodów.

Scholastyk płocki nie był oryginalny co do pomysłu swego «Polikarpa», przejął go z krótkiego i suchego traktatu łacińskiego (prozaicznego) tej samej treści, tylko wypełnił go życiem i barwami. Myśl o śmierci (i zaświecie) przerażała średnio-

wiecze, które wbrew starożytności żadnego w śmierci ukojenia nie uznawało, zastraszone grozą zaświatową otchłani i djabła, więc błogi jego sen przerywał ciągle ten niepokój i literatura kręciła się w tem kółku; ten sam rękopis płocki zamieścił po «Polikarpie» inny, nierównie starszy (z początku XV wieku co najmniej, jeśli nie z końca XIV) utwór, skargi umierającego, który w 22 zwrotkach spowiada się z grzechów żywota, wyrzuty gorzkie sobie czyniąc, że prace jego na nic («ośm miar płótna, siedm stóp w grobie, tom tylo wyrobił sobie», powtarzał jeszcze Zygmunt August): zwrotek 22, wedle 22 liter łacińskiego abecadła, któremi po kolei zaczynają się zwrotki (od pierwszej: «Ach mój smętku, ma żałości, Nie mogę się dowiedzieci, Gdzie nam pirwy nocleg mieci, Gdy dusza z ciała wyleci?» — wiersz ten dziś jeszcze u ludu znają). Odpowiedź na to pytanie daje dodatek do tych skarg umierającego, zachowany w najdawniejszym ich odpisie wrocławskim (z r. 1419): «Dusza z ciała wyleciała, Na zielonej łące stała, Stawszy silno zapłakała» (płaczącą spotyka św. Piotr i odwodzi do królestwa niebieskiego); ta «zielona łąka» to niemieckie «grôni wang» duszy niepotępionej, ale i nieoczyszczonej jeszcze. «Polikarpa» zupełnie zapomniano, znamy go z jedynego ułamkowego odpisu; odżył on dopiero w XVI wieku, ale na Rusi, która go sobie w znacznem skróceniu (bez satyrycznych ustępów) przyswoiła (znamy go tam z trzech odpisów XVI i XVII wieku); «Ach mój smętku» natomiast było jedną z najpopularniejszych pieśni dziadowskich i odbiło się nawet w dawnej literaturze czeskiej, która do swej dawnej pieśni («O rozdzieleniu duszy z ciałem») niejeden motyw i zwrot z polskiej przejęła. Nie na tych dwu wierszach kończył się zapas średniowieczny — jest i trzeci urywek innej podobnej pieśni — bo temat sporu duszy z ciałem w chwili śmierci (dusza wyrzuca ciału zbytki i zbrodnie) coraz nęcił fantazję moralistów-kaznodziei, przed których oczyma stale się taniec śmierci przewijał.

Do wierszów religijnych, ale polemicznych, należały husyckie; że je duchowieństwo razem z samym husytyzmem wytępiło, rozumie się samo przez się, lecz gdy Jan Elgot w Krakowie z ramienia biskupa rewidował rękopisy magistra Andrzeja Gałki z Dobczyna, kanonika u św. Florjana, odbywającego pokutę w Mogile, znalazł między pismami Wiklefowemi «laudes et carmina vulgaria in laudem Wikleph»; naturalnie je zniszczył, ale Gałka zbiegłszy z Mogiły na Śląsk do Bolka V opolskiego, wystosował list o glejt do magnata któregoś polskiego i dołączył do niego owe «carmina vulgaria», «cantilena vulgaris». Jest to najostrzejszy pamflet na duchowieństwo katolickie, na popów Antykrystowych, bo już tu za przykładem czeskim Antykrysta z rzymskim «popem» utożsamił: «prawdę popi tają, łeż pospólstwu bają», a «pirzwy pop Lasota (Sylwester) wziął moc od chobota (ogona) Konstantyna smoka» (bo wedle legendy uwolnił papież Sylwester cesarza Konstantyna od jadu smoczego i Rzym za to otrzymał). O husytach niema tu i mowy, chociaż pisma Wiklefowe Gałka posiadł od szlachcica czeskiego.

## WIERSZE ŚWIECKIE

Pieśni nabożne przechowały się i w dawnych odpisach i w tradycji ludowej (bab i dziadów); świeckie zaginęły wszystkie. A było ich sporo, skoro każde niemal ciekawsze zdarzenie, wojna, zbrodnia i t. p. odzywało się w pieśni ludowej, którą nie lud, lecz «szpilman, igrzec» *(ioculator)* dla ludu układał, z nią wędrował i za jej odśpiewanie datki zbierał. Byli to wędrowni żacy, waganci, z coraz odmiennym repertuarem. Doszły nas z niego przypadkowo urywki, jeden lub dwa wiersze. Np. z grunwaldzkiej: «Hej Polanie, z Bogiem na nie, Już nam Litwy nie dostanie» (gdyż hufy litewskie przy natarciu Krzyżaków uciekły); Stryjkowski przytacza z «onej staroświeckiej»: «byli naszy Turkom groźni (kiedyś), a cóż potem, kiedy nie dziś»;

Bielski w *Kronice polskiej* mówiąc o ściętym za rozboje Szafrańcu z Pieskowej Skały dodaje: «śpiewają tam jeszcze około Szczercowa chłopi po wsi pieśń staroświecką o nim». Do takich balad lokalnej treści mogły się przyplątać i międzynarodowe, na tematy wędrowne, o niewierze małżeńskiej, o miłości kazirodczej (brat i siostra, nieświadomi występku), o zdradzie siostry czy kochanki lub kochanka i karze i t. p.; tu wzięła początek niejedna balada ludowa, np. «Maliny»: Pani zabiła pana i in. Natomiast polska pieśń o zabiciu Andrzeja Tęczyńskiego nie należy do epiki, jest oskarżeniem namiętnem «chłopów», co śmieli się targnąć na życie pańskie, wszyscy razem niegodni palca jego; sześciu ich już ścięto, ale to nie wystarcza; sławi syna jego, że mści godnie śmierci ojcowej; poezji tam ani na źdźbło, tem wyłączniej tendencja i nienawiść stanowa, zła na przyszłość wróżba.

Nieco bogatsze, niż ostatki epiki, są ostatki liryki świeckiej; liryka miłosna istniała już w tym wieku, a uprawiali ją nie wyłącznie żacy. U Czechów istniała już w XIV wieku, ale XV-ty z husytyzmem przerwał zupełnie jej rozwój i dopiero przy samym końcu XV wieku odezwała się ponownie w wierszach tego Hynka z Podiebradu, który odstąpił od wiary, zasad i zdolności wielkiego ojca (jego *Sen Majowy* i in.); więc nie mieli Polacy w ciągu XV wieku wzorów czeskich przed sobą i sami tworzyli, co w najrzadszym razie i po rękopisach uczonych, łacińskich ocalało. Tak mamy w jednym rękopisie płockim raz list miłosny prozą od panny, bo panny jeszcze na rymy polskie się nie zdobywały, a powtóre wiersz «panica» do kochanki:

Dawnom zwiedzał cudze strony,
Czechy, Włochy i Morawy;
Strawiłem imienia wiele,
Szukający sobie miłej;
Nie nalazłem, aliż ninie.

Nalazłem ją k swej lubości,
Chcę rad służyć jej miłości
Do mego skończenia wiernie,
By raczyła wiedzieć pewnie,
Wszelki czas w nocy i we dnie.
Służba moja ustawiczna
Twej miłości, panno śliczna.
Ze mną nie miej rozłączenia,
Dla mnogich ludzi soczenia
Sokom nie wierz ich zmyślenia i t. d.

*(sok, soczyć* oskarżać) — wiersz wcale prozaiczny, blady. Gorętszy ów list panieński, twierdzący między innemi, że «miłość to w sobie ma, iże rzadko albo nigdy w wiesielu bywa, telko zawsze w smutku, w teskności i też w niewymownej sierca boleści trwa i przemieszkawa... żałość wielką i boleść mam w swojem siercu ninie a to przez moje po tobie wielkie tążenie i niewymowne myślenie... bo jakom cię mój namilejszy, poznała, wszytkom w sierdeczku miała, żeć bych wiernym przyjacielem (ten wyraz przez wieki dla kochanki zostanie!) była»; kończy upominając, by «nad mię innej miłej» nie miewał, a kto ci ten list «da, powie, kto jest ja». Niestety żak zepsuł ten list, rozpychając go szkolnemi wymysłami o przymiotach ciała i duszy umiłowanego. W listach miłosnych ćwiczyli się żacy za plecami mistrzów stale, odpisywali dawno przestarzałą korespondencję miłosną Andrzeja kapelana (Francuza z XII wieku), zdobywali się i na krótsze westchnienia, np.:

Ach miłość! coś uczyniła,
Eżeś mnie tak oślepiła,
Eżeśm się na miłość podał,
Jakbych nikogo w świecie znał,

albo jeszcze prozaiczniej:

Miłuj miła, miłuj wiernie,
Miej go w siercu zawżdy pewnie,
Kto to wzdruszy,
Djabeł bądź pan jego duszy!

W wieku XV zaczyna już kiełkować służba paniom, spóźniona u nas wobec średniowiecza zachodniego, wyprzedzająca Czechy, którym ta służba pozostanie obcą aż do naszych dni. Oryginalny wyraz znalazła ona w wierszu jakiegoś Złoty z samego początku wieku.[1]

Średniowiecze rymowało wszystko, nawet spisy własności roślin, kamieni i moczu, więc nie dziw, że wysadzało się i na rymowanie przepisów, jak się przy stole zachowywać. Takich «fagifacetów» (szykownie jedzących) bywało sporo po łacinie; mamy i polski wiersz «o chlebowym stole». To nic nadzwyczajnego, ale co nadzwyczajne, to gorące hołdy składane przy tem «twarzy (płci) niewieściej». Jest to najdawniejszy wiersz świecki, bo nie duchowny go pisał, choć swoje «powiedanie» Bogiem zaczął i skończył a z Salomona zwrot pożyczył. Strofowawszy tych, co siedzą za stołem jak wół czy kół, co do mis sięgają wprzód, wybierając lube kęsy, co nieproszeni wysoko siadają (a potem ze wstydem odstąpić winni), upomina panny, by małe kąski krajały i zapominając dalej o swoim chlebowym stole, wysławia panie, które winniśmy czcić, wstawać przed niemi, bo «od Matki Bożej tę moc mają»; «ktokoli czci żeńską twarz, Matko Boża ji tym odarz: Przyjmi ji za sługę swego, Uchowaj grzecha śmiertnego, I też skończenia nagłego... paniami stoi wiesiele, jegoż jest na świecie wiele» i t. d. Ależ nawet ów «Polikarp» osobno wysławiał święte panie i podziwiał ich stateczność, więc i on ku nim myśl zwracał. Oto i pierwsze zabarwienia myśli i literatury polskiej kobiecością, co się odtąd z każdym wiekiem potęgować miała.

Nie brak i wszetecznych pieśni, które się nawet w kościele odzywały, jak z aktów konsystorskich wiemy; biskup Łaskarz zapowiadał, aby przy pierwszej mszy nowych księży nie pozwalano na nieprzystojności wszelakie i rozpustność tańców i nie-

[1] Nazwisko to częste w Łęczyckiem, np. *Przeczlaus dictus Slotha* r. 1399 (nr. 5787), albo tamże: *Florianus Slotha,* może jeden z nich?

cnych śpiewów. Było więc średniowiecze rozśpiewane (coraz zakazywali biskupi, aby klerycy nie ważyli się śpiewów świeckich i pogańskiego klaskania w dłoni, a w karczmach brzydkich pieśni świeckich się strzegli); tylkoż wszystko pokryła niepamięć głucha. Czasem coś ocalało, np. satyra-skarga szlachcica na chłopów, pańszczyznę niedbale odbywających:

Chytrze bydlą z pany kmiecie,
Wiele się w ich siercu plecie.
Gdy dzień panu robić mają,
Częstokroć odpoczywają,
A robią silno obłudnie.
Ledwo wyńdą pod południe
A na drodze postawają,
Rzkomo pługi oprawiają.
Żelazną wić doma złoży,
A drzewianą na pług włoży;
Wprzęgają chory dobytek,
Chcąc zlichmanić ten dzień wszytek i t. d.

Kończy zapewnieniem:

Mniemać każdy człowiek prawie,
By (chłop) był prostak na postawie,
Boć się zda jak prawy wołek,
Aleć jest chytry pachołek:

to samo powie Rej w ośmdziesiąt lat później, a jeszcze wiele późniejsze «Opisanie przechernej i stucznej natury chłopskiej przeciwko panom swoim» zapożyczało całe wiersze z tej piętnastowiecznej satyry. Nie brakło satyr i na inne stany, szczególniej na najbardziej wyodrębniony duchowny, ale nic z nich nie ocalało.

Nie brak też wierszów dydaktycznych, pamięciowych i in., opisywano np. następstwo miesięcy tak:

Mnie pirwszemu Styczeń dzieją,
W tenci ludzie barzo piją,
A sługi się też ściskają (?).
Mnie wtóremu dzieją Luty,
Jeśliś nag, przywdziej buty i t. d.;

ten ostatni wiersz powtarzały wszystkie kalendarze; przypowieść to ludowa. Inne wiersze pamięciowe przypominały, kiedy przypadają Suchedni; inne wyliczały uczynki miłosierne albo uczyły, jaką ma być spowiedź i t. d. Czesi układali całe łacińsko-czeskie słowniki wierszami, u nas ocalał tylko jeden i drugi wiersz podobny.

Cała ta poezja, religijna i świecka, miała jedną wielką zasługę, wygładziła język, przełamała trudności techniczne (rymu i rytmu), stworzyła zwroty potoczne; ażeby tę zasługę należycie ocenić, wypada porównać wiersz ówczesny ze spółczesną prozą, twardą i chropawą, słabo naginającą się do myśli, nieudolną w łączeniu zdań; nawet najpoprawniejsze jej teksty, np. owo kazanie o Wszystkich Świętych, trudniej dzisiejszy czytelnik zrozumie, niż spółczesne wiersze. Poezja XV wieku przygotowała szesnastowieczną, o prozie tego powtórzyć nie można; wiersze piętnastowieczne przechodziły żywcem do następnego wieku, prozę trzeba było na nowo budować.

## PROZA POLSKA

Pomniki prozy polskiej są prawie wyłącznie religijne; z świeckich były tylko przekłady ksiąg prawniczych, widać niezbędne, bo szlachta nie zawsze w łacinie, tem mniej w niemieczyźnie biegłą była; potrzebę tego odczuwano najbardziej na mniej kulturalnem Mazowszu i na świeżo do Polski włączonej Rusi. Więc na Mazowszu z polecenia księcia Bolesława czerskiego (wybranego na tron polski r. 1446, gdyby Kazimierz ostatecznie odmówił), a na prośbę księdza Macieja z Rożana, pisarza książęcego, przetłumaczył oba statuty (mało- i wielkopolski) mistrz i doktor Świętosław z Wocieszyna, kustosz warszawski, ale słowo niemal od słowa, tak że bez wglądania w tekst łaciński polskiego nie łacno zrozumieć; sam Maciej z Rożana przełożył zaś nieco wolniej, więc lepiej ustawy mazo-

wieckie. Ta praca ugrzęzła na Mazowszu. Po Polsce rozeszła się inna, około r. 1460 na Rusi Czerwonej (?) bezimiennie wykonana, streszczająca raczej niż tłumacząca tekst łaciński; rok 1460 odnosi się do jej najstarszego odpisu, oryginał o kilka lat wcześniej powstał, zawiera kilka terminów ruskich; liczne odpisy szesnastowieczne polegają na odpisie z r. 1501. Spółcześnie może przetłumaczono ów niemiecki zbiór ortylów magdeburskich, o którym zob. wyż.; tłumaczenia dokonano we Lwowie (?) z polecenia podczaszego lwowskiego, Mikołaja Gołogórskiego (podczaszował od 1440—1460); najdawniejszy odpis tego bardzo starannego, ale nie wolnego, t. j. dobrego przekładu, służył za źródło wielu późniejszym, szesnastowiecznym. To najobszerniejsze zabytki świeckie; jest kilka dosłownych przekładów, między linjami wpisanych, aktów prawnych, np. skargi o oszczerstwo wniesionej przed sąd biskupa płockiego Jakuba r. 1422 przez rzecznika mądrego męża Jana waszej okłoci (parafji), przeciw Janowi «za żaka się bierzącemu» ze łkaniem i płaczem o potwarz; wolałby tysiąc złotych czystego złota i sprawiedliwej wagi stracić niż to uwłaczanie cierpieć. Są i inne podobne dosłowne przekłady mniejszych aktów z r. 1428. Częstsze są słowniczki prawne, *vocabula iuris*, przeważnie wyrazów prawa niemieckiego; pochodziły ze wspólnego źródła. Po wszelakich słownikach łacińskich, Granarjuszach czy Rozarjuszach i t. d., dopisywano tu i ówdzie wyrazy polskie; wyjątkowo i bardzo licznie. Nazwy miesięcy, dopisywane do łacińskich, nie zgadzają się nieraz z naszemi, np. zamiast kwiecień, *Łżykwiat*, a zamiast luty, *Strąpacz* (bo drogi mrozem strzępi). Najczęstsze bywają botaniczne słowniczki, między niemi najznakomitsza praca kanonika krakowskiego i wrocławskiego, Jana Stanki z r. 1472, gdzie do kilkuset nazw przyrodniczych dopisano nieraz po kilka do kilkunastu polskich synonimów. Tłumacze podsuwali pod nazwy obcych im zwierząt

własne dowolnie, np. *tigris* u nich zawsze *ząbrz* (żubr), *onager* (dziki osieł) — *łoś* i t. p.

Nierównie cenniejsze dla poznania i życia i języka są roty przysiąg polskich, zachowane w księgach sądowych od r. 1387 począwszy; liczą się tysiącami, lecz pożytek z nich nieraz nieznaczny, bo powtarzają te same zwroty: *tako mi pomoży bóg i święty krzyż* (albo *wszyscy święcia), jakośm nie pobrał gwałtem* i t. d.; na Mazowszu kładą *tako mi pomoży* i t. d. na końcu roty; świadkowie zawsze prawią: *jako to wiemy i świadczymy eże* i t. d. Wyjątkowo zawiera akt sądowy całe opowiadanie polskie. Oto obraz z życia szlachty mazowieckiej: Piotr Kokoszka przysięga, «jakom ja Macieja Fuska z Niedabyla nie zbił gwałtem, anim jemu pięci ran otworzonych i zatworzonych zadał, anim jego bijąc i raniąc imał i wiązał, anim jego związanego podle łodziej pławił, anim jego na me imienie Michałowo wodził». A drugi: «jakom ja nie ręczył wyprawy po Małgorzecie czepca za dwie kopie; swojki (wstęgi) za kopę; rąbka jedwabnego w cztyry łokcie; płaszcza we dwanaście kolet po dziewięci groszy; rękawów koftyrowych (jedwabnych) w trzy łokcie; kołdry za dwie kopie; trzech poduszk, dwie parcianych (proste płótno), a jena postawcewa (jedwabna) po trzy łokcie; wezgłowie a to wszytko nowe a dobre jakoby dobrzy ciekli» (?). Zachowały jednak te roty niejedno starożytne, np. *chąsę* i *chąsiebną rzecz,* t. j. złodziejstwo gwałtowne (prasłowo!); *żdżyć* (właściwie *zżyć)* 'strawić'; łąkę zawsze *sieką,* nie koszą; dawne formy, *kry* 'krew', *ot otc* 'od ojców'. Niejedno trudno i odgadnąć, np. «jakom ja nie wziął Trojanowi dwu *prosuciu»,* Mazowieckie I, nr. 1721; Bartłomiej ma dać «duo capecia vulgariter *proszuczow»* księdzu Maciejowi, I, nr. 2737, w innej rocie (krakowskiej nr. 1398, str. 316) «pro trzesna pro *prosucze* et via»; nieco światła na to słowo rzuca rota warecka nr. 46: «o które *prosznycze* Paweł na mię żałował, tych ja na trzy wozy nie pobrał gwałtem» (dalej: *presznycze)* — czy to nie słoma prosiana,

jakaś prosianka? Całkiem coś wyjątkowego, bo staropruskiego (!) czytamy w zapisce sandomierskiej nr. 136 z r. 1397: «laneum ad pomerium dictum *grawda*» i nr. 235 z r. 1398: «in laneo *pole grawdi*»; jest to termin staropruski, znany nam tylko z nazw miejscowych *(Graude, Graudelauke, Graudikaim,* 'gaj'). Natomiast przeczę, aby *sa(m)szebra* w tekstach łęczyckich (II, 41, 75) było słowem polskiem; przecież wyraźnie stoi tam: «*samsziebra* quod dicitur vulgariter *zapusta*», więc *samsziebra* jest słowo łacińskie i dlatego na drugiem miejscu samo wystawione jako łacińskie: «feci dammum in *saszebra*» — czy to nie pomylone łac. *salebra?* Inne nieznane słowo w rocie mazowieckiej: *anym xanzego swyaza nypokratł* r. 1471 i dalej: *Mikołaj Rawyn syn* (ojciec nazywał się *Rawa) ani wswyaza xanszego thymy szyeczamy any stampyczamy nye pokratł.* A oto jeszcze kilka starych zwrotów czy słów i form: *na sie gody* (na przyszłe Boże Narodzenie), *do sich miast; ciesć* (teść) odmienia jeszcze pierwotnie *ćcia, ćciu* i t. d.; *wynidziechą, pokradziechą,* dawne «aorysty» (niezłożony czas przeszły); *nie chował chąsy na Sędziwoja* (gnieźnieńskie r. 1396, nr. 1033), w mazowieckich rotach zawsze *s chąszą zywie* (raz *złodziejski,* t. j. po złodziejsku, *że nie kradnie ani z chąsą żywie), s chąsby wypuscił* 'de furticinio'; zamiast *żdżyć* 'consumere' powiedzą i *struć* (strawić); nazwy pokrewieństwa: *za świeści swe* (t. j. siostry żenine), *nieściory, dziewierze; teleż szkody kiele iściny; o jen gaj-ten* (zamiast *który); w dludze, brzedze, roce;* zamiast *nieusiedlił chycz* rzekł *niepostawił;* vallis *wąwoł* (por. Wawel) i t. d.

Liczniejsze są zabytki prozy religijnej. Na ich czele należałoby położyć następne świadectwo Długoszowe: prawiąc o śmierci ubóstwianej przez niego Jadwigi, co umarła *in odore sanctitatis,* zaznacza, że królowa «przykładała ducha i myśl tylko do modlitwy i czytania ksiąg świętych, jakoto Starego i Nowego Zakonu, Homilij czterech doktorów (Kościoła), Żywotów Ojców (zakonnych), kazań i pasyj świętych, rozmyślań i modlitw bł.

Bernarda, św. Ambrożego, Objawień św. Brygity i wielu innych, tłumaczonych z łaciny na polskie». Niestety polega to świadectwo «źródłowe» tylko na kombinacji i amplifikacji Długoszowej i niema w niem nic rzeczywistego. Wymienione dzieła znajdowały się po części w Polsce drugiej połowy XV wieku, Długosz przeniósł je zwykłym trybem i na koniec wieku XIV; wiedział, że tylko kobiety posiadały i czytały księgi nabożne, nie istniejące dla mężczyzn. Przeciwnie, nawet psałterza polskiego Jadwiga nie miała, bo przeznaczony dla niej dopiero w lata po jej śmierci wykończono (t. zw. psałterz florjański, trzyjęzykowy). Z żadnego z wymienionych przez Długosza dzieł nie ocalał ani jeden strzępek; co za takie uważano, poszło wszystko dopiero z XV wieku. Biblji polskiej ani Piastowie ani Jagiellonowie nie posiadali, dopiero pobożna Sońka kazała ją dla siebie przetłumaczyć r. 1455 i o tem wiedział i Długosz, ale nieprzychylny ani Jagiellonom ani Sońce (mimo uznawanej przez niego jej pobożności), wolał już Jadwidze tę zasługę przypisać.

Wobec nierealnego świadectwa Długoszowego należy wykazać, co stanowiło polską prozę religijną (kilka szczegółów zob. niż.). Otóż Biblja, pergaminowa we dwu foljantach, z których jeden, pierwszy, ocalał, ale po większej części zniszczony, w kolegjum reformowanem w Saros Patak na Węgrzech, dokąd się od wielkopolskich protestantów, Krotoskich i Leszczyńskich, po r. 1630 dostał; z drugiego ocalały luźne karty, użyte do oprawy ksiąg na Śląsku (we Wrocławiu) na początku XVII-go wieku. Tom pierwszy zawierał Księgi starozakonne aż do Hioba, na końcu Hioba brzmiała niegdyś zapiska: «Dokonały się księgi Zakonu na grodzie w Nowem Mieście Korczyn ku przykazaniu a woli... Zofji... a wykładały się przez ks. Andrzeja kapłana JMości dziedzica (??) z Jaszowic a pisane przez Piotra z Radoszyc dnia wtorkowego św. Jana jeż słowie *ante portam latinam* (t. j. 6 maja) pod latem bożem 1455». Dalsze losy tej biblji nieznane; ów pierwszy tom oprawiono r. 1562; jak i kiedy

dokonywano jego zniszczenia, nie wiemy, nawet w Saros Patak wydzierano z niego karty na oprawę innych książek. Tłumaczenie nierówne, w pierwszych księgach polega na tekście czeskim, powtarzając go dosłownie z grubemi myłkami, mało nieraz zrozumiałe; w dalszych częściach nieco gładsze, mniej niewolniczo za czeskim wzorem postępuje; tego oryginału czeskiego nie odnaleziono, nie oddalał się zbyt od czeskich biblij redakcji pierwotnej. Pisany starannie ręką kilku pisarzy calowemi literami, jako dla kobiety. Psałterza w tym tomie nie było.

Obok psałterza florjańskiego, dokończonego około r. 1410, przechował się drugi, t. zw. puławski, pisany w połowie wieku (pierwsza księga z znakiem *ę)* dla kobiety również, odpis starszego (może i o pół wieku) tekstu, z dodanemi «argumentami», objaśniającemi właściwe znaczenie (przeważnie całkiem alegoryczne, mesjaniczne) każdego psalmu, co jak cały tekst, wzięte z czeskiego. Tekst ten odchylał się znaczniej od florjańskiego; oba były w brzmieniu przestarzałe i w drugiej połowie wieku, gdzieś około r. 1475, w Krakowie powstał trzeci, znacznie zmodernizowany tekst, który wydano drukiem r. 1532 i 1535, a luźne jego psalmy powtarzano we wszelakich modlitewnikach, np. śród Godzinek ubogiego Wacława (przeznaczonych dla kobiety), w Wigiljach za umarłe dusze i t. d. Z tekstem puławskim zgadza się poniekąd luźna karta psalmu pięćdziesiątego, *Miserere mei* etc.

Nowego Testamentu ocalał drobniutki urywek w oprawie książkowej, z połowy wieku; z jego końca początek harmonji ewangelicznej, składanej ze wszystkich ewangelij; dalej liczne urywki po kazaniach i pasjach; najwięcej w przemyskiem *Rozmyślaniu o żywocie P. Jezusa,* które zawiera żywot Marji i Syna, oparty to na łacińskiem eposie *Vita metrica (b. virginis Mariae et Salvatoris),* to na tekstach ewangelji (tak że *Rozmyślanie* zastąpiło całkowite ich brzmienie), to na wykładach *Historia Scolastica* Piotra Comestora (do ewangelji), to na wy-

pisach z Ojców Kościoła: była to niby bibljoteczka teologiczna naszego średniowiecza, a ułożył ją samoistnie (t. j. nie miał gotowego wzoru) nieznany nam kompilator, oczywiście osoba duchowna gdzieś około r. 1475; licho odpisany tekst przemyski urywa przy *Ecce homo;* jest i karta luźna poprawnego bardzo odpisu z dalszego ciągu. Warto zaznaczyć, że z tekstu *Rozmyślania* korzystał bardzo obficie Opec w *Żywocie Chrystusowym,* druku z r. 1522, a również i pierwotne tłumaczenie ewangelji dostało się acz nie bez zmian do jej druku z r. 1557. Było więc i *Rozmyślanie* nie pracą oryginalną, lecz składaną ze wszelakich tekstów, ale równie obszernego splotu ewangelji, apokryfów (ksiąg niekanonicznych, nie uznanych przez Kościół opowiadań o młodości i męce Pańskiej) i wykładów teologicznych nie posiadają inne literatury średniowieczne, najmniej czeska, wzór i źródło naszej. Pierwszy to i najobszerniejszy nasz «romans duchowny», szczególniej w części początkowej, później przeważają już wykłady nad opowiadaniem. Najciekawszy to zabytek naszego średniowiecza.

Nie może z nim zrównać się *Historja Trzech Króli,* bo jest tylko mechanicznym, dosłownym, więc źle zrozumiałym przekładem z łaciny karmelity-Niemca, Jana z Hildesheim, nadzwyczaj cenionej na Zachodzie, o czem mnóstwo druków i tłumaczeń świadczy: historja przeniesienia relikwij Trzech Króli ze Wschodu na Medjolan do Kolonji, rozepchana najciekawszemi szczegółami z dziejów i etnografji Wschodu; w Polsce znalazł się spółcześnie (pod koniec XV wieku) może i drugi tłumacz, co gładziej i zupełniej przekładał, ale ten drugi przekład ocalał tylko w dalszym białoruskim przekładzie z początku następnego wieku.

W życiu religijnem obu tych wieków zaważyło silnie tercjarstwo: ludzie, co nie mogli wstąpić do zakonu franciszkańskiego, co pozostali na «świecie», pragnęli udziału w życiu zakonnem przez modlitwy, uczynki dobre, tryb życia na poły za-

konny (co do ubioru, postu, rządu domowego); byli to niby zakonnicy świeccy, tercjarze, i dla nich wydawano reguły, potwierdzane i odmieniane przez stolicę apostolską; przechowało się tłumaczenie tej «reguły trzeciego zakonu św. Franciszka» z XV wieku (częstsze pochodzą z XVI-go), przekład staranny, rozwlekły. O powinnościach dobrego gospodarza wobec służby uczyła *Epistoła św. Bernarda o rządzeniu czeladnem.* Jakie zniszczenie czas wśród tych zabytków sprawiał, dowodzi np., że z obszernych Objawień św. Brygity (nadzwyczaj w wieku XV cenionych, bo głoszących niezbędność reformy kościelnej obok bezpośrednich głosów Marji i Chrystusa) ocalały tylko dwie karty *folio* z bardzo starannie pisanego rękopisu z połowy wieku, z których trudno i ocenić wartość i źródło (czeskie? łacińskie?) całego przekładu. Tak samo ocalały tylko strzępy z encyklopedyj teologicznych, t. j. zbiorów orzeczeń, głównie Ojców Kościoła, o cnotach i występkach, jakie w średniowieczu w najrozmaitszych redakcjach pod najrozmaitszemi tytułami obiegały, oba fragmenty (t. zw. karta Glogera i fragment lubelski) jeszcze z początku XV wieku, w niezgorszem tłumaczeniu.

Wolno pytać, czy były obok prozy religijnej i prawniczej, t. j. obok niemal wyłącznych przekładów z odnośnej literatury, jakie zabytki prozy świeckiej, a więc dziejowej (kronik), albo romansowej (powieści, choćby budujących, dziejów Aleksandra Macedończyka, powieści wschodnich o Siedmiu Mędrcach i t. p.)? Ależ właśnie śród literatury świeckiej czas wyrządził największe spustoszenia. Wiersz i proza religijne ocalały przy rękopisach łacińskich, składanych starannie po klasztorach, kapitułach, w uniwersytecie, ale do nich improwizowany nieraz polski wiersz i list świecki przystępu nie miał; wobec wszechwładzy (na piśmie, bynajmniej nie w życiu) łaciny, wobec braku szkółek polskich i monopolu nauki łacińskiej nie zdobywano się na zapisywanie rzeczy polskiej, o celowanie w niej nikt się nie ubiegał, bo któżby to wtedy oceniał, kiedy jedyna łacina za wzór

i źródło wszelakiej nauki i sztuki uchodziła, a dla każdej myśli gotowej dostarczała formy, którą bez mozołu powtarzać czy nieco odmieniać należało, gdy myśl polska pasowała się mozolnie nietylko z wyrazem, ale i z samem pismem.

## PISOWNIA I JĘZYK LITERACKI

Znano tylko alfabet łaciński (o słowiańskim, ruskim, rzadko kto co wiedział), ale temu brakowało znaków, dla polszczyzny niezbędnych. I otóż pytanie: jak pisać po polsku znakami łacińskiemi, nasuwało się każdemu, co za pióro chwytał, tem natrętniej, skoro nie było szkoły polskiej, coby się z niem załatwiła. Do największych zasług Husa, fanatycznego miłośnika języka narodowego, który chciał z naleciałości i nawyczek obcych, niemieckich, oczyścić, liczono stworzenie znakomitego alfabetu czeskiego, który znakami łacińskiego alfabetu, rozróżnianemi kropkami, oddawał nierównie liczniejsze brzmienia czeskie (ale alfabet ten ułożył ktoś inny). Język polski miał brzmień jeszcze więcej niż czeski i zwykły alfabet łaciński o 24 znakach nie wystarczał dla 38 brzmień polskich. Więc w XII i XIII w. zadowalano się najprostszą mieszaniną: jeden i ten sam znak służył kilku brzmieniom, np. *d* było i *d* i *dź* i *dz* i *dż*, *s* znaczyło wszystkie syczące, należało odgadywać, o jakie brzmienie chodzi. W ciągu XIV i XV wieku składano kilka znaków na oznaczanie jednego brzmienia, aby np. polskie *ś, sz, ź, ż* i t. d. jako tako wyrazić, więc pisano *szyano* (siano), *zyemya* (ziemia) i t. p., nie odróżniano nosówek *(ą, ę), ł* i *l, y* i *i*. Ponieważ szkoły polskiej nie było, więc każdy pisarz rządził się swoją głową: wystarczy popatrzyć, co za bezeceństwa popełniali notarjusze-pisarze, gdy przychodziło do zapisania w łacińskim tekście polskiej roty, szczególniej na przełomie XIV i XV wieku, gdy rzecz jeszcze była świeża; to przestawiają znaki, *kald* zamiast *kład*, to nie dopisują ich. Tylko ci, co całe teksty-dzieła spisywali, dochodzili

do jakiego takiego ładu pozornego, ale i u nich bywały zawsze osobliwości, np. ponieważ łacinnik *ge, gi* jak *ji* wymawiał, więc Polak chcąc *ginąć* wyrazić, *h* wstawiał *(ghinąć),* albo inaczej sobie radził (potwornie w kazaniach gnieźnieńskich, *drodze* zamiast *drogie);* inny *koń* przez *koyn* oddawał; inny każde «zmiękczenie» notował osobno, więc pisał *byczy* (być), *prozyba* (prośba) i tak w nieskończoność, a z nosówkami każdy harcował po swojemu (pisał nawet *a* zamiast *ą, ę,* a odwrotnie *ą* zamiast *a).* Odczuto nakoniec w najpowołańszej instancji, w uniwersytecie, ten brak dotkliwy i rektor jego, Jakób Parkoszów (z Żórawicy) około r. 1445, utworzył poprawny alfabet, polecając go:

Kto chce pisać doskonale,
Język polski i też prawie,
Umiej obiecado moje,
Którem tak napisał tobie:

niestety, alfabet ten kuleje jeszcze bardziej niż rymy rektorowe. Ksiądz doktor wiedział o alfabecie niby Husowym i to go zgubiło, bo żeby w niczem nie przypominać spalonego na stosie heretyka, podążył inną zupełnie drogą i zabłądził: zaplątał się we wszelakich sprzecznościach, dawał dla jednego brzmienia to jeden znak *çalo* (ciało), to trzy *(pisch* pisz, *sszadl* siadł i t. d.), pojął *y* jako «przedłużenie» od *i,* okrągłość liter w spiczastość odwracał, a nieraz otwarcie się przyznawał, że sobie nie poradzi i domyślności czytelnikowej wszystko pozostawiał; nie dziw więc, że bardzo nieudolny projekt pozostał na papierze, nikogo nie nawrócił. Posiadamy go też w jedynym późnym odpisie, poprzedzonym wstępnem słowem innego mistrza krakowskiego, bardzo poważnem i mądrem. Gdy Jan Ostroróg bez szerszego uzasadnienia życzył poprostu, aby wszelkie kontrakty i sprawy sądowe po polsku spisywano («bo łacinę każdy inaczej rozumie, język zaś domowy każdy równie zrozumie»), to ów nienazwany mistrz pobudzał do tego samego temi słowy:

«Narody, zwłaszcza w najbliższem nam Polakom sąsiedztwie zamieszkałe, jako Czesi i Niemcy, wszystkie swoje sądowe akty, przywileje i inne dokumenty spisują w własnym języku literami łacińskiemi (dodając punkciki dla dogodności), aby cokolwiek prawdy między nimi toczonej dotyczy, co w piśmie złożyć należy, wszyscy, co o tem wiedzieć powinni, od słowa do słowa w tym samym języku, w którym rzecz się toczyła, czytali, aby zasadnicza prawda sprawy toczącej się nie ucierpiała dla obcego tłumaczenia różnych języków, ale żeby tak ją odczytano słuchaczom poprostu, jak się toczyła».

Autor przytaczał na dowód niezgadzania się języków, co rozumieniu właściwemu szkodzić może, przykłady, ale tylko niemiecki trafniej dobrany, polski zawiódł. Zarówno ten anonim, jak i Ostroróg myśleli tylko o używaniu polszczyzny przed sądem, nie dalej, chociaż anonim zwracał się i przeciwko możliwemu zarzutowi, jakoby wielość ksiąg teologicznych i innych w języku narodowym podnietę do «błędów» (herezji) dawała, tak że nawet kobiety, nietylko mężczyźni, czytając wszelakie pisma wykraczają, ależ złe użycie narzędzia nie potępia samego narzędzia.

Alfabet Jakubów nie jedynym zresztą dowodem pieczy uniwersyteckiej około języka narodowego. I tak pisał ktoś w połowie wieku na podstawie czeskich słowników biblijnych (t. zw. Mammotreptów, objaśniających trudniejsze słowa tekstu ewangelji i biblji wedle następstwa rozdziałów), podobny polski; otóż ten to słownik skrócili znacznie (opuszczając co zbyt łatwe) i poprawili mistrzowie krakowscy: poprawny jego odpis z roku 1471 ocalał obok owego dawniejszego.

Nie stworzył więc wiek XV jednolitej pisowni i właśnie przy końcu jego zapanowała na tem polu najzupełniejsza anarchja; natomiast ustalił na zawsze tę jednolitość językową, która już wcześniej się zaczęła. Państwowość więc polska powstała nad Wartą, język literacki natomiast nad górną Wisłą, bo nie rodzi się wraz z państwem, lecz wyrasta na podłożu towarzyskiem, a to podłoże tworzyło się właśnie w Krakowie już od

r. 1040. Więc brak też w naszych dawnych zabytkach wyraźnych cech narzeczowych, nie posiadają ich np. kazania gnieźnieńskie, choć w Wielkopolsce powstały, tylko wyjątkowo zdradzi się pisarz Mazur, że np. Rekowskiego zamiast Rakowskiego wypisze, albo Wielkopolanin, że *u* zamiast *ą* w wygłosie położy, albo taki chłopski synek z Bończy lubelskiej, z nad granicy ruskiej, że rusycyzmami upstrzy swoją polszczyznę. Te wyjątki potwierdzają tylko regułę: mógł Mazur (Władysław z Gielniowa) układać pieśni religijne, ale mazowieckiego nic w nich nigdy nie było i śpiewała je cała Polska. Nieraz inni czechizmy wprowadzali, szczególniej dla pojęć oderwanych, zwłaszcza w piśmie religijnem, najbardziej zaś, gdy nie z łaciny, lecz ze wzoru czeskiego tłumaczono, gdzie terminologja była już ustalona i przez to tłumaczowi przy bliskości obu języków sama się narzucała.

W porównaniu z wielkomocarstwowem znaczeniem Polski odbijało niekorzystnie, choćby wobec Czechów, stosunkowe ubóstwo literatury w narodowym języku; na tem polu było spóźnienie tak widoczne, że trzeba odpowiedzieć na pytanie co do jego przyczyn. W pierwszym rzędzie zawiodły miasta i dwór królewski, powołane ośrodki życia umysłowego. W miastach przeważał zawsze jeszcze żywioł niemiecki, szczególniej w najbogatszem i największem, w Krakowie, zaliczanem nawet przez Polaka, Jana z Ludziska, w mowie powitalnej (dla Warneńczyka z r. 1444 ?), między miastami niemieckiemi.[1] Ci jeszcze nie zasymilowani przybysze nie uprawiali żadnej literatury, ani niemieckiej ani polskiej, robili majątki i używali życia. Była kancelarja królewska, ale dworu w europejskiem znaczeniu słowa nie było. Jagiełło był prostym Rusinem i muzyka wraz z malo-

[1] «Jak słońce między gwiazdami, tak przewyższa (Kraków) inne miasta niemieckie wymową i mądrością, ba, wszelkim rodzajem filozofji, jak źródło wywodząc z nieba strugi na wsze części świata i wszelaką wiedzę wypuszcza»; Niemcy sami Krakowa z «Sarmacji» nie wyodrębniali.

widłami ruskiemi zaspokajały jego wymogi estetyczne; Warneńczyk i Kazimierz bawili na Węgrzech lub Litwie; Kazimierza pochłonęły troski polityki dynastycznej, został obojętny dla innych pytań; drobne dwory mazowieckie nie wchodziły w rachubę. Szlachta sama nie garnęła się jeszcze zbyt żywo do oświaty, nie wyjeżdżała liczniej za granicę, a Kraków omijała; wystarczał jej byle jaki domowy nauczyciel. Jedyną więc klasą, posiadającą czas i środki dla uprawiania literatury i odczuwającą swoje powołanie, pozostało jak dawniej duchowieństwo, to zaś z zasady nie sprzyjało literaturze świeckiej, a w obawie przed husytyzmem ani literaturze w narodowym języku.

W jej rozwoju zaważyły Czechy dodatnio i ujemnie, ale nie odrazu; np. w kazaniach gnieźnieńskich niema śladu czeszczyzny. Dopiero na przełomie XIV i XV wieku uczyli się księża polscy w Pradze, z Pragi przywozili i rękopisy czeskie i znajomość języka i od 1400 r. poczyna wpływ i wzór czeski coraz silniej oddziaływać. Andrzej z Jaszowiec, przekładając dla Soŋki biblję, użył wzoru czeskiego (r. 1455); w pierwszej połowie wieku liczne pieśni czeskie powtarzano po polsku, nieraz nawet w haniebnej mieszaninie językowej (legenda o św. Dorocie, to chyba odstraszający tegoż przykład); tekst zapiski polskiej u Długosza o zakopanym skarbie zacina z czeska. Autorowie Polacy, nawet gdy nie wzorowali się bezpośrednio na czeskim tekście, wychodzili od czeszczyzny, byli z nią obznajomieni i stąd ten napływ czeskich słów do polszczyzny literackiej, obcy niemal XIII i XIV wiekowi, charakterystyczny dla XV-go. Dopiero przy samym końcu wieku, gdy wyjałowiała pod wpływem walk wyznaniowych literatura czeska, zaczyna się stosunek odwracać: coraz bogatsza pieśń religijna polska znachodziła odgłos w czeskiej (posiadamy tłumaczenia czeskie pieśni polskich kilku), i panowanie czeszczyzny skończyło się, chociaż jeszcze i w XVI wieku zagorzałe niedobitki (np. Jan «Malecki» z Sącza, Prusak wkońcu) autorytet czeski ślepo uznawali —

a był on niegdyś tak ogólny, że nawet Rusin, który przekładał statut wiślicki z polskiego na ruskie, myślał, że z czeskiego tłumaczy!

Jednakże husytyzm, działający wyłącznie w narodowym języku, zaniepokoił duchowieństwo, które z obawy herezji Pismo św. w języku polskim, ba, każde pismo polskie z największem niedowierzaniem przyjmowało i szerzeniu się jego albo nie sprzyjało, albo je wręcz tępiło. Przecież nie można tego policzyć na karb samego przypadku, że gdy małe Czechy posiadają z XV wieku kilkadziesiąt egzemplarzy czeskich biblij i ewangelij, dziś cała wielka Polska tylko jedną biblję, parę psałterzy i ż a d n e j całej ewangelji nie posiada. A było ich niegdyś więcej, wytępionych chyba przez księży; por. wyż. o sprawie Stanisława z Pakości i jego książek polskich; za Nowy Testament zażądano od niego kopę groszy.

Na liczbę winno było tych książek polskich być już sporo, toż modliły się panie polskie już z nich; psałterz Jadwigi był olbrzymim foljałem, przeznaczonym do jej klęcznika, ale w XV wieku psałterze i modlitewniki pisano w małym formacie (16-ka) i nosili je służący-paziowie za paniami do kościoła; posiadamy do dziś takie modlitewniki; najstarsze między niemi to godzinki Maryjne i o «własnym Aniele» (wraz z modlitwami o św. Annie, której kult przy końcu XV wieku i w Polsce bardzo się wzmagał), przepisane przed r. 1482 przez krakowskiego profesora teologji, Wacława «ubogiego» z Brodni. Inne należą już do XVI w., przepisane dla kobiet ze wzorów średniowiecznych, np. modlitewnik Nawojki (Nastazji — czy wojewodziny poznańskiej Bnińskiej?), Wigilje za dusze zmarłych, Modlitewnik siostry Konstancji z r. 1527 i t. d. Głównym składnikiem modlitewników bywały psalmy Dawidowe; tych ocalało kilka, zob. wyżej.

Czytania pobożne zasilały się żywotami świętych. Najpopularniejszy ich zbiór, t. zw. legendę złotą Jakóba de Vo-

ragine, przetłumaczono już na początku wieku (ocalał marny urywek w żywocie św. Błażeja); objawienia św. Brygity i inne, zob. wyż. Ale te fakty nieliczne nie zasłonią prawdziwego stanu rzeczy: nie odczuwano jeszcze w szerokich kręgach potrzeby czytania polskiego, a najlepszym tego dowodem, że nikt ani pomyślał o druku polskim. Istniała wprawdzie drukarnia w Krakowie w latach 1473 i 1474, ale tylko dla duchowieństwa, dla łacińskich dzieł teologicznych, lecz po wydaniu kilku pism podobnych zaprzestała dalszych. Roku 1491 poczęto w Krakowie drukować dla szyzmy księgi obrzędowe, tylko o książce polskiej nikt ani pomyślał, gdy czeskie już były nawet całe biblje, nie mówiąc o niemieckich. Nie istniała więc książka dla potrzeb umysłowych, bo cóż znaczyło tych kilkadziesiąt czy kilkaset rękopisów, co się po wielkiej Polsce kryły, kosztownych i mało komu dostępnych? Średniowiecze, nietylko w Polsce, obywało się w domu bez książki; trudne warunki materjalne (odpis był drogi bardzo, a gotówki mało), twarde życie, brak szkoły narodowej (była tylko obca, łacińska), skromność wymagań (w zimie długi sen; pogadanka; muzyczka; praktyki religijne trawiły wiele czasu wolnego od zajęć domowych) złożyły się na to, że braku książki nie odczuwano zbytnio; ale w Polsce przeciągnął się ten stan, niegdyś ogólny, wyjątkowo długo. I w kościele przesiadywano godzinami; kazań, szczególniej w post, a najbardziej w tydzień pasyjny, głoszono nieskoczenie wiele, lecz nikt ich nie spisywał.

O dziwnej nieproduktywności średniowiecznej literatury świadczy widocznie, że nie posiadała ani jednego opisu podróży. Jeździli duchowni rokrocznie do Rzymu, Padwy, Bolonji; jeździli opaci na kapituły generalne we Flandrji czy Włoszech; pielgrzymowali do Ziemi świętej,[1] nigdy żaden z nich nie

[1] Właśnie Polacy najmniej do Ziemi św. pielgrzymowali. W walkach krzyżowych nie brali wcale udziału, jedyny Władysław II (na wygnaniu) podążył na wschód za swoim protektorem Konradem r. 1147;

wspomniał, choćby dla zbudowania pobożnego czytelnika, o miejscach świętych. Inaczej Ruś; jedzie do Ziemi św., do Carogrodu, na sobór florencki i od XII do XV wieku zasila cennemi pracami chorografję Ziemi św., topografję Carogrodu, widoki ziemi niemieckiej i włoskiej, począwszy od pobożnego mnicha Daniły aż do popów suzdalskich. Jedzie przecież i Długosz w towarzystwie kilku ziomków r. 1450 do Ziemi św., ale tylko ze wzmianek ubocznych dowiadujemy się o marszrucie i czasie. Dziwi nas też bardzo, jeśli r. 1446 w Nikozji na Cyprze niemiecki podróżnik spotkał «viele polnische Pilger»; w kraju o tem głucho. Że kanclerz Szydłowiecki za młodu był w Jerozolimie i na Synaju, dowodzą emblematy na jego tarczy herbowej, ale poza tem nawet czasu pielgrzymki oznaczyć nie sposób. Cała gałąź podróżnictwa świeci więc pustkami, chociaż polak Benedykt towarzyszył Janowi de Plano Carpino r. 1245 do Karakorum do hana mongolskiego aż pod same Chiny, a na okręcie duńskim Jan z Kolna, żeglarz gdański, zamiast do Grenlandji docierał (r. 1476) do Labradoru i cieśniny Hudsońskiej; oprócz gołych nazw i dat nie wzbogaciło się samo piśmiennictwo niczem, i tu niedbałość polską oskarżać należy. Tem dziwniejsza ona, że przecież nikt inny, jak Długosz, przyświecał najlepszym przykładem, otwierając dzieje polskie obrazem kraju, wyliczając najstaranniej wszelkie większe nieco rzeki i jeziora; o górach nie było co wiele prawić; Długosz pierwszy dał więc coś w rodzaju wstępu geograficznego, zaniedbywanego pospolicie przez innych kronikarzy; geografja zyskała i przez jego księgi dochodów ko-

młodszy jego brat Henryk «ivit Ierusalem» r. 1154, podobnie Jaksa z Miechowa; r. 1227 brali książę (który? Odonic?), i rycerze polscy udział w wyprawie krzyżowej króla węgierskiego Andrzeja, innych «krzyżowców» XIV i XV wieku wymienił Jan St. Bystroń, *Polacy w Ziemi św., Syrji i Egipcie 1147—1914*, Kraków 1929. Za wypraw krzyżowych Polska za mało była uchrześcijaniona i miała za blisko własne pogaństwo; co prawda, i z tem nie o wiarę walczyła.

ścielnych diecezji krakowskiej, chociaż nie o geografję się przytem rozchodziło. Że i «Gall» we wstępie do Kroniki położenie kraju określał, poszło z tego, że niby przedstawiał Europie nowego przybysza, należało go więc odpowiednio ustroić. Długosz tego obowiązku już nie miał, a mimo to go dopełnił. Ale to nie jedyna jego nowość; próba scharakteryzowania, nie narodu tylko, lecz nawet poszczególnych wielkich rodów, zdradzała niezwykłą śmiałość myśli; nikt, ani wcześniiej ani później, nie podjął się podobnej «psychoanalizy».

Mimo ubóstwa literatury polskiej, już ona wykracza za granice etnograficzne, dowód tej siły, bijącej od wielkiego państwa. Czesi zaczynali już przy końcu wieku korzystać z bogatych zasobów naszej pieśni religijnej, chociaż sami ją masowo produkowali, a szło im to tem łatwiej, że w drugiej połowie wieku księża katoliccy z Polski do nich napływali. Ruś odgraniczał obrządek i pismo szczelnie od Polski, a przecież już przy końcu wieku zaczynał się ten rozwój, który później z każdym dziesiątkiem lat się wzmagał i w połowie XVII wieku szczytu dosiągnął: mimo przepaści, dzielącej wyznania-narody, sięgał Rusin już przed r. 1500 do zasobów polskich, do legend i apokryfów, do wiersza moralizującego, prawdopodobnie najpierw na Białej Rusi, bo na nią przeniósł się ruch umysłowy, i Polikarp mazowiecki, Historja Trzech Króli, ewangelje Nikodemowe i inne teksty weszły w obieg ruski już w tych latach.

## BIBLJOGRAFJA

Wypadałoby wymienić wszelkie dzieła, które dzieje literatury średniowiecznej krócej lub obszerniej przedstawiają, począwszy od pięciu tomów Michała Wiszniewskiego; stosunkowo obszerniej dałem je w moich *Dziejach literatury polskiej w zarysie,* tom I, wydanie trzecie, Warszawa b. r. Zamiast dalszego spisu odsyłam do dzieła: Roman Pilat, *Historja literatury polskiej od czasów najdawniejszych do roku 1815, wykłady uniwersyteckie,* tom I, część pierwsza: do końca XIV wieku;

część druga: wiek XV, opracował Stanisław Kossowski, Warszawa 1926. Pilat nie uwzględniał w dalszych wykładach ani prozy, ani łaciny, ale do wykładu o średniowieczu je wciągał, a Kossowski uzupełnił je i poprawił, dał zaś przytem wyczerpującą bibljografję wszystkiego, co u nas (i zagranicą) kiedykolwiek o tem pisano. Na razie, po roku 1926, nie przybyło nic ważniejszego, oprócz drobiazgów (cyziojan, wiersze kalendarzowe i in.), które w tekście uwzględniłem. Niestety, rzeczy ważniejszych nowych już nie należy oczekiwać, pomnoży się znaczniej tylko dział rękopisów łacińskich, szczególniej z kazaniami łacińskiemi a glosami i wstawkami polskiemi.

Warto jednak osobno zoznaczyć kilka ogólniejszych prac i zbiorów. Najzupełniejszy dał Jan Łoś, *Początki piśmiennictwa polskiego,* Lwów 1922 (drugie wydanie, bez stu stron Dodatków wydania pierwszego p. t.: *Przegląd językowych zabytków staropolskich do r. 1543*, Kraków 1925). M. Bobowski, *Polskie pieśni katolickie od najdawniejszych czasów do końca XVI wieku,* Rozprawy Akadem. filolog. tom XIX, Kraków 1893. Wł. Nehring, *Altpolnische Sprachdenkmäler,* Berlin 1887. A. Brückner, *Psałterze polskie do połowy XVI wieku,* Rozprawy i t. d. XXXIV, 1902; tegoż: *Polska proza średniowieczna,* Kraków 1923 i *Średniowieczna pieśń religijna polska,* 1924 (Bibljoteka Narodowa). St. Vrtel-Wierczyński, *Średniowieczna poezja polska świecka,* oraz W. Taszycki, *Najdawniejsze zabytki języka polskiego,* również w Bibljotece Narodowej. Dzieje psałterza florjańskiego (najstarszego) odtworzył L. Bernacki w Roczniku Ossolineum I, za r. 1928: przeznaczali go dla królowej Jadwigi kanonicy augustjańscy w śląskim Kłodzku.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

# SZTUKA

Architektura. — Rzeźba. — Malarstwo. — Muzyka. — Młodszość i żywotność kulturalna Polski.

## ARCHITEKTURA

Czasy Łokietkowe a Kazimierzowe, ojca a syna, to nie różnica dwu pokoleń, lecz dwóch światów. Łoktek, to prymityw wczesnego średniowiecza (wieków XI—XIII), zakuty we zbroi rycerz, co powalił w nadludzkim wysiłku smoka dzielnicowego i państwo z kawałków spoił; Kazimierz, to nie zwiastun, lecz samo wcielenie nowego życia i ducha, co mądrą polityką wycieńczonemu narodowi zapewnił lata długiego pokoju, niezbędnego dla wszechstronnego rozwoju sił jego kulturalnych; co zdobył dla niego nowe szerokie pola; co w sądzie i prawie, kościele i wojsku, mieście i kopalni, przemyśle i handlu, powytykał drogi przyszłego rozwoju; starł śniedź prostoty średniowiecznej, piastowej; blaskiem przepychu siebie i swoich otoczył; nawet feminizmowi, ostatni Piast jak ostatni Jagiellończyk, od wczesnej młodości, jak żaden inny z Piastów, hołdował. Że taki panujący i w dziejach sztuki swe imię zapisał, rozumiało się samo przez się, tem bardziej, że przyświecały mu wzory dworów budzińskiego i praskiego, śród których się chował. Nie dziw też, że wcześnie mgła legendy jak o «królu chłopków», tak o «królu budowniczym» jego pamięć spowiła. Bo oto co o nim w lat sto niespełna Długosz napisał:

«Nie pominął prawie żadnego w królestwie polskiem miejsca, żadnego z starodawnych miast i zamków, w któremby nie postawił nowych murów, upadających nie dźwignął, albo gdzie czego brakowało, nie przybudował. Dla zamków, dworów, kościołów i domów, które za jego panowania szlachta, mieszczanie, bądź ubożsi kraju mieszkańcy murować usiłowali, spieszył z pomocą i do ukończenia rozpoczętych dzieł pobudzał i nakłaniał.

Taką pałał bowiem gorliwością o podźwignienie i ubogacenie swego królestwa, że największych na to nie żałował trudów i nakładów, aby widział pomurowane wszędzie kościoły, zamki, miasta i dwory, tak iż zastawszy Polskę glinianą, drewnianą i nieschludną, zostawił ją murowaną, ozdobną i wspaniałą. Cokolwiek też Polska ma zamków, kościołów, miast i dworów murowanych, to w większej części król Kazimierz postawił, albo swym królewskim nakładem uzupełnił».

Od Kazimierza poszedł właściwy rozkwit sztuki gotyckiej. Dzieł jej nie da się wprawdzie równać z dziełami Zachodu; skromniejsze one w rozmiarach, uboższe w wykonaniu, oszczędniejsze w ozdobach, bo i kraj był uboższy, odległy od środowisk sztuki i przemysłu, znacznie opóźniony w rozwoju, już nie wobec dalekiego Zachodu, ale nawet wobec Czech pobliskich. Przez dwa wieki panował odtąd niepodzielnie gotyk w Polsce i zostawił w budowlach i rzeźbach, nie w malarstwie, dzieła nawet pierwszorzędnej wartości. Najznakomitsze należą czasom Kazimierzowym i opromieniają głównie Kraków; są niemal wyłącznie pomnikami architektury i rzeźby kościelnej; ustępują wobec nich budowle świeckie, pierwsze co się u nas z dawnej Polski zachowały. Rzeźby nikną jednak, mianowicie w wieku XIV-tym, przed architekturą, która chyba jedyna nabrała pewnych cech rodzimych, łącząc dwa materjały budowlane, kamień i cegłę. Przy jej ocenie wadzi jednak zupełna ich anonimowość; wie się k i e d y, lecz nigdy, k t o je stawiał, obcy przybysz (a wędrowali budowniczy gotyccy i rzeźbiarze stale) czy rodak, wychowany już w szkole domowej? Dalej sprowadził czas, pożary, przebudowy znaczne spustoszenia nawet śród budowli z ciosu, cóż dopiero w drewnianych; szczególnie zniszczały budowle świeckie, zamki warowne, tak liczne na kresach węgierskich (w Małej Polsce) i domy mieszkalne po miastach. Pokój wiekowy, panujący właśnie od ściany węgierskiej nieprzerwanie, uczynił te zamki zbędnemi i zdano je na niełaskę otoczenia; domy coraz przebudowywano, tylko kościoły ocalały stosunkowo nienaruszone i one świadczą najlepiej o bogactwie

XIV wieku. Najznakomitsze z nich cztery krakowskie: katedra na Wawelu, kościół farny N. P. Marji na rynku, kościół Dominikański, kościół św. Katarzyny na Kaźmierzu dla Augustjanów, jakich Kazimierz z Pragi sprowadził; oba bez wież.

Katedra romańska spłonęła w r. 1306; Łoktek zaczął r. 1320, a raczej biskup Nanker, budowę, którą Kazimierz dalej prowadził, a w r. 1364 dokończył; architekci nieznani; budowa stosunkowo niska, utraciła na zewnątrz przez przebudowę cechy gotyku, zachowane w jej wnętrzu; dekoracja rzeźbiarska wcale uboga; system konstrukcji sklepień, w przeciwieństwie do używanych na Zachodzie łuków odpornych, przybudowywanych do ścian, polega na przymurowywaniu silnych przypór czyli szkarp do filarów od samego dołu; system ten występuje sporadycznie i w Niemczech, u nas wręcz zapanował, powtarzał się we wszelkich innych kościołach.

Charakter gotycki zachowała nienaruszony niemal fara, imponująca rozmiarami, szczególniej wysokością, o ośm metrów większą niż katedra, o dwa metry mniejszą niż strasburska, uboższa co do artystycznego wykonania wewnętrznego; szczególnem bogactwem odznacza się presbiterjum; chór jej był gotów r. 1384, zasklepił nawę główną około r. 1395 Wernher z Pragi, ale sklepienie runęło r. 1442 i nowego okazalszego dokonał Cipser z Kaźmierza. Najpiękniejsza to budowa gotycka w całej Polsce, najokazalsza już dlatego, że stoi wolno, nie wciśnięta w zaułki, jak warszawska katedra św. Jana. Kościół dominikanów zniszczał w pożarze 1850 r.; najpiękniejsze co w nim ocalało, to portal znakomity. Nierównie lepiej zachował się kościół św. Katarzyny (patronki Karola IV), rozpoczęty przez Kazimierza, dokonany około r. 1399. Do wszystkich tych kościołów użyto tego samego kamienia i znaki kamieniarskie na ciosach są te same.

Wzory krakowskie naśladowano na prowincji, w katedrze gnieźnieńskiej, budowie XIV wieku (później przekształconej),

w katedrze poznańskiej (przebudowanej na ich wzór r. 1431; farę podobną, z XV wieku, zniszczył pożar). Były to budowy bazylikowe; obok nich, szczególniej na prowincji, w kościółkach wiejskich, panował system halowy, jednofilarowy; halową, trójnawową jest katedra lwowska. Na północy, na Mazowszu, Dobrzyniu, Kujawach, zamiast architektury krakowskiej szerzyła się krzyżacka.

Mniej świetne i mniej liczne były monumentalne budowy świeckie, głównie przez mieszczan stawiane, którzy nietylko o farę, ale i o ratusze i kramy, o mury i baszty dbali. Królewskie budowle gotyckie na Wawelu ustąpiły przed renesansowemi; dawny drewniany zamek spłonął r. 1306, Łoktek i Kazimierz wznieśli murowany i otoczyli Wawel murem i basztami; z baszt ocalały resztki muru w Kurzej Stopie, wzniesionej przez Jadwigę i Jagiełłę, i w drugiej, duńskiej albo Lubrance; z zamku salka gotycka. Wawel Kazimierzowy był całkiem do dzisiejszego niepodobny; szereg wszelakich, większych i mniejszych, drewnianych i ceglanych budowli, otoczony murem z basztami pokrywał wzgórze; przy nowych budowlach (np. i przy katedrze) korzystano z dawnych murów nawet kosztem symetrji. Nierównie lepiej zachował się typ gotycki w mieście samem. Pierwotny, skromniejszy chyba ratusz ustąpił miejsca nowemu w drugiej połowie wieku; z tego pozostała do dziś prawie nienaruszona, imponująca wieża, gdy sam ratusz przylegający do niej rozebrano przed wiekiem (1820); u wieży jest tylko najwyższe, zegarowe piętro wraz z hełmem, późniejszym dodatkiem. I w kilku kamienicach przy rynku ocalały resztki gotyku, tak dwie izby w t. zw. kamienicy hetmańskiej. Nierównie okazalej przedstawiają się resztki budowy obronnej: brama Florjańska z murem i basztami, a przed bramą «barbakan». W dawnych grodach naszych wystawiano przed grodem potężny słup, aby z niego ostrzeliwać tych, coby murów dobywali; podobne zadanie miał i ów barbakan (termin arabski; rzecz

sama znana i na Zachodzie), połączony pierwotnie wąską szyją z bramą samą, czego u owych dawnych słupów nie bywało. Chociaż i barbakan i trzy baszty wzniesiono przy końcu XV-go wieku, przypominają one dobrze i pierwotny wygląd, a grube mury, okalające bramę, sięgają może pierwotnego muru z XIII wieku. Bram było oddawna siedm; baszt, stawianych, utrzymywanych i bronionych przez cechy, przybywało wraz z cechami samemi; było ich ostatecznie około czterdzieści. Pierwotnie okalał podwójny pierścień murów miasto, tak samo i Kaźmierz. Mury i rowy przed niemi zniesiono i zasypano w latach 1809—1829, nadwątlone były one już w XVII wieku. Na rynku stały i inne budynki miejskie, waga znikła, ostały się Sukiennice, wielka hala targowa, przerobiona z dawnych kramów, wykończona niedługo przed r. 1390 przez budowniczego miejskiego, Marcina Lindintolde, który i przy innych, miejskich i mieszczańskich budowlach był czynny (przy ratuszu, murach i in.). Mury krakowskie wznosił już Wacław II czeski; ile miast Kazimierz obmurował, wiemy od Janka z Czarnkowa; zniknęły te mury wszystkie, ale i ratusze rzadko gdzie ocalały, np. w Toruniu i Poznaniu. Z świeckich budowli XV wieku wyróżnia się uniwersytet niegdyś, dziś Bibljoteka Jagiellońska, przekształcona wprawdzie, ale w głównych zarysach zachowana, odznaczająca się formą kryształów, stosowanych do dekoracji filarów i sklepień, wydatniej, niż w jakiejkolwiek innej budowie. Z domów mieszkalnych na prowincji ocalał dwór obronny w Dębnie, ceglany, z basztami, siedziba Jakóba Odrowąża Dembińskiego, kanclerza i kasztelana krakowskiego, zmarłego r. 1490. Dawne domy miejskie i wiejskie miały bardzo szczupłe izby, fasady były wąskie, izby niskie, dom rósł tylko wgłąb i podnosił się do góry; do okien już dawno używano szyb szklanych. Tylko na zamku królewskim albo wielkopańskim bywały przestrzeńsze ubikacje, sklepione. Z licznych niegdyś zamków obronnych, pańskich, ocalały drobne resztki murów, szczególniej baszt — naj-

okazalszy zamek w Niedzicy, nad Dunajcem, naprzeciw Czorsztyna, ów węgierski, ten polski, rozbudowany przez Kazimierza Wielkiego.

## RZEŹBA

Nierówne liczbą i wiekiem, zato sztuką nieskończenie celniejsze były rzeźby gotyckie. Najznamienitsze między niemi, to sarkofagi-tumby królów polskich, z baldachimem nad niemi, nieraz dziełem innych artystów, lub bez niego. Ale przy rzeźbach jeszcze trudniej oznaczyć ojczyznę mistrza, niż przy budowli; rzeźbiarze byli jeszcze ruchliwsi. Posiadamy nazwy snycerzy krakowskich z XV wieku w księgach radzieckich, lecz nie sposób przypisywać im co ocalało, najpiękniejsze właśnie rzeczy, owe pomniki grobowe. Szereg ich zaczął Kazimierz grobowcem ojca w katedrze wzorowanym na grobowcu wrocławskim Henryka IV, księcia wrocławskiego i krakowskiego, wcześniejszym o sto lat zgórą?). Na tumbie król leży w skromnym stroju; głowa, szczególniej fryzura, bardzo charakterystyczna; samą tumbę zdobią płaskorzeźby przedstawiające płaczki i osoby duchowne; pomnik był polichromowany. Piękniejsze były rzeźby w kościele N. P. Marji, w prezbiterjum, bogate w figury, szczególnie w fryzie biegnącym pod dachem, a w samym kościele w dekoracjach roślinnych kapiteli; dalej na wspomnianym wyżej portalu kościoła dominikanów. W katedrze poznańskiej wystawił Kazimierz grobowce królów polskich, także Chrobrego, dawno już znikłe. Najwyżej stanął jego własny grobowiec, wystawiony przez siostrzeńca, Ludwika Węgierskiego, dzieło nieznanego artysty, Francuza (?). Układ zwykły: na tumbie leży król w stroju koronacyjnym; ściany tumby ozdobione arkadami; w nich siedzą postaci męskie; ośm kolumienek na tumbie dźwiga baldachim, ze sklepionem wnętrzem, a na niem gwiazdy na tle niebieskiem. Liczne stosunkowo rzeźby Matki Boskiej z Dzie-

ciątkiem i krucyfiksy będą napewne wyrobami krajowemi; z niektóremi wiążą się legendy, np. o Łoktku i Matce Boskiej Wiślickiej, która do niego przemówiła. Z pierwszej połowy XV wieku najcenniejsza rzeźba, to grobowiec Władysława Jagiełły z czerwonego marmuru, lecz baldachim nad nim renesansowy na miejsce pierwotnego gotyckiego; ściany tumby zdobią płaskorzeźby dygnitarzy państwa i herbów ziem; u cokołu biegną psy i sokoły (jakby wzmianka o myśliwcu namiętnym). Dalsze okazy sztuki kościelnej, to płaskorzeźby tablic erekcyjnych; Oleśnicki, Długosz czy inny fundator klęczy przed N. P. Marją, ofiarując jej wizerunek kościoła czy bursy; dalej tryptyki czyli ołtarze składane.

Najsłynniejszy z nich, szczyt snycerstwa średniowiecznego nietylko u nas, to ołtarz marjacki Wita Stwosza, który najlepsze lata długiego, skołatanego i nieszczęściami, żywota w Krakowie (1460—1496) przepędził, tu szkołę stworzył, syna Stanisława i licznych uczniów zostawił. Tryptyk marjacki, olbrzymi rozmiarami, zaczął r. 1477 a dokończył r. 1489; miał własny warsztat przy ulicy Grodzkiej w własnym domu. Tryptyk składa się z «predelli», z szafy z ruchomemi skrzydłami i z trzech nad nią baldachimów; środkowa kompozycja uśpienia *(obdormicio)* N. P. Marji śród apostołów, podtrzymujących i opłakujących niknącą; obok tych grup wykończonych wolnie, płaskorzeźby na skrzydłach ruchomych i ukrytych za niemi nieruchomych, dwanaście, z życia N. P. Marji i męki Zbawiciela; ołtarz rzeźbiony z drzewa, malowany (z przewagą lazuru i złota) i złocony; figury nadnaturalnej wielkości, traktowane z nadzwyczajnym realizmem, pełne ruchu a wedle życia modelowane, jakby sarmackie; draperja pełna niespokojnych fałdów, a architektura późnogotycka; barwami dopełniano krajobrazów; mnóstwo akcesorjów, roślin, zwierząt i t. d. wpleciono do całości, mimoto jednolitej. Ołtarz znalazł licznych naśladowców. Nad uśpieniem wniebowzięcie, dwie idealne postaci wzlatują; nad niem

koronacja, po jej bokach śś. Wojciech i Stanisław. Zpod dłóta Stwoszowego wyszły może i dwa krucyfiksy w tym samym kościele, jeden na tęczy między presbiterjum a nawą, drugi w południowej nawie, dzieło nadzwyczajnej piękności.

Na grobowiec Kazimierza Jagiellończyka z r. 1492 złożyło się dwóch artystów o nierównej sile, tumbę wykonał Wit Stwosz, baldachim Jurek Huber. Król leży w stroju koronacyjnym, u stóp króla lwy herbowe, na ścianach tumby stany biadające w postaci siedzącej, każda odmienna. Huber dorobił baldachim ze scenami z Starego i Nowego Testamentu. Inne grobowce dłóta Stwoszowego, to biskupa włocławskiego Piotra Bnińskiego i arcybiskupa Zbygniewa Oleśnickiego w katedrze gnieźnieńskiej; płyta grobowca Filipa Kallimacha w kościele dominikanów, wykonana w bronzie, uchodzi za dzieło Stwosza, inni przypisują je słynnemu ludwisarzowi norymberskiemu, Piotrowi Vischerowi, albo wyznaczają Stwoszowi tylko udział w pracy Vischerowej, mianowicie modelowanie (wykonane jeszcze za życia?) samej postaci Kallimachowej w pozie siedzącej przy pracy z bardzo charakterystycznem wnętrzem mieszkania. Z pracowni Vischerowej wyszedł cały szereg grobowców poznańskich i krakowskich, grobowce Uriela Górki, biskupa poznańskiego z r. 1498, Bernarda Lubrańskiego, kanonika poznańskiego z r. 1499, grobowce dwóch Salomonów w Krakowie, Piotra Kmity na Wawelu i, tamże, kardynała Fryderyka Jagiellończyka; inne, o coraz wyrazistszem piętnie renesansowem, należą też do pierwszych lat XVI wieku, a dowodzą ścisłości węzłów, spajających zachodnią Polskę z Norymbergą.

## MALARSTWO

Z bogatym rozwojem rzeźby, zastąpionej na ziemi polskiej istotnemi arcydziełami, sprzecza się nikłość malarstwa; najznaczniejszy artysta, Jan Polak, pracował w Monachjum; za-

piski radzieckie i konsystorjalne mówią o malarzach, procesujących się o nagrodę umówioną za wyuczenie rzemiosła, albo pozywanych o niedokonanie zamówionej pracy, ale pomników tego malarstwa zachowało się niezmiernie mało. Freski po ścianach kościołów, krużganków, kapitularzy wybladły albo zginęły pod narzuconym tynkiem; obrazy sztalugowe zniszczyły czas, robak, pożary; ocalały niektóre witraże po kościołach i minjatury po rękopisach, wykonywane nieraz nadzwyczaj bogato i starannie, chociaż osoba, dla której modlitewnik przeznaczono, na większe bogactwoby zasługiwała, np. modlitewnik Władysława Warneńczyka, ciekawszy dla astrologiczno-magicznego charakteru, niż dla dosyć skromnych iluminacyj. Najsłynniejsze dzieło minjaturowe, legenda św. Jadwigi, dla kolegjaty przy kościele św. Jadwigi w Brzegu z polecenia księcia Ludwika legnickiego wykonana r. 1353 przez Mikołaja Pruzia w Lubieniu: romańska idealizacja i konwenans ustąpiły przed realizmem, który istotne życie wszelkich ludzi i stanów podpatruje i na karty przenosi; bez tła złotego, sztywnego, głębia, w której poruszają się postaci. Najpiękniejszy jest dalej graduał łęczycki, pisany r. 1467 przez Mikołaja Seteszę, wikarjusza katedry krakowskiej.

Malowidła ścienne pozatracały się; wiemy o niejednem, np. chwalił Długosz malowidła kaplicy Wniebowzięcia przy katedrze na Wawelu, z lat 1323—1340, ale ją zburzono dla kaplicy Zygmuntowskiej; ślady polichromji odnaleziono w farze niepołomickiej z czasów Kazimierza W.; nierównie liczniejsze i lepiej zachowane w kościele parafjalnym w Czchowie, w krużgankach kościoła OO. augustjanów krakowskich, w klasztorze lądzkim cystersów i in. Krzyżują się wpływy włoskie, idące na Czechy, i niemieckie; artyści sami mogą być i domowi, nie mogłoż malarstwo pozostawać całkiem wtyle za architekturą i rzeźbą; przeważa nieraz motyw Sądu Ostatecznego, w drugiej połowie XV wieku Męka Pańska i Góra Oliwna. Kuszą się malarze (np. taki Nicolaus pictor regius de Cracovia) o sceny

spółczesne, w Lublinie ocalały resztki fresku, wjazdu tryumfalnego Jagiełły do Lublina po Grunwaldzie. Rusin Jagiełło, od matki ruskiej do obrazów ruskich nawykły, kazał malarzom ruskim pomalować nawę opactwa św. Krzyża na Łyścu, sypialnie na Wawelu r. 1394, kolegjatę wiślicką i w katedrze gnieźnieńskiej; wszystko zaginęło, ocalały freski katedry sandomierskiej i kaplicy zamkowej lubelskiej. Jeszcze i Kazimierz za wzorem ojcowym kazał kaplicę św. Trójcy na Wawelu ozdobić ruskiem malowaniem. Poza osobistą interwencję obu królów ta próba przeniesienia bizantyńskiej sztuki na Zachód nie wykroczyła, skutków nie wywołała.

Najliczniejsze obrazy sztalugowe ocalały w rozmaitych tryptykach z kościołów w Tuchowie (około r. 1460), Szczepanowie, Dobczycach i in. Krzyżują się wpływy włoskie i niemieckie, rzadziej norymberskie, drastyczno-realistyczne, niż kolońskie, idealizujące i sentymentalne; przeważają niemieckie, jak przy napływie spółczesnym żywiołów niemieckich i przy ścisłych związkach z Norymbergą oczekiwać należało. Mnożą się nazwiska, które można już powiązać nieraz z dziełami, np. Adam z Lublina albo z Krakowa (gdzie tu później osiadł) i tryptyk kaplicy św. Anny w Olkuszu z obrazami z życia N. P. Marji. Z aktów radzieckich dowiadujemy się o innych, tak np. zamawia Litwin, Sołtan, r. 1486, w Krakowie u malarza Marcina obraz «Jerozolima» (Chrystus na krzyżu na tle Jerozolimy) wedle obrazu katedralnego. Kolatorowie zawieszają swoje obrazy w swoich kościołach, wiemy o tem z procesów, por. wyż.; takie obrazy później uprzątano.

Malarstwo witrażowe zawitało wraz z olbrzymiemi oknami świątyń gotyckich i wraz z polichromją filarów i ścian sprawiało nadzwyczajne efekty barwne. Najstarsze witraże, z scenami z Nowego i Starego Testamentu, posiada presbiterjum fary krakowskiej, podobne w katedrze włocławskiej; szerzej

traktowane, nie wciskane zbyt w obramowanie geometryczne w kościele dominikanów krakowskich.[1]

Malarstwo ścienne, szczególniej cechowe, było bardzo ożywione, bo liczne kościoły i kaplice wymagały obrazów ołtarzowych, a kolatorowie umieszczali taksamo swoje portrety w kościele, jak się dawali w nim chować; występują więc malarze cechowi w zapiskach radzieckich, np. malarz Jan r. 1472 pracuje w kościele św. Piotra. Obok malarstwa cechowego istniało jednak zakonne i mnisi-malarze nie pracowali tylko dla klasztoru, lecz zdobili i kościoły pobliskie. Kroniki zakonne często o nich wspominają, np. kronika bernardyńska Komorowskiego prawi o braciszku Franciszku z Sieradza (pogrzebanym w Warcie przy końcu XV wieku), że «w Warcie szczególnie kościół, dalej w Bydgoszczy cały kościół, również w Kobylinie, Słupiu, Opatowie, Krakowie u św. Agnieszki i w klasztorze kaplicę i odrzwi ozdobił i pomalował»; w Krakowie u bernardynów pracował spółcześnie i braciszek Franciszek, malarz z Węgier. W Mogile braciszek Mikołaj «kościół miejscowy św. Bartłomieja wewnątrz wcale przyzwoicie ozdobił, a zarazem wiele ksiąg do śpiewu, nokturnowe, iluminował i ozdobił». Inne klasztory również liczyły malarzy między swoją bracią; chyba i malowidła po krakowskich kościołach franciszkańskich sami franciszkanie wykonali; trudno je tylko przypisać wiekowi XV, bo i w początkach XVI tradycja się nie urywała; podobnie przetrwały, szczególnie na prowincji, kościoły gotyckie przez cały wiek XVI.

---

[1] Szczegóły tego rozdziału o sztuce (jak i poprzedniego o sztuce wczesnego średniowiecza) zawdzięczam wszystkie T. Szydłowskiemu, *Pomniki architektury epoki Piastowskiej w województwach krakowskiem i kieleckiem,* 1928, i pracom dyr. F. Kopery (w wydawnictwie zbiorowem *Polska,* cytowanem na str. 28, oraz *Dzieje malarstwa polskiego,* tom I, Kraków 1925).

## MUZYKA

Kultura muzyczna ześrodkowała się w Krakowie, co nie dziwi wobec tego, że Niemcy są właśnie narodem muzykalnym. O nadzwyczajnem pielęgnowaniu muzyki w Krakowie mieliśmy do niedawna tylko wymowne świadectwa obcych (najwymowniejsze Kallimachowe) w żywocie Grzegorzowym; inne Hermana Fincka, wnuka stryjecznego słynnego muzyka Henryka Fincka, bo wydając tegoż motety i pieśni zaznaczył Herman, że wydoskonalił się stryj za młodu w Polsce, a doszedł do szczytu swej sztuki za szczodrobliwością Jana Olbrachta i braci. Od kilkunastu lat przybyły dzieła same naszych muzyków; rękopis z połowy XVI w. zawiera trzydzieści sześć utworów muzycznych, niektóre obcych muzyków (Włochów), inne przeważnie anonimowe, sześć jednak oznaczone jako dzieła Mikołaja z Radomia, pochodzące z r. 1424 i następnych. Są to monodje z akompanjamentem instrumentalnym, dwie na urodziny Władysława (Warneńczyka) i pierwszego Kazimierza (rychlutko zmarłego), trzecia (niewiadomo czyja) pochwała Krakowa (do tekstu Ciołkowego, zob. wyż.); *Magnificat* na trzy głosy; dwojakie *Gloria* i *Credo*, wcale obszerne kompozycje mszalne; wreszcie kompozycja trzygłoskowa, czysto instrumentalna (pod żadnym głosem nie dopisano ani jednego słowa tekstu); jest i hymn o św. Stanisławie Mikołaja z Ostroga. Utwory Radomczyka stoją na poziomie ówczesnej sztuki muzycznej włoskiej (i francuskiej); we Florencji wyrobiono ten nowy styl muzyczny, artystyczne połączenie czynnika wokalnego z instrumentalnym, przeniesiony do Polski nierównie wcześniej niż do Niemiec. Inny rękopis zawiera kilka kompozycyj do nabożnych tekstów łacińskich — powpisywano nazwiska Rambowski i Hans Scultheth (kompozytorów?). Są i dwie kompozycje polskie: jedna, pieśń o św. Stanisławie («Chwała Tobie gospodzinie, Iż o Twych świętych cześć słynie, która nigdy nie zaginie, i na wieki nie przeminie» i t. d.) «dorównywa poprawnością techniki i pięknością brzmienia doj-

rzałym utworom obcym z tej epoki» (około r. 1450). O wiele prymitywniejsze jest opracowanie dwugłosowe pieśni maryjnej: «O najdroższy kwiatku panieńskiej czystości».

Melodji do dalszych zwrotek *Bogurodzicy* nie przekazały nam dawne zabytki, chyba z wieku XVII i tradycja żywa w praktyce katedry gnieźnieńskiej; na ich podstawie osądzono melodję trzeciej i czwartej części jako styl przejściowy między muzyką gregorjańską a ludową, potrącający o formy taneczne. Jeszcze wyraźniej wystąpił ton ludowy, taneczny, w melodji do słynnego *Żołtarza Jezusowego* Władysława z Gielnowa (zob. wyż.), której autor (czy sam bł. Władysław?) nie znany. Posiadamy i nuty do pierwszej zwrotki pieśni Maryjnej («Radości wam powiadam»), a po kazaniach coraz wzmianki, jak ksiądz wzywał nabożną gminę do odśpiewywania wszelakich pieśni pobożnych (*Bogurodzicy* i in.).[1]

Ależ to wszystko tylko nędzne okruchy tego, co było w istocie, a o czem tylko zapiski kronikarskie czy pozycje w rachunkach urzędowych świadczą. I tak wiemy, że Anna-Aldona, pierwsza żona Kazimierza W., rozmiłowana była w tańcu i śpiewie. Dokądkolwiek konno (? wolno wątpić, panie nie jeździły konno) lub w kolebce wyjeżdżała, poprzedzał ją orszak śpiewaków *cum sambucis, tympanis, fialis* (nazw nie tłumaczę, bo niepewne, coto za narzędzia) — charakterystyczny ten dodatek, cechujący ascetykę Długoszową: «d l a t e g o t e ż dość znamiennym i strasznym losem z tego świata zeszła» (niby kara za tańce!). O niejednym biskupie i opacie zapisano ich umiłowanie muzyki, a później (np. r. 1446) zjawiają się i protesty przeciw strzępieniu gardeł w śpiewie kościelnym. Czytamy r. 1366 o fletyście krakowskim, Kapuście, skazanym na śmierć za za-

[1] Wszystkie szczegóły powyższe wziąłem z dzieł prof. Zdzisława Jachimeckiego, *Historja muzyki polskiej*, 1920 i szkicu jego w dziele zbiorowem *Polska*, 1929; dalsze z A. Polińskiego, *Dzieje muzyki polskiej w zarysie*, 1908.

bójstwo mieszczanina, że za wstawieniem się królewskiem miano mu tylko oko wyłupić i do tego nawet nie przyszło. Rachunki miejskie krakowskie zapisują r. 1390 sto pięćdziesiąt trzy grzywien jako wydatek na dziesięciu muzykantów miejskich (nazwiska pół polskie, pół niemieckie), r. 1391 na siedmiu muzyków grzywien 95 i groszy 18, r. 1392 103 grzywien i groszy 24, r. 1393 grzywien 63. A z rachunków dworu królewskiego: Jadwiga każe dać 9 groszy *citaristis suis Handzliconi cum sociis*, na jednej stronicy (166 wydania Piekosińskiego) zapisano 2 *fistulatoribus Auloni et Nespechoni* posłanym do Witowta 4 grzywny na drogę; *Bartholomeo tubicini* 1 grzywna; Hyncze *tubicinatori regis* posłanemu również do Witowta 2 grzywny, *fistulatoribus domini Sczibori* 6 grzywien, a Jadwiga kazała im dać jeszcze 2 grzywny; *fistulatoribus et citharistis* króla i królowej na zwykłą kolędę 6 grzywien; *fistulatoribus ducisse Semovithi* 2 grzywny; *fistulatoribus* jadącym za królem do Wielkiej Polski 3 grzywny, a *tubicinatoribus* 2; *Gromconi fistulatori* 2 grzywny na konia; przeważnie to Rusini, np. bębenniczy Opanas; ale są i Kroaci (Krwaty).

Tej najbujniejszej praktyce muzycznej nie odpowiadało bynajmniej teoretyczne jej uprawianie, szczególniej na uniwersytecie; ograniczano się tam do powtarzania najpospolitszych traktatów; największą powagą był Boethius *(de musica)*, bardziej filozof i matematyk, niż muzyk; dalej traktaty Jana de Muris, z których jeszcze Jan Głogowczyk, filozof i matematyk, na początku XVI wieku korzystał; i dla niego jeszcze etyczne znaczenie muzyki górowało nad innemi. Jedyny oryginalny podręcznik śpiewu kościelnego dla początkujących ułożył przejrzyście magister Szydłowita *in studio Cracoviae in collegio Jerusalem* w połowie wieku. Liturgja Kościoła polskiego pod względem muzycznym mało co się różniła od rzymskiej i wytrwała przy tej tradycji nawet wobec zreformowanego za soboru Trydenckiego chorału rzymskiego.

* * *

## MŁODSZOŚĆ I ŻYWOTNOŚĆ KULTURALNA POLSKI

Przemknęły się przed nami obrazki z lat tysiąca (500—1500); jakież wrażenie ogólne? Trudno ogarnąć całkowity rozwój, od luźnie żyjących szczepów barbarzyńskich aż do potężnego mocarstwa narodowego a europejskiego zarazem; rzeczy to zbyt odmienne, a po wielkiej części zbyt mało w szczegółach znane; ścieśnimy więc uwagi do wieków bliższych, głównie do ostatnich.

Rozwój był zpoczątku nader powolny, ale stały; nie zaznał żadnej przerwy (zawieruchę r. 1038 pominąwszy) ani wstrętu, bo polityczna niemoc Polski dzielnicowej nie osłabiła zbytnio postępu kulturalnego. Dopiero Kazimierz Wielki przyspieszył nadzwyczaj ten ruch; on pchnął bryłę Polski na nowe tory i w tem jego wielkość, zasługa równa Chrobrowej, ale o trwalszych wynikach; on budowniczy Polski, ale ani chłopskiej ani ceglanej; tytuły jego sławy na innych polach; jego hasłami żyły następne pokolenia; on zwrócił Polskę ku Wschodowi; czy bez zajęcia przezeń Rusi Czerwonej byłoby przyszło do paktów krewskich i Unji, wolno o tem wątpić.

Wstąpiła Polska do grona narodów europejskich jako ostatni i stąd widoczne jej opóźnienie, jej młodszość cywilizacji, ale bynajmniej nie na każdem polu. W nauce np., którą łatwiej przejąć, stała Polska piętnastowieczna na równi z innymi; nie w sztuce ani w literaturze, które się trudniej zdobywa. Jej ówczesna literatura, zapatrzona w zaświaty, obca ziemi, nie była jeszcze ani głosem sumienia publicznego, ani wyrazem kultury, ani wylewem uczuć czy myśli osobistych, ani płodem fantazji, ale jej nauka powtarzała już wszelkie obce zdobycze, a na niejednem polu nikomu się wyprzedzić nie dawała.

Rosła budowa tej kultury powoli, ale pod dobremi wróżbami; nie wstrząsnęły nią żadne dreszcze religijne, żadne krucjaty przeciw niewiernym obcym czy domowym (Albigensom,

Husytom); żadne walki stanowe, wewnętrzne, socjalne. W tym wiekowym pokoju mógł organizm narodowy, nie wystawiony na żadne ciężkie przejścia przetapiać i asymilować owe obce, przeszczepione doń żywioły, chrześcijańskie i inne; pod ich wpływem szlachetniała przyroda słowiańska. Przecież przy końcu XV wieku, najbardziej obca przymieszka, niemieckość miejska, była już zasymilowana i początek następnego wieku dał tylko urzędowe świadectwo o fakcie dokonanym. Wyłoniło się inne olbrzymie zadanie: podbój moralny i kulturalny świata wschodniego, a i na tem polu wiek XV stawiał pierwsze, najcięższe kroki. Ale co więcej, już zaznaczyły się wyraźnie linje osobliwszej polskiej siły przyciągającej: r. 1249 wybrali Prusowie tylko prawo polskie, w dwieście lat później wybrali państwo polskie! a i Czesi i Węgrzy garnęli się do tej Polski, którą nie tak dawno temu, tylko «królestwem krakowskiem» nazywano.

Gdzież tajemnica tej siły przyciągającej? Tkwiła w samej przyrodzie słowiańskiej, której obce przymus moralny, tyranja nad sumieniami, znęcanie się nad «cudzymi» w mowie i obyczaju. Biskup wrocławski nakazał Polakom kilku swych wsi albo wyuczyć się po niemiecku, albo się wynosić; państwo polskie ani pomyślało kiedykolwiek o wynarodowieniu swoich Niemców; choć katolickie, zżywało się najspokojniej ze swoimi szyzmatykami, Polacy z Rusią. Niech się kto inny domyśla tu i pewnej dozy opieszałości słowiańskiej, fakt pozostaje niezbity: Prusowie, Czesi, Węgrzy wiedzieli i czuli, że w unji z Polską nie zaprzepaszczą się ich prawa. Już zapowiadały się pierwsze oznaki późniejszej nierówności stanowej, ale wyraźniej nikt ich jeszcze nie dostrzegał, najmniej żydzi, którzy się coraz liczniej tu sprowadzali. I żyło się pod orłem polskim bezpiecznie i błogo.

Gdy Moskwa unikała trwożliwie Europy i kultury; gdy Czesi na eksperyment husycki krew żywotną wylali, gdy Bałkan słowiański zamierał pod półksiężycem, jedyna Polska nie wyszafowała daremnie swoich zasobów moralnych i materjal-

nych i w pełni swych sił, jedyne wielkie państwo słowiańskie i europejskie, wstępowała w szranki nowowieczne. Wprawdzie nie całkiem jednolicie; dzielnice, które leżały przy arterjach ruchu handlowego i umysłowego, Mała i Wielka Polska, wyprzedziły o wiele zacofane, bo ustronne Mazowsze. Żywioł niemiecki nie nabrał tam ani w mieście, cóż dopiero na wsi, znaczenia, jakie mu w innych dzielnicach przypadło; wystarczy porównać imiona mieszczan tu i tam; Kraków ze szkołą i kulturą był nadto odległy; liczna a uboga szlachta dożywała wieku, żyjąc własnem partykularnem życiem, obca jeszcze zupełnie nowym hasłom, wysyłając jednak już zdolnych pracowników (np. obaj Ciołkowie, z pierwszych lat XV i XVI wieku). I to była specjalna młodość cywilizacji mazowieckiej, a najmniej dawała się odczuć właśnie na polu literatury narodowej, gdzie Mazurowie w XV wieku znakomicie się zapisali.

Porywy idealne bywały jeszcze nader rzadkie. Entuzjazm religijny wzruszył tylko przelotnie i miejscowo gładziznę życia polskiego, w XIII i XV wieku. Poczucie solidarności narodowej, w wrogiem otoczeniu, mianowicie od zachodu zbudzone, istniało w pełni, ale patrjotyzmu jeszcze nie było. Średniowiecze znało i ceniło więzy dynastyczne, stanowe, dzielnicowe, ale nie wzniosło się do miłości ojczyzny. Pierwszy świadomy patrjota, to Długosz, w którym ortodoksja nie zabiła Polaka: on ogarnął pierwszy wszystkie dzielnice równą miłością; jemu pierwszemu przyświecała cała Polska, nie Mała czy Wielka, nie Prusy czy Mazowsze, jako nierozerwalna, organiczna całość; co w XIV wieku tylko kiełkowało po dzielnicach, świadomie wyraził i w tem średniowiecze wyprzedził. Humanizm, oswabadzając indywidua, zrywając z uniwersalizmem średniowiecznym, wprowadzał pojęcia i ideały klasyczne i na polu państwa, narodowości, ojczyzny. Z patrjotyzmem nie utożsamiamy chełpliwości narodowej; tej było już i w średniowieczu poddostatkiem; przecież mistrz Wincenty zmyślił zbiór dwustu listów Aleksandrowych (którego ni-

gdy nie było, było kilkanaście w znanym romansie), tylko *ad maiorem nominis Polonorum gloriam.* Najjaskrawiej wyraziła się ta chełpliwość w szumnej przemowie Jana Ostroroga przed papieżem, Pawłem II, r. 1467: powtórzył tam wymysły Wincentowe, dodał od siebie *Wilno* jako *Julia;* przemilczeli wedle niego historycy klęski Juljuszowe, zadane mu przez Polaków, bo byli Rzymianami; z Jagiełły robił dwunastego apostoła itd. Nie zniosła takiej obrazy duma włoska i zdobyła się na wiersz, karcący wymysły «poety»: nic w tem prawdy, te klęski to jawny fałsz, wszystkie narody podlegały Rzymowi; garnek kotłowi przymawiał; i na ten wiersz ktoś równym pomysłem się odciął. Zabawny to turniej obopólnej chełpliwości; ubocznie dowiadujemy się o przepychu wystąpienia poselskiego, z orszakiem we sto koni; poseł i orszak cały w długich lokach, jak je z obrazów spółczesnych znamy.

Były wielkie czyny, ale jeżeli Grunwald i Warnę pominiemy, głównie pokojowe: unje wszelakie, i z Litwą, i z Prusami, stałe i przemijające. Obcy nie przejrzeli tej pokojowej przyrody polskiej; papież i Wenecjanie, Węgrzy i Bałkan liczyli stale, że orzeł Polski rosomaka tureckiego wyprze z Złotego Rogu; nie przeczuwali, że to tylko kulturze polskiej był przeznaczony wielki pochód na Wschodzie, znaczne i trwałe zdobycze, nie orężne, lecz pługa i warsztatu, pióra i myśli, mowy i obyczaju. Ale w roku 1500 podnosiła się dopiero zasłona nad tem nowem widowiskiem.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

# RUŚ I LITWA

Dwie Rusi. — Druki Fiolowe. — Szyzma i unja. — Żydowstwo. — Litwa. — Kultura pogańska. — Kultura chrześcijańska. — Wpływy ruskie.

## DWIE RUSI

Co się w XII w. zaznaczyło, dokonały wieki XIII i XIV: zupełny rozłam Rusi wschodniej i zachodniej. Od wieku XIII żyła Ruś włodzimierska, twierska, rjazańska na razie pod zwierzchnictwem tatarskiem, odrębnem życiem, na przeważnie nowo skolonizowanej ziemi, bez tradycji bojarstwa i drużyny, wieców i grodów, pod coraz bardziej despotycznym, tatarszczyzną zaprawionym rządem Rurykowiców. Jak w Polsce Kościół, tak przedstawiała na Rusi cerkiew jedyny łącznik narodowy.

Inaczej na Rusi zachodniej, która się znowu na południową i północną rozdzieliła. Południowa, halicka (i wołyńska) odszczepiła się już w wieku XII od stolca kijowskiego, wciągnięta w orbitę polsko-węgierską; odzyskała samodzielność za Daniła-Wasylka, aby popaść w zupełną niemoc pod ich następcami, wydana na łup możnowładztwu-bojarom. Ponieważ państwo uchodziło za własność rodu panującego, więc po wymarciu halicko-wołyńskiej linji Rurykowiców narzucił się tej Rusi krewny, siostrzeniec, książę mazowiecki Bolesław Trojdenowic, przyjął wiarę grecką jako Jerzy, ale nie pozyskał bojarów, niechętnych jego związkom z Zachodem i umarł bezdzietny, otruty przez nich r. 1340. Na podstawie znowu pokrewieństwa z tym Piastem, jako dziedzic jego państwa, wyruszył Kazimierz na Ruś, zajął Lwów, ale dopiero po latach i długich walkach, utraciwszy Wołyń, zapewnił sobie i Polsce posiadanie Halicza i otworzył kolonizacji niemiecko-polskiej szerokie wrota. Wpro-

wadził rządy polskiego starosty, któremu podlegali ruscy i polscy wojewodowie (odpowiadający tylko polskim kasztelanom); nadawał panom, polskim głównie, obszerne włości; lokował miasta na prawie niemieckiem; sprowadzał kolonistów Niemców i Polaków, starał się o organizację Kościoła łacińskiego, łącząc wiarę z narodowością; tak rzucił trwały podkład pod przyszłe panowanie żywiołu polskiego, który przetrwał chwilowe wmieszanie się węgierskie i chociaż nie objął całego dziedzictwa Romanowiców i Trojdenowica, z każdym dziesiątkiem lat wzmacniał się tak dalece, że miasta traciły rychło charakter ruski, przybierały niemiecki, a zczasem i polski. Duchowieństwo, jeszcze w XIV wieku przeważnie niemieckie, spolszczało w XV zupełnie. Miasta zakwitły, szczególniej Lwów, który odebrał znaczenie Włodzimierzowi wołyńskiemu, wspierany przez Kazimierza W., zagarniając cały handel ze Wschodem, t. j. z kolonjami włoskiemi czarnomorskiemi i z Mołdawią i Wołoszczyzną, gdzie znacznemi ofiarami zdobywał cenne przywileje, wolność od ceł i t. p.

Owoce posiewu Kazimierzowego zbierał już wiek XV; asymilacja żywiołu bojarskiego przez szlachtę polską postępowała rychło; kolonizacja przybierała coraz wydatniej charakter polski; obrządek łaciński, wspierany dzielnie przez franciszkanów i dominikanów, szerzył się stale; panowie polscy, Odrowąże, Awdańce (Habdanki), Leliwici, tworzyli coraz znaczniejsze latyfundja (żeniąc się i z dziedziczkami rodów bojarskich). Proces polonizacji Czerwonej Rusi i Podola, pozyskanie dla ekspansji polszczyzny olbrzymich przestworów, dojrzał zupełnie przy końcu średniowiecza; już zaczynała się zacierać różnica między szlachtą polską a ruską (polskie sądy i prawa obowiązywały już od r. 1434), tylko wyznanie w miastach, a szczególnie po wsiach, dzieliło ostro żywioł napływowy i rodzimy, tak dalece, że Ruś nie uznawała nawet królów Władysława (Jagiełły) i Kazimierza, lecz prawiła o królu Jakowie i Andriju.

W tym samym czasie upadła rodzima własna kultura Rusi. Na ziemi halicko-wołyńskiej ona niby zupełnie zanikła; jedyne, co ją podtrzymywało, cerkiew, uległo rozprzężeniu. Metropolita kijowski, oddawna moskiewski, rościł tylko prawa do tych dalekich diecezyj, ale ich nie wykonywał; próby utworzenia osobnej, nowej metropolji halickiej nie powiodły się; już w XV wieku, nawet już na soborze w Konstancji, noszono się z planami unji obu Kościołów, z planami, niechętnie widzianemi przez kler polski świecki, który w siebie wmówił możność zupełnego zkatolicyzowania greckiej Rusi, nie licząc się z zaciętym uporem całej ludności, utożsamiającej obrządek z narodowością. Już same plany unji (przenigdy poddania się pod katolicyzm) trafiały tylko w wyższem duchowieństwie na bynajmniej nie gorących zwolenników, których wzgląd na rozpaczliwe położenie patrjarchatu pod jarzmem tureckiem zwracał ku Rzymowi, aby za jego pomocą podnieść poziom własnego duchowieństwa, «czarnego», coraz bardziej po monasterach bazyljańskich się rozluźniającego, i «białego» (świeckiego), chłopiejącego z każdem nowem pokoleniem, bez nauki, przy pracy na polu, w trosce o rodzinę. Z całego wieku XIV i XV niema objawów literackich, bo byle jakiś testament, czy posłanie soborowe, czy akt sądowy ruski — i to białe kruki, nie należą do literatury; brak kronik; rzadkie były nawet proste odpisy dawnych ksiąg cerkiewnych; obywano się najmniejszą ich liczbą.

## DRUKI FIOLOWE

Na takiem tle rozegrał się niezwykle ciekawy epizod w Krakowie, kiedy to w mieście, które żadnej ruskiej cerkwi ani Rusinów nie miało, dla ich potrzeb książki cerkiewne wydrukowano, chociaż o polskich drukach nikt jeszcze przez dalsze dwa dziesięciolecia ani pomyślał. Zarazem to pierwszy ogółem druk słowiański, później w Wenecji i indziej piastowany. Ta-

jemnica ogarnia przedsięwzięcie, którego przebieg faktyczny znamy jak najdokładniej, chociaż daremnie pytamy, kto też za tem stał, z czyjej inicjatywy to wielke i trudne dzieło wyszło? W r. 1491, 4 lutego, umówił się Niemiec krakowski, przybyły w r. 1479 z Neustadt w Frankonji koło Rothenburga, hafciarz Swejbold Fiol (Fiolów było sporo w Frankfurcie nad Menem), z Rudolfem Borsdorfem z Brunświku o odlanie czcionek ruskich wedle dostarczonych wzorów, z obowiązkiem zachowania w tajemnicy tej sztuki; obiecywał sobie widocznie znaczne zyski wobec mnóstwa cerkwi ruskich, ale nie postarał się o jakieśkolwiek polecenie od episkopatów. W tym samym roku jeszcze wyszła pierwsza książka, foljał o 169 arkuszach, *Oktoich* (Ośmiogłaśnik, zbiór pieśni cerkiewnych Jana z Damaszku), z dopiskiem, wymieniającym rok, miejsce i drukarza Fiola «Franka»; nastąpiły trzy dalsze księgi, *Czasosłowiec* (brewjarz z tegoż roku); *Triod postna* i *wielkonocna;* Psałterza, o którym jest wieść bardzo niepewna, zdaje się nie było. Z końcem tegoż roku 1491 oskarżyła inkwizycja krakowska Swejbolda o zdania heretyckie, lekkomyślnie wypowiadane, przenigdy o te druki cyrylickie; uwięziono go i wypuszczono dopiero 22 marca 1492 roku, gdy się okazała jego prawowierność a sam się wszelkiej herezji wyprzysiągł. Tymczasem rozstrzygnął się los dalszego wydawnictwa, bo w styczniu 1492 r. zwrócił się bogaty mieszczanin i rajca krakowski, Jan Turzo z Lewoczy węgierskiej, który wraz z szwagrem swoim Tesznarem, Ślązakiem, ręczył był 21 listopada 1491 r. za Swejbolda, do arcybiskupa gnieźnieńskiego z prośbą, by dozwolił druku i wydania ksiąg ruskich; Turzo był oczywiście nakładcą; arcybiskup po poradzie z kapitułą (w której świeżo zasiadł syn Turzona jako jej narzucony scholastyk), 13 stycznia 1492 r. zakazał bez najlżejszego słówka przyczyny wydawnictwa i druku dalszego. Był to pierwszy fakt cenzury kościelnej, świeżo przez papieża wprowadzonej; na tem urwało się przedsiębiorstwo na zawsze, nigdy wię-

cej nie wznawiane; Turzo wycofał się z niego a Swejbold już r. 1498 nie posiadał ani jednego egzemplarza swych wydań, które w kilku egzemplarzach do dziś ocalały, a do XVI wieku po Rusi istotnie krążyły. Fiol porzucił odtąd wszelkie drukarstwo, przeniósł swą zabiegliwość i pomysłowość na inne pola, wkońcu wyniósł się z Krakowa do Węgier, gdzie umarł r. 1525. Wszystkie druki wykonano bardzo starannie, nic im zarzucić nie można.

Oto fakty; pieniędzy dostarczył bogacz i spekulant Turzo, lecz od kogo wyszła myśl i niezbędne przygotowania? Zgadywano najrozmaiciej; pomawiano nawet mołdawskich wojewodów czy bojarów, że to oni zamówili druki, ależ oni łączyli się ze Lwowem, nie z Krakowem; pomawiano humanistów krakowskich, którym się o czemś podobnem nigdy ani śniło; upatrywano w tem jakieś kroki w celach unji, chyba u jej gorących zwolenników, bernardynów (co raczej w Wilnie byliby się czegoś podobnego jęli); zwrócono wkońcu uwagę na bojarów litewskich, najmylniej na katolickich Gastoldów, z nierównie większem prawdopodobieństwem na szyzmatyckich niegdyś Sołtanów i Sapiehów, którzy się szyzmy wyrzekli i (szczególniej Iwan Sapieha) unię krzewili; oni to dostarczyliby rękopisów dla ustalenia tekstu i alfabetu hafciarzowi krakowskiemu. Wobec absolutnego milczenia źródeł nie trudno więc o domysły; razi jednak to zupełne zaprzepaszczenie samej myśli, łatwe do pojęcia, jeśli wyszła tylko od spekulantów Turzona i Fiola, mniej jasne, jeśliby za nią stali bojarzy ruscy, którzy mieli środki i wpływy, aby na innem, stosowniejszem miejscu, w Wilnie czy Lwowie, gdzie szyzma oficjalnie istniała i od Gniezna nie była w niczem zawisła, dzieło rozpoczęte, bardzo potrzebne dalej prowadzić. Może więc stali za dziełem całem tylko Turzo i Fiol, który myśl poddał? ale któż go wsparł w tem trudnem dziele? w Krakowie samym o niem wobec braku ksiąg i ludzi nie mogło być i mowy. W istocie więc niczego o tem dziele nie wiemy;

było założone na wielką skalę, skoro wydano najpierw księgi mniej ważne; widocznie miały nastąpić nierównie potrzebniejsze, mszał *(trebnik)*, ewangelje i t. d., do czego już nie przyszło; wybór był więc nie najszczęśliwszy. Wiemy tylko o r. 1491, ależ ta rzecz wymagała więcej czasu; w tym roku wydrukowałby Fiol więcej niż 3000 stronic foljowego i kwartowego formatu, a gdzież przygotowania niezbędne — dostarczenie rękopisów, wybór pisma? tych rzeczy w Krakowie nie było, to ktoś ze stron lwowskich dostawił, Rusin, jak wynika z języka kilku zapisek; główny tekst był redakcji południowej, średniobułgarskiej, która jednak przeszła przez ruskie pośrednictwo (?). W samym uniwersytecie nie odnaleziono najmniejszego śladu, niema żaków ruskich (są nieliczni litewscy), którychby można o spółudział posądzać, a przecież musiał Fiol mieć pomocników — więc cała wewnętrzna strona tego epizodu zakryta zupełną tajemnicą.

## SZYZMA I UNJA. ŻYDOWSTWO

Poglądy na szyzmę w społeczeństwie polskiem nie dawały się pogodzić. Wyższe szczególnie, arystokratyczne duchowieństwo, patrzyło z pogardą na schłopiałe szyzmatyckie i już dlatego o żadnem równouprawnieniu, o żadnej unji ani myślało i dało temu niebawem dosadny wyraz w dziełku Jana Sakrana, profesora krakowskiego, poświęconem «błędom ruskim», jednostronnym akcie oskarżenia tych «herezyj». Inaczej myślano o tem w Rzymie samym; inaczej śród bernardynów wileńskich, którzy się z wielką księżną Heleną i z jej dworem szyzmatyckim znosili; inaczej śród wyższego duchowieństwa szyzmatyckiego, które mimo nieudałej próby soboru Florenckiego (znienawidzonego później u Rusi i srodze potwarzanego, zwanego «rozbójniczym») i mimo zupełnego niepowodzenia unickiego metropolity Izydora, wygnanego z Moskwy dla zakusów unickich,

myśli o unji nie porzucało, jak świadczyło wymownie pismo metropolity Misaiła do papieża Sykstusa IV z Wilna r. 1476 wystosowane, opływające w wyrazy najgłębszego hołdu i dlatego przez szyzmatyków, gdy je metropolita Pociej r. 1605 drukiem ogłosił, za fałszerstwo Pociejowe okrzyczane, chociaż ono najautentyczniejsze. Wspominaliśmy wyżej o bojarach ruskolitewskich, Sołtanach i Sapiehach, którzy już szyzmę rzucali i albo katolikami pozostawali, albo za unją gorąco się ujmowali — w wieku XV bardzo jeszcze nieliczni, później coraz liczniejsi. Husytyzm nie odbił się na Rusi; ci, nawet Fedko Ostrogski, którzy z księciem Korybutem, najpierw za wolą Witowta, a potem przeciw niej, do Pragi się wybierali, nie o wiarę dbali, ale o służbę wojskową, po której sobie napróżno wiele obiecywali; husyci sami zwracali się w nienawiści przeciw Rzymowi do patrjarchy carogrodzkiego, lecz o Rusi ani pomyśleli; poglądy, jakie Hieronim z Pragi na dworze Witowtowym rozsiewał, ani tu ani w Pradze się nie przyjęły. Inny zato element, żydowski, objawił się później na Rusi, w Kijowie, przeszedł niebawem na północ, do Nowogrodu i Moskwy i wywołał tam «herezje żydowstwujących»; tłumaczenia z hebrajskiego, świadectwa tego ruchu północnego, wyszły jednak z południa.

Żydzi bowiem oddawna w Kijowie, mimo czasowych pogromów, i na Rusi się gnieździli; zarówno Karaici z Krymu, jak i talmudyści, dla których po wzięciu Konstantynopola za sułtana Muhameda nowe środowisko tam się otworzyło, równe niby hiszpańskiemu. Wspomniałem wyżej o pozyskaniu Małgorzaty Morsztynówny dla żydostwa, co tylko ustną propagandą wytłumaczyć można (r. 1479); spółcześnie niemal rozegrał się ów epizod kijowski w nierównie szerszym zakresie i z znacznym skutkiem. Opowiadają mianowicie źródła moskiewskie, że gdy Nowogrodzianie wezwali do siebie przeciw Moskwie księcia Michała Olelkowicza r. 1471, przybył z nim razem z Kijowa żyd Scharja, astrolog i czarnoksiężnik, i nawrócił

w Nowogrodzie jednego i drugiego z popów, poczem przyszli z «Litwy» (t. j. z Rusi litewskiej) inni żydzi, Józef, Szmojło, Skarjawy, Mosej, Hanusz (imię czeskopolskie!) i prowadzili skutecznie dalszą propagandę, która wkońcu w herezji «żydowstwujących» w Nowogrodzie i na dworze wielkoksiążęcym w Moskwie się objawiła i wielką burzę wywołała; w szczegóły jej moskiewskie nie wchodzimy. W ostatnich trzydziestu latach odnaleziono literackie resztki tej propagandy, bo tak chyba pojąć należy szereg tłumaczeń na ruskie i to białoruskie ówczesne kancelaryjne, logiki Majmonidesa i innych dziełek filozoficznych z hebrajskiego; jedno z nich zaczyna temi dosłownie wyrazami: «pytał mnie pan abych jemu... raskazał» (niby po polsku, ależ to tylko kancelarja białoruska, «litewska», tak się polonizmami pstrzyła); od tego nam bliżej zupełnie nieznajomego kółka wyszły także tłumaczenia ksiąg biblijnych (i takich, których prawosławni nie posiadali), między niemi i psałterza wedle podziału hebrajskiego i bez wszelkich aluzyj mesjanistycznych. Tłumaczenia objęły także pseudoarystotelesowe «Wrota» *(Secreta secretorum,* niby podręcznik dla Aleksandra Macedończyka, jak rządzić, ludzi poznawać i t. p.) i wszelakie wróżbiarskie pisemka (Sennik, i t. p.). Tłumaczenia logiki i pokrewnych dziełek bardzo ciężkie, z osobliwszą terminologją, trudno się nawet sensu domacać (bez oryginału), ale dowodzą w każdy sposób, że się żydzi spółcześni i nauką zajmowali i do siebie ludzi żądnych wiedzy wabili. W XVI wieku miało się to na Rusi jeszcze silniej objawić, nierównie silniej niż w Koronie i znowu kobiety (nawet wielkie panie!) tej propagandzie ulegały; w XV wieku były to pierwsze przejawy racjonalizmu, który odrzucał dogmaty i cuda ewangeliczne; wobec niejasności źródeł jednostronnych, pochodzących od przeciwników wyłącznie, nie wiemy, jak daleko ten deizm się posuwał.

## LITWA

Z halickiej i podolskiej ziemi przeniosło się umysłowe życie ruskie do Wielkiego Księstwa Litewskiego. W tem księstwie «litewskiem» nie obejmowała właściwa ziemia litewska ani jednej dziesiątej części; sami Litwini oprócz ich szlachty-bojarów nic w niem nie znaczyli; litewskiem było pochodzenie panującego rodu, który tylko w drugiem pokoleniu po założycielu, Gedyminie, władał jeszcze językiem litewskim, Jagaił, Witowt, Szwitrigaił i t. d., ale już synowie Jagiełły po litewsku nie umieli, Warneńczyk napewne nie, Kazimierz chyba również. Język urzędowy, towarzyski, nawet rodzinny (oprócz Żmudzi) był w XV wieku wyłącznie białoruski; ocalało w nim parę słów litewskich, np. *dziakło* i *mieżlewa* dla podatków, *dojlid* (rzemieślnik) i *żibintojis* (dla dozorującego świecy i łuczywa), *roitininkas* (dla sługi konnego) i *burtowanie* (dla czarowania); po litewsku mawiał chłop na wsi, przejmujący od otoczenia ruskiego niemało rusyzmów. Podstawę pod księstwo rzucił już wiek XIII, gdy Litwa korzystała z ruskiego rozbicia dzielnicowego i zagarniała, nawet bez wysiłku zbrojnego, drogą np. ożenków, jedno księstwo ruskie po drugiem, aż do Kijowa sięgnęła a równocześnie po bezpotomnej śmierci Bolesława-Jerzego r. 1340 na tej samej podstawie do zawodnictwa z Polską Kazimierzową o Wołyń, Halicz i Podole stanęła; utrzymała się tylko przy Wołyniu.

Rdzenna Litwa, Auksztota i Żemaite, wytrwały i w XIV wieku przy pogaństwie, które patrjarcha wschodni czczeniem ognia nazwał; Żmudź jeszcze nawet w XV-tym. Nie pomogła misja franciszkańska, w Wilnie osadzona, tem mniej krwawe «rejzy» krzyżackie, rok rocznie przy licznym udziale rycerstwa zachodniego podejmowane, nie dla ochrzczenia, lecz dla opanowania Kowna, Trok i Wilna, stające nieraz pod wałami tych grodów, lecz nie opanowujące ich na stałe. Czego ani misja,

ani rejzy nie dokonały, dokonał Jagiełło, łącząc się z Polską i katolicyzmem. Naturalny rozwój byłby prędzej czy później oddał Litwę i Żmudź obrządkowi ruskiemu, cerkwi wschodniej; odwrócił ten rozwój nagle Jagiełło przez umowę krewską z panami małopolskimi, przez śluby z Jadwigą, przez nawiązywanie coraz silniejszej spójni z katolicką Polską. Ale do r. 1387 była Litwa całkiem pogańską; wprawdzie posłuszna rozkazowi w. księcia ochrzciła się, patrzyła najspokojniej na rozrzucenie drewnianej świątyni Perkuna w Wilnie (na jej miejscu wybudowano katedrę św. Stanisława), zalanie jej ognia wiekuistego, ucieczkę kapłana-*žinczia* 'znachora', co u ognia wróżył (pomyłką urobiono u nas od tej nazwy kapłana jakiś znicz 'ogień'), lecz mimo założenia biskupstwa w Wilnie pozostała przy wierze ojców. Bo że sam Jagiełło pacierze główne wyłożył a kazanie dominikana Wężyka tłumacz powtarzał, nie zastąpiło to braku duchowieństwa i nie zaradziła temu nawet Jadwiga, urządzając w Pradze seminarjum duchowne dla przyszłych księży litewskich i ruskich. Nierównie więc silniej niż w Polsce po r. 966, opierało się pogaństwo litewskie po r. 1387 chrystjanizacji, nie gwałtem, jawnie, lecz uporem, skrycie. Najbardziej zaś na Żmudzi, która przez półtorawiekową walkę z Krzyżakami płonęła nienawiścią przeciw chrześcijaństwu, jakiej Litwin, sąsiadujący najspokojniej z prawosławnym Rusinem wcale nie znał. Chrystjanizacja samej Żmudzi opóźniła się też o lat trzydzieści. W Konstancji przedstawiono wprawdzie Ojcom soborowym chrzczonych Żmudzinów, aby potwarze krzyżackie unicestwić; sobór wydelegował arcybiskupa lwowskiego i innych duchownych do misji żmudzkiej i arcybiskup po trzechmiesięcznej misji zdawał z niej sprawę w piśmie do soboru. Zaznaczył, jak olbrzymie tłumy ich na Litwie witały, jak je rozdzielał na mężczyzn i kobiety i każdej grupie po jednemu imieniu nadawał, ale o podobnej gotowości na Żmudzi samej jakoś niewyraźnie się tłumaczy; pociesza się tem, że urzą-

dzono biskupstwo dla niej w Miednikach i naznaczono na biskupa księdza wileńskiego Macieja, władającego dobrze językiem żmudzkim (misja sama litewszczyzny naturalnie nie znała) i ustanowiono plebanje po całym kraju. Tak późno zaczęła się chrystjanizacja Żmudzi i Litwy i wobec tego spóźnienia napływały liczniejsze źródła o ich pogaństwie i można o niem więcej nieco powiedzieć, niż o słowiańskiem, przyczem ścisłej różnicy między Auksztotą a Żemajtą przeprowadzać nie konieczna.

## KULTURA POGAŃSKA

Były więc świątynie, niskie domki drewniane, obsługiwane przez żinczów, gdzie wiekuisty ogień Perkuna (pioruna) płonął, odwiedzane przez lud dla wyroczni, bo litewski był jeszcze nierównie więcej przesądny niż poganin polski; nie podejmował niczego bez wróżenia, bez rzucania losów, bez badania wnętrzności i kości ofiary. Bóstwa jego, z wyjątkiem Perkuna-pioruna, najwyższego władcy nieba i ziemi, nie oddalały się zbyt od przyrody samej; nazwy ich są też całkiem przeźroczyste: *Medejn* 'leśny', *Żwerine* 'zwierzęca' (rodzaj żeński przeważał u Litwy i Łotwy między bóstwami), *Diewo rykszte* ('rózga boża', o tęczy), *Kalwelis* 'kowalik' (co słońce skował i na niebo rzucił, pomysł raczej fiński, niż aryjski); *żeminink* albo *żemine* (żeńskie), bóstwa ziemi i wiele innych, pomniejszych, między niemi i *Łajme* 'dola'. Olimpu nie było; bóstwa mieszkały w gajach świętych, w rzekach świętych (częsta na Litwie nazwa), a gdy misjonarze gaje i dęby prastare tępili, lud uciekał z płaczem do Witowta: gdzież się nasze bogi podzieją, które nam pogodę i deszcze zsyłają? Młot olbrzymi, czczony niby fetysz, bo nim rozbił (czy Perkun?) wieżę, w której więziono (za zimy) słońce i wypuścił je na świat, ten młot przypomina młot germańskiego Thora-Donara. Obok kultu ognia-Perkuna wyróżniała się Litwa kultem węży domowych, niby uosobień ducha

przodków, strzegącego ogniska domowego i zapewniającego dobrobyt rodzinie; amulety wszelakie użyczały tego samego osobom. Bóstwom dziękowano i przebłagiwano je ofiarami; ze zdobyczy wojennej najcelniejsza, np. komtur krzyżacki, płonęła na stosie; całe okolice składały się na spólne ofiary wołu czarnego, czarnego kozła, kur czarnych; po oddaniu cząstki tłuszczu i krwi, spożywali ofiarnicy mięsa, pieczywo, upijali się piwem domowem *(alus)* i miodem. Karmiono i duchy przodków: przed świętym dębem (dla mężczyzn) lub świętą lipą (dla kobiet) miewano stołeczki, na których składano dla nich w pewne pory mięsa, sery, miody. Dusze-*wele* dostawały się w zaświat tylko, gdy ciała na stosie całkowicie spłonęły; jeszcze Kiejstuta i Olgerda zwłoki palono, z Kiejstutem ośmnaście wierzchowców (jak w mogiłach królów scytyjskich); z Olgerdem konia, charta, sokoła i t. d.; był nawet mit osobny, który uzasadniał konieczność palenia zwłok, co błogo tylko po spaleniu spoczną, gdy w drzewie trumny je osy i pszczoły, a w ziemi robactwoby trapiło. Tak się przedstawia w najgrubszym zarysie mitologja litewska bez Krywe-krywejto, bez licznych bóstw, jakiemi mniemany Olimp litewski upstrzył Kraszewski, ufający bajarzowi Narbutowi. Pomijamy drobniejsze, nowsze chyba, *Aitwara*-skrzata, *ragany*-wiedźmy, *Łaume*-mamunę i t. p.

Kultura litewska była w XIV i XV wieku już ruska, Wilno czyniło wrażenie jakby grodu ruskiego, a bojarowie mówili i żyli po rusku; typu prostego Rusina, w szarem odzieniu a skromnem życiu, nie rzucił i Jagiełło, dla którego łaźnia, łowy, ruskie malowidła cerkiewne były najmilszemi, bo rodzimemi; Ruś czciła też Kiejstutowiców i Olgerdowiców nie inaczej niż Rurykowiców i nadawała im nawet prawosławne imiona. Poniekąd inaczej było na Żmudzi, dokąd wpływy ruskie mniej sięgały; Żmudź warowała sobie z małemi przerwami niezawisłość i uchowała dłużej pierwotną prostotę: domy, raczej namioty-wieże, kryjące rodzinę i bydło zarazem; gospodarstwo

pierwotne, gdzie uprawa roli nie najważniejsza, las barciami i zwierzem, liczne jeziora rybami lud karmiły, bo rola nieraz zawodziła; życie rodzinne było monogamiczne, żonę kupowano lub uprowadzano (za porozumieniem wspólnem), ale i tu *pirszlis* 'swat' znaczną odgrywał rolę; kobiety miały jednak więcej swobody, niezależności niemal, niż u Słowian i Prusów, przędza była ich głównem zajęciem, ale i mężczyźni przędli. Pogarda życia cechowała Litwina, sam się wieszał, gdy go niełaska książęca dotknęła; kary były też okrutne, zaszywanie w skóry, rozdzieranie przez niedźwiedzi. Łowy były namiętnością ogólną, łowy na żubry przypominały hiszpańskie walki byków; obyczaje tchnęły prostotą i jeszcze długo później szydzono z litewskiej naiwności i braku ogłady.

## KULTURA CHRZEŚCIJAŃSKA. WPŁYWY RUSKIE

Tak żył lud po wsiach; w miastach nielicznych, prócz dawnych ruskich, które tu nie należą, napływowy żywioł obcy, Niemcy i Polacy, jedyne posiadał znaczenie — w Wilnie już w XV wieku Litwy jakby nie było, była Ruś, Niemcy, Polacy — szczególniej duchowieństwo było wyłącznie polskie; z zakonów bernardyni najwięcej zyskali miru. Już za Mindowga bowiem, t. j. około r. 1260, zaczęła się Litwa cywilizować, poczęli napływać do jej grodów cudzoziemcy, kupcy i rękodzielnicy, szczególniej do Wilna, świeżo przez Gedymina wedle wieszczego snu o żelaznym wilku (jeśli to nie późniejsze, umyślne naśladownictwo rzymskiej wilczycy!) założonego. W tem Wilnie przewijali się najspokojniej chrześcijanie-cudzoziemcy, polscy franciszkanie, ruscy bazyljanie, bo pogaństwo nie znało nietolerancji, pozwalało każdemu czcić własnych bogów, i Wilno obwarowane murami, inaczej niż dawne nasypy na piłkalniach, przypominało z swą kolonją niemiecką miasta zachodnie. Z każdym dziesiątkiem lat ubywało w niem żywiołu litewskiego, przyby-

wało ruskiego i niemieckiego, aż polski oba przezwyciężył. Wzrastał handel i przemysł; gdy Mindowg głównie skarbami złupionemi, ruskiemi i polskiemi, szafował, opierali się Gedymin i synowie o własne. Z początkiem XV wieku zaczęły się i wędrówki rodowitej Litwy po obczyźnie dla zdobycia ogłady i nauki i wydały między innemi osobliwszy owoc. Taki np. Jerzy Butrym, wróg Polski («separatyzm» litewski sięgał daleko wstecz), który «w państwach katolickich długie lata strawiwszy w dowcip i rozum obfitował» (wedle świadectwa Długoszowego) i na Litwie u separatysty Witowta rolę odgrywał, spłodził może ową bajkę o początkach Litwy, która się przez całe wieki wbrew rozumowi utrzymywała.

Jak bowiem w XV wieku szlachta polska gardząc domowym początkiem z nad Renu, Burgundji lub Włoch się wywodziła, podobnie uszlachetniła i Litwa swój rodowód. Przy rażącem podobieństwie niektórych potocznych słów litewskich a łacińskich (np. *naktis* = łac. *noctes, dantis* = *dentes, diewas* = *deus, ugnis* = *ignis* i in.) mogła powstać myśl, że to szlachta, jeśli nie cały lud litewski, opuściwszy przed prześladowaniami Nerona i innych despotów Italję, do Lituanji się wybrała, pędzona wiatrem na morzu. Tak to urosły bajdy o jakimś Litonie, Palemonie i tym podobnych bohaterach, którym i Gedyminowice i szlachta (Kolumny = Kolonny wedle herbu), Gedrojcie, Kieżgajły i in. zawdzięczają początek. Nierównie realniejsze, niż te mrzonki heraldyczne i genealogiczne, były dążenia szlachty: uzyskać przywileje polskiej, wydobyć się z poniżającej uległości wobec książęcia, i katolicka przynajmniej, jako nagrodę za zmianę wiary, otrzymała je bezpośrednio. Zrównanie stanowiska prawnego pociągnęło za sobą, wprawdzie nierównie powolniej, i zrównanie kulturalne; polski obyczaj, mowa, pismo zaczęły powoli obok ruskich obowiązywać po dworach pańskich, za wzorem królewskiego (właśnie Kazimierz przesiadywał długo na Litwie) i tak zaczęła się zgóry, od króla, du-

chowieństwa i szlachty wysokiej polonizacja Litwy, która jednak dopiero w XVI wieku kresu dobiegła.

Wielki ksiądz litewski był równie absolutnym władcą, jak moskiewski; żadne wiece nie ograniczały jego samowoli; miał u boku radę przyboczną, ale rządził sam przez namiestników, wybieranych śród bojarów, którzy pod względem praw nierównie niżej od polskich stali, z ograniczonem bardzo prawem dziedziczenia, z wydawaniem córek zamąż za pozwoleniem książęcem, z brakiem osobistej wolności. Ciwuni sprawowali niższe rządy, wybierali podatki, doglądali i sądów gminnych, «kopnych», gdy sędziów wyższych książę mianował. Podatki były liczne i ciężkie; służba wojskowa obowiązywała wszystkich; własność ziemska miała cechy lenna, nadawanego za tę służbę; zwyczajowe prawo ruskie stanowiło o wszystkiem. Ruch umysłowy staroruski, bez szkół, tlił w Smoleńsku, Witebsku, Połocku, Nowogródku, Wilnie, Trokach, Łucku, Włodzimierzu, ale nie zdobył się na nic większego, oryginalnego; zapiski kronikarskie wzniosą się wyjątkowo, np. przy zgonie Witowta, na jakąś ogólniejszą ocenę, na jakiś polot wyrażenia; wyliczają zresztą najprozaiczniej i najoschlej same fakty. Odpisują i zdobią ewangelje, wyjątkowo kronikę (np. tekst radziwiłłowski, niegdyś królewiecki, podarowany bibljotece królewieckiej przez Bogusława Radziwiłła jako namiestnika Prus książęcych, zabrany r. 1759 do Petersburga), ale nic własnego, prócz kroniczek i aktów urzędowych. Wkońcu oddziaływało jednak sąsiedztwo polskie; zaciekawiała «kniżników», władających sztuką czytania i pisania, a nie wiele ich było, treść polskiej prozy i wierszów i już na samym przełomie XV wieku zdarzały się pierwsze tłumaczenia z polskiego: legenda o Trzech Królach i ich relikwjach, niegdyś medjolańskich, później kolońskich; apokryf, t. zw. ewangelja Nikodema o zstąpieniu Chrystusa do otchłani i o skutkach wyroku Piłatowego w Rzymie samym; legenda o «bożym człowieku», św. Aleksym, znalazły biało-

ruskiego tłumacza; tłumaczenie bardzo nieudolne, dosłowne, pozwala odtworzyć tekst polski zatracony. W wierszu o śmierci i mistrzu Polikarpie odrzucił tłumacz i formę wierszową, jemu niedostępną, i treść bardzo uprościł, bo pozbawił ją wszelkich rysów obyczajowych, tak dobitnych w oryginale, i skrócił ją szczególnie w dalszym ciągu, do samych ascetycznych uwag, co bardzo charakterystyczne dla starej Rusi, wrogiej rzeczom świeckim. Z Białej Rusi powędrowały zczasem te teksty pobożne do Moskwy. Nie zerwała jeszcze ta Ruś związków z Bałkanem i nabyła nawet od Słowian bałkańskich, od Serbów zachodnich, rzeczy świeckie, Rusi zupełnie obce, księgi-romanse rycerskie prozą o Bowie (Buovo d'Antona), z karolińsko-lombardzkiej tradycji i to zczasem stało się ulubioną książeczką-powieścią ludową śród Rusi moskiewskiej, rzecz o Bowie-korolewiczu; dalej o Izoldzie-Tristanie z epopei bretońskiej, która jednak równej popularności już nie zaznała. Literatura cerkiewna białoruska nie może się nawet podobnemi nowemi nabytkami poszczycić. Lecz rychło nastąpił przez przyjęcie katolicyzmu przez ród panujący i bojarów i lud litewski w państwie litewskiem rozłam wyznaniowy tak silny, że bojarów szyzmatyckich od równouprawnienia z katolickimi pierwotnie wyłączono; począł się więc element szyzmatycki, ruski, czuć u siebie nieswojo, zaczęła nań działać siła przyciągająca szyzmy moskiewskiej i już w XV wieku rozpoczęło się odpadanie pogranicznych książąt «litewskich» do Rusi moskiewskiej w imię zagrożonej wiary; wielki książę moskiewski popierał skwapliwie ten ruch i niebawem sam występował jako jedynie uprawniony, tytułem Rurykowego dziedzictwa, do wszystkich ziem ruskich, jakie Litwa zdobyła i w imię «zbierania» oderwanych nieprawnie ziem ruskich zaznaczył linję wytyczną dalszej polityki moskiewskiej, górującej w dążeniu do odebrania dziedzin ojczystych, nietylko Kijowa, ale i Wilna; co w XV wieku, za Iwana III, zakiełkowało, miało się w następnych urzeczywist-

nić. Dzieje Rusi litewskiej XV wieku wypełnia antagonizm narodowy, podsycany i przez «litewskich» książąt samych, np. przez Witowta, a szczególnie przez Świdrygiełłę; dalej waśń polsko-litewska około (niemożliwej) inkorporacji, unji i przynależności ziem, podolskiej a głównie wołyńskiej; wkońcu pochłania je wojna z Moskwą Iwana III.

Tak zaczął się z r. 1386 nowy, niespodziewany rozwój na Litwie rdzennej i jeżeli Litwin raczej do trybu dawnego, do tradycji, niż do ziemi własnej był przywiązany, to i tego trybu zaczął się powoli wyzbywać, porzucać dawne barbarzyństwo, jeden z ostatnich w Europie. Nie zmienił się tylko temperament narodowy; Litwin w porównaniu z ruchliwym, sangwinicznym Polakiem pozostał i nadal flegmatykiem, powolnym i ociężałym, ale zdążającym niezmiennie do swego celu, skrupulatnym, oszczędnym w słowa i ruchy, podejrzliwym i zazdrosnym; jak czuwała Litwa nad tem, żeby się Polacy nie wciskali ani do urzędu (oprócz duchownego, na to nie było już rady), ani do posiadłości ziemskich, ani się o ręce dziedziczek litewskich ubiegali; separatyzmu litewskiego, co chyba w najwyższych sferach się nie objawiał, i wieki spółżycia nie złamały, był on jeszcze w XVII wieku nieraz aż nadto widoczny.

W nowy wiek wstępowały Ruś i Litwa nie jako spółrzędni, równouprawnieni z innemi narodami, Litwa dla swego niedawnego barbarzyństwa, Ruś dla odwiecznej szyzmy; przyszłość ukrywała na razie, jak się przystosują do zmienionych okoliczności, do nowego porządku.

Biblioteka Wyższej Szkoły Pedagogicznej w KRAKOWIE

# SPIS TREŚCI TOMU I

Str.

OD AUTORA . . . . . V

Rozdział I: CZASY PRZEDDZIEJOWE . . . . . 1

Położenie i przyroda kraju. — Wyniki badań archeologicznych. — Kultura łużycka. — Arjowie, rasa, ludy, język, kultura, kolebka. — Epoka litwo-słowiańska. — Słowianie; siedziby pierwotne; grupy językowe i szczepowe. — Wpływy obce. — Wędrówki germańskie.

Rozdział II: POLSKA POGAŃSKA. SZCZEPY I IMIENNICTWO . 31

Świadectwa o Słowianach VI do X wieku. — Szczepy polskie; nazwy; różnice narzeczowe. — Imiennictwo; nazwy miejscowe; imiona osobowe.

Rozdział III: POLSKA POGAŃSKA. SPOŁECZEŃSTWO . . . . . 77

Prasłowiańskie różnice stanowe i ich nazwy. — Ustrój pogańskiej Polski. — Władza książęca i jej organy. — Skarbowość. — Sądy. — Wojsko. — Wpływy obce.

Rozdział IV: POLSKA POGAŃSKA. RODZINA . . . . . 105

Małżeństwo. — Urodziny i postrzyżyny. — Obrzędy pogrzebowe. — Rodzina. — Zabawy i pląsy. — Ślady barbarzyństwa.

Rozdział V: POLSKA POGAŃSKA. WIARA . . . . . 133

Olimp polski. — Podanie o Lechu, Piaście, smoku, Wandzie, Walcerzu Udałym. — Istotna wiara Polski słowiańskiej. — Kult bożków przyrody i domowych. — Zabobony wszelakie i ich resztki dzisiejsze.

Str.

Rozdział VI: POLSKA POGAŃSKA. KULTURA GRODZISKOWA 168

Dom pierwotny. — Gospodarstwo. — Przyroda. — Pożywienie. — Odzież. — Handel. — Kultura. — Grody. — Pozostałości z epoki pogańskiej.

Rozdział VII: WCZESNE ŚREDNIOWIECZE (966—1300). KOŚCIÓŁ 207

Źródła dla poznania epoki, obce i własne. — Wprowadzenie chrześcijaństwa. — Rychły zanik pogaństwa. — Mniemane misje: iryjska i słowiańska. — Wpływ Kościoła. — Akt gnieźnieński. — Źródła chrześcijaństwa polskiego. — Ustrój Kościoła. — Ruch religijny i nowe Zakony. — Unarodowienie Kościoła. — Święci pańscy. — Kult św. Stanisława. — Przewaga Kościoła w życiu indywidualnem. — Chrzest. — Śluby. — Pogrzeby. — Szkoła. — Literatura. — Zabytki polskie duchowne. — Zabytki świeckie. — Sztuka kościelna. — Wychowanie domowe.

Rozdział VIII: WCZESNE ŚREDNIOWIECZE (966—1300). PAŃSTWO 307

Władza książęca. — Szlachta rodzima i jej zawołania. — Przybysze obcy. — Chłopi. — Kolonizacja niemiecka. — Administracja krajowa. — Sądownictwo. — Wojskowość. — Bitwa i oblężenia. — Przemysł. — Moneta. — Podniesienie się poziomu życia codziennego. — Obcy. — Żydzi. — Kultura.

Rozdział IX: RUŚ. — PRUSY. — LITWA . . . . . 381

I. Ruś, kraj, lud, wiara. — Najazd normański. — Przyjęcie chrześcijaństwa wschodniego; rola Bułgarji; wpływy greckie. — Szkoła, literatura, epika narodowa. — Podziały; pogrom tatarski; tragedja ruska.

II. Prusy, kraj, lud, wiara, kultura. — Wpływy polskie; ich zmarnowanie.

III. Litwa, kraj, lud, wiara, państwo.

Rozdział X: WIEKI CZTERNASTY I PIĘTNASTY. PAŃSTWO I KOŚCIÓŁ . . . . . 415

Źródła. — Tło dziejowe. — Kazimierz Wielki. — Szlachta. — Przywileje. — Cechy stanowe. — Duchowieństwo. — Husytyzm. — Udział w soborach. — Typy duchowne. — Życie kleru. — Kościół polski. — Kaznodziejstwo.

Str.

Rozdział XI: MIASTO I WIEŚ . . . . . 469

Miasta i ich gospodarka. — Ustrój. — Handel. — Cechy. — Misterja. — Kuchnia. — Rozrywki. — Zbytek. — Żydzi. — Znaczenie miasta. — Kmiecie. — Wojsko. — Skarbowość. — Sądownictwo. — Życie rodzinne. — Życie potoczne. — Wpływy obce.

Rozdział XII: SZKOLNICTWO . . . . . 527

Szkoły niższe. — Uniwersytety obce. — Uniwersytet Jagielloński.

Rozdział XIII: LITERATURA ŁACIŃSKA . . . . . 545

Ubóstwo wieku XIV. — Literatura XV wieku. — Traktaty naukowe. — Jan Długosz. — Wymowa świecka. — Poezja łacińska. — Zwiastuny humanizmu. — Nauki.

Rozdział XIV: LITERATURA POLSKA . . . . . 577

Literatura XIV wieku. — Literatura XV wieku. — Wiersze religijne. — Wiersze świeckie. — Proza polska. — Pisownia i język literacki.

Rozdział XV: SZTUKA . . . . . 611

Architektura. — Rzeźba. — Malarstwo. — Muzyka. — Młodszość i żywotność kulturalna Polski.

Rozdział XVI: RUŚ I LITWA . . . . . 641

Dwie Rusi. — Druki Fiolowe. — Szyzma i Unja. — Żydowstwo. — Litwa. — Kultura pogańska. — Kultura chrześcijańska. — Wpływy ruskie.

*KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA*
*KRAKÓW, UL. ŚW. FILIPA 25*

ALEKSANDER BRÜCKNER

# SŁOWNIK ETYMOLOGICZNY JĘZYKA POLSKIEGO

(Str. XVI + 806)

Pomimo pewnych prób, nie posiadaliśmy dotąd żadnego słownika etymologicznego naszego języka. Ubóstwu temu, bardzo przykro odczuwanemu zarówno przez szerokie koła miłośników języka ojczystego, jak i przez zawodowych badaczy, zaradził opracowany przez Aleksandra Brücknera

*SŁOWNIK ETYMOLOGICZNY JĘZYKA POLSKIEGO.*

Pod względem formalnym Słownik opracowany jest w sposób możliwie przystępny i popularny. Autor, opierając się na całym dorobku spółczesnej nauki, na mnóstwie prac nietylko własnych, ale i cudzych, nie daje jednakże balastu bibljograficznego, interesującego tylko zawodowych językoznawców. Podobnie unika wszelkiej dyskusji i polemiki, bo nie zapuszcza się w rozstrzyganie poglądów sprzecznych i zdań odmiennych, podając stale jedno, prawdziwe albo prawdopodobne objaśnienie. Oznacza wiek słowa, jego pochodzenie, i zwraca główną uwagę na dzieje kulturalne, o ile je z słów samych wyczytać można. Takie wyjaśnienia nie służą bynajmniej próżnej ciekawości: w kuźni językowej rozpatrzyć się winien każdy uczony czy miłośnik rzeczy ojczystych, literat czy dziennikarz, nauczyciel czy uczeń, aby sobie móc zdać sprawę należytą z tego, czem się stale posługuje.

W możliwie krótkiem a dobitnem streszczeniu obznajamia autor ze znaczeniem i pochodzeniem każdego słowa i określa, jaka mu rola w dziejach języka i kultury przypadła. Przytacza słowa pokrewne, przedewszystkiem słowiańskie (czeskie, ruskie i t. d.), ale jak najkrócej, następnie dalsze, głównie litewskie, jako słowiańskim najbliższe, potem niemieckie, łacińskie i t. d., jako należące do tej samej, aryjskiej, rodziny językowej.

Prof. Aleksander Brückner, którego i czterdziestoletnia działalność na katedrze uniwersytetu berlińskiego i niesłychanie obfita twórczość naukowa rozsławiły imię nauki polskiej w dziedzinie slawistyki, przez opracowanie

*SŁOWNIKA ETYMOLOGICZNEGO*

wystawił najwspanialszy pomnik językowi polskiemu. Zapełnił lukę dotkliwie dotąd odczuwaną przez językoznawców, stworzył wyczekiwane przez naukę światową dzieło, które odda nieocenione przysługi badaniom i slawistycznym i ogólnojęzykowym, a równocześnie w narodzie naszym pogłębi znajomość i zrozumienie języka ojczystego. Każdy miłośnik języka polskiego skwapliwie zagłębi się w *Słowniku etymologicznym*, który go pouczy o znaczeniu i pochodzeniu każdego wyrazu mowy ojczystej, oraz wskaże, co z niego wyczytać można dla wniknięcia w dzieje obyczajowości ojczystej.

Słownik obejmuje przeszło 5.300 wyrazów, wysuniętych jako czołowe pozycje Słownika; umieszczony na końcu indeks wykazuje (łącznie ze złożonemi i pochodnemi) około 30.000 słów.

*KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA*
*KRAKÓW, UL. ŚW. FILIPA 25*

# STUDJA STAROPOLSKIE

## KSIĘGA KU CZCI ALEKSANDRA BRÜCKNERA

WYDANA STARANIEM KOMITETU
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ
PRZY POMOCY ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH WE LWOWIE
GEBETHNERA I WOLFFA W WARSZAWIE I K. S. JAKUBOWSKIEGO WE LWOWIE

(Str. X + 794)

CZĘŚĆ I (HISTORJA POLITYCZNA, HISTORJA KULTURY I ETNOLOGJA).

K. Tymieniecki, Ród i państwo w Polsce pierwotnej. — J. Dąbrowski, O kolebkę kultury polskiej. — E. Kucharski, Mazowsze pierwotne i zagadnienie szczepów polskich. — M. Handelsman, Na marginesie naszej najnowszej literatury o najdawniejszych dziejach Polski. — R. Grodecki, Zbigniew, książę Polski. — Wł. Abraham, Proces przeciw księdzu polskiemu o obrazę papieża Urbana VI. — St. Estreicher, Nieznane teksty ortyli magdeburskich. — X. J. Fijałek, Początki cenzury prewencyjnej w Kościele rzymsko-katolickim i w Polsce. — St. Kutrzeba, Stosunek prawny Bibljoteki Jagiellońskiej do Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie do r. 1918. — L. Krzywicki, Pilkalnie na Litwie. — K. Chodynicki, Tradycja jako źródło historyczne. — J. St. Bystroń, Charakternicy. — A. Fischer, Djabeł w wierzeniach ludu polskiego.

CZĘŚĆ II (JĘZYK).

J. Baudouin de Courtenay, Próby zestawień etymologicznych. — A. Kleczkowski, Cztery etymologje. — M. Rudnicki, O nazwie rzecznej: Drwęca. — J. Łoś, Kilka uwag o żywocie Amandusa. — R. Pollak, Uwagi o języku polskim w «Dworzaninie» Górnickiego. — M. Brahmer, O języku miłosnym «Roksolanek».

CZĘŚĆ III (HISTORJA LITERATURY POLSKIEJ).

St. Łempicki, Mecenat kulturalny w Polsce. — T. Tyc, Na marginesie «Antigamerata». — K. Dobrowolski, Przyczynki do dziejów średniowiecznej kultury polskiej z rękopisu szczyrzyckiego. — J. Krzyżanowski, Z dziejów romansu moralistycznego w Polsce XVI w. — St. Kot, Jana Kochanowskiego podróże i studja zagraniczne. — T. Sinko, Problemy Sępowe. — M. Hartleb, Początki poezji barokowej w Polsce. — K. Badecki, Anegdoty arjańskie. — K. Kolbuszewski, Poglądy polityczne Starowolskiego. — Fr. Bielak, Źródła i tendencja «Prawego Rycerza» Sz. Starowolskiego. — Br. Gubrynowicz, Na marginesie «Monitora». — L. Bernacki, Krasiciana. — J. Kleiner, Krasicki jako przeciwnik literatury dworskiej. — T. E. Modelski, Nieznane uwagi marginesowe St. Trembeckiego. — A. Drogoszewski, Elementy XVIII w. w historjozofji Woronicza. — I. Chrzanowski, Idea mesjanistyczna Woronicza. — St. Wędkiewicz, Z tradycyj rumuńskich o Janie III Sobieskim.

CZĘŚĆ IV.

Wł. T. Wisłocki, Bibljografja prac Aleksandra Brücknera (zgórą 1200 pozycyj).

UF - Kraków BG
1050192295